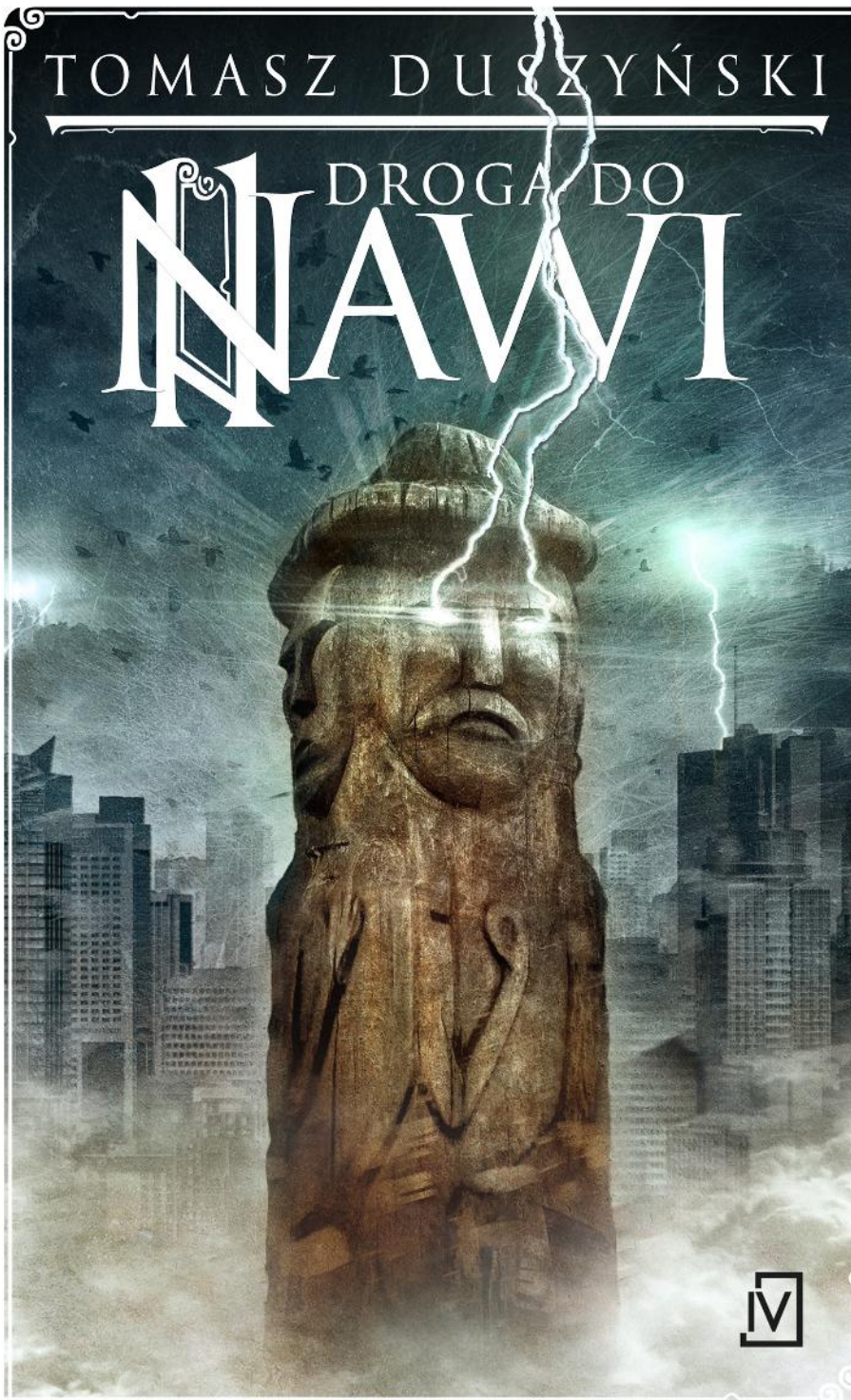


TOMASZ DUŻYŃSKI

DROGA DO
NAVI



**TOMASZ
DUSZYŃSKI**

Droga do Nawi

I. Rozstaje dróg

Sosny, jodły, chwoje, chaszczce,

Ciemny mech.

Czuję go – kosmaty leszy

Tu zaległ.

Zwalił się na chwoję,

Na jej korę,

I porusza wszystkim, kołysze

W tym borze.

Maksim Bohdanowicz, *Leszy*

Nie życzę tego nikomu. Przeżywać własną śmierć na nowo, co noc, za każdym razem, gdy zamykasz oczy. Żadna przyjemność widzieć, jak twoje członki rozrywane są przez „ajdika”, a ty leżysz we krwi, próbując wmówić sobie, że nic się nie stało. Że przewróciłeś się przypadkiem. Twoje absurdalnie pobożne życzenie zdaje się mieć moc, tym bardziej że nie czujesz bólu. Ale on przyjdzie jak dawno niewidziany znajomy. Taki, za którym nigdy nie tęskniłeś. Wtedy hełm uderzy o głazy, gdy głowa bezwładnie opadnie do tyłu, i nagle zdasz sobie sprawę, że twoje ciało składa się z miliardów neuronów, przekaźników bólu błagających o chwilę wytchnienia. Nic już na to nie poradzisz. Wciągniesz w nozdrza gorące powietrze i będziesz czekał na wiatraki.

Tak, chłopaki wezwą wsparcie, ale muszą liczyć się z zasadzką. Od teraz każda sekunda będzie ciągnęła się w nieskończoność. Gorzej, każda z tych sekund będzie dzielić się na setne, tysięczne, rozbijać na cząsteczki, atomy. A ty zatoniesz w ich odczuwaniu, będziesz przeskakiwał pomiędzy jedną a drugą, odbijał się od nich niczym od gumowych piłek. Aż w końcu zdasz sobie sprawę, że czas rządzi się swoimi prawami.

Wszystko w takich chwilach nabiera nienaturalnych barw, odcieni, obraz staje się ostry, by potem nagle zejść mgłą. Widzisz kolegów, są blisko, to jedyne pocieszenie. Modlisz się, żeby to się skończyło, żeby już nikt nie oberwał. Jeden skoszony wystarczy. Chłopaki zajmują pozycję obronną, a ciebie odciągają w bezpieczne miejsce. Wymiana ognia trwa w najlepsze.

– Alek, lecaj. Alek, trzymaj się.

Uklucie, wstrzykują morfinę. Cholera, czułeś podświadomie, że ta chwila nadejdzie. Przecież to tylko środek przeciwbólowy, ale dla ciebie jest jak wyrok śmierci. Gdy podawali go innym, też nie patrzyłeś obojętnie. Wydawało ci się, że już po nich. Morfinę miałeś za ostateczność. Dlaczego ci ją dali?

Morfę podają umierającym. Ale ja przecież nie umieram, prawda? Wydaje mi się, że mogę wstać i iść, że chwilę odpocznę i zaraz się pozbieram. Przecież nie skarzę się na ból, jestem tylko w szoku.

Ktoś ciągnie za nogi, za poszarpane kikuty. Chyba na chwilę przysnąłem. Już ciemno? Nie słyszę wystrzałów, rozglądam się, siadam. Jestem sam na wąskiej drodze. Nie. Nie sam. Dwa cienie szarpią rozerwane strzępy nogawek. Krew wsiąka ciemnymi plamami w przeklętą ziemię.

Szukam broni. Nie mam. Zabrali ją, a mnie zostawili?

To wilki. Fosforyzujące oczy, kły błyszczące w świetle księżyca. Próbuje krzyknąć. Nie mogę, głos uwiązł w gardle. Kopię, okładam pięściami warczące bestie. Zatapiają kły coraz głębiej, coraz mocniej zaciskają szczęki. Kruszą kości jak w imadle. Zdają sobie sprawę, że to nie wilki, to ohydne, pokraczne potwory pokryte matowym futrem.

Budzę się ponownie. Mam nadzieję, że tym razem to rzeczywistość, nie kolejny sen. Ale

czy takiej rzeczywistości chciałem?

Trauma room. Lekarz świeci latarką w oczy. Mówi coś, czego nie słyszę albo nie rozumiem. Kręci głową, patrzy na mnie i nagle odchodzi.

On także mnie zostawia?

Siedzę, boję się popatrzeć w dół, na kikuty, strzępy kończyn.

W końcu udaje mi się przemóc. Spodnie zakrwawione i rozerwane, ale blade stopy wystające ze strzępów nogawek wydają się nienaruszone. Całe, bez najmniejszego śladu zranienia, zadrapania.

Chcę coś powiedzieć, zapytać o coś, ale nie mam kogo. Jestem sam.

Ten obraz wraca. Wyraźny, z zapachami, kolorami, bólem. Już w Polsce opowiedziałem o nim lekarzowi. Miłemu facetowi po czterdziestce, który zajmował się takimi jak ja. Chłopakami z zespołem stresu pourazowego. Zaproponował turnus wypoczynkowy, namawiał do rozmów w gronie przyjaciół i bliskich. Powiedziałem mu, żeby turnus wsadził sobie w dupę. Nie przyznałem się, że nie mam ani przyjaciół, ani bliskich. Chociaż pewnie to wiedział.

Terapia jednak poskutkowała. Przestałem opowiadać o swoich snach.

Najgorsze jest to, że z całej pieprzonej zmiany pamiętam zaledwie kilka dni. Mam może kilka przeblysków, w których pojawiają się twarze, jakaś odprawa, patrol. Ale wszystko inne...

Pozostały tylko sny. Jednak czy dotyczyły mnie? Były wspomnieniem tego, co wydarzyło się naprawdę? Rozbebeszony umysł, myśli na granicy obłądu. Przecież mam wszystkie kończyny. Często, gdy budzę się w nocy, w przepoconej pościeli, odgarniam koc i patrzę. Patrzę na chude, żylaste nogi. W świetle księżycy wyglądają jak kończyny trupa, ale należą do mnie. A ja przecież żyję. Więc czyj to sen?

Dzwoniłem do chłopaków, łapałem tych, o których wiedziałem, że byli ze mną na zmianie. Żaden nie chciał rozmawiać. Jeden przeklął mnie, nazywał afrytem. Przyciśnięty do muru przyznał, że tak nazywali mnie miejscowi. On sam nie chciał mieć ze mną nic do czynienia. Bał się. Wtedy zrozumiałem, że dźwięk przerwanej połączenia może być gorszy od wystrzału z karabinu.

Dzień podobny do dnia. Gdy jesteś w dołku, szukasz możliwości wyjścia, wspięcia się jeden poziom wyżej, byle nie patrzeć w lustro i nie widzieć własnej bezsilności. To cholernie trudne. Wstań, żołnierzu, posil się, wykonaj zadanie i wróć na zasłużony odpoczynek. Na wieczny odpoczynek.

Koniec wydaje się bliski. Ty sam znajdujesz się zaledwie krok od wieczności. Krok od zapomnienia. I wtedy zdarza się, że ktoś wyciąga do ciebie pomocną dłoń. Mentor.



Stacja benzynowa przy zjeździe z A4, tuż za Wrocławiem w kierunku na Katowice. Niesprawna kasa fiskalna, dwie przebite opony w samochodzie marki Renault Clio. Popsuty wypad rodzinny, kolejka przy ladzie i oberwanie chmury, którego nie anonsowano w żadnej prognozie pogody. Niebo nad Polską miało być tego dnia jasne i przejrzyste, bez najmniejszego śladu chmur. Tutaj deszcz powstał z wichury, która w kilka minut przetoczyła się nad lasem, uderzył hektolitrami wody i znikł równie szybko, jak wcześniej niezapowiedziany pojawił się nad okolicą.

Marek Batler wiedział, że trafił w odpowiednie miejsce o właściwej porze. Wsiadł z samochodu, który raptem odmówił posłuszeństwa. Kilka innych pojazdów stało przy dystrybutorach z paliwem albo na parkingu. Mężczyzna uważnie zlustrował właścicieli czterech kółek. Małżeństwo z dwójką dzieci, kierowca tira w czapeczce bejsbolowej patrzący w niebo, jakby tam miał znaleźć odpowiedź na wszystkie dręczące go pytania. Handlowiec w firmowym aucie obklejonym kolorową reklamą lodów i pracownik stacji niemogący poradzić sobie ze szwankującym dystrybutorem. Wszyscy chwilę wcześniej szukali schronienia w budynku, teraz niepewnie go opuścili, jakby spodziewając się kolejnego dowodu na nieobliczalność pogody. Na pierwszy rzut oka żadna z tych osób nie budziła podejrzeń, nie ich szukał Batler.

Marek uspokoił oddech. Wszedł do sklepu, jakby od początku miał zamiar jedynie zrobić zakupy i odjechać. Przy kasie kolejka. Sześć osób, w tym jedno dziecko ściskające paczkę chipsów niczym drogocenny skarb. Mężczyzna obrzucił klientów szybkim spojrzeniem. Małżeństwo na końcu kolejki. Żona wyraźnie zniecierpliwiona, mąż, którego można było określić jedynie dwoma słowami: ciepła klucha. Okulary, jaskrawy podkoszulek z idiotycznym napisem. Batler założyłby się o paczkę tych cholernych chipsów, że facet jest księgowym. Wyrwał się ze swoją żonką na weekendowy wypad za miasto. Ich skreślił od razu. Podobnie sikse obłapiającą się z wytatuowanym chłystkiem ubranym w białe adidas i rozciągniętą bluzę.

Batler wolnym krokiem zbliżył się do lodówki z napojami. Otworzył krótkim szarpnięciem drzwiczki i wyciągnął mrożoną herbatę. Zaszło mu w gardle. Najchętniej od razu otworzyłby butelkę i przechylił ją, wlewając do przełyku płyn zdolny ugasić ogień trawiący jego trzewia. Powstrzymał się jednak. Ruszył do kasy.

Facet stał pierwszy w kolejce. Nieruchomy jak skała. Czekał, aż sprzedawczyni upora się z awarią. Nie wyglądała na zniecierpliwionego czy zirytowanego. Jakby wiedział, że zaraz wszystko wróci do normy.

– Nie ma prądu. – Dziewczyna tocząca bój z niesprawnym urządzeniem pociła się niemilosiernie. Wyglądało na to, że należy do tych, którym „jeszcze zależy”. – To przez ten deszcz chyba... coś musiało...

Kasa zabuczała, a drukarka wypuła rachunek z radosnym skrzypieniem. Wśród klientów rozeszło się westchnienie ulgi.

– Przepraszam, że musiał pan czekać, panie Staszku. Czy coś jeszcze?

Batler stłumił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Odłożył napój na półkę i wyrzwał przez szybę. Intuicja go zawiodła. To nie mógł być ten facet. Przeoczył kogoś. Czy ktoś w tym czasie odjechał?

Szybko wyszedł na zewnątrz i zlustrował parking. Brakowało dostawczaka z reklamą lodów. To niemożliwe, żeby...

Pisk opon był ogłuszający. Batler, tak jak wszyscy na stacji benzynowej, spojrzął w prawo. Wcześniej nie zauważył, że parking sięga aż za budynek. Tam gdzieś musiały być toalety. Czerwony mustang. Pojazd wyskoczył do przodu. Kierowca wprowadził samochód w kontrolowany poślizg i ruszył błyskawicznie w stronę wyjazdu. Marek dałby głowę, że wciąż słyszy śmiech i ostry riff gitary z głośników.

Tym razem zaklął siarczyście. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi. Pobiegł w stronę swojego auta. Wskoczył do środka i odpalił silnik. Maszyna zadziałała teraz bez problemów. Wycofał, a potem ruszył do przodu. Nie mógł ich stracić z oczu. Kierowca, krótko ostrzyżony blondyn z czarnymi okularami upodabniającymi go do ważki. I ona, kobieta na fotelu pasażera. Kruczoczarne włosy, długie, rozwiane, jakby cały czas była w szaleńczym pędzie. Batler wyrwał te twarze w pamięci i wiedział, że już nigdy ich nie zapomni.

Zjazd w lewo, budynek z parkingiem. Tak jak w jego śnie. Batler automatycznie skręcił w stronę motelu i zatrzymał się. Był gdzieś za Katowicami.

Wynajął pokój na piętrze, bo musiał przerwać pościg. Czerwonego mustanga stracił z oczu bardzo szybko. Czuł jednak, że blondyn z dziewczyną nie odjechali daleko. Ich ślad urwał się właśnie w tym miejscu. Batler uzbroił się w cierpliwość, tak jak zwykł to zawsze robić, jakby przywdziewał ochronny pancerz. Wiedział, że sen przyniesie kolejne wskazówki i znów prędzej czy później trafi na trop.

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Małe, schludne pomieszczenie z jednym oknem, łazienka z prysznicem i telewizor. Batler nie miał żadnego bagażu. Opadł na łóżko i zamknął oczy. Zakręciło mu się w głowie. Przycisnął opuszkami palców skronie, ale wirowanie stało się jeszcze bardziej nieznośne, do tego doszło brzęczenie w uszach.

Wstał gwałtownie i zdjął płaszcz. Rzucił go na krzesło, nie dbając o to, czy materiał się pogniecie. Jeszcze raz zlustrował pomieszczenie i potarł łzawiące oczy. Był bardzo zmęczony, najchętniej od razu zapadłby w sen. Musiał jednak wziąć prysznic. Był w drodze od kilku dni. Co było wcześniej? Nieważne. Liczyło się tylko tu i teraz.

Zaśmiał się cicho i pokręcił głową z niedowierzaniem. Jeszcze nigdy wizja nie była tak wyraźna, tak trwała. Co więcej, teraz się urzeczywistniła. Tamtych dwoje, kobieta i mężczyzna.

Batler poprawił płaszcz, który zdążył się zsunąć z krzesła. Zawahał się, nasłuchując przez chwilę. Oprócz głuchych uderzeń kropel deszczu o dach motelu i odgłosów przejeżdżających w pobliżu samochodów nie było słyhać żadnych dźwięków. Zdjął koszulę i spodnie i skierował się do łazienki.



– Miszka, ty znowu dzisiaj na służbie? Toż spokoju nie dają. Powinieneś odpocząć, źle wyglądasz...

– Dam radę, babciu. Wy się lepiej pilnujcie. Kręci się tu kilku takich...

– A kiedy się nie kręcili? – Kobieta machnęła ręką. – Mnie nic nie robią, znają mnie dobrze, a i ja znam ich...

Misza Asieniewicz spojrział na stolik wypełniony książkami. Czasem przystawał i kupował jakiś tytuł u staruszki, gdy wracał tędy po służbie. Teraz jednak nie miał ochoty się zatrzymywać. Czuł niezrozumiałe zniecierpliwienie i niepokój. Jakby o czymś dzisiaj zapomniał, coś przeoczył. Ruszył w kierunku ruchomych schodów prowadzących do metra. Minęła już dwudziesta druga, mniej ludzi. Trudno było przywyknąć, znając moskiewskie metro za dnia, że może tu być tak pusto. Codziennie miliony ludzi przetaczały się w marmurowych wnętrzach: ci spieszący do pracy, turyści i ci z prowincji, z wielkimi walizami czy wózkami, na których, dałbyś głowę, piętrzył się cały ich dobytek.

Ruchome schody przesuwwały się wolno, co jeszcze bardziej poirytowało Miszę. Niepokój rósł zupełnie niezrozumiale. Zaczęła swędzieć go skóra, uczucie bardzo nieprzyjemne. Zastanawiał się, czy podrażnienia nie wywołało nowe mydło w płynie, które kupił kilka dni temu.

Z naprzeciwka schodami jechało kilku wyrostków. Śmiali się. Jeden z deskorolką. Misza miał nadzieję, że chłopakowi nie wpadnie do głowy jazda po peronach. Młodym w dzisiejszych czasach głupie rzeczy przychodziły do tych zakutych mózgowic. Misza zmierzył go wzrokiem,

gdy się mijali. Chłopak także na niego patrzył. Nieruchome spojrzenie, zimne i jeszcze ten kpiący uśmiech. Asieniewicz pokręcił tylko głową. Na szczęście był po służbie. Nie musiał reagować.

Kłujący ból za okiem, zupełnie nagły. Misza zgiął się w pół. Dotknął powieki, ucisnął. Serce załomotało w piersi i też zakłuło. Poczł się źle, bardzo źle. Zawał? Wylew? Tak nagle? Dopiero zaczął trzydziestkę. Boże...

Z trudem utrzymał równowagę, gdy schody się skończyły. Chwiejnym krokiem podszedł do ściany, podparł się. Minęli go kobieta i mężczyzna, bez słowa, choć wyczuł, że na niego patrzą. Na pewno pomyśleli, że pił. A kto nie pił w tym przeklętym kraju?

Przesunął wnętrzem dłoni po zimnym marmurze, oparł na nim czoło. Chłód go uspokoił, serce powoli wracało do normalnego rytmu. Jednak wciąż coś było nie tak. Z nim albo...

Asieniewicz sam nie rozumiał impulsu, który kazał mu wrócić na ruchome schody. To było silniejsze od niego, jakiś wewnętrzny nakaz popchnął go do przodu, w ślad za tym chłopakiem.

Wyszli na powierzchnię z innej strony. Misza znalazł się na ulicy, rozejrzał się. Młodzieńcy skręcili za róg, obok budki z hamburgerami. Asieniewicz ruszył w tamtym kierunku. Z każdym krokiem tracił rozpęd. Pierwszy odruch wydał mu się czystym wariactwem. Dlaczego śledził Bogu ducha winnego chłopaka? Bo zabolęła go głowa? Z powodu tego ucisku w żebrach? Teraz zlekceważył wcześniejsze dolegliwości. Wydały mu się wyolbrzymione. To tylko przemęczenie... Napięcie w pracy. Przecież w tej chwili zachowywał się jak jeden z recydywistów, których wsadzał do paki. Szedł za młokosem, jakby miał mu zrobić krzywdę.

Zmierzali w stronę metra Sokolniki. Misza tak czy owak uznał, że pójdzie w tamtą stronę. Chciał już wrócić do domu, położyć się spać, zrobić sobie mocnej herbaty. Może by coś nawet zjadł? Nie odżywał się ostatnio dobrze. To mogła być jedna z przyczyn złego samopoczucia.

Stacja była płytko położona. Właśnie z niej kilkadziesiąt lat temu odjechał pierwszy pociąg. Misza przeszedł przez bramkę, a potem skierował się na peron. Młodzieńcy znikli mu z oczu już wcześniej. Zupełnie stracił nimi zainteresowanie.

Pociąg wyjechał ze zgrzytem z tunelu i zatrzymał się. Asieniewicz wszedł do wagonu, nie zajął miejsca, mimo że większość była wolna. Stał przy drzwiach zamyślony.

Po służbie różne myśli nachodziły człowieka. Czasem tylko można było mieć nadzieję na pustkę w głowie. Ale to wtedy, gdy mózg był zbyt przeciążony, by jeszcze roztrząsać jakieś sprawy. Znajomi często mówili Asieniewiczowi, że za bardzo bierze rzeczy do siebie, że czasem powinien sobie odpuścić... A czasem przymknąć oko.

Trudno w tej robocie się nie upodlić, chociaż... Można się starać. Wtedy jednak o awans niełatwo, nie mówiąc o jakiegokolwiek premii czy podwyżce. Misza jako jeden z niewielu miał swoje zasady. Wciąż się łudził, że je ma.

– Wsiadacie teraz?

Ocknął się, przywołał nawet zmęczony uśmiech na twarzy. Pokręcił przecząco głową i odsunął się, robiąc miejsce.

Kobieta także się uśmiechnęła, choć wcześniej była zniecierpliwiona. Miała ładne oczy, które, wydawało się, odbijały zranioną czymś duszę.

Takie uśmiechy w Moskwie nie były częste. Misza wiedział, że gdyby teraz miał na sobie mundur, raczej nie doświadczyłby tego przyjemnego ludzkiego odruchu. Milicji nikt już nie wierzył, nikt nie ufał funkcjonariuszom. Nie było co się dziwić, kiedyś po haracze przychodzili bandyci, a teraz...

Spojrzał w bok, wyczuwając na sobie jego wzrok. Znów to ukłucie za okiem i w sercu. Teraz jednak słabsze, na granicy odczuwania.

Uśmiech chłopaka zgasł, jakby coś go zaniepokoiło. W jego stronę przesunęło się dwóch

kolegów, chcieli go odciąć od Asieniewicza.

Misza spojrzął za siebie. Dwóch innych wyrostków stało za nim. Napięci, uważnie mu się przypatrywali, wydawało się, że czekają.

Atmosfera zgęstniała. Misza wiedział, że zaraz coś się wydarzy. Był w cywilu, nie miał przy sobie broni. Poza tym nie planował wdawać się w konfrontację z tymi dzieciakami.

Odczekał, aż wagon się zatrzyma, i wysiadł.

Ruszył szybkim krokiem w stronę przejścia. Nie oglądał się. Chciał po prostu zakończyć ten dzień tak szybko, jak się da. Dotrzeć do domu i położyć się spać, nawet bez kolacji, bez herbaty, która była jego wieczornym rytuałem.

Usłyszał ich za sobą. Byli w tenisówkach, jeden nieostrożnie zapiszczał gumową podeszwą na kaflach. Misza wyczuł ich obecność już wcześniej. Zupełnie jakby miał oczy z tyłu głowy albo radar pokazujący dokładne rozmieszczenie ruchomych punkcików.

Trzymali odległość. Obserwowali go.

Asieniewicz zatrzymał się raptownie. Odwrócił.

– Czego... – słowa zamarzyły mu w ustach. Ani żywego ducha. Nikogo w korytarzu.

A przecież dałby głowę.

Zawahał się. Zadrżał cały, przeszyty lodowatym powiewem wiatru. Wciąż nie opuszczało go wcześniejsze uczucie. Jakby tu stali, przed nim, wpatrując się w jego trupio bladą twarz.

Musiał zwariować, jak inaczej to tłumaczyć?

Już miał się odwrócić i pomaszerować do wyjścia, gdy wydało mu się, że wyczuwa czyjś oddech. Przesiąknięty czosnkiem, nieświeży, taki, jaki może mieć wyrostek, który od kilku dni nie mył zębów. Ta mdła woń przesuwiała się w bok, obchodziła go szerokim łukiem, w jednym celu: odciąć Miszy drogę ucieczki.

– Odejdźcie... – wyszeptał cicho Asieniewicz. – Dam wam spokój, jeśli wy mi go dacie. Nie jestem już na służbie.

To ostatnie powiedział tylko po to, by dać znać, z kim mają do czynienia. Jeśli zwariował i tak nie sprawiało to różnicy.

Chciał się obrócić i pójść w swoją stronę, ale nagle ktoś albo coś chwyciło jego ramię, a potem twardy przedmiot uderzył go w brzuch.

– Matko... – wyjęczał Misza, padając na kolana. Z trudem zaczerpnął powietrza. Byłby zwymiotował, ale niewiele dzisiaj jadł. Wypluł gorzką ślinę, próbując skoncentrować wzrok.

Nikogo nie widział. W korytarzu był zupełnie sam. Tylko światła u sufitu zadrżały, przygasty, jakby przez spadek napięcia.

Może uderzył się w słupek... przy obrocie. Jego umysł próbował znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego, co się stało. Strach złapał go za gardło.

Coś przesunęło się na skraju pola widzenia. Asieniewicz skulił się. Pęd powietrza potrząsnął jego włosami. Znów pisk butów na posadzce, a potem głuchy jęk upadającego człowieka.

Misza odzyskał siły, wstał i rzucił się do ucieczki. Pędził długimi susami. Do wyjścia miał jakieś pięćdziesiąt metrów.

Za późno zauważył kolejny cień, tuż pod nogami. Podciął go, uderzył w kolana. Asieniewicz wyleciał w powietrze, a potem runął z impetem na kafle. Wyciągając rękę, uchronił głowę, ale nadgarstek i bark przeszył palący ból.

Leżał na boku, walcząc z obezwładniającym strachem. Obrócił się na plecy. Cienie stały się wyraźne. Były blisko, dwa kucające przy jego stopach, jeden pochylony nad głową, inny z boku.

– Widzi nas – zapiszczał ten, który się nad nim pochylał. – On nas widzi.

– Niemożliwe. – Siedzący dotąd w kucki podniósł się, zbliżył do Miszy i pomachał mu przed oczami.

Misza zareagował błyskawicznie. Chwytał chłopaka za dłoń i wygiął mu palce tak mocno, że ten krzyknął. Potem Asieniewicz kopnął go w brzuch i pchnął na drugiego. To działało tak szybko, nawet nie wiedział, że jest zdolny do podobnych reakcji. Poderwał się na nogi i po raz kolejny rzucił do ucieczki.

Okrzyki zaskoczenia odbiły się echem w wąskim korytarzu. Tupot stóp podniósł się głębokim crescendo.

– Nie może uciec!

Asieniewicz biegł ze wszystkich sił. Uniósł głowę. W korytarzu nagle pojawił się dym, ciemne kłęby wyglądające jak burzowe chmury. Czyżby coś się paliło? Powinien się włączyć alarm!

– Goda, pomóż!

Głos za plecami Miszy zabrzmiał niczym uderzenie pioruna. I wtedy Asieniewicz poczuł, że wbrew swojej woli unosi się nad ziemią. Opary zakłębiły się, tworząc wir. Światła rozbłysły niczym flesze aparatów, a pomruk odległego grzmotu niemal rozrywał bębunki w uszach.

Zawrót w głowie, bezwład ciała. Asieniewicz krzychał, ale podmuch wichury wcisnął mu krzyk z powrotem do gardła. Wszystko działało się tak szybko. Misza tracił kontakt z rzeczywistością. Jeśli to był sen, musiał się obudzić, by nie dostać pomieszania zmysłów.

I wtedy, gdy niemal całkowicie poddał się wirowi, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Przytrzymała go w miejscu, gdy huragan szarpał jego ubraniem. Asieniewicz zdał sobie sprawę, że ta dłoń ciągnie go w dół, a później w bok. Oparł się barkiem o ścianę, a po chwili, ku swojemu jeszcze większemu zdumieniu, przez tę ścianę przeniknął.



Zamknąłem zeszyt i przeciągnąłem się w fotelu jak kot. Nie byłem przyzwyczajony do siedzącego trybu życia, a taki zaserwowano mi w firmie przez kilka ostatnich tygodni. Chociaż nie, uświadomiłem sobie, że przecież wcześniej spędzałem całe dni przed telewizorem.

Czułem w kościach, że swoje muszę odcierpieć, a karta się odwróci. Niedługo Mentor da mi jakieś zadanie. Jak to ujął ostatnio? Muszę jeszcze okrzepnąć.

Nabierałem pewności siebie i zdałem sobie sprawę, że przyjmę z uśmiechem wszystko, nawet najpodlejszą fuchę, byle wyrwać się z tych klaustrofobicznych czterech ścian.

Wewnętrzny intercom zabrzączał tak głośno, że niemal spadłem z fotela. Odkaslnąłem i nacisnąłem przycisk połączenia.

– Alek Bielski, masz wezwanie na dziesiąte.

– Rozumiem, idę – odpowiedź, którą zaserwowałem asystentce szefa, była równie zdawkowa.

Mój głos zabrzmiał bezosobowo, ale zdecydowanie. Wewnątrz jednak już tak komfortowo się nie czułem. Wezwanie na dziesiąte mogło co prawda oznaczać przydział upragnionego zadania, ale z drugiej strony... Co jeśli ktoś tam, na górze, uznał, że jednak nie nadaję się do tej roboty?

Moja sytuacja w Agencji M nie należała do łatwych. Przecież znalazłem się tutaj z polecenia. Inni harowali na tę posadę, zdawali tysiące testów, byle dostać fuchę

w renomowanej firmie. A ja? Jestem tu z polecenia samego Mentora. Wyciągnął do mnie rękę, gdy niemal stoczyłem się na dno.

Wciąż miałem przed oczami kierownika działu, Bayera. Mój pierwszy dzień zaczął się od spotkania z tym nadętym, grubym bucem. Szybko zorientowałem się, jaki jest cel tej jakże miłej konwersacji. Facet chciał pokazać, kto tu rządzi.

– Nigdzie nie zagrzał pan miejsca...

– Miejsca były niewłaściwe.

– A wojsko?

– Słabe żarcie, latem w mundurze za gorąco, zimą za zimno...

– Nie ma pan rodziny, matka umarła, kiedy miał pan kilkanaście lat, ojciec odszedł, gdy miał pan rok. Do tego kawaler.

– Uhm.

– Dwudziestosiedmiolatek z nawracającą depresją.

– W tej chwili depresja jest w odwrocie... Być może chwilowo.

– Najprawdopodobniej z zespołem stresu pourazowego...

– Prawdopodobieństwo duże.

– Nie traktuje pan życia poważnie.

– Opis jak ulał do mnie pasuje...

Tak mniej więcej wyglądała ta rozmowa.

Na odchodne grubas powiedział mi, że zwolnić mnie nie może, szanuje niezrozumiałą decyzję Mentora, ale zrobi wszystko, żebym sam przyniósł mu w zębach wymówienie.

Być może nie powinienem się poniżać. Niejeden na moim miejscu odszedłby, unosząc się honorem. To jednak ten facet sprawił, że postanowiłem nie odpuszczać.

Kolejny brzęczyk. Podskoczyłem na fotelu. Chwyciłem kartę identyfikacyjną i przypiąłem ją do koszuli. Co się ze mną dzieje? Na dziesiąte nie wypadało się spóźnić. Nie dzisiaj.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując szeroką recepcję. Za biurkiem siedziała poważnie wyglądająca kobieta. Patrzyła na mnie uważnie. Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Aleksander Bielski? – zapytała.

Skinąłem głową.

– Wiadomość dla pana, kazał ją przekazać.

Długa szara koperta w wypielęgnowanych dłoniach. Wycelowana w moją pierś, jakby wskazywała winnego jakiegoś podłego czynu.

– Spóźniłem się? – zapytałem, czując jak uchodzi ze mnie całe powietrze. Zrozumiałem, że nawaliłem na całej linii. – Już wyszedł?

– Odpowiedź znajdzie pan w kopercie. – Wyraz twarzy kobiety pozostał niezmienny.

Dłoń, wciąż wysunięta w moją stronę, nawet nie zadrżała.

– Dziękuję – odpowiedziałem, przejmując list.

Spodziewałem się, że będzie to zwolnienie. Gdy o tym pomyślałem, nawet mi ulżyło. Ostatnie tygodnie były dziwne. Pojawienie się Mentora w moim życiu, fakt, że znalazłem w sobie siłę, by jeszcze raz spróbować... Wszystko bez sensu. Nie nadawałem się do niczego. Lepiej, żeby to się skończyło właśnie teraz.

– Proszę otworzyć. Takie było polecenie. Ma ją pan otworzyć teraz i przeczytać.

Nie pytałem, skąd ten pośpiech. Podarowałem sobie nawet wzruszenie ramionami.

Rozewałem kopertę i wyciągnąłem białą karteczkę z odręcznie napisaną wiadomością. Pochyliłem litery, zamasztył podpis, mocny charakter pisma.

Spotkajmy się u Dekerta o 14.00.

– *Mentor*

Spojrzałem odruchowo na zegarek. Miałem ponad kwadrans. Bez słowa obróciłem się na pięcie i nacisnąłem przycisk windy. Na szczęście nikt jej nie wezwał na inne piętro. Wszedłem do środka i niecierpliwie wcisnąłem guzik „parter”. Gdy drzwi zasuwwały się, na twarzy asystentki Mentora dostrzegłem uśmiech, niezbyt przyjemny. Mogło mi się jednak tylko tak wydawać. Ostatnio nie byłem zbyt przyjaźnie nastawiony do nikogo, nawet do samego siebie.



– Stęskniłaś się, Arinko?

Ksenia pogłaskała szare futerko kotki. Arina wyciągnęła miękkie łapki i wygięła grzbiet w łuk. Ziewnęła szeroko, kładąc główkę na piersi kobiety.

– Mała... dobra...

Ksenia podrapała kotkę za uchem. Mruczenie zwierzaka ją uspokoiło i dziewczyna uśmiechnęła się do siebie. Odkąd Arinka zadomowiła się na jej balkonie, a potem w domu, jakoś cieplej było na sercu. Milej było też wracać do pustego dotąd mieszkania.

– Mam coś dla ciebie...

Kotka zeskoczyła ze stołu i w kilku, wydawałoby się wykonanych od niechcienia, susach znalazła się przy lodówce.

Ksenia zaśmiała się. Przygotowała z samego rana płucka. Pokroiła je drobno, tak by kotka nie miała problemów z przełknięciem, i teraz wyciągnęła mięso z lodówki. Miseczkę postawiła pod stołem. Patrzyła z przyjemnością, jak jej nowa lokatorka je.

Dużo dowiedziała się o przyjaciółce. Kiedyś wydawało jej się, że koty przede wszystkim piją mleko, i tym też chciała raczyć codziennie swoją królową. Okazało się jednak, że dorosłe koty przeważnie nie tolerują mleka. Na szczęście dla Ariny skończyło się to tylko lekką niestrawnością.

– Ja też coś zjem. – Ksenia znów sięgnęła do lodówki. Wyciągnęła jajka i margarynę. Ciężkostrawna kolacja, ale dzisiaj po prostu miała ochotę na jajecznicę.

W kuchni rozszedł się przyjemny zapach. Zrobiło się od razu jakoś cieplej i bardziej domowo.

– A wiesz, Arina, dzisiaj rozmawiałam z Wierą z dołu...

Zamilkła. Mówiła do kota. Zanosiłoby się na to, że skończy jako gadająca do siebie stara panna z kłakami na swetrze. Odegnęła tę wizję. Kotka spojrzała na Ksenię uważnie, wskoczyła na stół i pochyliła łepkę zachęcająco.

– Mówiła, że zazdrości, bo praca w butiku to takie bezstresowe, lightowe zajęcie... Zaprosiłabym ją na dwanaście godzin do obsługi tych „gwiazd”, które chodzą po galeriach w ciemnych okularach, jakby tam nie wiadomo jakie słońce było. Te panusie uważają się za siódmy cud świata i mają innych ludzi za nic, sprzedawców szczególnie.

Kotka zamruczała, zeskoczyła ze stołu i otarła się o jej nogi.

– Pewnie, wolny kraj. Nikt mnie do tej pracy nie zmusza. Tyle że niektórym się wydaje, że to takie łatwe zajęcie... O zarobkach nawet nie wspomnę. Gdyby można było robić to, co się lubi...

Ksenia przełożyła drewnianą łyżką gotową jajecznicę na talerz. Wyciągnęła jeszcze

kromkę pieczywa z chlebaka.

– Nie ma się jednak co skarżyć. Z głodu nie zemrzemy, a może i los się odmieni?

Dziewczyna przeszła do pokoju i usiadła w fotelu. Arina wskoczyła za jej plecy i zwinęła się w kłębek.

– Los odmienia się wtedy, kiedy przychodzi na to czas.

Ksenia sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Wiera mówiła jej o serialu na pierwszym kanale, „Lubow kak lubow”, podobno już wszystkie sąsiadki w bloku go oglądały.

W milczeniu jadła kolację, patrząc jak Płaton Łobow i jego żona Tatiana decydują się na sprzedaż domu, aby pomóc zarówno wymagającej kosztownego leczenia Łarisie, jak i jej siostrze Lubie. Pomyślała wtedy, że większość ludzi ma przecież gorzej od niej.

W nocy obudziła się z ciężko bijącym sercem. Usiadła z trudem, kładąc dłoń na piersiach. Miała straszny sen. Topiła się w jeziorze, ciemnym, mętym. Była pod wodą, ucisk w klatce piersiowej wydawał się tak realny. Jeszcze kilka dni temu zrzuciłaby wszystko na ciężkie jedzenie, spóźnioną kolację. Jednak podobne koszmary nawiedzały ją co noc. Brakowało jej tchu. Czasem budziła się z krzykiem, walcząc o oddech.

Popatrzyła na Arinę. Kotka uniosła łepkę, wpatrując się w Ksenię z napięciem. Może i ona się wystraszyła. Dziewczyna przetrzała spocone czoło i odetchnęła głęboko, nasłuchując świstu w płucach. Pomyślała przez chwilę, że może jest uczulona na sierść, może nawet ma astmę. Nawet jeśli tak by było, nie pozbędzie się swojej jedynej przyjaciółki. Jeśli ta odejdzie, to z własnej woli, Ksenia jej nie wyrzuci.

– Śpij Ari... Śpij. – Morozowa położyła głowę na poduszce. Wysłuchała się w mruczeniu kotki. To ją uspokoilo i wreszcie pozwoliło zasnąć.



Obraz ruchomy i zamazany, jakby taśma, na której go zapisano, wyblakła. Batler wiedział, że to sen. Był tego w pełni świadomy. Wydawało się, że jeśli mocno się skoncentruje, będzie mógł go kontrolować. Wystarczy siła woli.

Rzeczywiście, niewyraźne kontury zaczęły nabierać kształtu. Dostrzegł linię lasu, potężnych starych drzew, których korony tworzyły splątany baldachim. Wciągnął w nozdrza zapach liści, mchu i wilgotnej ziemi. Czy w snach można wyczuć jakąkolwiek woń?

To nie był sen, lecz kolejna wizja.

Teraz obraz był bardzo wyraźny. Marek dostrzegł każde źdźbło trawy, rosę zbierającą się w kielichach kwiatów. Obserwował wszystko z góry, unosząc się nad zacienioną polaną. Szelest krzaków po lewej stronie i znów cisza. Batler skoncentrował się, skupił wzrok na miejscu, w którym, jak mu się zdawało, dostrzegł ukrytą postać. Ktoś lub coś zachowało jednak ostrożność. Wysoko nad lasem rozległ się pomruk burzy, odległy, pełen mocy grzmot. Znów szelest liści. Cień przesunął się od strony potężnego drzewa.

Obraz spłaszczył się, stracił wielowymiarowość. Zupełnie bez ostrzeżenia. W głowie Batlera pojawiło się inne miejsce. Miasto, betonowe bloki, klatka schodowa z numerem 5 przy drzwiach wejściowych, a potem mieszkanie. Ciemne, nieoświetlone. Ledwie dostrzegalne kontury łóżka, wyrzuczenie pod pierzyną. Ciężki, niespokojny oddech i kot. Siedząc na piersiach śpiącej osoby, prychnął w ciemności i spróbował uderzyć łapą niewidzialnego intruza.

Kolejne miasto. Dachy domów, ulice. Marek znalazł je. Był ostatnio w stolicy, tam wszystko się zaczęło. Nowy Świat, tłum ludzi podążających chodnikiem. Wśród nich jeden w rozpiętej marynarce, wyróżniający się. Biegł, wymijając ludzi niczym tyczki. Spieszył się na spotkanie. Batler zapamiętał smukłą twarz, wyostrome rysy...

Kolejna wizja. Znowu ciemność. Nisko sklepione pomieszczenie, duszne, wilgotne. Leżanka, nieruchomy mężczyzna o wychudzonej twarzy. Wydawało się, że martwy. Jednak jego pierś nieznacznie unosiła się przy nierównym oddechu. Uwagę Batlera przykuło wyposażenie pokoju. Wysuszone zioła na sznurkach, słoje z podejrzaną zawartością wypełniające krzywe półki. Probówki i butle, w których bulgotał mętny płyn. Na ścianie zaś pisane cyrylicą litery – ВДНХ.

Następny obraz. Czerwony mustang, mężczyzna i kobieta. Na tylnym siedzeniu bilety kolejowe, drobny druk, napis „Moskwa”... Para wychodzi z samochodu. Idą w stronę dworca.

Otworzył oczy wczesnym rankiem. Bolały go wszystkie mięśnie, mimowolnie napięte przez całą noc. Poruszył głowę. Ukłucie w karku, tępy ból potylicy. Wizje były męczące. Osłabiały go fizycznie i psychicznie, nie dawały spokoju. Nasilały się, gdy próbował z nimi walczyć lub je ignorować.

W końcu usiadł na łóżku. Przetarł oczy, strząsając z siebie resztki snu.

Ta wizja była inna niż poprzednie. Kolejne postaci dołączyły do tych, które ścigał wcześniej. Dwóch mężczyzn i trzecia osoba, której nie mógł rozpoznać przez tego prychającego kota.

Co więcej, dostał wyraźną wskazówkę. Kierunek, w którym powinien jechać. Napis „Moskwa” widniał na biletach kolejowych tej dwójki z mustanga. Batler miał niejasne przeczucie, że wszystkie nici prowadzą w to miejsce. Nie zdziwiłby się, gdyby pozostałe obiekty znalazł właśnie tam, w stolicy Rosji. Nawet tego spieszącego się warszawiaka...

Postanowił dłużej nie zwlekać. Spał w ubraniu, był gotowy do drogi. Wyciągnął rewolwer spod poduszki i schował go pod marynarką. Wychodząc z pokoju, zajrzał jeszcze pod łóżko. Cień zadrżał, był tam przez całą noc. Chobał, zupełnie niegroźny, nie wiadomo dlaczego zawędrował tak daleko na południe. Batler darował mu życie, na tamten świat wysyłał groźniejsze demony. Ten tutaj sprawił przynajmniej, że nikt nie zakłócił mu spokoju w czasie snu.



Nie trudziłem się wezwaniem taksówki. Z Agencji na miejsce spotkania miałem zaledwie kilkanaście minut piechotę. Musiałem jednak podbiec choć kawałek, nie potrafiłem się powstrzymać. Chyba tak działała świadomość, że czeka mnie rozmowa z Mentorem. Ten człowiek miał w sobie niesamowity magnetyzm. Charyzmę, ale też coś więcej. Każde słowo, które wypowiadał, miało znaczenie. Jego po prostu nie można było zawieść.

Zwolniłem koło placu Zamkowego. Przez ostatni miesiąc codziennie biegałem, kondycja wróciła. Musiałem jednak uspokoić oddech. Nie wypadało przyjść na spotkanie spoconym jak świnia.

Przeszedłem obok fontanny i ruszyłem w stronę kamienicy. Sporo ludzi na rynku wykorzystywało słoneczny dzień. Gwary rozmów, kilku mimów i uliczny grajek. Odprężająca atmosfera.

Jednak ja miałem totalną huśtawkę nastroju. Byłem zdenerwowany, to na pewno. Nie chciałem, żeby Mentor wyczuł moje emocje. Musiałem być profesjonalistą w każdym calu. Jeśli na mnie postawiono, to znaczy, że byłem coś wart.

Czarny pies wyskoczył spod moich nóg tak nieoczekiwanie, że niemal się przewróciłem. Musiałem się zamyślić i nie zauważyłem zwierzaka. Para młodych turystów zaśmiała się życzliwie. Odwzajemniłem uśmiech i podążyłem wzrokiem za psem. Czarny jak smoła siedział na chodniku, nie zważając na pieszych, i wpatrywał się we mnie uważnie.

– Oby cię kaczki podziobały – mruknąłem pod nosem i poprawiłem marynarkę. Chwilę później wszedłem do restauracji.

– Mamy dla pana rezerwację, panie Bielski.

Wysoki mężczyzna wyglądający na menedżera przejął mnie w progu restauracji. Uprzejmym ruchem głowy wskazał kierunek, dając sygnał, bym podążył za nim.

Facet na mnie czekał. Musiał mieć mój dokładny rysopis, co mi schlebiło. Mentor żadnej sprawy nie załatwiał zwyczajnie. Nawet, wydawałoby się, nieformalne spotkanie w restauracji odbywało się w atmosferze konspiracji.

Staromiejskie piwnice jak ta, zaadaptowane na restaurację, miały swój klimat. Okazałe łuki, mocne, szerokie kolumny. Właściciele dbali o każdy szczegół. Teraz jednak nie zwracałem uwagi na detale. Zostałem wprowadzony do pomieszczenia odgradzonego kotarą. Tylko jeden stolik pośrodku, brak zastawy. Popielniczka i pusta szklanka.

– Proszę tutaj...

Menedżer odsunął od stołu krzesło, na którym po chwili wahania się usadowiłem.

– Czy mogę zaproponować coś do picia?

– Wodę... niegazowaną z cytryną, proszę.

– Niegazowana z cytryną – powtórzył, kłaniając się uprzejmie. – Czy coś jeszcze?

Zawahałem się. Nie wiedziałem, czy wypada poprosić o kartę. Poza tym nie byłem pewny, czy wraz z Mentorem będziemy tu jedli.

– Na razie to wszystko. Czy...

– Za chwileczkę do pana dołączy. – Menedżer wydawał się czytać w myślach. Skinął głową i znikł za kotarą.

Dopiero teraz usiadłem wygodniej. Starąłem się pozbyć napięcia. Drżały mi jednak dłonie, a na czole pojawiły się kropelki potu.

Rozejrzałem się, wyciągnąłem chusteczkę z kieszeni i ukradkiem otarłem czoło. Przypomniałem sobie, że kiedyś mój znajomy odpadł na rozmowie kwalifikacyjnej z jednego jedyne go powodu. Strasznie się pocił, odpowiadając na pytania. Ale przecież ja już miałem za sobą rozmowę kwalifikacyjną. Prawda?

– Jesteś, Alku...

Mentor pojawił się przy stole bezszelestnie niczym duch.

Podniosłem się z krzesła i uścisnąłem wyciągniętą dłoń. Starszy mężczyzna usiadł naprzeciw, zakładając nogę na nogę. Na stole położył tekturową teczkę.

– Pozwolisz, że zapalę?

– Oczywiście.

W dłoni Mentora pojawiły się papieros i zapalniczka. Tania, plastikowa, fosforyzująca zielenią. Zupełnie do niego nie pasowała.

– Lubię to miejsce. – Wypuścił kłęb dymu i nachylił się w moją stronę. – Czasem przychodzę tu tylko po to, żeby zapalić i pomyśleć.

Nie odezwałem się, zresztą szef chyba tego nie oczekiwał.

– Masz swoje ulubione miejsca, Alku?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Nerwowo szukałem w głowie jakiejś odpowiedzi. Nie znalazłem.

– To przychodzi z czasem. Gdy wiemy, kim jesteśmy i co chcemy robić w życiu. Twój czas się zbliża. Najpierw jednak musisz dowiedzieć się, kim jesteś.

– Wiem, kim jestem i czego chcę – powiedziałem to spokojnie. Wytrzymałem uważne spojrzenie Mentora. Podczas tych kilku sekund miałem szansę lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Starannie ułożonym siwym włosom, bliźnie na wardze i szarym oczom ukrytym za złotymi oprawkami.

– O tym, kim jesteśmy, nie świadczy tylko nasze życie, ale i życie osób z nami związanych... Nie wiesz wszystkiego, Alku.

– O czym pan mówi?

Spojrzał na mnie, jakbym zaburzył rytuał rozmowy.

– Najpierw musisz dowiedzieć się prawdy o naszej firmie. O tym, co robimy, czym się zajmujemy. Odpowiedzi przyjdą same.

Nie przerywałem, czekałem, aż sam wszystko wyjaśni.

– Obserwowałem cię długo. – Mentor rzeczywiście podjął wątek. – Musiałem być pewny, że się nadajesz.

Zaczerwieniłem się. A przecież jeszcze niedawno zastanawiałem się, czy nie odstawili mnie na boczny tor. Wydawało mi się nawet, że Mentor pożałował chwili słabości i tego, że wyciągnął do mnie pomocną dłoń. Papierkowa robota, każdego dnia taka sama. I rzeczywiście to wystarczyło, by zdecydować, że się nadaję?

– Przechodzisz do kolejnego etapu. Oficjalnie potwierdzam nadanie ci pierwszego stopnia. Od ciebie zależy, czy pójdziesz dalej.

– Chcę... chcę iść dalej – oznajmiłem. Choć miałem wrażenie, że słowa wypowiedziałem z jakimś dziecinnym przejęciem. Skoro jednak Mentor potrzebował potwierdzenia, to proszę bardzo.

– Wyjedziesz do jednej z naszych placówek, czeka cię szkolenie, a potem pierwsze zadanie. Jestem pewny, że podołasz.

– Podołam. – Ogarnął mnie niepokój. Znowu huśtawka nastrojów. Z euforii zjazd w kierunku tablicy z napisem „Uwaga, przepaść!”. Zastanawiałem się nad celem tej rozmowy. Po co szef umawiał się z szeregowym pracownikiem w restauracji? Żeby mu powiedzieć, że się nadaje do pracy i czeka go wspaniała kariera? Podświadomie czułem, że musiało być coś jeszcze.

Mentor zaciągnął się dymem papierosa. Zauważyłem na jego palcu sygnet z symbolem krzyża zakończonym dziwnymi grzebieniami. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi.

– Mam wrażenie, że coś jeszcze chce mi pan powiedzieć? – zapytałem, przerywając chwilę niezręcznej ciszy.

Mentor skinął głową z namysłem, chciałem wierzyć, że w podziwie dla mojej przenikliwości. Wydawało się, że przez chwilę myślami był daleko stąd.

– Napijemy się może najpierw czegoś – zaproponował.

– Poprosiłem już o wodę. Mogę zamówić coś dla pana.

Szef zmarszczył brwi. Spojrzał w stronę kotary, która oddzielała nas od głównego pomieszczenia restauracji.

– Zawsze cenilem wysoko obsługę tego lokalu. Dziwne, że nikt się jeszcze o nas nie zatroszczył.

– Może nie chcieli przeszkadzać. Podejdę, zapytam. – Podniosłem się z krzesła. Mentor chyba chciał zaprotestować, ale machnął ręką.

– Idź. Bądź tak uprzejmy i powiedz, że chcę to, co zawsze.

– Tak jest.

Zabrzmiało trochę po wojskowemu, ale szef na szczęście nie zwrócił na to uwagi.

Atmosfera zgęstniała, a ta rozmowa mnie przytłoczyła. Zrobiło mi się duszno, więc nie miałem nic przeciw, żeby choć na chwilę opuścić salkę i przewietrzyć głowę. Wierzyłem, że Mentor nie odbierze tego jako ucieczki.

Gdy opuszczałem za sobą kotarę, spojrzałem na niego. Był zamyślony i wydawał się czymś zaniepokojony. Być może on też potrzebował chwili do namysłu.

Przeszedłem w głąb restauracji. Było pusto, przy stołach nie siedział żaden klient. Odruchowo spojrzałem na zegarek. Czyżby do dyspozycji Mentora oddano cały lokal? Z drugiej strony nie było czemu się dziwić. Szef wyglądał na takiego, który wiele może.

Przy barze także nikogo nie było. Niemożliwe, żeby nagle wszyscy kelnerzy dostali wolne. I gdzie był ten, wydawałoby się, uprzejmy menedżer?

– Halo? – zawołałem niepewnie, zaglądając do kolejnych pomieszczeń.

Odpowiedziała mi cisza. Moje słowa wydawały się głuche, jakby wysrane z energii przez grube mury piwnicy.

– Jest tu ktoś? HALO?

Zawołałem głośniejszym głosem, zdecydowanie. Ta sytuacja przestała mnie śmieszyć, a zaczęła irytować.

– Czy ktoś może tu podejść, do licha ciężkiego?

Byli niepoważni. Zapomnieli o swoich klientach?

Przeszył mnie chłód. Znów to nieprzyjemne uczucie. Dołączyło do niego dziwne wrażenie, że jestem obserwowany. Ukłucie z tyłu głowy, mrowienie na karku. Obróciłem się i spojrzałem za siebie. Oczywiście nikogo nie było.

Ta myśl przyszła nagle i zupełnie mnie sparaliżowała. Wyobraziłem sobie rzeczy, które zmroziły mi krew w żyłach. Zabrało mi chwilę zwalczenie tej dziwnej niemocy. W końcu wziąłem się w garść i pobiegłem w stronę salki.

Jeszcze nie zdążyłem dobrze odsunąć kotary, a już wyczułem, że coś jest nie tak. Ślady, brunatne odciski na materiale. Dotknąłem ich opuszkami palców. Popatrzyłem na dłoń, nic nie rozumiejąc. Czerwone rozmazane smugi, obrzydliwie lepka substancja. Krew.

Moje ruchy stały się powolne, jakbym nagle znalazł się w zupełnie innym wymiarze. Odsunąłem wreszcie kotarę i wszedłem do pomieszczenia.

Salka była pusta. Jedynie zapach papierosów i wypełniona popiołem popielniczka świadczyły o tym, że ktoś tu wcześniej był. Stanąłem przy stole zdezorientowany. Może Mentor wyszedł do toalety? To przecież było możliwe... Mogliśmy się minąć. Skąd jednak ta krew na kotarze?

Musiałem głębiej odetchnąć. Dławiło mnie coś w gardle. Czułem się nieswojo. Czyżby Mentor skaleczył się i...

Coś kapnęło na mój nos. Otarłem go wierzchem dłoni, a potem zamarłem. Znów krew.

Uniosłem powoli głowę i ze zduszonym krzykiem opadłem na podłogę.

Mentor wisiał u sufitu, rozciągnięty na łukowym sklepieniu. Jego głowa była odchylona, wygięta pod niemożliwym kątem, zdawałoby się, że oddzielona od korpusu.

Nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Szkliste oczy Mentora wpatrzono w stół, na twarzy wyraz zdumienia. Jakby właśnie zobaczył coś równie niewiarygodnego jak ja.

Wstałem jak automat i potykając się, sięgnąłem po krzesło. Wspiąłem się na nie z trudem, by dotrzeć do szyi szefa. Nie mogłem się spodziewać niczego innego: brak pulsu.

Nie byłem w stanie wezwać pomocy. Twarz Mentora była kredowobiała, oczy, choć otwarte, zapadały się, jakby coś wsysało je do środka.

Zsunąłem się z krzesła i opadłem na kolana. Mój umysł nie był w stanie racjonalnie myśleć, zdawało mi się, że balansuję na granicy obłądu.

Więcej krwi nie było, tylko ta jedna kropla, która spadła na mój nos. Dokładnie widziałem na szyi Mentora dwa wgłębienia, sine, niemal fioletowe. Kolejne na odsłoniętych nadgarstkach i łydkach.

Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę jego twarzy. Miał rozchylone usta, jakby chciał coś powiedzieć. Oczy wpatrzone w jeden punkt...

Obróciłem głowę w tym kierunku. Z pozycji, w której się znalazłem, dostrzegłem wyraźnie teczkę opartą o jedną z masywnych nóg stołu. Była przysłonięta obrusem, ukryta przed tym lub przed tymi, którzy zbezczeszcili ciało Mentora.

Na kolanach podczołgałem się do mebla. Walczyłem z mdłościami i ogarniającym mnie szaleństwem. Teczka była na tyle cienka, że ukryłem ją za plecami, wsunąłem w spodnie i zasłoniłem marynarką. To był odruch, któremu nie mogłem się oprzeć.

Kilka minut po moim telefonie wpadło do restauracji kilkunastu ludzi z naszego biura. Wśród nich zobaczyłem paru specjalsów – nie wiedziałem, że jest u nas taka formacja. Zabezpieczyli teren, mnie przeciągnęli do innego pomieszczenia, nawet nie próbowałem się sprzeciwić. Zanim kotara oddzieliła mnie od salki, zobaczyłem, jak kilku ludzi wchodzi na krzesła, próbując ściągnąć Mentora z sufitu.

Chwilę później siedziałem w fotelu z twarzą schowaną w dłoniach. Staralem się poskładać myśli, zrozumieć cokolwiek z tego, co się tutaj wydarzyło. Nie byłem w stanie. Gdyby ktoś oznajmił mi, że postradałem rozum, przyjąłbym to z ulgą. Dałbym się zapiąć w kaftan bezpieczeństwa i wywieźć do jakiegoś ośrodka na długą terapię. Chociaż miałem niejasne przeczucie, że ta ostatnia okoliczność i tak mnie nie minie.

– Bielski!

Poznałem ten głos. Kierownik Bayer. Wcześniej drażniło go to, że byłem pod opieką Mentora, teraz na mój widok wpadł w furję. Lepiej byłoby dla mnie, żebym zgodnie z jego oczekiwaniami siedział z mordą w kubeł przy biurku uginającym się pod stertą analiz.

– Bielski! Obudź się, do jasnej cholery!

– Nie śpię. – Popatrzyłem na niego, nie siląc się na uprzejmy ton głosu. W tej sytuacji nie zależało mi już na niczym.

– Co tutaj robiłeś?!

Niebieska żyłka pulsowała mu na skroni. Nim także wstrząsnęła śmierć Mentora.

– Szef... – Walczyłem przez chwilę ze sobą. Obrazy zaatakowały mnie ze zdwojoną siłą. Znów przed oczami miałem jego martwą twarz. – Szef kazał mi tu przyjść na spotkanie. Potwierdzi to asystentka...

– Nie wątpię. – Bayer nagle się uspokoił. Teraz miałem wrażenie, że moja wcześniejsza ocena była błędna. Ten facet wcale nie był wzburzony śmiercią Mentora, to raczej ja tak na niego działałem. – O czym rozmawialiście?

– Nie zdążyliśmy... Ja wyszedłem po zamówienie. – Zdałem sobie sprawę, że się tłumaczę, zupełnie jakbym był winny. Większość ludzi, nawet występując w charakterze świadka, plecie trzy po trzy, żeby tylko nie spłynął na nich cień podejrzenia.

– Po zamówienie? – Bayer patrzył na mnie z odrazą. Tak to odbierałem. Rozszerzone nozdrza, dziwny błysk w oczach. Ubierał się na czarno. Prawie zawsze. Nie miał przyjemnej natury.

– Tak, po zamówienie. Nikogo jednak nie było. Ani kelnerów, ani tego wysokiego menedżera.

– Menedżera? – powtórzył niby bezwiednie Bayer.

– Dokładnie. – Skinąłem głową. – Czekał na mnie przed wejściem, przyprowadził do tej salki...

– Gadasz bzdury, Bielski. Sprawdziliśmy, menedżer miał dzisiaj wolne.

Jeśli to w ogóle możliwe, zbladłem jeszcze bardziej. Nie byłem w stanie wypowiedzieć nawet słowa. Patrzyłem na Bayera, ale w jego oczach widziałem jedynie pogardę.

Ten, który wprowadził mnie do restauracji, musiał być mordercą albo jednym z nich. Nic nie zauważyłem. Nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Ani jego zachowanie, ani pusty lokal. Gdybym się domyślił...

– Co mam z tobą zrobić, Alku? – Te słowa zabrzmiały tak nienaturalnie w ustach Bayera, że aż uniosłem brwi w zdziwieniu. Po raz pierwszy odezwał się do mnie po imieniu, postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że ze współczuciem. Taka nagła zmiana frontu była wręcz absurdalna.

– Kto to zrobił? – zapytałem, nie mając zamiaru przyjąć warunków jego dziwnej gry. – Kto lub co?

Skrzywił się, nie odwrócił jednak wzroku.

– Nie powinno cię to interesować – powiedział. – Dałeś dzisiaj dowód swojej ignorancji i indolencji. Od teraz jesteś na urlopie, Bielski. Wydaje mi się, że powinieneś przemyśleć, co dalej ze sobą zrobić. W Agencji nie ma dla ciebie miejsca. Z tym chyba obaj się zgodzimy?

Zawiesił głos, a ja się nie odezwałem. Teczka schowana z tyłu, za paskiem od spodni, paliła żywym ogniem. Przypominała o sobie niczym wyrzut sumienia. Jeszcze przed chwilą chciałem ją oddać Bayerowi, jednak teraz nie zrobiłbym tego za żadne skarby, mimo że pewnie powinienem.

– Pamiętaj, że obowiązuje cię tajemnica służbowa. Dla własnego dobra zapomnij o tym, czego dzisiaj byłeś świadkiem.

Łatwo mówić. Wiele bym dał, żeby ten obraz został wymazany z mojej pamięci.

– Nie może mnie pan zwolnić. Chcę...

– Czego ty możesz chcieć? – Bayer krzyknął i nachylił się w moją stronę, jakby zamierzał mnie uderzyć. – Lepiej się zamknij i ciesz, że nie skończyło się to dla ciebie gorzej. Teraz ja jestem szefem Agencji i mówię, że nie widzę sensu dalszej współpracy z tobą! Czy to rozumiałeś?

– Zrozumiałem. – Popatrzyłem na niego pokornie. Zdałem sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli Bayer wyrzuci mnie stąd na zbity pysk i straci zainteresowanie moją osobą. Nie chciałem, żeby przyszło mu do głowy mnie przeszukać.

– Wynoś się, Bielski. Nie chcę cię więcej widzieć na oczy. Jeśli wejdiesz mi kiedyś w drogę...

Nie wiedziałem, skąd w nim ta nienawiść. Śmierć Mentora przytłoczyła mnie tak mocno, że groźby nowego szefa Agencji były czymś zupełnie niezrozumiałym. Podniosłem się z krzesła, wolno, jakbym nie do końca panował nad ciałem.

– Czy mogę już iść? – zapytałem.

Bayer wykonał jedynie pogardliwy ruch dłonią.

Przeszedłem do głównego pomieszczenia restauracji, nie oglądając się za siebie.

Kilkunastu ludzi uwijało się tutaj jak w ukropie. Badali teren, zdejmowali odciski palców, pobierali próbki. Mentora musieli już zabrać. Miałem przynajmniej taką nadzieję.

Wyszedłem z Dekerta niezatrzymywany. Kilku ochroniarzy z naszej Agencji stało przed

głównym wejściem. Jeden z nich zmierzył mnie wzrokiem. Przesunął przede mną dziwny owalny przedmiot i usunął się z drogi.

Głowę rozsadzały mi myśli. Napierały na siebie, niszczyły mnie od wewnątrz. Obrazy, słowa.

Nogi same wybrały drogę. W stronę Kamiennych Schodków, a potem w dół, ulicą Brzozową. Patrzyłem na kamienice, zastanawiając się, ile jeszcze kryją tajemnic. Gdy wreszcie ochłonąłem, pytania przyszły same. Gdzie była policja? Wyszedłem z restauracji. Wokół niej, jak i w środku, byli tylko ludzie z naszej Agencji.

Bayer tak po prostu się mnie pozbył. Powiedział, że mam mu zejść z oczu. Nikt nie nalegał na przesłuchanie?

Poczułem dreszcze. Znów dało o sobie znać to nieznośne mrowienie na karku. Niezrozumiałe uczucie zagrożenia. Włosy na głowie mimowolnie stanęły mi dęba. Obróciłem się. Daleko za mną szła dziewczyna z chłopakiem pod rękę. Kilku turystów. Starsza kobieta ze zniszczoną walizką na kółkach...

Otarłem pot z czoła. Bayer nie wyglądał na przejętego śmiercią Mentora. Był jedynie zły i zaskoczony, że się tam znalazłem. Jakby nie do końca wiedział, jak ma ze mną postąpić.

I w końcu Mentor. Jego śmierć, sposób, w jaki został zamordowany. To wyglądało na jakieś rytualne zabójstwo. Zupełnie jak w mrocznych kryminałach albo horrorach. Nie było mnie przy Mentorze zaledwie kilka minut. W tak krótkim czasie zdążyli go przybić do sufitu, upuścić krew z jego żył... I to bez najmniejszego szmeru.

Więcej pytań niż odpowiedzi. Nikt nie zainteresował się wyglądem menedżera, a przecież go widziałem, potrafiłbym rozpoznać. Nie zapytali mnie o żadne szczegóły, po prostu szybko chcieli się... pozbyć.

Zatrzymałem się na przystanku. Doszedłem tutaj bezwiednie. Właśnie nadszedła tramwaj. Ta linia podjeżdżała pod moją kawalerkę. Wsiadłem i zająłem miejsce. Za bardzo trzęsły mi się nogi, żebym mógł stać choćby chwilę dłużej. Za szybko dojrzałem biegnącego chodnikiem czarnego psa.



Misza otworzył oczy. Szara poświata na suficie, wyglądało na to, że jest jeszcze środek nocy. Próbował się obrócić na bok, ale leżał na czymś twardym, od czego bolały go żebra.

Dopiero teraz z przerażeniem stwierdził, że coś jest nie tak. Wstrzymał oddech. Przez chwilę wydawało mu się, że leży we własnym łóżku. Tak jednak nie było. Szary odrapany sufit z wielkimi ciemnymi plamami. Wąskie duszne pomieszczenie przyprawiające o klaustrofobię. Z boku rozchwiany mebel z tonącymi w mroku słojami i czymś, co wyglądało na zasuszone zioła.

Miszę zakręciło w nosie od mieszaniny ostrych i mdłych zapachów. Zdusił kichnięcie, aż zabolalo go głęboko w klatce piersiowej. Nie chciał jednak, by ktokolwiek usłyszał, że się obudził. Miał wrażenie, że ktoś czai się tuż obok, być może za drzwiami, i czeka tylko, aż Asieniewicz odzyska przytomność.

Próbował chłodno ocenić sytuację. Nie był związany, jednak zamknięto go w jakimś pomieszczeniu. Jak się tu znalazł?

Strzępki obrazów dotarły do jego świadomości. Zapomniał o swoich wcześniejszych

obawach i sapnął głośno, próbując usiąść. Czy to wszystko mu się śniło? To, co przydarzyło się w metrze. Wyrostki, które go napadły, próbowały... No właśnie. Czy oni chcieli go zabić? W dodatku ten powietrzny wir, to, że byli niewidzialni. Przecież to musiał być sen!

Cisza wokół Asieniewicza była przytłaczająca. Na pewno otaczały go grube mury. Co się wydarzyło tuż przed tym, jak stracił przytomność? Wydawało się, że ktoś szarpie go za ramię i wtedy... przeniknął przez ścianę?

Teraz Misza usłyszał w tej ciszy szybkie, głębokie dudnienie. Wyteżył zmysły, próbując zrozumieć, co to za dźwięk. Przypominał uderzenia w bębny, gdzieś daleko pod ziemią.

– Boże, dopomóż... – jęknął. Zdał sobie sprawę, że to dudnienie jest sprawką jego serca. Biło w piersiach jak oszalałe.

– Ten Bóg, o którym mówisz, nie ma z tym wiele wspólnego.

Misza niemal spadł ze stołu, na którym leżał. Z cienia wyłoniła się wysoka, chuda postać. Trupio blada twarz z gorejącymi oczami. Przeniknęła przez ścianę czy stała cały czas w cieniu, obserwując Asieniewicza?

– Nie bój się... Nie po to ratowałem życie, by je odbierać.

Misza drżał na całym ciele. Nie potrafił zebrać myśli i się odezwać.

– Kim jesteś? – zapytał mężczyzna mocnym, dźwięcznym głosem.

– Asieniewicz, Misza... Jestem funkcjonariuszem milicji... Ja...

– Kim byli ci, którzy cię zaatakowali?

– Ja... Nie wiem. Wyrostki... Tylko że...

– Tylko że niezwykajne? – Mężczyzna zaśmiał się cicho.

Misza przypatrzył mu się uważnie. Facet był krępej budowy, ubrany na czarno, w spodnie i koszulę z bufiastymi rękawami. W pomieszczeniu zrobiło się na tyle jasno, że Asieniewicz dostrzegł duży medalion zwisający na łańcuszku i głęboką pooparzeniową bliznę na kości policzkowej.

– Nie zdążyłem zobaczyć, kim byli. – Nieznajomy przesunął dłonią po czole, odgarniając długi kosmyk włosów. – Zapamiętałeś jakiś szczegół, który pomógłby mi ich rozpoznać?

– Młodzi... – Misza doszedł nieco do siebie. Sprawiał to być może ton głosu mężczyzny. Jego słowa działały uspokajająco. – Może kilkanaście lat mieli...

– Ja nie o tym.

– Niewidzialni. – Misza zawahał się, ale w końcu ten facet był jedynym dowodem na to, że nie zwariował. – Rozpłynęli się w powietrzu, przynajmniej na chwilę. Potem rozpetali tę burzę.

– No tak, burzę. To widziałem. – Mężczyzna cmoknął głośno. – A mówili coś?

– Jeden z nich. – Asieniewicz przypomniał sobie wreszcie szczegół, który miał znaczenie. Lata służby robiły swoje. Był milicjantem i szkolenie wzięło górę. – Prosił o pomoc... Godę. Tak, właśnie tak powiedział.

– Płanetnik. – Nieznajomy zamyślił się. Niesforny kosmyk znów opadł mu na czoło. – Goda to jego siostra. Ale czego mógł od ciebie chcieć?

– Płanetnik? – zapytał Misza, marszcząc brwi. – To nazwisko?

– Chmurnik, pogodnik, po prostu demon!

Asieniewicz chciał coś powiedzieć, ale gdy dotarł do niego sens tych słów, zamilkł.

– Ryzykował takim atakiem... – Mężczyzna mówił teraz niby do siebie, niby do Miszy. – Zwykłych śmiertelników nie ruszają. Nie w tak jawny sposób. Chyba że...

Asieniewicz poczuł na sobie uważny wzrok. Zrobiło mu się nieswojo. Chciał stąd jak najszybciej wyjść. Zaduch suszonych ziół stawał się nie do zniesienia. Kręciło mu się od niego w głowie. Reakcje wydawały się opóźnione.

– Mówiłeś, że rozpląnęli się w powietrzu... na chwilę. Co miałeś na myśli?
– Bo... – Głos Miszy dochodził jakby z daleka. Przynajmniej Asieniewicz takie odnosił wrażenie. Półmrok, który go otaczał, wysysał z niego wszystkie siły. – Bo ja ich zobaczyłem. Najpierw jako cienie, a potem całkiem wyraźnie.

– Może zrzucili zaklęcie... – Nieznajomy zawahał się. – Chcieli cię jednak zabić. Wystraszyli się czegoś.

– Nie wiem. – Misza wzruszył ramionami. Był zmęczony, ta rozmowa w katakumbach była całkowicie surrealistyczna. – Skąd mam wiedzieć?

– Dowiemy się tego, chłopcze, dowiemy...

Asieniewicz próbował coś wyczytać z twarzy ukrytej w cieniu. Nie wiedział, jak interpretować te słowa. Brzmiały jak groźba czy obietnica pomocy?

– Chodź ze mną. Widać, zapominam o dobrych manierach. Witam cię w moim królestwie! Przez jakiś czas to będzie także twój dom. Niczego tutaj nie ruszaj i słuchaj wszystkiego, co do ciebie mówię!

Misza nie zdążył zareagować. Mężczyzna znów chwycił go za ramię i pociągnął za sobą niczym piórko. Nie zawracał sobie głowy otwieraniem drzwi, przeniknął przez ścianę wraz ze swoim niemrawo protestującym gościem.

Pozbawiony podpory Asieniewicz upadł na kolana. Przejście przez betonową przeszkodę odczuł jak mocne uderzenie, jakby wyrócono mu bebechy do góry nogami.

– Ożeż...

– Tylko bez przekleństw – ostrzegł ze śmiechem mężczyzna. – To przynosi nieszczęście. Licha lepiej nie kusić.

– Jak to możliwe? – Wciąż roztrzęsiony Misza z trudem wstał z kolan.

– A kto powiedział, że to niemożliwe? Próbowalesz sam?

Asieniewicz przyjrzał się chudej postaci. Wąska twarz wciąż wydawała się pozostawać w cieniu, to wrażenie powodowały strzępy brody okalającej policzki. Dokładniej kępy, a do tego krzaczaste brwi i bokobrody. W niektórych miejscach pozostawały łyse polany: wokół ust i na szyi, jakby zarost rósł nierównomiernie. Uwagę przykuwały jednak oczy. Teraz jeszcze bardziej rozognione, wydawałoby się oczy szaleńca.

– Kto tu tak naprawdę jest szalony? – wyszeptał bezdźwięcznie Misza.

– Pewnie ty. – Gospodarz zaśmiał się. Usłyszał, a może wyczytał słowa z ruchu warg.

Wyszczерzył zęby. Nawet z daleka były olśniewająco białe.

– Myślisz też słyszysz? – zapytał Asieniewicz sarkastycznie.

– Takich zdolności nie mam – powiedział mężczyzna z wyraźnym żalem. – Acz przyznam, wiele spraw by mi to ułatwiło.

Asieniewicz uśmiechnął się, akurat z tym zgadzał się w zupełności.

– Usiądź. Na pewno głodny jesteś, a może i towarzysza do napitku od losu dostałem?

Misza dopiero teraz zwrócił uwagę na pomieszczenie, w którym się znalazł. Jarzeniówki u stropu rzucały zimne, białe światło na ściany i sprzęty. Kilka mrugało ledwie zauważalnie, co na dłuższą metę mogło przyprawić o ból głowy. Ogromny żelazny regał zajmował długą ścianę po lewej. Półki wypełnione były książkami, starymi, w skórzanych oprawkach. Naprzeciw umiejscowiona została długa ława, na niej rozłożono butle, szklane rurki i próbki. Miejsce przypominało pomieszczenie alchemika amatora albo domorosłego terrorysty.

– Rozejrzałeś się? – Mężczyzna mrugnął porozumiewawczo. – To siadaj, jak proszą.

Solidny stół zajmował środek pomieszczenia. Wokół kilka krzeseł, każde z innej parafii. Misza wybrał to, które powinno było utrzymać jego ciężar.

– Pijesz? – zapytał gospodarz. Nie czekając nawet na odpowiedź, nalał do dwóch niezbyt czystych szklaneczek przezroczystego płynu.

– Teraz się napiję... – Asieniewicz uznał, że wódka mu nie zaszkodzi, a może dzięki niej nabierze do wszystkiego większego dystansu. W armii dawali ją żołnierzom przed atakiem, żeby strachy pozostawić w okopach. Jakoś musiało to pomagać.

– Zdrowie twoje, coby pogoda ci wrogiem nie była.

– Dziękuję za pomoc.

– Pij. – Gospodarz za jednym zamachem wlał w siebie całą zawartość szklanicy.

Asieniewicz zawahał się, ale tylko na ułamek sekundy. Podniósł szklankę do ust.

Z rozwagą nie wciągał nosem powietrza, żeby nie czuć zapachu, którego nie lubił, i wlał wódkę w gardło.

Przygotował się na palenie w przełyku i ogień rozpełzający się w żołądku. Nic takiego się nie zdarzyło. Z wrażenia niemal się zakrztusił. To był bimber, o dziwo tak gładki jak aksamit.

Owszem, po przełknięciu ciepło rozeszło się po całym ciele, ale było błogie i odprężające.

Uwalniało od trosk i cierpienia.

– Wyczuleś jagodę? He? – Siedzący naprzeciw Asieniewiczowi mężczyzna zadowolony był z reakcji gościa. Stuknął szklanką o stół i rozsiadł się wygodniej.

– Jagodę? – Misza mlasnął. Rzeczywiście rozpoznał posmak leśnych owoców, bardzo przyjemny, stonowany. – Pierwsza klasa.

– Ma się rozumieć. – Gospodarz wskazał ruchem głowy ławę z butlami. – Nawet polskiej wódki tyle razy nie destylują, ile ja swoją.

Szklaneczki znów zostały napełnione przedziwnym sposobem. Misza posłusznie wypił kolejną porcję. Rozluźnił się. Zrobiło mu się ciepło i w ciele, i na duszy. Przez chwilę miał wrażenie, że spotkał dawno niewidzianego znajomego i teraz poznają się na nowo. Tak zwyczajnie, jak to ludzie czasem robią w zimowe szare wieczory, gdy wydaje się, że tylko rozmowa pomaga na wewnętrzne smutki.

– Imię masz jakieś? – Gospodarz oparł się ciężko na stole. – Chyba mówiłeś...

– Misza Asieniewicz. – Alkohol zaczynał działać. Był diabelnie mocny. Bomba z opóźnionym zapłonem.

– Misza... – powtórzył cicho mężczyzna i skinął głową, jakby zaaprobował imię swojego gościa. – Mnie możesz mówić Romek.

– Romek. – Asieniewicz skinął w podobny sposób. Gdyby wszystko w życiu było tak łatwe jak w tej chwili. Wzajemna akceptacja i ciekawość. Może w trochę niecodziennych okolicznościach, ale trzeba brać od życia to, co daje.

– Twardy jesteś. – Romek wyszczerzył zęby.

Asieniewicz popatrzył z podziwem na kły, których nie powstydzilby się żaden wilk. Albo nie mogło go nic już zdziwić, albo trunek działał jako znieczulacz na wszystko.

– A co to za jagody? – zapytał.

– Wilcze... a jakie? – Gospodarz wydawał się zdziwiony, że musi udzielać podobnych odpowiedzi.

– Otruć mnie chcesz? – Asieniewicz zatrzęsł się ze śmiechu, nie mógł się opanować.

– Nic ci nie będzie. – Romek także się zaśmiał i znów napełnił szklanki. – Pogadać musimy, tak wszystko lepiej przyjmiesz, a i ja cię lepiej poznam.

– Twoje zdrowie, Romku, lub kimkolwiek jesteś.

– A dziękuję. – Mężczyzna skłonił głowę z powagą. – Romek to skrót od Romulus... Świętej pamięci mamusia mnie tak nazwała. Prawdziwa wilczyca. Nie znajdziesz już dzisiaj takich.

– Aha. – Misza przełknął ślinę. Jakoś ten toast nie chciał mu przejść przez gardło. Chwilę później jednak się przełamał.

– Gryźć cię nie będę. – Romek poklepał się po kolanie, jakby opowiedział dobry kawał. – Do pełni jeszcze kawałek. Załatwiam to w bardziej cywilizowany sposób. Gdybyś trafił na wampira... to co innego.

– Dobra. – Asieniewicz znów się zaśmiał. – Ja już sobie pójdę. Na dzisiaj to za wiele. Próbował nawet wstać, ale się zatoczył, wsparł o stół i opadł znów na krzesło.

– Sam stąd nie wyjdiesz.

Cisza była znacząca. Wilkołak przestał się nawet uśmiechać.

– Jestem więźniem? – zapytał Misza ostrożnie.

– Skądże znowu. – Romek uniósł dłonie w uspokajającym geście. – Nie puszczę cię dla twojego dobra. Tutaj jesteś bezpieczny... Tam nie za bardzo.

– Nie rozumiem. Myślisz, że ten... pogodnik czy jak mu tam będzie na mnie polował?

– On raczej nie. Wydaje mi się, że zaatakował cię, działając w samoobronie. Dokładniej, wydawało mu się, że działa w samoobronie. Widzisz, na niego polują wilkołaki, wiły, strzygi. Chłopak nerwowy się zrobił.

– Ale przecież ja nie jestem ani wilkołakiem, ani... – Misza mówił z wylewającym się z wnętrza żalem. Sam sięgnął po butelkę i napenił szklanki. – Ani wilą...

– Wiłem – poprawił ze współczuciem Romek. – Widzisz, on nie był w stanie do końca zinterpretować zagrożenia. Nie potrafił sprecyzować, czy mu zaszkodzi.

– Sprecyzować? Jestem milicjantem! Mogłem go najwyżej aresztować. Chociaż... – Asieniewicz czknął potężnie. – Chociaż i tak nie byłem na służbie.

– Milicjantem to on by sobie głowy nie zawracał, kochany. – Gospodarz nachylił się w stronę Miszy i zakrył dłonią jego kieliszek. – Zjeść coś musisz. Padniesz zaraz.

– Nie jestem głodny. Pić chcę! – Asieniewicz nie panował nad swoim głosem. Próbował odtrącić rękę wilkołaka, ale nie był w stanie jej ruszyć.

– Jeszcze pić będziemy.

Romek zabrał szklanki i butelkę. Poszedł w stronę wnęki, która służyła tutaj za kuchnię. Chwilę pokrzątał się przy lodówce i wyciągnął z niej kawał mięsa.

– Krwisty czy wysmażony? – zarechotał chrapliwie, nie patrząc nawet na Asieniewicza.

– Wysmażony. – Misza schował twarz w dłoniach. Oparł łokcie na blacie, bo świat zawirował w szaleńczym pędzie. Ale łokcie jakoś dziwnie się rozjeżdżały. – Dokąd wy się wszyscy śpieszycie – wyszeptał.

– Świat się kręci... Ludzie wraz z nim. – Romek bezszelestnie pojawił się przy stole.

W pomieszczeniu zapachniało smażonym mięsem i cebulą.

– Dlaczego mnie zaatakował? – Asieniewicz uniósł głowę i spróbował skupić wzrok na mężczyźnie.

– Wystraszyli się ciebie, bo nie wiedzieli, kim jesteś.

– Człowiekiem! Każdego nieznajomego się boją? – wykrzyczał Misza. Uderzył dłonią w stół, aż huknęło.

– Każdego nie. Kim jesteś, to ja do końca też nie wiem. Ale wiem jedno, na pewno nie jesteś... zwykłym człowiekiem.



Wycieranie pólek nie jest takie złe. Czynność, przy której można pomyśleć, wyłączyć się, nie będąc posądzonym o nieróbstwo i bujanie w obłokach. Ksenia lubiła swoje myśli. Czasem były leniwe, obracały się wokół zwykłych ludzkich tematów. A to zakupów na obiad, rachunków, które trzeba popłacić, wizyty w księgarni. Ksenia myślała właśnie o książce, którą bardzo chciała kupić. Nowa powieść Walerija Karyszewa. Autora, który pisał o czymś więcej niż tylko o dzisiejszej Rosji. Pisał o ludziach, brudach, które zamiatamy codziennie pod dywan, naszych słabościach i brutalności. Dzisiejsza Moskwa przerażała Ksenię. Ile zła mogło napiętrzyć się w ludziach. Strach było przejść przez własną klatkę schodową w nocy, a i strach czasem wezwać na pomoc milicję.

Gdyby Ksenia mogła coś zmienić... Gdyby jeden dobry czyn potrafił mnożyć kolejne, tak jak zły czyn potrafi się rozplenić niczym chwasty w życiu wielu ludzi.

– Ksenia, niemodne to... Zeszły sezon.

Dziewczyna odwróciła się zaskoczona. Dwie kobiety rozmawiały ze sobą. Jedna z nich musiała być jej imienniczką. Spojrzały na Ksenię, ale zupełnie się nie spieszyły. Drogie płaszcze, drogie torebki i znów te ciemne okulary.

– Patrz na te kozaczki... Oczu nie mają? Przecież tego nikt nie założy!

Piszczący śmiech. Tysiące, ba, dziesiątki tysięcy dolarów na kartach kredytowych.

Kieszonkowe od męża na całodzienne przyjemności. Dziewczyna uśmiechnęła się i wróciła do przerwane zajęcia.

Kobiety jeszcze chwilę stały, Ksenia jednak przestała o nich myśleć.

– Nie zapytałaś nawet, czego chcą?

Walerik, właściciel butiku. Rzadko przychodził do pracy, bo interesu pilnowała jego żona. Otworzył w Moskwie kilka takich sklepów. Podobno zaczynał na pchlim targu izmajłowskim. Radził sobie całkiem nieźle, a najbardziej dumny był ze swojego nowego BMW X6.

– Nie chciały nic. Przyszły popatrzeć.

Walerik pokręcił głową. Był Azerem, całkiem miłym, choć pieniądze często uderzały mu do głowy. Interes zapisany był na żonę, Rosjankę, inaczej Walerik miałby problemy z otwarciem butiku w centrum handlowym Wiwa.

– Ksenia, ty musisz się nauczyć handlu. Ja tobie dałem szansę, bo widzę, że uczciwa jesteś i po studiach...

– Wciąż studiuje.

– O, wciąż studiujesz. Ale na tych twoich studiach to ty nigdy się tyle nie nauczysz, co w życiu.

– Staram się. Choć kiedy patrzę na życie, nauka wydaje mi się trudna.

Walerik zasepił się, spojrzał na nią jakoś dziwnie.

– Masz jakieś problemy? – zapytał. – Ktoś ci grozi? Może przyplątał się jakiś durak i sobie z nim rady nie możesz dać? Powiedz tylko, znam kilku chłopaków, co go nauczą.

– Nie. – Ksenia uśmiechnęła się. – Wszystko w porządku.

Była pewna, że Walerik w dobrej wierze zaproponowałby jej usługi kilku Ormian, twardych i zahartowanych zabijaków. Azerowie i Ormianie. Cokolwiek by się działo na świecie, nawet w obliczu konfliktów w Karabach, te dwa narody robiły w Moskwie razem interesy.

– To sprzedawaj, sprzedawaj, Ksenia. Niech w naszych butikach cała Moskwa chodzi. Te wszystkie damule, żony prominentów, towarzyszkę bezpieki.

– Trzeba pomyśleć o nowym towarze, sezon się skończył. Teraz wszędzie już letnie kolekcje. – Ksenia próbowała w delikatny sposób wpłynąć na szefa. Gdyby powiedziała mu

prosto z mostu, że buty, które ma na wystawce, są niemodne, to Walerik uparłby się, że ma je sprzedawać do końca roku.

– A i racja, wyprzedaże teraz wszędzie. – Walerik podrapał się po policzku. Nawet gdy starannie się golił, i tak wyglądało, jakby miał dwudniowy zarost. – Pogadam z Gorem... Załatwione, Kseniu. Pod koniec tygodnia będzie nowy towar. Od jutra zaczniemy wyprzedaż. Dasz drukarni zlecenie na duże plakaty. Jak to będzie po angielsku?

– Sale – przypomniała. – Ale lepiej po naszymu napisać.

– Zuch dziewczyna. Zrobimy i po naszymu, i po angielsku.

Sprawa była zakończona.

– Wiesz. – Walerik odezwał się po chwili. Widać sprawa męczyła go od dłuższego czasu, a teraz Ksenia wydała mu się odpowiednią osobą do zwierzeń. – Chcę otworzyć w kilku centrach sklepy z biżuterią.

Popatrzył na dziewczynę, jakby czekając na jej reakcję.

– U mnie w kraju zajmuje się tym cała moja rodzina. Szlachetne kamienie, kruszec, ozdoby, cudzeńka, jakich świat nie widział.

– To co pana powstrzymuje?

– Ano tutaj sprawa niebezpieczna. Branża zarezerwowana dla innych... Myślisz, że dlaczego od butów zacząłem?

Ksenia wzruszyła ramionami. Wiedziała, o czym mówi Walerik. Haracze trzeba było płacić od wszystkiego. Zwłaszcza jak się otwierało biznes i przyciągało uwagę. A o to nie było trudno. Oczy i uszy gangsterki były wszędzie.

– Pomyślę jeszcze – Azer zmarszczył brwi. – Zacząłem badać teren. Może niedługo naszyjniki sprzedawać będziesz?

– Chyba wolę buty – powiedziała przekornie Ksenia.

Walerik zaśmiał się rubasznie. Spojrzał jeszcze czujnym okiem na półki i towar, a potem obrócił się na pięcie i wyszedł.

Ksenia stanęła przy kasie. Otworzyła zeszyt z utargami i sprawdziła, czy nic nie pomyliła. Walerik musiał mieć wszystko zapisane w zeszycie, nie wierzył elektronicznie ani trochę. Nie, nie pomyliła się.

Gdy uniosła głowę, zobaczyła kobietę. Wysoką, chudą, w białych szatach. Stała jakby niezdecydowana przy witrynie sklepowej. Patrzyła ni to na buty, ni to na Ksenię.

Dziewczynę przeszył dreszcz, zimny, nie do opanowania. Spięła łopatki, jakby ktoś nacisnął jej kręgosłup. Kobieta znikła, rozplynęła się w powietrzu niczym złudzenie, chwilowy refleks na szkle witryny.

– Zmęczona jestem.

Ksenia nie mogła opanować drżenia dłoni. Musiała czymś zająć myśli. Jeszcze dzisiaj powinna odwiedzić bibliotekę, poczytać trochę, przygotować się na zajęcia. Wieczorem otworzy tomik Bohdanowicza. Kochała jego wiersze, o nim pisała pracę. Umarł tak młodo, a zdążył tak wiele osiągnąć. Gdy Ksenia patrzyła na swoje życie, trudno było jej znaleźć coś pozytywnego, coś, co mogłaby po sobie zostawić w pamięci ludzi lub chociażby bliskich. A przecież już za kilka lat będzie w wieku, w którym poeta wydał ostatnie tchnienie.

– Szukam sandałów na lato.

– Już, proszę ze mną, mamy coś, co się pani spodoba.

Nie zauważyła, kiedy w butiku zrobił się spory ruch. Kilka kobiet obsiadło gustowne otomany i mierzyło buty. Ksenia spojrzała na zegarek. Za chwilę powinny pojawić się Lidka i Tatiana. Pomogą przy klientach. Do tego czasu musiała poradzić sobie sama.

Z uśmiechem podała pudełko z sandałkami, które bardzo jej się podobały. Kobieta

krytycznie przyjrzała się obuwiu.

– Czy ja wyglądam jak rusałka, żeby w tym chodzić? Chyba żartujesz, dziewczyno – parsknęła.

Ksenia oblała się rumieńcem. Wydało jej się, że wszystkie klientki patrzą na nią i śmieją się pod nosem.

– Te będą dobre. Chcę przymierzyć.

Dziewczyna popatrzyła na sandały mieniące się szklanymi fioletowymi kamyczkami. Na pewno rzucały się w oczy i chrzęściły przy każdym kroku.

– Te? – zapytała, żeby się upewnić. – Myślę, że będą do pani pasować.

– No pewnie! – Kobieta poprawiła lamparci szal i sięgnęła chciwie po pudełko, jakby ktoś mógł je sprzątnąć jej sprzed nosa.

Dziewczyna znów uśmiechnęła się blado. Nie planowała sarkazmu, który pojawił się przed chwilą w jej głosie, kobieta jednak najwyraźniej go nie wyczuła. Ksenia ukloniła się więc i podeszła do kasy. Tutaj czekała już na nią kolejka zniecierpliwionych klientek.



Pieniądze. Potrafią załatwić wszystko. Batler znał tę zasadę. Potrzebne są oczywiście jeszcze kontakty, ale o nie także potrafił zadbać. Wizę do Rosji załatwił w ciągu kilku godzin w Krakowie. Potem wsiadł w pociąg i ruszył tranzytem przez Białoruś. Podróż miała trwać cały dzień, ale nie przejmował się tym. Widział, że na miejscu odnajdzie tych, których szukał. Z każdą godziną było mu do nich coraz bliżej.

– Herbaty?

Wagon sypialny nie zapewniał prywatności. Batler zdecydował się na jazdę w tłumie i musiał ścierpieć towarzystwo innych. Przez pociąg przewijały się dziesiątki ludzi. Sprzedawali wszystko, czego dusza mogła zapragnąć. Co jednak, jeśli człowiekowi nie było do szczęścia potrzebne nic oprócz świętego spokoju?

– Nie pił pan cały dzień. Herbaty zaparzyłam, szkoda, żeby się zmarnowała.

Stara kobieta uśmiechała się szczerbatym uśmiechem. Marek tego też nie potrafił zrozumieć. Ludzie odruchowo szukali tłumy, rozmowy. Może żeby móc chociaż do kogoś gębę otworzyć. Stadne zwierzęta. Batler czuł się tu jak wilk wśród owieczek, spoconych, rozgorączkowanych podróżą. Pełnych wrażeń, niedopowiedzianych historii i zawodów.

– Napiję się. – Dał za wygraną. Zsunął się ze swojego łóżka i usiadł naprzeciw kobieciny. Przynajmniej szklanka, do której nalewała mocnego wywaru, była czysta.

– Z konfiturą? Sama robiłam.

Skinął głową. Najpierw pociągnął łyk napoju. Na języku rozszedł się smak suszonej śliwki, sam płyn wydawał się zbyt gęsty.

– Pan do Moskwy?

– Do Moskwy – potwierdził. Nie musiał się z tym kryć.

Zgarnął łyżeczką trochę konfitury ze spodka i włożył do ust. Pomogło. Kolejny łyk był słodszy i mniej cierpki.

– Wracam do domu.

Batler słuchał w milczeniu. Tego się mógł spodziewać. Zwierzenia, opowieści. Jakby ludzie musieli sobie wszystko ułożyć wcześniej w głowie, wykorzystać obecność obcych, by

potem bliskim sprzedać opowieść dopracowaną już, kolorową jak wiosenna tęcza.

– A czym pan się zajmuje? Wygląda pan na lekarza.

– A jak się wygląda na lekarza? – zakpił.

– No, po oczach to widać. Pana oczy takie żywe, rozpalone. Goreje w nich ogień, pasja.

– To ogień piekielny, babciu. – Batler odłożył szklankę świadomy nagłej zmiany zachowania staruszki. Przeżegnała się i spuściła oczy.

Mężczyzna zaśmiał się i wskoczył na swoje posłanie. Zamknął oczy, wsłuchując się w stukot kół. Piekło w końcu pochłonie każdego. Nawet tę kobiecinę, która znakiem krzyża chciała odpędzić zło. Batler zobaczył jej życie w krótkim, bolesnym przeblysku. To jak wydała sąsiadkę na milicji. To jaka była dla swoich dzieci i żony syna.

Wcześniej obserwował krajobraz za oknem. Wydawało mu się, że dostrzega więcej niż inni. W cieniu drzew, lasów, które stawały się większe i bardziej nieprzystępne. Ten kraj był inny, inny przez to, że tak naprawdę się nie zmienił, albo raczej zmieniał się bardzo powoli. Wsie, ludzie pracujący w polu. Oni mieli swój świat, ten z dziada pradziada. Znajomy, niezmienny od setek lat.

Czy ta staruszka, siedząca teraz jak mysz pod miotłą, miała co do niego rację? Był lekarzem? Chyba tak, miał leczyć, uzdrawiać to, co było chore. To świat chorował, następowały w nim zmiany, których nikt nie potrafił dostrzec. On jednak miał szansę przywrócić porządek tam, gdzie wkraadał się chaos.

Zeskoczył z łóżka, gwałtownie. Kobieta aż podskoczyła, potrącając szklankę z herbatą. Nie zaszczycił jej spojrzeniem. Rozsunął drzwi i wyszedł na korytarz. Czuć było mocne papierosy i alkohol. Śmiechy i gwary rozmów dobiegały z innych przedziałów. Batler ruszył do przodu pociągu, pamiętając, że wagon restauracyjny był tuż za lokomotywą.

Wyminął grupkę osób stojących przy otwartym oknie. Jedna z kobiet przypatrywała mu się z wyraźnym zaciekawieniem. Batler nie miał jednak ochoty nawiązywać nowych znajomości. Ruszył dalej.

W kolejnym wagonie panował zaduch. Mężczyzna wyczuł woń gotowanych jaj i czosnku. Momentalnie rozboleła go od tego głowa. Zatrzymał się przy otwartym oknie i wciągnął w nozdrza rześkie powietrze. Gdzieś tam nad horyzontem jaśniejsza otoczka sprawiała wrażenie, jakby dzień się jeszcze nie skończył lub jakby zaraz miał się rozpocząć kolejny. Batler czuł, że ta luna nie jest dobrym znakiem. Drgała, pęczniała, była gotowa do ogarnięcia całego świata. W wagonie przygasły światła. Dźwięki także się rozmyły. Spłaszczyły się do jednego wymiaru, ledwie rejestrowanego. Batler wstrzymał oddech.

– To płoną lasy... Szukają nas... Starają się wykurzyć tych, do których należy.

To była ona. Nie musiał się odwracać, by to stwierdzić. Czuł to całym sobą, wnętrzem, które zaczynało płonąć żywym ogniem. Sercem pompującym hektolitry krwi.

– Tak kończy się nasz czas... Przynajmniej oni tak myślą.

Batler wyprostował się i zwrócił w stronę kobiety. Znalazł się z nią niemal twarzą w twarz. Była wysoka, być może nawet nieco wyższa od niego.

Sine usta ułożyły się w uśmiech. Błada skóra przypominała nasączony mlekiem pergamin. I oczy. Te oczy były ciemne, czarne. Niby dwa tunele prowadzące do innej rzeczywistości.

Stukot kół zanikł, być może pozostało jedynie głucho echo, które powtarzało zapomniany dźwięk. Rozlegał się w czasce Batlera niczym dzwon przeszłości, wybijający niezrozumiałe staccato. Przestrzeń wokół skurczyła się, a potem czas zatrzymał się w miejscu.

– Odnalazłeś się... A już straciliśmy nadzieję.

Batler chłonał jej słowa. Ten głos wydał mu się znajomy i kojący. Przeplątywał nad nim,

a potem przenikał przez pory skóry do środka. Wydawało się, że łagodzi wewnętrzną pożogę.

– Tęskniłam.

Poczuł jej wargi na swoich ustach. Szorstki język rozpychający zęby i wędrujący głęboko w stronę gardła, jakby szukający wilgoci po spiekocie dnia.

Trzewia znów zapłonęły żarem, teraz jednak innym, słodkim i przyjemnym, osłabiającym wolę. Jej zapach. Przywoływał w pamięci słoną bryzę, wzburzone morze po jesiennej wichurze.

– Tęskniłam tak bardzo, że...

Odepchnął ją. Chciała go omamić. Wyraz zaskoczenia na jej twarzy sprawił mu satysfakcję. Nie wiedziała, że jest on w stanie odrzucić czar. Uniosła dłoń, jakby obawiała się ciosu. Jednak Marek, o dziwo, nie był zdolny do wykonania żadnego ruchu. Miał ją na wyciągnięcie ręki. Wreszcie, teraz, po tylu miesiącach poszukiwań. Wystarczyło zacisnąć palce na jej gardle, wyciągnąć nóż przymocowany do przedramienia. Wiedział, kim była, czuł bijącą od niej moc. Tylko działanie z zaskoczenia mogło dać mu przewagę. Tym bardziej, że mężczyzna, jej partner, musiał być blisko.

Światła przygasły jeszcze bardziej. Powietrze jakby zassało się, kumulując się pomiędzy nimi. Batler popatrzył w bok. Mężczyzna właśnie się pojawił. Szedł wolno, dostojnie, unosił się, jakby na przekór grawitacji, ponad podłogą. Ciemne okulary fosforyzowały bladoniebieskim trupim światłem. Morfował. Podbródek wydłużył się, opadł niemal na piersi. Siekacze wysunęły się do przodu, nałożyły na siebie. Z głębi napuchniętej klatki piersiowej wydobył się pomruk.

Nóż w dłoni Batlera pojawił się teraz błyskawicznie. Nie było miejsca na dalsze wahanie. Przeciwnik szykował się do skoku. Ciało Marka dostało potężny zastrzyk adrenaliny. Wiedział, że śmierć za chwilę zbierze swoje żniwo.

Zapomniał o kobiecie. To był jego błąd. Poczuł zapach ozonu, potężne wylądowanie wyskoczyło bladoniebieskim zygzakiem z piersi kobiety do jego dłoni. Jej krzyk był ogłuszający. Batler skulił się w sobie pod wpływem uderzenia. Jakimś cudem przyjął je, wchłonął w siebie. A może to nie ona, tylko on wyrzucił z siebie tę wiązkę energii?

Teraz poczuł jeszcze większą moc, jakby miał przenosić góry, unieść cały pociąg wraz z pasażerami najwyraźniej głuchymi na to, co się działo.

– Nyja! – Towarzysz kobiety zawył niczym ranne zwierzę. Skoczył z rozpędu na Batlera, uderzając go nogami w brzuch. Potoczyli się po korytarzu. Marek przywalił głową w drzwi jednego z przedziałów. Ciepła maź oblepiła jego czoło, na szyi poczuł ostre ukłucia.

– Ogień strawi ten świat! Obudź się...

Batler pchnął na oślep. Srebrne ostrze zanurzyło się w ciele napastnika i ucisk szponów wreszcie osłabł. Marek wykorzystał tę chwilę, by zaczerpnąć powietrza. Demon poderwał się jednak, próbując kłami dosięgnąć jego twarzy. Marek zadał cios pięścią w jego gardło i usłyszał syk wypuszczanego z tchawicy powietrza. Trupia twarz blondyna wykrzywiła się w grymasie wściekłości. Kły wydłużyły się jeszcze bardziej, a potem zwały. Napastnik szarpnął głową, jakby próbował uwolnić się z niewidzialnych pęt. Wtedy Batler jeszcze raz uderzył, precyzyjniej, w samo serce.

Blondyn zawył. Ostatnim zrywem uniósł się w powietrzu, okręcił wokół własnej osi, kurcząc się w sobie. W nozdrza uderzył smród spalenizny, skórzana kurtka zajęła się ogniem. Płomienie szybko objęły głowę i kończyny.

Marek uniósł dłonie do oczu, chroniąc je przed żarem. Próbował się cofnąć, odpychał nogami od podłogi, odczołgując się od żywej pochodni. Blondyn jednak nagle znieruchomiał, opadł na kolana. A potem ogień zgasł tak samo nieoczekiwanie, jak wcześniej się pojawił. Na korytarzu została tylko kupka popiołu.

Światła w przedziale zapaliły się jak na zawołanie. Marek oparł się plecami o ściankę.

Próbował złapać oddech. Czuł ucisk w klatce piersiowej i stracił niemal wszystkie siły.

Drzwi przedziału otworzyły się, głośny śmiech wypełnił przestrzeń. Starszy mężczyzna wyszedł na korytarz. Widząc obcego siedzącego na podłodze, zawahał się. Zdecydował się jednak go zignorować i ruszył w stronę końca przedziału, zapewne do toalety.

Marek patrzył, jak buty mężczyzny rozgarniają kupkę popiołu. Niemożliwe, żeby jej nie zauważył.

– Żar kończy ten świat? – zaśmiał się Batler. – Twój świat na pewno, demonie.

Wolno wstał i rozejrzał się. Kobieta rozplynęła się w powietrzu. Ruszył z powrotem do swojego przedziału. Nabrał ochoty na mocną herbatę i miał nadzieję, że starowinka mu jej nie odmówi.



Zapaliłem światła we wszystkich pokojach, nawet w łazience. Nigdy nie należałem do strachliwych, ale teraz... Każdy szmer wydawał się podejrzany. Mało brakowało, a dostałbym zawału, mijając się w korytarzu z sąsiadką.

Zasłoniłem okna i usiadłem przy stole w kuchni. Teczke położyłem na blacie, bojąc się ją otworzyć. Przemokła moim potem, napis w górnej części się rozmazał. Była to sygnatura, która i tak niewiele mogła mi powiedzieć. DZ, a potem rząd cyfr.

Czerwona wstążka rozwiązała się już wcześniej. Wystarczyło otworzyć teczkę i zbadać jej tajemnice.

Choć może żadnych tajemnic tam nie było? Ten, kto zabił Mentora, raczej na teczkę nie polował. Nie ona była przyczyną śmierci mojego szefa. Trudno było sobie wyobrazić, żeby profesjonalista nie obszukał miejsca... Oczywiście gdyby czegoś szukał.

Z drugiej strony ta nieszczęsna teczka leżała pod stołem. Raczej nie spadła, Mentor w ostatniej chwili oparł ją o jedną z nóg mebla. Można przypuszczać, że ratował coś dla siebie cennego. Nie chciał, by zawartość wpadła w niepowołane ręce.

Wstałem od stołu i podszedłem do lodówki. Otworzyłem ją. Kompletne pustki, nie licząc kilku jajek i kawałka żółtego sera. Zielone plamy nie świadczyły dobrze o jego świeżości.

Byłem jednak głodny. Żołądek wcześniej skurczony przez strach i adrenalinę teraz domagał się swojej porcji kalorii. Wyciągnąłem ser i zdrapałem z niego nożem pleśń. W szafce miałem jeszcze kilka kromek chleba. Wrzuciłem wszystko do tostownicy.

Obróciłem się i znów spojrzałem na teczkę. Włosy stanęły mi dęba. Była otwarta. Nie przypominałem sobie, żebym to ja...

Przełknąłem ślinę. Tosty były gotowe. Wyciągnąłem je na talerz i położyłem obok teczki. Zupełnie odechciało mi się jeść.

Usiadłem, kładąc spocone dłonie na blacie. Co za lichy? Ta teczka musiała być ważna. Nie miałem pewności, czy Mentor chciał mi ją pokazać na spotkaniu. Być może czekał jeszcze na kogoś. To, co znajdowało się w środku, raczej nie było przeznaczone dla moich oczu.

Wyciągnąłem zawartość teczki i rozłożyłem ją na stole. Zdjęcia, najczęściej robione z ukrycia. Młoda kobieta wychodząca z centrum handlowego, mężczyzna przy samochodzie, jeszcze kilka osób w tłumie. Nikogo z nich nie znałem.

Do zdjęć zostały podpięte dokumenty, większość w języku rosyjskim. Znałem go na tyle, by zrozumieć treść. Zacząłem od pierwszego z brzegu, z napisem „ściśle tajne”.

Dossier osób uchwyczonych na zdjęciach. Zwyczajne. Żadna z nich nie wyróżniała się niczym szczególnym. Milicjant, ekspedientka... Nie wyglądali na podejrzanym, tym bardziej, że brakowało danych o ich ewentualnych grzeszkach. Dlaczego Mentor tak bardzo się nimi interesował?

Dwa dokumenty zostawiłem sobie na koniec. Były po polsku, nie dołączono do nich zdjęć. Marek Batler. Pierwsze dossier dotyczyło mężczyzny, o nim akurat zbyt wiele nie napisano. Zaczęto go obserwować niecały miesiąc temu. Dlaczego? To nie zostało wyjaśnione.

Gdy wziąłem do ręki kolejny dokument, poczułem, jak ciemniej mi w oczach. Nie potrzebowałem zdjęcia, by wiedzieć, o kogo chodzi.

Alek Bielski. Szczegółowe informacje, dokładna analiza psychologiczna. To dziwne, jak wiele człowiek może się dowiedzieć o sobie samym po przeczytaniu dwóch stron suchego, bezpłciowego tekstu.

Szczekanie psa, natarczywe. Dochodziło niby z daleka, ale wydawało się, że rozbrzmiewa w mojej czaszce. To musiał być sen. Widziałem smutną dziewczynę. Siedziała na sofie, patrząc w telewizor. Blok, w którym mieszkała. Rejestrowałem obrazy z zewnątrz, przez okno balkonowe. Potem uniosłem się nad miastem, zimnym, szarym. Światła samochodów w dole rozmazały się. Wszystko wydawało się znajome i obce zarazem. Moskwa. Wiedziałem, że to właśnie Moskwa.

Pies zaczął wyc. Żałośnie, tak głośno, jakby przysiadł tuż przy moim uchu. Znów szczeknięcie. Nie przypominałem sobie, żeby któryś z sąsiadów miał psa. Przynajmniej nie ci zza ściany.

Przesunąłem się nad miastem. Ten sen był tak realny. Czułem na policzkach powiew chłodnego wiatru. Bloki, znów ulice, a potem stacja metra. Przecież nigdy tutaj nie byłem, dlaczego więc ten obraz był tak wyraźny?

Szeroki korytarz, marmurowe ściany, kolorowe reklamy. Budka obsługi, bramki kontrolne. Przesuwałem się coraz szybciej w stronę peronu, a potem w ciemność, długim tunelem.

Szarpięcie za nogę. Warczenie, tak głośne i realne. Nie chciałem budzić się z tego snu. Czułem, że ma znaczenie, jednak ten pies... A może bestia? Wyskoczył z ciemności. Czarny kształt, olbrzym przypominający psa, którego widziałem na Starym Mieście. Błyszczące ślepie, obnażone kły. Ujadał jak wściekły.

Otworzyłem oczy. Musiałem zasnąć przy stole. Policzek przykleił mi się do ceraty.

Uniosłem głowę i wytarłem rękawem oślinioną brodę. Nie byłem pewny, czy dalej słyszę diabelskie zwierzę, czy to tylko wciąż trwające złudzenie. Przejście z fazy snu do rzeczywistości.

Chrobot za drzwiami. Moje mieszkanie było małe, drzwi wejściowe znajdowały się niemal przy kuchni. Wyraźnie słyszałem kogoś na klatce schodowej.

Wyobraziłem sobie wściekłego psa, który czeka tylko, aż mu otworzę. Podszedłem na palcach do drzwi i wyjrzałem przez judasza. Od razu cofnęło mnie o dwa kroki. Menedżer z restauracji „U Dekerta” i jeszcze ktoś, chudy facet w czarnym płaszczu.

W zamku zachrząścił klucz. Patrzyłem, niedowierzając własnym oczom, jak klamka opada, gdy jeden z mężczyzn ją nacisnął. Drzwi jednak nie ustąpiły.

Chyba to mnie otrzeźwiło. Runąłem do kuchni i chwyciłem teczkę, która znów powędrowała za pasek u spodni. Zawahałem się jedynie na chwilę, wiedząc, że mam tylko jedną drogę ucieczki. Wbiegłem do pokoju i otworzyłem drzwi balkonowe. Gdy przekraczałem poręcz, obejrzałem się za siebie. Dwa ruchliwe cienie w przedpokoju. Strach tym razem pobudził mnie do działania.

Opuściłem się na balkon sąsiada pode mną, a potem niżej. Ognik papierosa rozbłysnął tuż obok mojej głowy. Sąsiadka wydała okrzyk zaskoczenia. Spojrzałem w górę i zobaczyłem dwie twarze nad balustradą, blade w poświacie księżycy. Menedżer uśmiechał się, jakby był pewny, że nie ucieknę.

Puściłem się poręczy i poleciałem w dół. Nie pomyślałem nawet o tym, że mogę złamać nogę albo skręcić kark. Upadłem na wilgotną trawę i potoczyłem się w stronę ściany.

Udało mi się jakoś pozbierać. Oprócz stłuczenia nie odniosłem większych kontuzji. Ruszyłem ile sił w stronę głównej ulicy. Zaraz za rogiem był postój taksówek.

Uderzenie w nerki znów rzuciło mnie na trawnik. Zdażyłem obrócić się w powietrzu i upaść na plecy. Na moich piersiach wylądował jeden z nich. Wpił się kolanami w żebra i brzuch. Drugi złapał za rękę.

– Gdzie teczka! – wyszczał menedżer. Nachylił się nade mną, przekrzywiając głowę jak ptak. Patrzył jednym okiem, które wydało mi się nienaturalnie wielkie, wylupiaste.

Dureń wycisnął całe powietrze z moich płuc, naciskając na splot słoneczny. Nie mogłem nic powiedzieć, nawet gdybym chciał.

– Teczka! Bo zginiesz!

Groźba rzeczywiście działała, ale moje płuca nadal odmawiały posłuszeństwa.

Menedżer podniósł się. Obaj błyskawicznie pociągnęli mnie za nogi w stronę śmietnika. O tej porze nikogo tam nie mogło być. Miałem nadzieję, że przynajmniej sąsiadka, nałogowa palaczka, wezwie pomoc.

Rzucili mną o ścianę. Uderzyłem barkiem, poczułem palący ból, rozchodzący się od szyi do kręgosłupa. Znów zakleszczyli mi rękę i nogi.

Kościste palce wbiły się w moje żebra, obszukały spodnie i nogawki.

– Gdzie ona jest?! Wiemy, że ją masz!

Syk wydobywający się z gardła napastników był nieludzki. Zdałem sobie sprawę, że nie znaleźli teczki. Musiała gdzieś w tej szamotaninie wylecieć.

– Nie mam – wyjącałem. Byłem pewny, że połamali mi żebra.

– Kłamiesz! – Chudy chwycił moją twarz w dłonie. Poczułem ostre paznokcie zdzierające mi skórę z policzków. Był nieludzko silny.

Przyszło mi do głowy, że umrę w tym śmietniku. Rano przyjdzie tu jakiś menel i znajdzie moje zwłoki albo resztki, które po sobie zostawią te świry.

Patrzyłem z przerażeniem, jak trupio blada twarz nachyla się w moim kierunku, oczy zachodzą bielmem, a usta otwierają się na niewiarygodną szerokość.

– Mów!

Chyba najpierw usłyszałem przyspieszony oddech i warknięcie. Potem ogromna siła przerzuciła nade mną chudzielca, który z łomotem uderzył czaszką w ścianę. To był pies, smoliście czarna bestia. Skoczył do gardła drugiego napastnika. Menedżer uniósł dłoń, w której trzymał lśniący medalik, ale to mu nie pomogło. Krew chlusnęła na moje ubranie. Patrzyłem przerażony, jak bestia zaciska kły na krtani mężczyzny.



Odczołgałem się w stronę wyjścia ze śmietnika, a potem chwiejnym krokiem próbowałem uciekać. W moich uszach wciąż rozbrzmiewał nieludzki charkot.

Zacząłem biec. Skręciłem obok placu zabaw. Huśtawka poruszana wiatrem wyglądała w świetle księżyca upiornie. Ta noc była upiorna. Przeskoczyłem płotek na skwerku i pobiegłem na skróty, w stronę ulicy.

Za rogiem budynku stanąłem jak wryty. Zagroził mi drogę pies, ta sama bestia, która przed chwilą rozszarpała gardła dwóm dorosłym mężczyznom. Nawet przez chwilę myślałem, że to jakiś kundel, ale demoniczny blask w jego oczach pozbawił mnie złudzeń.

– Czego chcesz? Zagryziesz mnie?

Długi jęzor opadł niemal na pierś. Pies oddychał szybko, nie spuszczał mnie z oczu.

– Przepuść mnie! Odejdź!

Oblizwał się i położył. Dotknął łapą czegoś, co leżało na chodniku.

Oczami wyobraźni widziałem postrzępione fragmenty ciała, ale nie... Zwierz schylił łeb i podniósł w zębach teczkę. Zbliżył się wolno, jakby nie chciał mnie przestraszyć.

Przełamałem się. Kucnąłem przy psie i po chwili wahania ostrożnie wyciągnąłem z jego paszczy akta. Zwierz położył głowę na moim kolanie. Nawet nie zastanawiając się nad tym, co robię, pogłaskałem duży trójkątny łeb.

Poprowadził mnie przez podwórko starej kamienicy, potem wąską ścieżką między garażami. Straciłem poczucie czasu i, zdaje się, rzeczywistości. Bezwiednie podążyłem za swoim przewodnikiem.

Błada poświata księżyca rzucała upiorne cienie na budynki. Było cicho, nienaturalnie cicho. Do moich uszu dochodziło jedynie stąpanie psich łap i mój własny niespokojny oddech. Pot szczypał w oczy. Ta noc była gorąca. Otarłem rękawem czoło, ale już po chwili słone krople znów płynęły po skroniach i policzkach.

Miasto nocą wyglądało zupełnie inaczej. Wydawało się wymarłe, jakby setki tysięcy ludzi rozplynęły się w swoich domach, jakby oprócz mnie i tego psa nie było na świecie nikogo innego.

Teraz jednak wiedziałem, że w ciemnościach mogą się czaić demony. Nie te wymaginowane strachy z baśni i legend, którymi ludzie byli karmieni przez tysiąclecia. Teraz widziałem rzeczy, które, wydawało się, nie były przeznaczone dla oczu zwykłego śmiertelnika.

Zgubiłem się. Nie byłem w stanie rozpoznać domów, które mijaliśmy. Być może w nocy wszystko wyglądało inaczej. Światła latarni przygasły, zerwał się wiatr podrywający z ulicy kurz i strzępy gazety.

Zeszliśmy nagle stromymi schodami w zupełną ciemność. Nie jestem pewien, czy się bałem. Chyba nie byłem w stanie zdefiniować uczucia, które mną owładnęło. Wydaje się raczej, że zacząłem myśleć trzeźwo i racjonalnie. Temu psu zawdzięczałem życie. Gdyby chciał mi zrobić krzywdę, zrobiłby to w ułamku sekundy.

Zatrzymałem się i wyciągnąłem dłoń przed siebie, natrafiając na chłodny metal. To były drzwi. Pies cicho zaskomlał, a ja odszukałem po omacku klamkę i nacisnąłem ją. W nozdrza uderzył mnie zapach wilgoci. Piwnica. Tej woni nie można było pomylić z niczym innym. Pies pobiegł przodem. Musiał doskonale widzieć w ciemnościach albo po prostu znał drogę. Przestąpiłem próg z wahaniem, spodziewając się kolejnych stromych schodów, z których zleczę, łamiąc kark. Wyciągnąłem dłoń w bok, próbując namacać ścianę i włącznik światła. O dziwo

udało mi się to niemal natychmiast. Zamknąłem za sobą drzwi i dopiero wtedy zapaliłem światło.

Znalazłem się w wąskim korytarzu. Przedemną widniały kolejne drzwi. Pies stanął na tylnych łapach i poskrobał w nie pazurami. Wydawało mi się, że daje w ten sposób sygnał komuś w środku, ale nie. Zwierz obrócił się w moją stronę i znów zaskomlał, zupełnie jak bezbronny psiak. Akurat na to nie dałbym się nabrać.

Podszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę. Wyobraziłem sobie chwilę wcześniej melinę z rozrzuconymi materacami, stertami butelek i kartonowych pudeł. Nic z tych rzeczy. Moim oczom ukazało się sterylnie białe pomieszczenie, ta biel wzmocniana przez punktowe światła niemal oślepiła.

Oprócz stołu i dwóch krzeseł nie było tu żadnych mebli ani innych przedmiotów.

Pies zamerdzał ogonem i podbiegł do stołu. Usiadł i znów wlepił we mnie uważne spojrzenie.

Wszedłem do pomieszczenia. Drzwi zamknęły się za mną samoczynnie. Gdy obróciłem się, nie byłem w stanie odróżnić ich od ściany. Straciłem rezon. Nie wiedziałem, co teraz powinienem zrobić. Wciąż chyba oczekiwałem, że zaraz zjawi się właściciel bestii.

– I co teraz? – zapytałem ni to siebie, ni to psa.

Chwilę postąłem w miejscu, a potem usiadłem na jednym z krzeseł.

– Siedzisz wygodnie, Alku?

Zadrzałem. Ten głos wypełniał cały pokój.

– Woląłem, żebyś usiadł, zanim przejdziemy do rzeczy. Miałeś dzisiejszej nocy sporo wrażeń.

– Kim jesteś i gdzie... jesteś?

Popatrzyłem na psa. Rzeczywiście, szczęśliwie się złożyło, że już siedziałem. Pysk zwierzaka wykrzywił się w uśmiechu, a potem...

Widok nie należał do najprzyjemniejszych. Przemiana trwała zapewne zaledwie kilkanaście sekund, ale wydawało mi się, że metamorfoza psa w człowieka została rozciągnięta do granic możliwości. Futro przerzedziło się, kości wydłużyły. Przez chwilę przypominało to formowanie rozmiękłego ciasta. Bąble powietrza przemieszczały się chaotycznie pod skórą. Korpus wydłużył się, skóra pojaśniała. Patrzyłem na to, wstrzymując oddech, nie będąc w stanie się poruszyć. Gdy transformacja dobiegła końca, stanął przede mną mężczyzna, o dziwo całkowicie ubrany.

– Trzeba było mi tego oszczędzić... – jęknąłem, walcząc z mdłościami.

Zaśmiał się sucho i usiadł na drugim krześle, przysuwając się do stołu. Mogłem uważnie mu się przyjrzeć. Skórzany płaszcz przylegał szczelnie do wychudzonego ciała, długie skórzane buty kończyły się tuż pod kolanami.

Od mężczyzny biła duża siła, pewna drapieżność budząca respekt. Był lekko zgarbiony, przez co wydawał się przyczojony, gotowy do skoku. Mięśnie szczęk naprężyły się pod bladą skórą. Grymas ust wyglądał jak uśmiech szaleńca. Facet był krótko ostrzyżony, co uwidoczniło brzydką szeroką bliznę ciągnącą się z lewej strony czaszki aż do skroni. Hiszpańska bródka dodawała mu zawiadającego uroku, podobnie jak ironiczne błyski w oczach.

– Oszczędziłem ci miękkich kolan i kłapanięcia na podłogę... To wystarczy.

Skinąłem głową. Nawet nie próbowałem się uśmiechnąć. Byłem blady jak ściana, co pewnie nie uszło jego uwagi.

– Dzielnie to znosisz – mruknął. – Niektórym na ten widok puszczają zwieracze.

Pociągnął nosem i znów się zaśmiał.

– Ocaliłeś mi życie – powiedziałem, starając się ukryć zmieszanie. – Zakładam, że tamci mogli mnie...

– Szukali tylko tej teczki. Gdyby wiedzieli, co w niej jest, już dawno byś nie żył.
– Pocieszające – wydusiłem z siebie.
– Powinno być. Morfowałem w twojej obecności, by mieć za sobą zbędne tłumaczenia i przedstawianie się. Każdy człowiek próbuje znaleźć racjonalne wytłumaczenie rzeczy niepojętych. Taka już wasza natura. Ty nie masz czasu na oswojenie się z nową rzeczywistością.
– Wasza natura? – powtórzyłem cicho. – Rozumiem, że człowiekiem nie jesteś?
– Byłem, kiedyś – skrzywił się z niechęcią. – Dopóki nie zrozumiałem swojej natury. Możesz mówić do mnie Witold.

Wyszczерzył zęby. Siekacze nie przypominały ludzkich. Zaczynałem się z nim zgadzać w stu procentach.

– Dlaczego mi pomogłeś?
– Poprosił mnie o to twój szef.
– Mentor?
– Mentor – potwierdził, patrząc na mnie uważnie.
– On nie żyje. – Znów przed oczami pojawiła mi się postać szefa rozciągniętego na suficie, jego martwy wzrok. Przewyciężyłem zimny dreszcz.
– Każdy coś musi poświęcić – powiedział beznamiętnie. – Prędzej czy później.
– Dlaczego go zabili? Dla tej teczki? – Położyłem ją na blacie jak najdalej od siebie. Witold popatrzył na nią z lekką odrazą, jakby zburzyła harmonię tego miejsca.
– Gdyby szukali teczki, znaleźliby ją przed tobą. – Nozdrza mężczyzny rozszerzyły się, jakby wciągał w nie zapach przesiąkniętej potem tektury. – Jeszcze wtedy o niej nie wiedzieli...
– Dlatego przyszli do mnie?
– Tak – skinął. – Byłeś ostatnią osobą, z którą się spotkał Mentor. Wywnioskowali, że ty ją możesz mieć.

Pokręciłem głową.
– Coś tu nie gra. – Popatrzyłem na niego podejrzliwie. – Kto powiedział im o teczce i skąd wiedzieli, że ja ją mam, a nie na przykład ludzie z Agencji, którzy przybyli do Dekerta chwilę później?

– Trafiłeś w sedno. – Witold wyprostował się i spojrzał na mnie poważnie. – Czy ty w ogóle wiesz, czym jest Agencja?

Miałem odpowiedzieć, ale się zawahałem. Już wcześniej to samo pytanie nie dawało mi spokoju. Nie dostrzegałem albo nie chciałem dostrzec prawdy.

– To raczej nie jest agencja ochrony? – westchnąłem.
– Ależ jest – zapewnił ze śmiechem. – Tylko że ochrona centrów handlowych, osób i mienia jest przykrywką. W sumie doskonałą. Agencja chroni, ale coś zupełnie innego...
– Co takiego? – zainteresowałem się.
– Pilnuje równowagi w świecie bogów i demonów, który dzisiaj poznałeś na własnej skórze.

Parsknąłem śmiechem.
– Cóż – nie wyglądało na to, by Witolda obraził mój lekceważący ton – demony już poznałeś, wątpliwa przyjemność poznania bogów przed tobą, jeśli będzie ci to dane. Faktem jednak jest, że równowaga została zachwiana.
– Dobrze, ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?
– Wiele. – Witold spojrzał na teczkę w taki sposób, że zrobiło mi się nieswojo.
– Powiedziałeś, że gdyby wiedzieli, co jest w środku, zabiliby mnie – zacząłem ostrożnie.
– Z tego wynika, że ty tę wiedzę masz.
– Tak – potwierdził krótko. – Informacje o tej trójce, którą tam znalazłeś, wyszukałem

ja...

– Więc to, że Mentor zaofiarował mi pracę w Agencji, nie było przypadkiem ani wyrazem litości?

– Litości? – Witold w zdziwieniu uniósł wysoko brwi, co nadało mu demoniczny wygląd.

– Szef dał mi pracę, ale nie powiedział, czym jest Agencja.

– Może nie miał czasu cię wtajemniczyć, a może nie zdążył? Nie sądzę jednak, że ktokolwiek w Agencji będzie kierował się uczuciami. Nie ma tu miejsca na litość i współczucie.

– Dlaczego więc ja?

– Cóż, człowieku, Mentor tego też nie zdążył mi powiedzieć. Mogę się tylko domyślać.

– I co to za domysły? – zapytałem buńczucznie, choć nie do końca byłem przekonany, czy chcę znać odpowiedź.

Witold znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Znasz powiedzenie „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”, Alku?

– Co masz na myśli? – Niepokój rozlał się w mojej klatce piersiowej niczym wrzątek.

– Twój ojciec... Kiedyś był w podobnej sytuacji jak ty. To pewnie kolejny dowód na to, że bogowie lubią sobie igrać z ludzkim losem.



Misza przez chwilę myślał, że nie będzie w stanie przełknąć nawet kęsa. Jednak gdy tylko Roman położył przed nim talerz z wysmażonym wspaniale karczkiem i zarumienioną cebulką, rzucił się do jedzenia, jakby od lat nie miał nic w ustach.

– A ty... nie jesz? – zapytał z pełnymi ustami, patrząc na gospodarza.

– Nie. – Roman zaśmiał się i napełnił ponownie kieliszki. – Ale ty jedz. Dobrze mieć podkład na żołądek.

Misza skinął głową i przeżuł kolejny kęs. Zrobiło mu się tak jakoś ciepło i błogo. Zmartwienia odpłynęły w senny niebyt. Roman wydawał się dawno niewidzianym kolegą ze szkoły, którego los rzucił gdzieś daleko na wiele lat, by z przyływem znów połączyć ich w horyzoncie zdarzeń.

– Musisz się mylić. – Asieniewicz spojrział poważnym wzrokiem na gospodarza. – Oni też musieli się pomylić. To na pewno był przypadek.

– Przypadek, nie przypadek. – Roman przysunął kieliszek w stronę gościa. Przyniósł inną butelkę, z rubinowym trunkiem. – Wypijmy.

– Za co wypijemy?

– Ty z tych, co toasty czynią przy każdym kielichu? – Dłoń z naczyniem zamarła w połowie drogi do ust Romana. – Pij, za co chcesz. Może być nawet za pokój na świecie.

– Toast to toast. – Misza był w nastroju do wygłaszania pijackich mądrości. – Jak się za kogoś pije, to jakby dobry uczynek się robiło. Życzliwy człowiek jest, to i picie większy sens ma...

– Szukasz sensu w picciu? – Gospodarz zarechotał i poklepał się wolną dłonią po brzuchu.

– A co, w życiu go znaleźć nie możesz?

Misza zamilkł. Czuł, że zaczerwieniły mu się koniuszki uszu. Przełknął resztki papki, którą miał w ustach i wytarł dłonie w ścierkę przyniesioną przez gospodarza.

– No, już się nie obruszaj. – Roman poklepał go po kolanie. – Wypijmy za nasze zdrowie.

Asieniewicz skinął głową. Przechylił kieliszek i przełknął słodkawy, gęsty płyn.
– To przez to, że nie wiesz, kim jesteś – powiedział Roman. Od razu ponownie napełnił kieliszki.

– Wiem, kim jestem... Misza Asieniewicz.

– Może i tak, ale widzisz, ty wciąż toczysz wewnętrzną walkę, nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca i nie znajdując odpowiedzi na pytania, które krążą w głowie. Niby wiesz, kim jesteś, ale czasem nie poznajesz samego siebie. Swoich reakcji, zachowań. Coś w twoim wnętrzu próbuje zwrócić ci uwagę na to, że też ma coś tutaj do powiedzenia. Podświadomie tłamsisz ten wewnętrzny zew, ale on staje się coraz silniejszy. Dopóki nie zdasz sobie sprawy, czym on jest, nie zaznasz spokoju.

– Gadasz jak jakiś kaznodzieja. – Asieniewicz otarł usta wierzchem dłoni. Wypił nalewkę, tym razem nie kłopotząc się toastem.

– Do kaznodziei mi daleko... ale możesz nazywać mnie przewodnikiem duchowym.

– Przewodniku duchowy, kim więc jestem twoim zdaniem? Co to za zew? – Misza odsunął talerz i założył dłonie na piersi. Typowa postawa zamknięta. Bunt nastolatka.

– Nie tak szybko, mój drogi. – Roman nawet się nie uśmiechnął. Cmoknął tylko z powagą i spojrzał w stronę drzwi.

Ułamek sekundy później rozległo się pukanie.

– Co do kaduka?! – krzyknął, nie wstając nawet od stołu. – Znowu kodu zapomnieliście? Mówiłem, żeby tego cholerstwa tutaj nie montować. Dobry zamek i kilka zakłębionych wystarczą.

Za drzwiami rozległy się chichoty.

– Już! – dał się słyszeć potężny bas i po chwili do pomieszczenia weszło dwóch krępych osobników. Na pierwszy rzut oka widać było, że są bliźniakami. Szczeciniaste włosy wypływały od słońca, jasne jak słoma. Oczy niebieskie, wesołe. Rubaszni z nich byli ludzie, bo uśmiechy mieli naturalne i patrząc na nich, człowiek mimowolnie też szerzył zęby.

– Cześć i czołem!

– Cześć. – Misza skinął głową.

– Sami pijecie? – Jeden z bliźniaków zlustrował to, co leżało na stole. Drugi, nie czekając na odpowiedź, w try miga skoczył po kolejne dwa kieliszki.

– Dla was nie ma. – Romek powiedział to niemal ze świętym oburzeniem.

– Jak nie ma, co nie ma? – zarechotał pierwszy. – Spuściliśmy z twojej butli dzisiaj trzy buteleczki.

– Żeby was... – Roman skrzywił się groźnie. – Raport mieliście robić, informatycy od siedmiu boleści. Bazy danych spaprane. Nie wiadomo, w co ręce włożyć.

– On zawsze taki nerwowy, a mówię mu, że żołądka trzeba pilnować, bo wrzodów dostanie.

– No, nalewaj. – Drugi bliźniak różnił się od pierwszego jedynie głosem. Miał tak potężny bas, że wydawało się to nienaturalne.

– Lel jestem, a to mój durny brat, Polel.

Misza zaśmiał się, biorąc to za żart. Bracia jednak wyciągnęli dłonie w jego stronę, raczej się nie wygłupiali.

– Misza... to znaczy Asieniewicz Misza – zmieszał się. Wstając, niemal przewrócił kieliszek. Ucisnął duże kanciaste dłonie, patrząc w oczy bliźniakom.

– To za co pijemy? – zapytał basem Lel.

– Drugi się znalazł, zbawiciel świata, życzliwy, cholera... – jęknął Roman.

– Wasze zdrowie – zaproponował Misza. – I gospodarza.

– Zdrowie – powiedzieli równocześnie bracia i przechylili kieliszki.
– Próżniacy, jakich świat nie widział – burknął Roman, ale słyhać było, że te jego utyskiwania są dobrodusze. – Darmozjady.
– Misza, jak tu trafiłeś? – zainteresował się Lel, ignorując zupełnie Romana. Oblizął wargi, delektując się trunkiem.
– No – Asieniewicz zaśmiał się odrobinę zbyt nerwowo – jakoś tak wyszło. Wyrostki narozrabiały w metrze, a potem przeniknąłem przez ścianę...
Bracia spojrzeli na Romana, pytająco unosząc brwi.
– Oj – mężczyzna otarł rękawem usta i skrzywił się – pogodnik narozrabiał. Dokładniej jego ochrona. Wyczuli zagrożenie. Nie wiedzieć czemu, wzięli na celownik tego tutaj. Coś dziwnego się w mieście dzieje. Będziecie musieli przejrzeć sieć. Może się wreszcie na coś przydadacie.
– Lel – Polel skinął na brata głową – zasuwasz, młody.
– Pięć minut. – Lel zwrócił się do Miszy, sapiąc ze złością. – Starszy o pięć chrzanionych minut, a człowiekiem pomiata.
– Nie jęcz. – Roman znów napełnił kieliszki. – Bierz na drogę i zobacz, co się dzieje.
Asieniewicz chłonął wszystko jak gąbka. Miał wrażenie, że stał się częścią jakiegoś przedstawienia. Jedną z figur w gabinecie osobliwości. Zaczynał podejrzewać, że znalazł się w melinie, a wszystkie wcześniejsze wydarzenia to zwykła projekcja po zażyciu halucynogennych grzybków. Przez chwilę zastanowił się głęboko, czy czasem nie pracuje pod przykryciem, próbując spenetrować grupę narkomanów buszujących w trzewiach moskiewskiego metra. Mógł o tym zapomnieć, zakonspirował się zbyt głęboko. Słyszał już o takich przypadkach.
– Czym im mogłeś zagrozić, Misza? Słyszysz mnie?
Polel musiał zadać to pytanie po raz kolejny. Asieniewicz potrząsnął głową, próbując skupić wzrok na rozmówcy. Był już mocno wstawiony. Czuł odrętwienie w ustach. Uśmiechnął się, starając się otrząsnąć ze stanu melancholijnego upojenia.
– A czy ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Nic nie zrobiłem. Zobaczyłem ich, jak idą.
– Ochronę planetnika zobaczył? – Polel uniósł wysoko brwi. Od strony biurka rozległo się głośnie gwizdnięcie Lela.
– Zobaczył. – Roman przytaknął.
– Kim jesteś, Misza? Bo to, że milicjant, to czuć na kilometr... – Lel i Polel zarzeli jak dwa żrebaki.
– Następni. – Asieniewicz schował twarz w dłoniach. W jego głowie powstał wir, który wchłaniał w siebie wszystkie myśli.
– Obstawiam, że jest utopcem... Taki blady. – Lel zdążył włączyć komputer, ale bardziej go interesowało to, co dzieje się przy stole niż dane wyświetlone na monitorze.
– Nieee. – Polel pokręcił głową. Popatrzył na Miszę nieco podejrzliwie.
– Chrześcijanin? Ty?
– Nooo... – Asieniewicz ni to potwierdził, ni to zaprzeczył.
– Dziwne trochę. – Polel oderwał w końcu od Asieniewicza badawczy wzrok i spojrzał na Romana.
– Ano, dziwne – przytaknął gospodarz.
– Miałeś ty jakie trudne do wyjaśnienia przypadki w życiu?
– To znaczy? – zawahał się Asieniewicz.
– No, coś niezwykłego... Duchy widzisz? Rozmawiasz z nimi?
– Nie za bar... dzo. – Misza straszliwie czknął i przeprosił niezgrabnym ruchem ręki. – Ale ten dzień na pewno by się do takich zaliczył.

– Napijmy się jeszcze – zaproponował Roman. – Czasem trzeba się rozluźnić, by odpowiedź sama przyszła.

Misza ochoczo przełknął nalewkę. Znowu zgłodniał, więc sięgnął po resztki na talerzu.

– Masz coś, Lel? – ryknął Polel. – Czy znowu grasz w te głupie gry?

– Jakie znowu głupie. – Lel wyraźnie się obruszył. Na ekranie monitora mignął jakiś heros wymachujący mieczem na prawo i lewo. Potem znowu pojawiły się linijki tekstu i dane.

– Nie wytrzymam z takim bratem. – Polel ciężko podniósł się z krzesła. – Wszystkiego trzeba samemu dopilnować.

– Mamy problem – jęknął Lel. Popatrzył znacząco na Romana i Polela. – Za pogodnikiem wysłali list gończy. Za Miszą zresztą też... To grubsza sprawa.

– Jaki list gończy? – Misza zerwał się na równe nogi, zatoczył się jednak. Gdyby nie stół, wyłożyłby się na podłodze. Spojrzenia Romana i bliźniaków paliły żywym ogniem.

– Wpakowaliśmy się po uszy, Romek – cmoknął znacząco Polel.

Gospodarz zmrużył oczy i wyciągnął dłoń w stronę Asieniewicza.

Na Miszę ten gest podziałał niczym uderzenie pioruna. Zaczął się dusić w tym klaustrofobicznym betonowym pomieszczeniu. Zupełnie jakby zamknięto go w trumnie z trzema wariatami, którzy także jego chcieli przypawić o utratę zmysłów.

– Nie zbliżajcie się do mnie! – ryknął. – Ręce precz! Wara!

– Uspokój się. – Roman zmarszczył brwi. Polel w tym czasie okrążył stół, jakby chciał zająć Miszę z drugiej strony.

– Stać! – Asieniewicz skoczył w bok, nogi odmówiły mu jednak posłuszeństwa. Kolana ugięły się, a on zatoczył się na ścianę. Tak bardzo chciał stąd uciec, być jak najdalej. Z trudem odzyskał równowagę. Okręcił się na pięcie i nie wiedząc, co robi, rzucił się przed siebie.

W ostatniej chwili zobaczył ścianę. Wyciągnął rękę, chroniąc głowę, ale oczekiwane uderzenie nie nastąpiło. Przed Miszą rozpostarła się ciemność. Niespodziewana siła pozbawiła go tchu, naciskając na jego klatkę piersiową, a po chwili oślepiło go jasne światło, gdy wylądował na kolanach wprost na peronie.

Roman i bliźniacy popatrzyli na siebie.

– Ożeż ty... – zaśmiał się Roman.

– Sam przeszedł – jęknął Polel. – Widziałeś?

– Ściągnij go, Lel. – Gospodarz usiadł z powrotem na krześle i napełnił sobie kieliszek. – Ściągnij go, zanim zrobi sobie albo komuś krzywdę!



Miała ciężkie nogi – to od stania za ladą. Dzisiaj po południu zrobił się duży ruch, jak nigdy. Ksenia w nawale pracy zdążyła jeszcze zlecić znajomemu grafikowi zaprojektowanie plakatów i naklejek. Pomysł na te ostatnie przyszedł jej do głowy, gdy przecierała podłogę. Pomyślała, że można byłoby nakleić dwie przy wejściu, na kafelkach. Zamówiła też drukarnię, szef miał u nich dobrą cenę.

Wychodziła z Wiwy z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku i ulgą, że nie musi już siedzieć w tym sztucznie klimatyzowanym molochu. Źle się tu czuła, miała wrażenie, że wytwarza się w takich centrach handlowych jakieś podciśnienie. Marmury i zimne kafle, mieszanina zapachów, tysiące światel, muzyka, która stawała się nie do zniesienia po kilku

godzinach pracy. Dla Kseni była to mordęga. Walerik dobrze jej jednak płacił. I na razie nie mogła narzekać.

Zeszła do metra. Ruch zrobił się mniejszy. Wagoniki przyjeżdżały i odjeżdżały ze znajomym zgrzytem. Przed chwilą znalazła bilet – leżał po prostu pod jej nogami, gdy bez powodzenia szukała swojego w przepastnej torebce. Czasem coś takiego jej się udawało. W drobnych sprawach: zapomniany bilet, kilka monet na gazetę, trolejbus, który spóźniał się na przystanek dokładnie tyle, ile ona się spóźniła.

Jakby jakieś chochliki pomagały jej, by nie straciła wiary w życie i w siebie. Żeby zupełnie się nie załamała i nie poddała szarej prozie codzienności. Potrafiła się z tym pogodzić. Może więcej dostać nie mogła. Pewnie i tak zwariowałaby od nadmiaru szczęścia, więc lepiej, że go jej brakowało. Dobre rzeczy zdarzały się tylko po to, by utrzymać ją w przeświadczeniu, że świat nie do końca jest zły. Raczej nie mogła liczyć, że znajdzie walizkę z milionem dolarów.

– Kseniu, a co ty byś z tym zrobiła? – zaśmiała się cicho pod nosem.

Oddałabym na dzieci, pomyślała, nagle poważniejąc. W Moskwie jest więcej bezdomnych dzieci niż gdzie indziej. Pewnie na każdego moskiewskiego bogacza przypada jedno takie dziecko. Gdyby każdy miał w sobie choć odrobinę człowieczeństwa...

Wysiadła na swojej stacji. Przystojny młody mężczyzna uśmiechnął się do niej. Udała, że nie zauważyła. Wyglądał co prawda normalnie, nie na wariata, który miałby teraz za nią iść i, nie daj Boże, napaść. Jednak obawiała się takich sytuacji. Nie wierzyła, żeby w dzisiejszych czasach ktoś mógł się uśmiechnąć do obcej osoby zupełnie bezinteresownie.

Ruchome schody wyprowadziły ją na ulicę. Ruszyła znajomą drogą w stronę swojego bloku. W sklepiku Nataszy Kucewnej kupiła trochę białego sera, mleko, szczypior i rzodkiewkę. Miała ochotę na wiosenną kolację.

Na podwórku chłopcy grali w piłkę. Wszyscy jak jeden mąż powiedzieli jej dzień dobry, gdy przemykała chodnikiem w stronę klatki schodowej. Odpowiedziała, uśmiechając się do nich. Dwaj z nich byli jej sąsiadami. Matki miały z nimi urwanie głowy. Nie dość, że byli z nauką na bakier, to jeszcze wszczynali bójkę. Jednak jeden i drugi mieli dobre serca. Ksenia czuła to w głębi swojego. Oczami duszy nie widziała, by w przyszłości mieli zejść na złą drogę. Wręcz przeciwnie.

– Kseniu, dopiero z pracy?

Sąsiadka, Anastazja Poryszkina, praczka. Stała w drzwiach, pewnie przed chwilą wymyła klatkę, mimo że dzisiaj nie była jej kolej. Miała zniszczone dłonie, które zawsze przyciągały wzrok Kseni. Kiedyś dziewczyna kupiła jej specjalny krem do rąk, norweski. Była jednak pewna, że Anastazja używa go tylko od święta. Dobrze chociaż, że po długich namowach przyjęła kosmetyk.

– Z pracy. – Dziewczyna uśmiechnęła się, pomogła przytrzymać drzwi i podnieść wiadro wody.

– Młodzi ciężko muszą pracować w tych czasach... Od rana do nocy. Mój syn nie ma nawet chwili dla siebie. Ten świat za szybki jest dla nas, starych. Pędzi nie wiadomo dokąd.

Ksenia skinęła głową uprzejmie. Tak naprawdę uważała, że to pani Anastazja ma ciężką pracę. Świadczyły o tym te zniszczone artretyzmem dłonie, zgarbione plecy i pobrużdżona twarz z wyraźnymi śladami zmęczenia.

– Kilka godzin temu milicja była w tym nowym bloku. – Poryszkina ruchem głowy wskazała kierunek.

Ksenia odruchowo popatrzyła na budynek wzniesiony w ciągu roku kilkadziesiąt metrów dalej, otoczony płotem z masywną bramą.

– A co się stało?

– Zastrzelili jakiegoś biznesmena... Porachunki, podobno nie chciał płacić haraczu.
– To straszne – powiedziała Ksenia. – Nigdzie nie można czuć się bezpiecznym, nawet w swoim domu.
– Zwłaszcza w swoim domu. A ty sama chodzisz, późno wracasz. Teraz lato idzie, to dni dłuższe. Ale jesienią? Zimą? Niebezpiecznie tak.
– Co zrobić, pani Anastazjo... Pracować trzeba.
– Ano trzeba. – Kobieta pokiwała głową z namysłem. – Jednak przydałby się ktoś, kto by cię odprowadzał, był przy tobie.
– Jeszcze się taki nie znalazł. – Dziewczyna się zaśmiała.
– A ten, co tutaj był dzielnicowym? Kilka razy już nam pomógł. Wiem, że czasem tędy przechodzi jeszcze i patrzy w okna.
Ksenia zaczerwieniła się.
– Miły chłopak, ale ja nie mam na to czasu. Nie ma takiego na świecie, co by ze mną wytrzymał.
– Ale się znajdzie. – Poryszkina powiedziała to z pełną powagą. – Już niedługo. Czasem wystarczy się tylko rozejrzeć.
– Będę się rozglądać – zapewniła Ksenia, chcąc jak najszybciej zakończyć temat. – Pomóc pani ze schodami?
– A nie. – Teraz i kobieta się uśmiechnęła. Popatrzyła z zadowoleniem na wykonaną pracę. – Skończyłam już, tylko wodę wyleję... Idź do domu. Przytrzymałam cię, a zmęczona jesteś.
– Rzeczywiście pójdę już. – Ksenia dotknęła ramienia kobiety. – Dziękuję.
– Dobrego wieczora, córeczko.
Klatka pachniała środkami czystości. Dziewczyna ruszyła schodami w górę. Nie używała windy, przecież na drugie piętro miała blisko. Gdy stanęła przed drzwiami, przeszedł ją dziwny dreszcz. Zawahała się, wyciągając klucz z torebki. Może podziałała tak na nią informacja o strzelaninie w bloku obok? Od razu przyszedł jej do głowy Walerik. Czy szef kiedyś skończy z kulą w głowie? Raczej nie. Azer nie wyglądał na takiego, co by sobie dał w kaszę dmuchać, a i pewnie potrafił załatwić każdą sprawę. Zbyt wielu znajomych miał, żeby ktoś bezkarnie mógł go sprzątnąć.
Klucz włożyła do zamka. Poczula odrętwienie biegnące od palców dłoni do łokcia. Zupełnie jakby ją sparaliżowało. Po raz pierwszy nie chciała wchodzić do swojego mieszkania. Bała się. Ale czego?
– Kseniu, uspokój się – powiedziała do siebie. Przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Skąd ten strach? Przecież w mieszkaniu nikogo nie było. Zaraz włączy telewizor, zaparzy herbaty, rozgniecie ser... Te czynności przywrócą ją do normalności.
Drgnęła. Skrobanie za drzwiami. Niecierpliwe.
– Już idę, Arinko. – Ksenia zapomniała o swoich obawach. Przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Gdy zapaliła światło, wszystko wróciło do normy. Uśmiechnęła się, biorąc kotkę na rękę. Futrzak zamruczał. Ksenia uśmiechnęła się, zdjęła kurteczkę i zrzuciła buty.
– Zaraz coś zjemy, mała.



Doba podróży. Dworzec Białoruski w Moskwie pękał w szwach mimo późnej pory. To stacja końcowa dla ruchu międzynarodowego z zachodu. Batler wysiadł, przeciskając się pośród pasażerów taszczących z wagonów sterty waliz. On sam miał jedynie kupiony na szrocie mały wojskowy plecak, który nie krępował ruchów.

Moskwa pachniała inaczej. Jak dawno niewidziany znajomy. Kiedyś bliski przyjaciel, teraz, z upływem czasu, co najwyżej kolega, którego trudno było obdarzyć pełnym zaufaniem. To właśnie czuł Batler, zmierzając w stronę stacji metra obsługującego linię Okrężną.

Dziwne uczucie, radosne podniecenie. Marek miał wrażenie, jakby pokonywał tę trasę wiele razy, jakby znał kasy biletowe, perony i halę dworca. Ludzi z roziskrzonymi spojrzeniami lub zmęczonymi twarzami.

Popatrzył na tablice kierunkowe, nie podejrzewając nawet, że zna rosyjski. Informacje wypływały jednak z zakamarków umysłu. Nie potrafił ich posegregować, jednak jakimś przedziwnym sposobem same dochodziły do głosu.

W pobliżu dworca znajdowała się stacja metra obsługująca linie Okrężną i Zamoskworiecką. Zmierzał właśnie w tamtym kierunku. Zatrzymał się na chwilę przy kiosku, w którym starowinka sprzedawała gazety, podejrzone kanapki i napoje. Miał zapytać o mapę Moskwy, ale uświadomił sobie, że nie będzie mu potrzebna. Znow to przedziwne uczucie. Wiedział dokładnie, dokąd ma iść.

Staruszka uśmiechnęła się.

– Trzeba coś?

Batler pokręcił głową. Poprawił plecak i ruszył w stronę przejścia.

Dwóch milicjantów popatrzyło na niego uważnie. Marek nie odwrócił wzroku, choć wiedział, że może to sprowokować mężczyzn. Wydawało się, że upatrzyli go sobie chwilę wcześniej. Jeden zrobił nawet krok w jego stronę, wykonując przywołujący gest dłonią.

Nagle jednak jakby zmienił zdanie, okręcił się. Ręka powędrowała do czapki, niezdecydowana, czy ma ją zdjąć, czy poprawić. Drugi milicjant zapatrzył się w swoje buty. Wolno obrócił się plecami.

– Dobrze, chłopcy. – Batler wyminął ich z kpiącym uśmiechem.

Tak się czasem działo. Ludzie podświadomie wyczuwali kłopoty. Wtedy brał nad nimi górę rozsądek. Jakby aura Batlera chroniła ich przed popełnieniem życiowego głupstwa. Niezrozumiałe napięcie, priorytet przetrwania. To był impuls, który wpłynął na podatne umysły pozbawione woli.

Ten dar dodał mu pewności siebie. Wystarczyło spojrzenie, nieugięte postanowienie, by złamać słabą ochronę milicjantów. Czasem Batler miał ochotę pójść krok dalej, sprawdzić, na ile było go stać. Niech jeden z nich wyciągnie broń, przyłoży sobie do skroni...

Otrząsnął się i wyszedł na peron. Moskiewskie metro nie miało sobie równych. Robiło wrażenie na każdym, kto pierwszy raz widział te przestrzenie przypominające pałacowe pokoje. Lustra, lampiony, złożone kasetony. To tak, jakby nagle znaleźć się w Zamku Królewskim, tylko zamiast wychodzącego na nasze przywitanie kustosa, ze ściany wyłania się wagonik pociągu. Złudzenie psuły jedynie elektroniczne wyświetlacze z czerwonymi cyferkami odmierzającymi czas do przyjazdu kolejnego składu.

Wyszedł na powierzchnię i odetchnął ciepłym powietrzem. Ta wiosna była szczególnie gorąca. Batler wyczuł zapach spalenizny. Jakby pożary, które widział za oknem pociągu, przeniosły się w pobliże miasta, na przedmieścia.

W Moskwie wyczuwalne było podskórne napięcie. Widać je było na twarzach ludzi, w przygnębiającej czerni miasta. Kilku wyrostków stało w bramie, a gdy obok nich przechodził,

zamilkli, schowali się w cieniu. Zmęczony mężczyzna wracał do domu, z trudem trzymając pion. Wewnętrzny kompas wskazywał mu jednak bezbłędnie drogę.

Taki sam kompas miał w sobie Batler. Z daleka dojrzał wysoki budynek z betonowych płyt. On też miał swoją aurę, inną niż pozostałe. Krwawą, jakby już został raniony. Gdzieś w trzewiach toczył go rak.

Chodnik prowadził wprost do klatki schodowej. Marek popatrzył w górę, na drugie piętro. W okno, w którym wciąż paliło się mdłe światło lampki. Właśnie tam zmierzał.

Otworzył drzwi, nie zapalił światła. Wołał iść w ciemnościach. W nozdrza uderzył go zapach środków czystości.

Krok po kroku, do góry. W śpiącym budynku, z ludźmi, którzy w trzewiach betonowego kolosa spali, umierali, żyli, kochali się. Wyczuwał ich myśli, senne marzenia. Słyszał przytłumione głosy odbiorników telewizyjnych, pokasływania chorego na płuca staruszka, skrzypienie łóżka pod małżonkami, którzy od tygodnia nie zamienili ze sobą nawet słowa.

Ta ciemność była intymna, tak mu bliska.

Zatrzymał się pod drzwiami. Dotknął ich dłonią. Były chłodne, jakby przeczuwając jego przyjście, próbowały odstraszyć. Drobne drżenie, wibracje na skórze. Jego ofiara za drzwiami nie spała.

Batler otworzył zamek bezdźwięcznie. Nacisnął klamkę, która wydała jedynie nieokreślony dźwięk na progu słyszalności. Wszedł do środka. Poświata telewizora rzucała blade cienie na ściany wąskiego przedpokoju. Kurtka na wieszaku, buty równo ułożone. Zapach rzodkiewki i ledwie wyczuwalna nuta delikatnych perfum. Wchodził do mieszkania jak do jakiegoś sanktuarium po to, by wziąć udział w odwiecznym rytuale.

Staął w progu. Zobaczył ją, jak siedzi w fotelu. Przysypiała, oglądając serial w telewizji. Nogi miała oparte na pufie, książka leżała na dywanie obok szklanki z niedopitą herbatą.

Na jej kolanach siedział kot, który patrzył w oczy Batlera, jakby nie dowierzając, że ktoś jeszcze pojawił się w mieszkaniu.

Marek wyciągnął broń i skierował ją w stronę dziewczyny. Kot prychnął, zjeżył się, szczerząc kły.

Dziewczyna krzyknęła zaskoczona, ale jej głos załamał się, został wchłonięty przez otoczenie. Próbowała się podnieść, przewróciła puf, upadła na kolana.

Sierść kota przypominała najeżone szpikulce. Zwierz urósł, napęczniał nienaturalnie gotowy do skoku.

Batler zawahał się. Stało się coś dziwnego. Czyżby się pomylił? Ta chwila trwała jednak krótko. Nie walczył z myślami. Wymierzył broń i nacisnął spust. Nigdy nie chybiał.



W mieszkaniu było zimno, bardzo zimno. Ksenia odruchowo potarła ramiona. To było takie niezwykajne. Na dworze za dnia gorąco, duchota wieczorem, a w domu... Zupełnie jak zimą, gdy kaloryfery nie dawały ciepła.

Postawiła czajniczek na kuchence. Płomień zapalki rozbłysnął i zgasł, jakby zduszony. W końcu jednak udało jej się zapalić gaz. Arinka wskoczyła na parapet i wydała z siebie żalosne miauknięcie.

– Głodna?

Ksenia wyciągnęła przygotowany wcześniej posiłek i postawiła na podłodze. Kotka jednak fuknęła tylko. Wyglądała na rozdrażnioną.

– Już jestem. – Ksenia podeszła do niej i zanurzyła dłoń w gęstym futerku. Podrapała przyjaciółkę za uchem. – Nie złość się więcej.

Wzrok dziewczyny powędrował na kwiatek, przy którym siedziała kotka. Ksenia zamarła. Storczyk, który był jej chlubą, całkowicie usechł. Szary badyl tkwił jak szpikulec w ziemi. Gdy go dotknęła, poczuła, jak rozsypuje się w jej dłoniach.

– Co się stało?

Spojrzała na Arinkę, jakby ta mogła jej odpowiedzieć. Jeszcze dziś rano storczyk miał się świetnie. Różowy kwiat, niespotykany, z listkami zebrany w trzech okółkach. A teraz? Może przez ten chłód?

Ksenia poczuła mrowienie w palcach trzymających łądzkę. Pęd przesunął się w palcach, zazielenił. Dziewczyna wydała z siebie westchnięcie zaskoczenia i odsunęła dłoń.

Gdy ponownie spojrzała na storczyka, pęd znów obumarł. Arinka zjeżyła sierść i uderzyła łapą w doniczkę, która przesunęła się na skraj parapetu i rozbiła o podłogę.

– Dziękuję. – Ksenia odwróciła się od okna.

Była rozrzęsiona. Gwizdek w czajniku odezwał się przeciągłym sykiem. To przywróciło jej wewnętrzną równowagę.

Wyciągnęła z szafki szklankę i wsypała do niej listki herbaty. Odczekała chwilę, aż woda przestanie bulgotać, i wlała ją do naczynia.

Potem przygotowała ser z rzodkiewką i szczypiorkiem, mimo że straciła ochotę na jedzenie. Położyła wszystko na tackę i przeszła do dużego pokoju.

Arinka czekała już na nią, sadowiąc się na oparciu fotela. Dziewczyna zajęła miejsce obok i włączyła telewizor. Wyrzuciła z pamięci to, co stało się w kuchni. Tak samo jak wiele razy wcześniej.

Najpierw obejrzała wiadomości. Zdjęcia pożarów ogarniających lasy pod Moskwą wzbudzały w niej niedowierzanie. Tyle nieszczęścia wokoło, jakby człowiek nie miał już wystarczająco dużo zmartwień. Spalone domy, ludzie, którzy nie zdążyli przed tym strasznym żywiołem. Prognoza pogody nie wróżyła dobrze. Niespotykane upały dopiero miały nadejść. Wiosna zapowiadała się na najgorętszą od dziesiątków lat. Żar z nieba w Moskwie potrafił roztopić człowieka niczym lody.

Potem na kanale pierwszym emitowano film, który Ksenia oglądała, nie zastanawiając się nawet nad jego treścią. Gdyby ktoś zapytał ją teraz, o czym jest ten film, nie byłaby w stanie odpowiedzieć.

Zaczęła przysypiać. Położyła nogi na pufie, a Arinka umościła się na jej kolanach. Spokojnie i ciepło. Lampka zamrugła przy spadku napięcia, lecz Ksenia nie zwróciła na to uwagi. Powieki ciążyły jej, jakby były z ołowiu. Powinna wstać, umyć się i pójść do łóżka. Nie chciało się jej jednak.

Kotka poruszyła się, uniosła łeb. Po chwili zjeżyła futro i prychnęła. Ksenię to zaniepokoiło. Spojrzała w bok, wydając zduszony okrzyk. W drzwiach pokoju stał mężczyzna, w dłoni trzymał rewolwer.

Dziewczyna próbowała podnieść się z fotela, ale ogarnęła ją słabość. Przewróciła puf i upadła na kolana. Kotka skoczyła w stronę napastnika. Ten wymierzył broń, zawahał się, a potem strzelił.

Te ułamki sekundy wydawały się wiecznością. Ksenia straciła oddech. Czyżby tak przyszło jej umrzeć?

Nie poczuła bólu. Arinka tymczasem obróciła się w powietrzu, kłęb futra rozprysnął się.

Kotka wydłużyła się, jakby była z gumy. Wydała z siebie niewiarygodnie nieludzki pomruk. A potem upadła, uderzając tępo o podłogę.

Ksenia zakryła dłonią usta. Zwierzak wił się na podłodze, sycząc niczym wąż. Futro skąpane we krwi schodziło płatami, ciało pęczniało, formowało, zmieniało się w oczach. Ściągną zagrały pod cienką skórą, członki wydłużyły się, a trójkątny łeb zamienił się w ludzką głowę.

Ksenia patrzyła w rozszerzone oczy, które nie przypominały już kocich. Cienkie blade usta wykrzywiły się w bezzębnym uśmiechu. Kosmyki szarych włosów zlepily się na trupio bladym czole. Szponiaste dłonie przejechały ze zgrzytem po podłodze.

Kroki mężczyzny, a potem znów huk, niczym uderzenie młota. Szczątki znieruchomiały, uśmiech zgasł.

– Zmora... – Głęboki głos wypełnił pomieszczenie. – Powinnaś być mi wdzięczna.

Ksenia zwinęła się w kłębek. Zadrżała, a potem wymiotowała na dywan.

– Podnieś się.

Dłonie mężczyzny zacisnęły się na jej ramieniu.

– Idziesz ze mną!



– Znasz mojego ojca? – zapytałem.

Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, kiedy trafię na informację o nim, i w jakich okolicznościach to się stanie. Cóż, tego nie przewidziałem w najśmielszym scenariuszu. Teraz jednak nie byłem pewny, czy chcę, by ten temat się rozwinął. Czasem lepiej żyć w nieświadomości, z jątrzącą się w sercu raną. Niedaleko pada jabłko od jabłoni? Coś rzeczywiście jest w tym powiedzeniu.

– Znałem...

Kolejne słowa wywracające świat do góry nogami.

– Nie widziałem go całe lata. Nie wiem, czy żyje. Choć obstawiałbym, że ten skurczybyk zawsze spada na cztery łapy.

Skinąłem głową. Nie wiem, czy z wyrazem ulgi, czy rozczarowania.

– Jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody. Wyglądasz jak jego młodsza wersja.

Witold zaśmiał się i uderzył otwartymi dłońmi w kolana.

– Powiedziałeś, że był w podobnej sytuacji. Co miałeś na myśli? – Nieznośna chryпка sprawiła, że mój głos zabrzmiał obco.

– Jego pierwsza misja... – Witold położył dłonie na stole i przesunął długim wypielęgnowanym paznokciem po blacie. – To było jeszcze za czasów Związku Radzieckiego. Pojechał do Moskwy, sprawę załatwił w kilka tygodni. Ruscy Polskę opuścili, kolos na glinianych nogach się zachwiał, co nie udało się innym przez kilkadziesiąt lat...

Zaśmiałem się.

– Sugerujesz, że ojciec miał coś wspólnego z rozpadem Związku Radzieckiego?

Witold spojrział na mnie poważnym wzrokiem.

– Nie żartuj sobie, synku, z tych spraw – ostrzegł, szczerząc kły. – Smrodem dla mnie jesteś. Nie rozumiesz tego, to morda w kubeł.

Siedział napięty, wydawało się, że gotowy do bitki. Zacisnąłem szczęki, czekając, aż mu przejdzie. W tym skórzanym płaszczu wyglądał na zawadiakę. Zastanawiało mnie, czy to słabość

agentów wszelakiej maści. Zupełnie jakby wszyscy naoglądali się zbyt wielu filmów sensacyjnych, *Matrixa*, *Blade 'a*... Przecież w czymś takim musiało im być gorąco jak diabli. Poza tym skóra była ciężka i na pewno krępowała ruchy.

– Dobra – odezwałem się w końcu. – Niech ci będzie. Czego chcesz ode mnie?

– Ja od ciebie? – autentycznie się zdziwił. – Ja, synku, niczego od ciebie nie chcę. Ciesz się, że ze względu na przyjaźń z Mentorem i szacunek dla twojego starego postanowiłem ci uratować skórę.

Znów skinąłem głową. Nie zrobiłem tego jednak zbyt gorliwie. Pamiętałem też, żeby się głupkowato nie uśmiechać. Jakoś nie miałem zamiaru go rozsierdzić. Czulem, że to lekceważące „synku” w jego ustach ma znaczący wydźwięk.

Pomyślałem o moim ojcu. Chciałem wyciągnąć z Witolda więcej, ale czulem, że niechętnie będzie udzielał odpowiedzi. Zresztą, swojego rodziciela za bardzo nie pamiętałem. Opuścił matkę i mnie, gdy miałem może rok, a ciepłych wspomnień nikt we mnie nie pielęgnował. Teraz w jakiś niepojęty sposób nasze ścieżki przecięły się w czasie i przestrzeni. Nie mogło być w tym przypadku, ale czy byłem w stanie całą tę sprawę rozgryźć i zrozumieć?

– Mentor go znał? – Wzburzyła mnie ta nagła myśl. – Dlatego zostałem zatrudniony?

– Znał. I nie tylko dlatego – odpowiedział rzeczowo Witold.

– Zanim szef zginął, zanim go zamordowali, chciał czegoś ode mnie. Chciał mi coś powiedzieć. To wszystko było cholernie dziwne. Nie przesłuchali mnie, zamietli sprawę pod dywan.

Mój rozmówca patrzył mi w oczy. Skinął wreszcie głową.

– Mam nadzieję, że inteligencję też po ojcu odziedziczyłeś i zaczniesz wreszcie myśleć. Wyciągnąłeś z tego wszystkiego jakieś wnioski?

Wiedziałem, że Witold będzie teraz po mnie jechał jak po łysej kobyle. Swoje musiałem wycierpieć. W jego mniemaniu nie byłem osobnikiem, z którym mógłby prowadzić dyskusję na tym samym poziomie.

– Ktoś w Agencji współpracuje z tymi, którzy próbowali mnie dorwać – wypaliłem. Zawahał się i uniósł wysoko brwi.

– Wreszcie zaczynasz mówić z sensem. To pewne, że przeniknęli do Agencji. Od dawna mówiłem Mentorowi, że rozdmuchał ją do granic absurdu. Administracja, płotki w terenie. Uważał, że tego wymaga utrzymanie pozorów. Zapewnienie idealnej przykrywkii. A ja ostrzegałem, że wkręcą się do naszych ci z Departamentu Wschodniego albo jeszcze gorsze typy.

– Z Departamentu Wschodniego?

– Długo by wyjaśniać. Tyle czasu nie masz...

– Będą mnie szukać. – Powoli zaczynałem rozumieć moją sytuację. Robiło mi się coraz bardziej nieswojo.

– Dlatego nie możesz tutaj zostać. Mam na myśli ten kraj. – Znów przesunął paznokciem po blacie. Przejmujące skrzypnięcie przyprawiło mnie o ciarki. – Mam dla ciebie paszport, wizę i bilet. Prywatny lot, wszystko załatwione.

– Mam lecieć do... – zawahałem się. W gardle utkwiła mi kulka wielkości melona.

– Tak, do Moskwy. – Rozszerzył nozdrza, jakby wyczuł mój strach. – Będziesz musiał zająć się tą sprawą.

– Mam tam lecieć sam? – Pokręciłem głową, patrząc na teczkę leżącą między nami na stole. Dla mnie było jasne, że pcham się z głową na szafot. – Bez ciebie?

– Ja się stąd nie ruszam. – Podniósł dłoń do światła i popatrzył na swoje paznokcie. – To twoja brocha. Dla mnie jasne jest, że musisz odnaleźć osoby z dossier. Zresztą obstawiam, że Mentor sam chciał ci to zlecić, zanim go załatwili.

- Przecież nawet nie wiem, kim są osoby z tej teczki! Czy to przyjaciele, czy wrogowie?
- Myślę, że szybko się przekonasz. – Witold uśmiechnął się półgębkiem.
- A potem? – zapytałem. – Co mam zrobić potem?
- Potem improwizuj, twój ojciec był w tym całkiem niezły!

II. Mętne wody

Sądy Światowida

Bogunka dziecko we wsi zamieniła,

Cudze zabrała, swoje podzuciła:

Leży boginiak w kolebeczce chłopskiej,

Nos ma perkaty, oczy w żółte kropki.

Skwierczy odmieniec, skrzypi i sepleni...

Kazimiera Hłakowiczówna, *Słowik litewski*

nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1936, s. 111.

Kilka minut przed zamknięciem banku w głównym holu pojawiło się pięciu komandosów. Ubrani w granatowe kombinezony, w tytanowych hełmach 6B6, używanych w Rosji tylko przez jednostki specjalne. Byli uzbrojeni w karabinki szturmowe AK-74M i pistolety makarow. Błyskawicznie obezwładnili ochroniarzy Alternatywy M, jednej z największych agencji ochroniarskich w Moskwie. Przedarli się przez zabezpieczenia i korytarz prowadzący do skarbcza. Komandosom towarzyszył ubrany w sportową kurtkę młody mężczyzna. Akcja trwała zaledwie pięć minut, potem komandosi i młodzieniec ulotnili się jak kamfora.

Błyskawicznie zaalarmowano Federalną Służbę Kontrwywiadu. Na miejsce przybył sam szef moskiewskiego zarządu FSK Maksym Goradow. Otwarta konfrontacja służb specjalnych w Moskwie nie była mu na rękę i szybko stała się gorącym tematem w mediach.

Na miejscu był już Leonid Zwałka, były oficer wywiadu KGB, obecnie szef departamentu moskiewskiej Alternatywy. Mężczyźni znali się od wielu lat. Teraz zdawkowo się przywitali, obserwując w milczeniu pracę swoich ludzi.

– Maks – pierwszy odezwał się Leonid. Z pokorą, bo Maksym Goradow wzbudzał w nim mieszane uczucia. Po trochu lęk i podziw dla jego dokonań. Goradow był wciąż uważany za tego, który w Moskwie może wszystko. – Nie wiem, kto to zrobił. Wygląda na robotę naszych, ale...

– Tu nic nie będzie się dziać bez mojej wiedzy, Loszka. – Maksym mówił łagodnie, choć był rozdrażniony. Nie spał już dobrze, piekł go oczy, które teraz pocierał opuchniętymi palcami. – Masz kamery? Puść mi, zobaczymy, co zmagistrowali. Wyciągnę ich i z piekła, jak będzie trzeba, przecież mnie znasz.

Zwałka skinął głową i trochę się uspokoił. Jego przyjaciel nigdy nie rzucał słów na wiatr.

Przeszli do gabinetu dyrektora banku. Leonid czuł się tutaj jak u siebie. Jeden z jego ludzi zainstalował sprzęt, DVD i telewizor. Płyty z nagraniem przyniósł roztrzęsiony informatyk.

– Zaglądałeś tam? – zapytał Goradow. – Odtwarzałeś film?

– Tylko na szybkim... podglądzie. – Po czole informatyka spłynęła gruba kropla potu. – Przyciąłem pliki.

– Zuch – skomentował beznamiętnie Goradow. – Uruchom to świństwo i wyjdź.

Zwałka usiadł w fotelu, bezwiednie zaciskając palce na oparciu. Goradow rozsiadł się tymczasem ciężko na biurku. W dłoni trzymał pilota, którego wycelował w Leonida zamiast w telewizor. To sprawiło, że Zwałka poczuł się nieswojo. Jakby zamiast plastiku w dłoniach przyjaciela tkwił zimny stalowy przedmiot, z którym nie chciał mieć do czynienia.

Na ekranie pojawiły się cyfry: dokładny czas, kiedy do banku weszli komandosi. Potem Zwałka i Goradow zobaczyli przemykających niczym cienie najemników. Poruszali się po głównym holu sprawnie i szybko, bez wahania. To, jak dziecinnie łatwo poradzili sobie z ochroną, wywołało u Leonida rumieniec na twarzy.

– Twój ludzie to dupy, nie specsłużby! – skomentował Goradow. – Przyzwyczaili swoje cztery litery do posadki. Trzeba wrócić do starych metod...

Zwałka nie odzywał się. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Zupełnie jakby ktoś puścił mu

sensacyjny amerykański szajs. Kilku aktorów rozpierdziałało marnych statystów niczym jakieś manekiny.

– Zabili kóregoś? – zapytał rzeczowo Goradow.

– Nie. – Leonid musiał odkaszlnąć, bo złapała go chrypka. – Obezwładnili. Nawet jednego wystrzału.

– Nawet jednego... – Szef FSK pokręcił z niedowierzaniem głową. – Szkoda! Może dostaliby nauczkę! Zastanawiam się tylko, czy to głupota, czy prowokacja.

– Profesjonaści... – zaczął się Zwałka usprawiedliwiać, ale zamilkł, widząc karcący wzrok przyjaciela.

Patrzyli, jak komandosi wchodzą do skarbcza. Wtedy w polu widzenia pojawił się ktoś jeszcze: młody mężczyzna, wydawałoby się, że niemal chłopiec. On jeden nie miał twarzy zasłoniętej kominiarką. Krótkie blond włosy, sportowa kurtka. Był spokojny. Wszedł do skarbcza, jakby wchodził do sklepu po bułki.

– Roześlemy jego rysopis po wszystkich posterunkach. Będziemy go mieć jeszcze dzisiaj!
– Zwałka uniósł się w fotelu. Wreszcie coś wydawało się iść dobrze w całym tym piekielnym bagnie. Usiadł jednak równie szybko, jak wstał, gdy zobaczył pobladłą twarz Goradowa.

Popatrzył znów na telewizor. Komandosi znikli, w skarbczu został tylko chłopak. Uniósł dłonie, łącząc je w przedziwny sposób, tak że palce tworzyły sterczące promienie. I wtedy stało się coś, co przyprawiło Zwałkę o gęsią skórę. Drzwi skarbcza i personalnych skrytek zaczęły się wyginać, odskakiwać, jakby od środka wyważała je ogromna siła. Pieniądze, sztaby złota i wszystko, co miało wartość, zawirowało w pomieszczeniu, a potem opadło na wózki, które wciągnęli do środka komandosi.

Gdy chłopak skończył swoją pracę, odwrócił się w stronę kamery. Chwilę tak stał, patrząc prosto w obiektyw. Jakby chciał, żeby oglądający taśmy zapamiętali jego twarz. A potem obrócił się i wyszedł ze skarbcza.

Goradow wyłączył telewizor, a mimo to Zwałka przez dłuższą chwilę gapił się w pusty ekran. Bał się odwrócić w stronę przyjaciela. W końcu jednak się przemógł.

– Wiemy, jak wygląda – powiedział.

– Lepiej, żebyś zapomniał o tym, co tu widziałeś, Losza. – Goradow był jeszcze bledszy niż wcześniej. – Sprawy nie ma i nie było, rozumiesz?

– Jak to? – Zwałka poczuł, że serce mu się ściska tak, jakby zaraz miało pęknąć.

– Tak to. Ich się nie rusza, rozumiesz? – powiedział Maksym z naciskiem. – Zapomnij o tym, co widziałeś, dla swojego dobra.

– Ale oni wzięli jakieś dwadzieścia milionów!

– Co to dla ciebie dwie dychy? – Goradow machnął ręką. Odszukał w spodniach papierosnicę, wyciągnął papierosa i włożył go do ust. – Weźmiesz z tych swoich składek w towarzystwie sportowym... albo z kasyn, o których myślisz, że nikt nie wie.

Zwałka przełknął ślinę. Próbował się uśmiechnąć, ale nie był w stanie unieść kącików ust.

– Kto to był? Jak on... Jak to możliwe? – zapytał.

– Ciszej będziesz, dalej zajedziesz! – Goradow uniósł palec w górę, nakazując milczenie.
– A co do tego twojego informatyka...

– Dobry chłopak, nie piśnie słowa. – Zwałka czuł gorąc rozlewający się w brzuchu. Nie należał do strachliwych, teraz jednak wydawało mu się, że nie zapanuje nad zwieraczami.

– Zgłupiałeś, Leonid? – Goradow wyjął papierosa z ust i cisnął go w twarz Zwałki. – On i wszyscy, którzy mogli widzieć nagranie. Także ci, z którymi teraz rozmawia informatyk.

Wszyscy... Zrozumiałeś?

Zwałka skinął głową. Jeśli nawet Goradow odzyskał rumieńce, to on teraz na pewno nie

miał w twarzy ani kropli krwi.



Kariera Anatola Malczikowa należała do tych niezwykłych. Walczył w Afganistanie, został podziurawiony jak sito podczas jednej z akcji, jednak po krótkiej rekonwalescencji powrócił na front. Jeszcze przez dwa lata pełnił tam czynną służbę.

Po powrocie do Rosji zajął się interesami. Różnymi. Wciągnęli go przyjaciele z wojska, którzy uznawali Anatola za bohatera, nazywali niezniszczalnym i byli gotowi pomóc mu, po pierwsze, by uspokoić sumienia, a po drugie, by patrząc na męstwo i niezłomność Malczikowa, nie zapomnieć o własnych słabościach.

Anatol już po paru latach przejął kilka interesów na prowincji. Usamodzielił się i założył fundację mającą na celu pomoc żołnierzom wracającym z Afganistanu, tym poranionym zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Załatwiał pracę, pomagał w leczeniu.

Wrogów znalazł szybko. To musiała być dla niego kolejna próba charakteru. Pogrożki ignorował i choć przeczuwał zbliżające się nieszczęście, pozostawił wszystko w rękach Boga.

To, co stało się w ów niezwykły piątek, na długo miało umocnić przekonanie jego przeciwników o niewiarygodnym szczęściu, które było udziałem Anatola. Tego dnia jechał limuzyną ze swym radcą prawnym. Wracał z biura do domu. Napastnicy, którzy zablokowali ulicę, działali bez skrępowań. Dzień później doliczono się trzydziestu czterech dziur w masce samochodu. Radca zginął na miejscu, kierowca zdążył przebić barykadę, lecz zmarł kilka chwil później od ciężkich ran głowy. Malczikow zdołał odjechać i dotrzeć do przyjaciół. Zamach przeżył bez najmniejszego śladu zranienia.

Anatol wykorzystał nieudany zamach do umocnienia wizerunku niezniszczalnego. Kolejnych prób zabójstwa nikt się nie podjął, a jego imperium rosło w siłę. Wkrótce operował setkami milionów dolarów, które poszerzały coraz bardziej jego sferę wpływów. Lokalne dzienniki, prywatne stacje telewizyjne, politycy w kieszeni i milicja na usługach. Malczikow stał się jedną z najważniejszych postaci w Moskwie i Rosji. Co więcej, nikt nie miał zamiaru wtrącać się w jego interesy. Prawie nikt.

Kilkanaście miesięcy po zamachu w moskiewskim biurze Anatola pojawił się wysoki, długowłosa mężczyzna w towarzystwie kobiety o azjatyckich rysach. Usiedli naprzeciw niego w fotelach. Wystarczyło kilka słów, by Malczikow zbladł, a jego ciałem wstrząsnęły dreszcze strachu, jakiego dotąd nie przeżył. Ci ludzie znali tajemnicę, której Anatol strzegł jak źrenicy oka. Co więcej, byli w stanie odebrać mu dar, który, jak się Malczikowi wydawało, został mu dany na wieki.

Nawet na największą rybę znajdzie się haczyk. Tak mówił jeszcze za życia dziad Anatola i powiedzenie to sprawdziło się co do joty. Od tego momentu życie Malczikowa zmieniło się. Mężczyzna, który brutalnie wyrzucił mu świat do góry nogami, stał się jego cieniem.

– Wprowadźcie chłopaka – powiedział Anatol do swojego sekretarza. Zapadł się w ulubionym fotelu, wsparł brodę na dłoniach, opierając łokcie na podłokietnikach. Był zmęczony, z każdym dniem coraz bardziej. Stracił zapał kilka lat temu, a teraz wydawało mu się, że żyje i oddycha z przyzwyczajenia. Choć z tym jego życiem było przecież zupełnie inaczej.

Drzwi zamknęły się, a potem znów otworzyły. Wyrostek wszedł, a właściwie wsunął się

do pokoju niczym duch. Wydawało się, że myślami jest gdzieś daleko. Chłopcę twarz miał zamyśloną i zaciętą, oczy szare, puste. Choć można było w nich znaleźć ślady okrucieństwa. Na tym Anatol się znał.

– Usiądź... Możesz zdjąć kurtkę, ciepło jest.

Chłopak popatrzył na Anatola ze zdziwieniem, jakby dopiero teraz dotarło do niego, gdzie się znalazł. Na zaproszenie nie zareagował.

I dobrze, pomyślał Malczikow. Też chciał mieć to już za sobą.

– Dobrze się spisałeś – powiedział.

– Zrobiłem, co chcieliście. – Młody potrząsnął głową z lekceważeniem. – Jesteśmy kwita.

Dotrzymajcie obietnicy.

– Młodzi ludzie, a spieszą się, jakby im lat brakowało. – Anatol powiedział to niby do siebie, niby do swojego gościa. – Czasem trzeba rozwagi i czasu.

– Przyszedłem po nią.

Czy Malczikowi wydawało się, czy w głosie chłopaka dosłyszał nutę desperacji? Może młody wcale nie był taki głupi. Mógł przeczuwać, że wplątał się w sytuację bez wyjścia. Nie było tu mowy o wyrównaniu rachunków, spłacie długów. Jak połknął haczyk, to mógł go tylko przepchnąć dalej, żeby nie tkwił w gardle.

– Gdzie ona jest?

Anatol uniósł dłoń, dając znak, by chłopak się uspokoił. Młody naprężył się jak kot gotowy do skoku. Wysunął stopę do przodu, a ręce lada chwila mogły wyskoczyć z kieszeni kurtki. Jeszcze tego brakowało, by dłonie splotły się w znak. Malczikow o siebie się nie bał, chłopak krzywdy zrobić mu nie mógł, ale przyzwyczaił się do swojego biura. Po co było wszystko obracać w perzynę.

– Jeszcze jedno zadanie – powiedział.

– Nie. – Młody skrzywił się i zacisnął pięści.

– Jeszcze jedno zadanie. Będzie wolna. Ona, nie ty...

Chłopaka zatkało. Zacerpnął w płuca powietrza, a potem wypuścił je z głośnym sykiem.

– Kto wie, może pozwolimy ci na dłuższe wakacje, żebyś mógł się nacieszyć swoją...

zgubą.

– Już dwa razy.

– Co z tego? – Malczikow przerwał mu i uderzył pięścią w stół. – Były dwa, teraz będzie trzecie. Jak złota rybka albo dzin z lampy. Przecież jesteś takim dzinem, pogodniku. Prawda?

Chłopak popatrzył na swoje buty. Przygarbił się, młodzieńcza energia ulotniła się gdzieś i z niego. Anatol zastanowił się, ile chłopak ma lat. Osiemnaście? Na tyle właśnie wyglądał... A może osiemnaście setek? Jeszcze więcej? To byłoby dziwne, ale nie niemożliwe, chociaż pogodnik zachowywał się jak prawdziwy nastolatek.

– Kiedy?

– Zuch – skwitował Malczikow. – Dam ci znać. Myślę, że nie później niż za trzy dni.

Pogodnik skinął głową.

– Zostawię ochronę, żeby coś głupiego nie przyszło ci do głowy. Zaszuj się gdzieś. Za kilka dni siostra do ciebie wróci. – Anatol uśmiechnął się. Chłopak nie znał go jeszcze na tyle, by wiedzieć, że uśmiech u Malczikowa oznaczał tylko jedno: kłamstwo.

Pogodnik wyszedł. Uśmiech na ustach Anatola zgasł jak niedopałek papierosa.

Mężczyzna zastanowił się, jak bardzo różni się od tego chłopaka. Czy jego haczyk też tkwi wciąż w gardle, czy powędrował głębiej, do żołądka, do jelit.

– To kolejny twój dar, Anatol?

Długowłosa mężczyzna zmaterializował się przy biurku Malczikowa. Za plecami miał

swoją nieodłączną towarzyszkę, która teraz oparła się o ścianę. Założyła dłonie na piersi, wydawało się, że obserwuje wszystko od niechcienia.

– Jaki dar? – Malczikow przechylił głowę i spojrzał w oczy mężczyzny. Za każdym razem miał wrażenie, że patrzy w gorejące ognie piekielnej czeluści.

– Proroka. – Śmiech był dźwięczny, ale pozbawiony emocji. – Trzy dni?

– Myślę, że chcesz działać szybko.

– Nie jesteś tu od myślenia! – Przybysz położył dłonie na blacie i nachylił się w stronę Malczikowa. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, potem jednak Anatol dał za wygraną.

Mężczyzna odsunął się i usiadł na drugim fotelu, zakładając nogę na nogę.

– Czego chcesz? – Anatol poczuł, że się poci. On, niezniszczalny wojak, który nigdy niczego się nie bał. – Kolejnych pieniędzy? Jesteś zwykłym złodziejaszkiem? Na co ci one?

– Powoli... – Przybysz złączył dłonie i potarł nimi jak iluzjonista. W palcach pojawiła się płonąca kula wielkości piłki tenisowej. – Zważaj na słowa.

– Nie znudziło ci się to? Przez te wszystkie tysiąclecia, Perunie? – skrzywił się Malczikow.

Mężczyzna błyskawicznie wycelował. Gorący pocisk otarł się o policzek Malczikowa, zostawiając po sobie ślad poparzenia. Potem kula zatoczyła łuk i wróciła do właściciela.

– Ostrzegałem, nie wymawiaj mojego imienia...

Anatol skinął głową, walcząc z odruchem nakazującym mu dotknąć palącej rany.

– Po ostatniej akcji skierujesz podejrzenia na Grupę Most. Ochroniają dwadzieścia banków w Moskwie. Ma to wyglądać na wojnę wewnętrzną specsłużb. Podsycisz płomień przy pomocy swoich lojalnych pismaków... Chcę zamieszania w mieście, przyda się w najbliższych dniach.

– Co jeszcze? – Malczikow zrozumiał przynajmniej, że w całej rozróbie urządzonej przez pogodnika pieniądze były najmniej ważne.

– Artefakt. Za trzy dni... Tak jak przewidziałeś, Anatol. W mieście pojawi się posłaniec, Niemiec. Już kilka razy zawarliśmy z nimi pakt przeciw naszym wrogom.

– Chyba braciom – zakpił Malczikow.

Płonąca kula wystrzeliła z dłoni Peruna i uderzyła Anatola prosto w pierś. Mężczyzna zajął się ogniem. Próbował wstać, ale znów opadł na fotel. Nie wydał jednak z siebie nawet najmniejszego dźwięku. Kilka sekund później jego korpus zamienił się w szarą skorupę.

– Nyja... – Perun beznamyślnie przywołał kobietę, która, jak się zdawało, z trudem odsunęła się od ściany. Kręcąc biodrami, wolno zbliżyła się do biurka. Z rozbawionym wyrzutem spojrzała na swojego towarzysza, pogroziła mu palcem, a gdy ten się uśmiechnął, zbliżyła dłonie do szarej, stopionej płomieniem twarzy Malczikowa.

Zamknęła oczy i pochyliła głowę. Przez chwilę nic się nie działo.

Płomień w sercach goreje, krąg zatacza życie.

Śmierć w mej władzy, w mej władzy i dusza.

Wróć z Nawi, twój czas nie nadszedł jeszcze.

Posłuszny słowom powstań z prochu, w który się obróciłeś.

Z opuszków palców kobiety wydobyła się ledwie zauważalna smuga, jakby strzęp mgły. Przeniknął on przez szarą masę spopielonych szczątków. Życie wracało do Malczikowa powoli. Ciałem wstrząsnęły konwulsje. Jednak ścięgna, mięśnie i skóra przybierały swoją wcześniejszą postać. Mężczyzna ponownie nie wydobył z siebie nawet słowa, jęku, który byłby wyrazem ogromnego bólu, jaki zapewne odczuwał. Wręcz przeciwnie, gdy znów mógł usiąść w fotelu,

przetarł dłonią czoło i spojrzał hardo w oczy Peruna.

Nyja pomyślała wtedy, że coś w Malczikowie się zmieniło. Ledwie dostrzegalnego, ale determinującego jego przyszłość.

– Zważ na to, co mówisz. Ostatni raz ostrzegam! – wysyczał przez zaciśnięte zęby Perun.
– Pamiętaj, że dla mnie nie jesteś niezniszczalny. To ja daję ci życia. Miałeś ich już więcej niż niejeden kot.

– Raczej ona odbiera i daje życie. – Malczikow spojrzał na kobietę.

– Ale wedle mojego życzenia. Pamiętaj o tym.

Malczikow skłonił głowę w udawanej pokorze, nie potrafił jednak ukryć kpiącego uśmiešku. Perun zdawał się tego nie zauważać.

– Pogodnik ma zaatakować posłańca. Ma spróbować odebrać mu artefakt siłą.

– Myślałem, że posłaniec jest z tobą po słowie. Współpracowałeś już z nimi.

– Mówiłem, nie myśl, tylko wykonuj rozkazy. – Perun uśmiechnął się przebiegle. –

Pogodnik nie ma szans w konfrontacji z Sygurdem. Poświęćmy i jego, i jego ochronę. Dzięki temu zyskamy w Germanach jeszcze bardziej oddanych sprzymierzeńców. Pamiętaj tylko, żeby żadne ślady nie łączyły nas z pogodnikiem!

– Oczywiście. – Malczikow założył dłonie na piersi. Wciąż czuł żar, który wcześniej wybuchł tam z niszczącą siłą. Przez chwilę zrobiło mu się nawet żal pogodnika.

– Przygotuj wszystko, nie możesz mnie zawieść! Gdy artefakt znajdzie się w naszych rękach, zmienią się losy tego świata.

Perun i jego towarzyszka rozplnęli się w powietrzu.

– Losy świata... Nie tak łatwo je zmienić, choć wielu próbowało. – Malczikow zaśmiał się szaleńczo. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co się w nim zmieniło: jego strach się ulotnił. Zamienił się w kupkę popiołu, zupełnie tak, jak wcześniej on sam.



Do tej pory nie miałem problemów z zasypianiem w zatłoczonym autobusie, pociągu czy samolocie. Wystarczyło kilka sekund, bym jak na zawołanie wyłączył się i odpłynął w objęcia Morfeusza. To była bardzo przydatna umiejętność. Regeneracja sił często stawała się niezbędną. Mogła uratować życie.

Tym razem przez całą podróż nie zmrużyłem nawet oka. Lot trwał zaledwie kilka godzin z międzylądowaniem w Kijowie na Boryspolu. W Moskwie z lotniska Szeremietiewo dojechałem ekspresem do stacji metra Białoruskaja, gdzie przywitali mnie krzepcy rolnicy zdobiący wypolerowane ściany i imponujące łukowe sklepienie.

Mapę Moskwy i moskiewskiego metra kupiłem w kiosku u miłej staruszki. Doradziła mi, jak dojechać pod wskazany adres. Postanowiłem nie tracić czasu. Pośpiech co prawda nigdy nie był najlepszym doradcą, ale miałem przeczucie, że jeśli chcę uratować swoją skórę, powinienem działać. Nie mogłem mieć złudzeń, że nikt nie będzie podążał moim tropem. Odpowiedź na najważniejsze pytania tkwiła niczym wyrzut sumienia w szarej teczce, którą wciąż miałem przy sobie. Byłem w stanie uwierzyć, że znalezienie osób, których dane tam widniały, jest kluczowe.

Czułem, że działam w dużym pośpiechu, zbyt dużym, jak podpowiadał zdrowy rozsądek. Adrenalina robiła jednak swoje. Z każdą chwilą, która przybliżała mnie do celu, moja pewność siebie ulatniała się, by całkowicie wyparować, kiedy wyszedłem z metra na powierzchnię.

Duchota była tu jeszcze większa niż pod ziemią. Do tego mgła, a właściwie dym niemrawo przemieszczany słabymi ruchami powietrza. Język rosyjski na ulicy brzmiał obco. Chyba dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jestem w innym kraju i innej rzeczywistości.

Zatrzymałem się na chwilę na skwerze. Sprawdziłem mapę, choć doskonale wiedziałem, w którym kierunku iść. Być może potrzebowałem oddechu. Usiadłem na ławce i spojrzałem w górę. Nie byłem w stanie dostrzec gwiazd. Lampy zasnuwał lepki gęstniejący kokon. Wyczuwałem zapach spalenizny. Zakręciło mi się od niego w głowie.

Przypomniałem sobie artykuły w polskich gazetach. Pałace się torfowiska i lasy wokół Moskwy. Ludzie umierający częściej niż w innych latach na choroby układu oddechowego i krwionośnego. Podobno przebywanie na powietrzu w Moskwie i wdychanie tej zawiesiny równało się wypaleniu dwóch paczek papierosów.

Nigdy nie paliłem. Teraz miałem wrażenie, że z każdym kolejnym oddechem dziwna lepka substancja coraz bardziej pokrywa moje płuca.

– Ogień masz?

Wyrostek zaszurał butami tuż obok. Miał kaptur na głowie. Pewnie badał potencjalną ofiarę.

– Nie mam, sportowcy nie palą – powiedziałem po rosyjsku, starając się, by nie wyczuł obcego akcentu.

Zawahał się, a potem skinął głową. Zrezygnował i szurając adidasami po ścieżce, oddalił się do swoich kolegów przyczajonych za drzewami.

Wstałem nieśpiesznie i przeszedłem przez skwer na drugą stronę ulicy. Nie chciałem kusić losu. Z wyrostkami poradziłbym sobie bez problemu, ale nie miało sensu przyciąganie uwagi ciekawskich.

Widziałem już z daleka blok, szary betonowy płytowiec, który był celem mojej wędrówki.

Witold załatwił mi kontakt na następny dzień. Powinienem spotkać się z łącznikiem na jednej ze stacji metra. Jego znajomy miał przekazać mi broń, której nie mogłem przewieźć przez granicę, i pomagać w miarę możliwości. Nie mogłem jednak czekać. Gdybym teraz zadekował się w jakimś hotelu, nie wytrzymałbym ciśnienia. Głowa pękłaby mi na pół od nadmiaru myśli. Postanowiłem zawierzyć swoim przecuciom. Do tej pory mnie nie zawiodły.

Chodnik był nierówny, jednak uprzątnięty, krawężniki wokół trawników pomalowane na białe. Przypominało mi to czasy komunistycznej Polski. Wiosna oznaczała nie tylko porządki w domu, ale i na zewnątrz. Szare smutne miasta odświeżano na kilka chwil. Jakby to miało coś zmienić.

Popatrzyłem na klatkę z daleka. Potem na okna na drugim piętrze. Dostrzegłem w nich poświatę telewizora, niespokojne błyski. W większości domów oglądano ten sam program. Pewnie film sensacyjny.

Rozejrzałem się jeszcze raz uważnie dookoła. Jak myśliwy, który zastanawia się, czy inny łowca nie wpadł na trop jego zwierzyny. Potem uniosłem kołnierz kurtki i pochylony ruszyłem w stronę klatki schodowej.

Drzwi były uchylone, zamek zepsuty. Niby nic nadzwyczajnego w takich blokach, jednak wzbudziło to moją czujność. Domofon cicho buczał. Słysząc było przytłumione głosy, być może ktoś źle odłożył słuchawkę.

Pożałowałem, że nie mam przy sobie broni. Teraz jednak nie mogłem się cofnąć. Nie zapalałem światła, nadstawiłem za to uszu, opierając się plecami o ścianę. Chwilę tak stałem, chłonąc otaczające mnie dźwięki i zapachy.

Serce załomotało w piersi, ale zaraz się uspokoiło. Uderzenie adrenaliny wyostrzyło

myśli. Byłem teraz pewny, że ktoś mnie ubiegł. Strach. Czułem zapach strachu. Zwierzęcej, panicznej grozy. Nigdy nie pomyliłbym jej z niczym innym. Tyle razy w życiu czułem strach innych ludzi.

Wolno ruszyłem do góry, blisko ściany, zważając, żeby nie otrzeć się o nią przypadkowo kurtką. Zatrzymałem się przy drzwiach na drugim piętrze. Tu fetor przerażenia był największy. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Zwłoki leżały na dywanie obok przewróconego pufa. Jeden rzut oka wystarczył, żebym przekonał się, że to nie Ksenia Morozowa była ofiarą morderstwa. Obok trupa dojrzałem wymiociny, od których bił cierpki odór.

Spóźniłem się. Byłem jednak pewny, że dziewczyna żyje. Napastnik nie zabił jej, zmusił tylko do opuszczenia mieszkania. To strach Kseni wyczułem na klatce schodowej.

Zastanowiłem się chwilę. Nie miałem pojęcia, gdzie mogę ich teraz szukać. Nie miałem żadnego punktu zaczepienia. No, prawie żadnego. Pozostał jeszcze jeden adres z listy, który mogłem sprawdzić. Jeśli jeszcze nie było za późno, to właśnie tam powinienem spotkać tego, który w przypadku Morozowej okazał się ode mnie szybszy.

Popatrzyłem na ekran telewizora. *Nieustraszeni pogromcy wampirów* Polańskiego. Kusilo mnie, żeby obejrzeć film do końca. Znałem jednak zakończenie. Nie napawało mnie zbyt wielkim optymizmem.



Misza zwymiotował.

– Przytrzymaj mu głowę, Lel – zaśmiał się drugi z braci. – Zarzyga nam całą łazienkę.
– Sam go trzymaj. – Lel także walczył z odruchem wymiotnym. Jemu nie było do śmiechu.

– Coś taki wrażliwy się zrobił? Bo to raz wisiałeś na sedesie?

– Może i wisiałem, ale jak kogoś ciągnie, to i mnie niedobrze... Odwal się!

– Pod wodę go! – Roman wkroczył do łazienki z ręcznikiem. Wskazał na wiadro i kran. –
Byle zimną!

– Tu tylko zimna. – Poleł śmiał się do rozpuku, pociągnął jednak ledwo przytomnego Asieniewicza w stronę odrapanej wanny. – No, bracie, czas na kąpiel.

Misza bąknął coś niezrozumiale. Próbował się opędzić od Polela ręką jak od muchy, jednak w silnych dłoniach mężczyzn był wiotki jak trzcina na wietrze.

– Odkręcaj, ja go przytrzymam. – Lel zwalczył mdłości. Teraz w szaleńczym śmiechu dorównywał bratu.

Wiadro napełniło się wodą. Wspólnymi siłami zmusili Asieniewicza do zanurkowania. Jego głowa zanurzyła się tylko na sekundę, zaraz potem Misza wydał z siebie straszny ryk i poderwał się.

– Lej! – wrzasnął Roman. – Wylej mu kubeł na głowę.

Poleł uniósł wiadro. Zrobił to jednak tak nieporadnie, że zahaczył dnem o krawędź wanny. Pośliznął się, kubeł powędrował w górę, a woda chlusnęła mu prosto w twarz.

Lel nie wytrzymał i parsknął śmiechem, zwalniając jednocześnie uchwyt. Asieniewicz szarpnął się znowu z potężnym rykiem i uderzył Romana głową w brzuch. Potem wypadł z łazienki, zostawiając w niej swoich oprawców.

– Oby was... – zaklął Roman, podnosząc się z podłogi. – Jak nam znów ucieknie, to

obedrę was ze skóry!

Lel i Polel przestali się śmiać. Pozbierali się i wybiegli z łazienki. Ku ich zdumieniu Misza Asieniewicz się nie ulotnił. Wręcz przeciwnie – siedział przy stole, zjadając resztki jajecznicy i uśmiechając się chytrze.

Bracia popatrzyli na siebie i pokręcili głowami z podziwem. Ten nowy coraz bardziej ich zaskakiwał. Powoli nabierali do niego szacunku.

Roman wreszcie także pojawił się w pokoju. Rzucił ze złością ręcznik Polelowi i podszedł do Miszy, chwilę na niego popatrzył, a potem usiadł obok.

– Jajecznicy jeszcze doróbcie – zawołał do bliźniaków. – Chłopak zgłodniał, a mamy do pogadania!

– Wedle życzenia! – odburknął Lel, ale szybko wziął się do roboty.

Roman przez dłuższą chwilę milczał. Patrzył na gościa tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

– Twardszy jesteś, niż myślałem – odezwał się w końcu.

Lel akurat nakładał przygotowaną jajecznicę na talerze. Po chwili bliźniacy zasiedli za stołem, wlepiając równie uważne spojrzenia w Asieniewicza. Misza wzruszył tylko ramionami i zaczął szybko operować łyżką, pastwiąc się nad nową porcją.

– Ano, twardy – potwierdził po chwili Polel, jakby wcześniejsze słowa do gościa nie dotarły.

Asieniewicz otarł rękawem usta i spojrzał po kolei w oczy siedzących przy stole mężczyzn.

– Wódka mi pomogła – powiedział szczerze. – Prawdę mówiąc, gdyby nie ona, pomyślałbym, że szajba mi odbiła...

Lel i Polel zarechotali po raz kolejny.



– Jednak – Misza użył języka, żeby pozbyć się tkwiącego w zębach kawałka szynki – jak już przeszedłem przez tę... ścianę...

Wszyscy jak jeden mąż popatrzyli w tym samym kierunku.

– ...to zdałem sobie sprawę, że było tak, jakbym sobie przypomniał wszystko. Taka najnaturalniejsza sprawa na świecie.

– Zainicjowałeś się sam – oznajmił Roman. – Mogło się to różnie skończyć. Niektórym rzeczywiście, jak już powiedziałaś, szajba odbija.

Lel odkaszlnął i znacząco spojrział na Polela.

– I co teraz? – Misza chyba dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że jego życie nie będzie już wyglądało jak dotychczas. Nie był jednak do końca pewny, czy jest mu z tą myślą źle, czy wręcz przeciwnie.

– Chyba na razie przekimasz u nas – zdecydował wilkołak. – List gończy to nie przelewki. Jak sprawa przycichnie, zastanowimy się, co dalej.

Asieniewicz skinął głową.

– Sprawdzimy jego adres. – Lel poderwał się z krzesła i ruszył do swojego komputera. Wydawało się, że chwila bez elektronicznego przyjaciela jest dla niego chwilą straconą. – Zobaczymy, czemu się na niego uwzięli.

– Mieszkam...

Polel parsknął i uniósł dłoń, przerywając Miszy.

– Zaraz będziemy wiedzieć, czy posprzątałeś w chałupie. Po co nam twój adres?

Asieniewicz spojrział pytająco na Romana, ale ten wzruszył ramionami.

– Zabawki – powiedział. – Chłopaki lubią takie gadżety, ja jestem na to za stary.

Chwilę to trwało, ale w końcu od komputera dobiegł ich przeciągły gwizd.

– Co jest, Lel? – Polel stanął za plecami brata, a potem także zagwizdał.

– Ktoś siedzi w fotelu Miszy. Raczej nie ogląda telewizji. Powiedziałbym, że się tam na niego zasadził.

Asieniewicz wstał od stołu, zachwiał się. Zobaczył na ekranie monitora satelitarny obraz w podczerwieni. Duże zbliżenie. Jego mieszkanie. Idealny rozkład. W fotelu czerwono-żółta postać. Nieruchoma. Wydawałoby się, że nieżywa, gdyby nie przelewające się w tej ludzkiej formie fale, podobne do roztopionej magmy.

– Zgarnąć go i przyprowadzić – wydał polecenie Roman. – To nie pogodnik. Oj, zaczyna się robić coraz ciekawiej!



– Kim jesteś? – zapytała Ksenia drżącym głosem. Strach rozlewał się po całym ciele. Było jej niedobrze. Brakowało powietrza w płucach.

– Mógłbym cię zapytać o to samo...

Dziewczyna popatrzyła w ciemne oczy mężczyzny. Były nieruchome, wydawało się, że nieludzkie. Wysoki, postawny, budził strach. Wyglądał jak jakiś najemnik, żołnierz w cywilnym ubraniu. Morozowa pomyślała, że jest zawodowym mordercą. Kto wie, czy to nie on zabił tego biznesmena, o którym mówiła Poryszkińska. Czego jednak chciał od niej?

– Czy ja... Czy zwariowałam? – zapytała. – Moja kotka...

– Chciałaś powiedzieć: mara.

Zadrzała. Jego głos. Przenikał, wdzierał się w zakamarki umysłu.

– Czy budziłaś się w nocy, zachłystując się powietrzem, walcząc o oddech?

Ksenia skuliła się w sobie. Podwinęła nogi i objęła je ramionami. Nieświadomie zaczęła się kołysać.

– To nerwy, nerwica... Tak mówił lekarz.

Batler zaśmiał się. Wcześniej cały czas mierzył do dziewczyny z broni, teraz opuścił lufę.

– Widziałaś ją. Starą kurwę!

Zacisnęła powieki, to jednak przywołało tylko gorsze obrazy.

– Przyszedłeś ją zabić? – zapytała cicho.

Mężczyzna zawahał się.

– Nie – odpowiedział. – Przyszedłem zabić ciebie. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Twarz Kseni zrobiła się kredowobiała. Zakręciło jej się w głowie.

– Dlaczego? – To nawet nie było pytanie. Wydawało się, że dziewczyna wyrzuciła z siebie jakąś pretensję.

Wstał, podszedł do okna i odsunął zasłonę. Popatrzył w ciemny zaułek. Ogromny szczur buszował w śmietniku. Batler wiedział, że o wiele gorsze stworzenia pasły się na ludzkim brudzie. One były jego celem. Od czego jednak powinien zacząć? Zlikwidować skutek czy przyczynę?

– Dlaczego? – powtórzyła.

Próbował zrozumieć, kim jest ta dziewczyna. Dziś po raz pierwszy się zawahał. Źle odczytał znaki? Pomylił się? Gdy wchodził do budynku, miał jasny cel. Wszystko jednak się zmieniło. Odruchowo wystrzelił do mary, ukrywającej się pod postacią starej wyleniającej kocicy. Dobro i zło. Po której stronie stał on sam? Co jeśli cały czas się mylił? Jeśli te podszepty, które przejmowały władzę nad jego umysłem, pchały go ku zgubie? Może stał się narzędziem w czyichś rękach. Zaślepiiony, pełen żądzy zemsty. Jakiej zemsty? Czy nie powinien ochłonąć? Przecież sam nie wiedział, kim jest, co pcha go do czynów, których nie jest w stanie zrozumieć.

Ta kobieta w pociągu. Wydało mu się, że ją zna. Mówiła do niego niczym do starego znajomego, nie bała się go. Nie wiedziała, że chce ją zabić.

Teraz ta dziewczyna.

Batler spojrział na nią. Siedziała w kucki, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Jakby była w stanie przebić się mentalnie przez ścianę, zobaczyć za nią coś więcej niż pusty korytarz opuszczonego hotelu.

– Może to ty masz mi pomóc – powiedział do niej nieoczekiwanie. – Pomóc zrozumieć.

Spojrzała na niego. Nieobecna, może wciąż w szoku. Zwalczył odruch, by podejść do niej i położyć dłoń na ramieniu.

Uspokoił się. Wiedział, że pojawienie się tej dziewczyny w jego życiu ma znaczenie.

A to, że nie pociągnął za spust...

– Zabijesz mnie?

Dlaczego zapytała?

– Nie wiem. Na razie próbuję zrozumieć, kim jesteś i dlaczego znalazłaś się na mojej drodze. Nie chcę cię zabijać.

Jak to zabrzmiało? Batler znów wyjrzał przez okno. Był pewny, że dziewczyna nie ucieknie. Nie była w stanie. Właśnie zdała sobie sprawę, że sama nie wie, komu ufać. Jednak to Batler uwolnił ją od demona. To on wyrwał ją z pajęczej sieci tkanej powoli przez... przez kogo? Na to właśnie pytanie cholernie chciał znaleźć odpowiedź.



Popatrzył przed siebie, daleko. Świat zaskakiwał go coraz bardziej. Ulice, samochody, światła, nikomu niepotrzebne. Kolory kłujące w oczy i ten hałas. Sygurd najchętniej zasłoniłby uszy, a jeszcze bardziej chciał zniknąć z tej rzeczywistości.

Przywołali go jednak potężnym zaklęciem. Nie mógł się mu sprzeciwić. Zawsze tak będzie...

Cienie przesunęły się za nim i przez chwilę poczuł ciepły oddech wilka na policzku. Gdyby nie one, jego strażniczki, pewnie czułby się zagubiony. Niczym dziecko pozostawione przez rodziców na pastwę losu.

– Nie pokazujcie się, dopóki nie dam znaku – powiedział.

Przeszedł przez skwer. Ludzie mijali go, zupełnie nie zwracając na niego uwagi.

Śmieszne. Kiedyś przerastał najwyższych o głowę, teraz widział wysokich, smukłych ludzi, niemal sięgających nieba.

Tak wiele się zmieniło. On, ten, przed którym drżeli najdzielniejsi. Schodzili mu z drogi, bojąc się patrzeć w oczy. A teraz? W zasięgu wzroku pojawiło się kilku mężczyzn zbudowanych potężniej od niejednego herosa. „Karki”, przypomniał sobie określenie. Sterydowcy, przerzucający tony żelaza na tych ich siłowniach.

To nie był czas dla prawdziwych herosów.

– Zagrożenie – wysyczała jedna z walkirii.

Wyczuł to już wcześniej. Obserwowali go, wiedzieli, gdzie się pojawi. Wyglądało na to, że zastawili pułapkę.

Sygurd nie poczuł nic, może tylko zmęczenie. Gardarike, dlaczego przysłali go właśnie tutaj? Właśnie jego. Znów.

– Sześciu, wystarczy twoje słowo. Zginą.

– Nie – powiedział szeptem. – Dopóki nie dowiem się, co pcha ich do samobójstwa.

Skręcił w boczną alejkę i skierował się w stronę fontanny. Ludzi tutaj było mniej. Może chowali się w domach przed duchotą albo wygnała ich późna pora. Walkirie i tak zaraz odetną to miejsce od postronnych. Za chwilę będzie tu całkiem pusto i cicho. Przynajmniej na jakiś czas.

Na razie jednak zobaczył kilku wyrostków. Wydawało im się, że będą niewidzialni wśród drzew, schowani za krzakami. Jeden z nich mierzył do niego ze strzelby.

Sygurd spokojnie przemierzył plac i usiadł na ławeczce. Czekał.

Nie pierwszy raz był świadkiem paktu German i Słowian. Ostatni raz ponad pół wieku temu, też tu, w Gardarike. Skutki tamtego paktu były straszne dla milionów. Perun, Weles i Świętowit. Brat przeciw bratu. Lata wojny, a potem kolejna zmiana frontu, Słowianie znów przeciw Germanom. Chyba wtedy ci pierwsi okazali się bardziej dalekowzroczni. Ambicje i pewność siebie German zgubiły ich. Jak będzie teraz?

– Oddaj mi to, z czym przybyłeś, Sygurdzie.

– To ty, pogodniku. Usiądź obok mnie. Wspomnijmy dawne czasy.

Chłopak usiadł. Sygurd przyjrzał się jego młodej przystojnej twarzy. Coś było w jego rysach, coś, co przejmowało serce nieokreślonym uczuciem litości.

– Sygurdzie...

– Dlaczego stajemy przed wyborami, które niszczą nasze nieśmiertelne dusze?

Pogodnik zamilkł. Wpatrywał się w herosa.

– Powiedz, bracie, czy świat nie był kiedyś prostszy? Czy czyny nie były bardziej jednoznaczne, a nasze wybory nie okazywały się tymi właściwymi?

Sygurd, nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował.

– Jesteś tu, jak się wydaje, wbrew swej woli, więc dlaczego mnie prosisz o coś, co do ciebie nie należy?

– Proszę, oddaj mi artefakt, z którym przybyłeś. – Głos pogodnika był mocny, jednak dławili go emocje. – Inaczej będę musiał odebrać go siłą.

– Inaczej będziesz musiał – powtórzył cicho Sygurd i spojrzał w niebo. Ciemne chmury przetoczyły się nad czubkami drzew. Co dziwne, pomruk burzy wydobył się z głębi ziemi.

– Pamiętasz, jak tworzyłeś burzę, by ulżyć w spiekocie dnia podróżnym? – zapytał Sygurd. – Jak cieszyłeś się ciepłym wiatrem, który laskotał policzki pięknej dziewczyny?

Pogodnik opuścił głowę na pierś. Zadrżał.

– Wiem, że tu są twoje strażniczki. Nie mam jednak wyboru, cofnąć się już nie mogę.

– Wybór, czym są nasze wybory?

Towarzysze pogodnika zaatakowali. On sam się nie ruszył, patrzył wprost w oczy Sygurda.

Kilka uderzeń mocy. Stłumiony odgłos wystrzału.

Parę sekund wystarczyło walkiriom, by uporać się z żółtodziobami.

Brunhilda stanęła z uniesionym mieczem nad planetnikiem, jednak Sygurd potrząsnął głową.

– Uciekaj – powiedział. – Za chwilę przyjdą tamci.

– Nie mogę, wybacz. – Pogodnik złożył dłonie w znak ogłuszenia.

Walkiria uderzyła płazem miecza po jego rękach. Chłopak jęknął z bólu.

– Uciekaj! Ostrzegam po raz ostatni! – Sygurd potrząsnął pogodnikiem i cisnął nim na kilka metrów do tyłu.

Przy fontannie zmaterializowali się kolejni goście, południce i wąpierze. Namierzili chłopaka, który próbował podnieść się z kolan. Wizg był okropny. Sygurd powstrzymał walkirie, które czekały tylko, by uderzyć w słowiańskie demony. Ich wilcze wierzchowce rwały się do walki.

– Nie, nie teraz – powiedział, patrząc, jak chłopak próbuje obronić się przed silnym ciosem zadany szponami wąpierza.

Na policzku planetnika pojawiła się krwawa szrama.

Sygurd znów poczuł zmęczenie. Wiedział, że za chwilę z chłopaka zostaną krwawe strzępy. A co robi on, heros? Czy w ogóle zasłużył na to miano? Cóż, być może wszystko teraz zmienia swoje znaczenie i trzeba się z tym pogodzić.

– Pozdrawiam cię, Sygurdzie. – Planetnik uśmiechnął się szelmowsko i zupełnie niespodziewanie okręcił się na pięcie. Jego postać rozsypała się niczym budowla z piasku i uniosła w powietrzu z podmuchem wiatru.

Sygurd złapał się za kieszeń i zaklął pod nosem. Przesyłka znikła, tak jak chwilę wcześniej chłopak. Jak mógł być tak nieostrożny?

– Sygurdzie!

Heros westchnął ciężko i odwrócił się do Peruna, którego poznał po głosie. Sprawy skomplikowały się znacznie. Teraz nawet walkirie nie były w stanie znaleźć planetnika.

– Gdzie artefakt?! – Perun wyglądał na rozjuszonego.

– Chciałbym to wiedzieć – odpowiedział buńczucznie Sygurd. – Pozwoliłeś, żeby mnie zaatakowali!

Perun zmierzył go wzrokiem.
– Znajdziemy go – oznajmił w końcu, wyraźnie spuszcżając z tonu. – Ważne, że widzę cię w zdrowiu.
Sygurd położył dłoń na piersi i skłonił głowę.
– Czy mogę liczyć na twą pomoc, Fafnesbane?
Heros zacisnął pięści na dźwięk swojego nazwiska.
– Mam ci pomóc, Perunie, takie dostałem rozkazy.
– Dobrze – skwitował Perun.
Sygurd usłyszał niespokojne szeptę walkirii. Zrozumiał, co się stało, gdy dostrzegł obok Peruna kobiecą postać.
– Witaj, Nyjo – powiedział. – Witaj ta, której boją się nawet walkirie.
Po raz pierwszy od dawna i on odczuł strach. W jednej chwili pojął, o co toczy się gra. Płanetnik został wrobiony. Słowianie rozpoczęli wewnętrzną wojnę.
– Kogo teraz chcesz zniszczyć, Perunie? Świętowita?
Perun popatrzył na Sygurda ze zdziwieniem, jakby nie dowierzał własnym uszom.
– Źle mnie oceniasz. – Zmrużył oczy. – Na tym świecie nie szukam wrogów. Wy ich zawsze szukaliście.
– A więc Weles. – Heros nie bawił się w dyplomację. Wyznaczyli go na posłańca i obserwatora. Po przekazaniu artefaktu tylko do tego ograniczała się jego rola. Przynajmniej oficjalnie. Kto wie, jakie zamiary mieli jego zleceniodawcy. Jeśli Słowianie zamierzali się wytłuc, pewnie będą łaskawi im w tym pomóc, a wtedy... – Zakładam, że potrzebujesz artefaktu w jednym celu: chcesz się dostać do Nawi. Co z tego będą mieli Germanie?
Na twarzy Peruna pojawił się nikły uśmiešek. Sygurd zrozumiał, jaka będzie jego odpowiedź. Żądza władzy, ona nigdy nie wygasa.



Stałem na wzgórzu. Teren, na który wjechali nasi, był trudny, jak zawsze w Afganii. Pagórkowaty krajobraz, skały i kamienie. W dole wioska, kilkanaście budynków. Droga, którą zbliżali się do zabudowań, była odsłonięta. Doskonały cel dla tych, którzy obsadziliby pobliskie wzgórza.

Sielankowy obraz. Jest gorąco, nie słychać nawet brzęczenia owadów. Wiem, że zaraz coś się wydarzy.

Pierwszy jedzie transporter Rosomak. Wybuch następuje właśnie pod nim. Wrak. Koledzy z drugiego wozu wyciągają rannych, zajmują pozycje obronne. Ostatni samochód w konwoju trafiony RPG-iem. Cztery samochody uwięzione. Dopóki nie wyczyszczą terenu, żaden wiatrak nie przyleci. Dowódca z trzeciego humvee miota się. Snajper namierza go w ułamku sekundy.

Zastępcą nie rozpoznał celu, dlatego nie decyduje się na otwarcie ognia. W wiosce są ludzie, błędna decyzja oznacza sąd. Zbiegam ze wzgórza, chcę im pomóc. Wiem, gdzie jest stanowisko RPG-a. Dojrzałem też snajpera. Muszę im pomóc, zanim będzie za późno...

Otworzyłem oczy. Chwilę trwało, zanim dotarło do mnie, gdzie jestem. Czułem, że w mieszkaniu Miszy Asieniewicza jest ktoś jeszcze. Uważnie mi się przypatrywał.

Dostrzegłem ruch po prawej stronie. Decyzja była szybka. Złapałem faceta za rękę i wykręciłem. Zaskoczyła mnie jego siła i zwinność. Wyśliznął się, jakby ramię miał z gumy. Było ich dwóch. O dziwo cofnęli się, patrzyli z zaciekawieniem. Wydaje się, że nie chcieli siłowej konfrontacji. Obserwowaliśmy się w półmroku.

– Poddaj się – powiedział jeden.

Tak nie zachowywali się profesjonaliści. Zastanawiałem się, kim są i co tutaj robią. Możliwości było kilka. Przyszli tu z tego samego powodu co ja. Czekali na Miszę. Dlaczego tego nie sprawdzić?

– Gdzie Asieniewicz? – zapytałem.

Popatrzyli na siebie i zaśmiali się. Ich zachowanie dziwiło mnie coraz bardziej.

– Co z nim zrobiliście?

Znów śmiech. Wykorzystałem tę chwilę i skoczyłem w stronę tego, który stał bliżej. Byłem szybszy. Uderzyłem w splot słoneczny, a potem stanąłem za jego plecami i zastosowałem chwyt blokujący kark. Facet zwiotczał.

Zobaczyłem, że ten drugi nawet się nie poruszył, tylko zaśmiał się jeszcze głośniejsze.

– Poddaj się – powtórzył. – Lepiej zrób to teraz. Za chwilę będzie za późno.

Tym, którego trzymałem, wstrząsnęły konwulsje. Nie zwolniłem jednak uścisku.

– Sam tego chciałeś – powiedział drugi.

Ocenilem, że wyciągnie broń, ewentualnie ruszy w moim kierunku, ale facet złączył dłonie i skierował je w moją stronę. Wyglądało to tak, jakby udawał, że robi mi zdjęcie palcami tworzącymi prostokątną ramkę.

– Zaraz twój kolega straci przytomność – ostrzegłem. – A jeśli mocniej przycisnę...

Stało się coś dziwnego. Nagle zdałem sobie sprawę, że napastnik, którego trzymałem, rzeczywiście się dusi, tyle że ze śmiechu. Wykorzystał chwilę mojej konsternacji i wyśliznął się zupełnie jak piskorz z uchwytu. Stał naprzeciw mnie w podobnej pozycji jak jego kolega.

– Chyba się zabawimy z nim, Lel?

– No jasne! – potwierdził drugi.

Usłyszałem odgłos podobny do wyładowania energetycznego. Skoczyłem w bok. Świetlny pocisk minął mnie i uderzył w ścianę.

Czas wydawał się zwalniać. Kolejna bladoniebieska kula zmierzała w moim kierunku. Zrobiłem coś zupełnie nieoczekiwanego dla samego siebie. Uderzyłem w nią ręką tak mocno, że pocisk zmienił kierunek i wrócił do właściciela.

Okrzyk zaskoczenia. Znów uskoczyłem w bok, próbując przemieścić się w stronę drzwi wyjściowych. Kula uderzyła jednego z mężczyzn. Przez jego ciało przeszły nitki wyładowań.

Jego kolega nie tracił zimnej krwi. Stał mi na drodze i wyrzucił w moją stronę kilka świetlnych pocisków naraz. Dwa pierwsze odbiłem rękami jak poprzedni. Uderzyły rykoszetem od sufitu i rozbiły się na podłodze. Kolejnych dwóch uniknąłem tylko dzięki refleksowi. Udało mi się schylić głowę i przeturlać w stronę łóżka.

Pewnie udałooby mi się też schronić za meblem, gdyby z zaskoczenia nie otrząsnął się drugi mężczyzna. Wyrzucił w moją stronę kolejną serię.

Pierwszy pocisk, o dziwo, nie zrobił mi krzywdy. Czuję tylko lekkie ukłucie pod żebrami. Kolejne jednak nie były tak łaskawe. Uderzyły w głowę i plecy. Jakbym dostał obuchem, ból wysał ze mnie wszystkie siły.

Próbowałem wstać, podnieść się na nogi, ale kolejna seria zwała mnie z nóg. Upadłem jak długi, uderzając głową o podłogę. Widziałem jeszcze, jak obaj napastnicy podchodzą do mnie i pochylają się. Przewrócili mnie na plecy. Byłem sparalizowany, nie mogłem poruszyć nawet powiekami.

– Cała seria i żyje, Pol – zauważył pierwszy.
– Powinien zamienić się w kupkę popiołu. – Drugi przyłożył palce do mojej szyi, badając puls. – Zaczyna mnie to wszystko przerażać, Lel. Zabieramy go ze sobą, zobaczymy, co powie Roman.

– Wyłącz go.

Mężczyzna dotknął mojego czoła, a ja zapadłem w nicość.

Znów Afgan. Niosą mnie. Jestem ranny. Już wiem, że dostałem się w ręce talibów. Cóż, taka dola specjalsów...

Jestem w jakimś budynku, kładą mnie na stole. Nie mogę się ruszyć. Wiążą moje ręce i nogi mocnym sznurem. Rozciągają ciało jak jakąś kukłę. Potem stół przewracają na bok.

Kopnięcie w brzuch i jeszcze jedno, w klatkę piersiową. W ustach metaliczny posmak, gęsta, słona ciecz.

Łamią mi żebra, wypływam zęb. Wymiotuję. Chcą informacji o drugim patrolu. Dziesięciu Polaków, policjanci i żołnierze afgańscy. W sumie sześćdziesiąt osób. Znają dokładną liczbę i czas wyjścia z bazy. Ktoś z naszego dowództwa zmienił jednak trasę.

Milczę. Nie dlatego, że jestem bohaterem, tylko raczej dlatego, że nie potrafię otworzyć ust i wydać jakiegokolwiek dźwięku.

Znów tortury, łamią mi palce.

– Masz pięć minut... Wrócę, gadasz. Nie, giniesz. – Jego angielszczyzna jest lepsza od mojej.

Brodaty talib przystawia mi lufę makarowa do czoła i naśladuje dźwięk wystrzału. Śmieją się wszyscy.

– Dżalil, zostań z nim.

Mówi to w paszto. Rozumiem go jednak albo tak mi się wydaje. Przecież to tylko sen.

Gdy wychodzą, czuję ucisk w klatce piersiowej. Tracę ostrość widzenia, tętno podskakuje do niewyobrażalnej częstotliwości. Talib pochyla się i przygląda mi się uważnie.

Mam wrażenie, że moje serce nie wytrzymuje. Czyżby zawał? Temperatura ciała podskakuje. Pali mnie wewnętrzny ogień, czuję, jakbym sam miał eksplodować. Rany parzą doprowadzone do wrzenia.

Na ułamek sekundy tracę świadomość. Przywraca mnie do niej krzyk taliba.

Dżalil podskakuje jak oparzony i nie przestając wrzeszczeć, wybiega z pomieszczenia.

Po chwili wszyscy wracają. Patrzę na nich, niewiele rozumiejąc z tego, co się wydarzyło. Przywódca zbliża się ostrożnie i pochyla nade mną. Drży mu ręka, którą zamierza dotknąć mojej twarzy. Cofa jednak dłoń i krzywi się.

– Afryt! To demon! Zabić go!

Wyciąga broń, jednak zanim oddaje strzał, ktoś wrywa mu makarowa.

– Zostaw! – Krzyk po rosyjsku.

Patrzę w twarz mężczyzny. Europejczyk, jasna broda i stalowe, zimne oczy.

– Jest mój!



Batler siedział na fotelu zwrócony w stronę dziewczyny. Słyszał jej niespokojny oddech.

Ksenia odplynęła kilkanaście minut wcześniej.

Interesowała go jednak inna kobieta, ta, którą ścigał już wcześniej. Widział ją w jakiś niepojęty sposób teraz wyraźnie. Znajdowała się w pomieszczeniu wraz z grupką mężczyzn. Tatuaż na jej szyi, którego wcześniej nie zauważył. Symbol krzyża zakończonych grzebieniami budził nieokreślone wspomnienia.

Marek czuł podniecenie. Uczucie, które rodziło się głęboko w trzewiach. Złapał się na tym, że wciąż rozmyśla o pocałunku. Tej chwili w pociągu, która sprowokowała emocje, o które sam siebie by nie podejrzewał.

Czego chciał? Wykonywał misję, której nie rozumiał? Kim był? Może stał się bezwolną marionetką, nieświadomą kukłą w rękach niewidzialnego lalkarza?

Obrazy nałożyły się na siebie. Budynek, willa, jedna z tych wielkich przesadnych twierdz nowobogackich. Wszędzie ochrona i doskonałe zabezpieczenia. Na podjeździe kilka limuzyn, czarnych z pancernymi szybami.

To była twierdza. Właścicielem musiał być jakiś mafioso albo biznesmen. W sumie na jedno wychodziło.

Znów pomieszczenie, gabinet. Smukła kobieta, która obudziła w nim kolejny dreszcz. Stała z boku, w cieniu. Obserwowała to, co działo się przed nią. Wydawała się obojętna, ale Batler czuł, że to tylko pozory. Wyglądała jak przyczajona, gotowa do działania maszyna.

Co widział? Przeszłość, teraźniejszość czy zdarzenia, które dopiero miały nadejść?

Skupił się wreszcie na dwóch mężczyznach. Siedzieli przy stole. Batler widział tylko tył głowy wyższego. Miejsce po drugiej stronie zajmował może pięćdziesięcioletni blondyn. Mocne szczęki, mięśnie grające pod skórą. Jego ruchy były oszczędne, ale pewne. Przypominał wojskowego.

Wysokie szklane drzwi po prawej stronie zostały rozsunięte. Dwóch przysadzistych mężczyzn w garniturach weszło do środka. Ochrona. Wprowadzili kobietę.

Batler na jej widok wypuścił z sykiem powietrze z płuc.

Wizja skończyła się, wiedział, że nie wróci.

Wstał z fotela. Podeszedł do łóżka i spojrzał na śpiącą.

Kosmyk włosów przykleił się do jej spoconego czoła. Wciąż oddychała ciężko. Jakie miała sny?

Pokręcił głową. Miał dość własnych problemów, nie potrzebował ciężaru innych ludzi. Już wiedział, czym była wizja. Pokazywała przyszłość, z którą nierozzerwalnie związana była ta dziewczyna, on sam i jeszcze inni.

Batler wyciągnął zwitek banknotów z kieszeni i położył na łóżku, na zmiętej pościeli.

– Spotkamy się tam... Zaprowadzisz mnie do nich – powiedział, po czym cicho opuścił pokój.



– Zrób coś, bo się obudzi – jęknął Lel. Trzymał dłoń przy oku. Musiał się zranić w skroń w starciu z intruzem.

– Odporny jest, drań. – Poleł oparł mężczyznę plecami o ścianę, a sam wyprostował się, aż coś chrupnęło w kręgosłupie. – I tak dostał dużą dawkę znieczulacza, jak powtórzę, może się z niego zrobić warzywko. A Romek wtedy pewnie miałby pretensje...

– No to pałą go w łeb. – Lel nie nawykł do takich sytuacji. Wolał rozprawiać się z przeciwnikami na swoim pececie. Piksele były mniej wredne. – W czachę, po staremu, skoro w cywilizowany sposób nie można.

– Nie będę stawiał oporu.

Lel i Polel odskoczyli jak oparzeni. Obaj złączyli dłonie w znak, ale żaden nie zdecydował się uderzyć pierwszy.

– Powiedziałem, że nie będę stawiał oporu, prowadźcie mnie do Miszy Asieniewicza albo tego waszego Romana.

Lel przełknął głośno ślinę i spojrzał na brata. W końcu Polel był starszy o całe pięć minut. Doświadczenie życiowe miało tu znaczenie pierwszorzędne.

– A rób se, co chcesz. – Polel machnął ręką, przekroczył nogi leżącego i otworzył drzwi znajdujące się w ścianie. Po chwili za nimi znikł.

Lel uniósł wysoko brwi, jeszcze przez chwilę wpatrywał się w mężczyznę. Stalowszare oczy były nieruchome, jakieś takie niezłomne. W końcu i on machnął ręką i poszedł w ślady brata.

– Pić mi się chce – oznajmił na odchodnym. – Jestem już na to wszystko za stary.

– Co jest, chłopcy?

Roman zmarszczył brwi. Polel wszedł do pomieszczenia i od razu doszał się do butelki. Po kilku łykach otarł usta rękawem i czknął głośno. Zaraz za bratem w drzwiach pojawił się Lel.

– Daj trochę – powiedział pośpiesznie i też napił się z gwinta.

– Daliście mu w łeb? – Nie wytrzymał wilkołak.

– Tak jakby... – Polel spojrzał na brata. Ten w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. – Jest tu, z nami.

– Gdzie? – Roman warknął. – Przycisnęliście go chociaż? Wiadomo, czego chciał od naszego chłopaka?

– Może sam zapytasz? – Polel usiadł ciężko za stołem, a Lel cichutko przemknął w stronę swojego komputera. Przetarł nawet paluchami monitor, czego do tej pory nigdy nie robił.

– Kogo?! Jak tu, do jasnej... – Romek zmełł przekleństwo. – Jak tu? Nikogo nie ma! Powariowaliście?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Wychowany przynajmniej – zauważył Lel, szybko się jednak zreflektował i wsadził nos w monitor.

– Ja was pozabijam – warknął Roman. Nozdrza zaczęły mu falować, Polel jednak udawał, że w ogóle tego nie zauważył.

Drzwi zaskrzypiały i do pomieszczenia wszedł wysoki mężczyzna. Był raczej szczupły, sprężyste ruchy świadczyły, że nie jest lebiegą. Wyglądał na mocnego i zdecydowanego. Ogorzałe policzki, krótko ścięte włosy. Facet sprawiał przyjemne wrażenie, choć widać było, że gdy trzeba, nie popuści, dopóki nie wyjdzie na swoje.

Takie krótkie rozważania zagościły w umyśle Romana, kiedy patrzył z coraz większym zdziwieniem na wchodzącego.

– Czego tu... – wychrypiał, szczerząc zęby. Facet nawet się nie przeląkł. A może po prostu potrafił się kontrolować. – I wy sobie z nim nie poradziliście? We dwóch?

Polel poskrobał stół. Lel zaczął stukać w klawiaturę dwoma palcami.

– Ta pułapka to chyba nie tyle na Miszę była, co na nas – w końcu Polel się odezwał. – Mam wrażenie, że facet chciał się tu znaleźć. Inaczej pewnie to my byśmy teraz odpłynęli.

– Tym gorzej dla was, zakute łby. – Roman skrzywił się strasznie. Wyglądał teraz

upiornie, zdusił jednak w sobie złość.

– Szukam Miszy Asieniewicza.

Wilkołak przekrzywił głowę. Wyczuł obcy akcent.

– Polak? – zapytał.

– Polak.

– To mówmy w twoim języku. Siadaj. – Wskazał wolne krzesło obok Polela.

Tym razem mężczyzna zawahał się. W końcu jednak się przemógł i podszedł do stołu.

Nie usiadł jednak na krześle, najpierw je przesunął, tak by być w równej odległości od Romana i Polela. Roman skrzywił usta w uśmiechu.

– Gdybym chciał cię skrzywdzić, już broczyłbyś z tętnicy.

– Gdybym chciał was skrzywdzić, już leżelibyście pod stołem.

Lel parsknął śmiechem.

– Co to za pajac? – Roman uniósł brwi w bezgranicznym zdziwieniu.

– Pajac, nie pajac... – Polel strzepnął dłonią okruszki ze stołu. – Sześć palących w niego władowałem, a ten nawet się nie zafajczył.

Roman znów przekrzywił głowę i przyjrzał się intruzowi uważniej.

– Nie zafajczyłeś się? Nawet po sześciu? – Pociągnął nosem i nagle obrócił się w stronę drugiego z braci. – No, nie czuć. Za to Lel się chyba fajczył?

– Bo jakoś to... no, odbił! – Lel zaczerwienił się po czubki uszu. Stracił nawet zainteresowanie miłością swojego życia, która przejmująco zabuczała, gdy potracił łokciem stację dysków.

– Odbił, powiadasz. To poważna sprawa.

Mężczyźni zamilkli, obserwując się wzajemnie. Napięcie rosło. Wydawało się, że brakuje już tylko iskry, która wznieci pożogę nie do zatrzymania.

– Przesadził, trzy były – odezwał się w końcu intruz.

Lel i Polel parsknęli śmiechem. Nawet Roman wyszczerzył zęby i podrapał się po nosie.

– To jak? – zapytał nieznajomy. – Zaprowadzicie mnie do niego? Mam mało czasu.

– Wszyscy się teraz spieszą. – Wilkołak westchnął teatralnie. – Zwłaszcza w tej waszej Polsce. Przemiany, zmiany... pogoń za pieniądzem. Po co to wam?

– Naprawdę nie mam czasu.

W oczach mężczyzny było coś, co zaniepokoiło Romana.

– Po co ci on? – zapytał w końcu.

– Grozi mu niebezpieczeństwo.

– Może to ty jesteś dla niego niebezpieczny? – wtrącił się Polel.

– Nie – odpowiedział intruz krótko. Raczej nie miał zamiaru się tłumaczyć.

– Trudno się z nim gada – zauważył Lel. – Taki pewny siebie.

– Macie już widać coś takiego w sobie, Lachy. – Roman rozparł się w krzesło wygodniej.

W rzeczywistości chciał mieć większe pole manewru, gdyby Polakowi przyszło coś głupiego do głowy. – Jak nie powiesz, o co chodzi, grzecznie wyjdiesz albo chłopcy cię wyniosą.

– Dlaczego ja mam wam zaufać?

– Ufaj komu chcesz. – Romek wydlubał z zębów resztki mięsa. – I idź już.

– Bez Miszy nie wyjdę.

– Sadzi się. – Lel zachichotał. – Będzie zabawa.

– To jak? – Roman spojrzał groźnie. Kły wysunęły się. Miał czym straszyć niegrzeczne dzieci.

– I co? Przemienisz się w psa? Już to widziałem – zakpił intruz.

– Już to widziałeś? – Roman przechylił głowę i spojrzał pytająco na Lela.

– Mam. – Lel uspokajająco machnął ręką. – Aleksander Bielski, urodzony w Warszawie. Lat 27. Służył w Afganistanie. Po powrocie zatrudniony w Agencji Ochrony M...

– Popatrz, pracuje dla Mentora. – Polel klasnął w dłonie. – Wiedziałem! To nasz człowiek!

– Pracujesz dla Mentora? – zapytał Roman.

– Pracowałem. – Bielski zawahał się po raz pierwszy podczas tej rozmowy. – Mentor nie żyje. Skąd go znacie?

Polel wypuścił z płuc powietrze, Lel oparł się ciężko o krzesło, aż zaskrzypiało. Roman nie dał po sobie nic poznać. Nachylił się w stronę intruza.

– Mało wiesz jak na pracownika Mentora.

– Pracuję od niedawna. – Bielski także się nachylił w stronę rozmówcy. Ich nosy niemal się stykały.

– Mówi prawdę – powiedział szybko Lel, jakby bał się, że zaraz wydarzy się coś złego.

– Dlaczego szukasz Asieniewicza? – powtórzył pytanie Roman.

Polak nie uciekł przed spojrzeniem. Może rozważał swoją sytuację. W końcu wyprostował się i wolno sięgnął do tyłu, za plecy.

Polel zareagował nerwowo, jednak wilkołak uspokoił go wzrokiem.

– Ta teczka... Ma związek ze śmiercią Mentora. – Bielski położył tekturowy skoroszyt na blacie stołu. Popatrzył głęboko w oczy gospodarza, a potem przesunął teczkę w jego stronę. – Znajdziesz tam odpowiedź.

Roman nie zareagował od razu. Patrzył długo na mężczyznę. W końcu przejął skoroszyt i otworzył go. Przez chwilę studiował materiały. Potem zamknął teczkę i oddał ją Alkowi.

– Mieliśmy się spotkać, panie Bielski.

– To znaczy? – Polak przechylił głowę, spojrzał uważnie.

– Jestem twoim kontaktem tutaj, mój drogi. Witold mówił, że przyjedziesz i mam ci pomóc we wszelki możliwy sposób. Nie mówił jednak, że z ciebie takie ziółko.

– Cóż... – Alek się zawahał. – Nie zdążyliśmy się za bardzo poznać.

Roman zaśmiał się.

– Głodny na pewno jesteś – powiedział w końcu. – Zjesz z nami, a wy, chłopcy, obudźcie Asieniewicza.



Leonid Zwalka miał się na baczności całe życie. Widział wiele i nie wychylał się. Jako oper miał swoje zadania i wywiązywał się z nich wzorowo. Popełnił błąd tylko raz. Zaufał kilku przyjaciółom, wysoko postawionym oficerom KGB. Chłopcy sprzedawali w Moskwie mieszkania wykorzystywane jako punkty kontaktowe w działaniach operacyjnych. Sprawa się ryła dosyć szybko, i jak to bywa, znalazło się kilku urażonych. Nie mieli w tym swojego udziału i donieśli, gdzie trzeba, a dekret Jelcyna załatwił sprawę. Leonid został zwolniony ze służby.

Wyciągnął wtedy do niego pomocną dłoń właśnie Maksym Gorodow. Nikt, kto odchodził z branży, nie narzekał na brak intratnych propozycji. Banki potrzebowały ochrony, tak jak każda strategiczna gałąź gospodarki i szeroko pojęty biznes. Przyjaciele Leonida obsiedli niczym muchy Gazprom, firmy ochroniarskie, a wielu z nich można było zobaczyć nawet w telewizji, w relacjach z obrad parlamentu. W końcu każdy, kto coś znaczył w dzisiejszych czasach,

zaczynał w KGB.

Jego ostrożność była swoistego rodzaju mechanizmem obronnym. Widział wielu, którzy byli zbyt pewni siebie. Kończyli w betonowych bucikach lub w lesie, wśród ślicznie szumiących brzoźek. Teraz ten mechanizm obronny odzywał się ze zdwojoną siłą. Świadczyły o tym skurcz żołądka i nieprzyjemne kołatanie serca. Coś jak detektor metalu. Zwałka miał wrażenie, że natrafił na cholernie duży obiekt, nie wiedział tylko, czy to niewypał, czy mina, w którą właśnie wdepnął niczym w gówno.

Wysiadł z samochodu i ruszył w górę stromymi schodami. Minął kilku chłopców z ochrony, którzy kiwnęli głowami. Zwałka znał ich, służyli w „Alfie”. Widać u Anatola Malczikowa dostali lepsze kontrakty.

Drzwi otworzyły się przed nim automatycznie. Można było ulec złudzeniu, że wchodzi się do jakiegoś zanego hotelu. Wszystko tu ociekało złotem, w holu szklane windy, drogie dywany, marmur i antyki.

Zwałka przeszedł przez detektor metalu. Zawczasu zostawił wszystko w aucie, nawet klucze od domu. Ochroniarz mimo to przesunął jeszcze po jego ubraniu podręcznym skanerem. Potem, zadowolony z inspekcji, skinął głową. Winda otworzyła się przed Zwałką jakby na ten umówiony sygnał.

Leonid wszedł do środka. Nie było tu żadnych przycisków, nawet wyświetlacza z numerami piętra. Drzwi po prostu zamknęły się i winda ruszyła w górę.

Chwilę później mężczyzna znalazł się w wąskim korytarzu, gdzie przywitał go kolejny agent ochrony.

– Pułkownik czeka na pana.

Bardzo zdawkowo, bez zbędnych słów.

Ludzie tu byli wyszkoleni, na pewno lepiej niż większość jego zapasionych amerykańskimi hamburgerami chłopców. Zupełnie jak ci, którzy obrobili mu pod nosem bank.

Kolejne drzwi otworzyły się przed Leonidem. Tym razem stanął naprzeciw Malczikowa.

– Witaj, druhu! Cieszę się, że mogłeś przyjechać.

Anatol czekał na niego, siedząc na biurku. Nigdy nic nie robił sobie z konwenansów. Z nim człowiek czuł się jak na froncie, bo Malczikow bez ceregieli mówił to, co myśli, i tak też działał. Miał trudne do opisanego magentyzm i charyzmę. Czasem onieśmielał. Zwłaszcza gdy patrzyło się na jego blizny i przywoływało w pamięci te wszystkie ordery, których Malczikow i tak nigdy nie nosił.

– Witaj, do ciebie zawsze.

Zwałka uściśnął mocną dłoń przyjaciela i usiadł w fotelu, który wskazał mu Anatol. Znow skurcz w żołądku.

– Źle wyglądasz, Loszka: worki pod oczami coraz większe, nie śpisz, nie odżywasz się zdrowo. Trzeba o siebie dbać.

Leonid skinął głową, ni to zgadzając się z Anatolem, ni to rozważając jego słowa. Malczikow wyglądał za to jak zwykle. Twardy niczym skała, ogorzały na policzkach z dwudniowym zarostem, który dodawał mu uroku. Niejedna babka straciła dla niego serce, a pewnie i rozum.

– Emerytura blisko, dam radę.

– Radę dasz zawsze, nie wątpię w to nigdy.

Malczikow zeskoczył z biurka i podszedł do barku wypełnionego zagranicznymi wódkami. Sięgnął po koniak, nalał do dwóch lampek i po chwili jedną podał Zwałce. Nie musiał pytać, wiedział, że przyjaciel nie odmówi. Znali się doskonale.

– Wiesz już, co się u mnie wydarzyło – zaczął Leonid. Powód zaproszenia był dla niego

od początku oczywisty.

– Wiem. – Malczikow skrzywił się, jakby chciał oddalić od nich ten temat. Akurat to było do niego niepodobne.

– Gorodow mówił, żeby dać spokój.

– Gorodow jest głupkiem, przyjacielu. – Anatol patrzył wprost w oczy, nigdy nie uciekał wzrokiem w trakcie rozmowy. – Czasem jednak i głupkowi przydarzy się powiedzieć coś mądrego.

– Będą pytali.

– A ty zawsze znajdziesz jakąś odpowiedź, Losza.

Zwałka skinął głową i pociągnął długi łyk ciepłego koniaku.

– Po co mnie więc zaprosiłeś? Chcesz pogadać o starych czasach?

– Nie, chcę pogadać o przyszłości. – Malczikow przeciągnął swój fotel od biurka w stronę Leonida. Usiadł blisko, nachylił się. Ich kolana niemal się zetknęły.

– Mów.

– Wina pójdzie na grupę Most. Afera ma wyglądać na walkę wewnętrzną specsłużb.

Malczikow mówił cicho, co budziło w Leonidzie niepokój. Z trudem rozpoznawał przyjaciela. Nie przerywał jednak, czekał, co Anatol będzie miał do powiedzenia.

– To będzie z nimi wojna...

– Nie. Upprzedzę chłopaków z Mostu, Losza.

– Teraz nie rozumiem. – Zwałka zmarszczył brwi i mimowolnie poprawił się w fotelu. Zrobiło mu się gorąco, ale zwałł winę na koniak.

– Nie chcę mieć nowej wojny w stolicy. Zrobicie parę ustawek, może nawet pokiereszujecie kilku chłopaków, żeby wyglądało naturalnie. Już wiesz, że nikt się wam wtrącać nie będzie. Gorodow o to zadba.

– Po co więc to wszystko? – Zwałka popatrzył w puste naczynie i odstawił je na biurko. Na szczęście był w stanie dosięgnąć blatu z miejsca, w którym siedział.

– Bo chcę mieć nad wszystkim kontrolę. – Malczikow zawahał się. Zastanawiał się, ile może powiedzieć. – Specsłużby mają się napierdalać, żeby odciągnąć uwagę od innych spraw.

Leonid skinął głową. Zawsze tak odwracano uwagę. Prasa i telewizja będą informować tylko o tym. Innych tematów dnia nie będzie.

– Coś się wydarzy w mieście? – Zwałka zaryzykował pytanie. Nie wiedział, na ile może sobie pozwolić. Ignorancja była błogosławieństwem bogów.

– Już się dzieje... I będę potrzebował twojej pomocy.

– Mów.

– Musisz kogoś znaleźć, jest już w Moskwie.

– To chyba nie będzie trudne. – Leonid zdziwił się i wcale tego nie ukrywał. Trudno przypuszczać, żeby jego możliwości poszukiwania ludzi były większe niż Malczikowa. Owszem, miał swoje kontakty, ale nie aż tak wielkie, żeby Anatol musiał prosić go o pomoc.

– Być może. Jednak chcę od ciebie czegoś jeszcze.

Zwałka uśmiechnął się, właśnie na to czekał.

– Chcę, żebyście go chronili za wszelką cenę.

– Anatol. – Leonid wytarł odruchowo dłonie w spodnie. – Nie zrozum mnie źle, ale twoi ludzie są o niebo...

– Wiem, o niebo lepiej wyszkoleni od twoich. Ale oni nie mogą brać udziału w tej akcji. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Zwałka nie okazał zdziwienia. – Powiesz mi, kogo mamy chronić?

– Dam ci jego zdjęcie. – Malczikow wyciągnął z kieszeni na piersi fotografię. Ujęcie

musiało zostać zrobione przez kamerę przemysłową. W tle tłum ludzi, bok wagonu. Na pewno stacja metra. Sylwetka i twarz mężczyzny były wyraźne. Wysoki, potężnie zbudowany z mocnym, ciemnym zarostem na bladych policzkach.

- Potrzebuję trochę czasu, zanim chłopcy go namierzą.
- Hotel Arbat, jest tam z dziewczyną.
- W porządku.
- Cieszę się, Leonidzie. – Malczikowi podniósł puste lampki i uśmiechnął się. – Napijmy się jeszcze!



Jesteście ludźmi, zwykłymi ludźmi. Śmiertelnikami, którzy nie potrafią się cieszyć tą nikłą chwilą, którą zesłał wam los. Boicie się śmierci, ale także ją lekceważycie. Jesteście pełni dwuznaczności i wad. Nie potraficie dostrzec w was dobra, nie potraficie dostrzec w was czegokolwiek, co zasługiwałoby na litość.

Nie, nie czuję do was nienawiści. Jesteście mi obojętni... Ale ja też potrafię kochać, też potrafię nienawidzić, czy jestem więc jedną z was?

Minęła starowinkę, która oparła się ciężko o ławeczkę. Słabe serce, miała iść do lekarza... Nie poszła. Nie ustałaby w kolejce, a i tak na lekarstwa nie było jej stać. Na te dobre lekarstwa, które mogły pomóc. To serce, słaby mięsień bijący niemrawo, jakby od niechcenia. Nie masz nad nim kontroli, mateczko. Zostały ci dwa dni.

Nyja dotknęła ramienia kobiety. Delikatnie, co staruszka odczuła niczym muśnięcie wiatru. Spłoszyło ją to, ale o dziwo pobudziło serce do życia. Chciała wrócić do domu, pokoiku pełnego starych fotografii. Męża, który odszedł już dziesięć lat temu, syna, który zginął na wojnie. Jego orderu wiszącego na ścianie nad telewizorem, by mogła na niego spoglądać, gdy gubiła wątek serialu lub kiedy była reklama.

– Wróć do domu, starowinko – szepnęła kobieta. – Wróć do nich. Umrzesz w swoim fotelu.

Nie była to złośliwość. Opisywała po prostu świat, to, co widziała. Przecież nie ona pisała codzienny los tych ludzi. Oni sami o sobie decydowali.

– Daj spokój!

Stojący między kolumnami pośrodku peronu Perun pokiwał jej groźnie palcem. Ludzi z każdą chwilą było coraz mniej. Wyczuwali aurę roztaczaną przez Nyję, odstraszała ich jak owady. Zastanawiała się, w jaki sposób odczuwają jej działanie. Niektórzy nagle dostawali palpacji serca, jak ta starowinka, innym nagle gasł uśmiech na twarzy, przypominali sobie śmierć bliskich, niepokój odzywał się w trzewiach z taką siłą, że niemal zginało ich w pół. Ci, którzy chcieli wejść na peron, nagle przystawali, obracali się na pięcie, szli do kiosku po gazetę albo wychodzili na powierzchnię, by zaczerpnąć choć odrobiny powietrza. Byle dalej...

– Idźcie stąd, idźcie ludzie, nic tu po was.

– Zaraz się pojawi. – Perun skrzyżował ręce, dłonie oparł na ramionach tak, że tworzyły znak X.

Nyja skłoniła głowę, czując energię, którą jej chlebodawca pobierał z otoczenia. Ciemną energię z zimnych ścian, z piwnicznego zataęchłego powietrza.

Zauważyła pogodnika szybciej niż Perun. Zupełnym przypadkiem. Chłopak wisiał

u sklepienia, kilka metrów nad ziemią. Stopił się niemal w jedno z freskiem, który zdobił sufit tej stacji metra.

Pomyślała z szacunkiem o chłopaku. Nie używał magii. Po prostu zakamuflował się jak jaszczurka na korze drzewa.

Nyja była ciekawa, kiedy Perun go dostrzeże. Pogodnik najwyraźniej na coś czekał. Był tak głupi? Wierzył, że Perun pozwoli mu ujsć z życiem?

– Oddaj to, co nie należy do ciebie, pogodniku.

Perun jednak nie dał się zaskoczyć. Nie zmienił pozycji, nawet nie popatrzył do góry.

– Oddaj to, co nie należy do ciebie, Perunie.

Ten zaśmiał się i opuścił ręce wzdłuż ciała. Pogodnik nie mógł tego widzieć, ale w dłoni Peruna pojawiła się kula energii.

– Spotkała ją kara, chłopcze. Kara nie za jej, a za twoje przewinienia. Nie jest już w mojej mocy!

Pogodnik zawył jak wściekły wilk. Skoczył w dół i momentalnie uderzył w nich wichur.

Perun także uderzył. Kula wystrzeliła z jego dłoni szybciej niż myśl. Pogodnik tylko cudem jej uniknął. Pośliznął się na śliskich kafkach podłogi.

– Zabiłeś ją! – krzyczał.

Nyja nie była zdziwiona jego rozpaczą, tylko determinacją. Pogodnik nie mógł przecież pozbawić Peruna życia. Nie mógł mu nic zrobić. Cała ta konfrontacja wyglądała tak, jakby mrówka chciała powalić słonia.

W dłoni Peruna pojawiła się kolejna kula, tym razem większa, z mocnym skupiskiem energii. Lecz chłopak nie miał zamiaru się poddawać. Na peronie pociemniało, zakłębiły się chmury, z których uderzył grad.

Nyja wytworzyła jednak barierę ochronną wokół siebie i swojego chlebodawcy. Gradowe kule odbijały się od nich, roztrzaskując po zetknięciu z podłożem. Wkrótce roztopiły się, zalewając wodą cały peron.

– Oddaj, co moje, i odejdz, pogodniku. Jesteś wolny.

Co knuł Perun? Nyja ograniczyła się teraz do roli obserwatora. Gdyby chlebodawca życzył sobie jej interwencji, dałby znak. Zresztą mógł zabić pogodnika jednym słowem. Nie wierzyła też, by mógł chybić, nawet przypadkiem.

– Nie potrzebuję wolności. – Pogodnik zapatrzył się w kafle pod swoimi nogami, a na jego twarzy zabłądził uśmieszek. Nyja, zanim zrozumiała jego zamiar, zobaczyła, jak chłopak wykonuje ledwie dostrzegalny ruch palcami. Pokrywająca kafłowy peron woda zamieniła się w lód. Tak śliską warstwę, że nawet Nyja straciła kontakt z podłożem. I wtedy znów uderzył wichur.

Pogodnik zaśmiał się chrapliwie. Bariera, którą Nyja wcześniej ochraniała pracodawcę, zadziałała jak żagiel i z ogromną siłą pchnęła Peruna do tyłu. Bóg Słowian zamachał rękami i spadł z peronu na tory w momencie, gdy na stację wjechał skład metra.

Wyglądało to tak komicznie, że Nyja niemal się roześmiała. Nie widziała dotąd, by ktoś sprawił takiego psikusa Perunowi. Zderzenie ze składem i tak nie mogło mu wyrządzić krzywdy.

Pogodnik okręcił się na pięcie i ruszył szybko w stronę ruchomych schodów. Pociąg tymczasem pomknął dalej, nie zatrzymując się na stacji.

Perun uniósł się nad torami i majestatycznie wylądował na peronie. Przeczesał palcami zmierzwiłone włosy. Nie zaszczycił Nyi nawet spojrzeniem.

– No to mnie wkurzyłeś, pogodniku. Teraz nawet Goda ci nie pomoże.

Ruszył w tym samym kierunku, który kilka chwil wcześniej wybrał jego młody przeciwnik.

- Odcięłam drogi wyjścia – zakomunikowała Nyja.
- Dobrze. – Perun był wyraźnie zirytowany. – Co za szczył!

Nyja ledwo nadązała za swoim pracodawcą. Zemsta wśród bogów była na porządku dziennym. Niewielu trafiało się takich, którzy odważyli się podnieść rękę na Peruna. Przynajmniej nie otwarcie. Owszem, intrygi stały się niemal powszechne, ale żeby porwać się na coś takiego?

Głupi, przemknęło Nyi przez myśl. Nawet zrobiło jej się szkoda pogodnika. Wiedziała, co pchnęło chłopaka do tego czynu. Miłość brata do siostry.

Pogodnik już się zorientował, że jest w pułapce. Odbił się od bariery blokującej jedyne wyjście z tunelu. Gdy odwrócił się, szukając innego, było za późno. Perun zaśmiał się szyderczo. Wyciągnął buławę, symbol władzy i źródło mocy. To nie wróżyło najlepiej młodemu. Czyżby pogodnikowi przyszło zapłacić najwyższą cenę za swoją nieroztropność?

– Chcesz do niej dołączyć? Na zawsze, pogodniku? – wysyczał Perun. – Szykujesz się do Nawi?

- Jeśli będzie trzeba...

Perun uniósł buławę, chłopak opuścił głowę na pierś i zamknął oczy. Wiedział, że nie ma szans w tym starciu.

– Czy zrobisz wszystko dla miłości? Zrezygnujesz nawet z tego, co najcenniejsze? Za nic masz własną nieśmiertelność? – Perun, o dziwo, nie zdecydował się na uderzenie.

Pogodnik znów otworzył oczy.

– A czym jest owa nieśmiertelność? – zapytał. – Godziną wydłużoną w nieskończoność. Odebrałeś mi siostrę... A ja nie mogę jej pomścić. W Nawi kiedyś wszyscy się spotkamy.

– A gdybyś mógł ją odzyskać? – Perun powiedział to niby od niechcenia, a jednak wiedział przecież, jaką reakcję wywołają jego słowa.

– Ty, Perunie, nie masz władzy nad światem Welesa.

– A on nad moim. – Perun uśmiechnął się szyderczo. – Możesz jednak zejść do Nawi i wprowadzić tę, której imię tak często jest na twych ustach.

– Nieśmiertelni nie mają prawa wstępu do Nawi, Perunie! Wiesz o tym! – Pogodnik ściągnął brwi. Nadzieja, która się w nim zatlila, znikła równie szybko, jak się wcześniej pojawiła. Chłopak prawdopodobnie uznał, że Perun sobie z niego kpi. Chce go upokorzyć tuż przed śmiercią.

– Chyba że mnie zabijesz. Ty możesz odebrać mi nieśmiertelność. Wtedy jednak ani moja siostra, ani ja nie opuścimy Nawi.

– Zapominasz o czymś. – Perun opuścił buławę i schował ją do kieszeni płaszcza. – Masz coś, co należy do mnie, a co ukradłeś.

– Artefakt Sygurda. – Pogodnik pobladł. Zaczynał rozumieć.

– Tak. – Perun przechylił głowę, szyderczy uśmiech nie schodził mu z ust. – Dzięki niemu nawet śmiertelnik wejdzie do Nawi i, co ważniejsze, wyjdzie z niej cały i zdrowy.

– I nie chcesz mi go odebrać? – W głosie pogodnika wyczuwalna była ironia.

Perun cmoknął i klasnął w dłonie wolnym, wystudowanym ruchem.

– Zaczynasz wreszcie myśleć, mój mały. Ty wejść do Nawi nie możesz, ale pewnie znajdziesz kogoś, kto to zrobi i wyprowadzi twoją małą siostrzyczkę... a przy okazji weźmie stamtąd coś, na czym mi zależy. Bardzo mi zależy.

– Weles nie da się oszukać. Będzie wiedział, że ktoś wszedł do jego królestwa. –

Pogodnik dostrzegł cień szansy i zaczął analizować sytuację, na czym chyba zależało Perunowi.

– Nim bym się nie przejmował. – Perun ocenił długość swoich paznokci. – Welesem już się zająłem. On nie pamięta nawet swojego imienia.

Nyja patrzyła na tę scenę, jakby była widzem jakiegoś spektaklu. Słowa Peruna wywołały bolesne ukłucie w jej sercu.

– Chcesz jego buławy? – zgadywał pogodnik. – Chcesz przejąć kontrolę nad Nawią?

Nie doczekał się odpowiedzi. Perun kpiąco wzruszył ramionami i skinął na Nyję. Kobieta przez chwilę się ociągała – ona też bardzo chciała wiedzieć, co planuje jej pracodawca.



Znał ten park, musiał w nim być już wcześniej. Może przypomniał mu o tym zapach róż, słodki, unoszący się delikatną zawiesiną w ledwie wyczuwalnym chłodzie nocy. Batler siedział przy fontannie na centralnym placu, skąd promieniście rozchodziło się siedem alei. Siódemka, coś jakby szczęśliwa cyfra.

Ludzi było wielu. Może nie mogli wytrzymać w domach? Duchota stała się w nocy mniej dokuczliwa, a tutaj w parku nie czuć było dymu, który docierał do Moskwy z przedmieść. Para młodych: on student, przyjechał do Moskwy rok temu, a już się czuł jak u siebie. Nawet inaczej mówił, nabrał śmiałości i do dziewczyn, i do miasta. A były przecież chwile, w których bał się wyjść z pokoju na stacji. I ona, dwa lata od niego starsza. Robiła kurs pielęgniarski, bo chciała pomagać ludziom, ale skończyło się na pracy księgowej. Tak naprawdę stała się popychadłem w urzędzie i pewnie załamałaby się, gdyby nie wielka miłość... Przynajmniej w jej mniemaniu. Chłopak czuł to inaczej. Nie pierwsza to i nie ostatnia.

Batler przymknął oczy. Zbyt wiele myśli. Skąd przychodzą? Nieproszone wdzierają się pod czaszkę.

Nie wiedział, dlaczego tutaj przyszedł. Nogi poniosły go same i dopiero, gdy usiadł na ławce, zrozumiał, że tak właśnie miało być. To miejsce go wezwało. I ono czekało na coś, i on.

Dziewczyna została w hotelu. Był pewny, że nie wyjdzie do rana. Zdąży jeszcze za nią pójść. Zdąży dopełnić jej przeznaczenie i swoje.

Przynajmniej teraz upewnił się, że ma ogon. Śledzili go od momentu, w którym opuścił hotel. Chłopcy zmieniali się co kilkadziesiąt metrów i w sumie robili to dobrze, ale on wyczuwał ich za każdym razem.

Nie próbował ich zgubić. Zastanawiał się, czego chcą i kto ich nasłał. W tej chwili jednak to nie oni byli ważni.

Otworzył oczy i popatrzył na fontannę. Nawet w tym mieście każda niecka z wodą miała swoją topielicę. Pluskała się jak mała syrenka. Sina, z wodnistymi oczami i palcami oplecionymi wodorostami. Nikt inny jednak nie był w stanie tego dostrzec.

Czy tylko on miał dar? A może... był szaleńcem?

Dziś, po jednej ze swoich wizji, trafił jednak do tej dziewczyny. Zabił zmore, która przyczepiła się do niej niczym pasożyt. Widziała ścierwo ukrywające się pod postacią kota. Chyba że... Chyba że dziewczyna też była wytworem wyobraźni szaleńca.

Nie, to miało większy sens. Dziewczyna musiała być ważna w tej układance. Odgrywała tu swoją rolę. Jaką? Ktoś nakazał zmore jej pilnować we dnie i w nocy. Ktoś, kto chciał mieć ją pod kontrolą, bezwolną, stłamszoną, podatną na...

– Jestem na twoje usługi, panie.

Z obrzydzeniem popatrzył na topielicę, która wyczołgała się z fontanny. Podpełzła do niego na wyciągnięcie ręki. Z jej ust sączyła się strużka śliny. Czarne usta, ostre zęby, jak

u piranii.

– Powiedz, panie, jak możemy ci pomóc?

Czuł, że nadciągają. Dochodził go ich zapach, cierpka woń dusząca bardziej niż dym z płonących wrzosowisk. Wyczołgiwali się z drzew, z wilgotnego poszycia. Byli tam, czekali na jego decyzję.

– Jeszcze nie – powiedział. – Jeszcze nie, póki sobie nie przypomnę.



Mężczyzna był chudszy niż na zdjęciu. Pociągnęła twarz, żywe uważne oczy. Według dossier był w moim wieku. Ostatnio często łapałem się na tym, że swoich rówieśników oceniam surowiej, dodając im lat. Jakby mnie omijał wpływ czasu, a inni tej łaskawości przyrody nie mogli doświadczyć.

– Siadaj z nami, Misza. – Roman przywołał go niecierpliwym ruchem ręki. – Jest tu ktoś, kto chce cię zobaczyć.

Asieniewicz stał się ostrożny. Podeszedł do stołu, nie spuszczać ze mnie oczu. Usiadł na wolnym krześle, które wcześniej zajmował Poleł.

– Nie znam cię – powiedział.

– Ale ja znam ciebie, Misza – oznajmiłem po rosyjsku.

– Czego ode mnie chcesz?

Skinąłem głową, jakbym przyjmował jego warunki gry. Przechodził od razu do sedna sprawy. Może to i lepiej dla mnie.

– Wiem, że twój los i mój zostały splecione ze sobą. I nie ma w tym przypadku.

– Gadasz jak jakaś wróżka. – Skrzywił usta. – Mój los, twój los... Ja już nie wiem, co jest moim losem.

– Myślę, że ostatnio w twoim życiu i moim zaszło wiele zmian. Można powiedzieć, że świat, który znamy, obrócił się do góry nogami – powiedziałem.

Wyczuwałem na sobie spojrzenia Romana i bliźniaków. Słuchali uważnie, zastanawiając się, co z tego wszystkiego wyniknie. Moje słowa podziały zwłaszcza na Asieniewicza.

– Przenikasz przez ściany? – zapytał i zaśmiał się gardłowo.

– Nie – odpowiedziałem. – Zainteresuje cię jednak coś innego. W tej teczce znajdziesz dane czterech osób. Jedna z nich znikła, ktoś był w jej mieszkaniu przede mną.

– Rozumiem, że jestem tam też ja. – Asieniewicz spojrział w stronę teczki leżącej na blacie. Miał przekrwione oczy, nie sypiał zbyt dobrze. – Kto jeszcze?

– Mężczyzna, którego nie znam, Marek Batler.

– Tajemnicza osoba numer trzy. – Misza potrafił być sarkastyczny. – A skoro nasze losy tak bardzo są ze sobą związane, to pewnie ty jesteś numerem cztery.

Uśmiechnąłem się – jak na milicjanta myślał całkiem trzeźwo.

– A może to ty tropisz tę trójkę, a swoje zdjęcie podrzuciłeś do teczki, żeby uwiarygodnić historyjkę... Będziesz polował na każdego po kolei?

Lel zagwizdał pod nosem, Roman wyszczerzył tylko zęby. Wystarczyłoby jedno jego słowo, by potwierdził moją historię, skoro znał Mentora i sprawdził, kim jestem. Jednak najwyraźniej zbyt dobrze się bawił, by nie chcieć zobaczyć, jak z tego wybrnę.

– Nie musisz mi wierzyć – powiedziałem. – Tak naprawdę przyszedłem cię tylko ostrzec.

Odnajdę teraz dziewczynę... To właśnie ona znikła.

Misza milczał. Roważał moje słowa.

– Jak ma na imię? – zapytał.

– Kto? – Jego zainteresowanie przyjąłem za dobrą monetę. Udałem, że zakończyłem już rozmowę.

– Ta dziewczyna.

– Ksenia Morozowa.

Nie umknęło mojej uwadze, że Asieniewicz wyraźnie pobladł.

– Lel, sprawdź kamery. – Roman wydawał bardzo konkretne polecenia. Nie wahał się. Nie lubił tracić czasu. – Może ją złapiesz.

– Staram się. – Palce Lela przebiegały po klawiaturze z szybkością błyskawicy. – Jest blisko banku, bankomat na rogu, niedaleko. A jeśli poszli z drugiej strony, złapią ich kamery z klubu nocnego.

– Swoją drogą ładna dziewczyna. – Polel patrzył na zdjęcie Kseni wyciągnięte z teczki.

– Znasz ją dobrze? – zapytałem milczącego Asieniewicza.

Nie odpowiedział od razu. Wyprostował się na krześle, jakby nagle nie mógł znaleźć sobie miejsca.

– Nie chcesz mówić, to...

– Znam – powiedział. – Znałem. Nasze ścieżki kilka razy się przecięły.

– To może być trop. – Roman uderzył otwartą dłonią w stół. – Dwie osoby z dossier coś łączy. Ale wy się nie znacie. Nie znaliście wcześniej też tego Batlera.

– Batler i Alek są Polakami, Ksenia i Misza to Rosjanie – wtrącił Polel.

– Sprawę śledziła w Polsce Agencja M, czyli Departament Zachodni, z Mentorem na czele. Być może rosyjski odpowiednik też macza w tym palce?

Polel skinął głową.

– Podzwonię – powiedział, wyciągając telefon komórkowy upchnięty w kieszeń spodni. – Sprawdzę, co jest grane.

– Dobrze. – Roman potarł skronie, jakby chciał przymusić szare komórki do wytężonego wysiłku. – Dzieje się, panowie, coś większego. Coś bardzo dużego.

– Mam! – krzyknął Lel. – Mam ich!

Wszyscy jak jeden mąż skoczyli do monitora, wpadając niemal na plecy Lela. Film zatrzymany w stop-klatce. Mężczyzna prowadzący pod ramię kobietę.

– Jednak to nie ty jesteś kretem – wysapał w końcu Misza. – Założę się, że to jest Batler i rozgrywa karty po swojemu.



Nie zdziwiła się, gdy rano obudziła się w pustym pokoju hotelowym. Wcześniej w nocy wydawało jej się, że śniła, iż mężczyzna odszedł. Poczula to tak, jakby mrok rozstał się, ciężka chmura, która napierała na nią ze wszystkich stron, nagle rozplynęła się niczym za dotknięciem magicznej różdżki.

Teraz odetchnęła głęboko. Przesunęła palcami po prześcieradle. Było zimne i chropowate. Nie jej łóżko... Gdyby była u siebie, zapewne obudziłaby ją Arinka. Często uderzała

swoją panią łapką w policzek albo siedziała na jej piersi i wpatrywała się...

Boże, dziewczyna westchnęła. Wszystko wróciło w jednym błysku. Nagle zapagnęła wstać i umyć się, wziąć prysznic, który zmyje nie tylko brud, ale i wspomnienia.

Spała w ubraniu. Nie zdjęła go w nocy, nawet o tym nie pomyślała. Teraz zrzuciła wszystko i nago pobiegła do łazienki.

Weszła do wanny i skuliła się. Nie było ciepłej wody. Włączyła prysznic. Musiała zmyć z siebie wczorajszy dzień i noc. W twarz uderzyły ją lodowate igielki. Przypomniała sobie, że gdy była jeszcze małą dziewczynką, wyobrażała sobie, że siłą woli może ogrzać wodę. Sprawić, żeby lodowaty strumień zamienił się w przyjemną bryzę. Zaciśnęła mocno powieki i szcękając zębami, przesunęła strumień na plecy.

Krzyknęła, nie z przejmującego chłodu, ale zaskoczenia. Woda była ciepła, wręcz gorąca. Spojrzała na kurki. Odkręcony był tylko jeden.

Woda znów zaczynała się robić chłodna. Ksenia skoncentrowała się na tej samej myśli. Strumień stał się przyjemny. Przyjęła to jak najzwyczajszą rzecz na świecie. Jak zawsze.

Wyszła z hotelu przez nikogo niezatrzymywana. Stała na chodniku i popatrzyła w okna domów i witryny sklepów. Słońce już wstało, przebijało się przez grubą warstwę dziwnej zawiesiny otaczającej Moskwę szczelnym kokonem. Ta chwila była ulotna, niemal nieuchwytna, ale gdy Ksenia patrzyła na ludzi idących do pracy, do sklepów po poranne zakupy czy do kiosku po gazetę, poczuła, że życie jest cudem, o który trzeba walczyć i za który trzeba dziękować.

Takie chwile przychodziły do niej rzadko, być może tylko wtedy, kiedy całkiem traciła wiarę w siebie i ludzi. Jakby jakiś mechanizm obronny włączał się w najodpowiedniejszym ku temu momencie, gdy wydawało się, że już nie ma sensu ciągnąć tego wszystkiego.

Ona wybrała samotność? Czy samotność wybrała ją? Nie mogła związać się na dłużej z żadnym chłopakiem. Owszem, bywały czasy, gdy chodziła za rękę, całowała się w parku na ławce, ale nic więcej. Gdy wydawało jej się, że nadszedł czas na podjęcie jakiegoś zobowiązania, na pójście krok dalej, gdy widziała oczekiwanie w oczach tej drugiej osoby, po prostu kończyła znajomość. Nie mogła oszukiwać siebie i innych. Nic nie czuła, do żadnego z nich.

Wiedziała, że na jej życiu cieniem położyła się przeszłość. Lata spędzone w sierocińcu, a potem próby zmiany losu. Ciężko pracowała, by znaleźć własny kąt, by pójść na studia i spełnić swoje ambicje.

Wciąż sama, liczyła tylko na siebie. Chyba dlatego wydawało się jej, że przyjaźń jest szczytem tego, co może ofiarować. Jednak przyjaźń rozumiana jest przez różne osoby zupełnie inaczej.

Gdy pojawił się Misza, coś się zmieniło. Zaiskrzyło między nimi, jednak ona okazała się nieśmiała, a i on nie potrafił być bardziej zdecydowany.

Myśli przytłoczyły ją; zrobiło się jej tak ciężko, jakby ktoś wrzucił jej na plecy wór pełen żelastwa. Zatrzymała się przy stacji metra i odetchnęła głęboko. Ranek był chłodny, powietrze wydawało się wreszcie czyste, ale gdy patrzyła w górę, wiedziała, że spiekota przyjdzie szybko.

Gdzie iść? W pierwszym odruchu chciała pojechać do domu. Wspomnienia jednak wróciły, a ona zadrżała. Nie byłaby w stanie przekroczyć progu własnego mieszkania. Już nigdy tam nie wróci.

Przeszła na drugą stronę ulicy. Znów sama, zdana na siebie. Ruszyła naprzód, jakby w gwarze miasta chciała odnaleźć swoją drogę.



– Znajdziesz dziewczynę. Jej strażnik nie podołał zadaniu.

Perun, płacząc rachunek, potrafił bez skrępowania poruszać tematy, które nie były przeznaczone dla osób postronnych.

Nyja skłoniła głowę, czekając, aż kelner się ulotni.

– Przeprowadzisz ją do mnie jeszcze dziś.

Śmierć i życie. Życie i śmierć. Skłoniła głowę ponownie. Obraz gwałtownie wdarł się w jej umysł. Zmarszczyła brwi na to bezceremonialne działanie Peruna. Traktował ją jak swoją niewolnicę. Był pewny, że nie sprzeciwi się jego woli. Nigdy.

– Do czego ci jest potrzebna?

– Mam wobec niej swoje plany... Zazdrosna?

Perun zaciągnął się papierosem. Trzymał go pomiędzy palcem środkowym i wskazującym daleko od siebie, jakby bał się, że dym podrażni mu oczy.

– Może powinnam zostać wtajemniczona w twoje plany? – Zignorowała jego zaczepkę.

– Może. – Zgasił papierosa w filiżance z niedopitą kawą. Wstał od stolika.

Wiedziała, że rozmowa została zakończona. Perun miał swoje przemyślenia, którymi nie chciał się dzielić. Knuł intrygę długo. Nyja miała wrażenie, że nie będzie w stanie pojąć jego zamiarów. Grając w szachy, nie potrafiła ogarnąć złożoności tej gry, ilość kombinacji przerastała ją. Kiedyś wydawało jej się, że potrafi przewidzieć rozwój wydarzeń na trzy posunięcia w przód i w sumie miała rację... Wydawało jej się. A teraz Perun rozpoczął własną rozgrywkę. Z figurami, tymi ważnymi i tymi, które były tylko pionkami.

Kim była w tym układzie Nyja? Kim były pozostałe figury? Do kogo należał kolejny ruch? Dziwna gra...

– Idziesz? – zapytał, uśmiechając się szeroko. Filmowy uśmiech, w stylu Jamesa Deana.

Tego z *Olbrzyma*. Gdyby nie długie włosy, to sylwetką i chodem Perun przypominałby aktora do złudzenia. Tak, zachowywał się jak Dean. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Z trudem powstrzymała śmiech. Perun wydał jej się teraz małostkowym pozerem.

Wstała w końcu i ona. Rozejrzała się wokół siebie. W kafejce nie było klientów, opustoszała w mgnieniu oka kilka minut po ich przyjściu. Obsługa też schowała się na zapleczu. Jedynie ten kelner, pewnie bardziej odporny, zdecydował się odebrać zapłatę.

– Nie zawieź mnie, Nyjo.

Zabrzmiało to trochę jak ostrzeżenie. Nie zdążyła odpowiedzieć. Szykowała się do ciętej riposty, ale Perun rozplątał się niczym ulotna wizja.

Kobieta ruszyła w stronę postojów taksówek. Wiedziała, gdzie znajdzie dziewczynę. Czowała jej aurę aż tutaj. Dzieliły je kilometry szarych brudnych ulic, betonowych bloków, spoconych ciał, dziesiątki tysięcy myśli, kłębiących się niczym rój owadów. Mimo to miała ją niemal na wyciągnięcie ręki. Widziała, jak dziewczyna idzie chodnikiem, schodząc innym z drogi. Jakby bała się, że jeśli ktoś ją potrąci, rozpadnie się niczym szkło.

Aura wokół niej. Chwilami pełna kolorów, chwilami szara, nijaka jak opadająca mgła. Jakby i ona, i dziewczyna nie mogły się zdecydować. Bała się? Nie, to nie był strach. Nyja próbowała zdefiniować emocje, które determinowały losy dziewczyny. Ostateczność... Znała to uczucie, było jej tak bliskie. Niektórzy potrafią doświadczyć go w bólu, inni w rozpacz, jeszcze inni w momencie, gdy wszystko przestaje mieć znaczenie. Tak jak w przypadku tej dziewczyny.

Nawet nie wiesz, dziecko, jak wiele w tym racji. Istniejemy, choć to, co nas otacza, wydaje się nierzeczywiste. Przychodzimy i odchodzimy. Chwilami potrafimy się zatrzymać i popatrzeć za siebie, ale najtrudniej dostrzec to, co przed nami.

Ty nie chcesz widzieć. Ty nie widzisz nawet tego, co teraz. Dlatego jesteś tak niebezpieczna. To nie ty się boisz, tylko ciebie się boją. Nawet Perun...



– No, to teraz, chłopcy, poznacie trochę tajemnic podziemnej Moskwy!

Pędziliśmy mikrobusem szerokim tunelem oświetlanym reflektorami samochodu. Misza siedział obok mnie, kurczowo wpijając palce w fotel. Przyznam, że sam czułem się nieswojo. Łatwija nie wyglądała na solidną produkcję. Fotele, na których siedzieliśmy, chygotały się tak mocno, jakby zaraz miały wylecieć razem z pasażerami.

– Metro 2, kiedyś określano to miejsce kryptonimem D-6! Zarządzało nim KGB. – Roman wyglądał jak szalony taksówkarz. Założył sobie gogle, w których przypominał istotę nie z tego świata.

– Słyszałem o tym, ale nie wierzyłem. – Misza powiedział to tak cicho, że ledwie go zrozumiałem.

– Teraz już wierzysz? – Roman zatrząbił głośno i znów zarechotał. – Jest kilka linii pod tym pięknym miastem. Dzisiaj już mało kto z nich korzysta. A szkoda! Alek, podoba ci się?

– Ważne, żebyśmy dojechali cali – odkrzyknąłem. Hałas w kabinie był niemiłosierny.

– Praktyczny człowiek, nie ma co. – Roman zahamował gwałtownie, a Misza uderzył czołem w fotel kierowcy i jęknął głośno. Nie miał zapiętych pasów. – Jesteśmy na miejscu!

Światła wokół nas zapaliły się dopiero teraz, jakby fotokomórka zadziałała z opóźnieniem.

Stacja miała bogato zdobione, oparte na kolumnach, sklepienie. Marmury dobrano tutaj w ciepłych barwach. Lśniły, jakby dopiero co je wypolerowano. Otworzyłem stawiające opór drzwiczki busa i wyszedłem na peron. Cisza była przytłaczająca. To miejsce przypominało mi scenografię do filmu, do taniego horroru z zombie i wilkołakami w roli głównej. Popatrzyłem na Romana i niemal się roześmiałem.

– Strasznie tu, co? – zapytał, jakby czytał w myślach. – Można się poganiać. Kiedyś chciałem z chłopakami urządzić tu paintballa, ale wydałoby się, że urządzamy sobie tutaj zabawy.

– Jak stąd wyjdziemy? – zapytał Misza.

– O to niech cię głowa nie boli. – Roman ruszył w stronę schodów. – Wyjście zawsze się znajdzie.

Ruszyłem wolno za nimi. Minąłem kiosk, którego szyby oblepione były starymi, pożółkłymi gazetami. Na jednej z nich widniało surowe oblicze Stalina.

– Do góry. – Roman wskazał nowoczesną windę, która znajdowała się na wąskim półpiętrze.

Drzwi rozchyliły się, a my weszliśmy do środka. Misza patrzył na wszystko z szeroko otwartymi oczami, jakby wciąż zastanawiał się, czy nie śni. Byłem ciekaw, skąd u mnie taka odporność na te wszystkie niesamowitości.

Winda ruszyła i po kilkunastu sekundach zatrzymała się. Drzwi znów się rozchyliły, wypuszczając nas na wąski korytarz. Światła u sufitu zapalały się, prowadząc w kierunku stalowych drzwi.

Roman uśmiechnął się diabolicznie, szarpnął wajchę, która uruchomiła jakąś przekładnię,

i pchnął drzwi ramieniem.

W pierwszej chwili uderzył mnie odór moczu. Odruchowo zasłoniłem nos. Wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, gdzie się znaleźliśmy.

– Miejski szale! – Asieniewicz z niedowierzaniem pokręcił głową. – To chyba żart!

Przecisnęliśmy się w wąskim pomieszczeniu obok sedesu i Roman zatrzasnął za nami drzwi. Trudno byłoby z zewnątrz domyślić się, że jest tutaj jakiegokolwiek przejście.

– Jak widzisz, nikt tu nie żartuje. A stąd nam najbliżej do Wiwy.

– A po co nam się tam pchać? – zapytał Asieniewicz.

– Lel dał znać, że właśnie tam znajdziemy dziewczynę.

– Pięknie – powiedziałem. Czuję się dosyć nieswojo zamknięty z trzema facetami w toalecie, chociaż w kilku filmach już taki numer z ukrytym przejściem widziałem. – Wychodzimy?

– Pewnie, ale pojedynczo, panowie – zachichotał Roman i pierwszy opuścił przybytek.

Wymieniliśmy się z Asieniewiczem spojrzeniami. Każdy z nas lustrował drugiego uważnie od dłuższego czasu. Przyznam, że chciałem poznać jego reakcje, sposób zachowania. Jak przed bitwą, gdy trzeba ocenić siły sojusznika i słabości przeciwnika. Nie byłem jeszcze do końca pewny, którą z owych funkcji będzie pełnił w najbliższym czasie mój nowy znajomy.

– Idziesz? – zapytał.

– Zaraz za tobą – odpowiedziałem dosyć chłodno.

Skinął głową i wyszedł. Po chwili dołączyłem do nich.



Lody były dobre, z automatu, podobno włoskiego. Batler zatrzymał się naprzeciw witryny. Dlaczego, gdy patrzył na odbicie swojej twarzy, miał wrażenie, że patrzy na obcą osobę? Stracił ochotę na waniliową zmarzlinę. Wydała mu się nagle zbyt słodka. Człowiek traci czasem nagle apetyt. Na różne rzeczy, nawet i na życie.

Wyrzucił loda do kosza stojącego obok tablicy informacyjnej.

Dziewczyna weszła do sklepu zaraz po otwarciu. W pierwszej chwili myślał, że przyszła na zakupy albo do znajomej, ale ona po prostu tutaj pracowała.

Batler uśmiechnął się pod nosem. Dziwna dziewczyna, dziwni ludzie, którzy chwytają się pozorów normalności, gdy świat wywraca im się do góry nogami. Jakby te czynności, które codziennie wykonują, miały być jakimś tajemniczym rytuałem, który odwróci los. Ogołę się jak co dzień. Świat się wali, ale ja w tym swoim malutkim domku z kart będę żył wiecznie.

Czary-mary...

Nie, nie rozciągnięcie chwili do granic możliwości. Sekundy miną, jedna po drugiej, jak wasze życie i wasze złudzenia.

Wyminął ochroniarza, faceta blisko pięćdziesiątki. Uniform z przydługimi rękawami jak po starszym bracie i spodnie, te akurat krótkie, ledwie sięgające kostek.

Ty też się rano golisz. Czary-mary... Nie wygrasz na loterii losu, który odmieni twoje życie. Nie znajdziesz pracy, która sprawi, że będzie ci lepiej. W weekend znów napijesz się z kolegami, tylko wtedy poczujesz się normalnie. A potem nawet stąd cię wyrzucą.

Batler spojrział na telewizory w Media Markcie. Wszystkie nadawały ten sam program.

Poruszył językiem w ustach, posmak lodów pozostał. Mógłby się czegoś napić, kupić colę

z automatu, ale czuł, że za chwilę stanie się to, na co czeka.



– Spóźniłaś się, Kseniu!

Żona Walerika, Anna, czasem pierwsza otwierała butik. W gruncie rzeczy była miłą kobietą, choć pełną kompleksów, do których oczywiście się nie przyznawała. Ostry makijaż jej nie służył, wyglądała niemodnie i krzykliwie w lamparcich obcisłych miniówkach i przezroczystych koszulkach z falbankami. Nikt jednak nigdy jej tego nie powiedział, a fałszywe przyjaciółki naśmiewały się za jej plecami, co Ksenia widziała dobrze wiele razy.

– Słyszysz mnie?

– Przepraszam. Bo ja... – Dziewczyna przerwała, uznając, że tłumaczenia nie mają większego sensu. – Po prostu przepraszam.

– Dobrze. – Anna spojrzała na nią uważnie. Przechyliła przy tym nieco głowę, zupełnie jak ptak. – Ale stało ci się coś? Źle wyglądasz.

– Nie, nic – skłamała dziewczyna. Podeszła do lady i przestawiła raporty kasowe, które poprzedniego dnia przygotowała dla szefa.

– Oj, coś ci jest. – Anna dotknęła dłonią jej czoła. Ksenia uchyliła się, ale kobieta spojrzała na nią groźnie. – Albo za dużo się uczysz na tych swoich studiach, albo zakochana.

– Nie, skąd... – Ksenia zaczerwieniła się.

– Mam nadzieję, że nie w moim Waleriku! – Anna oparła pięści na biodrach. Roześmiała się jednak i machnęła dłonią. – Zresztą już bym wiedziała, jakby coś między wami było. Odpocząć musisz, dziecko. Pogadam z Walerikiem, żeby ci dzień wolnego dał.

– Dobrze – zgodziła się cicho Ksenia.

– Ale to po promocjach, teraz wyprzedaże są i trzeba wszystko mieć pod kontrolą! – Anna zmieniła ton, jakby nagle pożałowała chwilowej dobroci serca. – Dzisiaj się przyłóż do roboty. Walerik podwiezie ci później plakaty. Będzie trzeba je wywiesić na witrynkach i przy wejściu. Kazałam mu też zrobić wielki czarny napis na czerwonym tle, z angielska: *seil* albo *seal*...

Dziewczyna lekko się zmieszała.

– *Sale*...

– No właśnie, *sale*. Ze słownikiem pojechała, więc powinno być dobrze.

– Będzie dobrze, na pewno, pani Anno. – Ksenia uśmiechnęła się.

Do sklepu weszła właśnie pierwsza klientka. Wysoka, z rozpuszczonymi włosami. Nie przypominała tych wszystkich paniuś, które po śniadaniu przygotowanym przez osobistego kucharza wybierają się na zakupy z kartą kredytową męża.

– Idę już, a ty pilnuj wszystkiego! – Anna zmierzyła krytycznym wzrokiem kobietę i wyszła ze sklepu, przesadnie kołysząc biodrami.

– Do widzenia – wyszeptła za nią Ksenia. Ponownie spojrzała na klientkę i coś zakłuło ją w sercu.

Nagle wydało jej się, że hałas w pasażu umilkł, rozproszyła się grająca w tle muzyka. To wrażenie było dziwnie nienaturalne.

– Czym mogę... – Dziewczynie zakręciło się w głowie. Musiała oprzeć się o ladę, by nie upaść.

– Służyć? – dopowiedziała kobieta. Odchyliła głowę, śmiejąc się perliście.

Ksenia zrozumiała w nagłym przeblýsku, że nieznajoma przyszła do niej, a właściwie po nią. To odczucie było tak naturalne, że niemal potraktowała je obojętnie.

– Nie boisz się. – Nyja pochyliła się w jej stronę. Jakimś przedziwnym sposobem podpłynęła do lady. Nie podeszła, ale właśnie podpłynęła. Ten ruch był tak zwiewny, pełen gracji, że wydawało się, iż kobieta jest jedynie ulotnym wrażeniem.

Ksenia patrzyła jej prosto w oczy. Nie mogła oderwać wzroku. Było coś w nich pięknego i okrutnego zarazem.

– Wiesz, kim jestem, Kseniu?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– A wiesz, kim ty jesteś?

Tym razem Ksenia się nie poruszyła.

– Masz w sobie wielką siłę... – Nyja rozchyliła nozdrza i przymknęła oczy, jakby chciała wchłonać w siebie zapach dziewczyny. – Nawet ja nie potrafię teraz powiedzieć jak wielką. Wydaje się, że twój los jeszcze nie został określony, ale to nastąpi. Jesteś niczym dojrzały owoc. Twój czas właśnie nadszedł.

– Mój czas? – powtórzyła Ksenia. Poczowała się jak głupiutka dziewczuszka, która nic nie rozumie i wszystko trzeba jej tłumaczyć.

– Sama jestem ciekawa, kto pozwolił, by twoje moce tak długo pozostawały uśpione.

– Czego pani ode mnie chce? – Ksenia zadrżała. Poczowała, jak chłód przenika jej serce. Mrok. Mrok ogarnął jej umysł. Stała się otępiała, podatna na każde słowo tej kobiety. Znowu przytłoczył ją ciężar myśli, które próbowała wcześniej zepchnąć w najdalszy zakamarek pamięci.

– Chcę, żebyś poszła ze mną. Teraz!

– Nie, ja... – Ksenia popatrzyła ponad ramieniem nieznajomej. Mrok rozproszył się na ułamek sekundy. To wystarczyło, by zrozumiała, że musi wykorzystać swoją szansę i uciec.

Nyja pochwyciła jej wzrok i obejrzała się. Skrzyżowała ręce na piersiach, a po chwili wyrzuciła je przed siebie. Witryna wybuchła w gejzerze odłamków, obsypując zbliżających się mężczyzn.

Ksenia krzyknęła ze strachu, a potem poczuła ból, gdy kobieta chwyciła ją za włosy i pociągnęła na zaplecze.

Nyja zaklęła. Dlaczego nie wyczuła ich obecności? Trzech mężczyzn, skomplikowane, trudne do określenia aury. Jak się tu dostali?



– Siedemdziesiąt milionów dolarów. – Asieniewicz wskazał budynek. Te liczby największe wrażenie robiły chyba właśnie na nim.

Skinąłem głową. Wiwa jak dla mnie na pierwszy rzut oka nie różniła się niczym od centrów handlowych, które widziałem. Powiedziałbym nawet, że była to klasyka gatunku. Szybko otworzyć i zgarnąć forszę.

Przyjrzałem się budynkowi z większą uwagą, jakby na to zasługiwał. Może chciałem zrobić Miszy przyjemność. Z daleka najbardziej widoczny był napis Media Markt. Nie kontemplowałem go jednak zbyt długo jak jakiś idiota.

– Pracuje na parterze. Nie możemy jej przestraszyć – ostrzegł Roman.

– Może Misza z nią porozmawia? – zaproponowałem. – Znają się chyba dosyć dobrze. Misza zaczerwienił się. Romek przyjrzał się nam uważniej, jednak nie skomentował tego.

– To co, Misza? Porozmawiasz? – zapytałem.

Asieniewicz nie odpowiedział. Drzwi rozchyliły się przed nami i weszliśmy do wnętrza pasażu.

Klientów nie było wielu, chyba ze względu na poranne godziny. Przeważały kobiety, ubrane elegancko, niektóre aż nazbyt wyszukanie jak na mój gust. Ścisnęły w dłoniach duże torby z logo znanych marek. Stukanie obcasów na lśniących podłogach, zapach drogich perfum, muzyka sącząca się z głośników. Tutaj było przynajmniej chłodniej. Klimatyzacja działała zadziwiająco dobrze.

Roman spojrzął na tablicę pokazującą rozmieszczenie sklepów. Wskazał palcem niebieski prostokąt z nazwą butiku.

– Tutaj idziemy. Przygotujcie się.

Poczułem w tym momencie coś dziwnego. Dreszcz. Uderzenie adrenaliny, które znałem kiedyś dosyć dobrze. Na misji, przed patrolem, miałem podobnie. Już niemal zapominałem, jak to jest... Narkotyk. Odzwyczajalem się od niego tak długo, a gdy powrócił, poczułem się bosko.

– Rozdzielmy się – zasugerował Roman. – Ja podejść z drugiej strony. Wy dwaj poczekacie, aż znajdzie się przy butiku.

– To potrzebne?

Trudno było odgadnąć uczucia Asieniewicza.

– Potrzebne – uprzedziłem odpowiedź Romana. – Myślę, że nie jesteśmy jedynymi, którzy tutaj przyjdą z wizytą.

Wiedziałem, o czym mówię. Wabik. Dziewczyna zniknęła z facetem, potem znów się pojawiła, sama. Podejrzane jak cholera.

Spojrzałem do góry. Widać było stąd pierwsze piętro, na którym ochroniarz opierał się o barierkę. Patrzył w naszym kierunku, choć, jak się wydawało, bez specjalnego zainteresowania.

– Butik jest po prawej stronie. – Roman także zerknął na ochroniarza. Poruszył nozdrzami, a jego oczy rozbłyły. Nagle stał się czujniejszy.

– Obaj wiecie, jak obchodzić się z bronią. Jeśli będzie trzeba, użyjcie jej.

Asieniewicz potrząsnął głową i uniósł dłonie.

– Nie będziemy strzelać... Nie tutaj!

– Musimy być przygotowani na wszystko. – Roman spojrzął na niego surowo. – Jeszcze nie znasz swoich sił i możliwości. Jeśli będziesz musiał ratować własną dupę, na pewno użyjesz gnata.

– Szkoda czasu – powiedziałem, wskazując palcem wystawę, jakbym zainteresował się podświetlonym roleksem. Miałem wrażenie, że ochroniarz zaczął nam się przyglądać uważniej.

Roman skinął głową i odłączył się.

Podeszliśmy z Asieniewiczem do wystawy.

– Co Ksenia ma z tym wszystkim wspólnego? – zapytał Misza. Głos mu drżał. Zbyt wiele rzeczy musiało go ostatnio wytrącić z równowagi.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Nie wiem, jaka jest rola jej, twoja czy nawet moja.

– Więc po co się w to wszystko mieszasz?

– Jeszcze tego nie zrozumiałeś? Właśnie dlatego! Ktoś inny rozdaje tutaj karty. Nie mam zbyt dużego wyboru. Zresztą tak jak ty i Ksenia.

Skinął głową. Zobaczyłem Romana po drugiej stronie pasażu.

– Już czas – zauważyłem.

Ruszyliśmy wolno w stronę butiku. Jakaś krzykliwie ubrana kobieta właśnie z niego wyszła. Wyminęła nas, nie zaszczycając nawet spojrzeniem.

Misza wrywał się do przodu, przytrzymałem go jednak. Gdybyśmy mieli więcej czasu, pewnie najpierw rozpoznałbym teren, przeczuwałem jednak, że musimy działać szybko. Jeśli dziewczyna tam rzeczywiście jest, to była to nasza najlepsza okazja.

– Przejdziemy obok sklepu, wyminiemy się z Romanem. Ty nie patrz do środka. Ja rzucę okiem – oznajmiłem.

Roman wyczuł nasz zamiar. Zbliżaliśmy się w tym samym tempie do butiku. Powinniśmy wyminąć się dokładnie w drzwiach.

– A jeśli przyszedliśmy za późno? – zapytał Asieniewicz.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Misza oczywiście nie posłuchał mojego polecenia. Zatrzymał się tuż przy wystawie i zajrzał do środka. Zobaczyłem dwie kobiety, jedną z nich na pewno była Ksenia. Wyglądała na przestraszoną, wystarczył ułamek sekundy, by spojrzenia jej i Asieniewicza skrzyżowały się...

Huk i podmuch były potężne. Zdążyłem tylko pociągnąć Miszę w bok i zasłonić ramieniem twarz. Upadliśmy na podłogę. Odłamki szkła na szczęście nie zrobiły nam większej krzywdy.

– Wstawać, chłopcy! – ryknął Roman. Rozchylił poły płaszcza, wydobywając obrzyna o spiłowanej lufie. – Sam nie dam jej rady!

Podniosłem się, pomagając wstać Miszy. Pośliznął się na szkło, ale na szczęście zdążył się wesprzeć na moim ramieniu.

W centrum rozwyły się syreny alarmowe. Ludzie zaczęli uciekać w stronę wyjścia. Wszystko wokół nabrało nierzeczywistego wymiaru.

– Jasny szlag! – jęknął Misza. – Będzie nas szukać całe miasto.

– Teraz mamy chyba większe zmartwienie – odpowiedziałem.

Patrzyłem z podziwem na Romana, który wkroczył do butiku wyprostowany jak struna, bez śladu wahania. Szkło chrzęściło pod jego buciorami żałośnie, jakby wydawało ostatnie tchnienie.

Ruszyliśmy tuż za nim, próbując dotrzymać mu kroku.

Roman kopnął drzwi i wszedł na zaplecze. Pudła z butami ustawiono tutaj aż do sufitu, z boku było kolejne przejście.

– Jeśli teraz jej nie dorwiemy, nie ocalimy dziewczyny. – Roman spojrzał na nas wymownie. – Jest gorzej, niż myślałem.

– Wiesz, kim była ta kobieta? – zapytał Misza.

– Nyja... – Roman wyszczerzył zęby. – Moja stara znajoma. Powiedzmy, że cholernie szczwana najemniczka.

– Ucieknie, jeśli będziemy tyle gadać – zauważyłem.

Roman zaśmiał się.

– Wybaczam ci twoją naiwność. Ona nigdy nie ucieka.

Wychylił się, zaglądając na korytarz prowadzący z zaplecza. W ułamku sekundy zlustrował otoczenie.

– Idziemy – powiedział.

W tej chwili pudła poruszyły się i runęły w naszą stronę. Zdążyłem unieść rękę, ale coś cholernie twardego uderzyło mnie w skroń. Żelazne półki rozsypały się z łoskotem.

Roman ryknął i wypalił z obrzyna. Poczulem zapach prochu.

Uniosłem glocka, w którego mnie wyposażyli chłopcy, ale nie oddałem strzału. Tekturowe pudła zaczęły wirować wokół w szaleńczym pędzie.

– Wycofujemy się! – krzyczał Misza.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Żelazny pręt uderzył mnie w żebra.

Dopiero wtedy ją zobaczyłem, unoszącą się w powietrzu. Rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć nimi każdego z nas. Odchyliła głowę, śmiejąc się donośnie.

Roman jako jedyny potrafił utrzymać się na nogach. Wyciągnął obrzyna w kierunku kobiety, celując w jej pierś. Ta zaśmiała się jeszcze głośniejsze. Jakby w odpowiedzi wystawiła w stronę wilkołaka palec wskazujący i pogroziła mu nim jak dziecku.

Roman najwyraźniej stoczył wewnętrzną walkę. Jego ręka drżała, jakby nie potrafił utrzymać wielkiego ciężaru.

– Idź w diabły! – ryknął w końcu, gdy obrzyn wysunął mu się z dłoni i upadł na podłogę.

Kobieta cmoknęła z niesmakiem, schyliła się po broń i przystawiła lufę do czoła Romana.

Dopiero wtedy wycelowałem w jej pierś i nacisnąłem spust. Odgłos wystrzału był ledwie słyszalny, jakby zassało go otoczenie. Pocisk odbił się rykoszetem od niewidzialnej bariery otaczającej napastniczkę i utkwiał w suficie.

– Zaraz się wami zajmę – powiedziała, nie spoglądając nawet w naszą stronę. – Odłóż zabawkę.

Glock nagle stał się ciężki, a potem gwałtowne szarpnięcie wyrwało mi go z dłoni. Popatrzyłem na Miszę. Asieniewicz próbował wstać, ale kolejny podmuch zwałił go z nóg. Broń, którą miał w kieszeni, wypadła z płaszcza i potoczyła się w stronę pudeł.

– Kto cię przysłał, Romanie?

– Przyszedłem po buty – zarechotał ochryplym głosem zapytany, unosząc się w powietrzu. Ręce i nogi rozstawione miał szeroko, jakby rozciągnięto go jakimiś niewidzialnymi sznurami. – Buty świadczą o człowieku, tobie też by się przydały nowe.

Kobieta pokręciła głową ze śmiechem.

– Zawsze denerwowały mnie twój cięty język i niewyparzona gęba.

Roman popatrzył w moją stronę. Nasze spojrzenia spotkały się.

Czas opuścić imprezę, panowie. Nic tu po was. Ja odwrócę jej uwagę. Musicie znaleźć dziewczynę.

Usłyszałem jego głos, mimo że nie otworzył nawet ust. Do Miszy zdaje się też dotarł ten przekaz, bo przyłgął do podłogi, próbując utrzymać równowagę.

– Na nerwy można się leczyć, Nyjo. – Zdawało się, że Roman mówi z wielkim wysiłkiem, żyły na skroni pulsowały mu pod skórą. – Znam jedno takie miejsce... Mogę ci załatwić dłuższe wakacje.

– Obawiam się, że to ja załatwię dłuższe wakacje tobie – odpowiedziała.

Roman w tym momencie uległ przemianie. Kły wysunęły się z dziąseł, zachodząc na brodę. Nagle opadł na podłogę i szaleńczo zaatakował Nyję, uderzając szponami w jej ramię.

To Misza zachował więcej zimnej krwi i pociągnął mnie za sobą w stronę drzwi.

Chciałem pomóc Romanowi, odwróciłem się nawet, by odnaleźć swojego glocka, ale scena, która wydarzyła się na moich oczach, w ułamku sekundy zniweczyła ten plan. Z dłoni Nyi wystrzelił płomień, który ogarnął Romana. Mężczyzna zawył i skoczył w stronę napastniczki.

– Uciekajcie! – ryknął.

Rzuciłem się w wąski korytarz, gdy płomień ogarnął ściany i sufit.

Asieniewicz przewrócił się na śliskiej podłodze, wstał jednak szybko i puścił się biegiem wzdłuż ściany. W korytarzu pojawił się dym.

– Musimy biec do wyjścia! – krzyknąłem.

Misza skręcił w prawo, sprawdził jedne drzwi, potem drugie. Były zamknięte.

Pobiegliśmy dalej na wprost. Kolejne drzwi, otwarte, choć w środku panowały ciemności.

Misza wbiegł w mrok pierwszy, światło zapaliło się automatycznie. Wystarczył jeden rzut oka, bym zrozumiał, że znaleźliśmy się w pułapce.

– Stąd nie ma wyjścia – powiedział Asieniewicz.

Był błądy, na szczęście nie stracił panowania nad sobą.

– Z myśliwego w zwierzynę – oznajmiłem, patrząc na ściany składziku.

– Musimy zawrócić, może któreś z tamtych drzwi?

Misza nie dokończył. Ja także usłyszałem miarowe kroki, stukot obcasów. Nie miałem wątpliwości, do kogo należą.

– Masz broń?

– Nie. – Misza potrząsnął głową. – Wypadła.

– No tak... – I tak na wiele by nam się nie przydała.

– Umiesz przenikać przez ściany? – zapytał Asieniewicz.

Zaśmiałem się. Patrząc na niego zdałem sobie jednak sprawę, że pyta poważnie.

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – A ty potrafisz?

– Udało mi się raz... Ja...

– Idź – powiedziałem krótko. Już nic nie było w stanie mnie zdziwić.

Kobieta uderzyła czymś w drzwi, które wcześniej minęliśmy. Miała nas na widelcu.

Syreny znów rozwyły się w całym budynku.

– A ty?

– A ja też ponabijam się z jej butów.

Asieniewicz uśmiechnął się smutno i skinął głową.

– Nie miej mi za złe – powiedział, po czym zamknął oczy i ruszył niczym taran w stronę ściany.

Byłem pewny, że przygrzeje z całym impetem głową i runie jak długi, ale on po prostu przez nią przeniknął.

– Cholera, a ja myślałem, że jaja sobie robi – sapnąłem.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że zostałem sam z przeciwnikiem, przy którym miałem marną szansę na przeżycie kolejnych kilkunastu sekund.

– Raz kozie! – Zamknąłem oczy i natarłem na ścianę jak wcześniej Asieniewicz.

Otworzyłem oczy tuż przed zderzeniem, próbowałem chyba nawet wyhamować, ale było za późno. Uderzenie okazało się bolesne, o dziwo jednak ściana, choć niedokładnie tak, jak w przypadku Miszy, poddała się. Trafiłem wprost na płytę regipsową, która pękła pod moim naporem. Zrobiłem jeszcze jeden krok, a potem poleciałem w dół z aluminiowym stelażem i Bóg wie czym jeszcze.

Pamiętam to jak przebłyski jakiegoś filmu. Wszystko w niemal zupełnych ciemnościach, czasem tylko pojawiał się oślepiający błysk czołówki.

Kilkunastu niskich mężczyzn wyglądających jak mityczne karłowate stwory, odgłosy walki, terkoczących karabinów, zmienianych magazynków.

Misza też tu był. Trzymali go pod ramiona, a on zwisał bezwładnie niczym kukła.

Pociągnęli nas w stronę schodów, w dół. Zdziwiłem się, że centrum handlowe może mieć tak wiele kondygnacji. Wszystko jednak mi jakoś zobojętniało.

– Walerik, chłopcy nie dadzą jej rady. – Usłyszałem głos jednego z mężczyzn.

– Wycofujemy się – odpowiedział tamten.

– A tych dwóch?

– Bierzemy ze sobą.

Poczułem uderzenie w tył głowy i od razu zrozumiałem, dlaczego Misza nie stawiał oporu.



Misza zachłysnął się wodą. Zimny strumień momentalnie przywrócił mu świadomość. Siedział na krześle, z którego przed chwilą niemal spadł. Próbował gwałtownie wstać, ale mężczyzna, który wcześniej ocucił go w ten mało wyszukany sposób, przytrzymał Asieniewicza w miejscu. Wycelowany w głowę pistolet służył za najlepszy argument.

– Grzecznie...

Asieniewicz dostrzegł kątem oka Polaka. Siedział wyprostowany jak struna, patrząc uważnie w oczy Azera, który trzymał go na muszce. A więc udało mu się stamtąd wydostać. Misza miał wyrzuty sumienia, że zostawił go samego, czekającego na tę diaboliczną kobietę. Teraz obaj wpakowali się w kolejne tarapaty.

– Jestem milicjantem – powiedział Misza, choć nie łudził się, żeby miało mu to zagwarantować ochronę. Wręcz przeciwnie, ta informacja mogła okazać się gwoździem do trumny.

– Śmierdzisz łapówkarzem na kilometr.

Asieniewicz nie odpowiedział. Sam łapówki nigdy w życiu nie wziął. Kilka razy dał lekarzowi, który załatwiał matce operację, ale to nie to samo.

– Jesteśmy po tej samej stronie – odezwał się Alek.

Asieniewicz znów spojrzał na towarzysza, który budził w nim różne emocje. Niechęć i zainteresowanie. Facet mówił całkiem dobrze po rosyjsku, ale zarówno po akcencie, jak i zachowaniu można było zauważyć, że jest obcokrajowcem. Może to wywołało w Miszy tę gamę emocji.

– Walerik, słyszałeś? Jesteśmy po tej samej stronie...

Krępy mężczyzna wyszedł z cienia. Był łysy, jego puciołowate policzki i czoło lśniły od potu. Krótki gęsty zarost upodabniał go do rozbójnika.

– Co tam robiliście? – zapytał.

– Chciałem odwiedzić przyjaciółkę – włączył się Misza. – Ale pojawiła się ta... kobieta, Nyja.

Walerik przyjrzał się uważniej Asieniewiczowi.

– Po haracz pewnie do sklepu przyszedł – odezwał się jeden z mężczyzn. – Kryszowac chciałeś?

Walerik uciszył go ruchem dłoni.

– Skąd znasz jej imię...

– Czyje? – Misza zmieszał się. Nie wiedział, czy nie popełnił błędu, przyznając się, że zna tożsamość napastniczki.

– Mów, bo obaj zginiecie.

– Ona jest i waszym, i naszym wrogiem. – Polak znowu się odezwał, jego głos był twardy i spokojny. Nie wyglądało na to, by przejął się groźbą. – Chcieliśmy chronić dziewczynę... Teraz przepadła.

Walerik przyciągnął krzesło, które stało przy ścianie. Odgłos, jaki wydawały szurające po kafelkach metalowe nogi, był paskudnie irytujący.

– Ciebie już chyba kiedyś widziałem. – Walerik usiadł, wspierając łokcie na podłokietnikach, i zwrócił się do Asieniewicza. – Znasz się z Ksenią.

Misza skinął głową. W głosie Azera nie było pytania, tylko raczej stwierdzenie faktu.

– A kim ty jesteś? – Walerik spojrział na Alka.

– Przyjacielem przyjaciela Kseni. A skoro ty jesteś przyjacielem dziewczyny, to znaczy, że też jesteśmy przyjaciółmi.

Walerik i jego towarzysze zarechotali.

– Masz stalowe nerwy, przyjacielu.

– Wydaje mi się, że obaj je mamy. A już na pewno wszyscy mamy ten sam cel. – Alek nawet się nie uśmiechnął. – Wiesz, dokąd ta suka zabrała Ksenię?

Walerik cmoknął i pokręcił głową.

– Ta suka, jak ją nazwałeś, zje was na śniadanie. Macie więcej szczęścia niż rozumu, że żyjecie.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał.

– Na co mi się przydadacie? – odezwał się w końcu Walerik.

Pytanie zawisło w próżni, choć wydawało się, że od niego zależą dalsze losy Miszy i Alka.

– Będziemy jej szukać – powiedział Misza. – Kseni...

– Nie dacie rady. Nawet jeśli jeszcze żyje, ta suka, jak ją nazwał Polak, nie da się podejść.

– Walerik splunął.

– Wiesz, gdzie może być? – zapytał Alek.

– Ja nie, ale znam kogoś, kto wie. – Walerik odsłonił bogate uzębienie. Odbiło mu się i woń przetrawionego czosnku rozeszła się w powietrzu.

– Pomożecie nam? – W głosie Miszy wyczuwalne było napięcie.

Walerik podniósł się z krzesła. Mężczyźni unieśli broń.

– Odwiedzicie Marida. Jeśli uda wam się coś wyciągnąć z tego skurczybyka, wtedy pomyślimy – powiedział.

Asieniewicz przełknął głośno ślinę i spojrział na Alka.

– Jak to ujął wcześniej twój kolega: przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi!

– Azer zaśmiał się gardłowo. – Za moich jednak nie ręcę!

Misza pomyślał, że cholernie trudno odróżnić przyjaciół od wrogów.



Zobaczył ich wcześniej: młodzi, około trzydziestki, w towarzystwie starszego, od którego biła mocna aura.

Rozpoznał ich bez wahania. Był pewny, że pojawili się już w jego wizji. Śpiący mężczyzna w pokoju wypełnionym ziołami i ten, który biegł Nowym Światem, spiesząc na spotkanie.

Nie musiał ich szukać, pojawili się sami. Los, przeznaczenie? Poplątane ścieżki...

Wszystko wydarzyło się szybko, adrenalina rozsadzała mu żyły. Wiedział jednak, że nie może ingerować, zwłaszcza gdy zobaczył kobietę. Tę, której szukał od początku, Nyję.

Budziła w nim mieszankę silnych uczuć, tajemniczych. Rodziły się gdzieś głęboko we wnętrzu. Nie potrafił ich określić i sprecyzować.

Wszystko miało swój cel. Tryby mechanizmu nachodziły na siebie, puszczając w ruch maszynę. Jakie było jej przeznaczenie?

Dziewczyna, ci dwaj i ona. Wszyscy spotkali się w jednym miejscu. Tak miało być.

Wycie alarmowych syren pobudziło go jeszcze bardziej. Nagle poczuł, jakby jego ciało zostało gdzieś w dole, a dusza lub jej cząstki powędrowały w górę, gdzie miały miejsce wszystkie wydarzenia.

Zobaczył, jak Nyja rozprawiła się ze starszym mężczyzną, jak dwóch młodych ledwie uszło z życiem. Potem znów zobaczył kobietę – szła ciemnym i wąskim korytarzem, przed nią spieszyło dwóch jej towarzyszy, którzy nieśli dziewczynę, Ksenię. Wyszli na zewnątrz od strony strefy dostaw i wsadzili ją do samochodu czekającego na parkingu.

Batler ocknął się z letargu, potrącany przez ludzi, którzy w panice opuszczali centrum. Dołączył do nich, przesuając się w stronę wyjścia. Odszukał wzrokiem postój taksówek, ale większość odjeżdżała już spod centrum. Ludzie uciekali jak mrówki z płonącego kopca. Zdał sobie sprawę, że popełnił błąd: nie zadbał wcześniej o środek transportu.

– Panie, chodź ze mną.

Powiedział to niski, chudy mężczyzna o zmęczonej twarzy. Mógł mieć równie dobrze trzydzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Jego usta były wąską szparą, jakby wyciętą w masce. Jedyne oczy pozostawały żywe, płonące blaskiem, który Batler dobrze znał. Takim blaskiem jak jego własne oczy.

W milczeniu podążył za mężczyzną, a potem wsiadł do jego czarnej wołgi. Usiadł z tyłu, patrząc, jak kierowca sadowi się na swoim miejscu i z piskiem opon odjeżdża spod centrum.

Wycie syren milicyjnych zbliżało się szybko. O dziwo, pierwsza jechała straż pożarna. Kierowca wołgi wyminął samochody usiłujące wydostać się z parkingu i skierował się na tyły centrum. Batler poznał wyjazd ze strefy dostaw. Minęli to miejsce i pojechali w dół, w ślad za oddalającą się ciężarówką.

– Skąd wiesz, gdzie jechać? – zapytał Batler.

– Ty, panie, mnie prowadzisz.

Marek nie pytał o nic więcej. Chwilami patrzył w lusterko kierowcy, a wtedy spojrzenia jego i nieznanego spotykały się. Być może na ułamek sekundy, ale Batlerowi wydawało się, że trwa to wieczność. Czarne jak węgiel oczy sprawiały, że mężczyzna wyglądał upiornie. To było tak, jakby patrzeć w ciemny ekran telewizora i odnosić wrażenie, że jakimś dziwnym sposobem z otchłani wyłania się obraz. Zamazane kontury, przypominające coś na granicy postrzegania...

Batler widział ogień, być może jedynie szary cień, kłębiący się u stóp olbrzymiego drzewa. Gałęzie tworzyły ogromną koronę, podtrzymywaną przez silny i mocny pień. Splątane korzenie falowały, jakby wpijały się w podłoże, drążąc skałę coraz głębiej i głębiej... A z tego wszystkiego wyrastała wieża. Biała Wieża.

– Kim jesteś? – zapytał Batler.

– Twoim sługą, panie.

Płomienie objęły drzewo, a korzenie uniosły się, otwierając przejście w czeluść bez dna.



Zapach piasku, nigdy go nie zapomnę.

Działil pomstuje na wszystkich swoich bogów, ale to nie wywołuje żadnej reakcji Rosjanina. Talib patrzy na mnie z zaciekawieniem, jak na złowiony okaz. Być może tak spogląda myśliwy na swojego pierwszego upolowanego lwa... A może kot na upolowaną mysz?

Takie myśli mam wtedy.
Dżalil krzyczy coś po swojemu.
Rosjanin mówi, żeby zamknął mordę i wyszedł.
Dżalil i drugi talib słuchają go.
Wreszcie spokój.

Słyszę szum wody gdzieś daleko. Chwilami wydaje mi się, że to wodospad, choć woda w nim wydaje się lepka i gęsta, jakby nie miała siły płynąć. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to moja własna krew. Krew hucząca w uszach.

– Polak?

Kiwam głową. I tak widać po mundurze.

Zastanawiam się, co się ze mną stało. Miałem wrażenie, że umarłem. Umierałem wiele razy. Na pewno straciłem przednie zęby, gdy Dżalil uderzył mnie kolbą w twarz. Usta miałem rozgniecione jak figi. Dlaczego to najbardziej mnie poruszyło? Próżność? W tamtej chwili, kiedy plulem jedynkami, poczułem straszny i niezrozumiały żal. Zastanawiałem się, jak młody chłopak będzie wyglądał ze sztuczną szczęką. Jakby nie docierało do mnie, że zaraz zostanę zaszlachtowany.

Poruszam językiem w ustach. O dziwo, zęby są na swoim miejscu, choć wydają się jakby krótsze... Nie mogę tego zrozumieć.

– Zabiorę cię stąd – mówi Rosjanin.

– Dokąd? – pytam odruchowo. Leżę na boku i patrzę na piasek. Czerwony, przesiąknięty krwią. Czyją? Moją?

– Podrzucę cię pod twoją bazę i tam zostawię.

Zaczynam rozumieć, że Rosjanin naprawdę chce mi ocalić życie. Dopiero teraz uważniej mu się przyglądam, wcześniej był tylko kolejnym z oprawców. Pomyliłem się.

– Kim jesteś?

– Powiedzmy, że twoim bratem – śmieje się. Śmieje się tak głośno, że ten śmiech wydaje się przenikać mnie, ściany chałupy i pustynię.

Kolejny obraz dociera jak przez mgłę. Siedzę, a właściwie półleżę na fotelu. Trzęsie niemiłosiernie. Samochód prowadzi ten, który mnie ocalił.

– Ty nie wiesz, kim jesteś, prawda? – pyta.

Chcę odpowiedzieć, ale nie do końca wiem, o co mu chodzi.

– Jest nas niewielu, a prawdę mówiąc... – Ryk silnika i szum wiatru niemal zagłuszają jego słowa. Muszę wyteżać słuch, żeby zrozumieć. – ...prawdę mówiąc, jesteś drugim, którego spotkałem.

Kiwam głową, a może to wstrząs samochodu powoduje, że pochylam się w odpowiedzi.

– Ja też nie zdawałem sobie z tego sprawy, z tego daru i przekleństwa, jakie mamy. Gdy już wiesz, czujesz się niemal Bogiem, ale pamiętaj, bogami nie jesteśmy... – Znów się śmieje i skręca gwałtownie, wymijając na drodze coś, czego nie jestem w stanie dostrzec.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Mówiłem – odpowiada. Stalowoszare oczy są wesołe, choć można dostrzec w nich siłę i determinację. Tych oczu trzeba się bać. – Braciom się pomaga. Mnie kiedyś też ktoś pomógł.

– Ja ci też kiedyś pomogę, jak będzie okazja. – Czuję coraz większe zmęczenie. Mój mundur jest cały we krwi, ale nie mam żadnej rany. Sprawdziłem. Co chwila dotykam językiem przednich zębów. Urosły, są takie jak jeszcze wczoraj. Jestem pewny, że śnię. Cała ta jazda, kierowca i ja.

– Nikt nie zna ludzkich ścieżek, są poplątane. Być może na jednej z nich się jeszcze zobaczymy – mówi Rosjanin i dotyka mojego czoła. – A teraz zapomnij. Lepiej nie wiedzieć, by

nie czuć się równym Bogu.

Dotyk szorstkich palców sprawia, że wszystko wokół wiruje, a ja wpadam w ten wir, nie potrafiąc mu się przeciwstawić.

III. Poplątane ścieżki

Gdzieś głęboko pod moimi i twoimi powiekami
tam, gdzie czarów jest miasteczko, spotkasz mnie.
Jestem diabłem, co się zowie, i z wiedźmami jestem w zмовie
nieźle bawię się
[...]

Na podniebnym szlaku koni, falujących morskich traw
każdy pragnie mieć marzenie, czemu nie?
Mimo błażej tak tęsknoty palą mnie przyziemne cnoty,
by nastraszyć cię

Posłuchaj i śpij, bo nie ma baboków, jestem ja i ty, tylko ja i ty
I choć głaszczę cię nocami, pod twoimi powiekami robię psoty,

same bzdury, przecież wiesz,
że mój świat jest taki mały,
czemu tak wytrzeszczasz gały, ja naprawdę bardzo kocham cię

Posłuchaj i zaśnij, posłuchaj i śpij, bo nie ma baboków,
jestem ja i ty, tylko ja i ty

Formacja Nieżywych Schabuff, *Baboki*

[www.tekstowo.pl]

Dziewczyna spała głęboko i spokojnie, jakby nie wydarzyło się wcześniej nic, co mogło zmącić spokój jej ducha. A przecież wydarzyło się tak wiele.

Nyja wsłuchiwała się w jej oddech, wpatrzyła w wygładzone rysy twarzy.

– Jak jest twoja rola? Kogo grasz w tym przedstawieniu?

Ksenia obróciła się na bok. Na jej ustach błędził uśmiech, przywołany gdzieś z otchłani snu.

Nyja zamknęła oczy i skoncentrowała się na ulotnym wrażeniu, delikatnym wirze unoszącym się tuż nad głową śpiącej. Dotknęła go umysłem, wciągnęła w nozdrza, czując zapach polnych kwiatów, rozgrzanej słońcem łąki.

Dziewczyna siedziała na wzgórzu i patrzyła na zachodzące słońce. W dole tańczyły rusalki, trzymając się za ręce, pływały w promieniach muskających delikatną poświatą młode ciała.

Ksenia wstała i ruszyła wolno, jakby niezdecydowana, w dół, w stronę rzeki. Tam, gdzie stawiała stopy, z ziemi wystawiały główki kwiaty. Rosa zmoczyła jej sukienkę, zdźbła trawy pozostały na bosych stopach, pomiędzy palcami, wokół kostek.

Nyja patrzyła na to wszystko w zdumieniu. Słońce zatrzymało swoją wędrówkę, jakby czekając na znak dziewczyny. Rusalki rozpięzchły się, ale Ksenia zdawała się ich nie zauważać. Szła dalej w dół, w stronę rzeki.

Nad jej głową przeleciały jaskółki, najpierw jedna, potem kilka, w szaleńczym pędzie wykonując akrobacje, od których mogło zakreślić się w głowie.

W dół, do rzeki.

Stanęła na brzegu, kolejny krok i stopy zanurzyły się w wartkim nurcie. Tu zatrzymała się i spojrzała w górę rzeki.

Czekała.

Słońce zmieniło kolor. Stało się rubinowe, jaskółki przeniosły się nad pędzący nurt wody. One także znieruchomiały, jakby na coś czekając.

W końcu i Nyja dostrzegła, że zza zakrętu wyłoniło się coś olbrzymiego, płynącego z ogromną prędkością w ich stronę.

Nie miała wątpliwości, że to drzewo, wielkie, chwilami obracające się, chybotliwe, jakby odbijało się od niewidzialnych przeszkód.

Gałęzie łamały się, liście porywane przez nurt barwiły wodę złocistymi smugami.

Nyja patrzyła z fascynacją, która powoli napępiała ją niepokojem. To drzewo. Znała je bardzo dobrze.

Nie potrafiła oderwać wzroku od korzeni, które wydawały jej się tak mocne i wieczne. Wyciągały soki z samych wnętrzości Ziemi, one były ziemią i powietrzem. Teraz tak kruche...

Ksenia odwróciła się od rzeki. Stała wyprostowana, patrząc w stronę Nyi. Uśmiechała się, a ten uśmiech... Ten uśmiech wzbudził lęk w sercu, które lęku nigdy nie zaznało.

– Kim jesteś? – zapytała Nyja.

Dziewczyna pokręciła głową, uniosła dłoń i wskazała coś za plecami Nyi, która chciała się obrócić, ale wtedy wir zakręcił się mocniej, a ona została wypchnięta ze snu Kseni jak nieproszony gość.



– Wiesz, gdzie mamy iść? – zapytałem. Mimo szczerych chęci nie byłem w stanie zapamiętać wskazówek. Miałem nadzieję, że chociaż Misza był w stanie pojąć słowotok Walerika.

– Mniej więcej. – Asieniewicz wzruszył ramionami.

Wysiedliśmy na stacji metra. Asieniewicz przez dłuższy czas zachowywał się jak mruk. W wagonie w ogóle nie był skory do rozmowy, tylko się nad czymś zastanawiał. Dałbym głowę, że myśli o dziewczynie.

– Kto to ten... Marid?

Zdawałem sobie sprawę, że moje ciągle pytania mogą być irytujące, ale musiałem nawiązać kontakt z zamkniętym w sobie Miszą. Jeśli chcieliśmy wyjść cało z tej opresji, powinniśmy współpracować.

– Wiem tyle co ty.

Skinąłem głową. Rozdrażnienie mojego towarzysza zaczynało mnie także działać na nerwy.

Wyszliśmy ze stacji metra wprost w rozgrzane powietrze Moskwy. Szeroką ulicą jechały sznury samochodów, ludzi, mimo upałów, było wielu. Tłoczyli się na chodniku, stali w kolejce pod kioskiem z gazetami. Niektórzy przy budkach z jedzeniem. Sam także poczułem głód.

– Łaźnia jest tam. Sanduny.

Misza wskazał palcem uliczkę, a kilka minut później narożny budynek.

– Sanduny 1896 – przeczytałem. – Restauracja i bar. Dobrze się składa, głodny jestem.

Asieniewicz powiedział coś niezrozumiałego pod nosem.

Przekroczyliśmy ulicę i Misza otworzył drzwi.

Przy kasie siedziała może czterdziestoletnia kobieta. Przyjmowała automatycznie pieniądze i równie bezdusznie wydawała bilety. Kiedy Asieniewicz podszedł i oznajmił, że przysłał nas Walerik, wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet odrobinę. Po prostu przekazała dwa kartoniki, nie odrywając wzroku od swoich paznokci.

Weszliśmy do przebieralni.

Zawsze lubiłem takie miejsca. Czuć było tu historię. Czasy świetności łaźnia miała za sobą, pozostał jednak klimat, który nawet teraz dodawał Sandunom uroku.

Misza zlitował się nade mną i zamówiliśmy mocną herbatę z konfiturą, a także ciasto z jagodami. Pochłonałem je szybko, podobnie herbatę, w której można było wyczuć mocny smak suszonej śliwki. Tak wzmocniony byłem w stanie stawić czoła każdemu wyzwaniu.

– Panowie pójdą za mną.

Młody mężczyzna skinął na nas i poprowadził w bok od głównego przejścia, do którego zmierzała większość klientów.

– Gdzie nas prowadzisz? – zapytał Misza.

– Jesteście specjalnymi gośćmi pana Marida. Zapraszamy do osobnej łaźni. Za godzinę pan Marid się z wami spotka.

– Trzeba było tak od razu – powiedziałem.

Znaleźliśmy się w wąskim, parnym korytarzu. Skręciliśmy w prawo, a potem schodami w dół. Poczułem się nieswojo. Ściany wyłożone były zielonym marmurem i pociły się zupełnie tak samo jak moje czoło. W końcu stanęliśmy przy drzwiach.

– Szatnia dla panów jest tutaj. Proszę skorzystać i przejść dalej w stronę sauny.

Misza skinął głową, a mężczyzna o podobnie bezdusznym wyrazie twarzy jak kasjerka oddalił się niespiesznie, wracając tym samym korytarzem, którym przyszliśmy.

Odsunąłem Miszę i otworzyłem ostrożnie drzwi, jakbym spodziewał się znaleźć za nimi dziką bestię.

Szatnia wyglądała zwyczajnie, może tylko bardziej pasowałaby do sali gimnastycznej. Kilka szafek, krzesło i wieszaki na ścianie. Pozostawienie tutaj swojego ubrania i paradowanie w samym ręczniku nie za bardzo przypadło mi do gustu. Misza też przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby walczył ze sobą.

– Idziemy? – zapytał.

Skinąłem głową, zrzuciłem ubranie i okręciłem ręcznik wokół bioder.

– Dawaj, Misza. Jak ginąć, to przynajmniej z klasą!

Weszliśmy do pomieszczenia wypełnionego po brzegi parą. Miałem wrażenie, że wciągnięcie gorącego powietrza przez nozdrza zakończy się spalaniem płuc. Podczas służby w Afganistanie całkiem dobrze znosiłem upały, sauny jednak nigdy nie lubiłem.

Moje ciało pokryło się szybko kropelkami potu. Usiadłem naprzeciw Asieniewiczowi i przyjrzałem mu się. Był szczupłym żylastym osobnikiem. Melancholijny introwertyk, pewnie tak bym go określił, gdyby komuś przyszło do głowy mnie o to zapytać.

– Zwariowaliśmy?

Zaśmiałem się cicho.

– Czytasz w myślach? Zadaję sobie to samo pytanie od dłuższego czasu.

Asieniewicz uśmiechnął się, chyba nawet odprężył.

– Ja brnę w to szaleństwo ze względu na Ksenię... Ale ty? Czemu tu przyjechałeś? Nie lepiej wrócić do Polski?

Otarłem pot z czoła. Moja skóra była tak gorąca, że wydawało mi się, że poparzyłem opuszki palców.

– Tam też mnie znajdują. Poza tym jestem to winien pewnej osobie. W sumie coś jej zawdzięczam...

Asieniewicz nie dopytywał o to, co i komu.

– Wierzysz w Boga? – zainteresowałem się.

– Nie bardzo – odpowiedział. – Jestem ateistą.

– No popatrz. – Wyszczrzyłem zęby. – Trudno ci było uwierzyć w jednego Boga, a tu masz ich na pęczki. Do tego jeszcze wampiry i inne tałatajstwo.

– Mnie to wiary nie dodało, a twojej czasem nie zachwiało? – zapytał z przekąsem.

– Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – zacytowałem. – U mnie nic się nie zmieniło. To nie moi bogowie.

– Ale, jak widać, istnieją.

Wzruszyłem ramionami.

– Zaraz będę jak skwarek, ewakuujmy się stąd.

Asieniewicz skinął głową. Przeszliśmy najpierw do małego pomieszczenia, gdzie przyjąłem na ciało lodowatą wodę, a potem znaleźliśmy się w sali z basenem. W błękitnej tafli odbijały się marmurowe kolumny i zdobiony sufit. Poczułem się niemal jak w starożytnym Rzymie.

Okazało się, że nie byliśmy sami. W wodzie pluskały się dwie dziewczyny. Dopiero po chwili zauważyłem, że nie mają na sobie strojów kąpielowych i pływają, jak je natura stworzyła. Zastanawiałem się, czy to tutaj taki obyczaj. Jeśli tak, to przypadł mi do gustu.

Asieniewicz usiadł na leżaku i wskazał mi drugi obok siebie. Miałem raczej ochotę na skok do basenu, ale postanowiłem dotrzymać mu towarzystwa.

– Mamy jakiś plan? – zapytał.

– Przeżyć – odpowiedziałem krótko.

– Pytam poważnie. – Skrzywił się. – Być może Marid powie nam, gdzie jest Ksenia. Co dalej?

– Walerik jest po naszej stronie, Lel i Polel też. Coś wymyślimy.

– Coś wymyślimy – powtórzył cicho Misza. – Nie damy jej rady, tej Nyi, skoro i Roman nie dał... Nie wiadomo, dla kogo pracuje albo komu służy.

– Oj, nie bądź taki skromny. – Puściłem do niego oko. – Umiesz przenikać przez ściany, może masz jeszcze jakieś ukryte zdolności. Poza tym nie zapominaj o Batlerze. Nie zastanawiało cię, co się z nim stało? Dziewczyna była z nim, a potem w butiku już sama.

– No właśnie... – Asieniewicz ożywił się. – Wypuścił ją i zniknął.

– Mam wrażenie, że jeszcze się z nim spotkamy. – Nagle zdałem sobie sprawę, że elementy układanki zaczynają do siebie pasować. Wydawało się, że wystarczy jeszcze drobny wysiłek umysłu, a wszystko ogarnę i zrozumieć. – Wystawił dziewczynę na przynętę. Być może zależy mu na Nyi albo, jak to ująłeś, na tym, komu ona służy.

– Więc ty też masz zdolności. – Misza prychnął.

– Tak? – Uniosłem brwi w zdziwieniu.

– Może z ciebie jakiś Sherlock Holmes jest? A może masz jeszcze jakieś inne ukryte talenty?

– Raczej nie. – Zaśmiałem się na całe gardło.

Od dłuższego czasu obserwowałem dziewczyny. Podpływały coraz bliżej, jakby chciały przyciągnąć naszą uwagę. W końcu stanęły tuż przy krawędzi basenu i z uśmiechem przysłuchiwały się naszej rozmowie.

– Nie pływacie? – zagadnęła jedna z nich, a druga zachichotała. – Brakuje nam towarzystwa.

– Misza, co ty na to? – zapytałem.

Były naprawdę piękne. Wyróżniały się nieco arabską urodą: gładka brązowa skóra, kruczoczarne włosy. Jedna z nich właśnie zaczesła je palcami do tyłu i kształtne piersi wyskoczyły nad taflę wody. Zrobiło mi się goręcej niż wcześniej w saunie.

– Brakuje nam towarzystwa – powtórzyła wyższa, kładąc dłonie na ramionach koleżanki. Przyciągnęła ją do siebie i pocałowała namiętnie w usta.

– O kurczę – wyjąkałem. – Powiedz, że śnię...

– Śnisz. – Misza pokręcił głową z niedowierzaniem.

Jedna z dziewczyn puściła do mnie oko i przywołała wskazującym palcem. Ten ruch był cholernie erotyczny.

– Misza?

– Idź. – Asieniewicz popatrzył na mnie. – Baw się dobrze.

Wzruszyłem ramionami i pomachałem dziewczynom. Odrzuciłem ręcznik i wskoczyłem na główkę do basenu ponad nowymi znajomymi.

Gdy wynurzyłem się na powierzchnię, dotarł do mnie ich perlisty śmiech. Znikły pod wodą w ułamku sekundy. Przez chwilę czułem się jak bohater filmu *Szczęki*. Nagle ktoś uszczypnął mnie w pośladek. Jedna z dziewczyn otarła się o mnie przyjemnie, druga wypłynęła

tuż przy mojej twarzy. Zarzuciła mi ręce na szyję i przywarła ustami do moich. Poczułem jej miękki, gorący język oraz twarde sutki na klatce piersiowej.

– Dziewczyny, dajcie spokój, cholera wie, kto wcześniej pływał w tym basenie – powiedziałem, gdy wreszcie miałem wolne usta.

Wybuchły śmiechem.

Moja pewność siebie gdzieś się ulotniła. Poczułem się nagle skrępowany, choć Misza raczej nie patrzył w naszą stronę. Zerknąłem w stronę leżaków: Asieniewicz odwrócił się plecami. Dobrze wychowany.

Dziewczyny znów zanurkowały. Zamieniły się, tylko że tym razem...

– O kuuuuurczę?

Poczułem dotyk ust w miejscu, które pulsowało podnieceniem.

– Dziewczy... – Nie dokończyłem, bo druga znów wpakowała mi język w usta.

Nieźle, pomyślałem. W moich żyłach przetoczył się rozpalony ołów, podniecenie zawładnęło mną niemal całkowicie.

– Dobrze pływacie – wysapałem.

Znów się zaśmiały. Dłoń jednej z nich przesunęła się z mojego brzucha niżej. Druga przywarła do pleców, obejmując mnie udami. Zanurzyłem się pod wodę i wierzgnąłem, wydostając się na powierzchnię.

– Ostrożnie... – Popatrzyłem w oczy tej bardziej aktywnej. Przez ułamek sekundy dostrzegłem w nich coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Jej tęczówki przypominały wodny wir.

Zaśmiały się głośno, a ja poczułem, jak obie ciągną mnie w dół.

Ta, która znalazła się z tyłu, oplótła mnie nogami, ściskając w pasie. Nie zdążyłem nawet nabrać powietrza. Przycisnęła palcami moją krtani.



Zdałem sobie sprawę, że zabawa się skończyła. Dałem się wciągnąć w pułapkę. Próbowałem uderzyć tę drugą, ale unieruchomiła mi ręce jak dziecku.

Szybko zostałem pociągnięty na dno. Wykręciłem ciało, wierzgając nogami, ale przycisnęły mnie do kafla. Były niewiarygodnie silne. Jedna wbiła się kolanami w mój brzuch. Ze zdumieniem zobaczyłem, jak bąbelki powietrza uchodzą mi z ust, ulatując w stronę powierzchni.

Misza, do jasnej cholery!

Zdałem sobie sprawę, że Asieniewicz pewnie dalej odwrócony jest plecami do basenu. Jego dobre wychowanie za bardzo mi nie pomagało. Robiłem, co mogłem, walczyłem o życie. Nawet udało mi się na chwilę uwolnić rękę, ale wtedy zrozumiałem, że i tak jest za późno.

Płuca błagały o litość i wydawało się, że lada moment pękną. Przed oczami pojawiły mi się czerwone plamy, uszy rozwalalo ciśnienie. Przeszywający ból. Wiedziałem, że za moment woda przełamie tamę, którą były moje zaciśnięte usta. Ciało krzychało o oddech. I wtedy ciepła ciecz wdarła się do nosa i gardła. To było fascynujące uczucie, zupełnie jakbym pogodził się z tym, co miało nastąpić. Moje ciało wyprężyło się w ostatnim skurczu, klatka piersiowa uniosła, ostatnie bąbelki powietrza uleciały w przestrzeń.

Tak wygląda umieranie? Patrzyły na mnie, chwilę jeszcze trzymały, dopóki nie znieruchomiałem. Ich twarze były spokojne, wręcz pogodne. Jedynie w oczach wciąż kotłował się niebezpieczny wir. Każda złożyła pocałunek na moich ustach, a potem odpłynęły, zostawiając mnie samego na dnie.



Jak niewiele z tego wszystkiego rozumiał, wciąż zagubiony, błądzący. Odkrywał swoją tożsamość? Odkrywał prawdę o sobie? Czy jednak spodoba mu się wynik tej obserwacji? Coraz bardziej czuł, że prawda okaże się gorsza, niż przypuszcza. Co, jeśli sam jest ucieleśnieniem tego, czego do tej pory nienawidził?

Kierowca zatrzymał się w lesie. Zjechał z drogi kilkanaście minut wcześniej. Oddalili się znacznie od Moskwy, chociaż Batler nie był w stanie określić, gdzie dokładnie byli.

Minęli kilka osiedli, które wyglądały na enklawy bogaczy, budujących swoje wille, jedne większe od drugich, na pokaz, dla zaspokojenia próżności. Póki możecie, czyńcie to, bo potem i tak wszystko stracie.

Ciężarówka znikła im dawno z oczu, kierowca jednak zapewnił, że będą znali cel jej podróży. Batler przyjął to jako najbardziej oczywistą informację na świecie. Wiedział, że mężczyzna mówi prawdę.

– Chodź za mną, panie.

Począł, aż kierowca otworzył drzwi, i wyszedł na zewnątrz. Boczna ścieżka kończyła się tutaj urwiskiem, w powietrzu unosiły się zapach lasu i ledwie wyczuwalna woń spalenizny.

– Gdzie idziemy? – zapytał.

– Do tych, którzy czekają na twój rozkaz.

Jego rozkaz. Poddał się całkowicie obłądowi. Czy to, co widzi i słyszy, to urojenia? Wizje przerodziły się w rzeczywistość? Jaką odgrywał w nich rolę?

Przewodnik odnajdywał ścieżki w lesie bezbłędnie, nawet tam, gdzie, jak się wydawało, bór był nieprzenikniony. Batler wsłuchał się w las: śpiewy ptaków szybko umilkły, jakby obecność intruzów wszystkie wypłoszyła. Dominowały skrzypienie drzew i szum liści szepczących niezrozumiałe słowa.

Poczuł na sobie spojrzenia, niespokojne ruchy wokół. Coś czaiło się w miękkim poszyciu, w koronach drzew. Było ich coraz więcej, jakby zbierali się z całej okolicy, by popatrzeć.

Batler zatrzymał się. Zamknął oczy, kroki przewodnika oddaliły się. Gdzieś z boku doszedł go trzask łamanej gałązki. Gdy znów otworzył oczy, dostrzegł żółte ślepiec tuż nad swoją głową. Leśny duch zeskoczył z gałęzi i skłonił się nisko. Po chwili dołączyły do niego kolejne zwiewne, niemal niematerialne postaci. Było ich coraz więcej, w tym nawet skrzaty padające przed Batlerem na kolana.

– Odejdźcie – powiedział.

Rozpierzchły się jak za dotknięciem różdżki. Przewodnik wrócił po niego zaniepokojony.

– Czekają, panie.

Oczy płonęły mu niczym rozżarzone węgle, z ust wydobywał się dym: szary, cuchnący na odległość.

– Tak, idźmy – zgodził się Batler.

I ruszyli przez młodnik, zapuszczając się coraz głębiej w las.



Misza wzdrygnął się, gdy dziewczyna usiadła, przylegając mokrym ciałem do jego boku.

– Ja nie...

Popatrzył w stronę basenu, jednak Polaka i drugiej dziewczyny już nie było. Być może poszli w jakieś ustronne miejsce.

– Nie lubię, gdy ludzie się smucą. – Przechyliła głowę. Asieniewicz opanował chęć, by spojrzeć niżej, na jej piersi.

– Nie smuć się, czekamy na Marida.

– Marid przyjdzie, ale mamy jeszcze czas. – Z uśmiechem pochyliła się w jego stronę.

Piersi otarły się o ramię Miszy.

Dołączyła do nich druga dziewczyna. Stała bez skrępowania na wprost niego, tak że jej nagie podbrzusze miał na wysokości głowy.

– Gdzie Alek? – zapytał, czując, jak serce w klatce piersiowej zaczyna swawolny taniec.

– Odpoczywa... w pokoju...

Zaśmiały się.

– W którym? – Misza był bliski paniki. Te dziewczyny nie zachowywały się naturalnie.

Miał wrażenie, jakby spotkał się z dwoma drapieżnikami, bestiami, które zaspokoili już głód i pragną teraz jedynie sadystycznej rozrywki. – Ja po niego pójdę.

– Nie ma potrzeby. – Ta, która siedziała obok, wpiła się ustami w jego usta i ugryzła w język.

– Nie! – Misza odsunął ją gwałtownym ruchem dłoni. Dotknięcie jej nagiej skóry działało jak porażenie prądem elektrycznym.

– Chodź do wody – powiedziała druga, ciągnąc go za rękę.

Asieniewicz rozpaczliwie pokręcił głową. Dziewczyna miała ogromną siłę, podniosła go

z leżaka niczym piórko.

– Zostawcie mnie! – zażądał stanowczo. Próbował ją odepchnąć, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, stanie się coś strasznego. – Gdzie jest Alek?

– Już mówiłam... spoczywa w...

– ...pokoju?

Misza usłyszał męski głos, a potem zobaczył, jak głowa dziewczyny odskakuje od uderzenia złożonym leżakiem.

Druga z kobiet krzyknęła przeraźliwie i wyprowadziła cios w brzuch Miszy z taką siłą, że ten opadł na kafelki i zwymiotował.

Gdy uniósł głowę, ujrzał, jak Polak uderza ostrą krawędzią leżaka drugą dziewczynę. Wymierzył w jej gardło, to był szybki i bardzo dokładny cios, po którym kobieta zachwiała się i z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy klapnęła gołymi pośladkami na podłogę.

– Co za kurwiszony!

Alek znów zajął się pierwszą, która po uderzeniu w głowę zdążyła dojść do siebie. Wyprowadził cios w splot słoneczny, jednak napastniczka okręciła się niczym baletnica i wskoczyła mu na plecy. Polak ryknął jak ranny zwierz i popędził przed siebie. Schylił się w ostatniej chwili, tak że dziewczyna uderzyła z całej siły głową w marmurową kolumnę.

– Dosyć!

Misza jak przez mgłę zobaczył potężnego mężczyznę, który pojawił się między nimi.

– Już wystarczy na dzisiaj!

Ktoś postawił Asieniewicza na nogi, ktoś inny podsunął mu krzesło.

– Ty też siadaj. – Przybysz zwrócił się do Alka.

Polak skinął głową i usiadł obok Asieniewicza. Był jeszcze rozgrzany walką. Adrenalina krążyła mu we krwi. Obserwował wszystkich niczym gotowy do skoku tygrys.

– A wy – olbrzymi mężczyzna zwrócił się do dziewczyn – znikać mi stąd.

Kobiety wyglądały na rozjuszone. Oddychały ciężko, z rozciętej głowy buchała krew, ale uśmiechały się przy tym, szczerząc białe zęby. Jedna oblizwała się, patrząc na Miszę. Ten poczuł dreszcze i bynajmniej nie były to dreszcze podniecenia.

Olbrzym stanął naprzeciw Miszy i Alka. Obok niego pojawiło się kolejne krzesło i alabastrowy stół.

– Zostawcie nas samych – powiedział i służba rozplynęła się w powietrzu.

W sali zapanowała głucha cisza. W końcu gospodarz odezwał się:

– Witajcie w moich skromnych progach. Jestem Marid. Jakie lichy was przyгнаło do domostwa skromnego dzina?

– Niezbyt gościnny z pana... dzin – powiedział Alek, rozmasowując szyję.

– Och, to test był. – Olbrzym uśmiechnął się, a Misza pomyślał, że mężczyzna ma zęby wielkie jak pestki dyni.

– Test? – Alek uniósł głowę. – A jak by mnie utopiły?

– A utopiły?

– Sam nie wiem. – Alek uśmiechnął się dziwnie. Spojrzenia jego i Miszy spotkały się.

– Kim one były? – Asieniewicz z trudem dochodził do siebie. Wolał nie zastanawiać się, jak by się to skończyło, gdyby dziewczyny zaciągnęły go do wody.

– Też dziny, wody, ale na moich usługach. – Mięśnie naprężyły się pod przezroczystą tuniką, uprzejmy uśmiech nie schodził jednak z twarzy Marida. – Może wreszcie odpowiecie na moje pytanie?

– Przysłał nas Walerik. – Misza uznał, że to on powinien złożyć wyjaśnienia. – Podobno możesz nam pomóc.

– Walerik. – Olbrzym cmoknął i pokręcił głową. Trudno było odgadnąć, co to może oznaczać. – Niezbyt się lubimy z Walerikiem. Krasnoludów nikt nie lubi.

– Krasnolud, dżin, ja pierdolę. – Alek zaśmiał się tubalnie.

– Coś ma pan do dżinów i krasnoludów? – Marid zapytał tonem, który nie wróżył nic dobrego.

– Nie, skądże znowu. Sam się po prostu zastanawiam, czy nie jestem jakąś cholerną wróżką.

– Wróżki poczułyby się dotknięte do żywego pana uwagą. – Olbrzym uniósł wysoko brew. – Poza tym brakuje panu skrzydeł.

– Rzeczywiście. – Alek pokiwał głową w zadumie. – A panu lampy.

Marid zaśmiał się tubalnie. Przez dłuższą chwilę nie mógł się uspokoić.

– Podobacie mi się. – Przetarł w końcu załzawione oczy. – W czym mogę wam pomóc? Nie liczcie jednak na trzy życzenia.

Znów śmiech. Alek śmiał się chyba najgłośniej. Misza dołączył niepewnym chichotem. Nawet w snach nie prowadził równie absurdalnych rozmów.

– Szukamy mojej przyjaciółki – powiedział w końcu, gdy wszyscy się uspokoiili. – Ksenia Morozowa, została porwana przez...

– Nyję – dokończył za niego Marid. – Tak, znam sprawę. Nie mogę wam pomóc.

Misza zupełnie nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Patrzył z niedowierzaniem, jak mężczyzna wstaje i składa uprzejmy ukłon.

– Panowie, dziękuję za wizytę, jeśli chcecie jeszcze popływać, proszę korzystać z basenu do woli. Jeśli chcecie towarzystwa dwóch młodych dam, które już poznaliście, wystarczy wasze słowo. Obiecuję, że będą delikatniejsze. – Marid po raz kolejny zaśmiał się tubalnie. – A teraz żegnajcie.

– Chwila... – Alek wstał także. Przy Maridzie wyglądał jak chucherko, chociaż nie należał do ułomków. – Nie zadasz nam żadnej zagadki za informację? Nie pójdziesz na wymianę? Chyba tak to się w bajkach odbywa?

– A czy my jesteśmy bohaterami jakiejś bajki? – Marid uniósł brwi w zdziwieniu.

– Pewnie nie, bajki są dla grzecznych dzieci.

– No właśnie. – Dżin skinął głową i założył potężne dłonie na piersiach. Nie oddalił się jednak, jakby na coś czekał.

Misza myślał intensywnie. Musiał wydobyć informacje o Kseni od Marida. Nie mogli przecież dokonać tego siłą. Mieli marną szansę na przeżycie konfrontacji z tym olbrzymem.

– Informacje są dla ciebie ważne, prawda?

Marid spojrzał z zaciekawieniem na Asieniewicza.

– Może więc wymienimy informację za informację? – zapytał, a jego głos odbił się od błękitnych kaflí pływalni.

Dżin skinął głową.

– Spróbujmy.

– Powiemy ci, kto stoi za Nyją... – Misza uśmiechnął się chytrze.

Dżin machnął dłonią.

– Daj spokój, to wiem. Perun macza w tym palce. Daj mi coś, co jest warte zachodu.

Asieniewicz spojrzał z niedowierzaniem na dżina, nie mogąc zrozumieć, że ten dał się tak łatwo podejść.

– Ale na pewno nie wiesz, do czego Ksenia jest mu potrzebna! – Tym razem spróbował szczęścia Alek, patrząc znacząco na Asieniewicza.

– Jesteście frajerami. – Dżin pokręcił głową z politowaniem. – Pewnie, że wiem. Tylko

ona może pokonać jego największego wroga, Welesa. Po to ją do siebie sprowadził!

– Dobrze! – odchrząknął Polak.

– No tak. – Misza zaśmiał się nerwowo. – Wiesz wszystko albo prawie wszystko...

– Do trzech razy sztuka. – Marid zapatrzył się w swoje paznokcie, jakby nagle znalazł tam zabrudzenie. – Jak w bajkach, skoro tak je lubicie.

– Ale na pewno nie wiesz – Misza zawiesił głos – gdzie jest teraz Ksenia!

– Pod Moskwą, w willi Anatola Malczikowa, tam gdzie Perun... – Marid dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że został wmanewrowany. – Wy glonojady! Bobki wielbłąda...

Szarpnął krzesłem i cisnął nim do basenu. Zazgrzytał przy tym zębami tak głośno, że Misza musiał zasłonić uszy. Był pewny, że Marid zaraz rzuci się na nich i rozerwie gołymi rękami.

Przez chwilę rzeczywiście na to się zanosilo. W końcu jednak dzin zaśmiał się jeszcze głośniejsz niż poprzednio i uderzył otwartą dłonią w czoło.

– Pięknie – powiedział. – Szach i mat. Macie głowy na karku.

– Tak jakoś wyszło – sapnął Misza.

Zapanowała niezręczna cisza.

– Wyszło. – Olbrzym westchnął ciężko. – Wyjdziecie sami czy ma was wyprowadzić któryś z moich ludzi?



Nienawidziła własnej nieśmiałości. Nieporadności życiowej, która za każdym razem brała górę, gdy wydawało się, że Ksenia powinna podjąć decyzję. Może to kwestia wychowania, bo przybrani rodzice zawsze powtarzali jej, by umiała ustąpić innym w sporze, była uczynna i grzeczna... Przez to całe życie siedziała jak mysz pod miotłą. Nie umiała nic sobie wywalczyć ani w pracy, ani wcześniej w szkole, czy po prostu kiedy czegoś potrzebowała. Czasem przydałby jej się tupet. Zawsze zastanawiała się, czy to nie jest jeden z tych reglamentowanych towarów, które można dostać w sklepie spod lady, ale tylko wtedy, gdy zna się hasło albo kogoś, kto zna kogoś, kto zna sprzedawcę. Przecież to niemożliwe, żeby na świecie było tak wiele osób, które bezczelnie szły przez życie, nie oglądając się za siebie. To inni mieli tupet, aż nadto, jakby odbierali go płaskim, bezosobowym ludziom, takim jak Ksenia.

Przypomniła jej się babcia Ewy, jej przyjaciółki ze studiów. Przyjeżdżała czasem do Moskwy i choć czuła się zagubiona, radziła sobie lepiej niż Ksenia. Dziewczyna nie potrafiła wyjść z podziwu dla starszej pani, która zawsze potrafiła się uśmiechnąć, nawet w trudnej sytuacji. Była pogodna i uczynna, ale miała też swoją mądrość. Taką właśnie życiową mądrość prostych ludzi, która zadziwiała trafnością spostrzeżeń. Babcia Ewy nie miała tupetu, jej nie był potrzebny.

Starsza pani mówiła Kseni: Przeznaczenie jest w twoich rękach, i twoje, i innych ludzi. Nawet nie wiesz, jak wiele zależy od człowieka. Jeśli będziesz chciała, odmienisz los innych. Bóg cię zesłał i dał zadanie, które wypełnisz. Wiem, że kiedyś to zrozumiesz.

Ja mam zmieniać los ludzi? – myślała wtedy Ksenia. – Własnego zmienić nie mogę.

Czasem jednak wydawało jej się, że ta babcia miała rację.

– Przynosisz mi szczęście, Kseniu – mówiła koleżanka ze studiów. – Tylko trzymaj za mnie kciuki.

Ksenia niewiele robiła sobie z tego gadania, ale Ewa zawsze zdawała egzaminy. Nie uczyła się, nie dotykała nawet książek, a zaliczała testy na najwyższe stopnie. Kiedyś Ksenia zrobiła eksperyment, nie mówiła o tym koleżance, po prostu podczas egzaminu nie myślała o niej, nie myślała o tym, by ta wyszła z gabinetu uśmiechnięta i szczęśliwa, z piątką wpisaną do indeksu. To był jedyny egzamin, którego Ewa nie zdała.

Przypadek. Może i przypadek.

Ksenia poczuła, jak napływają jej do oczu łzy.

Dlaczego właśnie teraz przyszły do niej te myśli?

Bywało też inaczej. Dziewczyna nie życzyła ludziom źle, wierzyła, że nie jest do tego zdolna. Czasem jednak w jej sercu powstawała zdra, może wywołała ją zazdrość, może zawiść, do której Ksenia nie umiała się przyznać. Wtedy nawet ludziom z tupetem powijała się noga. Mówiono o nich w czepku urodzeni, idą śmiało przez życie, wyciskając je jak cytrynę, ale wystarczyła myśl Kseni, ta zła... by cytryna okazała się cierpka, tak cierpka, że nie dało się jej przełknąć.

Tłumaczyła sobie, że wyrównywała szanse, dawała w ten sposób więcej możliwości tym, którzy jak ona nie potrafili dać sobie rady. Bo byli zbyt mili, zbyt uprzejmi, nie wkładali nogi w drzwi, nie rozpychali się łokciami...

Wtedy robiła sobie wyrzuty, że ogarniają ją złe myśli. Jak wtedy o Zacharym Mogielnickim, jej szwagrze. Zostawił przybraną siostrę Kseni dla innej, takiej, której tatuś miał i pieniądze, i władzę. Opuścił dobrą dziewczynę, a ona popełniła przez niego samobójstwo. Szybko za córką do grobu poszli rodzice, którzy stracili wolę życia. Zachary nie przejął się tym i już miesiąc później poślubił Wiktorię, córkę magnata, właściciela kilkunastu cementowni obsługujących największe budowy w Moskwie i kraju. Ksenia tak po ludzku pomyślała, by mężczyzna zamienił się w głąz, skoro jego serce twardsze jest od kamienia.

To może też był przypadek... jednak los Zacharego szybko się odmienił. Teś chciał go nawet wciągnąć w biznes, ale przyłapał chłopaka ze swoją sekretarką w niedwuznacznej sytuacji. Zachary został znaleziony po kilku miesiącach, gdy okazało się, że fundamenty zostały wadliwie wylane.

Ksenia wyrzuciła tamto zdarzenie z pamięci. Zresztą uważała, że to ludzie gotują sobie los taki, a nie inny.

Odmień własny los, Kseniu. Pomyśl o sobie, o swojej przyszłości. Tak mówiła jej przybrana mama, tak mówił przybrany tata.

Zwykła odpowiadać: Taka już moja dola... Niektórzy ciężko muszą pracować, by coś w życiu osiągnąć.

I godziła się na tę dolę, pracując w butiku u Walerika. U niego przynajmniej czuła się bezpiecznie. Traktował ją dobrze, czasem tylko prosił, by trzymała kciuki za nową transakcję, za umowę zawieraną z jakimiś szemranymi ludźmi, o której nic nie wiedziała. I trzymała kciuki, bo Walerik w gruncie rzeczy był dobrym człowiekiem. Na swój sposób dobrym.

Zawsze dawał jej drobny prezent, gdy mu dobrze poszło. Czasem pączka, czasem czekoladki, innym razem pozwalał wybrać sobie buty z dostawy. Wiedziała, że jej dobre myśli przynosiły szczęście. Przynajmniej Walerikowi.

– Obudziłaś się?

Ksenia zamarła. Zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Dopiero teraz zaczęła rejestrować otoczenie. Leżała na miękkim łożu, nad nią powiewał baldachim. Przez otwarte okno docierał szum wody i nawoływanie ptaków.

Usiadła i spojrzała na kobietę, która stała w drzwiach. W pierwszej chwili jej nie poznała, dopiero ten uśmiech. Skrzywienie ust. Nieruchome oczy.

– Porwałaś mnie...

– Raczej doprowadziłam tam, gdzie być powinnaś.

Ksenia opuściła stopy na miękkie dywan. Zakręciło jej się w głowie, przez chwilę miała wrażenie, że dotyka wilgotnej trawy. Chciała pozostać dłużej w tym stanie, pomiędzy snem a jawą. Obecność kobiety budziła jednak coraz większy niepokój.

– Kim jesteś, Kseniu?

– Nie rozumiem.

– Nie wiesz, kim jesteś? Czy nie możesz sobie przypomnieć?

Ksenia wytrzymała ciężkie spojrzenie.

– Wiem, kim jestem – odpowiedziała. – Nie wiem jednak, co tu robię?

Kobieta skinęła głową.

– Może tylko kogoś mi przypominasz – zawahała się.

Za jej plecami pojawił się rosły mężczyzna. Ksenia poczuła dziwny dreszcz, gdy spojrzała w jego oczy. Tak jakby znała go kiedyś, może przez chwilę, ale to wrażenie było bardzo silne.

– Witaj, Kseniu – powiedział. – Cieszę się, że jesteś już z nami. Wieczorem będę chciał z tobą porozmawiać, a do tego czasu możesz swobodnie poruszać się po domu i ogrodzie.

Nyja spojrzała na Peruna z zaciekawieniem. Było coś w tej dwójce, co ją zastanowiło. Jakaś nić łącząca dwie istoty splotem wydarzeń przeszłych lub przyszłych. Właśnie teraz to poczuła.

Była zła, że nie jest w stanie tego zrozumieć.

Kim jesteś? – powtórzyła w myślach pytanie. A potem, gdy spojrzała jeszcze raz na Peruna, dostrzegła w nim rysy zupełnie innej osoby. Dziewczyny o sarnich oczach, która mogła odmienić z taką samą łatwością los każdego człowieka, jak i całego świata.



Usiadł na polanie na pniu zwalonego drzewa. Słońce chyliło się ku zachodowi, w lesie robiło się coraz ciemniej. Powietrze ochłodziło się, ale tylko nieznacznie.

Batler czekał. Jego kierowca znikł pośród drzew wcześniej, wskazując mu miejsce przystanku.

Dziwne uczucie w żołądku, energia, która zdawała się przepływać od ziemi przez ciało, aż do czubka głowy. Batler pozwolił, by wypełniła go całego.

Już niedługo coś się wydarzy. Coś się rozstrzygnie. Wiedział o tym i był szczęśliwy.

Pomiędzy drzewami pojawiły się ogniki. W pierwszej chwili był pewny, że to złudzenie, jednak pomarańczowe światelka powiększały się, robiło się ich więcej, otoczyły go zwartym kordonem i znieruchomiały.

Zwierzę podobne do chomika zatrzymało się u jego stóp. Przez chwilę brązowe ślepia patrzyły na Batlera; zwierzak figlarnie przekrzywił łebek i pomachał małym ogonkiem.

– Zbierają się – zapiszczał.

Biesy, błędnice, didki, drzewice...

Przyjdą i świcki, które zapłoną

Za nimi jaroszki i morowice

Zapłacą wrogowie cenę słońca

Już czas...

Kobiety w białych szatach ustawiły się tuż przed nim. Nie widział ich twarzy ukrytych pod kapturami, czuł za to odór, odór rozkładających się ciał.

Wiatr przywiał inną woń: cierpki smród spalenizny, płonących torfowisk i żaru.

– Jestem Rachaman, panie, twój sługa, którego wezwałeś, by czynić wojnę.

Batler spojrział w płonące oczy demona. Wciągnął w nozdrza zapach, który znał tak dobrze.

– Wróciłeś, Rachamanie – powiedział – więc czynmy wojnę. Tylko ona da pokój tym, którzy na to zasłużyli.

Batler wstał. Jego towarzysz wskazał kierunek, a potem wszyscy ruszyli przez las.



Poczułem się o wiele lepiej, widząc bliźniaków. Podeszli do nas i uścisnęli bez zbędnych słów. Wiedzieli o śmierci Romana, nie czynili nam jednak wyrzutów.

– Willa, a właściwie prawdziwy zamek – powiedział Lel, wskazując plan leżący na stole.

– Cholernie dobrze strzeżony.

Popatrzyłem na zarys budynku. Rzeczywiście wyglądał na średniowieczną budowlę. Kilka wieżyczek i fosa okalająca mury. Dacza stała na wzniesieniu, sprawiając wrażenie dobrze przygotowanej do obrony.

– Mają kilka systemów alarmowych, zupełnie niezależnych... Laserowe czujniki, parę pułapek dla nieproszonych gości, a przede wszystkim wśród ochroniarzy wyszkolonych specjalsów.

– Chłopaki z Alfy – dopowiedział Polel.

– Systemy to dla mnie pestka. – Lel podrapał się po głowie, nie odrywając wzroku od mapy. – Ale z ochroną będziecie musieli poradzić sobie sami.

Skrzywiłem się. Nie za bardzo mi się to podobało.

– We dwóch przeciw Alfie nie damy rady – powiedział Misza, a ja po raz pierwszy zgodziłem się z nim w stu procentach.

– A kto powiedział, że będziecie sami? – Walerik, który do tej pory milczał, teraz uśmiechnął się szeroko. Ten niespodziewany sojusznik mógł nam się przydać. – Nie można górą, to dołem.

– Dołem? – zainteresował się Asieniewicz. – Podkop? Przecież to potrwa zbyt długo.

– Krasnoludy dadzą radę, spokojna głowa – wyszczerzył zęby Lel.

Popatrzyłem na Walerika. Może jeszcze kilka dni temu ta informacja wywołałaby we mnie szok albo przynajmniej niedowierzanie. Teraz, spoglądając na tę kwadratową szczękę, wydało mi się oczywiste, że Azer musi należeć do rodu jakichś bajkowych stworzeń.

– Ile potrzebujecie czasu? – zapytałem.

– Przynajmniej dziesięciu godzin.

– Dziesięciu? – powtórzyłem, nie dowierzając własnym uszom.

– Mówiłem, że krasnoludy dadzą radę? – zaśmiał się Polel.

Urażony Lel sprzedał mu bolesnego kuksańca w ramię.

– To ja powiedziałem!

– Nieważne kto. – Walerik machnął lekceważąco ręką. – Ważne, że mieliście rację.

Przez następne kilkadziesiąt minut analizowaliśmy kilka scenariuszy akcji. Zapamiętałem dokładnie rozkład pomieszczeń, wydawało mi się, że nawet z zamkniętymi oczami będę mógł się poruszać w środku willi. To było ważne. Gaz łzawiący, granaty dymne – specjaliści mogli użyć tam wszystkiego.

Wciąż nie mieliśmy pojęcia, gdzie umieścili dziewczynę, jednak Lel obiecał, że tuż przed akcją będziemy to doskonale wiedzieć. Chwalił się, że zapewni nam dostęp do jednego z satelitów wojskowych. Postanowiłem mu zaufać w tej materii.

Walerik wziął nas po jakimś czasie na bok. Lel i Polel uwijali się jak w ukropie, sprawdzając sprzęt, którego mieli użyć w czasie akcji. A my akurat nie mieliśmy teraz nic specjalnego do roboty.

– Musicie wiedzieć coś jeszcze – oznajmił Azer. – Pewnie zastanawia was, co mam z tym wszystkim wspólnego.

– Nie powiem, przeszło mi to przez myśl – przyznałem.

– Chroniłeś ją? – zapytał Misza, który w tym przypadku okazał się nieco bardziej domyślny ode mnie.

– Tak. – Azer skinął głową, obdarzając nas znajomym szerokim uśmiechem. – Dostałem takie zlecenie. Ktoś wysoko postawiony sporo mi zapłacił, żebyśmy przyjęli ją do butik i miał na nią baczenie, gdy coś się wydarzy.

– Spieprzyłeś sprawę – zauważyłem.

– Nie do końca. – Walerik skrzywił się, ale nie uciekł wzrokiem. – Dostałem wyraźne instrukcje. Pomagać, gdy trzeba, obserwować i chronić. Dzień przed całą tą akcją kazali mi zluzować ochronę.

– Zluzować? – Misza zmarszczył brwi.

– No tak – Azer zazgrzytał zębami. – Dostałem zapłatę i wypowiedzenie kontraktu.

– A jednak nie posłuchałeś – powiedziałem. – Próbowaleś dziewczynę uratować, teraz też chcesz to zrobić.

– Bo... – Walerik zmieszał się. – Bo to dobra dziewczyna i odkryłem, że nie jest zwykłą dziewczuszką.

– Co masz na myśli? – zapytał twardo Misza.

– Ona ma wpływ na ludzi, na ich los, mój drogi Asieniewicz. Jeśli zechce, obdarzy cię błogosławieństwem, które odmieni twoje życie. – Oczy Azera niebezpiecznie zabłysły. – A jeśli nie zechce, to...

– Dlatego była ci potrzebna?

Popatrzyłem na Miszę. Zaciśnął pięści, a ja zdałem sobie sprawę, że jeszcze chwila i dojdzie tutaj do rękoczynów.

– Nie tylko – przyznał Azer. – Powiedziałem, to dobra dziewczyna. Nie zasłużyła na to, by spotkało ją coś złego.

– Kto ci zlecił pilnowanie jej? – zapytałem szybko, strofując wzrokiem Miszę.

– Tego nie wiem.

– A czego innego się spodziewać – przerwał Asieniewicz i pokręcił głową, patrząc na Walerika z odrazą.

– Ale się domyślam – dokończył Azer. Zignorował Miszę, patrzył na mnie.

– Więc kto? – Wzruszyłem ramionami.

– Perun... Mówi ci to coś?

– Ten świat jest bardzo mały – powiedziałem.

Widziałem, że Asieniewicz traci nad sobą kontrolę.

– Cholera z wami wszystkimi! – krzyknął. Światła w pomieszczeniu przygasły, a szklane przedmioty na szafce zadrżały.

– Nikt nie zna zamiarów bogów – oznajmił Lel z powagą. – Będą się nami bawić do końca...

Szklanki pękły w miniaturowych eksplozjach, stłuczone szkło obsypało nam buty. W pokoju zapanowała cisza.

– Lepiej ci? – zapytał po chwili Polel.

– Nie. – Asieniewicz wymaszerował z pokoju.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem z Walerikiem i Polelem.

– Wasze drogi się rozejdą, przyjacielu. Wcześniej czy później... – powiedział Azer.

– Może prawda, może nieprawda – zauważył Polel.

A mnie w tej chwili obaj wydali się starymi wieszczkami wróżącymi z fusów i kości kurczaka.



Jego obraz wciąż powracał. Misza często śnił się Kseni, chociaż do tej pory nie zamienili ze sobą zbyt wielu zdań. To jej wrodzona nieśmiałość, a może i jego, nie pozwalała na nic więcej.

Poznała go kilka lat temu. Wracła do domu, gdy zaczęło ją dwóch mężczyzn, a Misza akurat tamtędy przechodził. Był po służbie, lecz mimo to jej pomógł. Nieczęsto się coś takiego zdarzało, zwłaszcza wśród milicjantów. Obezwładnił najpierw napastnika grożącego jej nożem, potem tego drugiego. W końcu Misza i Ksenia uciekli, gdy na pomoc powalonym ruszyła cała banda. Asieniewicz zatrzymał wtedy jakiś samochód na ulicy. Po prostu wskoczył na maskę, wsadził przerażoną Ksenię do środka i udało im się ocalić skórę.

Pojechali na komisariat, gdzie sporządzili rysopisy napastników, mimo że Ksenia wahała się, czy chce ich oskarżać. Wiedziała, że to oznacza dalsze kłopoty. Pamiętała jednak, co wtedy powiedział jej Misza.

– Trzeba robić w naszym małym świecie wszystko, by dobro było górą. Nie wiadomo, kogo napadną następnym razem. Może twoją sąsiadkę, może chłopaka?

Wydał jej się wtedy nie tyle bohaterem, ile prawym człowiekiem. Takim światłem w tunelu, które dawało nadzieję na lepsze jutro.

Od tamtej pory spotykali się co jakiś czas, najczęściej przypadkowo. Misza mieszkał niedaleko i robili zakupy w tym samym sklepie.

Uśmiechali się do siebie, wymieniali kilka zdań. Nic więcej między nimi się nie wydarzyło, chociaż Ksenia za każdym razem, gdy odchodził, czuła większą pustkę.

Misza był tajemniczy, ale dowiedziała się o nim sporo. Sąsiadki lubiły plotkować, jednak część tego, co mówiły, było prawdą. Ksenia to wiedziała.

Asieniewicz także miał trudne dzieciństwo. Co prawda nie był sierotą jak Ksenia, ale w takich rodzinach jak jego, gdzie alkohol lał się w dzień i w nocy, czasami bywało gorzej niż w sierocińcu.

Ojciec po kilku głębszych bił matkę i jego, małego chłopca. Kilka razy do nieprzytomności. Misza w końcu uciekł z domu, czego później żałował. Matka po jednej z libacji ojca trafiła do szpitala w ciężkim stanie. Asieniewicz już wtedy radził sobie całkiem dobrze,

skończył szkołę, w której nauczyciele wysoko go cenili, i w końcu trafił do milicji. Matki jednak nie udało się uratować, a ojciec kilka dni później zapił się na śmierć.

Losy jego i Kseni splotły się znów właśnie dzisiaj. Po raz kolejny, gdy groziło jej niebezpieczeństwo. Dziewczyna była pewna, że Misza zechce ją odnaleźć. Wydawał się jakimś dobrym, opiekuńczym duchem, który znajdzie się przy niej zawsze, gdy tylko będzie go potrzebowała.

Morozowa drgnęła, słysząc skrzypienie drzwi. Mężczyzna, który pojawił się w pokoju, przerwał jej rozmyślania.

– Przyszedł czas na rozmowę, Kseniu – powiedział.

Skinęła głową. Wiedziała, że powinna się go bać, ale o dziwo nie budził w niej strachu.

– Jesteś mi potrzebna.

– Do czego? – zapytała jak prosta dziewczyna. I w sumie taką była, zdała sobie z tego sprawę właśnie teraz.

– Już wiesz, że nie jesteś zwykłą studentką akademii sztuk pięknych, wracającą co wieczór po ciężkim dniu pracy do pustego domu.

– Ależ nią właśnie jestem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Będziesz musiała wybrać. Dam ci możliwość wyboru.

– Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. – Opanowała odruch nakazujący jej schowanie twarzy w dłoniach.

– Jest nas coraz mniej, zależy od wiary innych. Dla bogów ma to mniejsze znaczenie. Pamięć o nich przetrwa, choć tracą swoją moc. Ale są też inni, oni umierają, odchodzą do Nawi, a stamtąd trudno jest powrócić.

– Kim jesteś? – Nie panowała nad głosem. Drżała, jakby przeniknął ją lodowaty podmuch wiatru.

– W co wierzysz, Kseniu? W Boga? W anioły? Diabły?

– Wierzę... – zawahała się. Trudno było zdefiniować jej wiarę. Do kościoła chodziła, ale wtedy, gdy tego potrzebowała, gdy czuła się zbyt zagubiona, by odnaleźć własną drogę.

W anioły? Nigdy ich nie widziała. Chciała wierzyć w tych, co strzegą jej duszy. W diabły? Bała się tego, co złe... W to, że istnieje diabeł czy szatan, chyba łatwiej było uwierzyć. Mieć wroga, działającego przeciw wszystkim, czyniącego zło, gdy człowiek był zbyt słaby.

– W co wierzysz? – ponowił pytanie. Jego oczy lśniły ciepłym blaskiem. Głos zdawał się leniwie podróżować wokół ich głów, by muskać uszy kojącym szeptem.

– Wierzę w ludzi – powiedziała. – Wierzę w cierpiących, tych, którzy idą przez życie, mimo że tak bardzo ich rani.

– Wierzysz w ludzi? – Uniósł brwi, jakby dziwił się jej odpowiedzi. – W kraju, w którym cztery miliony z nich bierze narkotyki, osiem milionów to alkoholicy, a w samej Moskwie jest dziesięć milionów „bezprizornych”? Bezdolnych dzieci wykorzystywanych w każdy możliwie haniebny sposób przez dorosłych?

Nie odpowiedziała. Opuściła głowę.

– A komu dziękujesz, gdy zdarzy się w życiu coś dobrego?

Zawahała się. A przecież nie powinna.

– Widzisz... – przerwał niezręczną ciszę. – Ludzie kiedyś nie znali takiego Boga jak dzisiaj. Mówię o nas, Słowianach... Czuli istnienie siły wyższej, tego, który stworzył świat i w jakiś sposób nim zarządzał. Jednak łatwiej było im nazwać wielu bogów, wiele bóstw i pomocników, którzy zajmowali się różnymi sprawami dawnego świata. Ten stan trwał długo, jednak niewystarczająco. Przyszło chrześcijaństwo, które wszystko odmieniło, i do dziś splata się

z tym, co stare.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Topiłaś marzannę? Choinkę na święta przynosisz z targu? Polewasz innych wodą w śmigusa? A Noc Kupały, Święta Wielkanocne... Święto Zmarłych... Zielone Świątki? To ostatnie wolę nazywać Świętem Gajów...

Przez otwarte okno od strony lasu doszedł ją duszący zapach niesiony wiatrem. Dym, zapach płonących torfowisk. Nagle zabrakło jej oddechu.

– W religii, którą nazwano pogańską, nie ma bogów, których mogłabyś nazwać wszechmocnymi. Nie znajdziesz uniwersalnego bóstwa, które skupiałoby wszystkie moce. Każdy z pogańskich bogów wyróżniał się jakąś specjalnością, jakąś sobie tylko przypisaną cechą. Jednego mogłabyś nazwać bogiem wojny, drugiego płodności, innych opiekunami domostw, a nawet tkactwa czy pracy na roli. To była siła, a zarazem słabość zarówno tej religii, jak i jej bóstw, skłóconych, walczących o wpływy i wyznawców. Chrześcijaństwo, jak wiesz, zaoferowało coś zupełnie nowego, uniwersalność...

– I ten jeden Bóg odsunął tamtych w cień.

– Tak, okazał się silniejszy. Pamięć o bogach słowiańskich niemal zaginęła. Muszę jednak przyznać, że w jednym przypadku mieliśmy dużo szczęścia. Kościół nie wypenił wszystkich dawnych obrzędów. Co więcej, nawet tego nie chciał. Znalazł inną drogę. Wystarczyło sprawić, by symbolika pogańska zaczęła być interpretowana coraz bardziej po chrześcijańsku. Spełniło to swoją funkcję, ale też dzięki temu do dziś w wielu rejonach Rosji znajdziesz podobizny Peruna... W domach, w wiejskich chałupach, na ścianach i obrazach.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo chcę, żebyś we mnie uwierzyła. Tak jak twoja matka.

– Moja matka? – zaśmiała się. – Ona wierzyła w Boga! Nie w bogów!

– Mówię o tej, której nie pamiętasz.

Ksenia otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Znow przeszył ją dreszcz. Spojrzała w oczy mężczyzny. Były tak ciepłe i spokojne. Kołys niczym promienie słońca po mroźnej nocy.

– Znałeś moją matkę?

– Tak, znałem.

– Nie żyje? – Czują, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

– Mówiłem ci, nowe przeplata się z tym, co stare. Twoja matka była kiedyś jednym z bogów. Była matką ludzkiego losu, ale teraz jest zupełnie kimś innym. W sumie dalej w nią wierzysz, choć teraz znasz ją pod innym imieniem. Kto wie, czy na tym najwięcej nie wygrała.

– To jest... – Ksenia nie potrafiła pozbierać myśli.

– To jest trudne – dokończył za nią. – Tak, wiem. Nie pozwolę jednak, by reszta z nas odeszła w zapomnienie, byśmy zostali zasymilowani, wchłonięci, przetrawieni, a potem wypluci!

– Czego chcesz ode mnie?

– Chcę, żebyś pomogła mi ocalić nas od zapomnienia. I mnie, i siebie, moja córko.

Świat zawirował. Ksenia poczuła słabość, ciągnęło ją ku ziemi, w dół. Tam, gdzie wszystko się zaczęło i gdzie wszystko miało się skończyć. Dziewczyna wiedziała, że tak być powinno. Otchłań da jej ukojenie. I w tej otchłani odnajdzie swoją drogę.

Nyja słyszała każde słowo. Chłonęła je, przetwarzając i próbując zrozumieć zamiary Peruna. Zbliżał się moment konfrontacji, wyczuwała to. Czowała wiele śmierci dookoła. Śmierci, którą sama miała zadawać.

Anatolij Malczikow pojawił się właśnie ze swoimi ludźmi. Stawił się na wezwanie

Peruna. Wzmocnienie ochrony nie było przypadkowe. Znaczyło też wiele. Perun spodziewał się nieproszonych gości, ludzi. Sam nie chciał zaprzętać sobie nimi głowy. Ich raczej się nie lękał. Musiało chodzić o coś jeszcze. Ktoś inny nosił się z zamiarem przeniknięcia na teren willi. Ktoś znacznie potężniejszy.

Tych dwóch, którzy zbiegli jej w centrum handlowym? A może...

Nyja niemal zrozumiała. Wyszła z cienia i stanęła przed swoim pracodawcą.

– Perunie – zobaczyła, jak dziewczyna, słysząc to imię, blednie. – Malczikow przybył ze swoimi ludźmi.

– Dobrze. – Perun nie wyglądał na zadowolonego z jej pojawienia się. – Każ im się zebrać na dziedzińcu. Każ też rozpałić więcej ognisk.

Ogniska. Nyja skłoniła głowę i uśmiechnęła się. Wiele dusz odprowadzi dzisiaj święty ogień. Świeczka za zmarłych.

Oddaliła się i wydała rozkazy.

Oprócz ludzi, którzy służyli Perunowi, pojawiło się trzydziestu kolejnych. Stali w szeregu, czekając na dyspozycje.

Po chwili pojawił się sam Perun. Przeszedł przed najemnikami, wysoki i mocny. Biła od niego siła, którą Nyja zawsze podziwiała. Prawdziwy bóg wojny. Za nim chodziła śmierć, za nim chodziło zwycięstwo. Wojna była życiem, życie było wojną.

– Będziecie mi wierni!

Widziała, jak się zmieniają pod wpływem jego słów. Słowami też można było odnieść zwycięstwo. Wypełniały ludzi po brzegi niczym wino puchar. Czarowały, miały. Nawet przegranych potrafiły zmienić w zwycięskich wojowników. Najpierw patrzyli na siebie z niedowierzaniem, potem prężyli się, pełni adrenaliny, woli walki i krwi. On, bóg wojny, był tym, kogo kochali, za kogo walczyli. Perun nigdy nie straci pełni swej mocy. Zawsze będą ci, którzy w niego uwierzą.

– Przysięgamy wierność Perunowi!

Kilkadziesiąt gardeł wyrzuciło z siebie obietnicę. Teraz nie cofną się przed niczym.



Požoga ogarniała las. Ogniki przeskakiwały pomiędzy pniami, tworząc roziskrzoną pajęczynę. Gorąco na policzkach nie przeszkadzało mu. Ostre powietrze parzyło przełyk, dym łzawił oczy. Jednak czuł się tak, jakby był w transie, maszerując na czele swojej armii w milczeniu, przy szeleście liści i ogłuszającym odgłosie pękających od gorąca szyszek. Wypełniała go nieokreślona moc, odkrywał jej pokłady z każdym kolejnym krokiem. Mrowienie skóry, palący ból we wnętrzu, rozchodząca się od żołądka fala wrzącej lawy.

Kim jestem? – zadawał sobie to pytanie bez przerwy. Kim jestem?

Rytm marszu uspokajał go, zapach dymu otulał niczym kokon. Szary popiół pokrył włosy i ubranie. Jego towarzyszy przybywało, w milczeniu dołączali do szeregu.

– Panie, jesteśmy blisko.

Batler spojrział we wskazanym kierunku. Ze wzgórza, na którym się zatrzymali, dostrzegł dach potężnego budynku stojącego w lesie. A więc tutaj prowadził go los.

Od razu wyczuł jej obecność. Przypomniał sobie jej imię – Nyja. Tej nocy ich ścieżki znów się skrzyżują. Poczł obecność kogoś jeszcze. Potężną moc, która czekała na to, by

pozwoić jej dokonać dzieła zniszczenia.

– Jakie są twoje rozkazy, panie?

Batler skinął głową. Wiedział, co powinien zrobić.

– Czekamy. Potem otoczycie ich, a na mój znak zejdzicie w dolinę. Później spotkamy się w domu na wzgórzu.

Rachaman dał znak innym. Ognie przygasły, demony rozmyły się w cieniu lasu.

– Teraz pójde tam sam – powiedział Batler.

Oczy sługi zabłyśły, ale nie skomentował decyzji swojego pana.

Mężczyzna zszedł ze wzgórza w gęsty las. Już niedługo wszystko spłonie. Cały świat zaleje gorąca pożoga. A zacnie się to tutaj, właśnie dziś.



Zapach ziemi, wilgotny i przyprawiający o zawrót głowy.

Czułem się tak, jakby ta ziemia miała nas tu pogrzebać żywcem, oblepić błotem i przycisnąć, wygniatając powietrze z płuc. Odruchowo odetchnąłem głębiej, łudząc się, że ten haust powietrza w czymś mi pomoże.

Walerik szedł pierwszy, za nim kilkunastu jego ludzi. Tyły zabezpieczało dwóch milczących osiłków. Ja i Misza maszerowaliśmy w środku tej pokracznej kolumny.

– Jak wam idzie, chłopaki?

Mieliśmy stałą łączność z Lelem i Polelem. Zostali na powierzchni, podłączeni do komputerów, globalnej sieci otaczającej świat. Jeśli im wierzyć, są podpięci do satelitów szpiegowskich. Nie powiem, żebym dzięki temu czuł się bezpieczniejszy. Ceniłem chyba bardziej ludzi niż maszyny. Zapewnienia Lela, że odetnie wszystkie alarmy, ogłupi laserowe czujniki i Bóg wie co jeszcze, wcale mnie nie uspokajały.

– Posuwamy się naprzód – odparłem. – Powoli.

– Jest ich wokół domu ponad trzydziestu. W willi kilkanaście osób.

– Lel, daj znać Walerikowi, w którym pokoju będzie Ksenia.

– Dam – odpowiedział poważnie. – Będę wiedział.

– Bez odbioru – wyszczekałem w nadajnik, czując suchość w ustach.

W uszach zaszumiała krew. Znajome uczucie, łaskotanie w plecach na wysokości nerek. Serce pompowało coraz więcej krwi, która mieszała się z adrenaliną. Jeszcze za wcześniej, powiedziałem do siebie w myślach. Jeszcze nie czas. Po gwałtownym skoku hormonów przychodziło szybko wyczerpanie. Niektórzy nazywają to przedwczesnym spalaniem. A ja przecież musiałem być w pełni sił.

– Kto nas w to wpakował, Alek, co?

Popatrzyłem na Asieniewicza, kiedy zatrzymaliśmy się na krótki postój dla złapania oddechu.

– Bóg jeden wie – zażartowałem.

Spojrzał na mnie dziwnie, wzruszyłem więc ramionami.

– Nie uważasz, że dzieje się to trochę zbyt szybko? – zapytał.

– Nie żartuj. – Zmarszczyłem czoło, jakbym rozważał jego słowa. – Panujemy nad wszystkim. Wpadamy, robimy rozróbę i wyciągamy najlepsze laski.

– Wy, Polacy, zawsze byliście szaleni. – Uśmiechnął się, choć sądziłem, że raczej się

obrazi.

– Mówią, że w szaleństwie jest metoda – zaśmiałem się.

Skinął głową. Przerwaliśmy rozmowę, bo Walerik przynaglił nas do dalszego marszu.

Tunel był coraz węższy, wyglądał na wykopany dawno temu. Pomyślałem, że z chęcią poznałbym tych, którzy podjęli się tego niesamowitego przedsięwzięcia.

Przypomniałem sobie, co mówił krasnolud. Część tuneli była stara, jeszcze z czasów wojny. Schronienie dla ludzi, ale też dom dla wielu uciekinierów, którym niekoniecznie spieszyło się na powierzchnię. Wolałem nie pytać Azera, kogo miał na myśli. Tunele i podkop miały nam pomóc w dostaniu się pod willę. Walerik zapewnił, że w odpowiednim momencie jego ludzie uderzą z zewnątrz, odwracając uwagę obrońców.

Zbyt wiele nie mieliśmy z Miszą do powiedzenia. Oczywiście mogliśmy rozważyć wycofanie się z tej pokręconej imprezy, jednak Asieniewicz wyglądał na zdeterminowanego. Chciał uratować Ksenię bez względu na wszystko, podjął nawet tę desperacką próbę. A ja? Odwlekanie konfrontacji niewiele mi dawało. Teraz przynajmniej mieliśmy sojuszników i nie musieliśmy ratować swojej skóry tylko we dwóch.

– Mamy jeszcze pół godziny. – Walerik poczekał na nas, jego zęby zabłyśły w świetle czołówki. Nawet nie musiał się schylać w niskim tunelu. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak mikrego wzrostu jest nasz przewodnik. Czuł się tu jak ryba w wodzie, a może raczej jak kret pod ziemią? Zaczynałem mieć poważny mętlik w głowie.

– Twoi chłopcy nieźle się spisali – zauważyłem.

– Mamy swoje porachunki z Perunem. – Wydawało mi się, że Azer wycedził te słowa z odrazą. – W jego świecie nie ma dla nas miejsca.

Przemilczałem to, skinąwszy tylko głową. Wydawało mi się, że Walerik nie oczekuje odpowiedzi.

Popatrzyliśmy na siebie z Miszą i ruszyliśmy w ślad za Azerem.



Widział dom na wzgórzu. Dachy z wieloma załamaniem, wieżyczki połyskujące w poświacie księżyca. Budowlę otoczyła srebrna mgła, migocząca i tajemnicza. Batler zatrzymał się i przymknął oczy. Wsłuchał się w odgłosy lasu. Miał wrażenie, że tę chwilę przeżywa wciąż na nowo.

Śnił zemstę, śnił walkę i ogień, który trawił jego przeciwników. Jak nazwać uczucie, które nim targano? Nienawiścią? Nie. To było mu obce. Odczuwał to bardziej jako obowiązek. Obowiązek wobec siebie.

Odwrotu nie było. Powróciłby tu prędzej czy później, by zakończyć to, co zaczęło się gdzieś w głębi jego serca i umysłu. Być może po prostu chciał wiedzieć. Odpowiedzi na jego pytania i wątpliwości były tam w dole. Tam były jego przeszłość i przyszłość.

Spojrzał znów w stronę willi. Wyczuwał obecność Nyi i kogoś o wiele od niej potężniejszego. Moc, która dotknęła jego zmysłów, stała się niemal namacalna. Zadrżało od niej powietrze, zaskrzypiały żalostnie drzewa, niektóre pochyliły się przytłoczone nieokreślonym ciężarem.

Ty jesteś moim celem, pomyślał Batler. Dla ciebie przebyłem tę drogę.

Zadrżała ziemia, pomruk rozległ się nad lasem. Mężczyzna znów ruszył w dół, w stronę

wysokiego płotu okalającego posesję.

Buty zapadały się w suchym poszyciu. Wyrośnięte i pozbawione wody trawy zamieniły się w łamliwe źdźbła. Gdy przyjdzie ogień, stawi to miejsce w mgnieniu oka. Zapłoną łąki, drzewa zajmą się ogniem niczym zapalki. Wystarczy, że da znać Rachamanowi.

Zatrzymał się przy trudnym do sforsowania płocie z zasiekami z drutu żyłkowego w formie podwójnej spirali. Płot pomalowany był na kolor zbliżony do otoczenia, podobnie siatka. Kilka metrów dalej leżał martwy zając. Musiał wykrwawić się na śmierć.

Batler usiadł. Wyczuwał obecność kilkunastu uzbrojonych mężczyzn po tej stronie budynku.

Znów przymknął oczy. Poczł coś dziwnego. Jego ciało, teraz ono zapłonęło żywym ogniem. Skóra była wrażliwa na dotyk, jakby miliony zakończeń nerwowych właśnie teraz chciały o sobie dać znać.

Delikatny powiew wiatru zatrzymał się na jego policzkach. Odczuł to jak ukłucia drobnych szpileczek. Po chwili wrażenie stało się intensywniejsze, rozchodziło się bolesną falą w stronę czubka głowy i dalej przez kark na plecy. Trawa zaszeleściła, coś przesunęło się w jego kierunku. Krew zahuczała mu w skroniach, a serce pompowało gęsty płyn z coraz większym mżołem.

– Jesssście tam...

Nie kontrolował swojego głosu. Słowa wydobywały się z suchego gardła i brzmiały głucho, w dziwnej tonacji. Nie mógł przełknąć śliny. Jego język zwęził się, wydłużył i przesunął po ostrych niczym igły zębach.

Chciał tam wejść, przeniknąć przez mury i ściany, stanąć twarzą w twarz z tymi, którzy przychodzili do niego w snach. Z tymi, którzy zawładnęli jego myślami. Miał ich niemal na wyciągnięcie ręki, dotykał swoim umysłem ich umysłów.

Jego serce. Nagle przestało bić, a może biło z częstotliwością, której nie potrafił zarejestrować? Ucisk w klatce piersiowej. Płuca wyrzuciły z siebie powietrze, a potem przyszedł jeszcze większy ból.

Osunął się na ziemię, zgięty w pół, gdy trzewia splątały się w okrutnym uścisku. Nie wydał z siebie nawet jęku. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, ale się nie bał. Traktował to jako zjawisko, które tak naprawdę nie dotyczy jego osoby. Doznał swoistego rozdwojenia. Gdy jego cielesna powłoka cierpiała, on pozostawał spokojny. Niczym obserwator.

A widział wiele. Postrzeganie rzeczywistości poszerzyło się, wszystkie zmysły dostały potężnego kopa. Batler rejestrował słowa i zdania wypowiedziane wewnątrz domu, słyszał miarowy pomruk Rachamana, kołyszącego się miarowo na boki i czekającego na rozkazy, a także czuł obecność tysięcy istot w promieniu kilku kilometrów.

Szelest w trawie powtórzył się, miarowy, powolny. Batler poczuł, że coś giętkiego i chropowatego przesuwa się po jego bucie, oplatając nogę. Trójkątna zielona głowa uniosła się tuż nad jego twarzą. Łeb pokryty lśniącymi łuskami przekrzywił się, ogniste oko wpatrzyło się w mężczyznę.

Otoczenie zawirowało. Liście splotły się w jedno, księżyc rozbłysnął intensywnym światłem i w tym świetle Batler odnalazł drogę. Inną ścieżkę życia, która związana była z jego wewnętrznym ja.

Poczuł się jak w domu, w miękkim wysłużonym fotelu. Otoczony kokonem, napiętą skórą, tak przyjemną i miłą. Znajomą.

Zrozumiał to, gdy odnalazł cel. Wędrówka ku poświęceniu księżyca. Nocny przewodnik wskazywał drogę, oświetlał mury, za którymi chował się jego przeciwnik.

Byle dalej, byle szybciej. Przesunął się wśród suchej trawy. To było tak przyjemne

uczucie, rozchodzące się ciepłem od trzewi.

Ziemia zdrząła miarowo i Batler wyczuł obecność dwóch strażników. Wymienili kilka słów. Powietrze delikatnie zawibrowało od ich głosów.

Przesunął się w tamtą stronę. Powoli, bez pośpiechu, odkrywając możliwości, jakie dało mu nowe ciało. Robił to bezszelestnie, nikt nie miał prawa go usłyszeć.

Pilnowali tylnych drzwi. Jeden siedział na schodach, drugi stał wyprostowany, opierając wojskowy but na krawędzi stopnia. Palił papierosa. Nawet w takiej chwili nie mógł zapanować nad zgubnym nałogiem.

Wy pierwsi oddacie życie za swojego pana.



– Wejdziemy od strony piwniczki z winem. – Walerik oświetlił czołówką plan budynku. Nawet nie pytałem, skąd ma mapkę. To była prawdziwa twierdza: grube ściany, zbrojone okna. Pół piwnicy zajmował schron przeciwatomowy. Właściciel musiał wciąż żyć czasami zimnej wojny.

– Alarm? – zapytał Misza.

– Na pewno. – Walerik wyszczerzył zęby. – Bliźniacy zaraz się tym zajmą.

– Nie przewidzieli, że ktoś może zrobić podkop? – Trochę mnie to dziwiło. W Afganie trzeba było być przygotowanym na każdą ewentualność. Tam ziemia została przeryta, jakby plagą tego kraju były krety, a nie talibowie.

– Przewidzieli... – Azer zmarszczył nos. – Ale jak myślisz, kto im tę piwniczkę budował?

Misza się zaśmiał, ja pokręciłem głową. Zbieg okoliczności? Było ich ostatnimi czasy zbyt wiele. Zrobiłem się ostrożniejszy.

– Łatwo wam idzie to kopanie – powiedziałem, patrząc w dal, w ciemność. Część ludzi Azera była daleko przed nami. To oni przebijali się w stronę willi.

– Mniej pytasz, dalej zajedziesz. – Walerik wzruszył ramionami.

– U mnie mówią inaczej.

– Jak? – zainteresował się Asieniewicz.

– Kto pyta, nie błądzi. – Popatrzyłem w iskrzące się oczy Walerika, który nie uciekł wzrokiem, a tylko wyszczerzył zęby jeszcze bardziej. Przypominał jakieś mityczne stworzenie. Tutaj, pod ziemią, był chyba jego prawdziwy dom.

– Fajne macie powiedzenia w tej Polsce.

Na tym stanęło. Ruszyliśmy dalej. Spojrzałem na zegarek, oświetlając go własną czołówką. Według zapewnień Azera powinniśmy być już na miejscu.

– Leł, spinaj pośladki – szczerzył krótko Walerik do mikrofonu przy policzku. – Damy znać, kiedy będzie czas zacząć zabawę.

Jaskinia miała może pięć metrów średnicy. Na pierwszy rzut oka wydawała się wytworem natury, tak naprawdę jednak została wyżłobiona przez kogoś dawno temu. Tunel, którym szliśmy, musiał także mieć swoje lata. Jego twórcy przysypali go, żeby ukryć przejście. Ekipa Azera potrafiła szybko opróżnić korytarz. To wszystko musiało być ich dziełem.

– Dziewczyna jest w głównej sali. – Azer znów wyciągnął plan budynku. – A my będziemy tu.

Podążyłem wzrokiem za grubym paluchem Walerika. Ze zdumieniem oceniłem jego

wypielęgnowane paznokcie.

– Możemy poczekać, aż będzie w swoim pokoju.

Znów zmiana na mapce. Parter, pomieszczenie, może dwanaście metrów kwadratowych. Środek budynku, bez okien na zewnątrz.

– Mówiłeś, że jest w głównej sali? – upewniłem się.

– Tak twierdzi Lel. – Azer zaśmiał się i uderzył otwartą dłonią w bok głowy. Podobnie robią ludzie na basenie, gdy próbują pozbyć się wody z ucha.

– Poczekamy – powiedziałem.

– Poczekamy – potwierdził Walerik.

Jego ludzie już kucali na ziemi, jakby wiedzieli, jaki będzie wynik ustaleń. Nie wyglądali na zmęczonych. Czyści, nawet nie byli spoceni. W jaki sposób przebijali się przez korytarz?

– Znasz właściciela? – zapytałem, kręcąc głową, gdy jeden z Azerów podsunął mi papierosa.

– Nie osobiście. – Walerik bez skrępowania dłużył w nosie. Tym wypielęgnowanym paznokciem.

– Mówiłeś, że robiliście mu tę piwniczkę. – Misza najwidoczniej też zaczął mieć jakieś obawy. Wcześniej był milczący, zamknięty w sobie. Pewnie myślał o dziewczynie.

– A robiliśmy... Cały dom budowaliśmy. Jak większość w tej okolicy. – Azer ziewnął tak szeroko, że mógłby chyba połknąć cały bochenek chleba na raz. – A potem sprzedawaliśmy tym, którym było trzeba.

Azerowie roześmiali się. W jaskini zrobiło się szaro, dym z ich papierosów dusił i gryzł w oczy.

– Mówiłeś, że na Nyję nie ma mocnych – zagadnąłem po chwili. – A jeśli tam będzie? Wskazałem palcem w górę.

– Wtedy mamy przechlapane. – Walerik jakby z namysłem podrapał się w głowę.

Mrugnął do swoich ludzi, z czym zresztą się nie krył.

Spojrzelśmy na siebie z Miszą. Wiedziałem, że Asieniewicz wejdzie do budynku bez względu na okoliczności. Ja za to zastanawiałem się, jak to wszystko rozegrać. Przyszło mi do głowy, że martwy nie wyjaśni niczego ani nie pomszczę Mentora.

Walerik był dziwnym osobnikiem, a cała ta sprawa mocno śmierdziała. Świat powiązań, dobrzy i źli. Jak często dochodziło tu do zmiany stron? Przyjaciele stawali się wrogami, wrogowie przyjaciółmi. Wmieszali teraz kilka nowych pionków do zabawy, ale po co? Żeby nie było nudno? Na co im Ksenia, na co im Misza... na co ja?

– Po której stronie jesteś, Walerik, co? – zapytałem.

W jaskini ucichło. Nawet kłęby dymu jakby zawisły w oczekiwaniu. Ludzie Azera utkwili wzrok we mnie, bardziej z ciekawości niż z powodu morderczych zamiarów.

– Po swojej – odpowiedział Azer spokojnie. – A po której ty będziesz, Polaku, to się zaraz okaże. Idziemy!

Ludzie Walerika wstali. On sam poprawił pasek kałasza i podniósł się zwinnie na nogi.

– Mieliśmy czekać. – Misza jakby się obudził. Teraz i on nabrał nieokreślonych podejrzeń.

– Jeśli teraz nie podniesiemy tyłków, dziewczyna zginie. – Walerik klepnął Asieniewicza w plecy, dodając mu otuchy. – Musimy działać szybko. Włączył się do akcji ktoś trzeci.



Ogniska, widziała je na zewnątrz. Jedno płonęło blisko, gdzieś pod oknami. Mimo że w willi pozapalane były wszystkie światła, po ścianach, tam gdzie zalegał cień, przesuwały się niespokojne ogniki. Jakby płomienie miały moc przedzierania się przez okna czy mury i tańczenia na sufitach, meblach. Jeszcze chwila i wszystko tutaj zapłonie żywym ogniem.

Ksenia odegnała od siebie tę myśl.

Patrzyła na Peruna ukradkiem, nie mogąc przestać myśleć o tym, co jej powiedział. O tym, co poczuła pod wpływem jego słów. Świat się zmienia, człowiek zmienia się z upływem lat. Pewne rzeczy pozostają jednak takie same. Przeczucia.

Patrząc w jego oczy, widziała swoje. Linia podbródka, nawet uszy. I to coś więcej, na granicy postrzegania, jakby więź silniejsza od wszystkiego.

Wiedziała. Wiedziała, zanim on wyraził to wszystko słowami.

Ksenia zadrżała. Palące uczucie na policzku, który wydawał się już płonąć żywym ogniem, jakby żar z ognisk przeniósł się na wyciągnięcie ręki, tuż obok niej.

Popatrzyła w bok i rozpoznała ją. Wysoka, smukła kobieta. Oczy, które prowadziły w otchłań. Uśmiech wąskich warg, który skazywał na potępienie.

– Nyjo! – Perun odezwał się, powodując, że kobieta odwróciła wreszcie wzrok od Kseni.
– Jest tutaj! Niedługo przyjdzie czas, byś stawiała mu czoła!

Nyja skłoniła głowę i znów znieruchomiała. Wydawało się, że wyraz jej twarzy zmienił się na ułamek sekundy. Ksenia nie była jednak w stanie odgadnąć, co ta zmiana oznacza. Chociaż... To nie był strach, tylko jakby zaskoczenie. Czy coś mogło zaskoczyć tę kobietę?

– Anatolu, wróć do swoich ludzi. – Perun zwrócił się do Malczikowa, który czekał na rozkazy, a potem znów potraktował go jak powietrze, przenosząc swoją uwagę na córkę.

Wolno podszedł do Kseni. Zupełnie jakby bał się spłoszyć jakieś strachliwe zwierzątko. Ta nagła delikatność zupełnie do niego nie pasowała. Dziewczyna czuła, że ten człowiek jest jej bliski i obcy zarazem. Gdyby chciał, potraktowałby ją tak samo jak tamtego mężczyznę. Ksenia nie miała złudzeń, była pewna, że kiedyś właśnie tak się stanie. Ona będzie zabiegać o jego uwagę, o to, by czułym ojcowskim gestem czy słowem dał znak, że ma w swoim sercu miejsce dla niej, płochliwej dziewczynki, a on...

– Przyszli mi cię odebrać – powiedział. Usiadł naprzeciw, pochylił się w jej stronę. Jego oczy... Ksenia widziała w nich swoje odbicie.

– Kto? – zapytała cicho.

– Mój wróg. Nasz wróg. Ten, który chce władzy większej, niż świat mu może dać. Ten, który powinien ją stracić. Właśnie dziś.

– Do tego jestem ci potrzebna?

Mężczyzna milczał. Coś zmieniło się w jego oczach. Ledwie zauważalne zwięźnienie źrenic.

– Jesteśmy potrzebni sobie, ty mnie, a ja tobie.

– Do tej pory nikogo nie potrzebowałam.

Skinął głową, jakby się z nią zgadzał. Nie naciskał, nie oponował. Po prostu milczał.

Zgasło największe ognisko, to, które oświetlało odległy las. Za to wysoko na wzgórzu zapaliły się albo dopiero teraz uwidoczniły inne ognie. Były ich setki, tysiące.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała.

– Mówiłem, chcę, żebyś we mnie uwierzyła – powiedział cicho, czule. – Proszę cię, by twoje myśli były ze mną. I żebyś życzyła mi dobrze, Kseniu. Jak ojcu.

Skłoniła głowę i zadrżała. Wystrzał. Jeden, potem drugi. Gdzieś w budynku, blisko.

Spojrzała w jego oczy. Uśmiechał się spokojny. Jakby nikogo nie było wokół. Jakby byli tylko razem: on i córka, której tak długo szukał.

– Dobrze, ojcze – powiedziała. – Dobrze.



– Rachamanie, czas już – powiedział.

Wiedział, że sługa go usłyszy.

Jego ciało wydłużało się. Nie odczuwał bólu, a jedynie nieznośne łaskotanie. Pęczniał, ogarnięty niesamowitym przyływem energii, która rozsadzała go od wewnątrz i wydawała się nieskończona.

Najemnik rzucił niedopałek pod nogi. Zdusił go butem, zakręcił podeszwą w trawie i poprawił karabinek na krótkim pasie.

– Patrz – powiedział drugi ze specjalsów, wstając i wskazując palcem odległe wzgórze. W jego oczach odbijały się ognie rozpalone przez Rachamana.

– Ki czort?

Stali obaj jak zahipnotyzowani. W końcu jeden ruszył szybkim krokiem w stronę opuszczonego posterunku.

Ten, który został, przykucnął i odsunął się od światła, obserwując uważnie teren. Powiedział coś do nadajnika – być może wywołali go dowódcy. Potem zamilkł i zadrżał zdjęty nagłą trwogą. Wolno obrócił się, prostując kolana.

– Jezu – wyszeptał.

– Pomylili ci się bogowie.

Wąż przerastał najemnika o głowę. Ślepie zarzyły się jak ognie na wzgórzach.

– Już czassss...

Syk urwał się w ułamku sekundy. Potężna szczęka rozwarła się, obejmując głowę mężczyzny, który upadł na kolana. Jego krzyk zgasł jak niedopałek papierosa.

Wąż wolno odpełził od martwego ciała, zrzucając z siebie twardą lśniącą skórę. Chwilę później nagi człowiek stanął wyprostowany. Schylił się po ubranie i broń.

– Już czas – powtórzył.

Odwrócił się w stronę schodów i ruszył w kierunku drzwi.



– Do góry – wyszeptał Azer. Wbiegał za swoimi ludźmi po żelaznych szczeblach drabiny. Misza nie wahał się. Wcisnął glocka za pasek i podążył za Walerikiem.

Zagryzłem wargi. Asieniewicz wyglądał jak powstaniec, który chce wyskoczyć z kanałów z samą pepeszą na całą hordę okupantów. A myślałem, że tylko my, Polacy, mamy porywczą i romantyczną duszę.

Moje buty zadudniły glucho na metalowych szczeblach. Wyszedłem w półmrok, podobny do tego w jaskini. Tutaj jednak nie czuć było taniego tytoniu, tylko zatęchłą woń piwnicy. Wzrok szybko przyzwyczaiał się do nowych warunków. Azerowie znów kucali. Dwóch przy drzwiach,

reszta schowana za ogromnymi beczkami z winem.

– Masz, co chciałeś – wysyczałem Miszy w ucho. – Gnomy i dwóch popaprańców kontra wróżki i magowie.

– Wróżki? – Asieniewicz uniósł brwi teatralnie. – Raczej wiedźmy.

Zaśmiałem się cicho.

– Miejmy nadzieję, że tych akurat nie będzie.

– Idziemy! – warknął Walerik. – Bliźniacy wyłączyli zabezpieczenia.

Ludzie Azera, wciąż kucając, przerzucili światłowód przez zamek w drzwiach. Teren musiał być czysty, bo jeden otworzył drzwi. Dwóch innych ruszyło w górę schodkami.

Widziałem ze swojego miejsca, że powtarzają tę procedurę po raz kolejny, tym razem na wysokości parteru.

– Czysto!

Podeszliśmy do schodów. Trzymałem broń oburącz, w dole. Wyprostowane łokcie, gotowy do akcji.

Azerowie byli wyszkoleni. Nie potrzebowali mojego czy Miszy ubezpieczenia. Czuję się jak obserwator, jakbym brał udział w jakimś pokazie, teście sprawności bojowej.

Po prawej dwa cele.

Odczytałem informacje z ruchu dłoni Azera i wyciągniętych dwóch palców. Otwarta przestrzeń. Czekali na sygnał od dowódcy.

– Maski – powiedział Azer i naciągnął swoją na twarz. Poczekał, aż wszyscy uporają się ze sprzętem, i dodał: – Wszystko idzie jak po maśle, szczęście przy nas! Dawaj!

Chłopcy Walerika wsunęli się do pomieszczenia. Usłyszałem stłumiony okrzyk, a po nim nastąpiło głucho uderzenie bezwładnego ciała o podłogę. Jednego ciała.

Walerik zaklął, a w odpowiedzi huknęły wystrzały przeciwników.

Pomyślałem, że to szczęście, jeśli w ogóle przy nas było, to nagle zmieniło obiekt uwielbienia. Zaczęła się regularna bitwa.



Opuścili żelazne rolety w oknach. Spadły jak kurtyna w teatrze.

Ksenia zapadła się w sofę. Miękką, turecką, o jakiej zawsze marzyła.

Krzyki dochodziły zza drzwi. Kolejne wystrzały.

– Zaraz wszystko ucichnie. – Perun dotknął jej policzka. Jego palce parzyły niczym rozżarzone do czerwoności pręty. – Szczęście już przy nas.

Zmartwiała. Gdzieś w jej wnętrzu załopotało serce, niczym przebudzony nocą ptak, który ze strachu chce wydrzeć się z gniazda.

– Szczęście przy nas – powtórzyła i zamknęła oczy. Nie wiedziała, czy ten huk, który miarowo wstrząsał otoczeniem, miał źródło na zewnątrz, czy też był w niej głęboko.

– Nyjo! – Perun odezwał się ponad jej głową. Odczuła to jak uderzenie gromu. – Nyjo, rozpraw się z nim. Może i tobie szczęście dopisze.

Ksenia otworzyła oczy i spojrzała w stronę kobiety, która oderwała się od ściany jak ożywający posąg. Świetlisty krąg otoczył ją, a potem skoncentrował się przy głowie w postaci srebrnego wiru.

– Nie będzie przy niej szczęścia – powiedziała Ksenia i popatrzyła ojcu w oczy.

Ten, jak się wydawało, powstrzymał zmarszczenie brwi. Przytaknął, jakby akceptując jej decyzję.

– Przetrywamy to, córko, będziemy silniejsi.

Nachyliła się w stronę mężczyzny i oparła głowę na jego ramieniu. Czekwała. Nie wiedziała na co, czy na siłę, o której mówił, czy na to, co trzepotało w jej piersi i chciało się uwolnić.



Batler otworzył drzwi. Klamka nie stawiała oporu, nie odezwał się w domu żaden alarm. Nawet ten cichy, przekazywany tylko do centralki ochrony.

Zapach. Znał go, choć wciąż nie potrafił określić. Woń pobudzała zmysły, tkwiła gdzieś głęboko w podświadomości. Gdyby tylko wydostała się na powierzchnię, zalałaby go gamą uczuć i wspomnień. Może odpychał to wrażenie od siebie właśnie z tego powodu?

Obraz z sennej wizji. Wiedział, gdzie są, wiedział też, że na niego czekają. Za chwilę do was dołączyć, pomyślał. Już za chwilę.

Korytarz, szeroki, wykafelkowany z obrotowymi drzwiami. Strefa dostaw. W pobliżu musiała być kuchnia. Często organizowano tu przyjęcia: morze wódki, dziewczyny z agencji i śnieg na szklanych stolikach. Długie kreski białego śniegu.

Wyczuł czyjąś obecność za kolejnymi drzwiami. Oparł się o ścianę, karabinek wsparł na ramieniu, unosząc lufę ku górze.

Huk dwóch wystrzałów, a potem regularna kanonada.

Dobrze, pomyślał. Wytłuczcie się jak karaluchy.

Nie spodziewał się jej. W ogóle nie wyczuł momentu, w którym pojawiła się tuż przy nim. Jakby zmaterializowała się niczym duch.

Przylgnęła do niego całym ciałem, a Batler nie był zdolny zareagować. Jej dotyk paraliżował zmysły. Jej usta odszukały jego. Pocałunek był ciepły, choć gorzki. Dopiero wtedy skojarzył wcześniejszy zapach. To był jej zapach, zapach śmierci i życia. Specyficzna mieszanka.

– Czekasz na mnie – powiedziała. – To pułapka. Ale i tak cię to nie powstrzyma, prawda? Potrzęsnała głową.

– Idź – ponagliła go. – Ja zajmę się tymi na zewnątrz.

– Nie trzeba – wydusił z siebie. – Rachaman...

– Rachaman nie przejdzie przez bramę, żaden z twoich sług nie przejdzie przez bramę.

Zbyt dużo zakłęk ochronnych.

Jakby w odpowiedzi dotarł do nich przeraźliwy wrzask wydobywający się z setek gardeł. Drzwi zewnętrzne otworzyły się i stanął w nich ochroniarz. Nyja, wydawałoby się, skinęła tylko dłonią, a mężczyzna zajął się ogniem. Spłonął niczym sucha szczapa drewna, wydając z siebie jedynie ciche westchnienie.

– Idź – powtórzyła.

Z trudem oderwał od niej wzrok. Przekroczyła dymiącego trupa i ruszyła w ciemność nocy. Batler pchnął drzwi prowadzące na kolejny korytarz i wypuścił krótką serię w ścianę. Regips na cienkim stelażu, huk upadającego ciała.

Wiedział, gdzie są. Jakby w głowie miał wewnętrzny radar. Ten ubezpieczał tyły, dwóch kolejnych w bocznym korytarzu prowadzącym do piwnicy.

Idę po was. Idę po was wszystkich!



Wszystko się pokiełbało. Jeden z Azerów stoczył się po schodach aż do moich stóp. Widziałem śmierć wiele razy: zmatowiałe oczy, szybko powiększająca się kałuża krwi. Bezwład ciała, jakby na podłogę osuwał się worek pełen kości. Misza wydawał się bardziej wstrząśnięty.

Walerik wywalił serię po ścianach, w ruch poszły granaty dymne. Ruszyłem w górę. Krótka seria jednego z ludzi Azera. Skoczyli do przodu, opanowali nerwy.

– Chodź, Misza. – Szarpnąłem Asieniewicza za rękę. – Trzymaj się blisko.

Niechętnie skinął głową.

– Abadar, ubezpieczasz tyły! – krzyknął Walerik. – Chłopcy, za mną!

Najpierw schodami do góry, a potem na korytarz. Przyłgnałem do ściany, nisko.

Wcześniej dotknąłem jej dłonią: gruby mur, nośna. Jeśli nie wypalą z RPG, jest w miarę bezpiecznie.

Walerik przejął inicjatywę i kopnął kolejne drzwi. Jego chłopcy wrzucili nowe granaty. Rozpoznałem GDM-40, granat dymny, skuteczny w rozpraszaniu wiązki laserowej podświetlającej.

Charakterystyczne pyknięcie i kłęby dymu. Stało się jednak coś dziwnego. Chmura, która wypełniła przyległe pomieszczenie, nagle zamarzła w stop-klatce, a później proces odwrócił się i dym rozplątał się w powietrzu.

– Psia mać! – ryknął Walerik.

Zobaczyłem tylko promień czerwonej wiązki na czole jego towarzysza. Potem mężczyzna uniósł głowę, jakby chciał spojrzeć w sufit i opadł bezwładnie na wznak. Ściana tuż przy nim zbryzgana była krwią.

– Cofamy się! – warknął Walerik. – Za gorąco!

Zrozumiałem, że jest za późno, gdy Abadar przeleciał w powietrzu kilka metrów i spadając, uderzył mnie w bark. Upadłem wraz z nim, co w sumie uratowało mi życie. Seria rozorała ścianę nad moją głową.

Zboczenie zawodowe nawet w takiej chwili. Rozpoznałem rosyjski dziewięćmilimetrowy karabinek szturmowy napastnika, Wichr. Używały go FSB i MWD, a także ochrona prezydenta. Świat wzajemnych powiązań.

Misza wypalił z glocka, Walerik wstał i puścił serię w stronę intruza. Skurczybyk zawinął się tak, że seria wyrzuciła go poza korytarz. W przejściach pojawili się jednak następni. Byliśmy bez szans. Wpadało tylko wolno unieść rączki.



Patrzył na nią, oczekiwał reakcji. A ona jakby zapadła się w sobie, jakby nigdy nie istniała, a świat, który ją otaczał, był jedynie kartonową scenografią z aktorami z taniej opery mydlanej.

Ale czuła coś więcej, mimo że odrzucała od siebie tę myśl. Więź łączącą ją z tym

człowiekiem, ojcem.

Kim jestem? – pytała samą siebie. – Kim jestem?

Objął ją ramieniem, gdy budynkiem wstrząsnęły kolejne eksplozje. Poczła się bezpiecznie i zamknęła oczy. Jej zmysły wyostrzyły się, doszedł do niej zapach rozgrzanej słońcem trawy, ziemi i piasku. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze. On ją ochroni bez względu na wszystko. Już nigdy nie będzie sama.

– Mamy więcej intruzów!

Uniosła powieki. Była niemal zła na to brutalne wtargnięcie. Krępy mężczyzna średniego wzrostu, stalowe oczy, siła w sprężystych, wojskowych ruchach.

– Malczikow, zajmij się tym.

Głos ojca był łagodny, wręcz nie pasował do całej sytuacji. Pogodny uśmiech na surowej twarzy.

– Tak jest!

Wojskowy zniknął. Kilkadziesiąt sekund, a może minuta rozciągnięta w nieskończoność. Boże, co ona by dała, żeby móc kontrolować czas: dni, miesiące, lata.

Drzwi znów się otworzyły, ale jakoś inaczej. Jakby ustąpiły pod siłą nie ramienia, tylko woli. Wygięły się niczym płatki róż.

Stał tam on.

Serce zatłukło jej w piersi, zabrakło oddechu. Popatrzyła na ojca. Cień na jego twarzy, ledwie uchwytny. Zaskoczenie? Nie przewidział tego?

– Nie wyjdiesz stąd już. Trzeba było siedzieć tam, gdzie twoje miejsce! – Perun wstał i uniósł się nad podłogą, napęczniał, jakby uśpiona dotąd energia wypełniła całe jego ciało.

I wtedy zrozumiała. On czekał, czekał właśnie na tego przybysza. Obcego, który wdarł się do jej domu, a potem zostawił samą w hotelu. I tamten miał swój cel. Śledził ją. Przewidział, że dzięki niej odnajdzie jej ojca.

– Nie wyjdę – wychrypiał przybysz. – Nie bez ciebie.

Odebrała to jak uderzenie kuli ognia. Słońca, które nagle rozbłysło tuż przy niej. Od gorącego podmuchu zakłuło ją w płucach, wysuszyło oczy, pod powiekami zebrały się mikroskopijne ziarenka piasku. Przybysz okręcił się, zawirował, w ułamku sekundy zmniejszając odległość dzielącą go od Peruna.

– Nyja! – krzyknął Perun.

Pomyślała wtedy, że ona też musi działać. Zrobić coś, by chronić ojca. Ale to wszystko wydarzyło się tak szybko.



Misza uderzył głową o ścianę. Jeden z najemników wykręcił mu rękę i unieruchomił dłoń z tyłu plastikowym zaciskiem. Zapiekło w nadgarstkach, a w czaszce zadudnił tępy ból.

Asieniewicz popatrzył na Polaka. Alek nie zdradzał emocji. Twardy albo głupi.

– Na kolana!

Lufa karabinka nie pozwalała na dyskusję. Zaiste żelazny argument.

Misza starał się chłodno analizować sytuację. Nie bał się w tej chwili. Może wciąż działała adrenalina. Jakoś nie widział się z dziurką w głowie, przysypany ziemią i igliwem w pobliskim lasku. Jakby zaraz miało się wydarzyć coś, co odmieni sytuację. Zupełnie jak

w amerykańskich filmach. Siły zła dostaną bęcki, a na końcu wszyscy będą bić brawo głównym bohaterom.

– Wreszcie się na coś przydałeś, Malczikow... A właściwie twoi ludzie.

Poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Teraz nikt nie musiał drugi raz powtarzać mu, by ukląkł. Wystarczyło, że spojrział w czarne niczym węgle oczy wchodzącej kobiety.

– Sytuacja opanowana – odpowiedział mężczyzna, który wszedł z Nyją. Zawodowiec. Zrobił szybki przegląd sytuacji, jednak wyraźnie pobladł, gdy spojrział na Polaka.

– Zabij ich. Teraz – wyszczała kobieta.

– Mogą się przydać. – Malczikow przeniósł spojrzenie na Nyję. – Perun nie wydał rozkazu.

– Ja go wydaję, to musi ci wystarczyć!

Misza poczuł ukłucie pod sercem. Adrenalina wyparowała, wilgotne ręce, stopy. Strużka spływająca po plecach. A jednak poczuł intensywny zapach leśnego runa.

Znów popatrzył na Alka. Polak był napięty i wpatrywał się intensywnie w mężczyznę, który przyszedł z Nyją.

– Musimy chronić Peruna. – Malczikow mówił hardo, ale wiadomo było, że nie on tutaj dowodzi.

– Ja go ochronię!

W dłoni kobiety pojawiła się szara wirująca kula, która zdawała się wyciągać całe powietrze z pomieszczenia, napełniając je trudną do zniesienia wibracją. Miszę zemdlilo. Czuł śmierć; była blisko i wyciągała po niego kościste palce.

Mężczyzna nazywany Malczikowem nie ustąpił. Stał naprzeciw Nyi, odgradzając ją od Miszy i Alka.

– Zgłupiałeś? – Nyja wydawała się rozbawiona sytuacją, jednak zimne spojrzenie mówiło coś zupełnie innego.

– Obiekt zabezpieczony. Tych tutaj zostaw mnie.

– Czułam, że ten dzień nadejdzie – wychrypiła z jakąś dziką satysfakcją. – Ból, który przyjdzie, nie opuści cię nawet po śmierci.

Nyja uderzyła i wtedy stało się coś, czego Misza nigdy by się nie spodziewał. Alek odepchnął Malczikowa. Widać było, niemal jak na spowolnionym filmie, kulę dosięgającą barku Polaka i odrzucającą go na bok.

Z gardła Nyi wydobył się nieokreślony dźwięk. Popatrzyła na swoje dłonie, a potem na Alka.

– Nyja! – Z pomieszczenia obok doszło donośne wezwanie.

W tej chwili i Malczikow, i jego ludzie wypalili do kobiety ze wszystkiego, co mieli pod rękami. Asieniewicz słyszał krzyk, który przebijał się nawet przez odgłosy wystrzałów.

Najgłośniej darł się chyba on sam. Malczikow trafił kilka razy w korpus kobiety, nie robiąc jej większej krzywdy. Nyja skoczyła w bok i przeniknęła przez ścianę.

– Szybciej, zabierajmy go stąd.

Asieniewicz był zupełnie zagubiony. Nie wiedział już, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Jeszcze przed chwilą Malczikow był po tamtej stronie, a teraz jego ludzie uwolnili mu ręce z więzów.

– To ty – wyszeptał Alek.

Malczikow uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że kiedyś się jeszcze spotkamy, Polaku. Wypełniłeś przyrzeczenie.

Pamiętasz?

Alek nie miał siły odpowiedzieć, skinął tylko głową.

– Idziemy stąd, będzie jeszcze czas na pogaduszki. Z Nyją i Perunem nie ma żartów. Musimy się zwijać.

– A Ksenia? – wydusił z siebie Asieniewicz, pomagając Alkowi się podnieść. Polak zadrżał i zwymiotował.

– To jego córka. Dziewczynę zostawcie. – Malczikow dał znak swoim ludziom, by ubezpieczali odwrót.

– Nie. – Alek wyprostował się i potrząsnął głową. – Bez niej nie wyjdziemy.

– Coś ty! Nie kuś losu, Polaku! Mówiłem ci już kiedyś, że nie jesteś Bogiem!

– To musi się dzisiaj skończyć – odparł Alek.

Malczikow spojrział na niego i odpowiedział dopiero po chwili.

– Więc to miejsce będzie naszym grobem. – Jeszcze przez chwilę się wahał. W końcu zaśmiał się donośnie. – Nigdy nie lubiłem Nyi. Sucz... Chodźmy, może to jedyna szansa, by czegoś ją nauczyć!



W innym czasie, w innym miejscu powiedziałyby, że to najpiękniejsze zjawisko, jakie widziały jej oczy. Kula światła otoczyła ją i ojca. Było w tym coś z baśniowego widoku, niemal idylliczny obrazek, a przecież tak prawdziwy. Ona tego dokonała, ona sama. Czerpała z otoczenia radość. Radość, która dodawała jej sił, pomagała stworzyć to piękne zjawisko. Bawiła się chwilę kolorami tęczy, jakby zapomniała o całym bożym świecie. Ta świadomość, wewnętrzne przekonanie, że jej nic się nie stanie, że bez względu na wszystko zło nie dosięgnie ani jej, ani tych, których weźmie pod ochronę.

– Dobrze, córko!

Widziała podziw w jego oczach, miłość, której tak pragnęła, i akceptację. Ona, która nigdy nie rozumiała samej siebie, przeklinała swój los. Dziwaczka spychająca na samo dno duszy oczywisty fakt. Była inna, ale ta inność była czymś dobrym, lepszym niż to, co miało jej do zaoferowania proste życie dziewczyny z butików.

– Przygotuj się!

Perun uniósł dłonie jakby od niechcenia. Kula powiększyła się, stwardniała; przejął nad nią kontrolę. Dziewczyna zawstydziała się – przecież to ona chciała uratować ojca, pokazać, co potrafi. A teraz wyczuła, że jej własna siła przy sile Peruna znaczy tak niewiele.

Obcy w pierwszej chwili zawahał się, jakby nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Trwało to może ułamki sekundy, ale Kseni wydawało się, że wieczność. Potem przybysz zrobił krok, jeden i drugi, szedł uparcie naprzód. Dziewczyna widziała, jak się uśmiecha i nagle skacze przed siebie. Wprost w kulę, jak ćma w ogień.

– Nie! – krzyknęła.

Mężczyzna przekroczył barierę, która miała ich chronić i stanął naprzeciw Peruna, wyciągając z kieszeni kurtki krótki srebrzysty sztylet.

– Zginiesz, takie przeznaczenie zapisano ci w gwiazdach.

Świat zawirował Kseni przed oczami. Wydało jej się, że osuwa się na podłogę. Wtedy jednak poczuła silne dłonie, które pociągnęły ją w tył.

Okrzyk znów wyrwał się z jej piersi. Widziała, jak ojciec składa dłonie, jakby do modlitwy. Jak pochyla głowę, oczekując decydującego ciosu. A potem z jego dłoni wyskoczyły

snopy iskier, długie złote witki wijące się niczym bicze, które oplotły obcego, pozostawiając na jego skórze, twarzy i dłoniach czarne pręgi.

– Kseniu, uciekajmy stąd!

Poznała ten głos i odwróciła głowę. Misza, to on odciągał ją w stronę drzwi. Obok niego stał wysoki blady mężczyzna. Nie patrzył na nią, tylko na starcie dwóch tytanów, którzy tak byli pochłonięci walką, że nie zwracali zupełnie uwagi na otoczenie.

– Bierzcie ją! Póki czas... – Tego już знаła. Mężczyzna, który służył jej ojcu. Zdradził Peruna, pomagał Miszy? Ale czy Misza nie był jej przyjacielem?

Ksenia poczuła mdłości, zakręciło jej się w głowie. Nie potrafiła się opierać. Już sama nie wiedziała, co czyni. Kim jest wróg, a kim przyjaciel. Uczucia przemieszały się niczym w wielkiej kadzi. W sercu poczuła ukłucie: żalu, smutku i czegoś, czego nie potrafiła określić. Próbowwała krzyknąć, zawołać ojca, ale nie była w stanie. Przydusił ją swąd spalenizny, palącej się skóry. Znow była słabą, kruchą dziewczyną.

Uniosła jeszcze raz dłonie, próbując stawić opór.

Nikt nie zginie. Nikt nie straci tu życia ani przeze mnie, ani przez nikogo.

Dom zatrzęsł się w posadach jakby w odpowiedzi.

Perun dalej stał dumnie wyprostowany. Błyskawice wyładowań przechodziły pomiędzy dwoma przeciwnikami. Obcy palił się, jego ubranie zajęło się ogniem, lecz nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Zniszczę cię!

– Kseniu, z twoją pomocą go pokonam! Już czas!

Miała wrażenie, że przyrosła do ziemi. Jakby jej nogi i dłonie wypuściły pędy, które wryły się w podłogę, wsunęły w sprzęty, oplotły każdy skrawek pokoju i sięgnęły dalej, do piwnicy, dachu, ogrodu. Czuła to każdym nerwem, całą sobą. Widziała Rachamana stojącego tuż przy bramie, bezsilnego, niezdolnego przełamać zaklęcia i tych, którzy przyszli tu za przybyszem, a trzymała ich z daleka tylko jedna rzecz... A właściwie jedna osoba. Ona.

Dobro, nie zło. Co jest dobrem, a co złem? Kto, z kim... Dlaczego to jest tak trudne?

Dom znow zatrzęsł się w posadach. Ksenia widziała, jak ludzie padają na kolana. Nawet Perun i ten obcy, którego imię znała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć.

Misza przewrócił się na bok. Jego towarzysz wyciągnął broń, wycelował ją w Peruna i tamtego. Odgadła myśli obcego. Zrozumiała, że i on nie wie, jakiego dokonać wyboru. Targały nim te same wątpliwości.

Podłoga uniosła się, jakby ktoś chciał się spod niej wydostać. Ksenia wychwyciła wszystkimi zmysłami tę wielką siłę, którą teraz przywoływała.

Perun i obcy stracili równowagę, runęli na plecy. Wszyscy upadli na podłogę. Wszyscy oprócz Kseni i kobiety, której oczy były czarniejsze od węgla. Tej, która unosiła się tuż pod sufitem, przechylając głowę i uśmiechając się, jakby wiedziała wszystko.

– Dobrze, dziecko, dobrze! Bądź pożogą i zniszczeniem! Obróć się przeciw ojcu!

Jej głos wdarł się głęboko do mózgu Kseni. Kruszył jej wolę, kruszył cienką linię obrony. Dziewczyna wiedziała, że jeszcze kilka słów, sączących jad w duszę, i tamta przejmie kontrolę nad jej ciałem, nad zmysłami i darem.

Dar... Teraz zrozumiała, w krótkim przeblysku. Najważniejsze było to, co nosiła w sobie, czego bała się całe życie i co wypierała. Najważniejsze dla Nyi, Peruna i obcego, który przybył, by się z nim zmierzyć. To ona była ważna.

Upadła na kolana. Nie mogła dać się ponieść emocjom, które rozdzierały jej wnętrze. Na to czekała Nyja – aż Ksenia przekroczy granicę, zza której nie będzie odwrotu.

– Nie... – wydawało jej się, że krzyknęła, ale tak naprawdę z jej ust wydobył się tylko

szept. – Nie!

Czas się zatrzymał.

Przeniknął ją chłód. Ksenia obróciła głowę. Wszyscy wyglądali jak zamrożeni. Ogień ułożył się w dziwny twór, przypominający otaczającą walczących rzeźbę.

Podłoga była popękana w wielu miejscach, z jednej z wyrw wystawała łapa, ogromna i owłosiona, ze szponami wielkimi jak bochny chleba. To coś, co próbowało dostać się do pomieszczenia z podziemi, zostało także powstrzymane.

Ksenia sama niezdolna była do ruchu. Oddychała głęboko i szybko. Kręciło jej się od tego w głowie. Serce zaczęło bić jeszcze mocniej. I wtedy usłyszała kroki.

Obróciła głowę w lewo, skąd dobiegał odgłos. Światło, które dostało się do wnętrza, oślepiło Ksenię. Podniosła dłoń do czoła i w korytarzu dostrzegła postać. Kroczyła wolno, dostojnie. Podeszła do dziewczyny na wyciągnięcie ręki i zatrzymała się.

– Kseniu – powiedział świetlisty mężczyzna. – Już czas.

Czas na co? – chciała zapytać. Odpowiedź znalazła jednak w swoim sercu. Była tam, głęboko ukryta przed światem.

– Pójdiesz ze mną?

Popatrzyła jeszcze raz na ludzi, na ich twarze, zastygłe emocje, nabrzmiałe żyły. Ich nieme usta krzyczały, wypowiadały zaklęcia lub po prostu układały się w wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

Znała odpowiedź na zadane jej pytanie. Wiedziała, co zrobi.

– A co z tym?

Wskazała palcami bestię, która próbowała utorować sobie drogę do ich świata.

– To od ciebie zależy. Ty ją przywołałaś.

Poczuła w krwi okrucieństwo lodu. To też wiedziała, wiedziała, zanim zadała pytanie.

– Idźmy więc. – Skinęła głową, czując na policzku łzę. Uniosła dłoń i starła mokry ślad.

Perun, Misza i wszyscy inni. Już czas to przerwać.

Świetlista postać skinęła głową, jakby czytała w myślach.

– Niech tak będzie – powiedziała i wyciągnęła w jej stronę dłoń.

Ksenia chwyciła ją. W tym dotyku znalazła ukojenie i coś jeszcze, czego nie potrafiła określić. Ból minął.

Przed nimi otworzył się portal. Tak przynajmniej to zjawisko opisała w myślach. Nie zdziwiła się. Już nic nie mogło jej zdziwić. Uśmiechnęła się tylko i ruszyła wraz z przybyszem w stronę światła, w stronę przeznaczenia.

IV. Zew przeznaczenia

Słuchaj –
wśród drzew
słowa pieśni
prastarej jak góry,
magicznej
słowiańskiej czereśni
[...]
więc słuchaj
wśród drzew
słowa pieśni
prastarej jak Niebo,
magicznej,
pogańskiej opowieści...

Igor Strapko, *Baśń czereśniowa*

Biblioteka Zielonych Brygad nr 14

[www.zb.eco.pl]

Pomruk odległego grzmotu przetoczył się wśród drzew. Na skraju lasu pojawił się mężczyzna. Nagle, zupełnie jakby wyrósł spod ziemi. Zwierzęta i ptaki, wyczuwając jego aurę, wycofały się w gęstsze knieje. Zapach tego osobnika budził strach.

Mężczyzna był wysoki, długie rozpuszczone blond włosy powiewały na wietrze. Coraz silniejsze podmuchy unosiły poły płaszcza. Przez chwilę patrzył w stronę polany, a potem ruszył wolnym krokiem przed siebie. Jego buty zanurzały się w wilgotnym mchu, łodygi kwiatów gięły pod ciężarem żelaznych okuć. Wydawało się, że las westchnął, nie tyle z powodu zbliżającej się burzy, ile wyczuwając obecność intruza.

Tę polanę omijali zwykli ludzie, instynktownie trzymali się od niej z daleka, a może ścieżki same kluczyły wśród drzew, prowadząc wędrowców jak najdalej od tego miejsca? Dotrzeć mogli tu jedynie ci, którzy wiedzieli, czego szukają.

Mężczyzna wiedział. Kroczył w stronę kamiennego posągu, podobnego do skały. Posągu, którego nie imają się wieki, woda ani wiatr. Na głazie przysiadł kruk. Zamachał skrzydłami, a potem spłoszony wzbił się w powietrze i znikł za wysokimi drzewami.

Człowiek podszedł do skalnej rzeźby, okrążył ją wolno. Z jego twarzy nie schodził kpiący uśmiech.

– Obudź się – wysyczał. – Bracie? Słyszysz mnie?

Posąg pozostał nieruchomy. Pomruk burzy za to zbliżył się, przetoczył po niebie, a – zdawałoby się – poruszył ziemię.

– Wiem, że tam jesteś. Ty, kiedyś z nas najpotężniejszy! A teraz z brodą w chwastach i uszami zarośniętymi mchem. Zbudź się!

Tym razem zadrżała tylko ziemia. Przypominało to łoskot kamieni ukrytych gdzieś głęboko w trzewiach wzgórza.

– A więc mnie słyszysz! – Mężczyzna zaśmiał się. Uskoczył w bok, gdy pod jego butami ziemia rozstała się, a spod niej wytrysnął strumień błota. – Do której z twarzy mam mówić, żeby inne się nie obrażyły?

– Mów, jeśli masz do powiedzenia coś ważnego, Perunie. Nigdy mądrością nie grzeszyłeś, to i nie było czego słuchać... Może coś przez ostatnie wieki się zmieniło? Wątpię, ale ciekawy.

– Żartobliwy jak zwykle. – Perun złączył dłonie za plecami i przyjrzał się rzeźbie Świętowita. Miał wrażenie, że wystarczy kopnąć w odpowiednie miejsce, a posąg stoczy się ze wzgórza i rozbije o pnie drzew na brzegu polany. – A myślałem, że języka w gębie zapomniałeś przez te lata albo w kamień ci go zamieniło.

Broda na jednej z twarzy poruszyła się jak żywa. Smagnął ją wiatr, porwał do góry. Mech zaczął odpadać z brwi, nosa, oczu. Surowy wzrok zmierzył Peruna od stóp do głowy.

– Słabszy jesteś niż ja, bracie. – Świętowit mówił powoli, z uwagą, jakby bał się, że o którymś słowie zapomni. – Nie były dla ciebie ostatnie lata zbyt łaskawe.

– Wciąż jednak walczę, gdy ty się poddałeś – warknął Perun, po czym oparł podeszwę buta na głazie, zapierając się drugą nogą, jakby chciał popchnąć posąg.

– Nigdy nie wydoroslejesz... – Świętowit powiedział to zmęczonym, zrezygnowanym tonem. Kamienna twarz zaczęła zastygać, pomruk wciąż wydobywający się spod ziemi przycichł.

– Oznaką dorosłości jest to, co ty uczyniłeś? To, jaką drogę wybrałeś? Oświeć mnie, o wszechpotężny Świętowicie!

Pomruk znów przybrał na sile.

– Po co przyszedłeś? – Dudniący głos odbijał się kamiennym echem. Słowa wypowiedane były wolno, po niektórych następowała chwila ciszy. – Ubliżyć mi? To, co powiesz, jest mi obojętne i obce. A może przyszedłeś, by stoczyć mój kamień, rozbić go i pokazać, że jesteś potężniejszy ode mnie? Masz rację, wybrałem swoją drogę... Każdy ma własny ciężar do udźwignięcia. Mój jest tu, na tej polanie. Wszyscy straciliśmy moc, gdy straciliśmy tych, którzy w nas wierzą. Ale ciesz się, bo pamięć o takich jak ty przetrwa dłużej. Wszak twoja natura jest bliska naturze ludzkiej. Intryga, wojna, przemoc... Ale zmartwię cię. I ty odejdziesz, bo znajdą się silniejsi od ciebie i w nich wierzyć będą ludzie, a o Perunie zapomną.

– Tak jak zapomnieli o tobie? – Mężczyzna znów zaczął chodzić wokół posągu niczym drapieżnik wokół ofiary.

– Nie przeczę. Zapomnieli. Ale niektórzy wciąż pamiętają... Ty na przykład. Nic nie da stoczenie i rozbicie głazu, bo to właśnie ty pozwalasz mi żyć. Dopiero z twoją śmiercią przestanę istnieć i ja. – Na polanie zadudnił śmiech, głęboki niczym z kamiennej studni.

– Zdążyłem dojść do tych samych wniosków, bracie.

– A więc zmądrzałeś?

– Przeszliśmy do historii. Nie uda się nam odzyskać mocy w ten sposób, co dawniej.

– Nie – potwierdził Świętowit. – Słabniemy z każdym rokiem, wiekiem, tysiącleciem. To samo spotyka bogów greckich czy germańskich.

– Ten Bóg przez duże B... On wiedział, jak sobie z tym poradzić. Urósł w siłę i zdominował świat. A potem chrześcijanie nas wyparli, prześladowając, obalając pomniki, niszcząc pamięć o nas.

– I to cię tak oburza? – Śmiech Świętowita przypominał odgłos toczącej się lawiny. – Ty, który wyznajesz kult silniejszego? Wciąż pragniesz władzy nad światem? Nad ludźmi?

Wydawało mi się, że radzisz sobie bardzo dobrze, Perunie. Intrygą doprowadziłeś do wielu wojen, kontrolowałeś tak wielu ludzi, którym wydawało się, że są panami świata. A to ty pociągnąłeś za sznurki... Ktoś jednak zawsze psuł ci szyki. Myślisz, że to ten przez duże B?

– On też ma słabe punkty.

– Może i ma. Ale ja mam dość intryg. Czy wiesz, że właśnie przez twoje knowania odszedłem?

– Wiem. – Twarz Peruna wydawała się nieprzenikniona, choć ziemia zadrżała pod jego stopami, a rzeka błota dosięgła butów. – Pozostawiłeś po sobie jednak spuściznę... Rozjemców. Oni mają pilnować równowagi w naszym świecie, ale czy nie uważasz, że staną się przyczyną naszej zguby?

– Czego ode mnie chcesz!? – Skala zadrżała, drzewami szarpnął silny podmuch wiatru. W oddali słychać było trzask łamiącej się gałęzi spróchniałego drzewa.

– Trzymaj ich z daleka od spraw, których nadejście jest bliskie. Wiesz, że jest u nich moja córka. Obiecuj mi, że jeśli zechce odejść, Rozjemcy nie będą jej powstrzymywać.

– Nie masz już dość? – zagrzmiał Świętowit. – Pamiętam, do czego doprowadziłeś jej matkę! Gdy ona odeszła, nasz los został przypieczętowany! Teraz chcesz, by twoja córka poszła w jej ślady?

– Ona jest silniejsza od matki. Widziałem w jej oczach...

– Samego siebie? – Skalny posąg poruszył się, uniósł. Jakby pod ziemią schowany był

cały korpus dźwigający głowę o czterech twarzach.

– Trzymaj Rozjemców z dala od mojej córki! – powtórzył cierpliwie Perun. – Oni też mają słabe punkty. Dokładniej jeden słaby punkt, którym ty jesteś!



Las skrzypiał, targany wichurą, polanę spowił mrok. W oddali, nad kronami drzew, pojawiła się dziwna chmura, której lej sięgał samej ziemi.

– Nie pozwolę, byś znów sprowadził wojnę na ten świat. Odejdź. Twoja prośba została odrzucona! – zagrział znowu Świętowit.

– Sam tego chciałeś.

Perun skłonił głowę i nagle obrócił się na pięcie. Wydawało się, że dał za wygraną. Ruszył w stronę lasu, drzew chylących konary, targanych silnymi porywami. A potem zatrzymał się pośród nich i obrócił w stronę polany.

Unióśł dłoń i wycelował palec w skalny posąg. Później ten palec zatoczył koło.

Wir błyskawicznie dotarł na polanę, pozostawiając po sobie pas wyrwanych z korzeniami drzew. Zatrzymał się i skoncentrował na posągu. Słysząc było kpiący śmiech Świętowita, jednak wir okręcił się wokół kamiennej rzeźby, zgęstniał i nagle wielka siła porwała skalny blok wysoko w górę. Perun znów unióśł palec, a potem nagle go opuścił.

Posąg runął z przejmującym świstem z ogromnej wysokości. Tuż przed zderzeniem z ziemią ogarnęły go zygzaki wyładowań, pozostawiając po sobie pęknięcia i czarne smugi. Świętowit krzychał do momentu, w którym skalny blok uderzył o ziemię i rozprysł się na tysiące kawałków.

– Stary durniu. – Perun cedził słowa, jakby się ich brzydził. – Rozjemcy stracą uszy i oczy. Będą niczym dzieci we mgle. I to wszystko przez twoją głupotę.



Serce pompowało krew miarowo. Gdy już zacznę biec, maszyna budzi się, zostaje wprawiona w ruch, nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Biegam dla przemyśleń, rozkminiania problemów. Dla głębszego oddechu, którego czasem nie mogę złapać w dusznych pomieszczeniach, w sytuacjach bez wyjścia, w rozmowach z ludźmi, którzy potrafią przytłaczać bardziej niż kilkunetonowe głazy.

Tak jak wtedy.

Warszawa była brudna. Ulice szare, jakby wylewał się na nie cały brud z ludzkich wnętrzności. Nienawidziłem tego miasta. Lubiłem to miasto. Było mi obojętne. Tak ambiwalentne uczucia, jak ten twór z betonu i stali. Miasto kontrastów: szklanych nowoczesnych słupów, brudnych ulic, walących się budynków. Niemal jak w sokowirówce, w nie do końca zmiksowanej pulpie, bo komuś zabrakło weny, prądu, ochoty na dokończenie kulinarnopodobnego dzieła.

Zimno. Jeszcze kilkaset metrów i to się zmieni. Nawet przy kilkunastostopniowym mrozie wystarczy półtora, może dwa kilometry, żeby zrobiło się ciepło.

Mijałem ludzi. Szli powoli, bojąc się pośliznąć, a ja przecież biegłem, tym samym chodnikiem, tą samą ścieżką, ulicą.

Blisko pół roku od wyprawy do Moskwy. Czasem próbowałem to wszystko zrozumieć, poukładać na nowo, zbierając okruchy wspomnień. Powoli się poddawałem. Niektóre pytania pozostaną bez odpowiedzi, niektóre sytuacje pozostaną równie zagmatwane i tajemnicze, jak

wcześniej.

Popatrzyłem w niebo. Płatki śniegu stawały się coraz większe, jednak nieskazitelna biel ulegnie szybko przemianie, stopi się w jedno z szarą, ziemistą breją.

Ledwie pamiętałem tamte chwile. Wydawały się tak odległe i nierzeczywiste. Stałem wtedy niczym sparaliżowany i patrzyłem na rozgrywające się przede mną sceny. Ta dziewczyna... Ona jakimś niepojętym sposobem wciąż się poruszała. Widziałem przerażenie w jej oczach i coś więcej, coś o wiele bardziej niepokojącego.

Wydawała się zafascynowana tym, co widzi, co chłonęła całą sobą. Gdybym mógł opisać to, co się z nią działo, powiedziałbym, że w jej wnętrzu rozegrała się właśnie walka, że to ona, ta dziewczyna, uległa największej przemianie.

A ja? Nie byłem w stanie nic zrobić. Widziałem Miszę, Malczikowa, Batlera i Peruna. Wszyscy tak jak ja sparaliżowani, objęci zaklęciem, które zamieniło nas w rzeźby podobne do głazów.

Ogarnęła mnie bezsilność, a potem uczucie, jakbym lada chwila miał eksplodować od wewnątrz. Dopiero gdy wrażenie stało się nie do zniesienia, nastąpiła chwila zupełnej ciszy, a po niej ulga. Kolejne wspomnienie to samolot. Siedziałem w fotelu, kurczowo trzymając się podłokietników. Bolały mnie wszystkie mięśnie, uda chwycił skurcz, przez który niemal zwariowałem.

Czułem się tak, jakby wrzucono mnie do innej rzeczywistości, nieokreślonej czasoprzestrzeni. Wciąż nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Tym bardziej, że nie spodziewałem się, że naprzeciw siebie ujrzę jego.

Mentor uśmiechnął się w ten swój tajemniczy sposób. Do niedawna trup. Przynajmniej za takiego go uważałem.

– Dobrze się spisałeś.

Podążyłem wzrokiem za kieliszkiem, który dotknął ust mojego szefa. Czerwone wino. Subtelny zapach trunku unosił się w powietrzu, mieszając z wonią cygar.

– Spisałeś się nawet lepiej, niż myślisz.

Mentor nieświadomie mlasnął językiem. Oczekiwał chyba po mnie jakiejś reakcji, ale ja wciąż nie potrafiłem wydusić z siebie nawet słowa. Zbieranie myśli przychodziło mi tym razem szczególnie opornie.

– Powiedz coś.

Miałem coś powiedzieć? Gadałem z trupem, w tym wypadku nasuwało się podejrzenie, że może nawet sam nim byłem. Choć jak na trupa, cholernie mocno odczuwałem ból nadwerżonych mięśni.

– Alek?

– Przecież widziałem, co z panem zrobili.

Słowa były suche, twarde. Zupełnie jak gula, która utkwiała mi w przełyku.

– Żyję, choć nie tak samo jak ty, Alku. Musisz jednak wiedzieć i zapamiętać, że najczęściej spadam na cztery łapy.

Gdy na niego patrzyłem, dostrzegłem, że rzeczywiście ma w sobie coś z kociego drapieznika.

– Koty mają dziewięć żyć, podobno – zauważyłem.

– Stereotyp jakich wiele. – Mentor przechylił głowę do tyłu i zaśmiał się chrapliwie. –

W rzeczywistości mają więcej.

– Ach tak?

– Rozumiem twoje zmieszanie. Niedługo ty także wiele zrozumiesz. Przez cały ten czas byłem pewny, że podejmiesz właściwie decyzje. Choć przyznam, nie wiedziałem, że sprawy

rozwiną się w tym kierunku.

– Mówi pan, jakby to był jakiś test.

Mentor odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się.

– Nie, uspokoję cię... To nie był test. A już na pewno nie spodziewałem się, że spotka mnie u Dekerta to, czego byłeś świadkiem. Ważniejsza jednak jest wasza trójka. Ty, Misza i Ksenia. Połączyła was siła o wiele większa, niż się spodziewaliśmy. Uwierz, nie czytamy w przyszłości, nie dostrzegliśmy wydarzeń, które miały was połączyć.

– To wszystko było intrygą Peruna.

– Być może – zgodził się ostrożnie. – Jednak uważam, że prędzej czy później musieliście stanąć sobie na drodze. Każde z was jest inne, różnicie się, ale i zarazem uzupełniacie. Macie siłę tworzenia, ale i zagłady. Tego potencjału długo nie dostrzegałem, jednak w końcu ujawnił się sam. Być może Perun był tym, który dostrzegł go jako pierwszy i próbował wykorzystać.

– Ale mu się nie udało. Przez nią, Ksenię.

– Nie. – Mentor pokręcił głową, jego spojrzenie przeszywało. – Przez waszą trójkę.

Przytaknąłem.

– Co z nimi? – zapytałem.

– Rozjemcy uznali, że stanowicie zagrożenie dla obecnego porządku rzeczy. Ich decyzją zostaliście rozdzieleni. Departament Wschodni wziął Miszę. Ty, wiadomo, jesteś związany z nami, choć nie jest tajemnicą, że mają na ciebie chrapkę.

– A ona? Ksenia?

– Cóż. Ona... Powiedzmy, że zostanie pośrodku, pomiędzy. Jest u Rozjemców, strażników ładu i porządku. Czy to będzie jej droga, nie wiem. W końcu to córka Peruna.

Uklucie w skroniach. Ostatnie zdanie Mentora było znaczące.

– Niewiele z tego rozumiem – powiedziałem.

– Przyjdzie na to czas. – Mentor uśmiechnął się, sięgnął po papierosa i odpalił go, zaciągając się dymem. – Na zrozumienie. Przed tobą kilka miesięcy szkolenia. Wtedy poukładasz sobie wszystko w głowie. Przechodzisz na drugi stopień, to oficjalny awans. Alek, muszę dodać, że cieszę się, że miałem co do ciebie rację...

– Rozmawiałem z Witoldem... wtedy, po pana śmierci.

– Tak? – Mentor delikatnie uniósł brew i stał się nagle mniej wylewny.

– Mówił mi o moim ojcu... Pracował dla pana?

Spojrzał na mnie, jakbym zaburzył rytuał rozmowy. Popatrzył gdzieś w bok, zastanawiając się, czy ciągnąć ten wątek. W końcu jednak przemówił.

– Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Współpracowaliśmy przez kilka lat. Nigdy mnie nie zawiódł.

Poczułem coś dziwnego. Jakby puste miejsca w sercu, w duszy, z których istnienia nie zdawałem sobie sprawy, zaczęły się wypełniać materialną treścią.

– Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak umarł. Wydawało mi się, że mnie to nie interesuje. Ale... chciałbym wiedzieć.

– To zrozumiałe. Odszedł od was, gdy byłeś dzieckiem. – Mentor zawiesił głos, jakby wciąż zastanawiał się, ile może powiedzieć.

– Mówił to panu?

Ostrożnie skłonił głowę. Strzepnął popiół i po chwili uniósł papierosa do ust, zaciągając się dymem.

– Co się z nim stało?

– Nie wiem. – Mentor popatrzył mi w oczy. – Naprawdę nie wiem.

W tym momencie ogarnęło mnie przeczucie, że kłamie albo nie mówi całej prawdy.

– To dlatego mi pan pomógł? Ze względu na ojca?

– Kiedy widziałem go po raz ostatni, zobowiązał mnie do czegoś. Poprosił, żebym pomógł jego synowi, gdy będzie tego potrzebował.

Popatrzyłem w stół. Poczulem pulsowanie krwi w skroniach.

– Nic więcej mi pan o nim nie powie?

Mentor zdusił papierosa w popielniczce. Wiedziałem, jaka będzie odpowiedź.

Dalszą część lotu pamiętam jak przez mgłę. Być może zasnąłem. Na Okęciu Mentor się ulotnił. Widziałem, jak opancerzony wóz odjeżdża wraz z nim z płyty lotniska. Nie przechodził odprawy, nikt się nim nie interesował. Zupełnie jakby Mentor był głową państwa albo największą szycią w kraju. Dwa samochody z ochroniarzami. Szybka akcja i rozplynęli się w czeluściach nocy.

Ja natomiast, jak zwykły obywatel, przeszedłem kontrolę i dopiero po dłuższej chwili znalazłem się przy wyjściu ze strefy przylotów.

Gdy zobaczyłem tabliczkę z własnym imieniem i nazwiskiem, w pierwszej chwili pomyślałem, że to pomyłka, ale kiedy młoda, może dwudziestopięcioletnia dziewczyna zaczęła machać w moją stronę, zrozumiałem, że na mnie czeka. Uśmiechnęła się, gdy ją zauważyłem, i znów pomachała ręką. Zdążyłem ją dokładnie zlustrować. Wyglądała ładnie w białym kostiumie, miała czarne wysoko upięte włosy, nienaganną figurę i inteligentną twarz. Zawahałem się, ale w końcu do niej podszedłem.

– Alku. – Wyciągnęła szczupłą dłoń. Na nadgarstkach zabręczały bransoletki. – Panie Alku, jestem pana nową asystentką z wydziału. Dostałam polecenie, żeby odwiedzić pana do domu.

– Ale ja nie potrzebuję – burknąłem, jednak byłem chyba bardziej zmieszany, niż chciałem się do tego przyznać. – Poradzę sobie.

Chyba zbilem ją z tropu. Straciła siłę rozpędu, jakby w dobrze naoliwione tryby dostał się piasek. Nie miałem nic przeciwko niej, nie było w tym nic osobistego. Po prostu przywykłem, że całe życie radzę sobie sam. A tu podwózki, asystentka i kolejne kłopoty na głowie. Poza tym nie byłem w nastroju na niczyje towarzystwo. Chciałem zaszyć się w swoim mieszkaniu i wyczyścić umysł z ostatnich wydarzeń.

Otworzyła usta, jej oczy się zaszklily, a kartka z moim nazwiskiem wysunęła się z dłoni.

Odruchowo schyliłem się i pomogłem jej ją podnieść. Oczywiście zderzyliśmy się głowami. Ucierpiała bardziej ode mnie.

– Przepraszam – powiedziałem, próbując dotknąć jej czoła, ale opamiętałem się i zabrałem rękę. Widziałem, że nie chciała dać po sobie znać, że ją zabolalo. – Miałem ciężki... tydzień.

– Tak jest, panie Alku. – Dziewczyna uśmiechnęła się ostrożnie. Widziałem, że walczy ze sobą i z odruchem, by rozmasować czoło. Nie wiem, dlaczego tak bardzo zależało jej na tym, by pokazać, jaka jest twarda. – Śledziliśmy w wydziale pana poczynania. To znaczy...

Speszyla się pod moim ciężkim wzrokiem. Dotknęła w końcu czoła i przesunęła po nim palcami.

– To znaczy? – Uśmiechnąłem się krzywo.

– To znaczy... No, ja panu kibicowałam... To, co pan przeżył. Dużo bym dała, żeby odnaleźć się tak jak pan w tej... trudnej, diabelsko... sytuacji...

Wszyscy o wszystkim wiedzieli? Cały wydział? Zaskoczyła mnie, wolałem jednak nie roztrząsać tej sprawy.

– Jak masz na imię?

– Nie przedstawiłam się. – Zaśmiała się nerwowo. – Skora. To znaczy, Anna Skorycz. Na

nazwisko mam Skorycz...

Staralem się ze wszystkich sił nie roześmiać.

– Alek. – Wyminąłem ją w końcu i ruszyłem w stronę wyjścia. – Ale to już wiesz.

I proszę, nie mów więcej do mnie per pan. Czuję się przez to staro.

– Dobrze, proszę pana.

Odwróciłem się. Wyszczrzyła zęby. Zrobiła to specjalnie.

– Oczywiście, Alku! – poprawiła się, wzruszając ramionami.

Znów ruszyłem w stronę wyjścia. Po kilku krokach zatrzymałem się i spojrzałem na nią.

Dziewczyna stała jak słup soli.

– To odwieziesz mnie czy nie?

– Tak jest! – Skoczyła jak oparzona. – Już się robi, szefie! Czekałam na wyraźną dyspozycję.

Pokręciłem głową. Asystentka. Dochrapałem się swojej pierwszej w życiu asystentki. Nie wiedziałem tylko, czy tak nierozgarniętej, czy może tak cholernie inteligentnej, że pozwalała sobie ze mnie zakpić, pewna, że się nie zorientuję. Było w niej coś dziwnego i wiedziałem, że szybko tego nie rozgryzę.

Wbiegłem w boczną alejkę. Tutaj zepsute latarnie nie dawały światła, więc ludzie omijali to miejsce szerokim łukiem. Krzaki i gęste nagie drzewa przy tej temperaturze i wilgotności były całkowicie oszronione. Bajkowa aura.

Rozgrzałem się, ostre powietrze przestało mi przeszkadzać. Utrzymywałem równy długi krok. Mięśnie pracowały bez zarzutu. W tym miejscu, na nieodśnieżonych alejkach, biegano się jednak ciężiej.

Nie wiem, w którym momencie wyczułem jego obecność. Może dostrzegłem na białym puchu cień, którego być nie powinno? Może był to szelest, skrzywienie zamrożonej brei? I tak okazał się szybszy. Nie uchyliłem się na czas. Świst powietrza za uchem i czapka ześliznęła mi się z głowy.

Wyrostek, może kilkunastoletni. Zaśmiał się jak opętany i od razu ruszył sprintem w stronę drzew. Zaskoczył mnie, a to nie powinno się zdarzyć. Zupełnie się tego nie spodziewałem.

Głupi żart? Pewnie dureń założył się z kumplami, że przyniesie jakieś trofeum biegacza. A do tego ucieknie niczym wiatr amatorowi nocnego przebierania nogami.

Stałem przez chwilę jak oniemiały, zastanawiając się, co zrobić. Chłopak, wyczuwając moje wahanie, także się zatrzymał. Odwrócił się w moją stronę i pokazał środkowy palec. Może bym mu odpuścił, gdyby nie śmiał się tak głośno i nie drwił ze mnie. W końcu nie byłem aż tak mocno przywiązany do swojego okrycia głowy. Ale wyrostek znów wystawił środkowy palec, a potem pomachał, jakby zapraszając do rywalizacji.

To, co stało się chwilę później, zwałem na zimno. Mróz zaczął szczypać mnie w uszy. Przecież nie mogłem pozwolić, żeby odmarzły.

Chłopak dziko krzyknął, gdy rzuciłem się w jego stronę, i ruszył przed siebie na złamanie karku.

Był szybki, cholernie szybki. Zrozumiałem po kilkudziesięciu metrach, że na krótkim dystansie go nie doścignę. Rysowała się przede mną nieciekawa perspektywa wypluwania płuc w bezsensownej pogoni. Ale od czego głowa? Człowiek jest stworzony do biegania. Nasi przodkowie wiedzieli o tym doskonale. Zresztą nie trzeba szukać aż tak daleko w czasie. Wystarczy popatrzeć na Afrykanów. Ich metodą polowania było zabieganie zwierzyny. Nawet jeśli antylopa potrafi pędzić z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę, to takich

zrywów może zrobić najwyżej kilkanaście... Szybko więc zużyje energię, osłabnie. A wtedy wystarczy, by wytrzymały łowca nie stracił ofiary z oczu. Przyjdzie czas, że najszybsze zwierzę padnie z wycieńczenia.

Cóż, postanowiłem wypróbować tę metodę i urządzić sobie podobne polowanie.



Zimno. Polska pod tym względem niewiele różniła się od matuszki Rosji. Były jednak inne różnice. Wydało mu się, że ludzie nie są tu tak szarzy i przytłoczeni jak ci, których widywał na co dzień w Moskwie. Z drugiej jednak strony byli ułomni w innym aspekcie. Nie potrafili czerpać radości z błahych spraw, z małych sukcesów, z wizyty przyjaciół czy dobrej wiadomości. Dziwni, pełni paradoksów ci Polacy.

Misza spojrział na kolegów. Stiopa i Borys dezaktywowali zabezpieczenia. Ochroniarz, starszy, chudy jak patyk facet, zasnął na samo pstryknięcie palców.

Asieniewicz czuł, że nabiera coraz większej wprawy. Przyjmował to z satysfakcją, rozpieierała go duma, choć akurat z tym starał się kryć. Kilka ostatnich miesięcy było dla niego kluczowych. Nabrał pewności siebie, został doceniony przez współpracowników i przełożonych. Polubił siebie, swoją nową wersję. Te drobne sukcesy dawały mu siłę i wiarę w jego własne umiejętności.

Uczył się szybko. Podstawowe zaklęcia opanował w tydzień, a po miesiącu otrzymał promocję na trzecią kategorię. Świat, który się przed nim otwierał, był innym światem. Wydawałoby się, że nie powinien go rozumieć, tak nieracjonalna była to rzeczywistość. Magia, mistyczne stworzenia, bogowie, zwłaszcza Perun... Istny dom wariatów. A jednak Asieniewicz czuł się tak, jakby dopiero teraz otworzył oczy. Te prawdziwe, pozwalające dostrzegać to, co najważniejsze. Gdy to zrozumiał, wszystko nabrało sensu.

– Na trzecim... Zabezpieczyli się dodatkowo.

Popatrzył na Borysa i skinął głową. I tak szło im do tej pory podejrzanie łatwo, a to budziło niepokój, nawet większy niż samo ostrzeżenie technika. Teraz przynajmniej wzmogą czujność. Mieli punkt zaczepienia i wiedzieli, że muszą uważać.

Misza obserwował kolegów, ich oszczędne ruchy. Profesjonaliści w każdym calu.

Ten wylot do Polski miał być dla niego testem. Jak powiedzieli przełożeni na odprawie: szybka akcja. Przejść kolesia, który wydostał się spod kontroli i zwiął na Zachód. Uciekiniera, którego tropem podążał Departament Wschodni. Ich celem było pozbycie się kłopotu i powrót do Moskwy. Na pierwszy rzut oka łatwa sprawa.

– Grupa wsparcia! Potrzebujemy czyszczenia na trzecim.

Borys dał znak, żeby pozostali na miejscach. Misza skinął głową, choć niechętnie. Rozsadzała go energia. Miał jej we krwi aż nadto. Wiedział, że ponosi go ambicja, ale znalazł się w takim stanie, że mógłby zrobić wszystko sam. Dałby radę i na trzecim piętrze, i na każdym kolejnym, gdyby ktoś stanął mu na drodze.

Szkoleniowcy uczulali ich na to. Powtarzali do znudzenia, że muszą uważać. Nowi adepci testowali zestawy niesamowitych zabawek, zaklęć, uroków. Tyle możliwości, tyle siły i mocy. Tym wszystkim łatwo było się zachłysnąć i popełnić błąd.

– Weszli. Idziemy!

Stiopa ruszył pierwszy, tuż przy ścianie, jakby się z nią zespolił. Borys poszedł w jego

ślady, Asieniewicz ubezpieczał tyły.

Suchość w ustach. Przenikanie przez materię zawsze tak na niego działało. Jakby na kilka chwil tracił wodę, jakby wszystkie płyny ustrojowe zostały wypompowane z naczynia, jakim było ciało, by potem znów do niego powrócić. Na początku nieprzyjemne, dezorientujące uczucie, a potem... Cóż, można to uznać za swego rodzaju spełnienie.

– Dawaj!

Borys ruszył pędem do góry, po schodach. Za nim przysadzistymi susami pędził Stiopa. Obaj rozumieli się bez słów. Z tego, czego zdążył się o nich dowiedzieć Asieniewicz, wynikało, że znali się od dziecka. Jeden za drugim skoczyłby w ogień. Misza w tym teamie był piątym kołem u wozu, choć nie dawali mu tego odczuć. Wiedział, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim się z nimi zgra.

Szło mu jednak coraz lepiej. Słuchali jego zdania i brali pod uwagę propozycje, mimo że często mówili na niego „Sztuba”, co chyba miało oznaczać zupełnego leszcza.

– Daj zasłonę, Sztuba, gdy wejdziemy! Zaskoczmy ich. – Borys machnął ręką. Światła na klatce schodowej przygasły.

– Będzie rozróżba! – wysyczał Stiopa. Szalony pęd i pokonywanie kilku stopni naraz nawet go nie zmęczyły.

Zasłona. Asieniewicz stawiał ją setki razy... ale na ćwiczeniach.

Jego pewność siebie gdzieś się ulotniła. Poczul mrowienie w palcach. Miał nadzieję, że to oznaka przyływu mocy, a nie paraliżującego strachu.

Misza nerwowo wykrzyczał zakłęcie i niebieska luna rozświetliła wąski korytarz. Wszystko trwało zaledwie ułamki sekundy. Do jego uszu dotarły głuchoe odgłosy wybuchów i wyładowań. Na trzecim piętrze toczyła się walka. Stiopa i Borys pochyłili głowy i skoczyli przed siebie, jakby z byka chcieli uderzyć niewidzialnego przeciwnika. Znikli za ścianą. Asieniewicz pochylił głowę, jak jego towarzysze, i skoczył w ślad za nimi, przed siebie.

Eksplozja bólu rozsadziła mu czaszkę. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co się stało. Gorąca ciecz zalała mu oczy. Poleciał do tyłu, świat zawirowało. Widział swoje nogi w powietrzu, ręce zaplątały się w poły płaszcza i nie zdążył ich rozłożyć, by choć trochę zamortyzować upadek. Uderzył znów głową, tym razem w poręcz. Żebra zatrzeszczały, gdy opadł na bok i zjechał kilka stopni w dół.

Oddech. Oddychaj! Ból w płucach był paraliżujący, słabość rozlewała się po całym ciele. Z pozycji leżącej z trudem przemieścił się na kolana.

– Misza, dawaj!

Krzyki za ścianą, zaledwie kilka metrów od niego. Asieniewicz złapał wreszcie oddech, wstał i ruszył z pełną prędkością. Przezornie wyciągnął dłonie przed siebie. Uderzył w ścianę z całej siły, krew zahuczała w skroniach, serce ścisnął strach. Misza wykrzyczał zakłęcie, potem inne. Chciał obrócić ścianę w proch. Wiedział, że za nią giną jego towarzysze, wyczuwał ich ból i przerażenie.

Co się stało? Asieniewicz ruszył schodami w górę, na półpiętro, byle wyżej, w stronę drzwi. Dopadł do nich kilka sekund później i wyważył je kopnięciem.

Znalazł się w kolejnym korytarzu. Po bokach lśnił długi rząd szklanych drzwi. Nawet tutaj powietrze było przesycone energią. Wyładowania mocy przenikały przez podłogę i ściany. Misza uniósł dłonie do twarzy, jakby chciał się ochronić przed drgającym światłem i bijącym od niego żarem. Ruszył biegiem przed siebie. Jeszcze kilka kroków. W bocznym korytarzu toczyła się walka na śmierć i życie.

Wybuch był potężny. Szklane drzwi eksplodowały na tysiące odłamków, raniąc twarz i dłonie Miszy. Ten, nie zważając na ból, pochylił się jedynie i biegł dalej. Byle przed siebie.

W uszach słyszał przejmujący świst, przez który tylko chwilami przebijał się łomot przerażonego serca.

Asieniewicz skręcił w bok. Znow schody, tym razem drewniane, prowadzące z antresoli do wąskiego pomieszczenia. Wpadł w brunatną zawieszinę, która śmierdziała prochem i ozonem. Ściany dymiły, podłoga zalana była krwią.

– Boże – jęknął i opadł na kolana tuż przy nieruchomych ciałach.

Stiopa zwęglony, z dłońmi ułożonymi w znak ognia. Jego przeciwnik musiał jednak okazać się szybszy. Obok kilku innych członków oddziału grupa wsparcia rozsiekana na kawałki.

– Sztu... Sztuba...

Misza popatrzył w bok, a potem na kolanach podczołgał się do krwawego strzępu, jakim było ciało Borysa. Tliło się w nim jeszcze życie, choć uciekało niczym woda przez palce.

– Zasadzka... ucie... uciekaj...

Głowa Borysa opadła bezwładnie. Misza zawył z bólu i wściekłości.

– Boże...

Wstał chwiejnie. Kolana ugięły się pod nim. Obłąd. Nie uczyli, jak zachowywać się w takich sytuacjach. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest i co tutaj robi. Zakrztusił się. Dym gryzł w oczy, palił w gardle.

– To się nie dzieje naprawdę...

Asieniewicz oparł się o ścianę, przesunął dłońmi po chropowatej osmolonej powierzchni. System przeciwpożarowy zadziałał dopiero teraz, jakby do tej chwili czas zatrzymał się w miejscu. W oddali rozległo się wycie syren. Przebijało się przez szum wody tryskającej z sufitów.

Misza zawrócił i ruszył w stronę klatki schodowej. Wiedział jedno: nie mógł tutaj zostać.

Próbował biec, ale skurcz w żołądku zgiął go wpół. Zwymiotował, a potem znow mozołnie stawiał stopy przed sobą, krok po kroku. Pamiętał plan budynku, wyjście ewakuacyjne było piętro niżej.

Zawiódł. Przez niego zginęli ludzie... Co zrobił źle?

W mózgu pojawiały się obrazy, przebłyski. Słowa wypowiedziane wcześniej, myśli.

Zasłona! Boże! Misza znow poczuł skurcz w żołądku. To jego wina. Za wcześniej aktywował zasłonę! To ona nie pozwoliła przejść przez ścianę! Jak mógł popełnić taki błąd?

– Co zrobiłem... Co ja zrobiłem?

Klatkę schodową znow wypełnił dym, jeszcze gęstszy niż poprzednio. Misza szedł na oślep, namacał jakieś drzwi i pchnął je. Miał szczęście. Pokój był pusty, a okno uchylone. Drugie piętro. Wystarczyło wyskoczyć na zewnątrz i rozpląnąć się w mroźnej nocy.



Ten skurczybyk wciąż się śmiał. Biegł, a dokładniej płynął w powietrzu i wciąż zanosił się śmiechem.

Podążałem krok w krok za nim. Nie potrafiłem się zatrzymać. Nie wiem, co mną kierowało. Może sam fakt, że chłopak zachowywał się irracjonalnie. Jednak czy ja teraz byłem lepszy?

Przyspieszyłem, wyczuwając szansę. Odległość między nami zmniejszyła się zauważalnie. Pokonywałem kolejne metry wsłuchany w równy rytm własnego serca, w szybki

oddech. Zacząłem czerpać jakąś dziwną radość z tego pościgu, radość, której dawno nie czułem.

Wbiegliśmy na nabrzeże Wisły. Przeskoczyłem niskie krzaki, uważając, żeby się nie pośliznąć. Byłem coraz bliżej.

Wtedy zatrzymał się i odwrócił, wyciągając rękę. Zamachał moją czapkę jak flagą, jak jakiś cholerny poseł przy pertraktacjach. Nie przestawał się przy tym obłądnie śmiać.

Zwolniłem dopiero kilka kroków od niego. Nagle straciłem ochotę na rozkwaszenie mu nosa, chociaż jeszcze kilkaset metrów wcześniej wyobrażałem sobie wymyślne sposoby na zadanie chłopakowi bólu. Wyrostek wydawał się mizernym chucherkiem, niezdolnym do jakiegokolwiek oporu.

– I co? – zapytałem z ironią. Kłęby pary buchające z ust przez chwilę zasłoniły mi widok.

– I nic – odpowiedział, szczerząc zęby. Szczeniak, na oko szesnastoletni.

– Po co ci to było? Oddaj, co nie twoje, i znikaj!

Myślałem, że rzuci czapkę jak najdalej od siebie i zwieje. Zupełnie jak dzieci z przedszkola, ale on wciąż stał i się szczerzył.

– Szybki jesteś – powiedział – ale nieostrożny.

– Oddaj czapkę, bo stracę cierpliwość. – Chciałem zrobić krok do przodu, ale zdałem sobie sprawę, że nie mogę się ruszyć. Popatrzyłem w dół. Moje nogi lśniły drobinkami lodu. Byłem skuty od butów po kolana. – Co jest?!

– Mówiłem przecież. Powinieneś być bardziej uważny. – Wzruszył ramionami. Opuścił rękę i wolno ruszył w moją stronę.

– Co zrobiłeś i kim do cholery jesteś?

Okrążył mnie. A ja wciąż nie mogłem się ruszyć. Obserwował, jakby oceniał swoją ofiarę.

– Skurwielu – wysyczałem, próbując ruszyć nogą. Nie byłem w stanie. Od pasa w dół nie czułem własnego ciała.

Znów się zaśmiał. Jak wariat, jakby był niespełna rozumu.

– Brzydko mówisz. Nieładnie brzydko mówić.

– Czego chcesz?! – powtórzyłem. Patrzyłem w jego oczy. W rozszerzonych tęczęwkach było coś nieludzkiego.

– Chcę przysługi... za przysługę.

Szybko analizowałem w myślach sytuację. Nie miałem do czynienia ze zwykłym człowiekiem. Kim jednak był? Dla kogo pracował? Na pewno zdawał sobie sprawę, kim jestem. Wszystko zaplanował. Liczył na moją głupotę i się nie zawiódł. Dałem się podejść jak przedszkolak, chociaż sam wcześniej go o to posądzałem.

– Przyjmujesz propozycję?

– Jeszcze nie wiem jaką... – Starłem się grać na czas.

Zrobiło mi się zimno. Łód podchodził coraz wyżej, czułem, jak obejmuje biodra i wspina się w stronę klatki piersiowej. Stamtąd było już blisko do gardła i ust.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię – zarechotał i nagle wskazał palcem moje przyrodzenie. – O to też się nie obawiaj.

– Dobrze słyszeć – zacząłem ostrożnie. Za cholerę nie wiedziałem, jak z nim gadać.

Uderzyłem pięścią w lód, ale obiliem tylko knykcie – I co dalej?

– Posłuchaj mnie uważnie. – Chłopak zatrzymał się naprzeciw mnie. Chyba wystarczyło mu to, co zobaczył i usłyszał. – Wybrałem ciebie, bo potrzebuję pomocy, Alku. Jeśli ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie. Długo cię obserwowałem, musiałem się upewnić, że się nie mylę. Nie mogę popełnić błędu, ale nie mogę też dłużej się ukrywać.

– Nie dziwię się, że się ukrywasz. Jeśli zawsze stosujesz takie metody, to z wieloma

pewnie masz na pieńku.

Zanotowałem, że znał moje imię. To potwierdzało przypuszczenia. Nie było mowy, by nasze spotkanie było przypadkowe.

– Prawda, ale pocieszę cię. Mam na pieńku z tymi samymi, co ty.

Ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem. Spodziewał się po mnie reakcji, ale nie dałem mu tej satysfakcji.

– Mnie chodzi tylko o siostrę – oznajmił ostrożnie, jakby wciąż zastanawiał się, ile może wyjawić.

No dobra, przyznaję: chciałem go sprowokować i wiedziałem, że to będzie głupie posunięcie.

– Jeśli jest równie pokręcona jak ty, to...

Nie dokończyłem wypowiedzi. Chłopak krzyknął i klasnął w dłonie. Moja klatka piersiowa została ściśnięta niczym w imadle. Z płuc wydobyło się rżenie. Jakby tego było mało, drzewami wstrząsnęła wichura. Śnieg sypanął mi prosto w twarz, aż poczułem ostre lodowe ostrza na policzkach.

– Ona jest dobra, nikomu nie zaszkodziła. A poniosła karę za innych. Tylko ty możesz sprowadzić ją z powrotem.

Czuję, jak żyły nabrzmiwiają mi na szyi. Oczy zaszły mgłą. Chłopak chyba wreszcie zorientował się, że nie jest ze mną najlepiej, bo imadło zostało poluzowane.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?! – krzyknął mi niemal do ucha.

– A nie bredzisz czasem... – wysapałem. – Nie pomyliłeś adresów? Na pewno o mnie ci chodzi?

– Niezniszczalny?

Teraz raczej nie było wątpliwości, że chodzi mu o mnie. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Skoro wiesz, kim jestem, to wiesz też, że nie jesteś w stanie mnie zabić.

– Ale ból odczuwasz... – Znów uśmiechnął się drapieźnie.

Skinąłem głową. Dobrze wiedział, że nie czuję się jak na sesji relaksacyjnego masażu. Nie pozostało mi nic innego, jak słuchać dalej.

– Chcę, żebyś jej poszukał i przyprowadził z powrotem.

– Aha. – Nie było sensu dalej grać na czas. Miałem wrażenie, że zamieniam się w sopel lodu. – Gdzie mam jej szukać?

– Nawia. – Chłopak powtórnie wyszczerzył zęby, Może uznał, że powiedział dobry kawał.

– Nawia? – Nie parsknąłem śmiechem tylko dlatego, że z trudem łapałem oddech.

– Tak, Nawia! – Niemal znów się zezłościł, ale zdążył się w porę opanować. – Wejść tam nie jest tak trudno, jak myślisz. Za to wyjść mogą tylko nieliczni. Ty jesteś jednym z tych uprzywilejowanych, niezniszczalny.

– Skąd wiesz, że mi się uda?

– Dam ci coś, co pozwoli ci wejść do Nawi i z niej wyjść.

– Co takiego?

– Artefakt.

– Artefakt? – powtórzyłem z udawanym namysłem. – I jak już tam będę, to mam odnaleźć twoją siostrę?

Powiedziałem to takim tonem, jakbym miał iść na pocztę po znaczki.

– Odnaleźć i wyprowadzić, Alku.

– To spoko. – Moja mimika była mocno ograniczona przez paraliżujące zimno, ale zdobyłem się na uśmiech, równie szalony jak ten dzieciak. – Napijemy się ciepłej herbatki

i ruszam w drogę?

– Myślisz, że to żart? – Na obliczu chłopaka pojawiło się bezbrzeżne zdumienie. –

A może tak lekko traktujesz życie?

Gdzieś już to słyszałem, ale nie podzieliłem się z nim tym spostrzeżeniem.

– Dlaczego mam ci pomóc? – zapytałem zamiast tego.

– Bo na to zasłużyła, zasłużyła na twoją pomoc. Dostaniesz też zapłatę wartą fatygi.

– Bardzo ciekawe. – Mimowolnie zaszczękałem zębami. Zimno zaczynało zamrażać mi mózg. Miałem nadzieję, że chłopak zorientuje się, że trochę przesadził i jestem na skraju wytrzymałości. Spróbowałem napiąć mięśnie. O dziwo, udało się. Miałem wrażenie, że jeśli zechcę, odzyskam kontrolę nad ciałem.

– Dlaczego ze mną nie pójdziesz?

– Będę tam na ciebie czekał... – Zawahał się. Oczy mu rozbłysły, jakby pojawiły się w nich łzy. – Muszę jednak najpierw coś załatwić.

Wyciągnął pakunek z kieszeni i położył go wraz z czapką u moich nóg.

To był impuls. Skoncentrowałem się na jednym punkcie, na jednym zadaniu, które miałem zamiar wykonać. Moja dłoń wystrzeliła do przodu, krusząc lodową okowę i chwytając chłopaka za gardło. W jego oczach widziałem zaskoczenie, ale po chwili pojawiły się błazeńskie ogniki. Teraz moje palce stały się imadłem, jednak on, choć z trudem, wciąż się śmiał.

Uniósł dłoń i poruszył nią od niechcenia. Lodowe okowy puściły całkowicie. – Dopiero wtedy zwolniłem ucisk palców.

– Jesteś wart swojej ceny, niezniszczalny – powiedział.

– Nie jestem na sprzedaż – odparłem w podobnym tonie.

– Więc przyjmij to, co ci ofiarowuję, jako prezent. W bonusie dodam także pewną radę.

– Słucham. – Wciąż zastanawiałem się, jaki kolejny szalony pomysł przyjdzie wyrostkowi do głowy.

– Jesteśmy tylko zabawkami w rękach bogów, nigdy nie pojmiemy ich zamiarów, nigdy nie dotrzemy im kroku. Kiedy zrozumiemy ich cel i zamiary, już raczej nie będzie nas na tym świecie... Bądź więc ostrożny. Uważaj na wrogów, ale i strzeż się przyjaciół.

– Zabrzmiałeś jak jakaś wieszczka.

– Może nią jestem? – Chłopak odchylił głowę i znów się zaśmiał, ale teraz jego śmiech wydał się przygnębiający. – Co do tego twojego „przyjaciela”... On już tu jest. Cholernie ambitny, więc weź sobie do serca radę... wieszczki.

Okręcił się na pięcie. Wykonał piruet zupełnie jak zawodowy łyżwiarz figurowy. Wir śniegu uniósł się w powietrzu, a potem stojąca przede mną postać rozsypała się na tysiące skrzących się płatków.

Popatrzyłem pod nogi i podniosłem czapkę, a po chwili, z wahaniem, przewiązany sznurkiem pakunek.



Kocioł. Straszny kocioł. Nie mógł wrócić do hotelu. To miejsce było spalone. W natłoku myśli Misza starał się myśleć racjonalnie. Co powinien teraz zrobić? Jakie były procedury?

Punkt kontaktowy. Tak, punkt kontaktowy został wyznaczony na wypadek niepowodzenia akcji. Powinien się tam zgłosić jak najszybciej.

Ale co powie? Co ma na swoją obronę? Zginęli ludzie, przez jego błąd i nieudolność. Nawet nie wiedział do końca, jak to się stało.

Analiza. Jeden z nauczycieli wpajał mu kilka zasad, o których miał pamiętać: zachowaj spokój, analizuj, myśl, bo od tego masz głowę.

A głowa boli. Zakrzepnięta krew ściąga skórę, rana od linii włosów ku górze, aż po czubek czaszki, pulsuje rwącym rytmem. To nic. Od tego fizycznego gorszy był inny ból.

Misza szedł ulicą, mijając ludzi, nielicznych, przemykających niczym wyblakłe cienie. Jednak byli, istnieli, budzili się do życia razem z tym ponurym miastem.

Środek nocy, trzecia nad ranem. Ciemno. Latarnie przygaszone, dające nagle drżące światło, jakby z litości dla okutanych w płaszcze i kurtki ludzi. Oni przynajmniej próbowali zatrzymać w sobie ciepło i sen, przynajmniej wciąż mieli złudne poczucie bezpieczeństwa...

Bezsilność. Poczucie straty. Czy mógł cofnąć czas? Nie było na to jakiegoś potężnego zaklęcia?

W jego stronę zmierzał samochód, czarny van. Asieniewicz zastanawiał się, co zrobić. Znał ten pojazd. Jego kierowcą był Kaspjan, który miał na nich czekać i zabrać po wykonaniu zadania. Prostego zadania.

– Wchodź!

Szybko opadła i Asieniewicz zobaczył nagły ruch ręki. Zawahał się, a potem podszedł do zatrzymanego się przy krawężniku auta i wpackował się do środka, zatrzasnął drzwi.

– Szukałem cię! Co się tam stało?!

Skulił się w sobie. Nie wyciągnął rąk z kieszeni, siedział jak w kokonie, otoczony warstwą ubrań i myśli.

– Szef kazał cię przywieźć.

– To wież. – Misza zamknął oczy.

Wirowało mu głowie, szumiało w uszach. Nie słyszał już słów Kaspjana. Widział zwęglone zwłoki Stiopy i Borysa. Widział plamę krwi na ścianie, w którą przywalił głową.

– Boże...

– Weź się w garść, Misza!

Był przytłoczony, zgaszony, bez woli życia. Miał wrażenie, że duch Borysa wciąż jest przy nim i krzyczy mu do ucha, ostrzegając przed zasadzką.

Anton Zemstow usiadł naprzeciw niego, nachylił się. Misza chciał go odgonić, krzyknąć, by poszedł precz, ale nawet na to nie miał siły.

– Misza, co powiedział ci Borys?!

Asieniewicz z trudem skupił wzrok na Zemstowie. W mieszkaniu służącym za punkt kontaktowy było ciemno i zimno. Co chwila Miszę przechodziły dreszcze. Próbował odczytać coś z pociągłej napiętej twarzy zwierchnika, z jego szarych nieruchomych oczu. Bezskutecznie. Skąd Anton wiedział, że Borys powiedział Miszy coś przed śmiercią?

– Przejrzeliśmy monitoring, Misza. Widzieliśmy, co się tam działo.

– Borys. On powiedział, że to zasadzka... – wychrypiął Asieniewicz.

– Zasadzka. – Anton odchylił się do tyłu i przesunął dłońmi po kolanach, jakby wycierał je w materiał niemodnych sztruksów. – Wszyscy za późno się zorientowaliśmy. Ty jeden przeżyłeś. Straciliśmy dziś pięciu ludzi.

Misza skinął głową, potwierdzając oczywisty fakt. Gdyby ktoś teraz dał mu wybór, pewnie wolałby być wśród poległych.

– Opatrzcie go. Klara?

Zemstow westchnął ciężko i wykonał nieokreślony ruch ręką. Do Miszy podeszła

dziewczyna, blada, młodziutka, może dwudziestoletnia brunetka. Zauważył, że drżał jej podbródek. Walczyła z silnymi emocjami. Może to była jej pierwsza akcja. Zupełnie jak Miszy.

– Nie ruszaj się – wyszeptwała.

Złączyła dłonie i potarła jedną o drugą. Palce momentalnie otoczyła niebieskawa mgiełka. Asieniewicz zareagował, odruchowo próbując się odsunąć, ale dziewczyna szybkim ruchem dotknęła jego czoła. Po chwili przesunęła dłońmi delikatnie w stronę włosów.

Poczuł chłód, kojący chłód, który ugasił pożar w jego głowie i w myślach. Tępy ból złagodniał, pulsował jeszcze w głębi czaszki, ale jakby z mniejszą siłą i częstotliwością.

– Zaraz będzie lepiej – powiedziała.

Misza poczuł zapach mięty i rzeczywiście ból znikł.

Zemstow wpatrywał się w napięciu w Klarę. Uwadze Asieniewicza nie umknęły ich porozumiewawcze spojrzenia. Nie był głupi. Zrozumiał, czym była ta nagła troska o jego zdrowie. Dziewczyna zrobiła nie tylko porządek z rozcięciem i potężną śliwą, którą miał na głowie, ale także przewertowała i uporządkowała jego myśli. Sprawdzili go, prześwietlili, a to oznaczało, że Zemstow mu nie ufał.

W sumie poczuł ulgę. Nie dziwił się przełożonemu, na jego miejscu postąpiłby podobnie. W końcu Zemstow stracił przed godziną cały zespół, wszystkich oprócz jednego człowieka. Asieniewicz też zadałby sobie pytania, uznając ten cud ocalenia za mocno podejrzany.

– Znaleźliście wszystkie odpowiedzi? – rzucił pytanie obojętnym tonem, dając znać dziewczynie ruchem dłoni, by go zostawiła.

Zemstow wstał, obrócił się do Miszy plecami i zapatrzył w okno, za którym majaczyła tylko nieprzenikniona czerń nocy.

– Nie wszystkie – odpowiedział po dłuższej chwili. – Kilka rzeczy nie gra. Ktoś nie chciał cię dopuścić do walki, Misza. Jeśli obawiałeś się, że nawaliłeś, to uspokoję cię. To nie twoja wina. Przez ścianę powinieneś przejść nawet z włączoną tarczą. Nie przeszedłeś jednak ani z nią, ani bez niej.

Asieniewicz skinął głową po chwili namysłu. Był w stanie zgodzić się z tą analizą, nie wiedział jednak, do czego prowadziła.

– Dlaczego chcieli cię wyłączyć z konfrontacji? Nie wiem. Może masz większe moce, niż sądzimy, i bali się, że przeważysz szalę zwycięstwa na naszą stronę. A może jesteś dla nich ważny w jakiś inny sposób.

– A może to przypadek.

– Nie wierz w przypadki. – Zemstow potrząsnął głową i odwrócił się w stronę Miszy. – Wiedzieli, że tam będziesz. Wiedzieli, że my tam będziemy. To budzi o wiele więcej wątpliwości, niż sobie wyobrażasz. Nie tyle wobec ciebie, co wobec samego Departamentu.

– Co teraz?

– Teraz? – Zemstow uśmiechnął się kwaśno. – Najchętniej wysłałbym cię do domu, pozbył się ciebie stąd. Nie mogę jednak tego zrobić. Dostałem wyraźny rozkaz z góry.

Asieniewicz wyczuł niechęć przełożonego. Nie wiedział, czy do swojej osoby, czy sytuacji, w jakiej Zemstow się znalazł. Chociaż być może oba czynniki odgrywały równie ważną rolę.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zostawimy tę sprawę...

– Nie, nie zostawimy – przerwał mu Anton. – Nasz obiekt przemieścił się w inny punkt miasta. Znamy jego nową lokalizację, zwerbował jednak kilku naszych.

– Naszych? – Misza zobaczył, że ta wiadomość wywarła równie wielkie wrażenie na Klarze, co na nim.

– Tak, naszych. To właśnie jest problem, Misza. Większy niż przypuszczaliśmy. To nie

jest zwykła mafia, która postanowiła sobie zrobić krótki wypad do Polski, zabawić się i wrócić z łupami. Oni chcą tutaj osiąść na stałe. Gdyby to były zwykłe bandziory, zostawilibyśmy sprawę polskiej milicji.

– Policji – odruchowo poprawił Misza.

– Tak, policji – potwierdził Zemstow niezmiernie. – Jednak dowiedzieliśmy się, że w ich szeregach są nasi... byli pracownicy. Nie mamy wszystkich danych. Wciąż sprawdzamy, ale kilku udało nam się zidentyfikować.

– Teraz sprawa wygląda na poważniejszą niż wcześniej. Jeśli ta ich Agencja M albo dokładniej ichni Departament Zachodni dowie się o tym, Perun będzie miał problem?

– Tak. – Anton skinął głową. Usiadł znów na krześle i niebezpiecznie się odchylił. Mebel żałośnie jęknął. – Chcieliśmy ukreślić łeb sprawie możliwie szybko. Pośpiech i brak rozeznania zadziałały jednak na naszą niekorzyść. Słono za to zapłaciliśmy.

Asieniewicz poczuł gulę w gardle.

– Ściągnęliśmy najlepszych ludzi z wydziału. – Anton przetarł powieki nerwowym ruchem. Był zmęczony, ta sprawa kosztowała go wiele nerwów. – Musimy się z tym uporać. Obawiam się tylko, że ta sprawa może mieć drugie dno.

Misza zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem, szefie.

– Zastanawiam się, czy to nie jest kolejna pułapka. Mam na myśli całą tę sprawę.

– Pułapka? – Asieniewicz poczuł mocniejsze uderzenie serca. Miał wrażenie, że ich rozmowa od początku zmierzała w tym kierunku.

– Ta cała afera z grupą przestępczą, która próbuje załęgnać się w Polsce. To, że pracują dla nich nasi byli pracownicy. Co, jeśli to prowokacja? Jeśli ktoś to zaplanował, wiedząc, że będziemy interweniować, narobimy rabanu i zostaniemy przyłapani?

– W jakim celu... – Misza, zadając to pytanie, znał już możliwą odpowiedź.

– Żeby nas skompromitować? Wytłuc naszych ludzi, zaplanować odwet, mając ku temu formalne powody? – wyliczał Anton.

– Wycofajmy się więc – zaproponował Misza. – Dopóki nie będziemy mieć więcej danych.

Zemstow skrzywił się.

– Perun na to nie pójdzie.

W tym momencie rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

– Wejść! – polecił Anton.

Do pokoju wkroczył Wit, rosły mężczyzna, asystent Zemstowa. Wyciągnął rękę w stronę szefa, podając mu zdjęcie.

Anton westchnął głęboko, pokręcił głową i spojrzał na Miszę.

– Wiemy, kto zlikwidował naszych ludzi – oznajmił. Wydawało się, że na fotografię patrzył zaledwie przez ułamek sekundy, zanim podał ją Asieniewiczowi. – A tym samym wiemy, kto może być zamieszany w całą tę intrygę. Jak widać, nasi przeciwnicy zwerbowali ludzi z dwóch stron.

Misza spoglądał przez dłuższą chwilę w oczy Antona, jakby spodziewał się z nich coś wyczytać. Dopiero po chwili przeniósł wzrok na zdjęcie i serce boleśnie uderzyło w jego piersi.

– Znasz go?

Asieniewicz skinął głową. Przecież i tak wiedzieli. Polaka nie było trudno rozpoznać.

– Masz go dorwać, Misza. Tu nie ma sentymentów. Liczy się los całego Departamentu. Musisz dorwać Alka Bielskiego!



Miasto. Nie takie, jakie znała. Inne, trudne do wyobrażenia. Szukała jakichś analogii, ale przypomniał jej się tylko amerykański film, którego tytułu nie pamiętała. Grał w nim bodajże Robin Williams. Jednak nawet to porównanie wypadało blado przy widoku, który ukazał się jej oczom.

– Kseniu?

Młody mężczyzna ubrany w długą lśniącą togę uśmiechnął się do niej. Miał idealnie wygolone policzki i równo przystrzyżone włosy. Nawet rysy twarzy ocierały się o doskonałość.

– Chodź ze mną.

Słuchała słów, które do niej wypowiedziano. Zatracała się w melodyjnym głosie kobiet i mężczyzn, którzy witali ją jak dawno niewidzianą znajomą. A ona sama nie mogła zdecydować, czy to miejsce jest dla niej obce, czy wręcz przeciwnie – pamięta je z jakiegoś przedziwnego snu.

Skierowano ją do Ak Ber Sana. Miał ją otoczyć opieką i dbać, by niczego jej nie brakowało.

– Rozgość się w swoim pokoju na piętrze. Potem, jeśli możesz, dołącz do nas na tarasie. Zjemy kolację i poznasz resztę domowników.

Skinęła głową.

Ak Ber San uklonił się i uśmiechnął, jakby wszystko rozumiał i wyczuwał jej rozterki.

Także się ukloniła, a potem ruszyła schodkami na górę. Powoli, chłonąc całą sobą zapach tego szklanego domu i światło, które przenikało przez ściany, kojąc pobudzone zmysły.

Korytarz na pierwszym piętrze był przestronny, jasny. Wydawało się, że wewnątrz budynku wypełniają promienie słoneczne. Jakim niepojętym sposobem rozświetlały to miejsce ciepłymi barwami? Tego nie wiedziała.

Drzwi naprzeciw niej. Sześć białych prostokątów. Przez chwilę zastanawiała się, w stronę którego skierować niepewne kroki. Wystarczył jednak jej ruch, by jeden z nich otworzył się zapraszająco.

Weszła do swojego nowego pokoju. Przestronność pomieszczenia, jego czystość i wystrój zapierały dech w piersiach. Znów jedyną analogią był dla niej zagraniczny katalog najmodniejszych wnętrz domów gwiazd. Pokój został urządzony skromnie, a jednak na jego widok całkowicie odbierało mowę. Szkło, biel i coś więcej: przytulność oraz ciepło.

Jedna z zasłon poruszyła się pod wpływem wiatru. Ksenia podeszła do niej i po chwili znalazła się na balkonie. U jej stóp rozkwitło błękitne morze. Dom stał blisko klifu, w dół, do rozgrzanego słońcem piasku prowadziły białe kamienne schody.

– Gdzie jestem? – zapytała samą siebie. – Co tutaj robię?

Zamknęła oczy. Wsłuchiwała się w szum morza i nawoływanie ptaków. Ciepło koilo myśli, rozchodziło się po ciele, rozluźniając mięśnie.

– Mój nowy dom... – powiedziała. I to zdanie nie wydało jej się teraz wcale dziwne i obce. – Mój nowy, stary dom.

Poniżej od strony tarasu dobiegał brzęk naczyń stawianych na stole i gwar rozmowy.

Nagle Ksenia zapragnęła towarzystwa ludzi, nawet obcych. Wyszła z pokoju, ruszyła schodami na dół, a potem w stronę głównego tarasu.



Anna Skorycz. Skora. Przynajmniej zrozumiałem, dlaczego na początku tak się przedstawiła. Nie była to strasznie wymyślna ksywka. Tak zwana ksywa leniwca, nieodnosząca się do cech ani charakteru, ani wyglądu. Chociaż nie, po spędzeniu kilku godzin z tą dziewczyną zrozumiałem, że jest ona skora do zadawania mnóstwa bezsensownych pytań.

– Lubisz arbuzy?

– A nie masz nic innego do roboty? Robisz się męcząca, Skora.

– No tak.

Przynajmniej przez kilkanaście kolejnych minut był spokój.

Nie potrafiłem usiedzieć za biurkiem. A takie zafundowali mi w wydziale: nowoczesne, niewiele szufladek, krótki blat w sam raz na laptop, urządzenie wielofunkcyjne i kilka segregatorów.

W tej chwili kolorowe skoroszyty były puste. Zastanawiałem się, czy nie wpiąć w nie czegokolwiek, nawet wycinków z gazet, ale ta gra pozorów nie była w moim stylu.

Dzień składał się z odprawy, wykładów i ćwiczeń. Po powrocie z Moskwy starałem się zintegrować z otoczeniem, z ludźmi, których poznałem na nowo, teraz z zupełnie innej strony. Agencja M nagle stała się Departamentem Zachodnim. Ten sam budynek, inna nazwa i inna organizacja, jakby wzięta wprost z podziemia. Widziałem wcześniej tych ludzi, przelotnie, teraz moje zdanie o nich zupełnie się zmieniło. Młodzi gniewni, w większości z głowami w chmurach. Pewni swoich sił i umiejętności. Cóż, może tak wyglądało teraz nowe pokolenie: rozhukane, bez kompleksów, wyznające zasadę, że trup na drodze nie jest przeszkodą, ważne, żeby drań nie zmartwychwstał i nie pokrzyżował planów.

Ja tak nie działałem, nie potrafiłem. Może dlatego nie znalazłem do tej pory z nimi wspólnego języka.

– Alek, wzywają cię na górę.

Maks Piasecki, przystojny inteligentny facet, ale w jego rysach, ułożeniu warg i błysku w oczach jawiło się jakieś okrucieństwo. Ambitny, cięty w języku. Jego szorstkość sprawiała, że człowiek omijał go szerokim łukiem. Chociaż pewnie był fachowcem w swojej dziedzinie. To „na górę” zaakcentował z jakimś zalem, zazdrością. Wyszczał niczym wąż. W ogóle tutaj w większości uważano mnie za pupilka szefa. Stanowiłem dla nich zagrożenie. Nie potrafili mnie rozgryźć, nie wiedzieli też o mnie zbyt wiele. Jednak zdawałem sobie sprawę, że byłem „gorącym” tematem rozmów.

Wstałem bez słowa. Nie podziękowałem za informację, bo i Maks nie oczekiwał podziękowań. Skora uniosła kciuki do góry i mrugnęła, uśmiechając się promiennie. Powstrzymałem się przed przewróceniem oczami. Nie było wątpliwości i w tym pokoju na pewno nikt nie miał złudzeń, że graliśmy do jednej bramki.

Wyczułem odprowadzające mnie spojrzenia. Skręciłem w korytarz, w stronę windy. Czekał tu ochroniarz, który sprawdził moją tożsamość. Kilkanaście sekund później znalazłem się na górze, w gabinecie szefa.

– Zmężniał, nie?

Tych dwóch, którzy siedzieli rozparci w fotelach, poznałbym na kilometr. W pokoju unosił się zapach czosnku i przetrawionego alkoholu. Chłopcy niewiele sobie z tego robili. Dobre humory nie opuszczały ich nawet na chwilę.

– Co ty gadasz, Lel, toż to chucherko, pewnie tu mu jeść nie dają... A i pić pewnie nie

może!

– Co do tego ostatniego, to macie rację. – Mentor uśmiechał się, chociaż w jego oczach można było wyczuć groźbę. – W wydziale nie ma miejsca na słabostki, teraz jesteście jego częścią, więc musicie się stosować do zasad.

– Zasady, zasady... – burknął Polel. – Wiemy, co to znaczy. Cieszymy się po prostu, że naszego dobrego znajomego widzimy.

– No właśnie – przytaknął Lel. – Długośmy się nie widzieli.

– Długo – przyznałem. – Też się cieszę, że was widzę.

Naprawdę ucieszyłem się na ich widok. Zastanawiałem się nad słowami szefa, nie wiedziałem, czy dobrze zinterpretowałem to, co powiedział. Wołałem na razie nie drążyć tematu. Czekałem, aż Mentor sam wyjaśni sprawy.

– Usiądź, Alku.

Skorzystałem z zaproszenia i zająłem miejsce u boku bliźniaków. Ci nie spuszcza mi z oczu, szczerzyli zęby i robili głupie miny. Zupełnie jak dzieci na dywaniku u dyrektora. Musiałem powstrzymać uśmiech.

– Lel i Polel będą teraz pracować z nami. – Szef przeszedł na szczęście od razu do rzeczy. – A dokładniej z tobą, Alku.

– Wiesz, odkąd nie ma Romana... – Polel jakby nagle spowaźniał.

Na to wspomnienie mnie także zrobiło się ciężej na sercu.

– Trudno było tam samemu siedzieć, w tej Moskwie – dopowiedział Lel. – Poprosiliśmy o przeniesienie.

– Tutaj się teraz bardziej przydadacie. – Mentor odszukał jakiś przycisk na biurku i wcisnął go. Na ścianie obok nich pojawił się ekran. – Zapewniam, że nie będziecie mieli czasu na nudę.

– To mi się podoba – rzucił Polel i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Lel uczynił podobnie, choć z większą ostrożnością, jakby bał się, że uszkodzi siedzisko.

– Powołałem kilka grup operacyjnych. – Mentor przesunął dłonią niecierpliwie w powietrzu i na ekranie pojawiły się zdjęcia. – Jedna z nich wczoraj przestała istnieć.

Zbladłem. Może dlatego, że nie spodziewałem się tego, co usłyszę i zobaczę. A może tak podziałał na mnie ton Mentora, chłodny i rzeczowy. Zbyt rzeczowy. Jakby mówił o czymś, co wydarzyło się wieki temu, a nie zaledwie przed kilkunastoma godzinami.

– Zastąpicie ich.

Lel odchrząknął.

– To akurat mi się nie podoba – powiedział, ignorując piorunujący wzrok brata.

Lel wyraził też moje myśli, choć sam nie zdobyłbym się chyba na taką uwagę.

Staralem się nie patrzeć na ekran. Widok trupów nie był dla mnie czymś obcym, ale to, że ludzie mogą ginąć od kul nie tylko na wojnie, zawsze potrafiło mną mocno wstrząsnąć.

– Rozpracowujemy nową grupę przestępczą. – Mentor zignorował słowa podwładnego. – Nie obyło się bez ofiar.

– Ilu po naszej stronie? – zapytałem.

Mentor i bracia spojrzeli na mnie. Ten pierwszy nawet skinął głową, jakby doceniając z kolei moją rzeczowość.

– Trzech. Nie udało się ich odratować. Co gorsza, wmieszali się jeszcze w to wszystko ludzie z Departamentu Wschodniego.

– A czego oni tu szukali? Kto im dał zezwolenie? – oburzył się Lel.

– Mają zezwolenie. Być może załatwili je w ostatniej chwili, gdy zdali sobie sprawę z tego, że ich interwencja nie pozostała anonimowa.

– A co to za grupa przestępcza? – zapytałem.

– Nazywają się „Siła”. Ta organizacja powstała w Rosji, szukają przyczółka w Polsce. – Mentor zmienił slajd na ekranie.

– Nie rozumiem. Jeśli to jakaś mafia, to dlaczego nie zajmuje się nią policja? – Wzruszyłem ramionami.

– To nie jest zwykła grupa przestępcza. – Mentor tłumaczył cierpliwie. Wskazał długopisem na slajd. – Nawet najniżsi rangą opanowali kilka podstawowych zakłęb. Być może zwerbowali naszych byłych agentów, być może także tych z Departamentu Wschodniego. Sam więc rozumiesz, że teraz to już nasza sprawa.

Popatrzyłem na ekran. Zatrzymani w stop-klatce napastnicy. Kilku z nich unosiło się w powietrzu, z dłoni zamaskowanych przestępców wystrzeliwały niebieskie i czerwone promienie. Zupełnie jak w filmie science fiction. Gdyby ostatnie miesiące nie nauczyły mnie, że wszystko jest możliwe, teraz pewnie bym się roześmiał.

– Będziemy współpracować z Moskalami, żeby ich stąd wysiudzić? – zapytał Polel.

– Nie w tej sprawie. – Twarz Mentora stężała. Popatrzył na mnie. – Potraktowali to ambicjonalnie. Chcą zdusić sprawę w zarodku, w końcu nie poradzili sobie z tym plugastwem u siebie, a teraz jeszcze dopuścili do rozprzestrzenienia się zarazy u nas.

– O! – Lel zaśmiał się. – To w końcu działają oficjalnie czy nie?

– Zadziałali sprytnie. Rozjemcy nie wiedzą, co się stało. Wydali pozwolenie Departamentowi Wschodniemu na działania na naszym terenie przy okazji innej sprawy. Zanim się zorientują, DW wycofa swoich ludzi. Przynajmniej na to liczą.

– A ty nie masz zamiaru nic powiedzieć Rozjemcom? Jesteś taki szlachetny? – Polel pokręcił głową. Złożył ręce na piersi, wyglądał na wkurzonego.

Zdałem sobie sprawę, że zażyłość Lela i Polela z Mentorem jest dosyć duża. Nie rozmawiali z nim jak ze swoim przełożonym, raczej jak z dobrym znajomym.

– Nie, Mentor nie jest skarżypytą – wyręczył szefa Lel, sprzedając bratu potężnego kuksańca.

– Będziemy kontrolować sytuację. Wkroczymy, jeśli sobie nie poradzą. – Mentor położył dłonie na biurku i zamyślił się.

– Coś cię trapi. – Polel podrapał się w brodę. Sam wyglądał na zmartwionego.

– Być może – odpowiedział szef.

– Wiedziałem! – Polel zazgrzytał zębami. – Myślisz, że to prowokacja? Pozwolili tej cholernej grupie przestępczej, tym psom, tutaj się rozpanoszyć, żeby mieć możliwość działania na naszym terenie?

Mentor nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko. Za to ja z podziwem popatrzyłem na Polela.

– Ale czego chcą? – zapytał Lel. – Co chcą tu osiągnąć? Szukają czegoś? Kogoś?

– Do diaska! – Polel uderzył w dłonie z taką siłą, że aż gruchnęło. – Skąd wiesz, że to wszystko, wtedy... i teraz, to nie sprawka Peruna? Już raz cię dorwał, poszedł na całość.

– Cóż... – Na twarzy Mentora znów pojawił się ten tajemniczy uśmiech. – Tego nie wiem. Liczę, że wy się dowiecie.

Teraz i dla mnie wiele stało się jasne. Perun. To dlatego Mentor zaangażował w sprawę mnie i braci. Już mieliśmy do czynienia z Departamentem Wschodnim i z ich szefem. Wyszliśmy z tamtej konfrontacji obronną ręką. Ale przecież ja do dziś nie wiedziałem, co się wtedy tak naprawdę stało, kto wygrał a kto przegrał, i jak ostatecznie rozstrzygnęły się wszystkie sprawy.

– Co mamy robić? – zapytałem.

– Obserwować. – Mentor spojrział na mnie poważnym wzrokiem. – Zaostrzyliśmy ochronę kilku ludzi, którzy pozostają pod naszą opieką. Nigdy nie wiadomo, czy Departament

Wschodni przy okazji pozbycia się grupy przestępczej z naszego kraju nie będzie chciał załatwić pewnych niedokończonych spraw. Zajmiecie się ochroną jednego z najważniejszych świadków. Już dzisiaj wieczorem.

– Mamy kogoś niańczyć? – Lel przewrócił oczami.

– Ufam, że sobie poradzicie. – Mentor uniósł rękę, dusząc w zarodku ewentualny opór braci. – Uważajcie na siebie i na młodego.

Lel i Polel spojrzeli po sobie, a potem na mnie. Było coś dziwnego w ich wzroku, czego nie potrafiłem określić.

– Będziemy uważać – powiedział Polel. – Daj nam namiar na kolesia. Czuję przyływ matczynych uczuć.



– Misza. Szef darzy cię sporym zaufaniem. – Kiera powiedziała to mało przyjemnym tonem, jakby dawała do zrozumienia, że ona nie podziela opinii przełożonego.

– Ciebie też, skoro miałaś do mnie dołączyć.

Przełknęła uwagę. Zaciśnięte szczęki i błyskawice w oczach świadczyły o tym, że ich dozgonna przyjaźń będzie wątpliwa.

– Mam cię chronić, więc lepiej bądź dla mnie grzeczny.

– Ależ jestem. – Asieniewicz przechylił głowę i zdobył się na uśmiech, który miał być oznaką szacunku i przyjaźni.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Na to się nie nabiorę.

– A szkoda. – Wzruszył ramionami. Odnalazł w sobie pokłady cynizmu, o jakie się nie podejrzewał.

Kiera pochyliła się nad biurkiem.

– Kryszownik! – wyszczała przez zaciśnięte zęby.

To obraźliwe powiedzenie nie zrobiło na Miszy wrażenia. Uśmiechnął się tylko, co na dziewczynę podziałało jeszcze gorzej niż oburzenie, którego się spodziewała. W końcu co miał zrobić. Tłumaczyć się? Nie wymuszał haraczy, był czysty. A kryszowników wśród milicjantów było mnóstwo. Sam wiedział o tym doskonale. Do kiosku, w którym kupował gazety, przychodzili inni milicjanci w innym celu. Pobierali haracze od babinek, dziadków ciułających ostatnie grosze. Zapewniali ochronę... W drobnych interesach już dawno temu wyparli zwykłych bandytów. Nawet na rynku narkotykowym, tym najniższego szczebla. Niejedna „toczka”, miejsce sprzedaży białego proszku, była pod kontrolą wydziału. Pod „kryszą” znajdowały się punkty usługowe, a nawet średni biznes. Tylko kasyna i baroni narkotykowi pozostali pod „kuratela” FSB i jej podobnych.

– Swołocz!

Dziewczyna traciła nerwy. Szybko ją było można wytrącić z równowagi. To Misza akurat postanowił sobie zapamiętać.

– Uspokój się albo odsunę cię od akcji.

Przełknęła głośno ślinę.

– A co ty możesz? – znów wyszczała.

Przez chwilę zastanawiał się, czy dziewczyna ulegnie przemianie. W sumie chciał to

nawet zobaczyć. Nazywali ją Pumą, więc coś musiało być na rzeczy. Wcześniej nie miał do czynienia z metamorfem i tak po prostu, po ludzku, był ciekawy. Dostał jednak ważne zadanie. Prowokowanie, a tym bardziej zrażanie do siebie ludzi, z którymi miał współpracować, nie było najlepszym rozwiązaniem.

– Mogę – odpowiedział twardo. – Wyznaczyli mnie na dowódcę akcji. Mógłbym cię uziemić, jednak potrzebuję twojej wiedzy i umiejętności.

Wstał i spojrzał jej hardo w oczy.

– Odpowiedz więc sobie sama na pytanie – dorzucił z naciskiem. – Nadajesz się do tej akcji czy nie?

Wypuściła z sykiem powietrze z płuc. Długo patrzyła w oczy Asieniewicza, próbując w nich coś dostrzec. Może blef, może jakąś słabość.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Pomogę ci.

Misza zdusił uśmiech, który niemal pojawił się na jego twarzy. Dziewczyna była twarda, ale łasa na pochwały. Wystarczyło umiejętnie ją podejść.

– Zrobisz rekonesans. Chcę wiedzieć wszystko o tym budynku i tym człowieku. – Rzucił przed nią na biurko teczkę, którą wcześniej dostał od szefa. Wprowadź stałą obserwację i... raportuj.

Popatrzyła na niego inaczej, jakby z szacunkiem. Skłoniła ledwie zauważalnie głowę, a jej wzrok przesunął się na teczkę. W oczach znów zabłyśły ogniki. Typowy zadaniowiec. Misza zapewnił sobie właśnie spokój i lojalność podwładnego.



– Witaj wśród Rozjemców, Kseniu.

Usiadła we wskazanym miejscu. Patrzyli na nią ci przystojni mężczyźni i piękne eteryczne kobiety. Poczowała ucisk w żołądku i przeszła jej ochota na jedzenie.

– Dobry wieczór – powiedziała cicho. Mała szansa, żeby usłyszeli ją wszyscy zgromadzeni przy długim stole.

Na szczęście większość osób zaspokoiła już swoją ciekawość. Wystarczyło kilka spojrzeń, otaksowanie wzrokiem, by powrócili do przerwanych rozmów.

– Cieszę się, że do nas dołączyłaś, Kseniu. – Płomiennoruda dziewczyna siedząca tuż obok nachyliła się w jej stronę. – Jestem Anna.

Ksenia uśmiechnęła się blado i ucisnęła wyciągniętą w jej stronę dłoń.

– Rozluźnij się... to po prostu kolacja.

Takie rady, mówienie spiętej osobie, by się rozluźniła, przynosiły skutek raczej odwrotny do oczekiwanego. Zwłaszcza w przypadku Kseni. Była jednak wdzięczna młodej kobiecie za zainteresowanie. Anna wydawała się miłą osobą.

– Gdy pojawiłam się tu po raz pierwszy, czułam się równie niezręcznie, równie zagubiona jak ty.

– Mam to wypisane na czole? – Ksenia zaśmiała się niepewnie.

– Ale chyba się tym nie przejmujesz? – Ruda kobieta także się zaśmiała. Miała bardzo ciepły, hipnotyczny głos.

– No... właściwie to trochę tak. – Ksenia wzruszyła ramionami. Czuła, że lekko zaczerwieniły się jej policzki.

Anna przyjrzała jej się z jeszcze większym zainteresowaniem.

– Jesteś bardzo...

– ...prostolinijna? – dokończyła Ksenia.

– Szczera. – Kobieta potrząsnęła głową. – Raczej to miałam na myśli.

Morozowa zagryzła wargę. Znów poczuła na sobie spojrzenia siedzących przy stole.

Zupełnie tu nie pasowała. Wyglądem, zachowaniem, całą sobą.

– Będziemy przyjaciółkami, dobrze?

Ta deklaracja zupełnie zbiła ją z tropu. Popatrzyła na Annę, zastanawiając się, czy ta sobie z niej nie kpi. Wydawało się jednak, że rudowłosa mówi zupełnie poważnie. Czyżby Ksenia była jedną z tych konserwatywnych osób, które uważają, że przyjaciół zdobywa się dłużej niż trwa wypowiedzenie zdania oznajmującego, podobnego do tego, które przed chwilą usłyszała? Cóż, może dlatego do tej pory nie miała przyjaciół.

– Każdy na początku ma swojego opiekuna, mogę być twoją opiekunką, jeśli zechcesz.

– Do... dobrze. – Ksenia musiała odchrząknąć. Miała problem z wyduszeniem nawet kilku słów.

– To świetnie!

Anna położyła dłoń na jej kolanie. Ksenia poczuła, że teraz płoną jej nie tylko policzki, ale i uszy. Nowa znajoma nie miała najmniejszego zamiaru zrezygnować z tego bardzo „przyjacielskiego” gestu.

– Białe czy czerwone?

Pytali ją o wino. Ksenia musiała zogniskować wzrok na mężczyźnie, który nachylił się w jej stronę, skoncentrować na wypowiedzianych słowach.

– Czerwone.

Skłonił głowę i uśmiechnął się. Ktoś inny nałożył na talerz Kseni pachnącą ziołami rybę.

– Zjedzmy – powiedziała Anna. – Potem porozmawiamy.

Ksenia przytaknęła. Poczuła się pewniej, gdy Anna zabrała dłoń.

Bose stopy dotykały miękkiego, wciąż ciepłego piasku. Fale delikatnie muskały brzeg. Szum morza i jego zapach niesiony przez wiatr były tak intensywne, że Kseni zakręciło się w głowie. Choć może sprawiło to wino, kolejny kieliszek wspaniałego trunku.

– Chodź.

Anna ujęła ją delikatnie pod ramię. Ruszyły brzegiem morza w świetle księżyca.

Towarzyszyła im srebrzysta poświata.

– Nie to samo co Moskwa, prawda?

Ksenia popatrzyła na Annę. Oczy dziewczyny wydawały się fosforyzować. Wyglądała naprawdę pięknie. Jak modelka z okładek pism i z telewizyjnych programów. Ksenia sama najchętniej zaszyłaby się gdzieś w lisiej norze. Przypomniała sobie swoje zaniedbane paznokcie, włosy rozczochrane wiatrem, makijaż, a właściwie jego brak. Wszyscy zgromadzeni na tarasie wydawali się idealni, w ruchach, gestach, słowach wypowiedzianych aksamitnymi lub mocnymi jak dzwon głosami. Tymczasem ona tu nie pasowała.

– Nie to samo... – przyznała po chwili.

Tam pasowała. Do brudnej, szarej Moskwy, do codziennych problemów, trosk. Do tych ludzi, którzy już dawno stracili nadzieję. Czowała się tam silniejsza, o dziwo. Może dlatego, że tak wielu miało coś wspólnego z nią, a ona z nimi?

– Co ja tutaj robię? Dlaczego tu trafiłam?

– Wróciłaś do domu, Kseniu. Choć teraz ten dom może wydawać ci się obcy. Wróciłaś do swojej rodziny, dziecko.

Ksenia potrząsnęła głową. Chciała zatrzymać ten wirujący pęd w głowie, położyć się na piasku i zasnąć, wsłuchana w szum fal. Tak spokojny, tak cichy. Była zmęczona, zmęczenie przeniknęło ją do szpiku kości. Teraz chciała tylko odpocząć, by potem znów mieć siłę... Tylko na co?

– Kseniu, jesteś tutaj potrzebna. Dla zachowania równowagi. Nie kto inny, tylko właśnie ty.

– Równowagi? – Dziewczyna zaśmiała się cicho.

Przecież sama nie potrafiła odnaleźć wewnętrznej równowagi. Od euforii, cieszenia się każdym dniem, po depresyjne wieczory, kiedy pozostawał jej tylko tomik wierszy. Czym jest równowaga? No czym?

– Odnajdziesz to w sobie. – Anna dotknęła ramienia Kseni. Zatrzymała ją, a potem obróciła do siebie.

Ksenia spozjrzała w oczy kobiety. Było w nich coś obcego i znajomego zarazem. Znów skrajne uczucia, znów problem z określeniem drogi, kierunku niespokojnych myśli.

– Ja... chcę zostać chwilę sama – powiedziała.

Anna skłoniła głowę i uśmiechnęła się. Potem złożyła delikatny pocałunek na policzku Kseni i odeszła w stronę domu na klifie.

Dziewczyna stała przez moment w miejscu, a potem coś pchnęło ją wzdłuż brzegu. Musiała pójść przed siebie. Stopy dotknęły mokrego piasku. Woda była ciepła, powietrze też. Przeszywały ją dreszcze, gdzieś w dolnym odcinku kręgosłupa. Poczowała przestrzeń, gwiazdy nad sobą. Teraz była tak malutka w porównaniu z ogromem i bezkresem nocnego nieba.

W oddali rozbłysło światelko i potem zgasło. Ksenia zastanawiała się, co to za zjawisko. Dopiero po chwili zrozumiała, że zza klifu wyłoniła się latarnia. Poczowała coś dziwnego. Kontury wzgórze, które zobaczyła w księżycowej poświacie, wydały jej się znajome.

Jakaś siła pchnęła ją w tamtym kierunku. Początkowo szła powoli, jakby opierała się ogarniającemu ją uczuciu. Lecz już po chwili mimowolnie przyspieszyła kroku. Serce zabiło mocniej.

U stóp wzgórze powinna być ścieżka. Drewniana kładka, a potem schody. Czy to jej wyobraźnia? Czy zmysły płatały jej figle?

Nie. Odnalazła i ścieżkę, i kładkę. Ciekawość okazała się silniejsza od strachu. Ksenia ruszyła schodkami w górę. W stronę latarni.



– Zdążymy, młody. Godzinkę bez nas wytrzyma. Potem zmienimy chłopaków i zajmujemy się niańczeniem tego gagatka. Najpierw musimy pogadać, nie czujesz takiej potrzeby?

Poleł klepnął mnie w plecy, aż zadudniło. Miałem zaprotestować, ale Lel powtórzył przyjazny gest brata i odeszła mi ochota na wszelkie dyskusje. Wykaszałem wszystko, co miałem w płucach.

– Tutaj będzie dobrze... Nie?

Lel pociągnął mnie w stronę spelunki. Odrapane drzwi, zapach odrzucający od wejścia. Sam nigdy bym tutaj nie szukał szczęścia.

– Siadamy tam.

Popatrzyłem na rozchwiany stolik i wytartą kanapę. Lel rozwalił się na niej jak basza,

Polel przysunął rozlatujący się fotel. Ja usadowiłem się na podobnym, dziwiąc się, że jest tak wygodny.

– Naprawdę dobrze cię widzieć. – Polel oparł się łokciami o blat tak, że ten aż zatrzeszczał. – Martwiliśmy się o ciebie.

– Dokładnie, dokładnie... – Lel ziewnął szeroko. Wydawało się, że zaraz na tej kanapie utnie sobie drzemkę. Umościł się jak niedźwiedź w legowisku. – Widzieliśmy wszystko jak na dłoni, i Peruna, i ciebie w środku tego całego bajzlu.

Rozejrzałem się podejrzliwie wokół. Nie wydawało mi się, żeby to było dobre miejsce do rozmów na takie tematy. Na szczęście tylko kilka stolików było zajętych. Przy jednym para, która nie widziała świata poza sobą. Przy innych mężczyźni pochłonięci rozmową o piłce nożnej.

– Powiedz lepiej, jak się to skończyło. Przekaz się urwał i... No, straciliśmy cię z oczu.

– Polel niemal rozwalił monitory, taki był wściekły. – Lel wyszczerzył zęby. – Wiesz, jaka to bezsilność, kiedy nie można pomóc przyjacielowi?

Przyjacielowi. Zrobiło mi się miło, gdy użyli tego określenia, żeby nazwać nasze wzajemne pogmatwane relacje.

– Sam nie wiem, co się tak naprawdę stało – odpowiedziałem szczerze. – Mentor unika mnie jak ognia, nie chce nic wyjaśnić. Ludzie w wydziale, nawet jeśli coś wiedzą, to traktują mnie jak obcego.

– A coś ty myślał. – Lel wzruszył ramionami. – Boją się ciebie. Wiedzą, co z ciebie za ziółko. Niezniszczalny, tacy budzą strach.

– Głupiś, oni po prostu sami nic nie wiedzą. Na ile znam Mentora, to nikogo w sytuacji nie wprowadził.

– A wy? – zapytałem. – Może wy wiecie więcej? Jesteście w stanie coś wyjaśnić?

Polel przyjrzał mi się uważnie, a potem cmoknął z namysłem.

– O suchym gardle nie wypada poruszać tematu. Do tego trzeba się trochę rozluźnić. – Spojrzał na Lela, który przewrócił oczami, odczytał jednak sygnał. Bliźniacy rozumieli się bez słów.

– Przyniosę coś na te twoje problemy gardłowe. – Lel ciężko podniósł się z legowiska. – Tobie też, Alek. Piwo może być?

– Może. – Skinąłem głową, choć zimną piwa nie lubiłem.

– Grzańca nam daj – zaproponował Polel. – Jak to mówią, *in vino veritas*...

Lel tylko skinął głową i podszedł do baru.

– Wiesz chociaż, z kim tam miałeś do czynienia? – Oczy Polela zamieniły się w szparki. Spowaźniał. Wyczuwalne było napięcie.

– Perun, Nyja... Zdążyłem sprawdzić w Wikipedii. – Uśmiechnąłem się.

– No tak. – Polel zaśmiał się. – Pewnie wujek Google też trochę ci pomógł.

– Coś mnie ominęło?

Lel postawił przed nami ogromne ceramiczne kufle wypełnione grzanym winem.

Przyznam, zrobiłem wielkie oczy, zastanawiając się, jak przekonał do tego barmankę. Grzańca podawali raczej w małych ilościach.

– Badamy temat – powiedział Polel. – Siadaj i nie gadaj.

– To se sami gadajcie – obruszył się Lel i zanurzył wąsy w winie.

– Wiesz, kto jeszcze tam był?

Potrząsnąłem głową.

– A nie... – Przypomniałem sobie. – Znałem jeszcze jednego. Poznałem go już wcześniej. Malczikow, on też...

– Dobrze. – Polel skinął zadowolony głową. – Też niezniszczalny, już wiemy. Ktoś

jeszcze?

- No, był też ten trzeci. Ze zdjęcia, Batler.
- Tak naprawdę to był Weles.
- Kto? – Uniosłem wysoko brwi.
- Tego w tej swojej Wikipedii nie wyczytałeś? – zakpił Lel.
- Wyczytałem. Władca krainy umarłych? Nawi?
- Nazywany też bogiem magii i śmierci – dodał posępnie Polel.
- Ale co on tam robił?

– Właśnie tego do końca nie wiemy. Myślę, że to jedna z intryg Peruna. Pomędzy najwyższymi bogami od zarania dziejów dochodziło do starć. Weles i Perun spierali się i o rzeczy błahe, i o te, od których zależały losy milionów. W każdym wypadku chodziło o władzę i siłę. Teraz nie mogło być inaczej. Perun zrobił z Welesem coś takiego, że ten błąkał się po naszym świecie, nie wiedząc, kim jest i czego szuka... Jednak nienawiść pomiędzy nimi była tak wielka, że i tak doprowadziła do konfrontacji.

– Która została przerwana – zauważyłem. Czulem, że wreszcie coś się w mojej głowie układa, choć mogło to być tylko takie wrażenie.

– No właśnie, została przerwana. Czy wiesz jak, mój drogi? Bo przyznam się, że wciąż zachodzimy w głowę.

Zamilkłem, spojrzałem najpierw na Polela, a potem na Lela. Mieli rację, rzeczywiście to wszystko zostało ucięte tuż przed finałem, jakkolwiek miałyby on nie być. Gdy wszyscy oczekiwali, że dojdzie do kulminacji, nagle wszystko zostało przerwane. A ja miałem uczucie, jakby urwał mi się film.

- Dziewczyna – wyszeptalem.
- Ksenia? – Lel, który niemal położył się na kanapie, nagle wyprostował się gwałtownie.
- Przecież wiecie, że okazała się córką Peruna.
- Człowieku, wiesz, ile on ma na świecie córek i synów? Dlaczego myślisz, że ona jest tak szczególna?

– Ona jedyna... – Zawahałem się. – Ona powstrzymała to wszystko. Tak, jestem tego pewny. Wyglądało to tak, jakby stoczyła walkę w swym wnętrzu, sama ze sobą, i w końcu nas powstrzymała.

– Jak widać nie na długo – sapnął po chwili Lel. – Znow coś się dzieje i mam przeczucie, że to jest powiązane z wcześniejszą historią.

– Ach ty i te twoje sławne przeczucia. – Polel wyraźnie się zdenerwował. – Dajże wreszcie spokój. Doszło do konfrontacji Peruna z Welesem, ale sprawa się rypla. Teraz pewnie znow odpuszczają na kilkanaście lat, dopóki nie obmyślą jakiejś przebrzydłej intrygi. Poza tym Weles i Perun wrócili na swoje śmieci, a dziewczuszka znikła.

– A nie myślicie, że od początku o nią chodziło? – zapytałem.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Lel.

– Ona naprawdę się tam zmieniła. Z tego, co wiem, wcześniej była zwykłą dziewczyną. Co, jeśli to całe starcie Peruna i Welesa, jeśli wszystkie te wydarzenia miały jeden cel?

– Doprowadzić do tej, jak to określasz, przemiany? – Polel zmarszczył brwi. – Wydaje się, że dziewczyna rzeczywiście ma jakąś moc; może miała ją już wcześniej, ale dopiero teraz została wyzwolona. Jest córką Peruna i Perun pewnie chciał ją wykorzystać. Tylko do czego? Nie wszystko poszło chyba po jego myśli. Ksenia wylądowała u Rozjemców. Tam nie będzie miał nad nią władzy.

– A Weles? – zapytał Lel. – Trudno przypuszczać, żeby uczestniczył w intrydze Peruna świadomie. Oni się nienawidzą.

Polel walnął się w czoło otwartą dłonią.

– Weles był Perunowi potrzebny do jednego – wyrzucił z siebie. – Miał stanowić zagrożenie. Po to Perun wszystkich ściągnął do tej willi. Liczył na to, że Ksenia będzie go bronić, stanie po stronie ojca, gdy zobaczy, że zagraża mu jego odwieczny wróg!

– Gdy Ksenia zdecydowała się mu pomóc, wybrała drogę, którą przygotował dla niej ojciec. To było katalizatorem jej przemiany! I tak to się skończyło! – dodał Lel, rozwijając myśl brata.

Przytakiwałem co prawda ich słowom, ale nie zgadzałem się z konkluzją. Miałem niejasne przeczucie, że finał tej historii dopiero jest przed nami, i co więcej, że rozegra się on szybciej, niż nam się wydawało.

– Coś cię trapi, Alek? – Polel znów zmierzył mnie uważnym wzrokiem. – Napij się wina, bo ostygnie.

Lel na słowa brata wysunął dłoń przed siebie. Uniósł ją nad stołem i zachichotał jak wariat. Żółty płomień objął mój kubek, a płyn zaczął znów parować.

– Co ja mam z tym idiotą! – Polel klepnął brata w dłoń tak mocno, że wydawało się, iż ją złamał. Na Lelu nie zrobiło to jednak wrażenia. Nie przestawał rechotać, puścił mi tylko oko.

– Wciąż nie znam odpowiedzi na wiele pytań – powiedziałem, ignorując przekomarzenia braci. Zauważyłem, że i tak nikt nie zwraca tu na nas uwagi.

– Jakich? – Polel zmierzył groźnym wzrokiem bliźniaka i wrócił do rozmowy.

– Ja i Misza zostaliśmy w to wplątani, tak jak dziewczyna. Jaka była nasza rola?

– Wszystko chciałbyś rozgryźć po jednym kuflu wina? – zaśmiał się Polel.

– Misza jest już magiem trzeciej kategorii w Departamencie Wschodnim. – Lel powiedział to niby od niechcenia, ale badał moją reakcję.

Polel chrząknął i najwyraźniej kopnął brata pod stołem, bo ten aż jęknął.

– Nie wiedziałem – szepnąłem, wpatrując się w parujący kubek.

– Nie łam sobie nad tym głowy – powiedział raźno Polel. – Może się już nie spotkacie.

Przytaknąłem, choć przypomniawszy mi się wczorajsza konfrontacja w parku z pogodnikiem. Czułem, że Misza jest blisko. Czułem coś więcej. Byłem niemal pewny, że znów się spotkamy. Wszyscy. Ja, Misza i ta dziewczyna, Ksenia Morozowa.

– Alek?

Musiałem zignorować jakieś pytanie Polela, bo ten trochę się zniecierpliwił.

– Może chcesz nam o czymś powiedzieć, Alku Bielski?

– No właśnie, wśród przyjaciół nie ma tajemnic – poparł go Lel.

Nadal zastanawiałem się, czy powinienem wyjawić bliźniakom, co stało się poprzedniego wieczora. Pakunek, który dostałem od chłopaka, wciąż miałem przy sobie. Nawet go nie otworzyłem. Ciężył jak diabli. Pewnie prościej było zapytać o to wszystko Lela i Polela. Zaufać im. Na pewno wiedzieli, co sprezentował mi pogodnik.

– Nie chodzi o tajemnicę – powiedziałem. – Mam wciąż wrażenie, że śnię. To wszystko jest tak pokręcone. Wierzę w Boga, rozumiecie, jednego Boga, a tu...

– A tu Peruny, Welesy... Lele i Polele?

– Nie to miałem na myśli – zająknąłem się. – Wy jesteście z krwi i kości.

– Właśnie to miałeś na myśli – zaśmiał się Polel. – To na pewno jest trudne. Przetawic swój światopogląd. Otworzyć się na nową zupełnie pokręconą rzeczywistość.

– Nam trudno się postawić w twojej sytuacji – wtrącił Lel. – U nas wyglądało to inaczej. Byliśmy my, potem pojawił się twój Bóg. A nasze znaczenie zostało pomniejszone do wielkości rodzynki. Wielu odeszło w niepamięć.

– Coś się kończy, coś się zaczyna – warknął Polel. – Nie smęć chłopakowi, bo pomyśli,

że całkiem zdziadzieliśmy. A jeszcze przecież możemy na coś się przydać.

– No właśnie – odchrząknąłem i nagle podjąłem decyzję. – Wczoraj to dostałem... od niejakiego pogodnika.

Położyłem przed nimi zawiniątko. Szary pakowy papier opleciony sznurkiem.

Lelowi zabłyśły oczy, Polel zaś spoglądał to na mnie, to na pakunek, jakby zastanawiał się, które z nas jest bliższe wybuchowi.

– Otwieraj – powiedział Lel. – Wiesz, co jest w środku?

– Ja bym nie ufał temu cholernikowi – wysapał Polel, ale sam był ciekawy zawartości paczki. Wyglądało na to, że nie będzie się sprzeciwiał, jeśli zdecyduję się ją otworzyć.

– W porządku – zgodziłem się.

Sznurek urwałem, wystarczyło mocniej pociągnąć. Był stary, jakby nikt nie sprawdzał jego wytrzymałości od wielu lat. Ostrożnie rozwinąłem papier. Na twarzach Lela i Polela pojawiło się zaskoczenie.

– Nic tu nie ma. – Lel uniósł wysoko brwi. – Zrobił cię w konia?

Nie mogłem uwierzyć w to, co mówi.

– No jak? – Podniosłem starannie złożony materiał, chwyciłem za jeden z rogów i pokazałem im. – To chyba jakieś sukno?

– Uhm. – Polel sapnął z udawanym przejęciem. – Taaa, piękny różowy kolor, niespotykany...

– A do tego niemal przezroczysty – dodał Lel, patrząc na mnie jak na wariata.

– Jaja sobie robicie? – zapytałem obrażony.

Obaj pokręcili głowami.

– Jak to, nie widzicie tego? – Spojrzałem na materiał. Był delikatny, wydawało się, że to najlepszej jakości jedwab.

Polel cmoknął nagle i uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Tylko właściciel artefaktu jest w stanie go zauważyć. Tylko on może też go użyć.

– No, z pewnymi wyjątkami – dorzucił Lel, który chyba nagle też doznał olśnienia. – Tego jednak pogodnik nie mógł wiedzieć. Pakunku pewnie nie otwierał. Podejrzana sprawa...

Popatrzyli na mnie dziwnie.

– To jest artefakt? – zapytałem.

– Tak, to artefakt, który ma ogromną moc i może sporo namieszać w całej tej historii.

Pogodnik dał ci pelerynę, która sprawia, że jej właściciel staje się niewidzialny – zauważył Lel.

– A można wiedzieć, dlaczego ci go sprezentował? – Polel był bardziej dociekliwy.

– Chciał, żebym pomógł jego siostrze.

– Miłe – zakpił starszy z bliźniaków. – A co? Masz ją okrywać tą peleryną w chłodne dni?

– Nie – powiedziałem ostrożnie, czując, jak się pocę. – Mam ją wyprowadzić z Nawi.

Lel zaśmiał się obłudnie. Zamilkł jednak chwilę później.

– Pogodnik, o czym możesz nie wiedzieć, już wcześniej wziął udział w tej historii, Alku – oznajmił poważnie Polel. – Jego rola może być bardziej znacząca, niż nam się wydawało.

– Ciekawe, skąd u niego artefakt – zainteresował się Lel.

– Pewnie go ukradł. – Polel wzruszył ramionami. – Wiem, że kiedyś Perun miał chrapkę na tę pelerynę. Ona daje dużą moc, pozwala także na podróżowanie do i z Nawi. Będąc w jej posiadaniu, Perun może bezkarnie zagrać na nosie Welesowi.

– Może powinienem ją oddać prawowitemu właścicielowi? – zapytałem.

– Może... – zgodził się Polel. – I w sumie radzę tak zrobić. Jeśli Perun dowie się, że masz artefakt przy sobie, nie popuści. Na pewno chciałby go przejąć wszelkimi możliwymi sposobami.

– Wiecie, do kogo należy peleryna?
– Przechodziła z rąk do rąk. Będzie trzeba sprawdzić – powiedział Lel.
– Ten świat wzajemnych powiązań jest ostatnio zbyt zagmatwany, a to może prowadzić do jednego wniosku. – Polel potarł nos.
– Jakiego? – Jego brat nie wytrzymał, uprzedzając moje pytanie.
– Cofam swoje wcześniejsze słowa. Perun nie obmyśli kolejnej intrygi za kilkanaście ani kilka lat. Ona już się zaczęła.
Wszyscy zapatrzyliśmy się w swoje stygnące kubki.
– Mamy zadanie. – Polel przerwał nagle milczenie, dopił szybko wino i szturchnął obcesowo brata. – Idziemy niańczyć tego faceta. Wiele teraz nie wymyślimy. Jeśli to intryga bogów, to marne szanse, żebyśmy ją rozgryźli. Trzeba działać i uważać.
Skinąłem głową. Zdziwiła mnie ta nagła reakcja Polela. Pociągnąłem kilka długich łyków wina i poczułem, jak ciepło zaczyna krążyć w żołądku, a później wchodzi w nogi.
Lel uśmiechnął się do mnie, ale tak jakoś smutno. Potem we trójkę wyszliśmy w chłodną noc.



– Cześć, Misza!
– Wikary...
Misza skinął koledze głową. Maziejko był ogromnym mężczyzną. Mówiono na niego Golem, chyba tylko ze względu na posturę, ale w Departamencie wszystko było możliwe.
Wikary słynął z siły i odwagi, ale nie brakowało mu też rozumu, szefowie to cenili. W wydziale uważany był za milczka, stronił od towarzystwa. Ale chyba dlatego Asieniewicz darzył go większą sympatią niż innych. Facet nie wyglądał na intryganta i zawistnika. Albo kogoś lubił, albo nie, nic więcej się za tym nie kryło.
– Popatrz, jak chcesz.
Misza przysunął się do lunety. Czuł ingerencję magii. Świadczyło o tym lekkie ukłucie, gdy jego palce dotknęły pokrywy.
Zmrużył jedno oko i popatrzył przez okular. Kontury postaci odznaczały się czerwoną poświatą. Dwie siedziały, najpewniej przy stole. Inne obchodziły teren. Wolnym krokiem pokonywały korytarz.
– Ilu? – zapytał.
– Czterech w pokoju, obok obserwowanego. Kolejnych czterech na piętrze. W budynku wszystkich razem dziesięciu.
– Sporo – przyznał ze zmartwieniem Misza.
– Damy radę. – Wikary zazgrzytał zębami. – Odpowiedzą za to, co zrobili wczoraj z naszymi.
Misza odsunął się od lunety i spojrzał na kolegę.
– Nie wszystko jest czarne lub białe, Wikary.
– Nie wszystko – potwierdził Golem. – Ale i tak dostaliśmy rozkaz. Mamy tam wejść za godzinę, jeśli sytuacja się nie zmieni. Za chwilę będzie zmiana ochrony. Nowi nie znają budynku. Nie zdążą okrzepnąć, a wtedy my się na nich zwalimy.
Misza znów spojrzał przez okular. Obawa zalęgła się gdzieś w jego trzewiach, głęboko.

Mieli sporo informacji, dokładnych informacji. Czy to wystarczy, żeby akcja poszła gładko?

– Kogo ochraniają? – zapytał.

– Jednego ze „smotriaszczych”, mamy go zdjąć i wycofać się. Szybko, łatwo i bez komplikacji.

– Szybko, łatwo i bez komplikacji – powtórzył cicho Misza.

Chłopcy z Moskwy postanowili zarzucić sieć w Polsce. I to od razu w stolicy. Misza już o tym wiedział. Co gorsza, nie była to zwykła mafia, szajka, jakich w Rosji wiele. Wśród nich było kilku wilkołaków i magów wysokiej kategorii, sądząc po ostatnich stratach. Perun nie chciał konfliktu albo blamażu. Potraktował sprawę honorowo. Plan był prosty, ściągnąć ich stąd, zanim zapuszczą korzenie, i wycofać się do Moskwy.

Wszystko jasne. No, prawie wszystko. Tylko co miał z tym wspólnego Alek? Czyżby rzeczywiście była to intryga Departamentu Zachodniego? Uknuli ją? Sprowadzili rosyjskich bandytów, żeby pokazać nieudolność swojego wschodniego odpowiednika? To wszystko było grubymi nićmi szyte...

– Jesteśmy gotowi. – Do pokoju weszła Kiera i uśmiechnęła się do Asieniewicza. Misza nie odwzajemnił uśmiechu, skinął tylko głową, służbowo. Znów za mało czasu na myślenie. Wszystko działo się tak szybko. Modlił się, żeby tym razem obyło się bez ofiar. W głowie wciąż huczały mu ostatnie słowa Borysa.



Ksenia otworzyła drzwi z trudem, bo były zardzewiałe. Na szczęście nikt nie zamknął ich na klucz. Światło we wnętrzu latarni zapaliło się automatycznie. Pewnie zamontowano tu czujniki ruchu. Morozowa dostrzegła metalowe schodki, kręte, wijące się na sam szczyt. Ruszyła w ich stronę, a potem stopień po stopniu w górę.

Już tędy szła. Pamiętała dotyk chropowatej ściany. Przesuwała po niej opuszkami palców, teraz tak samo jak... jak wiele lat temu.

– Zwariowałam? – Ksenia zapytała samą siebie.

Nie przerywała wspinaczki. Bose stopy dotykały chłodnego metalu. Czuła się na tyle silna, by nie zatrzymać się nawet na chwilę.

W końcu schody znikły w drewnianym suficie. Ksenia zawahała się tylko na chwilę. Dotknęła klapy i pchnęła ją z całej siły. Drzwiczki odskoczyły z łatwością i opadły z głuchym trzaskiem, otwierając wejście na szczyt. Morozowa podciągnęła się na wąskiej drabince i w końcu jej stopy znalazły oparcie na ciepłej podłodze.

Światło. Pulsująca kula energii przypominająca serce pompujące krew. Zawieszona nad podłogą, wirująca. Przechodziły przez nią nitki wyładowań. Ksenia czuła tę energię, która przenikała wszystko co żywe i martwe.

– Witaj, dziecko.

Głęboki kobiecy głos, dochodzący jakby spod ziemi, wypełniał niewielkie pomieszczenie. Ksenia zadrżała. Rozejrzała się wokół, ale w latarni nie było nikogo.

– Witaj, dziecko – powtórzył cierpliwie ktoś, kogo nie mogła dostrzec.

– Gdzie... gdzie jesteś? – zapytała Ksenia.

– Tam, gdzie zawsze. W tym samym miejscu i w tym samym czasie.

Kula zapulsowała, jej ruch został wstrzymany. Ksenia zapatrzyła się w płynną

powierzchnię, która przypominała glob pokryty oceanami. Miała wrażenie, że gdzieś pod tą płaszczyzną zamajaczyły zwiewne postaci.

– Znow się pojawiła nasza dziecina.

Tym razem był to inny kobiecy głos.

– Piękna! Nasz dar nie spodobał się? – zapytała ta pierwsza.

– A jakże... Jak się mógł spodobać, skoro wszystko zapomniała? – Trzeci kobiecy głos był skrzekliwy niczym u wiedzmy.

– Kim jesteście? – zapytała Ksenia. Nie bała się. Energia, która wypełniała to miejsce, nie była zła. Przenikała ją i dodawała sił.

– To prawda... nic nie pamięta! – Druga zaśmiała się.

– Nic a nic – dodała skrzekliwa.

– Zamilknijcie! – Znow ten głęboki głos, który Ksenia usłyszała jako pierwszy. – Ktoś ingerował w jej los wbrew naszej woli!

– Prawda – dopowiedziała z namysłem trzecia. – Wbrew woli rodzanic!

– Wbrew – dodała druga. – Nie godzi się...

Ksenia zbliżyła się do kuli światła. Wyciągnęła dłoń, ale zaraz ją cofnęła. Wydało jej się, że widzi we wnętrzu sfery czyjąś twarz. Duże oczy, nos. Zaraz tę twarz zastąpiła inna, a potem kolejna. Morozowa miała wrażenie, że to nie ona przygląda się im, tylko one jej. Z wnętrza jakiegoś niepojętego świata, otchłani, której nie była w stanie pojąć własnym umysłem.

– Kim... Kim jesteście? – powtórzyła pytanie.

– Byłyśmy przy tobie, gdy się narodziłaś. Tak jak przy wszystkich innych dzieciach.

– Od każdej z nas dostałaś prezent, od każdej inny.

– My ukształtowałyśmy twój los. My o losie decydujemy.

– To jaki jest mój los? – zapytała Ksenia drżącym głosem.

W latarni zapanowało milczenie. Kula znow zaczęła wirować. Początkowo wolno, ospale, lecz już po kilku chwilach ruch stał się tak szybki, że Kseni zakręciło się od niego w głowie.

– Teraz nawet my tego nie wiemy, Kseniu – zagrzmiały wszystkie. – Twój los jest w twoich rękach i nawet my nie zrobimy nic, by go odmienić.

– Byłam tu... byłam tu już kiedyś? – Musiała znać odpowiedź na to pytanie.

– Byłaś – odpowiedziała skrzekliwa. – Wciąż na nowo tu przychodzisz. I zawsze podejmujesz tę samą decyzję.

– Nie chcę tutaj być... Ja czuję, że to nie jest moje miejsce. – Ksenia zamknęła oczy.

Poczuła senność, zmęczenie, które tak długo ignorowała.

– Nie chcesz – powiedziała jedna.

– Nie musisz – dodała druga.

– Przecież wiesz, co zrobić – zaskrzeczała trzecia, śmiejąc się głośno.

Ksenia rzeczywiście wiedziała. Wyciągnęła dłoń przed siebie. Zaraz poczuła, jak światło przenika przez zaciśnięte powieki, przenika ją całą, a potem ona sama staje się tym światłem.



Wysiedliśmy z windy. Lel dał znak, że wszystko jest w porządku, Poleł tylko się uśmiechnął zachęcająco. A ja... Ja czułem się dziwnie. Nie dlatego, że miałem ochraniać kogoś, kogo nie znałem, ale z powodu przeczuć. Może powinienem był podzielić się moimi obawami?

Nie potrafiłem ich jednak nazwać, sklasyfikować.

– Wymiana. – Lel uściśnął dłoń jednego z ochroniarzy stojących w korytarzu. Mężczyzna uśmiechnął się i poklepał bliźniaków po plecach. Musieli się znać.

– Zasiadzieliście się na placówce. Przydałoby wam się trochę ruchu. – Ochroniarz wskazał ich brzuchy.

– To tylko kamuflaż. – Polel nawet się nie obraził, tylko zaśmiał się cicho. – Jak dzisiaj, spokojnie?

– Spokojnie.

– Zapewne cisza przed burzą, nie, młody? – Lel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Skinąłem jedynie głową. Za „młodego” przecież nie będę się obrażał.

Swoją drogą, cholera wie, ile Lel i Polel mieli lat. Dopiero teraz sobie to uświadomiłem. Przecież oni musieli mieć co najmniej kilka tysięcy lat na karku! Zaśmiałem się w duchu. Nie ma co, nieźle się trzymali jak na swój wiek.

Ruszyliśmy w stronę drzwi na końcu korytarza, które wskazał ochroniarz. Kolejni dwaj mężczyźni, wysocy, sylwetek pozazdrościłby im niejeden atleta.

– Bez nerwów, chłopcy. – Polel pogroził im palcem.

Dopiero teraz zauważyłem, że jeden z nich ułożył dłonie w znak Nawi. Sam nie potrafiłem go wykonać, ale wiedziałem, że wysła delikwentów bezpośrednio na drugą stronę w ułamkach sekundy.

– Daj im spokój – odezwał się dobrodusznie Lel. – Przynajmniej są czujni!

Zbliżyliśmy się do drzwi. Bliźniacy tym razem nie byli już tak wylewni. Skinęli ochroniarzom głowami, a ci otworzyli im przejście.

– Co to jest? – zapytałem, wskazując wyrysowany czarną kredą nad drzwiami znak podobny do swastyki. Uzmysłowiłem sobie, że wcześniej widziałem identyczny w windzie. Nawet w takich ekskluzywnych wieżowcach jak ten nie brakowało idiotów.

– To? – Lel pokręcił głową. – To, mój drogi, nie jest to, co myślisz. Niemcy splugawili ten znak, który kiedyś był dla nas tym, czym dla was jest krzyż nad wejściem.

– Przyznam, dawno już nie widziałem, by ktoś stosował ten znak nawet wśród naszych – dodał Polel z namysłem. – A to znaczy, że ochraniają kogoś, hmmm... naprawdę ważnego.

– To wy nawet nie wiecie, kogo będziemy ochraniać?

Polel wzruszył ramionami.

– Pełna konspiracja, nie? – zaśmiał się Lel.

Dopiero wtedy przekroczyliśmy próg apartamentu.

– Myślałem, że już nie przyjdziecie.

Bahir – Turek pracujący dla naszego wydziału. Towarzyszyło mu dwóch ludzi, których znałem tylko przelotnie. Działali w terenie i nasze drogi jakoś na dłużej się nie przecięły.

– Jak sytuacja? – Polel rozejrzał się po pomieszczeniu.

Lel tymczasem podszedł do przylegającej do pokoju kuchni i zajrzał do lodówki.

– Spokojnie.

Już gdzieś to słyszałem. Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Zasłony zaciągnięte, dostrzegłem też żelazne rolety. Myślę, że specjalnie wzmocnione. Duży salon z aneksem kuchennym, z boku po prawej drzwi do łazienki. Po lewej przejście do drugiego pokoju.

– Tam jest? – Polel wskazał ruchem głowy drzwi.

– Tam – potwierdził Bahir i skrzywił się. – Nie wychodzi...

– Sam tam siedzi? – Polel uniósł brwi.

– Nie. – Bahir wyszczerzył zęby. – Ma swojego prywatnego maga. Mag bojowy

najwyższej klasy.

– Nie wierz w to. – Polel westchnął ciężko. – Pewnie przywołał jakiegoś demona.

– Co ty? – Bahir wydawał się naprawdę zdziwiony. – Ale na to nie ma...

– ...nie ma pozwolenia? – dokończył Polel. – Sytuacje nadzwyczajne wymagają nadzwyczajnych środków. Jeśli mam rację, to znaczy, że jest naprawdę źle.

– Jest źle! – potwierdził z kuchni Lel. – Pusta lodówka!

Bahir uśmiechnął się blado.

– Jedzenie znajdziecie w torbach pod stołem. Nie zdążyliśmy przełożyć do lodówki.

– A! To co innego! – Lel wrócił do pokoju. Zdążył chyba jednak coś znaleźć, bo przegryzał bułkę na przemian z kabanosem.

– Zostawiam wam ośmiu ludzi. – Bahir potarł nos. Nie czuł się najwyraźniej pewnie i chyba chciał się jak najszybciej stąd ulotnić. – Zmiana zaplanowana za kilka minut.

– Dobrze. – Polel uściskał dłoń Turka i pozostałych, a potem odprowadził ich wzrokiem do drzwi.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że jest źle? – zapytałem.

– A co, młody? Jeszcze tego nie uczyli cię w tej twojej niedzielnej szkółce? – Lel mówił z pełnymi ustami.

– Sprawdziłeś? – Polel posłał bratu piorunujące spojrzenie.

– Sprawdziłem – potwierdził bliźniak, a ja przynajmniej zrozumiałem cel jego krzątania się po kuchni. – Kilka standardowych zakłęb ochronnych. Słabych, raczej trzeciej kategorii.

– No tak. – Polel skrzywił się. – Bahira nigdy nie było stać na więcej. Co jeszcze?

– Brak zakłęb maskujących. Jeśli nas obserwują...

Słuchałem tego z miną, która zdaje się nie świadczyła zbyt dobrze o moim stanie psychicznym, bo Lel podszedł i oddał mi połowę swojego kabanosa. Nie byłem w stanie odmówić.

– ...to wszystko mają jak na tacy. – Polel wskazał za siebie, minę miał nieciekawą. – A jak ochrona tego tam?

– Tu akurat niczego sobie... Kilka wirów, zakłęcia niszczące. Żeby się do niego dostać, musieliby przysłać całą kawalerię, i to najlepiej magów najwyższej kategorii. Poza tym... myślę, że jest sam.

– Dziwne. – Polel usiadł przy stole i rozejrzał się wokół. – Zdaje się, panowie, że wdepnęliśmy w niezłe gównno.

– No dobra – zdecydowałem się wreszcie odezwać. – Powiecie mi, o co tu chodzi?

– Mamy problem, młody. – Lel mówił niewyraźnie. Operował językiem przy zębach, próbując pewnie pozbyć się mięsa, które utkwilo w szczelinach potężnych siekaczy. – Zdaje się, że musimy przygotować się na najgorsze.

– To znaczy?

– Postawimy kilka dodatkowych zapór? – Lel zignorował pytanie, co wcale nie poprawiło mojego samopoczucia.

– Szkoda marnować energię. Wrzuc tylko kilka zakłęb dla niepoznaki, może ich to spowolni. – Polel sięgnął za pas i wyciągnął pistolet, a potem puścił go po blacie stołu w moją stronę. – Aha, i stuknij tam w drzwi naszego podopiecznego, żeby wiedział, że zaraz będą.

Lel nawet nie wstawał od stołu. Pstryknął palcami.

W pokoju rozległo się głośne pukanie.

– Tak? – Zza drzwi dobiegł wyraźny głos. Gdybym miał opisać jego właściciela, powiedziałbym, że ma blisko trzysta lat.

– Zaraz będą! – wydarł się Lel.

Polel zazgrzytał zębami i pokręcił głową.

– No co! – Lel wzruszył ramionami i mlasnął ze smakiem. – Miałem nie marnować energii...

Polel nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie budynkiem wstrząsnęła potężna siła. Żyrandolem nad naszymi głowami miotnęło jak przy solidnym trzęsieniu ziemi. Poderwałem się z krzesła, sprawdzając odruchowo broń.

– Ciekawe, jak się z tego wytłumacza – jęknął Lel.

– To nie te czasy, bracie. – Polel wstał z krzesła i kolanem przewrócił stół tak, że jego blat stanowił solidną osłonę. Sam jednak za nią się nie schował. Dał sygnał, żebyśmy zajęli inne pozycje. – Teraz z niczym i z nikim się nie cackają.

Stanąłem za kolumną, która stanowiła część długiego baru oddzielającego kuchnię od głównego pomieszczenia.

Uderzenie nastąpiło w tym samym momencie. Drzwi wejściowe przeleciały ze świstem tuż obok mnie. Dostrzegłem dwóch napastników w kominiarkach. Przywalili w stół, który przewrócił wcześniej Polel. Tylko na filmach główni bohaterowie potrafili przetrwać za takimi zasłonami, w rzeczywistości zostaliby rozniesieni na strzępy. Kawały drewna spektakularnie wystrzeliły w powietrze.

Lel i Polel nie czekali długo, tylko uderzyli obezwładniającymi znakami. Napastnicy musieli mieć magiczną osłonę, bo nie zrobiło to na nich najmniejszego wrażenia. Oddałem pierwsze strzały bez zbytej wiary w sukces. O dziwo, najbliższy z napastników okręcił się na pięcie i upadł na wznak.

– Strzelaj, młody! – ryczał Polel. Widziałem, że próbuje postawić zasłonę. Znak ognia, który rzucili w naszą stronę napastnicy, odbił się od niej, po czym uderzył w sufit, osmalając tynk i topiąc wciąż kołyszący się nieszczęsny żyrandol.

Zmieniłem pozycję. Kolejne strzały nie przyniosły jednak efektu. Atakujący zdążyli się zabezpieczyć przed kulami zaklęciem ochronnym. Widziałem, jak przez drzwi przechodzą następni napastnicy. Byliśmy na straconej pozycji.

– Młody, nic się nie martw, zaraz przybędą posiłki!

Lel przebiegł tuż obok mnie. Wykonał długi sus i będąc jeszcze w powietrzu, wypuścił wiązkę promieni, która odrzuciła atakujących z powrotem na korytarz.

– Poddajcie się! – krzyknął ktoś z zewnątrz. – Nie macie szans. Za chwilę będziemy musieli was zabić!

– Wal się, oszołomie!

To Lel. Znów przywalił tym samym zaklęciem, które przed chwilą odniosło sukces. Tym razem jednak promienie, które znikły w głębi korytarza, w ułamku sekundy powróciły do właściciela. Lel zdążył jedynie wypuścić z płuc powietrze, gdy rozpędzona siła odrzuciła go do tyłu. Odbił się od ściany i nieprzytomny gruchnął na podłogę.

Polel wrzasnął przeraźliwie i wyrzucił z siebie kolejne zaklęcia. Jego dłonie i palce błyskawicznie zmieniały ułożenie. Czerwone kule ognia z przeciągłym świstem ruszyły w stronę napastników.

– To nic nie da... Siłę dał nam najwyższy!

Do pomieszczenia wkroczył mężczyzna, wyprostowany, w długim, sięgającym podłogi płaszczu. Dłonie miał złożone razem i wyglądał zupełnie jak modlący się mnich. Poczulem niezrozumiałą zazdrość. Mnie te wszystkie znaki nie wychodziły jak należy. Jak mówił mój nauczyciel, niektóre były słabsze niż pierdnięcie. To uczucie, ukłucie męskiej dumy, było tym silniejsze, że znałem tego mężczyznę. Wiedziałem, że jeszcze pół roku temu czmychnąłby przede mną niczym mysz przed kotem.

– To ty? – Poleł także się zdziwił, co wydawało się do niego niepodobne. – No proszę, proszę!

Wyszedłem zza zasłony i wycelowałem pistolet w głowę Miszy Asieniewicza.

– Mam nadzieję, że pomyliłeś adresy, przyjacielu – powiedziałem.

Asieniewicz nie wydawał się zaskoczony. Ani sytuacją, w jakiej się znalazł, ani tym, że nas zobaczył.

– Poddajcie się – powtórzył.

Nie zdążyliśmy odpowiedzieć. Patrzyliśmy wszyscy, jak drzwi pokoju naszego podopiecznego otwierają się na oścież.



– Dziękuję, Perunie, za siłę, którą mi dałeś.

– To spore wyróżnienie, Misza. Nie zawieź pokładanego w tobie zaufania.

Zemstow uśmiechnął się dobrotliwie, chociaż nawet teraz ten uśmiech był raczej wymuszonym grymasem.

Misza mógł się czuć wyróżniony. Sam Perun, szef Departamentu Wschodniego, przekazał mu pełnię prerogatyw, pozwalającą korzystać z mocy zarezerwowanej dla magów piątego poziomu. Moc, której sam z siebie nigdy by nie osiągnął.

– Nie zawiodę.

– Weź ludzi. Już czas.

Do pokoju weszła Kiera. Skinęła głową, zarumieniona, z roziskrzonymi oczami. Misza miał nadzieję, że dziewczyna opanuje emocje. Nie lubił porywczych ludzi, przez takich często dochodziło do nieprzewidywalnych sytuacji i zawsze ktoś ginął.

– Robią wymianę – zakomunikowała.

– Więc chodźmy.

Zablokowali windy. Monitoring został zapętlony, systemy alarmowe dezaktywowane. Chłopcy działali szybko i sprawnie jak w zegarku. Rozpoznanie dało im wszystkie potrzebne dane. Plan zaakceptował Zemstow, a Misza nie miał szczególnych uwag.

Według Zemstowa obiekt zmieniał lokalizację kilkakrotnie w ciągu ostatniego tygodnia. O tym, że wywiad działał dobrze, świadczyło to, że nie zgubili tropu.

Do budynku przedostali się szybko i bez problemów. Ochrona z piętra została zdjęta w kilkanaście sekund. Wtedy jednak w słuchawkach Miszy odezwała się Kiera:

– Mamy problem...

– Teraz mi to mówisz? – warknął. – A co z twoim rozpoznaniem?!

– Ci ze zmiany musieli wprowadzić kilka nowych zakłęb ochronnych!

– Szlag. – Misza zaklął pod nosem. Dlaczego tego nie przewidzieli? Ci nowi musieli być magami wyższej kategorii. Albo wiedzieli, że budynek jest obserwowany, albo ktoś postanowił wzmocnić jego ochronę.

– Możemy to obejść? – zapytał. Nie mieli teraz wyboru. Przerwanie akcji okazałoby się wielką klapą, z której nie byliby w stanie się wytłumaczyć. Odwrót nie wchodził w rachubę.

– Te nowe zakłęcia tak, ale jest jeszcze kilka, które możesz zdjąć tylko ty. Tarcza ciężkiego kalibru. Żeby się z nią uporać, potrzeba sporo mocy.

Misza chyłkiem przebiegł korytarz. Przykucnął przy ścianie obok Kiery. Poczł mdłości i silny ból głowy. W słuchawkach odezwał się tym razem Zemstow.

– Jesteście na granicy tarczy. Mamy kilka minut, zanim zorientują się, że tu jesteście. Nie możemy dopuścić, żeby wezwali posiłki. Trzeba to załatwić teraz.

– To co mam zrobić? – warknął Asieniewicz.

– Przywał w tarczę. Zużyjesz jakieś pięćdziesiąt procent zasobów siły, ale to jedyne rozwiązanie.

Misza popatrzył na Kierę, która z niedowierzaniem pokręciła głową. Wydawało się, że wstrzymała oddech.

– Jesteś pewny? – Misza poczuł strużkę potu płynącą wzdłuż kręgosłupa. Widział już skutki demolowania tego typu tarcz. W miejscu dezintegracji pozostawał czasem lej wielkości domu jednorodzinnego.

– Mam rozkaz z góry – warknął Anton. – Bierz się do roboty!

Misza przymknął oczy i skoncentrował się. Uderzenie w tarczę powinno być proste. Robił to wiele razy. Oczywiście na treningach miał do czynienia z niebotycznie słabszymi zaporami stawianymi przez szkoleniowców, ale to nigdy nie sprawiało mu problemów. Wystarczy ten sam znak, prosty, dłonie złożone w szpic i ruch w stronę bariery.

– Nie mamy wyboru, Misza.

Asieniewicz spojrział na Kierę. Decyzję podjął już wcześniej sam, widział jednak na twarzy dziewczyny obawę.

– Nie wchodź tam pierwsza – powiedział. – Najpierw wejdzie grupa uderzeniowa. Potem ja. Będziesz czekać na mój znak.

– Dlaczego?

Misza zmroził ją wzrokiem. Dziewczyna skłoniła potulnie głowę. Rzeczywiście nawet przed przemianą przypominała trochę kota.

– Przygotować się – rozkazał Asieniewicz.

Przymknął oczy. Gdy poczuł mrowienie w palcach, złączył je i skierował szybkim, płynnym ruchem w stronę niewidzialnej tarczy.

Budynkiem zatrzęsło. Światła przygasły, zmatowiały. Misza wypuścił z płuc powietrze. Ten, kto postawił tarczę, zrobił to z wyczuciem. Siła rozpięchła się falą energii na boki, nie powodując wielkich zniszczeń.

– Wchodzimy! – ryknął Lima z grupy interwencyjnej.

Misza widział, jak Kiera wyrывa się do przodu, ale przytrzymał ją w miejscu. Dziewczyna uległa przemianie. Z trudem nad sobą panowała.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Chłopcy z grupy interwencyjnej wyważyli drzwi i weszli do środka. Asieniewicz wiedział, że musi działać szybko. Lada moment pojawią się tu służby z całego miasta.

– Poddajcie się! Nie macie szans. Za chwilę będziemy musieli was zabić!

To Iwan, który próbował zdekoncentrować przeciwników. Ochrona stawiała zacięty opór.

– Wal się, oszołomie.

Misza miał wrażenie, że znał ten głos.

Wstał i ruszył w stronę pomieszczenia. Proste zakłęcie wystarczyło do postawienia zasłony. Zrobił to w samą porę. Promienie, które podążyły w jego stronę, bez mocy przekazanej przez Peruna spaliłyby go na proch.

Misza czuł siłę, miał wrażenie, że może wszystko. Upajał się tym uczuciem.

– To nic nie da... Siłę dał nam najwyższy! – powiedział, wkraczając do pomieszczenia.

– Poddajcie się! – krzyknął Misza. Gdy zobaczył Alka, zrozumiał, że wywiad jednak się nie mylił. On i bliźniacy byli umoczeni w tej śmierdzącej sprawie po uszy. Poczul do nich obrzydzenie.

W tym momencie drzwi bocznego pokoju otworzyły się i Misza zamarł. Nie spodziewał się tego, kogo w nich zobaczył. Nie potrafił odwrócić od niej wzroku. Gdyby teraz Alkowi lub któremuś z bliźniaków przyszło do głowy uderzyć w niego najslabszym ze znaków, nawet nie stawałby oporu. Jednak i oni byli zaskoczeni.

– Ksenia? – wyszeptał. Próbował zrozumieć, ale nie potrafił. Co tutaj robiła? Nie widział jej tak długo. Nigdy nie wyobrażał sobie spotkania w takich okolicznościach.

– Zlikwiduj ich!

W jego uszach rozbrzmiał rozkaz Zemstowa. Misza zawahał się, uniósł dłonie, ale nie wiedział, co zrobić. Był w szoku.

Chłopcy z grupy uderzeniowej nie mieli takich dylematów. Przywalili z wszystkiego, co mieli. Misza widział, że Alek oberwał. Lel leżał nieprzytomny pod ścianą, a Polel dopiero teraz otrząsnął się i próbując postawić kolejną zasłonę, skoczył w stronę dziewczyny.

– Ona jest moja! – warknęła Kiera. Wskoczyła do pomieszczenia niczym czarny cień. Jednym susem dopadła Polela i odepchnęła go na ścianę. Kolejny sus i otwarta paszcza zwróciła się w stronę Kseni.

– Kiera! – ryknął Misza. – Nie!

Grupa interwencyjna znów poderwała się do akcji. Wcześniej odrzucona siłą obrońców, teraz odzyskała siły i wiarę. Asieniewicz stał jak wmurowany w ziemię. Widział Alka, który próbował ruszyć na ratunek Morozowej. A przecież to on, Misza, powinien ją bronić. Chronić za wszelką cenę

– Ratunku! – rozległ się rozpaczliwy krzyk Kseni. Kły Kiery szarpały jej ramię.

Morozowa nagle jakby urosła, w jej twarzy pojawiło się coś obcego, coś, co przeraziło samego Asieniewicza. Ksenia podniosła drugą rękę i Kiera nagle zwinęła się w kłęb, zadrzała, a jej ciemne futro zajęło się ogniem. Dopiero to obudziło Miszę z letargu. Ruszył w stronę dziewczyny, Alek był jednak szybszy. Coś błysnęło w powietrzu. Misza zobaczył twarz Polaka, jego determinację i nagle i on, i Ksenia rozplynęli się w powietrzu.



Wciąż czułem palący ból w boku. Przyciągnąłem dziewczynę do siebie, zarzucając na nas pelerynę. Zaskoczenie na twarzy Asieniewicza oznaczać mogło tylko jedno: podarunek pogodnika spełnił swoją rolę. Pchnąłem Ksenię w stronę korytarza. Ciągnąłem ją za sobą, byle daleko od pola walki. Skręciliśmy w jeden korytarz, potem w drugi. W końcu to ona się zatrzymała. Przez chwilę myślałem, że z trudem oddycha, ale potem zrozumiałem, że się śmiała. Nisko, gardłowo. Patrzyła na mnie i nawet nie próbowała tłumić śmiechu.

– Już nie musisz, Alku Bielski!

Jej głos uległ przemianie. Pchnęła mnie, peleryna zsunęła się, a ja straciłem równowagę i opadłem na kolana.

Ksenia przechyliła głowę, popatrzyła na mnie z kpiną i wtedy uległa przemianie. Jeden ruch dłonią, twarz straciła kobiece rysy, korpus wydłużył się, nabrał męskich cech. Nawet ubranie było inne.

– Perun... – wyszeptałem zaskoczony.

– Spostrzegawczość godna pracownika Departamentu Zachodniego, nie ma co.

– Po co ten cyrk? – zapytałem gniewnie. Wstałem. Perun nie był tym bogiem, przed którym zamierzałem padać na kolana.

– Aj, od razu cyrk – cmoknął i skrzywił się. Może był przyzwyczajony do bardziej czołobitnej postawy. Przerastałem go o głowę i musiał teraz patrzeć do góry, co najwyraźniej mu nie odpowiadało. – Musiałem mieć dowód.

– Dowód? Na co?

Zapomniałem niemal o wszystkim, o wydarzeniach sprzed kilku minut, o tym, że za chwilę mogą tu wpaść kolejni napastnicy. Próbowałem pojąć, dlaczego Perun doprowadził do tej konfrontacji, a co dziwniejsze, dlaczego sam wziął w niej udział.

– Złamałeś prawo. – Wykrzywił twarz w przedziwnym grymasie. – Przywłaszczyłeś sobie coś, co nie należy do ciebie.

– Zwariowałaś? – Teraz do mnie dotarło. Peleryna. Bliźniacy mieli rację. Perun chciał wejść w jej posiadanie wszelkimi sposobami.

– Oddaj mi ją z własnej woli!

Artefakt leżał pomiędzy nami i gdyby chciał, mógłby go sobie wziąć. Chyba że nie może go zobaczyć. – przemknęło mi przez myśl.

Kolejny ruch dłoni Peruna i poczułem, że moje usta się zacisnęły. Ręce powędrowały do tyłu, jakby ktoś mi je wykręcił. Znow opadłem na kolana. Miałem rację, posądzając Peruna o małostkowość.

Mężczyzna znow się zaśmiał. Wystawił palec wskazujący. Wypłynęła z niego strużka wąskiego dymu, który ruszył w moją stronę, oplatając mi szyję. Poczułem się tak, jakby Perun uwięził mnie na smyczy.

– Jeśli nie wykonasz polecenia, zostaniesz osądzony i... skazany! – zagrmiał.

– O tym zadecyduje sąd.

Głos dobiegający z boku był równie mocny. Nie mogłem się odwrócić, ale rozpoznałem Mentora.

– Puść go, Perunie, rękę za niego. Nie ucieknie i jeśli będzie taka potrzeba, stawi się na wezwanie sądu najwyższych.

Perun wyszczerzył zęby. Wyglądało na to, że szykuje się do riposty i to niekoniecznie słownej, ale szybko się opanował.

– Dowód jego zdrady ma być dostarczony jeszcze dziś! Swoim nieodpowiedzialnym czynem naraził nas na wojnę z Germanami!

Mentor zbliżył się do Peruna. Teraz mogłem unieść głowę i spojrzeć na swojego szefa.

– Powtarzam: uwolnij Alka Bielskiego – powiedział spokojnie.

Pomachał palcem, jakby strzepywał popiół z papierosa. Dopiero wtedy odzyskałem oddech i poczułem, że szczęka przestała się zaciskać. Oparłem się rękami o podłogę, bo miałem wrażenie, że się przewrócę.

– Powtarzam: dowód jego zdrady ma jeszcze dziś znaleźć się w moim posiadaniu! A teraz go zabierz!

– Departament Wschodni uzyskał pozwolenie na działania na terenie pozostającym pod naszą jurysdykcją. Informuję cię, Perunie, że to pozwolenie przed chwilą wygasło – oznajmił Mentor.

– Rychło w czas. – Tupet Peruna był imponujący.

– Wygrałeś starcie. Zginęło już wielu ludzi. Mam nadzieję, że było warto?

Usłyszałem śmiech Peruna. Na chwilę nasze spojrzenia skrzyżowały się, a potem

mężczyzna zniknął. Przyciągnąłem do siebie pelerynę. Mentor patrzył na mnie bez słowa.

Materiał mieścił się w zaciśniętych pięściach. Schowałem pelerynę do kieszeni i wstałem.

– Czy możesz mi powiedzieć, co tu się stało? – zapytałem ochryłym głosem. – To od początku była prowokacja? Prowokacja Peruna? Co on chciał osiągnąć?

Pytałem, chociaż przecież wiedziałem, czego chciał Perun.

Twarz Mentora pozostała niewzruszona.

– Chodźmy stąd – powiedział. – I proszę, oddaj mi to, co schowałeś do kieszeni. Muszę do czasu zakończenia rozprawy oddać to Rozjemcom.

– Rozprawy? O co jestem oskarżony? Przecież to szaleństwo!

Mentor tym razem się zaśmiał.

– Nieraz słyszałeś, że bogowie są szaleni. Więc czemu się dziwisz, Alku?

Nie podobał mi się jego ton. Popatrzyłem na wyciągniętą w moją stronę dłoń. Wahalem się jednak tylko chwilę. Wyjąłem zawiniątko i oddałem je szefowi, który spojrzał na nie i zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. Peleryna znikła w jego kieszeni. A po chwili znikł sam Mentor.



– Obudź się.

Skrzekliwy głos. Ksenia nie miała ochoty unosić powiek. Nie dzisiaj. Nie teraz, gdy jest tak ciepło, gdy słychać szum morza i czuć niesiony wiatrem jego zapach.

– Ta dzisiejsza młodzież... Nic tylko by spali, żarli, a pożytku z nich żadnego.

Ksenia złękła się i otworzyła oczy. Skuliła się w sobie. Zapach morza zmienił się w intensywną woń czosnku i przypraw. A błękit wody, który spodziewała się ujrzyć, zastąpił widok sufitu z odłóżką farbą i ciemnej, tłustej pajęczyny w rogu nad łóżkiem.

– Matko – wyszeptała.

– A i matko... Dobrze mówisz, dziewczyno!

Skrzekliwy głos należał do przygarbionej staruszki, która stała przy piecu, wsparta na stylisku miotły. Pomarszczona pożółkła skóra, czerwony nos. Zupełnie jak czarownica z bajek dla niegrzecznych dzieci.

– Co ja tu robię? – Ksenia usiadła i podkurczyła nogi. Owinięta była w gruby pled, który drażnił skórę. Zdała sobie sprawę, że jest w samej bieliźnie, poczuła się przez to bezbronna.

– To ja mogłabym cię o to zapytać!

Staruszka pokręciła głową. Zaciśnięte usta ułożyły się w równą, cienką kreskę.

– Po kiego grzyba znów cię tu przyniosło?

– Znów? – Ksenia poczuła suchość w gardle. Zadrżała.

Ogarnęła wzrokiem izbę: drewniana podłoga, bielone ściany, piec. Po drugiej stronie stół, na którym piętrzyły się książki, kilka brudnych garnków nieświadczących pochlebnie o gospodyni. I jeszcze więcej książek. Na półkach, od podłogi po sufit. To wszystko wydało jej się rzeczywiście znajome. Była tu? A może to tylko autosugestia, wrażenie pod wpływem słów kobiety.

– Znów – potwierdziła starucha. – Choć wtedy byłaś mała. A kłopotów miałam z tobą tyle, że ho-ho! Teraz też będziesz sprawiać kłopoty?

Ksenia zaprzeczyła niezdecydowanie. Ona żadnych kłopotów nie chciała. Strasznie

kręciło jej się w głowie. Może przez ten ostry zapach czosnku.

– Ubierz się! Przecież nie będziesz leżeć cały dzień. Twoja sukienka wisi na krześle.

Kobieta odwróciła się, by kontynuować przerwana czynność. Operowała miotłą równie zgrabnie jak Ksenia młotem pneumatycznym. Nie wydawało się, żeby często robiła porządek w chałupie.

Dziewczyna odrzuciła pled. Stała bosymi stopami na solidnej podłodze, choć w takim miejscu można byłoby spodziewać się raczej klepiska. Zrzuciła na siebie sukienkę, która może była na nią trochę zbyt obszerna, ale czysta i pachnąca lawendą.

– Może pomóc? – zapytała, gdy już uporała się z ubraniem.

– A pewnie – zgodziła się ochoczo gospodyni, podrzucając Kseni miotłą. Widać było, że zrobiła to z ulgą. Sama usiadła na krześle. Popatrywała na dziewczynę, która zaczęła zamiatać podłogę.

– Mówicie, matko... że już tu byłam. Jesteście pewna?

– Kseniuszko, pewnym to można być śmierci, która jak trzeba wejdzie i oknem, i kominem. Może to byłaś ty. A może nie byłaś.

– Ale znacie moje imię? – Ksenia zamarła z miotłą, powróciła jednak do zamiatania, gdy starszka ponagliła ją niecierpliwym ruchem ręki.

– No znam. Stara jestem, ale pamięć mnie nie zawodzi.

Dziewczyna skinęła głową. Trudno było polemizować ze sposobem myślenia kobieciny.

– A czy...

– Młoda, a zrędliva. – Starszka westchnęła. Niecierpliwie zabębniła palcami po blacie stołu, potem wstała i ruszyła do drzwi wyjściowych. – Sprzątaj. Zaraz przyjdę.

Ksenia była zbyt zaskoczona, by coś powiedzieć. Kobięcina opuściła izbę, a ona została sama.

Dziewczyna chwilę stała, jakby wmurowało ją w podłogę, a potem parsknęła śmiechem. Sytuacja zupełnie surrealistyczna. W końcu wzruszyła ramionami i wróciła do zamiatania podłogi.

Kilka pajaków wydawało się zupełnie zde gustowanych jej poczynaniami. Nie miały zamiaru się ruszyć, nawet gdy Ksenia próbowała je zgarnąć miotłą do kąta. W końcu dała za wygraną. Wojen z pajęczakami nie miała zamiaru uskutecznić. Podłogę uznała za zamiecioną.

Odłożyła miotłą i usiadła na krześle. Tykający zegar, bulgocząca zupa w garnku. Ogień trzaskający w kominku. Ksenia rozejrzała się ponownie, uważniej. Czy rzeczywiście była tu już wcześniej?

Wstała z krzesła i podeszła do półki z książkami. Książki wiele mówią o ludziach. Czasem warto spojrzeć na biblioteczkę właściciela, żeby dowiedzieć się o nim więcej. W tym przypadku sprawdziło się to znakomicie.

Zioła we współczesnej medycynie, Wywary lekarstwem duszy i ciała, Miłość z twojego ogródka.

– Coś cię szczególnie zainteresowało?

Ksenia odsunęła się od półki. Jej policzki zaczerwieniły się mimowolnie, jakby została przyłapana na czymś wstydlwym.

– Tak tylko... patrzyłam.

– Patrzyłaś. – Starucha położyła na blacie torbę z zakupami. – A wiesz, kiedyś myślałam, że będziesz wiedźmą.

– Ja?

Przewróciła oczami.

– No, jakbym z jaką przyglupią gadała. Weź się w garść, dziewczyno. A zacznij może od

kanapek.

Ksenia popatrzyła na torbę z zakupami i posłusznie skinęła głową. Wyjęła produkty. Wszystko wprost z popularnego dyskontu. Chleb, masło, wędlina.

– To ja je zrobię. – Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

– Świetnie. Resztę potrzebnych rzeczy znajdziesz na kredensie.

Rzeczywiście odnalazła tam nóż i deseczkę, na której pokroiła chleb. Potem kromki posmarowała masłem i ułożyła na nich plasterki wędliny. Wszystko przyniosła na stół.

– Herbatę ja zaparzę – powiedziała staruszka.

Klasnęła w dłonie. Samowar zabulgotał, szklanki wyskoczyły z szafki i przesunęły się po blacie. W powietrzu zapachniało mocnym wywarem. Naczynia wypełniły się płynem, a potem usłużnie ustawiły przed gospodynią i Ksenią. Jakby tego było mało, na stole pojawiły się też spodeczki z konfiturami.

– Przypomniałaś sobie? – zapytała staruszka, zanosząc się śmiechem. Musiała widzieć głupią minę Kseni.

– Ja...

I wtedy Ksenia rzeczywiście przypomniała sobie małą dziewczynkę, klaszczącą w dłonie i wołającą: Babciu, jeszcze, jeszcze! I przypomniała sobie Eleonorę. Tę samą staruszkę, która nie zmieniała się nawet na jotę. Uśmiechniętą, choć udającą, że sztuczki z samowarem i wędrującymi szklankami strasznie ją nudzą.

– Ty też to lubiłaś, Eleonoro, babciu...

Staruszka odsłoniła zęby w uśmiechu. Białe, równe, zupełnie niepasujące do pomarszczonej twarzy.

– A lubiłam, co miałam nie lubić. Kiedy taki brzdąc jak ty się śmiał, to rwetes był, jakby stado wróbli wpadło do spichlerza.

Ksenia sięgnęła w stronę pomarszczonej dłoni, uniosła ją do policzka, a potem pocałowała.

– Zajął się wtedy mną.

– A zajął. – Staruszka wysunęła dłoń z uścisku i pogłaskała Ksenię po głowie. – Co miałam się nie zająć. A teraz wszystko się powtórzyło. Tylko dlaczego pojawiłaś się u mnie tym razem, Kseniu, co?

– Nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami, zapatrzyła się w parującą szklankę. – Naprawdę nie wiem.



Jeśli śnię, to śnię o wojnie. Jaka by nie była. Czasem wystarczy impuls: palące słońce, drapanie w gardle od spiekoty dnia i wszędobylskiego piachu. Czasem drobny refleks światła na horyzoncie. Skąły, góry, zdradliwe wąwozy, a także pokryte kurzem i piaskiem wioski. W tych snach często rozmawiam z tubylcami. W ich języku, bez wahania. Rozumiem wszystko, choć samych ludzi zrozumieć nigdy nie będę mógł. Ta świadomość mnie smuci.

Tym razem sen okazuje się inny. Jest w nim Mentor; siedzę, on stoi. W moim pokoju. Ja w fotelu z pilotem od telewizora w dłoniach. Szef coś do mnie mówi, nic jednak nie rozumiem. Albo jest to inny język, albo zagłusza go nieokreślony szum, który rozstraja mnie i dekoncentruje. Unoszę pilota, próbując wycelować go w odbiornik, na drodze sygnału stoi

jednak on. Już mam nacisnąć przycisk, gdy orientuję się, że to nie pilota trzymam w dłoni, a kolbę pistoletu.

Mentor uśmiecha się, widząc moje zaskoczenie. Poświata telewizora sprawia wrażenie, że szef tkwi w jakiejś świetlistej aureoli. Otacza go światło, które drga w niespokojnym rytmie programu telewizyjnego.

– Obudź się, Alek. Za chwilę przyjdą po ciebie.

– Przecież nie śpię – mówię.

– Śpisz. Zapamiętaj, co ci teraz powiem. Wypełnij ich polecenia i nie zrób niczego głupiego. Poradzimy sobie z tym. Musisz mi zaufać.

– Przecież ufam. – Wzruszam ramionami. – Ufam... Chociaż może nie powinienem.

Mentor patrzy z wyrzutem i rozplywa się w powietrzu, a wraz z nim poświata. I wtedy we śnie słyszę dzwonek do drzwi.

– Alek Bielski?

– Chyba wiecie, gdzie dzwonicie? – zapytałem, nie okazując zdziwienia na widok dwóch typów w ciemnych płaszczach.

Szybko otrząsnąłem się ze snu. Odczuwałem teraz tylko silny niepokój. W głowie wciąż kołatały mi słowa Mentora: Wypełnij polecenia. Musisz mi zaufać.

– Proszę się ubrać. Pojedzie pan z nami.

Scena jak z filmu. Gdyby nie spotkanie we śnie z szefem, nie wiem, jak bym zareagował.

– Moment – odpowiedziałem.

Obróciłem się w stronę wieszaka, założyłem kurtkę i buty. Dwaj przysadziści kolesie nie spuszczali mnie z oczu. Wyobraziłem sobie, że gdyby przyszła mi do głowy ucieczka do jednego z pokoi, te trzydziżwiowe szafy, rzucając się w pogoń za zbiegiem, zaklinałyby się we framudze.

Nie zrobiłem tego, powiedzmy, z litości.

– Gdzie jedziemy? – zapytałem, zamykając za sobą drzwi. Przekręciłem klucz w zamku i odwróciłem się do nich z nieszczerym uśmiechem na twarzy.

– Do sądu. Rozprawa za trzydzieści minut. Proszę z nami do samochodu.

– Tak bez wezwania? – Skierowałem się w stronę schodów.

– A po co wezwanie? Przecież po pana przyjechaliśmy. – Ten, który do tej pory milczał, mówił z wyraźnym wschodnim akcentem.

Na jego argumentację nie miałem odpowiedzi.

– A co, jestem oskarżony? – Nie dawałem jednak za wygraną.

– Te sprawy zostaną wyjaśnione na miejscu.

Skłoniłem głowę. Przynajmniej byli uprzejmi. Zastanawiałem się tylko, o jakim sędzie mówią. Coś mi mówiło, że raczej nie mogę się spodziewać sędziego w todze i ławy przysięgłych.



Misza siedział na krześle w poczekalni, wpatrzony w żółte linoleum. Kilka razy zdusił nerwowo tik. Jego stopa wybijała niespokojny rytm na podłodze. Poglós rozchodził się echem wśród pustych ścian.

Kiera umarła, została z niej tylko kupka popiołu. Widział wcześniej śmierć wiele razy.

Ale ta dotknęła go szczególnie. Tym razem to on dowodził akcją. Był odpowiedzialny za ludzi. Chociaż skąd mógł wiedzieć, że pakują się w pułapkę? Pułapkę zastawioną przez własnego szefa?

Asieniewicz ścisnął głowę rękami. Pulsujący tępy ból nie dawał mu spokoju. W skroniach huczała krew. Był bliski wyrzucenia z siebie całej treści żołądka.

Nigdy nie zapomni tego widoku. W pierwszej chwili myślał, że to Ksenia zabiła Kierę. Nie mógł w to uwierzyć. Ale potem... Zemstow oznajmił to z tryumfem. Opowiadał o wspaniałym fortelu Peruna. O tym, jak ten ośmieszył cały Departament Zachodni. Jak to ci głupcy, Polacy, chronili przed nimi samego Peruna, ich szefa. Mówił to z takim zapalem i wiarą, że Miszy zrobiło się niedobrze. Najchętniej strzeliłby przełożonego w twarz, gdyby nie powstrzymała go głupota malująca się na tym tępym obliczu. Asieniewicz miał wrażenie, że sam Zemstow do końca nie pojął, jaki był cel całej akcji.

Teraz mógł myśleć tylko o Kierce i tych, którzy zginęli. O śmierci i poświęceniu ludzi, na których Perunowi nawet nie zależało.

– Misza?

Buty Wikarego uderzały o podłogę niczym młoty kowalskie. Pulsujący ból w czaszce stawał się przez to jeszcze bardziej nie do zniesienia.

– Misza!

– Czego chcesz? – wychrypiął Asieniewicz.

– Porozmawiać.

– Rozmawiajmy więc. – Misza nie zmienił pozycji. Piekły go oczy. Już zrozumiał, czym jest uczucie, które rozpalało go od wewnątrz. Złość, zapalnik, który w każdej chwili mógł doprowadzić do potężnego wybuchu. Sam Asieniewicz był w tej chwili jak tykająca bomba zegarowa.

– Nie zmienisz tego, Misza.

Asieniewicz uniósł głowę i spojrzał w szeroką twarz Wikarego. W przygasłe oczy, w których było widać upływający czas. Duszę starą jak świat.

– Czego nie zmienię?

– Tego wszystkiego. Tak zawsze się działo i dziać będzie. Jesteśmy niczym pyłek na wietrze, który los rzuca tam, gdzie popadnie.

– Nie wiedziałem, że jesteś poetą, Wikary. Wyglądasz raczej na...

– Na durnego osiłka?

– Nie to chciałem powiedzieć – zmieszał się Asieniewicz.

– Właśnie to chciałem powiedzieć, ale się nie obrażam. – Wikary uśmiechnął się smutno, melancholijnie. – Chcę ci tylko powiedzieć, że to jeszcze nie koniec, Misza. Jeśli myślisz, że ta intryga się już rozegrała, to jesteś w błędzie.

– O czym mówisz?

– Cóż... – Wikary usiadł obok na krześle i ściszył głos. – Nieśmiertelni mają dużo czasu. To, co człowiek musi rozegrać w ciągu godzin, dni czy tygodni, oni potrafią trawić latami, setkami lat albo i tysiącami. Mają swój cel, wiedzą, co chcą osiągnąć, i nigdy nie cofną się przed tym, by doprowadzić sprawę do końca, po swojej myśli. Bez względu na cenę, bez względu na życie tych, którzy im służą. Wszak niektórzy z nas żyją najwyżej kilkaset lat, inni kilka lub kilkadziesiąt. Tak czy owak jesteśmy dla nich niczym jętki, muszki owocówki, które przychodzą na świat tylko po to, by zaraz umrzeć.

– Co chce osiągnąć Perun?

– Tego nie wiem, wybacz, jestem tylko durnym osiłkiem. – Wiktor zaśmiał się. – Ale to, co dziś zrobił, to zaledwie drobny fragment mozaiki, której nie poznamy w całości. Co chce

osiągnąć? Nie wiem. Nigdy nie zrozumiemy zamiarów bogów. Może oni sami do końca nie rozumieją samych siebie?

– Po co mi to mówisz?

– Bo cię polubiłem, Misza. I myślę, że ty akurat nie jesteś zwykłym pyłkiem, rzucanym przez los, gdzie popadnie. Myślę, że w tej mozaice odgrywasz bardzo ważną rolę. A to prowadzi do kolejnego wniosku.

– Jakiego?

– Być może ten nieskończony czas bogom już się kończy. Być może na intrygę nie pozostało im już tysiąc a nawet nie sto lat. Misza, myślę, że to wszystko rozstrzygnie się szybko. Nawet bardzo szybko.

Asieniewicz długo patrzył w oczy Wikarego, ten jednak już nic nie powiedział. Wstał i poklepał Miszę po plecach. Potem odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę wyjścia z budynku.

– Wikary? – zawołał za nim Misza. – Ile masz lat? Jak długo?

– Wystarczająco długo... – Wikary nawet się nie odwrócił. Jego śmiech odbił się od ścian. – Wystarczająco długo, by wiedzieć, że mam rację.



– Wiele bym cię nauczyła... Nawet teraz, gdy jesteś taka stara.

Ksenia zaśmiała się. Gadanie staruszki przypadło jej do gustu. Nie obrażała się za docinki. To był taki dobrotliwy sarkazm. Nawet w uszczypliwych słowach mogła doszukać się ciepła i troski.

– Na naukę nigdy nie jest za późno.

– Dobrze mówisz, dziecko. Jednak ty nie po naukę tutaj przyszłaś.

– Nie? – Ksenia popatrzyła z zaskoczeniem na starowinkę. – Mówiłaś, że wszystko się powtórzyło. Czy ty wiesz, dlaczego znalazłam się u ciebie, teraz i wtedy?

– Wtedy nie wiedziałam. Dzieckiem byłaś, a i ja zlekceważyłam ten znak. – Babcia pociągnęła długi łyk herbaty. Nie zważała na wrzątek. – Teraz widzę to wyraźnie, ja głupia... Dlaczego nie dostrzegłam wcześniej? Bogowie potrafią zamącić wzrok.

– Czego nie dostrzegłaś? – Ksenia poczuła mocniej bijące serce.

– Może lepiej, żebyś sama nie wiedziała. Czasem tak łatwiej żyć, iść z prądem i czekać, co los przyniesie, bo jego łatwo odmienić nie można.

– Bawisz się ze mną, babciu? Dręczysz mnie?

– Skądże, dziecko. Dalekam od tego. Uważam jednak, że jesteś jeszcze młodą kózką, której nie należy ostrzegać przed skutkami zbyt częstego skakania, bo i radość życia się w niej zabije, i spokój ducha.

– Nie jestem już młodą kózką, babciu. Nie zauważyłaś, że wyrosłam. A i w życiu niejedno już przeszłam i widziałam.

– Może to i prawda? – Starowinka spojrzała na Ksenię. Wesołe ogniki zaiskrzyły w jej oczach. Przez chwilę milczała. Dopiła herbatę, a potem przechyliła szklanekę i zapatrzyła się w dno, jakby coś chciała wyczytać z fusów.

– Powiesz mi?

– Już wiesz, kim jest twój ojciec? Wiesz, że to Perun?

Ksenia z wahaniem skinęła głową. Starowinka sprawiła, że przeszły ją zimne dreszcze.

Tak, wiedziała, że jest córką Peruna, ale dopiero te słowa jakby uświadomiły jej to w pełni. Jakby wcześniej tę informację wyparła, schowała gdzieś w zakamarkach duszy, bojąc się jej i jej skutków.

– Ty jesteś ostatnią nadzieją bogów, dziecko. Tylko ty możesz pozwolić im przetrwać. Po to zostałaś stworzona.

– Nie rozumiem... – Ksenia zbladła i pokręciła głową. Oczy jej się zaszkliły.

– W zapomnienie idą bogowie, jeden za drugim. Ich imiona rozplywają się w niebycie, a oni tracą moc i spadają w otchłań Nawi. Nawet Perun nie jest tym samym bogiem co kiedyś. On także stracił moc, choć wciąż w wielu domach znajdziesz obrazek z jego podobizną. Ludzie jednak zapominają, kim jest. Nazywają go inaczej, pamiętają inaczej.

– Chcesz powiedzieć, że Perun i inni bogowie istnieją tylko dlatego, że jeszcze ktoś w nich wierzy?

– A czym jesteśmy bez wiary my, ludzie... i czym bez wiary są bogowie? Ilu bezimiennych bohaterów znikło w otchłani dziejów, nie pozostało po nich nic, nawet garstka popiołu. Czym więc mają się różnić od nas ci ponoć nieśmiertelni? Jeśli ich nie pamiętamy? Jeśli nie pozostał po nich nawet ślad? Taka jest kolej rzeczy i kto wie, może już czas, by odeszli? A może czas na to, by powrócili?

– Dlaczego nazwałaś mnie ostatnią nadzieją bogów?

– Bo nią jesteś. Ty jesteś córką Doli, bogini losu ludzkiego. Ale masz w sobie coś więcej niż matka i twój ojciec o tym wie. W twoich rękach nie tylko los ludzki, w twoich rękach też, a może przede wszystkim, los bogów.

Ksenia ukryła twarz w dłoniach. Poczowała słabość, która ogarnęła wszystkie jej członki. Wyczuła, że staruszka wstała od stołu. Uścisk kościstych palców na ramieniu miał jej dodać otuchy.

– Weź to i odpocznij chwilę, a potem idź, będą cię tu szukać. Tylko wśród przyjaciół znajdziesz właściwą drogę.

Ksenia dotknęła czołem drewnianego blatu. Wydało jej się, że trawi ją gorączka. Miała stąd iść? Do przyjaciół? Jakich przyjaciół? Nie знаła tu nikogo. Nie wiedziała, gdzie jest. Poza tym kogo mogłaby nazwać przyjacielem?

Uniosła głowę i wyprostowała się. Spojrzała na stół. Nie było już przed nią szklanki z herbatą i spodeczka z konfiturami. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywało jej czoło, leżała bransoleta. Wyglądała na starą, wykonaną z brązu. Przedstawiała ułożonego w spirale węża, którego głowa próbowała dosięgnąć ogona.

Ksenia rozejrzała się dookoła. Staruszki nie było, w izbie została sama. Przez chwilę się wahała, a potem założyła bransoletę. Wydała odgłos zaskoczenia, gdy wąż poruszył się i zacisnął na jej nadgarstku. Wyglądało to tak, jakby bransoletka dopasowała się do nowego właściciela.

Dziewczyna drżącymi palcami dotknęła ozdoby. Metal był ciepły i wydawał się miękki. Teraz wcześniejsze poruszenie węża wydało jej się tylko złudzeniem. Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w bransoletkę, a potem nasunęła na nią rękaw sukienki.

Chciała wstać od stołu, zrobić coś, choćby umyć szklanki po herbacie. Nigdy nie znosiła bezczynności, ale poczuła słabość. Tak nagle, bez ostrzeżenia. Zakręciło jej się w głowie. Ogarnęły ją mdłości, gorzki smak w ustach. Serce zadrżało i uderzyło mocniej, nierówno, jakby niezdecydowane, czy bić dalej, czy nagle stanąć, przerywając młode życie. Osunęła się na podłogę. Na skrzypiące drewniane deski, których linie wydłużyły się, po czym rozmyły, gdy dziewczyna straciła przytomność.



Anna zadzwoniła do mnie chwilę przed rozprawą.

- Trzymaj się, Alek, wyciągnę cię stamtąd.
- Masz takie kontakty? – zażartowałem, ale nie było mi do śmiechu. Byłem wkurzony i zmęczony. – To może przy okazji załatw mi wylot do jakichś ciepłych krajów.
- Coś ty, ciepłe kraje są przereklamowane, a z twoją tendencją do pchania się w kabałę, w Egipcie możesz wkurzyć jakąś mumię, a w Meksyku nieznanne bóstwo... I po co?
- Jesteś przewidująca – zauważyłem.
- W końcu jestem twoją asystentką, nie?
- No jesteś – przyznałem.
- Chyba że wyobrażałeś sobie, że będę ci tylko parzyła kawę i odkurzała dokumenty w gustownej krótkiej spódniczce.
- Cóż, to by nie było takie złe. – Nawet to sobie wyobraziłem.
- Spadaj – zaśmiała się. – Jestem ambitniejsza. Możesz mnie traktować jak swojego...

Anioła Stróża.

- A, to akurat nie budzi wątpliwości – zgodziłem się. – Co z bliźniakami?
- Wyjdą z tego, oberwali trochę, ale wiesz, że w szpitalu długo nie usiedzą. Martwią się o ciebie.
- Powiedz, żeby się nie martwili.
- No pewnie – zaśmiała się w słuchawce. – Nie dam ci zgnić w pierdłu z wrózkami i niewyżytymi seksualnie krasnoludami.
- Jestem ci za to ogromnie wdzięczny – zakpiłem.
- Odwdzięczysz się, jak już wszystko załatwię. Teraz trzymaj się, będzie dobrze.
- OK – nie oponowałem. – Ty też się trzymaj.

Przerwałem połączenie.

Poszukałem wzrokiem Mentora. Nie było go.

Jeśli to był gmach sądu, to nie słyszałem o nim wcześniej. Bardziej przypominał mi starą szkołę, opuszczoną, choć z wciąż żywym zapachem linoleum i spalonego kotleta ze stołówki.

Poprowadzono mnie do auli i posadzono na krzesła. Czułem się, jakbym stawał przed komisją maturalną. Naprzeciwko, na podwyższeniu, za podłużnym stołem czterech poważni kolesie. Na prawo i na lewo ode mnie ustawiono kolejne stoły, a za nimi podłużne ławy. W tej chwili tylko te na prawo były zajęte.

Słyszałem szmery rozmów, ale pytanie zadano mi po jakimś kwadransie:

- Alek Bielski?
- Tak – odpowiedziałem krótko, patrząc na niskiego mężczyznę, który obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem z nad cienkich drucianych oprawek okularów.
- Wie pan, dlaczego został pan wezwany na tę rozprawę?

Facet nie wyglądał i nie wypowiadał się jak sędzia. Zastanawiałem się, kogo mi przypomina. Nauczyciel. Tak, jeden z tych belfrów, którzy wciąż pielęgnują starą dobrą metodę wychowawczą: linijką po łapach.

- Pytałem, czy...
- Wiem, o co pan pytał – przerwałem mu. – Zastanawiam się właśnie dlaczego.

Wzruszył ramionami. Wyglądał na znudzonego i nie bawił się w konwenanse. Za to ci kolesie po prawej wyglądali na naprawdę zniecierpliwionych. Czułem na sobie ich wzrok, jakby

chcieli siłą zwrócić na siebie moją uwagę. Nie dałem im tej satysfakcji. Byłem pewny, że są z Departamentu Wschodniego. Sędzia szybko potwierdził moje domysły.

– Został pan oskarżony o przywłaszczenie sobie rzeczy, która należy do Departamentu Wschodniego. Przyznaje się pan do zarzucanego czynu?

– O jakiej rzeczy pan mówi? – zapytałem.

– O pelerynie niewidce.

Parsknąłem śmiechem.

– Skoro to peleryna niewidka, to skąd przypuszczenie, że ją widziałem? Mam za to zaczarowany stoliczek w domu...

Facet wlepił we mnie wzrok. Być może mi się wydawało, ale jakby się uśmiechnął.

– Pan nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji, w jakiej się pan znajduje.

– Nie, nie zdaję sobie. – Spojrzałem znacząco na szereg milczących blond olbrzymów.

– Dość! – Jeden z nich uderzył w blat stołu. – Domagamy się wydania Alka Bielskiego Departamentowi Wschodniemu. Artefakt musi do nas wrócić, takie jest prawo.

– Wiem, jakie jest prawo. – Sędzia zmarszczył brwi. W jego szarych oczach pojawił się błysk świadczący o wewnętrznej charyzmie, o którą wcześniej bym go nie podejrzewał.

– Więc żądamy wydania Alka Bielskiego!

– Kto wystosowuje to żądanie? Czy pan, Iwanie Kuzniec, może mi to wyjaśnić?

– Departament Wschodni... – Mężczyzna wydawał się zbity z tropu.

– W którym imieniu?

Zawahał się.

– Pe... Peruna...

Sędzia skinął głową. Wsunął usta, jakby chciał cmoknąć. Nie wydał jednak żadnego dźwięku.

– Z tego, co wiem, artefakt nigdy nie należał do Peruna. Pan Alek Bielski też nie jest jego własnością. Dlaczego więc wobec obu Perun wysuwa roszczenia?

– Artefakt został przekazany Perunowi przez Sygurda Fafnesbane'a. Alek Bielski wszedł w jego posiadanie niezgodnie z prawem. Podejrzewamy, że go ukradł. Powinien być przesłuchany i osądzony przez Departament Wschodni.

– Znajdujemy się na terenie podlegającym jurysdykcji Departamentu Zachodniego. Pan Alek Bielski zostanie przesłuchany tutaj.

– Więc proszę to zrobić! – Iwan podniósł się z krzesła. Jego postura budziła respekt. Kalafiorowate uszy zdradzały, że był zapaśnikiem.

– Panie Bielski, czy jest pan w posiadaniu artefaktu?

Zawahałem się. Zastanowiło mnie to pytanie. Pelerynę oddałem Mentorowi, czyżby sędzia tego nie wiedział? Czy też prowadził tę grę, doskonale wiedząc, że artefakt znajduje się w posiadaniu mojego szefa? Jak miałem się teraz zachować? Co powiedzieć?

– Nie mam artefaktu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Słyszeliście, panowie? Oskarżony nie ma artefaktu.

– To jakaś farsa! – Iwan oparł się całym ciężarem ciała o stół, który zajęczał żałośnie. Wydawało się, że zapaśnik bliski jest chwycenia mebla i ciśnięcia nim w sędziego.

– Alek Bielski nie ma artefaktu – ciągnął sędzia. – Akurat mogę to potwierdzić. Został on zwrócony prawowitemu właścicielowi.

Konsternacja w szeregach pracowników Departamentu Wschodniego była wręcz uderzająca.

– Oddaliście go Perunowi? – zapytał Iwan.

– Nie. – Sędzia potrząsnął głową. – Powiedziałem: prawowitemu właścicielowi. Zresztą

nie traćmy czasu, zapraszam Sygurda Fafnesbane'a.

Popatrzyłem za siebie. Po powrocie z wojska, w domowym letargu, oglądałem Annę Marię Wesołowską. W tej chwili miałem wrażenie, że biorę udział w podobnym inscenizowanym przedstawieniu.

Drzwi, przez które przed kilkunastoma minutami przeszedłem, uchyliły się. Stał w nich niski, ale szeroki w barkach mężczyzna. Twarz miał okrągłą z wysokimi kośćmi policzkowymi, krótkie kręcone włosy okalały szczelnie czaszkę. Przypominał wojowników z popiersi, jakie można zobaczyć w książkach historycznych. Było coś magnetycznego w jego ruchach. Nawet Iwan opadł na krzesło, nie mogąc oderwać wzroku od wchodzącego.

Moje zdziwienie było jeszcze większe, gdy za szerokimi plecami Sygurda zobaczyłem Annę. W białym kostiumie z czerwoną torebką na ramieniu przyciągała wzrok równie mocno jak jej towarzysz. Odwzajemniła moje spojrzenie i beczelnie mrugnęła do mnie okiem. Wydawało się, że z trudem zachowuje powagę.

Fafnesbane nie rozglądał się na boki. Stał przed sędzią na szeroko rozstawionych nogach, jakby był przygotowany na uderzenie potężnej wichury. Anna tymczasem zajęła miejsce na ławie obok mnie. Nie miałem obrońcy, więc jej obecność dodawała mi otuchy.

– Proszę, wybacz, że cię wzywamy, drogi Sygurdzie.

Wyglądało na to, że Fafnesbane i sędzia dobrze się znają. Atmosfera na sali była daleka od formalnej.

– Przyjmuję stawiennictwo jako swój obowiązek. – Głos zadźwięczał niczym najszlachetniejsza stal. – Z chęcią zaświadczę w tej sprawie.

Sygurd mówił po polsku z twardym akcentem. Ale znał nasz język, czego się nie spodziewałem.

– Czy możesz powiedzieć tym panom, Sygurdzie... – Sędzia wskazał Iwana i jego towarzyszy, których ogarniała coraz większa irytacja. – Czy możesz powiedzieć tym panom, gdzie jest peleryna, do której roszczę... uzurpują sobie prawa?

– Cóż – Sygurd nawet nie spojrzał w kierunku ławy, na której siedzieli przedstawiciele Departamentu Wschodniego – mam ją w tej chwili ja, należała do mnie od wieków.

Sędzia skinął głową, ale nagle zamarł, jakby zainteresowały go ostatnie słowa Fafnesbane'a.

– Należała? – zapytał.

– Zmieniła właściciela. – Heros skinął głową. – Miałem użyczyć jej Perunowi, bo o to poprosił. Jednak artefakt trafił do kogoś innego.

– Został skradziony! – Iwan wstał i uderzył pięścią w stół. – Skradziony na zlecenie tego tu oto.

– Cisza! Milczeć, bo wyrzucę z sali! – W dłoni sędziego pojawił się młotek, którym uderzył w stół.

– Artefakty mają to do siebie – ciągnął Sygurd, zupełnie ignorując Iwana, jak i hałas, który wytwarzał – że przynależą do właściciela tak długo, jak same zechcą.

– Szanowny Sygurd mówi tak – jeden z towarzyszy Iwana poderwał się, niemal wyskakując zza stołu – jakby artefakty miały wolną wolę!

– Artefakty mają wolną wolę? – Sędzia spojrzał na Sygurda. – Ciekawa to teoria, kontynuuj, proszę.

– Rzeczone artefakty mogą zmienić właściciela, jeśli przyjdzie im na to ochota. – Fafnesbane zapatrzył się w sufit jakby recytował formułkę. – Otóż tylko właściciel artefaktu może go zobaczyć, a przede wszystkim skutecznie używać, wykorzystując jego moc i właściwości, nikt inny. Z jednym jednakże wyjątkiem. Jeśli wolą właściciela będzie użyczenie

go innej osobie w danym celu, wtedy artefakt będzie się słuchał tej osoby, ale tylko w granicach wyznaczonych specjalną umową.

– Tak zapewne miało być w przypadku użyczenia artefaktu Perunowi? – zagadnął szybko sędzia, niwecząc próbę zabrania głosu przez Iwana.

– Dokładnie, jednak artefakt trafił do kogoś innego. Na początku rzeczywiście został skradziony, ale potem zmienił właściciela z własnej woli. – Sygurd spojrział na mnie i chyba się uśmiechnął. – Wybrał pana Alka Bielskiego.

Zaschło mi w gardle. Wytrzymałem spojrzenie stalowych oczu herosa.

– Bzdura! Alek Bielski to złodziej!

Fafnesbane wolno obrócił się w stronę przedstawicieli Departamentu Wschodniego. Nawet z miejsca, w którym stałem, widziałem, jak Iwan i jego poplecznicy pobledli.

– Czy kwestionują panowie moje słowa? – zapytał Fafnesbane. Jego słowa były uprzejme, ale ton mroził krew w żyłach.

– Chcemy jedynie... – Iwan zająknął się, patrząc w papiery leżące przed nim na stole. – Chcemy jedynie zwrócić uwagę, że umowa wciąż obowiązuje i...

– Umowa automatycznie stała się nieważna w momencie, gdy artefakt zmienił właściciela – powiedział Sygurd. – Jeśli Perunowi zależy na jego użyczeniu, powinien zwrócić się z prośbą do pana Alka Bielskiego.

– Drogi Sygurdzie... – Sędzia odchrząknął. Uśmiech na jego twarzy wyrażał zadowolenie. – W ten oto sposób sprawa została wyjaśniona. Z pana Alka Bielskiego zdejmuję oskarżenie, a panów z Departamentu Wschodniego zapraszam do opuszczenia budynku.

Patrzyłem na wszystko z szeroko otwartymi oczami i opuszczoną szczęką. Zwróciłem w końcu uwagę na Annę, która trzymała uniesiony kciuk. Jej mina wyrażała jedno: „A nie mówiłam?”. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że wszystko odbyło się tak szybko.

– Odwołamy się do wyższej instancji! – wrzeszczał Iwan. Jego twarz stała się teraz buraczkowa. – Perun tego wam nie daruje! Będziemy żądać zwołania trybunału międzynarodowego!

– Dobrze, dobrze. – Sędzia machnął dłonią, jakby odpędzał muchę. – Ale powołujcie sobie go gdzie indziej. A teraz proszę opuścić salę albo zostanieie panowie wyprowadzeni! – Wydaje się, że stracił cierpliwość, a sekundę później zainteresowanie oskarżycielami. Wyszedł zza stołu i przywitał się wylewnie z Sygurdem.

Przyznam, że stałem chwilę oniemiały, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Na szczęście z kłopotu wybawiła mnie Anna, która podeszła i pociągnęła za mój rękaw.

– Mówiłam! Taka asystentka to skarb, przyznaj! – Równe białe zęby zaśmiały się w szerokim uśmiechu.

– Nieźle – przyznałem, zerkając na Sygurda.

Fafnesbane właśnie uwolnił się z uścisku sędziego. Chyba nie był równie wylewny jak jego stary znajomy. Przeprosił mężczyznę i ruszył w moją stronę. Był niższy ode mnie przynajmniej o dwie głowy, jednak nawet gdyby moje barki nagle zwiększyły pięciokrotnie objętość, nie byłbym w stanie dorównać mu muskulaturą.

– Witaj!

Uścisk jego dłoni na szczęście nie był z tych ciężkiego kalibru. Sygurd musiał wiedzieć o swojej sile i nie pastwił się nad słabszymi.

– Dzień dobry – odpowiedziałem, lekko się pocąc. – Dziękuję za pomoc.

– Cieszę się, że twoja asystentka powiedziała mi o wszystkim. – Sygurd skłonił się Annie, która odpowiedziała także ukłonem i jeszcze szerszym uśmiechem. – Poza tym chciałem poznać tego, kto pozbawił mnie artefaktu.

– Ja nic nie zrobiłem. – Poczulem mrowienie w szczęce, jakby zaraz miała umówione spotkanie z pięścią germańskiego herosa. Zastanawiałem się, czego mam się teraz spodziewać.

– Przecież powiedziałem, że artefakt sam wybiera nowego właściciela. – Fafnesbane poklepał mnie uspokajająco po ramieniu. – Wiem o pogodniku. Dał ci pelerynę, ale gdyby ona tego nie chciała, nie zobaczyłbyś jej i nie mógłbyś użyć. Stało się jednak inaczej. W tej chwili mam artefakt przy sobie. Jeśli chcesz, przekażę ci go teraz. Z doświadczenia jednak wiem, że lepiej poczekać, aż ci z Departamentu Wschodniego ochłoną. Są zdolni do różnych głupot.

– Ja nie... W tej chwili chyba nie wiedziałbym, co z nim zrobić – odpowiedziałem szczerze.

Heros skłonił głowę z uprzejmym uśmiechem.

– Jeśli będziesz go potrzebował, wystarczy, że przywołasz moje imię. W każdym miejscu, w każdym czasie, ktoś ci go przyniesie.

– Aha – mruknąłem niepewnie.

– Muszę się pożegnać. – Sygurd znów wyciągnął w moją stronę dłoń, którą z szacunkiem uścisnąłem. – Artefakty wybierają tylko osoby wyjątkowe. Ja też nie myślę się co do ludzi. Jestem pewny, że trafił w dobre ręce.

Fafnesbane uklonił się. Niezdarnie odpowiedziałem podobnym ukłonem, a potem heros wrócił do sędziego i razem opuścili salę rozpraw.

Popatrzyłem na Annę. To chyba było niemożliwe, ale uśmiechała się jeszcze szerzej.

– Ale jazda, nie? Może będziesz nowym herosem, wiesz?

– Przestań gadać głupoty. – Zmarszczyłem brwi. – To musiała być jakaś pomyłka.

– Sygurd się nie myli. – Anna nic sobie nie robiła z mojego strofowania. – Jestem ciekawa miny Mentora, jak się dowie.

– Ja nie za bardzo. Tutaj jakoś nie widziałem jego zainteresowania moją osobą.

– No co ty? – Pokręciła głową. – Miał się pakować na salę rozpraw? Sprzeczać z tymi idiotami ze Wschodniego? Przecież wszystko się dobrze skończyło.

– Ale nie dzięki niemu, tylko dzięki tobie – uciałem krótko. – I... dziękuję.

– Nie ma za co – westchnęła. – Jesteś mi winny kawę. Ale z tym poczekamy. Przykro mi słyszeć, że jesteś cięty na Mentora.

– Dlaczego?

– Bo w takim razie nie mam dobrych wiadomości. – Przeszyła mnie wzrokiem, jakby chciała czytać w moich myślach. – On jest w tym budynku i czeka na ciebie.

– Kto?

Skrzywiłem się. Bezsensowne pytanie, na które Anka nie musiała udzielać odpowiedzi.

– Jak się czujesz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Tak naprawdę przestało mi zależeć na czymkolwiek.

– Chciałem, żebyś wiedział, że miałeś nasze wsparcie, całego Departamentu. Cieszę się, że to się tak skończyło.

– Zważywszy na to, jak bardzo bogowie są szaleni? – zakpiłem.

– Nie rozumiem? – Mentor wyglądał na zdziwionego.

– Nic takiego – powiedziałem, siląc się na uśmiech.

– Wejście w posiadanie artefaktu to wielka nobilitacja. Gratuluję, to dla nas świetna wiadomość.

– Tak? – Teraz ja okazałem zdziwienie.

– Właśnie. – Mentor chyba nie wyczuł mojego nastawienia albo je zignorował. – To nobilitacja, ale także zobowiązanie.

– To znaczy, że teraz wam się przydam bardziej niż wcześniej? – Uniosłem brwi, jakby nagle spłynęło na mnie oświecenie. – Moje akcje wzrosły? Jakby co będziecie mnie bronić rękami i nogami na kolejnej rozprawie?

– Alek, nie rozumiesz...

– Pewnie, że nie rozumiem! – Podniosłem głos, ale miałem to w nosie. Ściany zahuczały, jakby przetoczył się przez nie odległy grzmot. – A może rozumiem aż za dobrze!

– Za dużo wydarzyło się ostatnio. – Mentor spojrzał na mnie chłodno. – Odpocznij, Alku, przemyśl sprawę. Nabierzesz dystansu i wrócisz.

– Nie wiem, czy wrócę – odpowiedziałem z zaciśniętym gardłem.

– Nie zrozum mnie źle. – Wydawało się, że Mentor zaczął starannie dobierać słowa. – Nie w tym rzecz, czy ty czegoś chcesz, czy nie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie mam wyboru? Nie mogę się... wycofać?

Przez chwilę milczał, patrząc mi prosto w oczy.

– Wszedłeś na inną ścieżkę. – W jego głosie pojawiło się znużenie. – To ty się zmieniłeś. Nie będziesz już taki, jak kiedyś, nigdy. Stałeś się częścią zupełnie innego świata. Nie jesteś w stanie ani go zanegować, ani o nim zapomnieć. On po prostu istnieje. Czy tego chcesz, czy nie.

– I ten świat to Departamenty Zachodni i Wschodni, Perun, Weles i ciągłe intrygi?

– Nie. – Mentor nie wydawał się zbity z tropu, zaczął za to przemawiać z pasją. – Może być coś więcej, jeśli to odkryjesz... ale mniej już nigdy. Tak jakbyś wchodził po drabinie ze świadomością, że ceną za wspięcie się wyżej jest pewność, że opuszczony szczebel dla ciebie przestaje istnieć.

– Pouczające. – Nie starałem się pozbyć sarkazmu.

– Ale prawdziwe! – odpowiedział.

Zastanawiałem się, ile razy wcześniej wypowiadał tę kwestię: do siebie, do swoich ludzi, do takich jak ja na przestrzeni lat, dziesięcioleci, stuleci?

Mentor wydał mi się stary, bardzo stary. Jego oczy rzeczywiście były zwierciadłem duszy. Jeśli ją miał, to musiała liczyć sobie tysiąclecia.

– Wchodzisz na kolejny poziom, stopień trzeci. To awans, Alku.

Jak w jakiejś komputerowej grze. Punkty doświadczenia, większa automatyczna sprawność, wyposażenie, ogólne umiejętności plus dziesięć jednostek do zabójczego pierdnięcia.

– Będę umiał latać? – zakpiłem.

Przechylił głowę. Nie zrozumiał żartu albo wcale go nim nie rozbawiłem.

– Tego nie wiem – odpowiedział poważnie. – Pewnie będzie to zależeć od ciebie.

Teraz ja się roześmiałem.

– Idź już, Alku. Masz tydzień wolnego. Wyjedź gdzieś. Zaszuj się w jakiejś dziurze i przemyśl sobie wszystko.

Dlaczego miałem wrażenie, że coś się pod tym kryje? Pod tą szczególną troską, radą dawaną z dobroci serca. Dlaczego miałem cholerne wrażenie, że znów mam być przynętą, tak jak zapewne byłem nią tam, w Moskwie, i na tej przeklętej sali sądowej. Przecież musiał wiedzieć, że Perun i jego ludzie nie odpuszczą. Trudno było uwierzyć, że wyrok sądu przyjęli ze zrozumieniem i będą się go trzymać.

Mentor. Jaką grę znów prowadził? Czy myślał, że tego nie dostrzegam? Że jestem za głupi? A może dawał mi coś innego do zrozumienia?

Rozboliła mnie głowa. Miałem wrażenie, że pęknie zaraz na pół.

– Alku – teraz Mentor się zaśmiał – wszystko mamy pod kontrolą.

Przytaknąłem i odwróciłem się na pięcie. Nie podziękowałem za ten cholerny urlop, nie pożegnałem się nawet. W tej chwili Mentor mnie mierzył. Nie chciałem patrzeć na jego twarz,

śłuchać jego głosu. Chciałem to wszystko zostawić za sobą.

– To już się zaczęło. Wiele się zmieni, Alku. W najbliższym czasie zmieni się świat, który znasz.

Zatrzymałem się. Walczyłem chwilę ze sobą, a potem odwróciłem się do swojego pracodawcy.

– Ja też się zmieniłem. Odchodzę. Potraktuj to jako moje wymówienie.



Kilku wyrostków w za dużych bluzach wysiadło z wagonika na stacji metra Wystawocznaja. Ludzie omijali ich szerokim łukiem. Po młodzieńcach nie widać było jednak rozbawienia, nie szukali zaczepki. Wyglądali raczej na zrezygnowanych, co nie pasowało do nastolatków. Rozmawiali cicho, przemieszczając się w stronę wyjścia. Jeden palił papierosa, drugi niósł pod pachą deskorolkę.

Postronny obserwator mógłby się spodziewać śmiechów, zataczających się chłopaków na haju lub po dużej wódce. Ci tutaj byli zupełnie inni. Dosłownie.

Wyjechali schodami na powierzchnię. Nad Moskwą zapadła już noc, ulice opustoszały.

Młodzieńcy skręcili w boczną uliczkę i tam jeden z nich przystanął, a pozostali otoczyli go półkolem.

Wymienili kilka ożywionych zdań. Potem ten, który znajdował się w środku, ucisnął prawicę przyjaciół. Chwilę później ci z półkola rozeszli się z ociąganiem, niechętnie. Rozpłynęli się w powietrzu, zostawiając młodzieńca samego.

Chłopak przez chwilę jeszcze stał, jakby chciał się upewnić, że został sam, po czym wskoczył na deskorolkę i pomknął w górę ulicy, w stronę moskiewskiego Siti. Tutaj można było poczuć namiastkę nowojorskiego Manhattanu. Biznesmeni i brokerzy w garniturach, z kubkami kawy ze Starbucksa w dłoni. Jeśli ktoś lubił takie klimaty, wizyta tutaj była jak podróż do wielkiego świata. Chłopak odbierał to raczej jako przejaw kompleksów rządzących. Miliardy dolarów wydane na szklane fallusy. Popatrzcie, mówiły, jesteście największe w Europie. Tylko co z tego? Kilka kilometrów dalej tysiące bezdomnych dzieci mogły krzyczeć z bólu i rozpacz, a i tak nikt ich nie chciał słyszeć.

Chłopak skierował się w stronę dwóch wieżowców nazwanych Gorod Stolic. Symbolizowały Moskwę i Sankt Petersburg. Odpowiednie miejsce dla Peruna.

Zbliżył się do budynku i zeskoczył z deskorolki. Nie zatrzymywał jej, pojechała jeszcze kilkanaście metrów dalej i odbiła się od krawężnika. Przez chwilę odczuwał żal, jakby zostawiał najlepszego przyjaciela, ale szybko się otrząsnął.

Miał zadanie przed sobą. Podjął decyzję i nie zamierzał już zawrócić z tej drogi.

Spojrzał w górę. Tam, w penthousie Peruna, miało się wszystko dokonać. Chłopak był skoncentrowany, dokładnie wiedział, czego chce i jak to osiągnąć.

Poruszył dłonią. Wiatr, jego przyjaciel, pojawił się niczym wierny pies. Stracił mu kaptur z głowy, szarpnął nogawkami szerokich spodni. Ale pogodnik nie miał czasu na zabawy. Kolejne poruszenie ręką, świst i uderzenie mocnego strumienia powietrza. Wyczuwalna różnica ciśnienia. Chłopak uniósł się, wiatr przeniknął go, a po chwili on sam stał się wiatrem. Zawirował w radosnym piruecie, wznosząc się coraz wyżej. Światła wieżowców rozbłysły, przemieściły się. Zobaczył swoje odbicie w lustrzanej powierzchni, a dokładniej odbicie rozedrganej masy,

milionów cząsteczek przypominających rój miniaturowych owadów. Znów świst. Delikatny poryw wiatru, niczym muśnięcie płatków kwiatu. Wierny przyjaciel zegnał się ze swoim panem.

Pogodnik zeskoczył na taras tuż przy uchylonych drzwiach balkonowych. Alarmy, zrobione przez ludzi i przez mniej ludzkich strażników Peruna, nie zadziałały. Miały reagować na wiatr? Słaby zefirek, który przyniósł ze sobą niewidzialnego włamywacza? Dopiero przejście przez próg powinno wywołać zaskoczenie i gwałtowną reakcję. Ale chłopak to także wkalkulował w cenę, jaką przyszłoby mu zapłacić.

– Jesteś natrętny niczym komar. Powiniennem cię zgnieść, wyrwać skrzydełka czy spryskać ubranie środkiem odstraszającym, żeby się od ciebie uwolnić?

Perun siedział w fotelu z talerzykiem w dłoni. Jadł sernik.

Pogodnik niemal się roześmiał. Gromowładca, bóg grzmotów i piorunów złapany na zwykłej ludzkiej czynności. Wydawałoby się, że ten gigant będzie wydawał rozkazy niczym największy z wodzów, decydował o losach bóstw, demonów i ludzi, a on jadł sernik. A po serniku pewnie jak wielu pójdzie do toalety, znów ze zwykłymi ludzkimi czynnościami i słabościami. Wiara ludzka daje siłę, a jej brak...

Teraz pogodnikowi Perun wydał się kimś naprawdę małym. Jednym z zapomnianych bóstw, które, machając rozpaczliwie łapkami, walczyły o swoje miejsce w panteonie, w istnieniu i przetrwaniu.

– Sernik, dobry, jakbyś spróbował, sam byś mu się nie oparł. – Wydawało się, że Perun odczytuje myśli, ale raczej był potężnym empatą. – Nie zasłużyłeś jednak. Nie przypominam sobie, żebym wystosował do ciebie zaproszenie.

– Wiedziałem, że się nie doczekam. – Pogodnik wzruszył ramionami. – Mało towarzyski jesteś, Perunie. A byłem ciekaw, jak się mieszka w takim przepychu. Ja tam zrobiłbym parapatówkę dla przyjaciół i znajomych.

– Ale ty ani do jednych, ani do drugich się nie zaliczasz, bezczelny wyrostku. – Perun zaśmiał się. Nie przeszkadzało mu, wcinał sernik w najlepsze.

– Wykonałem zadanie, oddaj mi siostrę. – Pogodnik zrobił kilka kroków w stronę Peruna, zastanawiając się, czy są tu sami. Na tyle szczęścia nie mógł jednak liczyć.

– O to musiałbyś raczej poprosić Welesa. – Perun odłożył talerzyk i mały srebrny widelczyk. Wytarł usta chustą, na której namalowano Dziadka Mroza i bałwanki.

Pogodnik poczuł, jak krew uderza mu do twarzy. Krtań zacisnęła się równie mocno jak pięści.

– Ale to już przecież wiesz. – Perun pokręcił głową, jakby dumał nad losem Gody. – Mogę ci obiecać, że winni tego czynu, a dokładniej winna tego czynu zostanie surowo ukarana. Oczywiście musimy zbadać gruntownie tę sprawę, żeby nie popełnić błędu w ocenie. Są świadkowie, którzy mówią, że to Goda sprowokowała całe zajście. Chociaż trudno mi uwierzyć, to była taka miła dziewczyna...

Pogodnik poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Nienawidził Peruna, gdyby mógł, starłby go na proch. Wiedział jednak, że nie jest w stanie w żaden sposób mu zagrozić. Nie tutaj, nie w tym świecie.

– Nyjo. – Perun uniósł głowę i popatrzył w sufit. – Nyjo! Rusz się, kobieto. Mamy gościa!

– Już idę. – Z innego pomieszczenia dobiegł głos, który pogodnik znał aż za dobrze.

Istna sielanka. Oboje świetnie bawili się jego kosztem. Czekali, aż wykona pierwszy ruch, by móc go zetrzeć na proch. Chłopak postanowił także dobrze się bawić, ale według swoich reguł.

– Och! – Nyja udała spłoszoną widokiem pogodnika. – Nie spodziewałam się ciebie... tak

szybko.

Wulgarny uśmiech, drapieżne spojrzenie. Kiedyś się jej bał. Dziś nie.

– Wręcz przeciwnie. Otwarte drzwi oznaczały zaproszenie. – Chłopak popatrzył na Peruna, który podniósł ze szklanego stolika spodek z filiżanką, odchylając przy okazji najmniejszy palec u dłoni. Po chwili słowiański bóg siorbnął malutki łyżeczek herbaty.

– Perunie, chcę dołączyć do siostry!

Gromowładny nic nie powiedział. Upił kolejny łyk.

Pogodnik uniósł rękę, wiatr uderzył w stronę Peruna. Chłopak wiedział, że jego atak nie przyniesie skutku, ale to nie Peruna chciał wyprowadzić z równowagi. Wiatr osunął się na boki, ześliznął po tarczy obronnej gromowładnego, a w dodatku zelżał tak, że jedynym efektem było lekkie falowanie zasłon.

– Od dawna chciałam to zrobić. Będzie wedle twojego życzenia! – warknęła Nyja i skoczyła w stronę chłopaka, wyrzucając Iśniącą kulę energii.

Pogodnik uśmiechnął się, jego ciało rozsypało się, jakby było z piasku. Kula energetyczna zawirowała, wciągnięta w gęstą spiralę, i znikła.

– Musisz się postarać – krzyknęła, okrążając błyskawicznie pokój. Stracił z półek cenne bibeloty, zrzucił wazon, chyba z epoki Ming, i kilka obrazów.

Nyja była wściekła, Perun zaś obserwował wszystko spod zmrużonych powiek. Wydawało się, że śledzi wydarzenia z zainteresowaniem, jakby oglądał spektakl w telewizji.

– Jesteś jak wesz, pogodniku – ryknęła Nyja, wypuszczając kolejną kulę światła, zdolną spopielić najpotężniejsze demony i niejedno mniej odporne bóstwo. Pogodnikowi jednak kula nie zrobiła. Znów szary wir okręcił się wokół świetlistej sfery i wciągnął ją w siebie.

– Co jest? – wyszeptała Nyja. Popatrzyła niepewnie na Peruna, ale ten nie reagował.

Pogodnik za to porwał krzesło i cisnął nim w Nyję.

– Ty mały skurwielu!

Kolejna kula energii wyskoczyła w stronę pogodnika, lecz nagle zmieniła kierunek lotu. Zwolniła i znów przyspieszyła, wchodząc w potężną wibrację.

I z tą śmiercionośną przesyłką pogodnik sobie poradził. Połknął ją, otoczył wirem, wprawiając tak jak poprzedniczki w nieustający ruch. Miały pozostać w ciągłej rotacji, aż do momentu, gdy będzie ich potrzebował.

Wtedy dopiero odezwał się Perun.

– Wystarczy! – powiedział. – Nyjo, skoncentruj się!

I Nyja z krzykiem wyrzuciła z siebie jeszcze jedną kulę.

Pogodnik uśmiechnął się.

– Wystarczy – powtórzył za Perunem i przyjął gorące uderzenie. Poczul ból, ale był na niego przygotowany. Poddał się palącej sile i zapadł w wir ciemności.

– Głupi szczył – warknęła Nyja, patrząc na pobojuwisko. Odczuwała niepokój, w zachowaniu pogodnika było coś, co wytrąciło ją z równowagi. Na szczęście rozbawienie zaraz zastąpiło to nieprzyjemne uczucie. – Kto to teraz posprząta?

– Wcale nie głupi – zauważył Perun, odkładając filiżankę. – A posprząta ten, kto do tego doprowadził.

Nyja skrzywiła się. Nie pisnęła jednak nawet słówkiem. Uniosła dłonie i przedmioty zaczęły wracać na swoje miejsca.

– Aha, jeszcze jedno – dodał Perun. – Jak już posprzątasz, udaj się z łaski swojej do Nawi. Dopilnuj, żeby ten szczył nie zrobił niczego głupiego. Teraz ty będziesz tam moimi oczami i uszami.

V. Krok do wieczności

Więc żadnych nie ma duchów?

Świat ten jest bez duszy?

Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi,

Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy;

Albo jest to coś na kształt wielkiego zegaru,

Który obiega popędem ciężaru?

Adam Mickiewicz, *Dziady* cz. IV

Hanna prowadziła sklepik od ponad trzydziestu lat. Zwykły sklep spożywczy na osiedlu, blokowisko jakich wiele w tym mieście. Była wtedy jedną z pierwszych badylarzy, jak nazywali tę grupę złośliwi i zazdrośni. Zaczynała rzeczywiście od badyli, warzyw i owoców, które sprzedawała klientom, dbając, by towar był najlepszy. Z czasem, by przetrwać konkurencję, powstające jak grzyby po deszczu kolejne sklepiki, a w końcu supermarkety i dyskonty, rozszerzyła asortyment. Gdyby miała nazwać swój sklep ponownie, pewnie nazwałaby go „Tysiąc i jeden drobiazgów”, bo po drobiazgi ludzie do niej zachodzili. Najczęściej wtedy, kiedy zapomnieli czegoś kupić w Lidlu czy Biedronce. Wiedziała, że gdyby nie piwo i alkohol, które sprzedawała, musiałaby zamknąć sklep w kilka miesięcy.

Teraz obserwowała za szybą sklepową ławki, na których przesiadywali jej klienci. Znała ich od dziecka, widziała, jak dorastają. Kiedyś przychodzili po oranżadę, czekoladę, teraz po piwo, a jak dostawali wyplatę, to i po pół litra. Lubiła ich, każdy był inny i czasem nie mogła patrzeć, jak marnują życie. Czy ona się do tego przyczyniała, sprzedając to, co mogło rujnować lata młodości? Pewnie i tak kupiliby alkohol gdzie indziej, a tak zawsze mówiła im, kiedy powinni przestać, i najczęściej jej słuchali.

Coś niedobrego działo się na zewnątrz. Marek i Kuba zwykle byli spokojni, lubili się pośmiać, ale nigdy nie wszczynali burd. Dziś co rusz podnosili się z ławki i zaczepiali przechodniów. Jednego oblali piwem, drugiego pchnęli tak mocno, że niemal się przewrócił.

Miała nadzieję, że zaraz im to minie. Może mieli trochę za dużo w czubie. Takie rzeczy przecież się zdarzały. Zapadał wieczór, powinna zapalić światła, ale wiedziała, że wtedy w szybach zobaczy tylko swoje odbicie i półki zastawione towarami. Postanowiła jeszcze chwilę poczekać, może to było przecucie, a może zwykła ciekawość. Odczuwała niepokój, którego nie potrafiła określić, z każdą chwilą mocniejszy.

Znów zaczepili przechodnia i tym razem zaczęli go szarpać. Hanna zrobiła krok w stronę drzwi. Wiedziała, że jeśli na nich krzyknie, spłoszą się jak małe dzieci. Marek i Kuba znów będą spokojni i grzeczni, bo bali się jej bardziej niż rodziców. Mieli do niej szacunek.

Utarczka na zewnątrz stawała się coraz bardziej zażarta. Do szarpiących się doskoczył kolejny mężczyzna.

Hanna zacisnęła pięści i ruszyła bardziej zdecydowanie do wyjścia. Nagle jednak zatrzymała się w pół kroku z głośnym westchnieniem. Serce boleśnie obilo się w piersiach. Wydało jej się, że ma przywidzenia, ale nie. Zamrugła, przetarła oczy. Cienie. Mężczyźni wirowali w jakimś szalonym tańcu. Odpychali się, przyciągali, jakby odprawiali magiczny rytuał. Wykrzywione twarze przypominały maski, oczy świeciły białkami. Za każdym z nich majaczył cień, a właściwie ciemne ogromne postaci, które poruszały długimi ramionami, wprawiając w ruch członki żywych marionetek.

– Boże...

Hanna ruszyła niczym zahipnotyzowana w stronę drzwi. Szarpnęła za klamkę raz, potem drugi. Były zamknięte. A przecież jeszcze przed chwilą wychodził stąd klient.

– Co jest?!

Szarpnęła po raz kolejny. I wtedy usłyszała za sobą cichy chichot. Przerażający, gardłowy rechot. Zadrzała. Krew zahuczała jej w uszach, Hanna nie mogła złapać oddechu.

– Kto tu jest?! – krzyknęła.

Chichot powtórzył się, teraz jeszcze bardziej złowrogi. Po ścianie przemknął cień, który zniknął na regale z warzywami. Na chwilę zapanowała cisza. A potem regał zachwiał się i runął, a z nim wszystkie skrzynki i pudła.

Hanna upadła. Odwróciła się w stronę okna, chcąc wołać o pomoc, ale zobaczyła, jak mężczyźni, chłopcy, których znała, padają na chodnik, ławkę. Cienie rzucają ich wiotkimi ciałami. I wtedy Hanna zemdlała, słysząc wciąż diabelski chichot.



Nocą miasto jest inne, światła uliczne są jak punkty orientacyjne, które musisz zaliczyć w drodze do domu. Dom? Nie miałem domu. Zagubiłem go gdzieś tam, z własnej woli. Teraz szukałem swojego miejsca w tym świecie. Wyglądało na to, że nigdy go nie znajdę.

W pierwszym odruchu chciałem wyjechać z miasta. Takie posunięcie tragicznego bohatera. Nawet na to nie miałem jednak siły.

Znalazłem się pod blokiem, w którym wynajmowałem mieszkanie. Wiedziałem, że przez najbliższe dni nie ruszę się z łóżka. Będę oglądał sitcomy, pił piwo i objadał się żarciem na zamówienie.

W oddali słychać było ryk syren policyjnych i karetok pogotowia. Więcej niż zwykle, głośniejsze niż zwykle. Wydawało się, że samochody krążą nieustannie po tej samej zwężającej się orbicie. Nie dawały myśleć, budziły niepokój. Ludzie na chodnikach przystawali, wielu cofało się, jakby nagle rezygnowali z obranego wcześniej celu wędrówki. Jakby nagle postanowili zaszyć się we własnym bezpiecznym schronieniu.

Skąd ten niepokój?

Wszedłem do klatki, ruszyłem schodami na piętro. W końcu znalazłem się w swoim mieszkaniu. Z lodówki wyjąłem piwo i usiadłem w fotelu, włączając telewizor.

Po chwili podkręciłem dźwięk. Za ścianą słychać było kolejną małżeńską kłótnię. Znieczulica zaczynała ogarniać także mnie. Dudniące monotonne głosy, szuranie mebli, brzęk szkła.

Kilka kresek więcej na ekranie.

Wiadomości na kanale informacyjnym. Jakiś pochód. Białe-czerwone flagi upstrzone napisami. Czarne plamy, litery niczym strupy na materiale. Ujęcie na drugą falę idących, inne hasła na białoczerwonych płachtach. Kto im dał prawo?

Płacz dziecka za ścianą, znów kłótnia po krótkiej przerwy.

Kolejne kreski na ekranie.

Starcia w mieście. Ludzie rzucają się sobie do gardeł, każdy pewny swoich racji. Młody chłopaczek w kominiarce trzyma w ręce granitową kostkę, która jeszcze chwilę wcześniej tkwiła w chodniku. Zamach i rzut w wystawę sklepową.

Na takich nie ma siły. Robią to dla zabawy, dla adrenaliny, z głupoty. Takich jest coraz więcej. Odważni inaczej.

Płacz dziecka przeradza się w histeryczny spazm.

Poziom głośności osiągnął maksimum. Dudnienie, uderzenia w ścianę. Wyzwiska.

Przynajmniej jego złość skierowała się teraz przeciw mnie, a nie przeciw własnej żonie.

Widziałem kilka razy drobną, może trzydziestokilkuletnią blondynkę. Przemykała klatką schodową niczym cień. Wstrzymując oddech, patrząc na schodki, które pokonywała bezgłośnie, jakby zaprzeczając swojemu istnieniu, jakby przeprasząc, że żyje. Że wciąż i jeszcze żyje.

Kolejna przebitka. Dzień samobójców. Zbliżenie na mężczyznę, który stoi na dachu centrum handlowego. Niby nic niezwykłego. Niedaleko kilka osób. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to policyjni negocjatorzy, ochrona obiektu.

Niedowierzanie. Wśród zebranych jest kobieta z torbą z zakupami, inny młody mężczyzna z teczką w dłoniach. Kilka osób w tym samym czasie, a kto wie, czy nie z tym samym zamiarem.

Coś było cholernie nie tak. W mieście wyczuwało się nadmiar złej energii, który kumulował się z każdą chwilą, nie potrafiąc znaleźć ujścia.

– To już się zaczęło... Wiele się zmieni, Alku. W najbliższym czasie zmieni się świat, który znasz – powtórzyłem cicho słowa Mentora.

Znów uderzenia w ścianę. Tym razem czymś ciężkim, aż zadrżały szyby w oknach.

Wstałem. Ciśnienie krwi niemal rozsadziło mi głowę. Odłożyłem butelkę, z której nie zdążyłem upić nawet odrobiny piwa, i ruszyłem do drzwi. Naładowany, wypełniony po brzegi emocjami, które musiały wydostać się na zewnątrz, zupełnie jak te z ulic miasta. Szarpnąłem klamkę i znalazłem się na korytarzu. W skroniach wciąż huczała krew, w żyłach krążyła adrenalina, mięśnie dostały zastrzyk tlenu i były gotowe do działania.

Dwa kroki, a właściwie przysadziste susy. Kopnięcie w drzwi tuż pod klamką. Odskoczyły, rozwarły się na oścież. W korytarzu cierpki zapach; nie zmyją go żadne środki czystości, nie zetrze się go ani nie spierze. Dopóki w pomieszczeniu będzie to, co tę woń uwalnia, rozsiewa, emituje w otoczeniu. Zapach alkoholika.

Facet wyskoczył z boku. Przewidziałem to, wyczułem jego furię i dokładnie zlokalizowałem. Krok w tył, lekkie pchnięcie, zmieniające kierunek jego natarcia zaledwie o kilka stopni.

Nie zdążył wyciągnąć rąk. Przygrzmocił głowę w ścianę, aż chrupnęła chrząstka. Krew buchnęła mu z nosa jak gejzer. Zapewne w tym momencie wypuścił powietrze.

Osunął się, jęcząc z bólu. Nie miałem zamiaru przerywać tego, co się zaczęło. Uderzyłem kolanem w jego żebra, w wiotką konstrukcję klatki piersiowej. Zawył jak potępieniec i uniósł ręce, próbując się bronić. Skulił się w sobie niczym zraniony zwierz. Był dla mnie w tym momencie bydlęciem, brudnym, wydzielającym fetor strachu. Uniosłem go, chwytając za szyję. Smród przetrawionego alkoholu zmieszał się z odorem uryny. Jego twarz była wykrzywiona bólem i zgrozą. Wydało mi się, że w oczach widzę szaleństwo.

Chciałem go zmiażdżyć, zgnieść niczym odrażającą hybrydę człowieka i zwierzęcia.

Wtedy znów usłyszałem płacz.

Rozwarłem palce. To szaleństwo nie było w jego oczach. Musiało zalęgnąć się w moich.

– Nie rób tego więcej... – wydusiłem z siebie.

Jakby to miało coś dać, jakby ostrzeżenie miało odnieść jakikolwiek skutek. Kilka dni będzie się pilnował, schowa urazę, ale potem wybuchnie ona ze zdwojoną siłą i obróci się nie tyle przeciw mnie, ile przeciw jego rodzinie.

– Proszę, niech pan idzie.

Usłyszałem jej cichy głos. Skinąłem głową, odsunąłem się od faceta, który znów osunął się po ścianie.

Nie popatrzyłem ani na nią, ani na dziecko.

Wyszedłem z mieszkania.

Nie wiedząc, co robię, skierowałem się w dół schodów. Musiałem wyjść z tego domu. Przytłaczały mnie ściany, cienie, których było tu zbyt wiele, emocje, które nawarstwiły się niczym kurz na każdej widocznej powierzchni. Musiałem wyjść na zewnątrz.



Szła wolnym krokiem, stawiając sztywne nogi przed sobą. Chwilami zataczała się. Nie wiedziała, gdzie jest, nie знаła tego miasta. Przeszło jej przez myśl, by wrócić do domu staruszki, ale teraz nie potrafiłaby go odnaleźć.

Gdy tylko odzyskała przytomność, jakaś siła wypchnęła ją na zewnątrz. W chłodny wieczór, w samym palcie, które wzięła z wieszaka w sieni.

Teraz żałowała, że nie rozejrzała się za czapką i szalikiem. Policzki ją piekły, ręce zamieniały się w sople lodu. Zaczynały boleć. Wiatr potęgował uczucie zimna. Czowała w nozdrzach zbliżający się śnieg. Spadnie jeśli nie dziś w nocy, to jutro.

Budynki były szare, niebo też. Wszystko przytłoczone ciężkimi chmurami. Witryny sklepów, mimo że kolorowe i oświetlone, wydawały się pochylać ku ziemi, przygniecione bliżej nieokreślonym ciężarem. Jakby coś wysysało energię z otoczenia. Jakby coś wysysało energię z niej samej.

Osiedle, kilka wysokich bloków. Światła latarni drżące w podmuchach coraz silniejszego wiatru.

Wiatr budził niepokój.

Poczuła się samotna. Jak nigdy. A teraz tak bardzo potrzebowała, by ktoś był blisko, by pocieszył, by tak po prostu ją zauważył.

Skupiła wzrok na szyldzie nad sklepem. Napis w języku polskim. Kilka kolejnych szyldów i reklam w tym języku. Nawet jej to nie zdziwiło. Czowała się tu obco od początku. Chociaż... Czy nie czuła się tak i we własnym kraju?

Bloki, ludzie, ulice – wszystko podobne. Prawie. Coś nieokreślonego odróżniało ten kraj od innych. Coś, co unosiło się tu w powietrzu. Dziwne, niemal namacalne napięcie i ludzie, przesyceni nim, wypełnieni po brzegi.

Jak miała wrócić do domu? Bez dokumentów, paszportu, bez pieniędzy? I w sumie, gdzie był jej dom? Czy miała do czego wracać?

Ruszyła w stronę bloków. Osiedle podobne było do tego, na którym sama mieszkała. Może to dawało jej namiastkę poczucia bezpieczeństwa?

Zimno. Jak strasznie zimno.

Sklep na parterze przyciągał światłem, ciepłem. Postanowiła, że wejdzie choć na chwilę; potrzebowała się ogrzać, pomyśleć. Potrzebowała miejsca, w którym mogłaby zakotwiczyć myśli, znaleźć punkt odniesienia, określić początek nowej wędrówki.

Minęła grupkę mężczyzn, którzy na jej widok przerwali ożywioną rozmowę. Któryś nawet gwizdnął, co miało być zapewne żywym wyrazem aprobaty. Nie obejrzała się, dreszcz przeszedł jej po plecach. Takich jak oni widziała wielu, byli pod każdą szerokością i długością geograficzną, tak samo pogrążeni w beznadziei i toczący się niczym kamienie ku przepaści.

Szybkie, pewniejsze kroki i już naciskała klamkę. Próbowwała otworzyć drzwi, które ustępowały z oporem, jakby jej tu nie chciały, jakby światło ze środka wypychało ją na zewnątrz. Naparła mocniej i po chwili, jakby przechodząc przez elastyczną, niewidzialną błonę, weszła do

sklepu. Pociemniało jej w oczach. Nie. To w środku było ciemno. Gdzie światło, którego się spodziewała?

Mrok. Półki, lodówki, sklepowa lada. Wszystko spowite kłębam szarej zawiesiny.

Wstrzymała oddech, w nozdrzach zakręcił dziwny, odrażający odór.

Zamrugła, jakby chcąc przebudzić się ze snu. Cienie przesunęły się po ścianie i usłyszała czyjś chrapliwy urywany oddech.

– Uciekaj... ucie-kaj...

Zauważyła starszą kobietę opartą o ladę. Jej klatka piersiowa unosiła się niespokojnie. Otwierała i zamykała usta, teraz już bezdźwięcznie. Próbowła wyciągnąć rękę, jakby ostrzegawczo, ale dłoń bezwładnie opadła i zwiła wzdłuż ciała.

Ksenia nie była zdolna do jakiegokolwiek ruchu. Zwabiło ją światło, zupełnie jak ćmę. Czy się teraz bała? Nie, chyba nie. Już nie.

W uczuciach, które nią owładnęły, szukać zaczęła odpowiedzi. Ale jej nie było. Może dziewczyna zubożniała na wszystko? Może po prostu powinna się poddać? Pozwolić się nieść zdarzeniom, nawet jeśli za chwilę popchną ją ku zgubie?

– Chodź z nami, Kseniu, czas na ciebie.

Zignorowała chrapliwy głos nad swoją głową. Wreszcie mogła się poruszyć. Zbliżyła się do kobiety, uklękła i dotknęła jej rozpalonego czoła.

– Już dobrze... – wyszeptwała.

Morozowa przymknęła oczy. Zobaczyła w krótkim błysku życie tej kobiety, jej porażki i drobne sukcesy, którymi nie miała już się z kim dzielić. Rozplątała zawiłą nić losu, poprowadziła ją na nowo.

– Już wszystko będzie dobrze – powtórzyła.

– Dziewczyno. – Ciało staruszki przeszło drżenie. – Uciekaj. Boże... Ja nie rozumiem.

Ksenia zobaczyła, jak oczy kobiety rozszerzają się, sprzedawczyni musiała coś dojrzeć za jej plecami. Morozowa usłyszała stuknięcie drzwi, jednak nie obróciła się. Dźwięk rozciągał się w nieskończoność, jakby ta zawieszona filtrowała go, trawiła, by wypluć w innej tonacji i barwie.

– Nic pani nie będzie – powiedziała. – Zaraz wszystko się skończy.

Wstała, czując ich milczącą obecność za plecami. Odwróciła się bez pośpiechu.

Kaptury skrywały w cieniu twarze, ale nie oczy – te błyszczały czerwienią, wirującymi ognikami, które wydawały się przyciągać tylko po to, by spalić na popiół.

Ten po lewej wyciągnął w jej stronę rękę. Właściwie długi kikut zakończony guzowatą dłonią. Szpony wysunęły się niczym ostre brzytwy.

– Czas na ciebie... Choć pewnie zabawilibyśmy się z tobą, gdyby więcej go było.

– Mój czas czy wasz się kończy? – zapytała.

– Dziwka! – wycharczał ten w środku. Dwaj towarzysze po jego bokach zaśmiali się chrapliwie. – Może jednak trochę go dla ciebie znajdziemy?

Odrzucili do tyłu kaptury. Ich czoła były pokryte twardymi naroślami. Patrzyła w twarze bez brwi, wąsów. Czerwone, poprzecinane czarnymi pulsującymi żyłami.

– Boże, Andrzej! Marek! Stach!

Głos staruszki stał się mocny niczym dzwon, kiedy odzyskała siły i jasność myślenia. Ksenia obróciła się w jej stronę. Kobieta próbowała wstać, a Morozowa patrzyła na nią zafascynowana. Dała jej szansę, splotła los tak, by sprzedawczyni wyszła stąd bez szwanku, by dalej żyła i miała szczęście w życiu, nawet w tym podupadającym sklepiku. Dobra kobieta.

Zawahali się. Ten, który wydawał się przywódcą, zrobił krok do przodu, a potem dwa w tył, jakby odepchnęła go jakaś siła. Spuścił głowę, czerwień wirująca w oczach przygasła.

– Andrzej! – powtórzyła starsza pani. Stała już o własnych siłach. – Odejdź. Po prostu

odejdźcie.

Drugi z demonów też się cofnął spłoszony. Otrząsnął się, jego twarz wróciła do poprzedniego wyglądu steranego życiem chłopaka, alkoholika i narkomana.

Nawet nie wiesz, jaka siła w tobie, kobieto, pomyślała Ksenia. Nawet nie wiesz, jak bardzo możesz zmienić świat wokół siebie. Choć tak wielu próbowało cię zniszczyć złym słowem.

Znów spojrzała na mężczyzn. Trzeci z nich skulił się w sobie, ale po chwili wyprostował. Napuchł, jakby stoczył wewnętrzną walkę, i nagle spotęźniał. Odepchnął swoich kolegów i ryknął tak głośno, że nawet Ksenia zadrżała pod wpływem świdrującego, rozrywającego bębrenki w uszach dźwięku.

Najwyraźniej on pozostał głuchy na wezwania kobiety. Najbardziej zatracił się w ciemności. Przesiąkł nią już wcześniej i teraz szedł tam, gdzie wzywały go jego własne demony.

– Odstęp – powiedziała dziewczyna bez przekonania. Może ciemność i ją pochłaniała. Chyba już się jej nie bała. Ani tego, co miało lub mogło się stać.

– Albo ty pójdziesz do tamtego świata, albo on przyjdzie tutaj – wycharczał. – Weles cię wzywa.

Z jego ust wydobywała się para. Ksenia dostrzegła rozdwojony język, którym się oblizal.

Weles. Gra wciąż się toczyła. Weles i Perun. Grali o nią czy grali nią? A czego chciała ona sama? Zostać tu? Może uciec i pozwolić, by ciemność szła za nią krok w krok? Czy nie lepiej zaakceptować ją, by wszystko wreszcie się skończyło? By poznać prawdę?

Język niczym wąż wysunął się z paszczy demona i przesunął w jej stronę. Podążyły za nim ognie. Ksenia wiedziała, że jeśli będzie chciała, spłonie w nich, a potem odrodzi się na nowo, ale po tamtej stronie.

– Dziecko! – krzyknęła kobieta. – Co robisz?

Ksenia spojrzała na nią i na dwóch nieprzytomnych mężczyzn.

– Już dobrze – powiedziała. – Wszystko dobrze.

Demon uniósł ramiona. Z jego gardła, głęboko z piersi wydobył się rechot. Ksenia była gotowa. Nie stawiała oporu.

Pomieszczenie powiła jeszcze głębszy mrok. Przestrzeń wokół zadrżała. Dziewczyna przechyliła głowę, gdy w ciemnościach znów ujrzała światło. Najpierw nieśmiały promyk, który wydawał jej się zwykłym przywidzeniem, niezrozumiałym refleksem. Ale po chwili ten promień rozdarł ciemność. Białe światło, niesamowicie intensywny błysk, który obrócił w nicość otaczający ich całun.

Zobaczyła mężczyznę, który pojawił się w kolejnym przeblasku za plecami demona. Widziała, jak unosi się, a jego świetlista postać w złotej zbroi spada na przeciwnika. Lśnienie głowni miecza, świst ostrza.

Implozja. Fragment przestrzeni wokół stwora zadrżał, skurczył się, a potem nagle demon obrócił się w pył.

– Nic ci nie jest?

Uniosła głowę, a mężczyzna podszedł do niej. Nawet nie wiedziała, kiedy opadła na kolana. Teraz podniósł ją, lekko, jakby była piórkiem.

– Kseniu, nic ci nie jest? – powtórzył.

Poznała go i uśmiechnęła się blado. Stał przed nią w swetrze, wytartych dżinsach, wysoki, z niezłomnym spojrzeniem i troską w oczach.

Poplątane ścieżki... Tak naprawdę wszystkie prowadzą w tym samym kierunku. Wszyscy kroczyliśmy tymi samymi wydeptanymi traktami.

– Nic mi nie jest. Daj mi chwilę.

Pochyliła się i nabrała w garść szarego pyłu. Uniosła zaciśniętą dłoń, a potem rozwarła ją delikatnie, wypuszczając miękki proszek na podłogę. Nie wiedziała, co ją do tego pchnęło, ale wiedziała, że robi właśnie to, co trzeba.

– Zapomnijcie o tym, co się stało – powiedziała, patrząc na kobietę – i ty, i oni.

Pył zaczął wirować, formować kształt.

– To nie była jego wina. – Obserwowała, jak drobiny pyłu łączą się ze sobą i mieszają. Po chwili u jej stóp leżał mężczyzna. – Niech zacznie od początku.

– Staszek – wyszeptała kobieta. Podczołgała się do nieprzytomnego. – Staszek...

– Chodźmy już. – Alek Bielski odciągnął Ksenię w stronę drzwi. – Musimy stąd iść.



– Mamy go, Misza.

Asieniewicz popatrzył na Zemstow. Przez dobrą chwilę nie docierał do niego sens wypowiedzianych słów.

– Mamy go – powtórzył Zemstow, patrząc z tryumfem na Miszę i Andrieja. – Dostanie za naszych. Jest przyzwolenie z centrali. Damy mu nauczkę.

Miszy nie udzielał się jego zapal. Wręcz przeciwnie, cała sprawa śmierdziała na kilometr. Grupa interwencyjna zasadziła się na Polaka, a przecież Asieniewicz, jak i oni, słyszał o procesie. Nawet Departament Wschodni nie wnosił pretensji do swojego odpowiednika w Polsce. Nikt nie oskarżył Alka o śmierć chłopaków podczas akcji. Na to jednak Zemstow miał swoje wytłumaczenie. Nie na darmo nosi takie nazwisko, pomyślał Misza.

– Zgoda jest. – Andriej zatarł dłonie. – Wywieziemy go. Zatrzemy ślady.

– Za Stiope i Borysa. – Zemstow wyciągnął z kurtki piersiówkę. Pierwszy pociągnął długi łyk, za nim Andriej. Misza nie mógł odmówić, przełknął więc palącą ciecz. Bimber, w którym czuć było śliwki. Asieniewicz przypomniał sobie, że Zemstow spędził pół życia na Bałkanach.

– Za Stiope i Borysa – powtórzył cicho.

Potem wyszli z budynku i wpakowali się do vana z przyciemnianymi szybami. Andriej prowadził, Zemstow służył za nawigatora. Już w samochodzie dołączył do nich Iwan.

Misza wyglądał przez okno. Płatki śniegu zawirowały nad miastem, duże, mokre i ciężkie. Szybko topniały.

– Chłopaki już tam są. Mają dobrą miejscówkę naprzeciw jego mieszkania. – Iwanowi nie zamykały się usta. – Robimy to na pełnym legalu...

– I jego wydział puści to naszemu płazem? Wystawią swojego? – Misza nie wytrzymał i uznał, że musi podzielić się wątpliwościami.

– Oj, głupi ty... – Wiktor obejrzał się przez ramię. – Polaczek odszedł z ichniego wydziału. Sprawdziliśmy, to oficjalne.

– Z żadnego wydziału nie da się odejść ot tak – zaniepokoił się Iwan. – Nie sądzicie, że coś tu śmierdzi?

Asieniewicz skinął głową. Jemu też nie pasowało kilka faktów. Najważniejszego jednak nie miał zamiaru zdradzić przed kolegami. Nie wierzył, że to Alek stał za śmiercią Stiope i Borysa. Był za to przekonany, że we wszystkim maczał palce Perun.

– Dobra. Zaraz będziemy na miejscu. Przygotujcie się. Na wszelki wypadek dzisiaj

obserwujemy budynek. Musimy upewnić się, że to nie pułapka.

Misza skinął głową, ogarniał go coraz większy niepokój. Gdy patrzył na miasto, miał wrażenie, że wraz z zapadającym zmrokiem stacza się ono w ciemność, ku otchłani.



Klatka schodowa. Czują mocne ramię Alka, który obejmował ją, pomagając iść na górę. Nie miała siły, ogarnęła ją słabość, której nie potrafiła przemóc.

Zapach kurzu, ledwie wyczuwalna woń środka do mycia schodów. Jakże te klatki podobne, jacy podobni do siebie ludzie mieszkający w blokach. Nieważne, czy tu, czy tam, w jej ojczyźnie. Siedzieli w swoich małych pokoikach przy obiedzie, przed telewizorem, rozmawiali, kłócili się, kochali i nienawidzili.

– Jeszcze jedno piętro.

Spokój w głosie Alka, opanowanie. Miał pewne ruchy, był zdecydowany i silny. Wyczuwała jego aurę i ten spokój udzielał się także jej.

Weszli na kolejne piętro. Z boku po prawej uchyliły się drzwi. Ksenia zobaczyła kobietę w trudnym do określenia wieku. Miała wyostrome rysy, a pod oczami cienie. Wiele nieprzespanych nocy, wiele łez i zmartwień. Tylko ból duszy potrafi odcisnąć takie piętno na twarzy.

Kobieta uśmiechnęła się blado na widok Alka, ale zarazem spieszyła, widząc Ksenię.

– Dziękuję – powiedziała ostrożnie. – Marek się zmieni. Wiem to.

Alek jedynie skinął głową.

Zawahała się, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Spojrzała jeszcze raz na Ksenię i ruszyła schodami w dół, szybko, jakby uciekała przed własnymi uczuciami.

Morozowa nie powiedziała nic. Niemo obserwowała tę scenę. Wiedziała, że kobieta będzie śnić o Alku tej nocy i w kolejne. Będzie budziła się z bólem ściskającym serce, gdy rzeczywistość uzmysłowi jej, że ten mężczyzna nigdy nie będzie jej.

Miłość, poświęcenie, oddanie, obowiązek. Jak wiele sprzeczności, jak wiele bólu.

– Chodźmy – powiedział Alek. Otworzył drzwi i weszli do jego mieszkania.

– Czuj się jak u siebie – powiedział po chwili. – Jeśli jesteś głodna...

– Może ja coś przygotuję? – zapytała nieśmiało. Chciała poczuć się normalnie, zapomnieć o wszystkim. Wydawało jej się, że gdy zajmie czymś dłonie, umysł szybciej wróci do normalności.

Znów skinął głową, jakby zrozumiał.

Ksenia wcześniej nie miała okazji przyjrzeć się Alkowi. Był oszczędny w ruchach i gestach. Mówił niewiele, jakby uważał, że otwarciu ust powinien towarzyszyć ważny powód. Poruszał się niczym kot, jakimś niepojętym sposobem można było w nim wyczuć przeszkolenie wojskowe. Twarz miał miłą i wydawałoby się, że nie jest zdolny do skrzywdzenia muchy, a jego oczy zdradzały starość duszy. Ksenia zawsze tak mówiła. Oczy potrafiły wiele powiedzieć o człowieku, wystarczyło w nie zajrzeć. Zdarzały się nawet małe, może roczne dzieci, których spojrzenie nie tylko jakby przenikało człowieka na wskroś, ale też zawierało w sobie całą mądrość wszechświata.

Przez chwilę, zaledwie kilka sekund, przyglądali się sobie. A dokładniej patrzyli sobie

w oczy. Każde z nich wyczytało tam coś, co dało odpowiedzi na pytania, których być może sami sobie nie uzmysławiali. W końcu uśmiechnęli się oboje, jakby nagle pomiędzy nimi zapanowały pełna harmonia i zrozumienie.

Alek ruchem głowy wskazał kuchnię, choć pewnie Ksenia i tak bez problemów by do niej trafiła. Wystarczyło zrobić dwa kroki w bok, by znaleźć się w malutkim aneksie, w którym oprócz kilku szafek stały zlew, lodówka i kuchenka. Blat był wystarczająco szeroki, by pokroić chleb i położyć dwa talerze.

Ksenia zajrzała do lodówki. Wielkiego pola do popisu Alek jej nie zostawił: kilka jajek, plasterki wędliny i margaryna.

– Mam nadzieję, że jajecznica jeszcze ci się nie znudziła – zapytała.

Odpowiedział jej śmiech.

Ksenia także się uśmiechnęła, po raz kolejny. Poczula wewnętrzne ciepło i postanowiła cieszyć się tym momentem. Wiedziała, że taka okazja szybko może się nie powtórzyć. A teraz miała namiastkę... Czego? Sama nie wiedziała. Domu? Normalności?

Zostaw to, pomyślała. Żyj chwilą.

Rozejrzała się. Nietrudno było się domyślić, że Alek wynajmuje to mieszkanie: w szafce miał zaledwie kilka talerzy i szklanek, nie mówiąc już o sztucach pochodzących chyba z pięciu różnych kompletów. Czajnik bezprzewodowy stał na podłodze. Kabel był za krótki i tylko dzięki temu sięgał do kontaktu.

Ksenia wylała wodę do zlewu. Przepłukała czajnik, w którym dużo było kamienia, wlała i zagotowała świeżą wodę. Herbatę na szczęście znalazła, tylko cukru brakowało, ale akurat do tego była przyzwyczajona. Skroiła wędlinę i wbiła jajka na patelnię.

– Nie ma chleba. – Ksenia odwróciła się do Alka.

– To nic. Może być i bez chleba.

Znów skinął głową i wciągnął w nozdrza zapach.

– Ładnie pachnie.

– Zobaczymy, jak będzie smakować. Kucharka ze mnie żadna, może i jajecznica okaże się niejadalna? Bez chleba przełkniesz?

Sama nie wiedziała, skąd u niej ochota do przekomarzań. Może stąd, że od lat z nikim tego nie robiła. Nie wymieniała zdań o jajeczniczy czy chociażby o durnowatej pogodzie. Dyżury w butiku, powroty do domu, rozmowy z kotem...

Nie myśl o tym, skarciła samą siebie. Żyj chwilą.

– Bardzo dobrze mówisz po polsku – zauważył.

– A dziękuję. – W pierwszej chwili nie skojarzyła, o czym mówi Alek. Dopiero po chwili zamarała z drewnianą łyżką w trakcie mieszania jajeczniczy. – Zważywszy na to, że nigdy po polsku nie mówiłam.

Ksenia obróciła się do Alka, spodziewając się, że znów jedynie skinie głową, on jednak uśmiechnął się w odpowiedzi szeroko.

– Sam bym tak chciał – powiedział. – Z rosyjskiego miałem same tróje. Ponimajesz?

Przyjął jej oświadczenie tak zwyczajnie i swobodnie, że zaczęła się śmiać.

– Rozumiem – zachichotała. – Mam nadzieję, że będziesz wyrozumiała dla moich zdolności kulinarnych.

– Myślisz, że można zepsuć jajecznicę? – zapytał, unosząc brwi.

– Zobaczymy – odpowiedziała, nakładając porcje na talerze. – Zaniesiesz herbatę do pokoju?

– Pewnie!

Ksenia poczuła jego bliskość. Nie było to niczym niezwykłym w tak małej kuchni, ale

gdy otarli się ramionami, przeszył ją dreszcz i poczuła jeszcze intensywniejsze ciepło. Miała nadzieję, że nie rumieni się jak mała dziewczynka. Odliczyła do dziesięciu i ruszyła za Alkiem do pokoju, niosąc talerze i sztućce.

Alek stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Gdy podeszła do niego, za oknem pojawiły się ciężkie, mokre płatki śniegu.

Cztery kobiety w białych sukniach stały na chodniku przed blokiem. Patrzyły w górę, w okno mieszkania Alka. Tkwiły tak bez ruchu niczym posągi. Między zaparkowanymi samochodami przemykały cienie dziwnych małych zwierząt. Od strony innych bloków sunęły kolejne.

– Morowice – powiedziała.

Nie miała pojęcia, skąd wie, jak się nazywają. Chociaż nie... Kucharka w domu dziecka, babcia Anastazja, opowiadała o głodzie i zarazie przed wojną i w czasie wojny. Na wsiach wtedy widywano morowice, które pojawiały się, niosąc zagładę i śmierć.

– Chodź. – Pociągnęła Alka za rękaw. – Nie przyjdą tu. Musiałyby mieć moje przyzwolenie.

Popatrzył na nią uważnie. W oczach miał coś, co przejmowało ją drżeniem. Ufał jej, zaakceptował Ksenię taką, jaka była, bez pytań i wątpliwości. Czy rzeczywiście mógł jej zaufać, ot tak?

– Ta jajecznicza jest w tej chwili najgroźniejsza dla naszego życia – zażartowała.

Znów się zaśmiał, choć wydawać by się mogło, że kolejny dowcip o jajecznicy straci już swoją siłę.

Jedli w milczeniu. Alek podejrzliwie spojrzął na pierwszy kęs, ale widać było, że się wygłupia. Smakowało mu, choć jadł bez pośpiechu. Ksenia wiedziała, że jej gospodarz nad czymś się zastanawia.

– Co cię trapi? – zapytała.

– Wszystko i nic – odpowiedział.

Pił gorącą herbatę niemal duszkiem, jakby wrzątek nie mógł zrobić mu krzywdy. Bo w sumie nie mógł, zorientowała się Ksenia.

– Nie chcesz zapytać, co dalej? – podjęła temat.

– Co dalej? – zapytał wedle życzenia.

– Nie wiem, chciałabym wiedzieć, ale nie wiem.

– Dziś tu zostaniemy, jeśli możesz powstrzymać to na zewnątrz. – Od niechcenia machnął ręką za siebie.

– Mogę – potwierdziła.

– Zastanowimy się nad wszystkim, jak przyjdzie czas. – Sięgnął po pilota, który leżał na stoliku, i włączył telewizor. – Ale teraz chyba oboje musimy odpocząć.

Odpoczynek przed telewizorem, może przy dobrym filmie, serialu albo teleturnieju. Dobrze to rozumiała. Ona też nie znosiła ciszy, brzęczącej w uszach i powodującej galopadę myśli. Szum telewizora ją uspokajał. Tak, przy tym magicznym pudełku potrafiła odpoczywać. Niewiele się z Alkiem różnili.

Program kulinarny, a dokładniej zawody, podczas których kilku kucharzy amatorów przygotowuje potrawy, a ocenia je jury złożone z profesjonalistów. Emocje, pragnienia, porażki. Czysto ludzkie błędy. Przekrój uczuć w kilkunastu minutach.

Zjedli. Powstrzymał ją, gdy chciała zabrać puste talerze. Sam to zrobił, poszedł do kuchni i wstawił je do zlewu. Nie umył. Morozowa zastanawiała się, dlaczego zanotowała ten fakt.

Przypadłość samotników? Żadne z nich nie miało drugiej osoby, która zwróciłaby na to uwagę. Czasem tak bywało lepiej. Ksenia знаła niejedno małżeństwo, które rozpadało się przez równie błahe powody. Nieumyte talerze i brudne skarpetki stawały się przyczyną wzajemnych oskarżeń, a potem wojny.

Alek wrócił i usiadł na swoim fotelu. Ksenia patrzyła na niego ukradkiem. Raz zrobili to w tym samym momencie i oboje mocno się zaczerwienili. W końcu dziewczyna zupełnie się odprężyła. Obecność drugiej osoby, tak obcej, a zarazem bliskiej – dawno niczego takiego nie czuła. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ważne jest mieć kogoś na wyciągnięcie ręki, codziennie. Szybko się nudzą, wszystko im powszednie. Ale Ksenia miała wrażenie, że jej to by nie dotyczyło. Ona cieszyłaby się każdą chwilą.

Głupia, zaczęła się strofować. Jesteś samotna i samotna będziesz. Nigdy nie wiedziałas, czego w życiu chcesz. Już po kilku dniach wierciłabyś Alkowi dziurę w brzuchu, że nie umył talerzy. Denerwowałoby cię, że milczy, że nie zwierza się, że jest zamknięty w sobie. Zniszczyłyby cię domysły, co mu krąży w głowie. Co myśli o tobie, czego pragnie, a może nie wie, jak powiedzieć, że ma dość.

A co z Miszą?

Ksenia przymknęła oczy. Widywali się często. Asieniewicz był równie nieśmiały jak ona i coś zaiskrzyło. Jakaś niewidzialna więź ich połączyła. Ona myślała o nim i wiedziała, że on myśli o niej. A teraz?

Misza się zmienił. Widziała w jego oczach, że nie jest tym samym chłopakiem, który odwiedzał ją w butik, zapraszał na kawę i przejeżdżał obok jej bloku, mimo że wcale nie było mu po drodze.

Morozowa uśmiechnęła się. Misza o tym nie wiedział, ale poznała jego tajemnicę i, prawdę mówiąc, często wyglądała czerwonej łady ze swojego okna.

Nagle zapragnęła poszukać Miszy. Nie w myślach, nie we wspomnieniach, ale tu, w rzeczywistości. Chciała wiedzieć, gdzie jest i co robi.

Przeszył ją chłód. Wydało jej się, że go widzi, jadącego samochodem z kilkoma innymi ludźmi. Dostrzegła jego zaciętą twarz, zmarszczkę, która pogłębiła się na czole. Miała wrażenie, że jeśli tylko bardzo zechce, to dotknie tej twarzy, przejedzie palcami po zarośniętym policzku. Jeśli tylko będzie chciała, dotknie jego myśli.

I robiła to. Myśli Asieniewicza widziała teraz jak na dłoni. Krążyły wokół niej i... wokół Alka. Od miłości do nienawiści. Za co tak bardzo nienawidził Bielskiego?

Ksenia zawstydziała się. Nie miała prawa zaglądać mu do głowy. Czuła się jak bydlę, które robi coś okropnego innej osobie wbrew jej woli. Do tego była zdolna?

Nie. „Jesteś dobrym dzieckiem i dobroć będzie z tobą zawsze” – nie wiedziała, dlaczego przypomniała sobie te słowa. Obrazy powróciły jak żywe. Wielki zimny budynek otoczony lasem. Pokoje z łózkami i piętra, na których mieszkały dzieci takie jak ona.

W tym odpychającym miejscu spotkała kobietę, zwykłą kucharkę, która zawsze dobrze jej życzyła. Dla niej była Kseniuszą, dobrym dzieckiem, a nie bezimienną dziewczynką. W domu sierot to znaczyło wiele.

Nie wiedziała, dlaczego nagle przywołała to wszystko w pamięci. Może tam tkwiła odpowiedź? Może tam powinna szukać? Ksenia zdała sobie nagle sprawę, że nie słyszy telewizora. Czyżby Alek go wyłączył, bo myślał, że zasnęła?

Otworzyła oczy. Dziwne uczucie, które ją ogarnęło, spowodowało, że zrobiło jej się niedobrze. Patrzyła na wszystko jak przez tubę. Pokój oddalił się, wydawało się, na kilkanaście metrów, a potem równie nieoczekiwanie przybliżył. Obraz na ekranie zamarł w stop-klatce. Ksenia obróciła głowę w prawo. Alek wpatrywał się w telewizor. Nie poruszał się, jak postać na

zdjęciu zrobionym polaroidem.

Morozowa usłyszała zegar, a właściwie ostatnie pyknięcie wskazówki, które rozbrzmiewało w nieskończoność. A potem nawet ten dźwięk zamarł. Poświata telewizora i lampy drżała. Ksenia poczuła zimno, nie była w stanie się poruszyć.

Nagle zasłona przy oknie zafalowała.

Ksenia złękła się. Chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Czyżby przeceniła swoje siły? Oczami wyobraźni widziała, jak demony, czekające do tej pory na zewnątrz, wdzierają się do mieszkania, jak otaczają ją i Alka. Jak ruchliwa rozedrgana masa przykrywa ich i zgniata w śmiertelnym uścisku.

– Nie bój się, Kseniuszko.

Najpierw usłyszała głos, który wydał jej się znajomy, a dopiero po chwili zobaczyła materializującą się postać kobiety. Znała ją. Spotkały się wiele lat temu, gdy była małą dziewczynką.

– Pani... pani Anastazja?

– A jakżeby inaczej? Wezwałaś mnie, nie mogłam nie odpowiedzieć na tak miłe zaproszenie.

– Ale przecież pani... – Ksenia uniosła dłoń do ust, próbując siłą woli uspokoić wyskakujące z piersi serce.

– Nie żyję? – Teraz już zmaterializowana Anastazja Zuskina zerknęła na swoje ciało, uniosła nawet ręce i spojrzała na nie pod światło. Palce wciąż były transparentne, co chyba nieco zdziwiło kobietę. – Oj, jak widzisz, takie głupoty nie przeszkodzą nam w rozmowie.

Uśmiechała się szeroko. Gdyby Zuskina nie lewitowała, Ksenia uznałaby, że rozmawia z materialną osobą, a nie duchem.

– Przyszłam ci przypomnieć o czymś, o czym chyba zapomniałaś.

– O czym? – Ksenia zapytała ostrożnie. Wciąż nie wiedziała, czy śni, czy to, czego jest świadkiem, dzieje się naprawdę. A przecież ostatnie wydarzenia w jej życiu były chyba jeszcze bardziej pokręcone niż rozmowa ze zmarłą.

– Przywieźli cię do nas taką malutką...

Ksenia milczała. Strach już odszedł, ale wciąż nie mogła uwierzyć, że widzi Anastazję Zuskinę, kucharkę z sierocińca. Zuskina zawsze nazywała ją księżniczką. Czasem dawała jabłko lub kompot do picia. Mała Ksenia trochę się jej bała, bo kucharka przypominała nieco złą czarownicę z bajek, ale jabłko brała. Z czasem przyzwyczaiła się do tego, że kobieta ją sobie upodobała i traktowała inaczej niż pozostałe dzieci. I była jej za to wdzięczna.

– Wie pani... – Ksenia przełknęła ślinę. – Wie pani, kto mnie wtedy przywiózł?

– Pytałaś mnie już o to. – Zuskina uśmiechnęła się, ale i z dezaprobatą pokręciła głową. – Przecież bym cię nie okłamała. Biernacki, dyrektor, przywiózł cię ze szpitala. Sprawdzałam papiery w jego biurze, ale nic o tobie nie było. Teczka pusta, a na niej tylko litera P i twoja data urodzenia.

– To już wiem. – Ksenia opuściła głowę. – Wiem też chyba, kto jest moim ojcem. To P wiele mówi.

– A, już wiesz. – Anastazja niby to stwierdziła, a niby zapytała. – To zapewne też wiesz, że do tego sierocińca nie trafiały przypadkowe dzieci.

Chyba była zadowolona, widząc w oczach Kseni zaskoczenie.

– A tak – potwierdziła, unosząc się nieco wyżej, jakby rozpierała ją duma. – Trafiały tam niechciane dzieci prominentów, niewygodne, z nieprawego łóża, a i te, których wysoko postawieni rodzice się wstydzili, bo rodziły się chore. Niechciane, nielubiane lub niewygodne. Jednak w twoim przypadku wiedziałam, że chodzi o coś więcej.

Zuskina tajemniczo się uśmiechnęła, a Ksenia popatrzyła na nią uważnie.

– Naprawdę tak mało pamiętasz?

Morozowa potaknęła. Pamiętała budynek w lesie, trzypiętrowy gmach z dużym podwórkiem otoczonym wysokim murem. Pamiętała bramę, która niemal zawsze pozostawała zamknięta, oprócz chwil, gdy przywożono jedzenie albo gdy przyjeżdżał ktoś w odwiedziny. Te jednak zdarzały się rzadko i nigdy nikt nie przyjechał do Kseni. Morozowa pamiętała bliźniaków, których złośliwie nazywano Młotami. Uderzali głowami niczym młotkami o ściany, drzwi, a czasem sami o siebie. Do nich czasem ktoś przyjeżdżał. Ksenia pamiętała młodą kobietę w futrach, bladą, o smutnej twarzy, która zamykała się w pokoju z bliźniakami, a po paru godzinach wychodziła, płacząca, jakby bez życia, i nie wracała przez kolejnych kilka miesięcy.

– Pamiętam wiele – w końcu odezwała się Morozowa – ale nie przypominam sobie nic szczególnego.

– Oj! – Anastazja popatrzyła na nią zaskoczona. – Poszłaś w świat, wypuścili cię po latach i zapomniałaś? O starej Zuskinie, o tych, którzy cię strzegli i o naszym sierocińcu?

– Strzegli?

– No tak. – Kucharka kiwnęła głową. Ten ruch spowodował, że uniosła się pod sufit, a potem opadła na podłogę. – Zawsze przy tobie czuwali... Widziałaś ich przecież. Mówiłaś, jacy są piękni.

Ksenia zmarszczyła brwi i potarła ramiona, bo chłód stał się jeszcze bardziej przenikliwy. Spojrzała na Alka z irracjonalną myślą, że w tym zimnie mężczyzna może się zaziębić. Zwalczyła odruch, by znaleźć koc i go nim okryć.

– Strzegli cię. Ja ich nie widziałam, ale wyczuwałam. Tak jak wyczuwałam, że jesteś inna. Cieszyłam się, gdy wreszcie się stamtąd wyrwałaś, gdy zaczęłaś życie w Moskwie. Wiedziałaś, że nic ci nie grozi, że sobie poradzisz. A teraz pogubiłaś się, dziecko, dlatego przyszedłem. Żebyś wiedziała, komu ufać, gdy przyjdzie czas. Przecież niewinny szkrab nigdy się nie myli.

– Ja naprawdę nie wiem, o czym pani mówi.

– Świetliste postaci, tak je nazywałaś. To one cię strzegli. I chyba nigdy nie przestały?

Anastazja popatrzyła na Alka. Popłynęła w jego stronę, okrążyła fotel, na którym siedział i, unosząc wysoko brwi, wymamrotała pod nosem:

– No, no, no.

– Ale Alek... – zaczęła Ksenia i nagle urwała pod wpływem jakiejś myśli.

– Ja tylko przyszedłem ci przypomnieć. – Zuskina zaśmiała się, podfrunęła pod sufit i nagle znikła.

Zegar ruszył. Dźwięk telewizora stał się tak głośny, że Ksenia podskoczyła w fotelu. Alek spojrzał na nią, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, jednak zrezygnował. Czujnie rozejrzał się wokół.

– Wszystko w porządku? – Znów na nią spojrzał.

Ksenia zapatrzyła się w zaciśnięte pięści, które trzymała na kolanach.

– Tak – odparła, bo co miała innego powiedzieć? Że odwiedziła ją stara znajoma? Nie chciała nam zrobić krzywdy, tylko o czymś przypomnieć, i była... duchem? Chociaż może to żadna rewelacja, gdy weźmie się pod uwagę, że pod blokiem czekał na nich zastęp demonów?

– Będziemy musieli podjąć decyzję.

Skinęła głową.

– Domyślasz się, co planują?

– A skąd mam to wiedzieć? – odpowiedziała natarczywie. Zreflektowała się jednak. Na szczęście na twarzy Alka nie zmieniło się nic, patrzył na nią ze zrozumieniem, jak na zbuntowaną

nastolatkę, której hormony buzują i nie potrafi nad nimi zapanować. – Nie wiem, po prostu. Najgorsze jest to, że odpowiedź na to pytanie mnie nie interesuje.

– Nie chciałabyś wiedzieć, czego oni od nas chcą?

Czego oni chcą? Ksenia wzruszyła ramionami. Oni? No tak. W sumie Alek mógł mieć na myśli wszystkich: Peruna, Welesa, a nawet tych, dla których sam pracował. Gra toczyła się gdzieś tam, w górze, oni sami byli pionkami.

– Ja też tak myślałem – powiedział po dłuższej chwili milczenia. – Chciałem zostawić wszystko własnemu biegowi. Uznałem, że nie chcę podjąć tej gry, którą oni najwyraźniej żyją od wieków. Ale wszystko się zmieniło.

– Tak? – zdziwiła się.

– Tak. W momencie, kiedy cię zobaczyłem. W tym wszystkim jest coś więcej. Tak wydawało mi się od początku. Nie wiem, czy prowadzą tę grę z nami, czy między sobą. Bardziej obstawiałbym, że walczą z naturalnym porządkiem rzeczy.

– Nie rozumiem.

– Chcą zmienić rzeczywistość. Doprowadzić do zmian, których się nie spodziewamy. Jednocześnie, żeby osiągnąć swój cel, chcą posłużyć się nami. A dokładniej tobą.

Ksenia spuściła wzrok. A jednak byli pionkami, może nawet bardziej marionetkami. Przyszła jej do głowy straszna myśl. Co jeśli ci, którzy prowadzili tę grę, odgadli ich każdy ruch, każdą decyzję? Nawet jeśli Kseni, Alkowi czy Miszy będzie wydawać się, że idą własną drogą, że podejmują właściwe decyzje, każdy ich ruch będzie służył sprawie tamtych?

Chociaż nie. Nagle Ksenia przestała tak myśleć. Jeszcze sobie tego nie uświadomili, ale tak naprawdę na tej szachownicy pełnili ważniejszą funkcję, być może decydującą. Ona, Alek, Misza... Zdała sobie sprawę, że w tej chwili ktoś czekał na ich ruch. Do nich należała inicjatywa. Ale jeśli jej samej rzeczywiście nie będzie zależeć...

– Zobaczyłam, kim jesteś, Alku – powiedziała nagle. – Wtedy, gdy ratowałeś mi życie.

Uniósł brwi pytająco.

– Ty sam nie wiesz, kim jesteś, ale się dowiesz. – Uśmiechnęła się słabo.

Nie drążył tematu.

– A kim ty jesteś, Kseniu?

Zastanowiła się.

– Tego muszę się dowiedzieć.

– Obstawiam, że dowiemy się szybko. Mam przecucie, że dowiemy się tego łąda dzień.

Nie tylko ty i ja, ale i Misza.

Teraz to ona skinęła głową.

– Misza... – powiedziała cicho. – Każde z nas ma rolę w tym przedstawieniu. Niestety nie wiem jaką.

– Musi ci jednak zależeć, Kseniu. Jeśli nie odnajdziesz swojej drogi, wszyscy marnie skończymy.

– Wiem.

Bielski poruszył się niespokojnie. Popatrzył na nią.

– Zaraz tu będą.

Otworzyła usta, jakby chciała zaprzeczyć, ale zobaczyła coś w oczach Alka. W tym momencie okno w pokoju pękło z głośnym brzękiem. Bielski skoczył w stronę dziewczyny, zakrywając ją własnym ciałem.

Ksenia zdążyła zobaczyć czarny cień, który wtoczył się z odłamkami szkła do pokoju. Chciała krzyknąć, ale głos ugrzązł jej w gardle. Ułamek sekundy później w pomieszczeniu rozległ się ogłuszający huk i wszystko przykryły chmury gryzącego dymu.



Misza rozejrzał się po mieszkaniu. Chłopaki musieli użyć hipnotycznej perswazji na właścicielach tej klitki. Krótka ingerencja, w której specjalizowali się ci z interwencyjnej. Wciąż nie mógł przyzwyczać się do faktu, że właściciele mieszkania siedzą w jednym z pokoi, gapiąc się z głupawymi uśmiechami na twarzy w ekran wyłączonego telewizora.

– Mogliście im chociaż puścić jakiś serial – powiedział Misza do Andrieja, który zaśmiał się chrapliwie.

– A po co? Jakżeś taki delikatny, to sam to zrób. Albo jeszcze lepiej wmów im, że oglądają jakiś kinowy hit. Co teraz leci w kinach, Iwan? Ten nowy *Iron Man*? Wciśnij jakąś odjazdową akcję, dużo nawalanki, miłosny wątek itepe.

– Skoro dostałeś od najwyższego dostęp do piątego poziomu, to dla ciebie powinna być pestka! – Iwan zarechotał jak stara wiedźma. Słysząc było jednak zazdrość w jego głosie. – Musisz uważać, podobno taka moc to jak narkotyk. Żeby ci sodówka nie uderzyła do głowy.

Asieniewicz postukał się w czoło. Poszedł do pokoju obok i włączył odbiornik. Właśnie leciał program kulinarny.

– Chodź tu. – Andriej przywołał go do salonu. Było w jego głosie coś, co przyspieszyło bicie serca u Miszy. – Polaczek panienkę se przygruchał, ładna nawet... Może jak dłużej poobserwujemy, to zobaczymy, jaki z niego pistolet?

– Odsuń się. – Misza niezbyt delikatnie klepnął Andrieja w plecy.

– No co jest? – Oburzył się tamten, rozmasowując ramię. – Co cię ugryzło?

– Powiedziałem, odsuń się – warknął Asieniewicz.

Andriej spojrział z wyrzutem, ale posłuchał bez kolejnego komentarza.

Misza popatrzył przez lunetę. Grube ściany nie stanowiły problemu dla tego cacka. Asieniewicz dostrzegł siedzącego przy stole Alka, a obok niego...

– Przesłałem jej zdjęcie do centrali – poinformował Iwan. – Zbadają, co to za panienska. Może nikt ważny. Ale jak będzie trzeba, to ją też zgarniemy.

Misza zacisnął palce na obudowie lunety. Andriej i Iwan nie widzieli wcześniej Kseni. Nie wiedzieli, kim jest.

– Sam bym ją przygruchał. – Andriej zarżał jak kobyła. – Miszy też się podoba, bo wzroku nie może oderwać.

– Iwan, poczekaj z tym wysyłaniem. – Asieniewicz próbował zapanować nad głosem i emocjami.

– Za późno. Poszło. Już przyjęli...

Misza skinął głową. Odsunął się od lunety i wyjrzał ostrożnie przez okno, odciągając lekko zasłonę. Popatrzył w dół, na ulicę. Widok zmroził mu krew w żyłach. Szpaler postaci, kołyszących się miarowo, pogrążonych w jakimś szaleńczym transie.

Wzrok Asieniewicza powędrował wyżej. Na ścianie budynku i dachu zobaczył cienie, nieruchome, jakby wykute z lodu. Czekają.

– Na dupy patrzycie, a o tym nie raportujecie? – warknął, spoglądając na Andrieja i Iwana, którzy nagle wpadli w popłoch. Iwan podbiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz, Andriej z napięciem patrzył na kolegę, czekając na jego ocenę sytuacji.

– Psia mać – zaklął Iwan i popędził z powrotem do nadajnika. – Co tu, w mordę, się

dzieje?

Misza oddychał płytko, myśli kłębiły mu się w głowie. Alek i Ksenia razem. Razem. A on? Po drugiej stronie barykady. Po drugiej stronie życia.

– Centrala wysłała wsparcie. – Iwan był blady.

Asieniewicz nie widział do tej pory, by któryś z chłopaków z interwencyjnej stracił zimną krew. Jednak i oni nie byli głupi. Wiedzieli, że coś się tutaj święci. Zostali wrzuceni w spore gówno. Nie trzeba było być geniuszem, by to dostrzec.

– Już są – dodał.

– Tak szybko? – Andriej usiadł na fotelu, a po chwili znów wstał.

Asieniewicz zacisnął szczęki. Zrozumiał, czym były cienie przykute do ścian. Musieli tu już być, czekać, jakby wiedzieli. Bo przecież wiedzieli. Misza zaczął się śmiać. Andriej i Iwan spojrzeli na niego jak na wariata. Wciąż toczyła się gra, ale tej gry Misza już nie lubił. Nie miał zamiaru jej dłużej ciągnąć.

– Co robimy? – zapytał Iwan.

Misza spojrział na niego dziwnie. Schował ręce za plecy, układając palce w znak perswazji.

– Usiądziecie obok tej przemiętej rodziny i pooglądacie telewizję.

– Co ty? – Iwan chciał unieść dłonie, ale te nagle zwisły mu wzdłuż ciała. Andriej znów opadł na fotel.

– Macie szczęście. Nadają właśnie topowy film, *Iron Man kontra Hulk*. Odjazdowa akcja, dużo nawalanki, miłosny wątek itepe.

Iwan także oklapł. Usiadł wprost na dywanie.

– Dobrego seansu, panowie. Chcieliście poziomu piątego, to macie.

Misza odwrócił się od współpracowników. Tyle siły i pewności, dostęp do mocy zastrzeżony dla nielicznych. Trudno będzie oddać ten dar, pogodzić się z jego stratą, bo to tak, jakby miał się nagle zgodzić na powrót do normalności, a w sumie do ułomności. Zaiste, narkotyk. Asieniewicz nagle stracił całą swoją delikatność. W ogóle mu nie przeszkadzało, że Iwan i Andriej z głupekowatymi wyrazami twarzy wpatrują się w odrapaną ścianę.



Wyczułem ich zbyt późno. Zdażyłem jedynie złapać Ksenię za łokieć i pchnąć za kanapę. Weszli z dwóch stron, przez wybite okna i od strony korytarza. Wszystko spowił dym.

Dziewczyna rozkaszała się i skuliła na podłodze, tymczasem ja próbowałem wstrzymać oddech.

Zmrużyłem oczy, wiedząc, że nie na wiele się to zda, ale, o dziwo, kłębiące się opary nie powodowały łzawienia. Ostrożnie wciągnąłem powietrze w płuca. Lekkie łaskotanie w gardle, to wszystko.

Pierwszemu napastnikowi zerwałem maskę z twarzy i uderzyłem go w szczękę. Przechylił głowę w bok, a wtedy kopnąłem go w zgięcie kolana tak, że upadł do tyłu na swojego towarzysza.

Odgłos wystrzału. Odłamki cementu uderzyły mnie w policzek. Od strony drzwi usłyszałem okrzyk. Stało się jasne, że przyszli tu w jednym celu.

Drugi z napastników wymierzył w moją stronę. Uniósł broń, a ja miałem wrażenie, że czas nagle rozciągnął się do granic możliwości. Byli wolni, zadziwiająco wolni. Wystarczył

mocny chwyt. Moje palce złapały za kolbę. Rozpoznałem pistolet maszynowy bizon. Niektóre rosyjskie jednostki specjalne miały w nim upodobanie. Całkowicie niezrozumiałe. Mocno szarpnąłem, wyginając nadgarstki mężczyzny. Znow ogłuszający huk wystrzałów. Jego towarzysze przy drzwiach krzyknęli. Jeden musiał oberwać.

Uderzyłem napastnika w krtań, wrywając mu jednocześnie broń. Znalazłem się za jego plecami i nacisnąłem spust, mierząc w drzwi przedpokoju z nadzieją, że chwilowo odbiorę im ochotę na kolejne głupoty. Myliłem się. Mężczyzną, którego trzymałem, wstrząsnęły konwulsje.

Nie mieliśmy żadnych szans.

Ruszyłem w stronę dziewczyny. Tarła oczy, co przynosiło jeszcze gorszy skutek. Nie wyglądała na spanikowaną, po prostu opierała się plecami o ścianę. Wciąż dławił ją kaszel, mimo że przy ustach trzymała narzutę, przez którą próbowała oddychać.

Zasłoniłem nas ciałem specjalsa. Był ciężki, ale udało mi się go utrzymać w pionie.

Wywaliłem niemal cały magazynek w okno, gdy pojawił się w nim kolejny cień. To nie mogło trwać długo. Ułamek sekundy później potężny podmuch rzucił mną o ścianę.



Misza wybiegł z budynku. Chodnik był zupełnie pusty. Jeszcze chwilę wcześniej pojawiały się na nim kolejne demony, ale teraz wszystkie rozplynęły się w powietrzu. Przed klatką schodową zaparkowane były dwa samochody terenowe. Obok nich stało kilku potężnych mężczyzn w kominiarkach.

Asieniewicz wyczuł, że go sondują. Zezwolił na tę ingerencję, która objawiła się łaskotaniem w czaszce. Sondującemu dał zaledwie sekundę i wypchnął go z umysłu. Użył mocy, by wpłynąć na decyzję ochrony i uzyskać dostęp do budynku. Jeden z uzbrojonych zachwiał się, ale skinął głową, uznając, że Misza ma prawo do ingerencji.

– Zaraz ich dopadną – rzucił za Asieniewiczem.

Ten potknął się na schodach. Kolana stały się miękkie, musiał oprzeć się o ścianę, by się nie przewrócić. Winda była wyłączona. Misza przewyciężył słabość i pognął w górę.

Klatkę wypełnił gryzący dym, lecz Asieniewicz nie zwalniał. Niecierpliwie poruszył dłońią i wokół jego głowy wytworzyła się niewidzialna bańka z powietrzem. Używali tego zaklęcia na kursie podstawowym.

Nie uczyli go jednak, jak powstrzymać kilkunastu komandosów, mających za zadanie zlikwidowanie celu. Misza minął ubezpieczającego schody. Musieli dostać informację, że ktoś się pojawi, bo mężczyzna nawet nie drgnął.

Asieniewicz z pełną prędkością skręcił w korytarz, z którego dobiegł głośny okrzyk. To wszystko było jak sen. Budynek z mieszkańcami zamkniętymi w swoich czterech ścianach, nieświadomymi tego, co dzieje się tuż pod ich nosem. O to zadbał już Departament, powietrze aż iskrzyło od ilości zaklęć.

– Misza, nie idź!

Zemstow. Mógł się domyślić. Tylko on miał taką siłę. To on stawiał zaklęcia i kontrolował sytuację, a ci uzbrojeni po zęby faceci byli jedynie wykonawcami.

Asieniewicz zobaczył dwóch komandosów stojących przy drzwiach. Nie kryli się, byli wyraźnie rozluźnieni, jakby czekali na hasło do odwrotu.

Nie! – krzyczał w myślach. To nie dzieje się naprawdę.

Wbiegł do przedpokoju. Boazeria na ścianach. Dlaczego myślał o tej cholernej boazerii? Dwa głuche wystrzały. Misza widział już wnętrze pokoju i komandosa, który wykonał wyrok.

Alek leżał na wznak ze zmasakrowaną twarzą. Ręce szeroko rozrzucone, jakby chciał chronić siedzącą pod ścianą osobę. I ona. Kobieta, która osuwała się właśnie na bok, pozostawiając na tynku krwawy ślad. Smugę przypominającą niezdecydowane maźnięcie pędzlem.

Misza postąpił jeden krok, potem kolejny.

Zabójcy w kominiarkach wyminęli go bez słowa. Ulotnili się bezszelestnie niczym kamfora. Zatrzymał się przy ciałach. Ugięły się pod nim kolana. Uderzył nimi dotkliwie o podłogę, klękając w czerwonej kałuży. Poczuł ciepło przesączające się przez nogawki.

Wyciągnął drżącą rękę i dotknął ramienia Kseni, jakby chciał się upewnić, że to przywidzenie, iluzja, która zaraz rozplynie się w powietrzu.

Dziewczyna była blada, lecz wciąż piękna i delikatna. Wydawało się, że tylko śpi.

Ksenia Morozowa jednak nie żyła, tak jak i Alek, który próbował ją obronić. Misza poczuł niezrozumiałą złość właśnie na Bielskiego. Przecież to on, Asieniewicz, a nie Polak powinien w tych ostatnich chwilach osłaniać kobietę, którą kochał. On, nie Alek!

Popatrzył na Bielskiego. Czaszka Polaka była rozłupana niczym skorupa orzecha. Misza poczuł do siebie odrazę. Jeszcze przed chwilą całą swoją złość chciał wyładować na martwym.

Boże. Na kolanach przesunął się do Kseni i objął ją ramionami. Moc, którą się upoił, zdała się na nic. Dziewczyna była tak lekka, tak ulotna, jakby zaraz miała unieść się w powietrzu, zniknąć z tej przestrzeni, zostawiając go samego.

To była jego wina. Pozwolił na to. Nie przewidział. Nie szukał jej, choć powinien.

– Wybacz... – Łzy spłynęły z jego policzków na policzki Kseni, zmieszały się z jej krwią.
– Wybacz.

Alek poruszył się. Misza wstrzymał oddech, przez chwilę był pewny, że mu się to przywidziało. Potem zrozumiał, że z ciałem Bielskiego dzieje się coś dziwnego. Rozłupana czaszka zaczęła się zasklepiać. Z początku niezauważalnie, jednak z każdą sekundą kości pęczniały, wydłużały się w miejscach ubytków. Zresztą nie tylko one. Żyły wiły się niczym bluszcz, wrastając w zawiązujące się mięśnie. Kilka minut później ranę zaczęła przesłaniać świeża skóra, przez którą nieśmiało przebijały włosy.

Misza po chwilowym oszołomieniu pocałował Ksenię. Podniósł ją i ruszył w stronę drzwi. Nie czekał, aż Alek się ocknie. Nie potrafiłby spojrzeć mu teraz w oczy.

Wychodząc, jeszcze raz spojrzął na twarz Kseni. Wiedział, że zabiera tylko ciało. Pustą skorupę, która nie znaczyła wiele. A potem wyszedł z mieszkania Alka i z budynku.



Ból. Zgrzyt pękających zębów. Świdrujące czaszkę palące ukłucie.

Ciężar uciskał mi piersi, nie mogłem oddychać. Chciałem tylko jednego: by ktoś zdjął ze mnie kilkutonowy odważnik, który zgniatał mi zebra.

Wydusiłem z siebie niezrozumiałą bełkot i uniosłem dłonie do twarzy. Czulem mrowienie na policzkach, wargach. Czaszkę przeszył kolejny kłujący ból.

– No, niezła jazda, co?

Usłyszałem głos, który wydawał się znajomy, nie potrafiłem jednak dopasować go do

żadnej twarzy. Najprościej było unieść powieki i przekonać się, do kogo należy, ale nie miałem na to siły. Bałem się, że gdy otworzę oczy, nie będę w stanie wytrzymać bólu.

– Alek?

Drugi głos, także znajomy. Mniej natarczywy niż poprzedni. Nie odbijał się zwielokrotnionym echem pod sklepieniem czaszki.

– Alek?

– Czego? – Słowa ledwo przechodziły mi przez gardło. Dawno nie miałem takiego kaca. Zastanawiałem się, ile butelek „pękło” poprzedniego wieczora. Piłem z tymi dwoma czy sam?

– Alek, nieźle cię poskładało. Nie zdążyliśmy. Gdybyśmy tylko dopadli tych skurwieli, którzy to zrobili...

Wspomnienia powróciły w jednym oślepiającym błysku. Usiadłem, otwierając oczy. Pożałowałem tego w tym samym momencie. Świat zawirował, a ja zwymiotowałem żółcią, obryzgując nogi stojącego przy mnie mężczyzny.

– Leż!

Poczułem na sobie ciężką dłoń, ale ją odtrąciłem. Opuściłem nogi z łóżka i rozejrzałem się odruchowo, szukając jej ciała. Byłem w innym pokoju, w innym mieszkaniu, w innym czasie.

Lel i Polel stali obok z marsowymi minami. Żaden się już nie odezwał, tylko patrzyli na mnie w napięciu.

– Gdzie... gdzie jest jej ciało?

– Alek, jej ciało zabrali ci z Departamentu Wschodniego. Ledwo zdążyliśmy cię stamtąd wynieść przed nimi.

Skinąłem z trudem głową. Miałem ją przed oczami: spokojną, nawet w tej ostatniej chwili. Nie obroniłem jej, popełniłem błąd.

– Kto to zrobił? – zapytałem ochrypłym głosem.

– To już nieważne – powiedział ostrożnie Polel, patrząc na brata. – Niczego nie zmienimy.

– Kto to zrobił? – Spojrzałem na nich. Musiało być w moich oczach coś, co ich wystraszyło, bo odsunęli się odruchowo.

– Starłeś się z najemnikami, ale podejrzewam, że stoi za tym Wschodni...

– Podejrzewasz czy jesteś pewny?

– Jestem pewny. – Polel zacisnął szczęki.

– Co na to Mentor? – Ksywa byłego szefa ledwo przeszła mi przez gardło.

– Oficjalnie potępiliśmy ich akcję. Sprawa trafiła do Rozjemców i...

– Przestań pierdolić. – Próbowałem wstać, ale kolana odmówiły mi posłuszeństwa i usiadłem z powrotem na łóżku. – Robią, co chcą. Wschodni z Perunem na czele. Nasi im na to przyzwalają, musieli dać zielone światło. Albo czekają na błąd Peruna, albo chcą ugrać coś dla siebie.

– No, nie wiem. – Polel pokręcił głową. – Rozumiem, że jesteś zdenerwowany, ale...

– Zdenerwowany? – parsknąłem, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Po tym, co zrobili?

– Alek – Polel sięgnął po krzesło, przesunął je, a potem usiadł – zastanów się. Nie sądzisz, że coś tu nie gra? Po co Perun kazałby zabić własną córkę?

Milczałem. Gniew przysłonił mi umiejętność racjonalnego myślenia.

– Może we Wschodnim doszło do rozłamu? Buntu? – dołączył się Lel.

– Nie można tego wykluczyć. – Polel z namysłem kiwnął głową. Całkiem serio brał pod uwagę domysły brata. – Alek, ona była dla nich najważniejsza. To po nią przyszli.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że po prostu stanąłem im na drodze?

– Przecież Perun wie, że jesteś niezniszczalny. Nie troszczyli się o twoje ciało. Nie ścigają cię nawet teraz.

Schowałem twarz w dłoniach. Nie mogłem zebrać myśli do kupy, wszystkie rozpieczęły się, jakby ktoś rozwalił mi dyńkę. Zaśmiałem się mimowolnie – przecież pamiętałem, że strzelili mi w łeb. Kaliber wystarczający do rozbebeszenia głowy niczym mięsistego arbuza.

– Wszystko OK? – zaniepokoił się Lel. Chyba mój śmiech go zaniepokoił.

– Nic nie jest OK – odpowiedziałem, ale już bez złości. – Kompletnie nic.

Przez chwilę wszyscy trwaliśmy w milczeniu.

– Dlaczego ją zabili? – zapytałem w końcu. – Co im to dało?

– Widzisz, brachu. – Poleł najwyraźniej zaczął ważyć słowa. Przez chwilę patrzył na mnie uważnie, jakby zastanawiał się, co i ile może powiedzieć. – Ona według naszych wierzeń... Ona nie umarła. Nie cała, jeśli mnie rozumiesz. Jej dusza trafiła do Nawi.

– A więc znów Perun i Weles? – wychrypiąłem.

– Na to wygląda. – Wydawało się, jakby te krótkie słowa Polela wystarczyły za cały komentarz. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Najchętniej roześmiałbym się wprost w jego twarz, ale widziałem na obliczach bliźniaków napięcie i powagę.

– Jest coś jeszcze.

– Super, kolejna z tych dobrych wiadomości? – Nawet nie próbowałem okazać zdziwienia.

– Widzieliśmy Miszę.

– Gdzie? – W pierwszej chwili nie zrozumiałem, ale można było to wybaczyć koleśowi, którego mózg kilka godzin temu obryzgał pół mieszkania.

Zacisnąłem pięści i spojrzałem na Polela wyczekująco.

– On tam był – potwierdził, a Lel smutno pokiwał głową.



Wszedł do jakiejś knajpy. Ludzi było sporo, ale przy barze znalazło się wolne miejsce. Usiadł. W pierwszej chwili nie wiedział, czego chce od niego facet za kontuarem i dopiero gdy tamten po raz trzeci niecierpliwie powtórzył pytanie, Misza zamówił podwójną wódkę. Język rosyjski, a może mina Asieniewicza nieco spłoszyła barmana, bo zamówienie wykonał szybko i przymilnie zapewnił, że wystarczy sygnał, by Misza został obsłużony, gdy będzie miał na to ochotę.

Misza i tak nie słuchał. W knajpie musiało być głośno, ale dźwięki do niego nie dochodziły, jakby został otoczony niewidzialną błoną, tłumiącą bodźce ze świata zewnętrznego.

Nie otrząsnął się z szoku. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Ciało Kseni odebrali od niego ludzie z wydziału. Bez słowa, nie komentując tej śmierci. Na ich twarzach nie było zaskoczenia. Po prostu stało się to, co miało się stać. Bez pytań i wątpliwości. Wiedzieli? A może niejedno już widzieli, może byli świadkami bardziej szokujących i obrzydliwych rzeczy. I tylko niedoświadczony Misza odbierał to tak osobiście. Może dlatego, że znał Ksenię, może dlatego, że ją kochał?

Pusty kieliszek. Nawet nie zauważył, w którym momencie go opróżnił. Gardło paliło, wciąż było ściśnięte. Odsunął naczynie w stronę barmana. Ten w lot pojął, o co chodzi. Smirnoff znów wypełnił szkło.

Człowiekowi zawsze wydaje się, że ze wszystkim zdąży, na wszystko będzie miał czas. Na to, by powiedzieć, co czuje, by zrealizować swoje dążenia. Gówno prawda, Misza nie miał teraz wątpliwości. Na nic nigdy nie starczy ci czasu. Nigdy nie zdążysz powiedzieć ani zrobić tego, czego pragniesz. Po prostu zabraknie ci odwagi.

Perun. On musiał za tym stać. Nikt inny.

Departament Zachodni nie zabiłby Alka ani tym bardziej córki Peruna. To oznaczałoby wojnę. Oko za oko i ząb za ząb.

Dlaczego jednak zrobił to Perun? Był aż takim zwyrodnialcem? A może bogowie kierowali się innymi wartościami? Może u nich zabijanie było na porządku dziennym?

Asieniewicz czuł, że zmienił się przez ostatnie miesiące i ta przemiana kilkadziesiąt minut temu weszła w decydującą fazę, przyspieszyła. Kim stał się teraz? Jakie były jego dążenia? Jaką sprawę chciał załatwić, zanim znów zabraknie mu czasu?

Kolejna wódka. Misza zdał sobie sprawę, że to czwarta setka. Przesunął językiem po wargach. Znajoma ospałość ciała i umysłu, alkohol krążył we krwi. Mógłby pozbyć się go jednym prostym zakłęciem, które poznał jako jedno z pierwszych, podobno najbardziej przydatnym wśród pracowników Departamentu przyzwyczajonych do nocnych nasiadówek. Ale teraz nie czuł takiej potrzeby.

Chciał się upić. Nie żeby zapomnieć, ale żeby na chwilę złagodzić ból. Dlatego poszedł między ludzi, nie chciał poddać się rozpacy. Pielęgnował w pamięci każdą chwilę tego dnia, by ukarać tych, którzy zapragnęli bawić się ludzkim życiem.

Przełknął palący płyn. Ktoś go potrącił, wódka pociekła po brodzie i szyi na koszulę.

– Pardonsik, sorry, stary. – Mężczyzna w skórzanej kurtce protekcyjnie poklepał Miszę po plecach. – Tłok, nie chciałem.

Asieniewicz jednak nie słyszał przeprosin. Widział tylko przystojną twarz, tak podobną do twarzy, której nienawidził z całego serca. Zanim facet zabrał rękę, złapał go za dłoń, wygiął ją w nadgarstku i nie zważając na opór kości, złamał.

Mężczyzna krzyczał. W jednej chwili był na kolanach, a potem przewrócił się na bok, przytrzymując złamanie. Asieniewicz dopiero teraz zobaczył, że facetowi towarzyszyło dwóch kolegów. Zareagowali szybko, ale niewystarczająco szybko.

Uderzenie w tchawicę zważyło z nóg pierwszego. Misza nawet nie wstawał z hockera. Przyjął na twarz mocny prawy drugiego, krótko ostrzyżonego blondyna. Mógł uniknąć ciosu, ale chciał poczuć ból, którego nawet wódka nie uśmierzy. Przynajmniej część bólu, jaki czuła Ksenia.

Lewy, znów prawy.

Misza usłyszał chrupnięcie, które rezonowało w czaszce. Facet złamał mu nos. Dopiero, gdy blondyn próbował uderzyć go kolanem w szczękę, jednocześnie łapiąc za głowę i ciągnąc ją w dół, zareagował. Uderzył stopą w zgięcie drugiej nogi napastnika tak, że ten stracił równowagę. Pociągnął go do siebie, blokując ręce, które facet rozpaczliwie wyciągnął, ratując się przed upadkiem. Głowa blondyna uderzyła o bar, a on sam wyłożył się jak długi na podłogę.

Dopiero wtedy ludzie zaczęli krzyczeć. Misza zobaczył ochroniarzy, którzy ruszyli w jego stronę. Sięgnął po kieliszek i dopił wódkę. Nie miał zamiaru ruszać się z siedzenia. Wciąż nie czuł wystarczająco dużo bólu, a tylko on mógł go wyzwolić.

– Chodźcie – krzyknął. – Zatańczymy!

I wtedy poczuł uderzenie w tył głowy. Barman? Szkło rozsypało się na setki ostrych odłamków. Misza wbrew wcześniejszemu postanowieniu podniósł się i obrócił. Za jego plecami nie było jednak barmana. Był ktoś do niego bardzo podobny, tyle że w oczach płonęły mu ognie, a z ust wysuwał się wężowy język.

– Dosyć! – powiedział Perun.

Wokół zapanowała cisza. Ludzie zostali zamrożeni w stop-klatce. Ich twarze wyglądały śmiesznie, wykrzywione strachem, paniką i nienawiścią. Misza nie patrzył jednak na nich, tylko na swojego szefa. A potem uderzył, wyrzucając z siebie całą złość i nienawiść.

Ogień otoczył stojącą za barem postać. Misza osłonił twarz drugą ręką, czując, że brwi i rzęsy topią mu się od gorąca. W końcu płomień zgasł, a Asieniewicz opadł bezsilnie na hocker.

– Całkiem niezłe – pochwalił Perun. Spalona skóra na jego twarzy właśnie zaczęła się regenerować. – Ale niewystarczająco. Myślę, że na razie dasz spokój?

Chwycił butelkę ze Smirnoffem i nalał Miszy podwójną wódkę.

– Wciąż możesz ją uratować, wiesz? Na to akurat nie jest za późno.

Misza wpatrywał się przez chwilę w szkło. W tle z głośników sączył się jakiś jazzowy kawałek, który stanowił całkowite przeciwieństwo wcześniejszej łupanki. Perun musiał ingerować nawet w to. Asieniewicz nie lubił jazzu. Dłuższe słuchanie improwizujących wirtuozów wprawiało go w stan przypominający permanentny ból zębów.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – Szef nachylił się w jego stronę.

Misza miał cholernie wielką ochotę zdiełć go w łeb, wiedział jednak, że Perun z łatwością uniknąłby ciosu. Zamiast tego powiedział więc:

– Ty ją zabiłeś... Ty to ukartowałeś. Prowadzisz grę, nie licząc się z własną córką!

Chcesz kolejnego uczestnika tej zabawy?

Perun cmoknął z dezaprobatą. Uśmiechnął się jednak zaraz – rzeczywiście dobrze się bawił.

– Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski – powiedział. Przed nim pojawiło się szkło. Nalał sobie wódki i wypił jednym haustem. – Inaczej cię oceniałem, Miszo Asieniewiczu. Sądziłem, że będę mógł na ciebie liczyć.

– A więc Perun nie jest nieomylny. Zaprawdę przyjmuję tę wiadomość z ulgą i pokorą! – Misza nie wiedział, że stać go na taki sarkazm. Przestał się przejmować. Nie obchodziło go już, czy Perun ześle na niego wszelkie plagi egipskie, czy spali na popiół za zbytnią zuchwałość.

– Gdybyś musiał poświęcić dziecko, wiedząc, że dzięki temu uratujesz miliony, co byś zrobił?

Asieniewicz popatrzył w oczy Peruna. Starał się dostrzec tam coś, może słabość. Zamiast tego zobaczył puste matowe spojrzenie, przypominające spojrzenie dziecięcych lalek.

– Co bym zrobił? – powtórzył słowa szefa. – Opuściłbym... Nie poświęciłbym własnej córki.

– Dlatego nie jesteś bóstwem. – Perun wzruszył ramionami i znów sobie nalał.

– Trzeba być bóstwem, by dopuścić się takiego tchórzliwego czynu?

Misza zastanawiał się, dlaczego Perun wciąż z nim rozmawia, dlaczego nie udało mu się go jeszcze wytrącić z równowagi. Słyszał, że szef z błahszego powodu potrafił okaleczyć nie tylko ciało, ale i duszę człowieka. Słowa Miszy jednak spływały po Perunie jak po kaczce woda.

Wciąż jednak był tu i chciał z nim rozmawiać, ze zwykłym Miszą Asieniewiczem, do niedawna milicjantem, który żył życiem zwykłego szaraczka, jakich w Rosji miliony. Jak to świadczyło o Perunie, wszechpotężnym bogu Słowian? Był aż tak słaby?

Miszy wydał się on teraz nie tyle bóstwem, ile człowiekiem walczącym o swoje, zawistnikiem, topielcem rozpaczliwie próbującym utrzymać się na powierzchni wody.

– Ona może wrócić – oznajmił Perun. – Dzięki tobie. Jeszcze silniejsza, niż była wcześniej.

– Co ty bredzisz? – Misza zmarszczył brwi. Właśnie dotarło do niego, że zna odpowiedź na pytanie, które sam sobie przed chwilą zadał. Perun wciąż go potrzebował. Rzeczywiście

walczył o swoje, ale i wiedział, jak tę walkę prowadzić. Planował ją wiele lat. A Misza w tym planie odgrywał swoją rolę. Jaka? Asieniewicz był pewny, że kolejne słowa szefa to wyjawią.

– No, no... Nie masz szacunku do przełożonych. – Perun zaśmiał się. – Każę wpisać to do twoich akt.

– Odchodzę. – Misza postanowił zagrać *va banque*.

– I tak miałem ci to zaproponować – westchnął teatralnie Perun. – Oficjalnie nie możesz być naszym pracownikiem podczas wykonywania tej misji.

– Misji? – Asieniewicz warknął, ale ten pokaz charakteru był niczym bzyczenie konającego komara. Nawet jeśli Perun stracił swą dawną moc, i tak Misza był przy nim zwykłym pyłkiem na wietrze. Asieniewicz przestał się łudzić, że może z nim pogrywać. Zdał sobie sprawę, że Perun przewidział nawet to. – Mówisz, jakbyś był pewny, że to zrobię.

– Cóż, prawda. – Szef tym razem zachował powagę. – Tak samo jak byłem pewny, że powiesz, że nie poświęciłbyś córki dla dobra milionów.

Misza milczał. Perun dopił wódkę i spojrzał na niego.

– Moja córka jest w Nawi. Wiem, że będziesz chciał ją stamtąd wydostać tak samo jak ja. – Perun zawahał się, zaśmiał ochryple i dodał: – A może nawet bardziej niż ja.

– Czegoś nie rozumiem – wysyczał Misza. – Skoro tak bardzo chcesz przywrócić Ksenię do życia, to po co doprowadziłeś do jej śmierci?

Twarz Peruna była nieprzenikniona, na pewno nie chciał niczego Asieniewiczowi ułatwić.

– Weles. – Misza uniósł palec wskazujący i potrząsnął nim ze śmiechem. – To wszystko po to, by mieć powód do starcia z Welesem. Nie udało ci się wcześniej, na twojej własnej ziemi, to chcesz go pokonać tam! W Nawi? Te wszystkie demony otaczające dom Alka... Chcesz rzucić na Welesa winę za śmierć swojej córki, a potem dostać przyzwolenie na interwencję i utarcie mu nosa?

– Jakże bystre umysły mają nasi pracownicy. Nasz dział HR dostać powinien podwyżkę – zakpił Perun. – Czy to naprawdę jest tak ważne? Ten powód? Przecież tobie powinno zależeć tylko na niej. Znam twoje uczucia, Misza. Wiem, że za nią pójdziesz na koniec świata. Udowodnij to!

– A jak mam niby tam się dostać? – Asieniewicz czuł, że alkohol osłabił jego wolę. Wcześniej wydawało mu się, że przejrzał plan Peruna, ale chwilę później we wszystkim się zagubił. Był zmęczony. Najchętniej położyłby się teraz i obudził po kilkunastu godzinach z tego sennego koszmaru. – Zabijesz mnie? Przecież trafia się tam po śmierci.

– Niekoniecznie. – Szef pstryknął palcem przy głowie Asieniewicza. W pierwszej chwili Misza myślał, że Perun zmienił muzykę, ale nagle zrozumiał, że jest trzeźwy jak świnia. Ten stan zupełnie mu się nie podobał.

– Poza tym – ciągnął Perun – musiałbyś wierzyć w Nawie, żeby tam trafić, a jeszcze nie jesteś na to gotowy.

– Więc jak mam wyciągnąć stamtąd Ksenię?

Misza zdał sobie sprawę, że właściwie już zgodził się na żądanie Peruna. Wiedział, że zrobi wszystko, jeśli istnieje cień szansy na to, że przywróci Kseni życie.

– Poprosisz o pomoc swojego przyjaciela. – Perun pokiwał z aprobatą głową, widząc uległość Asieniewicza. – Ma coś, co miało być moje, a trafiło w jego ręce. Artefakt pomoże wam wejść do Nawi i z niej wyjść razem z moją córką.

Misza spojrzał na alkohol w kieliszku. Nie akceptował tej trzeźwości, którą zafundował mu szef. Ból był większy. Ból urażonej dumy, rozkwazzonego nosa i poczucia straty.

– Nie wiem, czy mnie wysłucha po tym, co mu zrobiliście.

Perun wzruszył tylko ramionami.

– Dostał za swoje. Nie lubię, gdy ktoś mi wchodzi w drogę. A poza tym przecież już jest jak nowy. Chyba że chcesz mi powiedzieć, że się boisz tego Polaczka?

Misza sięgnął po kieliszek i wypił wódkę.

– Mój strach umarł... Umarł wraz z nią.

– Cóż – Perun westchnął – musisz więc uważać, bo może się odrodzić. Wtedy gdy i ona się odrodzi.

Szef znów pstryknął palcami i, wskazując na blat baru, rozpląnął się w powietrzu. Misza poczuł ukłucie w gojącym się nosie. Zaklął. Ostatnie zdanie zawsze należało do Peruna. Poprzysiął sobie, że niedługo to się zmieni.

Popatrzył na bar, na miejsce, które wskazał chwilę wcześniej jego rozmówca. Wydawało się, że ktoś z nudów wyrył czymś ostrym rysunek na drewnianej listwie. Znak krzyża z odchodzącymi od ramion falami. Misza nie pamiętał, żeby tam wcześniej był.



– Mamy gościa. – Lel wskazał na monitory.

Alek rozpoznał mężczyznę, który zbliżał się do drzwi, i zazgrzytał zębami. Wyczuwał na sobie zaniepokojone spojrzenia bliźniaków. Postanowił, że intruz zostanie odpowiednio przywitany.

– Otwórz – wydał polecenie Lelowi, który spojrzał niepewnie na brata.

– Jesteś pewny? Możemy go stąd wykurzyć. Należy mu się.

– Otwórz. – Polel poparł Alka. Siedział z założonymi rękoma na fotelu. Teraz obrócił się w stronę drzwi, jakby nie chciał stracić choćby sekundy ze zbliżającego się przedstawienia.

Lel uderzył w klawiaturę i zamki w drzwiach szczęknęły. Rozległo się pukanie.

– Patrzcie, jaki dobrze wychowany – powiedział z przekąsem Lel. – Alek, nie zrób nic głupiego.

Bielski nawet nie odwrócił się w stronę bliźniaków. Pociągnął drzwi.

Asieniewicz po drugiej stronie otworzył usta, jakby nie spodziewał się, że rzeczywiście ktoś go wpuści.

Starli się wzrokiem jak dwa przeciwstawne fronty burzowe. A później Alek uderzył bez pardonu, mierząc prosto w nos gościa. Misza stęknął i zalał się krwią, gdy nos wygiął się w łuk. Nie próbował jednak odpłacić pięknym za nadobne. Przyjął cios z pokorą.

Alek skinął głową z uznaniem dla jego rozsądku, po czym wrócił do mieszkania, zostawiając drzwi otwarte. Asieniewicz przestąpił próg dopiero po dłuższym namyśle. Skinął głową Lelowi i Polelowi, a potem bez słowa ciężkim krokiem skierował się w stronę stołu i usiadł na wolnym krześle.

Milczeli. Lel odwrócił się w stronę swoich komputerów, Alek znów zajął się czyszczeniem broni, a Polel poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z tacą, na której ledwo mieściły się kubki z herbatą i cztery napełnione rumem kieliszki. Pod pachą niósł nie pierwszej świeżości ścierkę.

Polel położył tacę na stole naprzeciw Miszy i zajął miejsce obok niego. Chwilę później dołączył do nich Lel, a po kilku minutach także Alek. Asieniewicz przyjął ścierkę, mamrocząc coś z wdzięcznością. Przyłożył ją do rozkwazzonego nosa.

– Stare czasy się przypominają, nie? – zaśmiał się Lel. Nagle jednak spoważniał. – Szkoda, że nie ma z nami Romana.

Wszyscy popatrzyli na bliźniaka. Znow zapadło głucho milczenie.

– Po coś przyszedł? – zapytał w końcu Alek.

– Po pomoc – powiedział Misza. – Nie spodziewałem się jednak, że zaaplikujecie mi takie powitanie.

– Należało ci się – zauważył Polel. – Gdyby nie to, że wiemy, że nie ma twojej winy w tym wszystkim, co się stało, pewnie na złamanym nosie by się nie skończyło.

– Być może się mylisz. – Misza pobladł i odchylił głowę do tyłu. Krwawienie nasiliło się, nos najwyraźniej miał na dzisiaj dosyć gwałtownych zmian położenia. – A co jeśli przeze mnie to wszystko?

– Bzdury gadasz. – Polel pokręcił głową. – Manipulują nami, chyba nie jesteś tak głupi, żeby tego nie dostrzegać?

– To znaczy, że jesteście w stanie zaufać mi po raz kolejny?

– Do ufania jeszcze daleka droga. – Starszy z bliźniaków skrzywił się. – Zaryzykuję, że nawet to nasze spotkanie ktoś „na górze” ukartował, przewidział. Mylę się?

Asieniewicz wyczuł na sobie badawcze spojrzenie Alka. Lel i Polel byli rozluźnieni, trudno było wyczytać, co tak naprawdę myślą.

– Nie mylisz się – potwierdził w końcu Misza. – Przysłał mnie Perun.

– Dalej dla nich pracujesz? – Lodowaty ton w głosie Bielskiego potrafił przyprawić o ciarki.

– Nie, już nie. Ale wyglądało na to, że jest mu to na rękę. – Misza wiedział, że tylko szczerść może poprawić ich stosunki. – Powiedział mi jednak coś, co...

– Powiedział, że możesz uratować Ksenię? – zapytał Polel, wlewając z uśmiechem rum do herbaty. Upił łyk z wyraźnym ukontentowaniem

Misza odłożył w końcu ścierkę i popatrzył na Polela.

– Skąd wiesz?

– Nie trzeba być jasnowidzem, panowie. – Polel spojrział na zaskoczonego Miszę i nie mniej zdziwionego Alka. – Ksenia trafiła do Nawi. Bielski ma coś, co pomoże wam tam wejść. Misza zrobi wszystko, żeby uratować dziewczynę, którą kocha. Wszystko układa się jak w amerykańskim filmie, nieprawdaż?

Polel znow spojrział na twarze siedzących przy stole, nie doczekał się jednak odpowiedzi.

– Tyle że w tym filmie nie będzie happy endu. Jeśli ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby przez lata, a kto wie, może nawet stulecia, dopracowywać ten cholerny plan, to można przypuszczać, że dopracował go ze szczegółami. Wybrał scenariusz, który ma największe szanse na odniesienie sukcesu. I ten scenariusz nie będzie dla nas, panowie, zbyt miły. Wręcz przeciwnie, wszystko może się dla nas źle skończyć. I nie pytajcie mnie, co zrobić, żeby było inaczej.

– To co zrobić? – zapytał Lel, zanim się zreflektował.

Brat zmroził go wzrokiem.

– Jaki mamy wybór? – Alek postanowił podejść do zagadnienia inaczej.

– Nie robić nic, zgadzamy się na to? – Polel wzruszył ramionami.

Misza popatrzył na Alka, a ten odwzajemnił spojrzenie. Tym razem nie groziły im gwałtowne wyładowania.

– Tak myślałem – westchnął starszy z bliźniaków. – Bez względu na wszystko będziecie ją chcieli stamtąd wyciągnąć, co?

Alek uśmiechnął się krzywo, a Misza wypuścił krwawe bańki nosem, co wywołało nieoczekiwaną wesołość Lela.

– Zrób coś z tą facjatą – powiedział Bielski. – Nie nauczyli cię prostych zaklęć w tym twoim Departamencie Wschodnim?

– Myślałem, że was rozmiękczę, gdy trochę pocierpię...

– Zuch chłopak, ale teraz poważnie, zrób coś z tą kichawą, bo mi cały stół zabrudzisz – zauważył Polel z niesmakiem. – Jeśli chcecie działać, musimy wziąć się do roboty.



– Dla tych mniej zorientowanych – zaczął Polel – Nawia to zaświaty. Kraina zmarłych, którą rządzi znany wam już osobiście Weles.

– Inaczej Żmij – wtrącił Lel. – Albo Smok!

Polel zmroził brata wzrokiem, jednak kontynuował:

– Z nim będziecie mieli do czynienia, gdy tam wejdziecie. To jego królestwo i niech was nie zwiedzie to, że tutaj, na ziemi, poniósł porażkę, której byliście świadkami. Silny jest tam, w Nawii, a z siły tej nawet nie zdajecie sobie sprawy...

Z trudem zachowałem powagę. Polel zabrzmiał teatralnie, a uniesiony ostrzegawczo palec upodobnił go do wieszca.

– Ty się, Alek, nie śmieję – Polel zmarszczył brwi – bo zabawy nie będzie. W tej chwili czujesz się silny, ale gdy tam wejdiesz, twoja umiejętność regeneracji osłabnie. A Nyja i na ciebie znajdzie sposób. Więc jeśli nie chcesz zamienić się w garść popiołu...

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – przerwałem mu, co wyraźnie zaczęło go drażnić. – Jeśli Perun wszystko ukartował, to zapewne uznał, że mamy szansę się tam dostać i wyjść razem z Ksenią. Teraz zastanówmy się, jak to zrobić?

– Cóż – kąciki ust Polela powędrowały w dół – nikogo oficjalnie o pomoc nie możemy poprosić. Mentor się odetnie. Ci od Miszy też.

– Zdani więc jesteśmy tylko na siebie? – Asieniewicz wzruszył ramionami. – Nic nowego.

– W młodości siła i durnota. – Polel zdenerwował się teraz nie na żarty. – Wejdziecie tam i nie zrobicie nawet kroku, a rozedrą was na strzępy!

– A w ogóle wiemy, jak wejść? – zapytałem. – Możemy w każdej chwili ściągnąć pelerynę od Fafnesbane'a, ale gdzie jest wejście do Nawii?

– To akurat nie problem. – Polel jak gdyby nigdy nic patrzył na paznokcie u dłoni, podczas gdy Lel z szelmowskim uśmiechem energicznie kiwał głową. – Powiedz im, braciszku.

– No właśnie! – Lel poczuł się w swoim żywiole. Wreszcie dano mu dojść do głosu. – Bram do Nawii było kilka właśnie tu, w Polsce. Niektórzy uważali, że jedna z nich znajduje się w Żmigrodzie, inni, że na Ślęży albo Łysej Górze. I się nie mylili, ale przedrzeć się tam teraz nie sposób. Tamte bramy są strzeżone, obłożone zaklęciami, których nie przełamiemy.

– Do rzeczy. – Polel przewrócił oczami.

– No i... – Lel zgubił wątek i popatrzył z wyrzutem na brata. – No i musimy znaleźć miejsce, które będzie bezpieczne, i najlepiej, żeby Weles o nim nie wiedział. To będzie nasz element zaskoczenia.

– I to miejsce jest... – Polel ponaglał brata.

– To miejsce nazywane jest Białą Wieżą. – Lel zawiesił głos i popatrzył tryumfalnie.

– Nic mi to nie mówi – powiedział Misza.

– Mnie też. – Rozłożyłem ręce. – Chociaż... czekaj. Białowieża?
– Nie! – Lel oklapł, choć jeszcze przed chwilą wydawało się, że uniesie się pod sufit. –
Dam wam jeszcze jedną szansę.

Polel schował twarz w dłoniach, ale się nie wtrącał.

– Dar narodu radzieckiego dla narodu polskiego?

– Pałac Kultury? – parsknąłem. – Chcesz powiedzieć, że wejście do Nawi znajduje się w Pałacu Kultury i Nauki? Tutaj w Warszawie?

– A czemu nie? – Polel położył dłonie na stole i popatrzył mi w oczy. – Ponad trzy lata Rosjanie mieli na to, by robić z budowlą, co chcieli. Trzy i pół tysiąca robotników radzieckich i Bóg wie ilu pracowników Departamentu Wschodniego na czele z Perunem. A kiedyś, w początkach świetności, Pałac Kultury był biały! Świecił się jak psu jaja.

– Różni szukali już tam wcześniej wejścia... Kończyli źle – powiedział z powagą Lel.

– To znaczy? – zaciekał się Misza.

– Pierwszy był zagranicznik, który skoczył z wieżyczki, a sprawę zatuszowano. Szybko jednak pojawili się kolejni samobójcy. Polscy urzędnicy założyli kraty, żeby nie ułatwiać sprawy narwańcom, a wizytacja ze Związku Radzieckiego położyła kolejne zakłęcia, bo energia z zaświatów jakimś cudem wyciekała, ściągając do pałacu wariatów i lunatyków wszelkiej maści. Dopiero po tym wszystko się uspokoiło.

– Perun nadzorował prace? – zapytałem.

– Tak. – Polel skinął głową. – Chciał mieć możliwość wejścia do Nawi. Po co? Na to pytanie chyba już znamy odpowiedź. Furtka na przyszłość.

Zapatrzyłem się w stół, w zarysowanie ciągnące się przez całą jego długość.

Wyobraziłem sobie, że rysa się pogłębia, ukazując miękką fakturę drewna, a potem mebel pęka z trzaskiem na pół.

Perun przygotowywał to latami. Doprowadził do budowy Pałacu Kultury i wejścia do Nawi, wiedząc, że może się kiedyś przydać? Czy może wiedząc dokładnie, kiedy i w jakim celu się przyda?

– No dobra. Strasznie dużo zachodu jak na taką akcję. Wysłał własną córkę w zaświaty, a teraz my mamy ją wyprowadzić, i co mu to da? – zapytałem.

– Osłabi pozycję Welesa, jego głównego wroga – odezwał się Misza. – Takie wrażenie odniosłem po rozmowie z Perunem. Będzie miał pretekst do ataku, jeśli Rozjemcy uwierzą, że władca Nawi stoi za śmiercią jego córki.

Polel skrzywił się i podrapał po głowie.

– Może coś w tym jest? Jeśli wyciągniemy Ksenię z Nawi, czego oficjalnie sam Perun nie może zrobić, to utrzymamy nosa Welesowi. Rozjemcy mogą osłabić pozycję władcy Nawi, jeśli uznają, że we wszystkich wydarzeniach wina była po jego stronie. Atak na córkę Peruna, a wcześniej na jego dachę. Szala równowagi zostanie przechylona i Perun zyska przewagę.

– Jaką? – zapytałem.

– Taką, że odzwierciedli się ona w naszej rzeczywistości. Zmiany w Rosji, większe aspiracje, próba siły... Może to będzie tylko prężenie mięśni, a może coś gorszego? Wiecie, kto jest teraz u sterów w Moskwie. Wszystko może się zdarzyć. Ukraina, kraje bałtyckie, Mołdawia, Gruzja... Wylizać dalej?

Słuchałem z niedowierzaniem. Niemal zapomniałem, że zabawy bogów przekładają się na świat ludzi.

– Dlaczego Polska? Dlaczego tutaj jest wejście do Nawi? – dociekał Misza. Mnie także to pytanie kołatało się w głowie.

– Nie wiem – odpowiedział Polel. – Może coś jest w tej ziemi. Jakaś energia, która

sprawia, że to szczególne miejsce. Faktem jest, że od wieków trwa walka dwóch potężnych sąsiadów o ten kraj. Żaden jednak nie zdołał nim zawładnąć na dłużej.

– I mam uwierzyć, że Nawia jest tutaj? Gdzie? Pod ziemią? Pod Pałacem Kultury? – Jeszcze chwila i postukałbym się w czoło, ale na szczęście powstrzymało mnie przed tym spojrzenie Lela.

– Tego nikt z nas nie powiedział. – Polel skrzywił się, sięgnął po herbatę i wypił ją duszkiem. – Nawia może istnieć poza czasem i przestrzenią. Być milenia w przyszłości, tkwić miliony lat w przeszłości, a może znajdować się tu i teraz, zawieszona w innym wymiarze. Jednak wiem, że istnieje. I jakaś energia w tej ziemi jest łącznikiem między tym a tamtym światem.

– Wiemy więc, gdzie jest wejście, wiemy, jak się tam dostać, ale co dalej?

Byłem wdzięczny, że Misza zachował przytomność umysłu i zadawał racjonalne pytania.

– Dalej? Musicie liczyć na swoje umiejętności i dary.

– Myślicie, że ta moja moc na coś mi się tam przyda? – zapytał Misza.

– Będzie mocno ograniczona, abrakadabra nie rozwali wszystkich wrogów na waszej drodze. Jednak tak czy owak się uzupełnicie.

– A wy? Nie idziecie z nami? – Asieniewicz wyglądał na przygnębionego.

– Pod peleryną wszyscy się nie zmieścimy. – Polel podrapał się po głowie. – Ale nie przejmujcie się, dostaniecie od nas w prezencie kilka zabawek, które powinny wam się tam przydać. Lel?

Polel popatrzył na bliźniaka, który skinął głową i podszedł do walizki stojącej za fotelem. Podniósł ją z wysiłkiem i przytachał do stołu. Stęknął znowu i neseser wyładował na drewnianym blacie, znacząc politurę długą, głęboką rysą. Taką samą, jaką dostrzegłem wcześniej. Przez chwilę miałem *déjà vu*, jakbyśmy powtarzali ten rytuał po raz kolejny. Zabójcza zawartość walizki, która ukazała się naszym oczom, na szczęście odgoniła na chwilę niewesołe myśli.

– Fiu, fiu – gwizdnąłem przeciągle. – Chcesz powiedzieć, że te cudeńka będą tam użyteczne?

– A jakże. – Lel pokraśniał z zadowolenia, podnosząc do góry mini uzi. Dostrzegłem jeszcze glauberyt i glocki. – Przeszły lekką modyfikację. Nie pytaj jaką.

– Woda święcona – wypalił Lel.

Zaśmiałem się, ale widząc poważną minę Polela, znów się opamiętałem.

– Kiedy już tam będziecie, starajcie się używać tego tylko w ostateczności. Jak ściągnięcie sobie na kark wszystkie ścierwa z okolicy, nie starczy wam magazynków.

– To naprawdę zadziała? – zapytał Misza. – Przecież oni już umarli... Umrą jeszcze raz?

– Nie. – Polel zaśmiał się, jakby Asieniewicz opowiedział dobry żart. – Tylko Nyja może wysyłać w zaświaty, a także odsyłać w niebyt. Ale na pewno osłabisz te cholerstwa wystarczająco. Zanim wrócą im siły, już nie powinno was tam być. Po prostu zwiniecie Ksenię i wyjdziecie. Peleryna z trudem, ale pomieści waszą trójkę.

Żaden nie zapytał, co jeśli nie pomieści. Każdy uznał to za ryzyko wkalkulowane w cenę. Można było kombinować. Istniała możliwość, że dwójka przejdzie, a potem jeden z nas wróci po drugiego. Jeśli starczy czasu, oczywiście.

Plan jak plan. Chociaż był cholernie naciągany, nikt tego nie powiedział na głos. A ja pamiętałem o jeszcze jednej obietnicy. Obietnicy złożonej pogodnikowi, która komplikowała sprawę jeszcze bardziej, a którą z Miszą się nie podzieliliśmy.

Spoważnieli nagle wszyscy.

– Czas na ciebie – powiedział Polel, patrząc mi prosto w oczy. – Wezwij Fafnesbane'a, niech przyniesie ci twoją pelerynkę... Batmanie.

Lel i Misza zarechotali. Tym razem nie było mi do śmiechu. Przeszedłem do pokoju, który wskazał Polel, i z wahaniem zamknąłem za sobą drzwi.

Przez chwilę stałem pośrodku pomieszczenia, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zza drzwi dochodziły przytłumione echa rozmów bliźniaków i Miszy. Popatrzyłem po ścianach. Zwykle mieszkanie, wynajmowane. Lel i Polel nie zdążyli się tutaj zadomowić. Zresztą trudno byłoby po nich oczekiwać, że zaczną wieszać na ścianach ulubione fotki z wakacji.

– Fafnesbane – odchrząknąłem. Czułem się cholernie głupio. Rozumiem zadzwonić gdzieś, wysłać maila, ale gadać do okna jak idiota? – Fafnesbane, potrzebuję... peleryny.

Napiąłem mięśnie, jakbym czekał, aż nagle w błysku, huku i smrodzie siarki pojawi się wysłannik herosa i wręczy mi artefakt oraz cyrograf do podpisu.

Nic się nie działo. W sumie przecież nie wiedziałem, jak się zabrać do wzywania Sygurda.

– Fafnesbane...

Tym razem nie dokończyłem zdania.

Poczułem na szyi ukłucie, jakby małe ostrze dotknęło mojej grdyki. Nie poruszyłem się, czekałem.

– Akcent średni... Powiedziałabym, że nawet tragiczny.

Głęboki kobiecy głos. Do tej pory nie wyobrażałem sobie, że można zaledwie po kilku słowach określić czyjś głos jako wyuzdany, wręcz seksownie wulgarny. Na pewno nie pogardziłaby nim żadna z pań obsługujących sekstelefony.

– Grzeczny chłopiec, wie, z kim nie zadzierać.

W polu widzenia pojawiła się wysoka kobieta. Miała czarne lśniące włosy i tatuaż na policzku, który wydawał się poruszać na skórze niczym wąż.

– Możesz nazywać mnie Thrud.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że to nie sztylet trzymała przy moim gardle, a paznokieć. Długi, ostry, pomalowany na czerwono paznokieć, który mignął mi przed oczami na ułamek sekundy, gdy otarła się o moje ramię, a potem odwróciła plecami.

Miałem wrażenie, że nie jest tutaj sama, wołałem więc nie wykonywać gwałtownych ruchów. Zresztą teraz moją uwagę przyciągnęły jej kołyszące się biodra. Czarna skóra opinała ciasno idealne wręcz ciało.

Położyła się na łóżku. Chociaż słowo położyła opisuje zwykłą czynność, z którą nie wiąże się tyle emocji, co w tym przypadku. Zmysłowo przeciągnęła się niczym prawdziwa kocica, przesunęła językiem wzdłuż warg, a potem ułożyła się w wystudiowanej pozie.

Zdawało się, że jej piersi zaraz wystrzelą z rozcięcia w skórzanej kurtce. Jedną dłoń położyła pod głowę, drugą wysunęła w moją stronę, zachęcająco przyzywając mnie palcem.

– Chodź, przyniosłam ci coś, czego pragniesz.

Pokręciłem głową, nie potrafiąc zgasić na twarzy głupawego uśmiechu. Jeszcze tego brakowało, żebyśmy nagle zaczęli się ślinić.

– Jaki niedostępnymy. – Zrobiła smutną, zaskoczoną minę. – A może gustujesz w dwóch na raz?

Miałem rację, nie była sama. Owionął mnie zapach drugiej walkirii. Teraz ona podeszła do mnie. Poczułem jej piersi na swojej klatce piersiowej. Przesunęła ustami po moim policzku, a potem ugryzła mnie delikatnie w ucho.

– Podobasz nam się... A my tobie? – Popatrzyła niewinnie. Jej zapach przyprawiał mnie o dreszcze.

– Byłem pewny, że pojawi się Fafnesbane.

– Czyżbyś wolał chłopców? – Thrud zaśmiała się perliście.

– Jesteśmy tutaj niemile widziane? – Druga walkiria opuściła powieki z długimi rzęsami, zapatrzyła się w podłogę i nagle zaśmiała równie głośno jak siostra. – Sygurd ma swoją Brunhildę, my jesteśmy samotne. Potrzebujemy własnego bohatera, dlatego poprosiliśmy, żebyśmy mogły dostarczyć ci to, o co prosisz.

– Więc dajcie mi to – powiedziałem, nie mogąc pozbyć się chryпки w głosie.

Thrud zmysłowo przesunęła dłonią po linii bioder.

– A co dasz nam w zamian?

Druga walkiria usiadła obok siostry. Złączyła kolana, a jej nogi ułożyły się w odwróconą literkę V. Obie się mną bawiły.

– Potrzebuję tej peleryny.

– Wiemy! – Thrud wstała z łóżka i podeszła do mnie. Jej siostra zajęła zwolnione miejsce, po czym ułożyła się w identycznej pozie – Potrzebujesz też nas, choć nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jesteś zbyt dumny, żeby to dostrzec.

Mierzyła mnie wzrokiem.

– Sygurd był taki sam jak ty. Miał to samo spojrzenie.

Nie odpowiedziałem. Czekałem, wiedząc, że przyszły tu w jakimś celu i prędzej czy później go wyjawią.

– Wciąż stoisz na rozdrożu. Możesz zostać, kim chcesz. Twoja droga nie została określona. – Thrud przechyliła głowę i przysunęła się bliżej. Jej usta znalazły się blisko moich. – Wrócisz do tego swojego Departamentu i będziesz zwykłym urzędasem z wielkim brzuchem i ani się obejrzyysz, a nie dostrzeżesz go przy siusianiu...

Poczułem jej dłoń na podbrzuszu i ruchliwe palce, które nagle zaczęły przesuwać się niżej.

– Nieźle – powiedziała, unosząc wysoko brew. Jej siostra zaśmiała się i przeciągnęła zmysłowo. Nie spuszczała nas z oczu. – A może będziesz chciał zostać Rozjemcą? Bezplciowcem, który mówi innym, co dobre, a co złe? Ostrzegam, oni nawet pieprząc się na misjonarza, mają dylematy moralne.

Teraz ja się zaśmiałem, co ją zaskoczyło. To chyba sprawiło, że jej badawcza dłoń przesunęła się na moje ramię. Prawdę mówiąc, jeszcze chwila i ugięłyby się pode mną kolana.

– Możesz zostać kimś takim jak Fafnesbane. Nawet większym niż on! – Oczy walkirii zabłyśły. – A wtedy... czeka cię wiele przyjemności.

Odwróciła się i spojrzała na siostrę, która przesunęła dłonią po ustach, wysuwając przy tym język.

W tej chwili pojąłem, do czego dążą. Siostrzana miłość będzie zawsze dla mnie tajemnicą. Od lat obie żyły w cieniu Brunhildy i jej herosa, Sygurda. Chciały to zmienić. I one zapragnęły mieć swojego bohatera, którego doprowadziłyby na szczyt. Jeśli byłem ich kandydatem, nie mogłem mieć złudzeń. Nawet wtedy myślałyby bardziej o sobie niż o mnie. A może źle je oceniłem? Może po prostu się nudziły?

– Będziemy cię chronić.

Druga z walkirii podniosła się z łóżka i stanęła obok siostry.

– Jeśli tam, gdzie idziesz, zginiesz, nie zostawimy cię – zadeklarowała z pasją. – Takich wojowników jak ty sprowadzamy do Walhalli.

– Rozważ tę propozycję – powiedziałem ostrożnie.

– Rozważ.

Poczułem na swoich wargach wilgotne usta najpierw jednej, potem drugiej.

– Będziemy miały na ciebie oko.

– Dobrze wiedzieć – wykrztusiłem.
– Wezwij nas, gdy będziesz tego potrzebował albo gdy po prostu będziesz miał ochotę.
Obie się zaśmiały. Jeszcze chwilę mierzyły mnie wzrokiem, a potem rozplynęły się w powietrzu.

Na łóżku pozostała paczka, zawiniątko w szarym papierze przewiązanym sznurkiem, które dobrze znałem.



Lel prowadził samochód pustymi ulicami. Z daleka widziałem Pałac Kultury, który pojawiał się i znikał, jakby ktoś wymazywał go nagle, a potem magicznym dotknięciem różdżki materializował.

– Ptaki... jaskółki – powiedział Misza, wskazując za okno.

Teraz i ja je zauważyłem. Tysiące, dziesiątki tysięcy ptaków podrywało się do lotu. Chwilę krążyły nad budynkami, a potem wszystkie obierały jeden kierunek.

– Jaskółki wskazują podróżnym drogę do Nawi – poinformował Polel. – Były przewodnikami zmarłych.

– Oby przyniosły nam szczęście – dodał Lel.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

Zapadał zmierzch, światła ulicznych latarni drżały. Ruch samochodowy był znikomy, co zupełnie nie pasowało do znajomego obrazu zakorkowanej stolicy. Jeśli jakieś auto pojawiło się na drodze, kierowało się raczej poza miasto. Zrozumiałem, że ludzie podświadomie wyczuwali kłopoty i większość siedziała w domach. Tylko my zmierzaliśmy do centrum.

Jazda działała na mnie przygnębiająco. Przyciemniane szyby i długi tył vana nasuwały nieciekawe skojarzenie z karawanem.

Zaczynało brakować mi powietrza. Nie chciałem wyjść na panikarza, ale moim jedynym pragnieniem było jak najszybsze opuszczenie samochodu. Wiedziałem, że za chwilę trafię z deszczu pod rynnę, ale liczyłem na moment wytchnienia, gdy wysiądę i odetchnę zimnym powietrzem. Nawet po raz ostatni.

– Nie będziemy mieli do was dostępu, panowie – powiedział Polel. – Jesteście tam zdani na siebie.

Powtarzał to po raz kolejny, czego nie mogłem mieć mu za złe.

– Misza, musisz chronić siebie i Alka. W Nawi twoja moc będzie mała, ale skup się na zasłonach. Przede wszystkim miej baczenie na Nyję. Nie wiem, czy zakłęcia, które opanowałeś, zrobią jej krzywdę, ale pamiętaj, że nie masz jej zabić, tylko ją opóźnić, ewentualnie oszołomić. Tego się trzymaj. We dwóch będziecie się doskonale uzupełniać.

Popatrzyłem na Asieniewicza. Dalej między nami pozostawała wyczuwalna rezerwa. Coś pękło, pewne sprawy oddaliły nas od siebie i nie zanosilo się na poprawę wzajemnych relacji. Teraz połączyliśmy siły, ale wciąż kołatało mi się w głowie ostrzeżenie, które usłyszałem całkiem niedawno – o przyjaciółach, którzy staną się wrogami. Czy Misza był zdolny do zdrady? Kiedyś zaprzeczyłbym, ale teraz widziałem, jak się zmienił. Znamionowały to jego ruchy, spojrzenie, sposób wysławiania się. Skrywał coś w sobie. Przypominał jedną z bomb, tę z opóźnionym zapłonem.

– Jesteśmy – zakomunikował Lel, parkując pod schodami prowadzącymi do Pałacu.

– Bierzcie sprzęt. – Polel wskazał torby złożone na tylnych siedzeniach. – Czekajcie nas przejażdżka na szczyt Białej Wieży. Daru braci dla braci mniejszych.



Misza pamiętał to jak przez mgłę. Pozostawał od dłuższego czasu w tym stanie snu na jawie. Poruszał się jak automat, wykonywał polecenia i miał wrażenie, że idzie na rzeź. Wiedział też jednak, że z chęcią położyłby głowę pod topór, byle tylko ocalić Ksenię.

Była niedziela, Pałac Kultury i Nauki opustoszał całkowicie. Polel poprowadził ich do drzwi, które otworzył bez najmniejszych problemów. Lel wędrował za nimi z laptopem w dłoni. Kilka razy ich wstrzymał, na chwilę poważniejąc. Potem śmiał się, mówiąc coś w stylu:

– Tu cię mam, ptaszku. Nie ze mną te numery.

I dawał sygnał, by szli dalej.

Weszli do windy dosyć szybko. Nawet nie nacisnęli przycisku na panelu. Lel wpisał coś na klawiaturze i potwierdził polecenie, a potem ruszyli w górę. Dopiero tam, na szczycie PKiN, Misza zdał sobie sprawę, że nie ma już odwrotu. Nie ma też miejsca na błędy. Pakowali się do jaskini lwa, nie mając zbyt wielu argumentów, by ocalić skórę.

Przypomniawszy sobie też jeszcze jedno: Polel ostrzegał ich przed Nyją. Pytał Miszę, czy ten ma w zestawie wystarczająco dużo zaklęć będących w stanie jej zaszkodzić. A przecież Perun niedawno udzielił Asieniewiczowi nieograniczonego dostępu do własnej siły. Ten dostęp, o ile Misza zdążył się zorientować, jeszcze nie stracił na ważności. Kolejny przypadek?

Asieniewicz uchwycił się niejasnego przeczucia, które tkwiło gdzieś głęboko w trzewiach – że dadzą radę. Bez względu na wszystko powiedzie im się, a Ksenia wyjdzie cało z opresji.

– Znów jaskółki – powiedział Alek.

Rzeczywiście wokół wieży przemieszczały się ciemne, lśniące obłoki. Stada ptaków zmieniały co chwila kierunek lotu, przenikając się, goniąc za sobą lub wyczyniając w powietrzu akrobacje, od których kręciło się w głowie. Większość okrążała wieżę. Ich liczba powiększała się, gdy dołączały kolejne i kolejne. Podmuch wywołany ruchem skrzydeł czuć było w środku. Ptaki tworzyły czarny lej, który wydawał się pochłaniać cały Pałac.

– Chłopcy, chyba dobrze trafiliśmy. – Polel rozejrzał się badawczo wokół siebie.

Zlustrował sufit, ściany i podłogę.

– I co teraz? – zapytał Alek. – Jest tutaj wejście, którego nikt do tej pory nie odkrył?

Trochę trudno w to uwierzyć.

– Alku, czego się spodziewałeś? Przecież to nie są zwykłe drzwi ani kłapa w podłodze – zaśmiał się Polel.

Misza to rozumiał. Na szkoleniu uczyli go odnajdywania źródeł mocy, otwierania ukrytych przejść i znajdowania ich w miejscach, w których nikt by się ich nie spodziewał. Teraz wstrzymał oddech, serce zabiło mu mocniej. Wyczuwał coś. Delikatną wibrację i drżenie powietrza. Zrobił krok w stronę Polela, potem drugi. Pociemniało mu w oczach. Ugięły się pod nim kolana.

– Co jest? Misza? – zaniepokoił się Alek.

– Daj mu chwilę, Bielski. – Polel obserwował Asieniewicza spod przymrużonych powiek.

Po chwili dodał: – Misza? Perun dał ci jakąś wskazówkę?

Asieniewicz zatrzymał się. Jego nogi były jak z ołowiu, nie był w stanie nimi ruszyć.

Opadł na kolana.

– Podajcie mi coś do pisania. – Niecierpliwie wyciągnął rękę.

Polel jakby na to czekał, wyjął z kieszeni kawałek kredy.

– Uczysz w szkole po godzinach czy zawsze masz ją w kieszeni? – zapytał Alek.

– Zawsze mam przy sobie. Te wszystkie pentagramy, znaki, symbole... Bez kredy ani rusz. – Polel wyszczerzył zęby, a Lel, dotąd milczący, zarechotał demonicznie. – Chcesz kawałek?

– Dzięki, byłem słaby z rysunków.

– Nie krępuj się, młody. – Polel zachichotał, oddając kredę Miszy. – A ty, Alek, przygotuj pelerynkę.

Bielski wyciągnął z kieszeni zawiniątko i ostrożnie rozłożył delikatną płachtę.

Asieniewicz w tym czasie, wciąż na kolanach, zaczął rysować linie. Alkowi w pierwszej chwili wydawało się, że mężczyzna rysuje krzyż, potem jednak jego ramiona zostały złamane kolejnymi liniami.

– Rozpoznajesz już ten symbol, prawda? – Lel klepnął Bielskiego w plecy. Bielski skinął głową, nie posądzał Asieniewicza o nagłe uwielbienie dla faszyzmu.

Kreda w dłoni Miszy znów się poruszyła. Od złamanych linii odeszły kolejne, niby rzęsy. Teraz znak przypominał cztery klucze ułożone w rozetę.

Misza wstał. Ciężkość, która nim zawładnęła, minęła w jednej chwili.

– I co teraz? – zapytał. Pot kapał mu z czoła. Sam czuł się, jakby przed chwilą przerzucił kilka ton węgla.

– Perun ci nie mówił? – Polel cmoknął, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Może spróbuj „Sezamie, otwórz się”? – parsknął Lel. – Albo lepiej „Abrakadabra”?

Bielski podszedł do Asieniewicza i podał mu broń, którą Misza przejął z wahaniem.

– Przygotuj się – powiedział Polak. – Myślę, że jak założymy pelerynę, wszystko się wyjaśni.

Alek i Misza spojrzeli na bliźniaków, którzy skinęli głowami, już bez uśmiechów. Ich twarze były skupione i spokojne.

– Pamiętajcie, wiara czyni cuda, panowie – powiedział Polel.

– Zależy, kto w co wierzy – odparł Alek, po czym nakrył siebie i Miszę peleryną.

Świat pociemniał. Ogromny ciężar przytłoczył ich do ziemi. Lel i Polel stali w bezruchu, jakby zamarli, sparaliżowani tajemniczym zaklęciem. Za to pod ich nogami rozbłysło światło. Nakreślone kredą linie zaczęły fosforyzować, wypełniać się złotą płynną substancją. Nagle symbol został wchłonięty, zalany przez dziwną ciecz, która wydawała się wypływać spod podłogi.

Misza poruszył się niespokojnie, lecz Alek przytrzymał go w miejscu. Ciecz przypominała rtęć, płynny metal formujący się w nabrzmiewającą kroplę. Alek widział, jak pęczniejąca substancja zbliża się do ich butów, a gdy już miała dotknąć czubków, obu mężczyźni oślepił złoty rozbłysk. Ogromna siła pociągnęła ich w górę, by zaraz szarpnąć w dół.

Asieniewicz wydał z siebie zduszony krzyk. Bielski zacisnął zęby, ale napór na klatkę piersiową stał się tak silny, że wytłoczył mu z płuc powietrze.

Znów rozbłysk, niczym wybuch supernowej, a potem ciemność i bolesne uderzenie o twarde podłoże.

Kucałem, wciąż ściskając w dłoniach glocka. W ramię wrzynał mi się pasek glauberyta. Dobrze. Przez chwilę miałem złe przeczucia, że będę tutaj bezbronny.

Słyszałem oddech Miszy tuż obok. On także próbował się odnaleźć w innej

rzeczywistości. Przez chwilę myślałem, że chłopak spanikuje, ale nie, trzymał się dzielnie.

Ciemność i cisza. Ostrożnie zsunąłem z nas pelerynę i zrobiło się jaśniej. Wciąż znajdowaliśmy się w wieży widokowej, jednak nie było z nami Lela i Polela. A ściany, podłoga i sufit pokryte były wilgocią, zielonym liszajami wyglądającymi jak błotna maź.

Podniosłem się. Misza poszedł w moje ślady. Nogi uginały się pode mną, a dokładniej stopy zapadały się w czymś miękkim i oślizłym.

– Przeszliśmy? – raczej stwierdził niż zapytał Misza. Mówił zmienionym głosem, pewnie jego gardło było równie ściśnięte jak moje.

– Przeszliśmy – potwierdziłem cicho.

– Chyba inaczej sobie to wyobrażałem.

Wiedziałem, co miał na myśli. Zastanawiałem się, jak może wyglądać Nawia. Lel i Polel nie potrafili tego do końca wyjaśnić i zobrazować. Sam nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. Dziewięciu kręgów piekła? Pól ciągnących się po horyzont czy ogrodów podobnych do Edenu, w którym dusze wiodą szczęśliwy żywot po śmierci?

Ostrożnie postąpiłem krok naprzód. Zrobiło się jeszcze jaśniej. Wydawało się, że wieżę otacza szara mgła, kłębiący się dym, ale i on nagle rozwiął się, jakby odpędził go jakiś silniejszy podmuch. Spojrzałem w stronę horyzontu. Miasto znikło, jego miejsce zajęła czarna spękana ziemia poprzecinana czerwonymi i pomarańczowymi żyłami magmy, z których buchały gejzery ognia.

Misza musiał dojrzeć to samo, bo z głośnym sykiem wypuścił z płuc powietrze.

Horyzont zafalował i zmienił się, kłęby pary stworzyły szaleńczy wir, który nagle rozpadł się w chmurze białego piasku. Teraz za wieżą rozciągała się pustynia. W kilku miejscach pojawił się dym, formujący kształty, z których wyłaniały się postaci ni to ludzi, ni to zwierząt. Gdy wydawało się, że zaraz zmaterializują się całkowicie, one rozpryskiwały się na miliony lśniących grafitem kawałków. Znowu zmiana obrazu. Wprost z piachu wyrastać zaczęły iglice, dachy potężnych budynków. Rosły z odległym hukiem przypominającym świst wichury i pogłos odległych grzmotów. To była Warszawa, lecz jakże inna. Rozpoznawałem budynki, które wyglądały na opuszczone, a samo miasto sprawiało wrażenie wymarłego, jak po jakimś kataklizmie.

– Ktoś tu jest – szepnął Misza.

Także poczułem czyjąś obecność. Ukłucie drobnych igiełek w kark, nieokreślone przecucie, że jesteśmy obserwowani. Powoli odwróciłem głowę. Część pomieszczenia wciąż pogrążona była w ciemnościach. Pokrywała ją dziwna substancja tworząca elastyczną brejowatą ścianę. Wyglądała jak błona. Właśnie za nią coś się poruszyło, drgnęło.

– To wy?

Głos cichszy od szeptu. Wydawał mi się znajomy, ale było w nim coś, co przyprawiało o dreszcze. Jakby temu głosowi towarzyszył drugi, na innej częstotliwości, ledwie słyszalnej.

– Myślałam, że już za późno.

Misza drgnął. Próbowalem go powstrzymać, łapiąc za ramię, ale odtrącił mnie energicznym ruchem. Dopiero teraz dojrzałem i rozpoznałem leżącą na podłodze postać. Ksenia próbowała podczołgać się do lepkiej ściany. Widziałem jej twarz, dłonie, które ostatkiem sił starały się naciągnąć i przerwać przezroczystą błonę.

– Duszę się – wyszeptwała. – Dłużej nie dam rady!

Misza dopadł ściany i uderzył w nią pięścią. Rozpostarł palce, szarpiąc glutowatą maź, ale ta łatwo się nie poddawała.

– Misza...

Głos Kseni był coraz słabszy, a po chwili jej wzrok spoczął na mnie.

– Alek... Proszę, pomóż mi...

Było coś rozpaczliwego w jej słowach i chyba to mnie otrzeźwiło. Zaskoczenie minęło. Wiedziałem, że muszę jej pomóc, zanim się udusi. Stałem obok Miszy. Ostrzegłem go i wystrzeliłem kilka razy w lepką tkanę, lecz nie przyniosło to żadnych efektów. Otwory zasklepiły się w ułamku sekundy. Odrzuciłem broń, żeby mieć większe pole manewru. Rozdzierałem rękami miękką powłokę przypominającą gęsty kisiel. Kopaliśmy głębiej i głębiej, a z wnętrza błoniastego kokonu dochodził coraz większy smród.

Widziałem Ksenię, której twarz robiła się coraz bardziej sina. Oczy zachodziły mgłą. Zrozumiałem, że jeśli się nie pospieszymy, to zaraz ją stracimy.

– Jeszcze chwila! – krzyczał Misza.

Przedarł się jako pierwszy przez błonę, naciągnął ją, zapierając się nogami, i w końcu chwycił Ksenię za rękę. Dziewczyna uniosła głowę. Przez chwilę patrzyła przytomniej, jakby dostęp świeżego powietrza dodał jej sił.

– Trzymaj się, zaraz cię wyciągniemy – powiedziałem.

I wtedy usłyszałem głośny huk. Za naszymi plecami ktoś wyważył drzwi.

Próbowałem sięgnąć po broń, lecz maź skutecznie przykleiła ją do podłoża. Zrozumiałem, że obaj z Miszą popełniliśmy błąd.

Asieniewicz poruszył się, ale jego dłoń także utknęła w zastygającej brei, a może to Ksenia trzymała go zbyt kurczowo. Ciężar ponad nami. Barczysta postać ze skołtunionymi włosami, podobna do upióra. Zobaczyłem rewolwer, stary srebrny colt wymierzony w naszą stronę. Chciałem zrobić unik, wstać, unieść ręce, cokolwiek. Lecz breja, którą przed chwilą odgarnialiśmy, stężała, unieruchamiając mnie niczym kukłę.

Rozległ się strzał, jeden, potem drugi. Były krótkie, urywane, jakby galaretowata maź wchłonęła w siebie cały dźwięk. Usłyszałem krzyk Miszy i obróciłem się z trudem w stronę jego i Kseni. Dziewczyna leżała wygięta w łuk, jej ciałem wstrząsały drgawki. Głowa była zmasakrowana, kawałek czaszki oderwał się i zwisał na pasku czerwonej skóry.

– Nie! – krzyczał Misza.

Próbował wstać, rzucić się w stronę napastnika, ale palce Kseni wciąż zaciskały się na jego przegubie. Nagle zobaczyłem, że Misza blednie jeszcze bardziej. Dłoń, która go ścisnęła, zmieniła się. Palce wydłużyły się, paznokcie wyciągnęły w szpony. Skóra Kseni stała się czerwona, pełna krwawych bąbli.

– Boże – wyjąkał Asieniewicz, próbując wyswobodzić rękę.

Głowa umierającej też się wydłużyła i przypominała teraz głowę ważki. Tej twarzy brakowało nosa, w jego miejscu zionęła czarna dziura. Wyłupiaste oczy przykrywała świetlista błona.

– Wąpierz, bęcwały. Ta cholera akurat wyspecjalizowała się w hipnozie.

Patrzyłem na stojącą przede mną postać, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– No co jest? – Mężczyzna wyszczerzył lśniące kły, których nie powstydziliby się pewnie nawet leżący u naszych stóp trup. – Zabrakło języka w gębie, duraki?

– Roman? – wychrypiałem.

Upiór zaśmiał się.

– A kogo się spodziewałeś? Ktoś w końcu musi chronić tutaj wasze dupska, nie?



– Nie ociągajcie się, tutaj nie możemy zostać!

Misza przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie, Roman jednak nie patyczkował się i szybko doprowadził go do porządku.

– Na dół! Zbierajcie swoje graty i za mną!

Poły jego płaszcz zawirował. Roman machnął lufą srebrnego colta w kierunku przejścia. Asieniewicz podniósł broń, którą wcześniej odrzucił, próbując pomóc Kseni. Otrząsnął się na to wspomnienie. Nic nie było tu takie, jakim się wydawało. Jeśli chcieli przeżyć, powinni o tym pamiętać. W stosunku do Romana, albo do upiora, który deklarował, że nim jest, postanowił też być ostrożny.

– Do windy!

Wieżę wstrząsnęło drzenie. Ściany nie tyle zadygotały, ile przeszył je dreszcz. Sufit skurczył się, a potem rozszerzył zupełnie jak żywa materia. Asieniewicz spojrzął na Alka. Polak także otrząsnął się z szoku, chyba nawet szybciej niż Misza. Ubezpieczał tyły i wydawało się, że znów kontroluje sytuację.

Weszli do pomieszczenia, które w ich świecie było windą. Tutaj jednak mieli wrażenie, że wchodzi do przedsionka zamykanego cielistą zastawką. Przezroczysta ścianka zasunęła się za nimi z głośnym młaśnięciem.

– To na pewno winda? – zapytał podejrzliwie Misza.

– Nie bój się, gdybym chciał was załatwić, zrobiłbym to wcześniej. Uwierz mi, dla swojego dobra.

Roman sięgnął w bok, zrywając mech przyrośnięty do obłej powierzchni. Pod nim znajdował się zwykły panel z guzikami.

– Jedziemy – oznajmił, naciskając ten położony najniżej.

Winda zadrżała, kolejne młaśnięcie i przeciągły syk. Wydawało się, że z trudem odklejają się od czegoś, w końcu jednak ruszyli w dół. Misza poczuł, że jakaś ciecz kapie mu na głowę i nos. Przetarł twarz dłonią, zauważając, że substancja ma konsystencję i barwę krwi.

– Jak będziemy na dole, biegiem do wyjścia. Strzelajcie do wszystkiego, co się rusza.

Znów to dziwne uczucie, jakby sen na jawie. Sen, o którym wiesz, że się z niego nie obudzisz, dopóki się nie zakończy. Roman wycelował w drzwi, unosząc wysoko wyprostowaną w łokciu rękę. Alek poszedł w jego ślady, przesuwał się bliżej bocznej ścianki. Misza zwalczył strach i szarpnął pasek uzi. Nie mierzył jednak, dopóki nie znaleźli się na parterze. Wiedział, że nie opanuje drżenia dłoni.

Drzwi rozsunęły się. Asieniewicz sam nie wiedział, czego się spodziewał. Tłumu potworów i demonów, które na nich skoczą, a może czegoś jeszcze gorszego? Lecz korytarz na dole był pusty, jedynie podłoga tonęła w lepkiej zielonkawej mazi.

– Dupa w troki! – warknął Roman i popychając przed sobą Miszę, ruszył w stronę wyjścia.

Wieżę znów targnął skurcz, jeszcze mocniejszy niż poprzednio. Asieniewicz miał wrażenie, że sufit znów się wygiął i obniżył. Był pewny, że zaraz runie na ich głowy.

– Ruchy! – powtarzał Roman, pędząc olbrzymimi susami w stronę jasnej plamy przed nimi.

Kolejny skurcz budynku. Maż napłynęła z bocznych pomieszczeń, bąble powietrza rozprysnęły się w śmierzących gejzerach. Poziom brei podnosił się gwałtownie. Misza był pewny, że jego buty utkną w tej kleistej, cuchnącej mazi. Roman wrócił i szarpnął go za ramię. Skoczyli przed siebie, napierając na przezroczystą błonę oddzielającą ich od świata zewnętrznego.

Alek wystrzelił raz, potem drugi i po chwili runęli na twardą chodnikową płytę.

– Odczołgajmy się od tego cholerstwa.

Misza z trudem wstał i ruszył schodami w dół za Alkiem i Romanem. Weszli na parking pełen wraków samochodów. Dopiero wtedy Asieniewicz się odwrócił.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Wieża pokryta była białymi łuskami i wiła się niczym robak próbujący wydostać się z ziemi na powierzchnię. Sam szczyt wyglądał niczym paszcza węża, z podobnym do iglicy, wycelowanym w niebo, językiem.



– Co to jest? – wysapał Alek. – Gdzie my, do cholery, jesteście?

Misza odruchowo cofnął się kilka kroków, Roman powstrzymał go jednak ruchem dłoni.

– To Żmij, moi drodzy – powiedział. – A gdzie jesteście? Pewnie po naszymu można nazwać to miejsce czyścem, ale tak naprawdę to przedsionek Nawi.

– Przesionek? – Misza rozejrzał się niepewnie wokół. Czuł się nieswojo w tym wymarłym mieście. Sprawy komplikowały się z każdą minutą coraz bardziej.

– Głuchy? – Roman pokręcił głową z dezaprobatą. – Zdążyłem dosyć dobrze poznać to miejsce. Żeby dotrzeć do Welesa, musimy najpierw przedrzeć się przez ten teren.

– Skąd wiesz, że chcemy iść do Welesa? – zapytał podejrzliwie Misza.

– Psia twoja mać. – Roman się zdenerwował. – Uznajmy, że miałem tu sporo czasu na przemyślenia. Chcesz gadać i czekać, aż nam się dobiorą do dupy, czy działamy tak, jak mówię?

– Działamy tak, jak mówisz – zdecydował Alek, patrząc znacząco na Asieniewicza.

– No! – Roman pokręcił głową.

– A nie możemy użyć peleryny? Schowamy się pod nią i przejdziemy niezauważeni – zaproponował Misza.

– Nie da rady – Roman skrzywił się. – Artefakt, który macie, pozwolił wam tu wejść, być może i stąd was zabierze, jak będzie trzeba. Jednak przed tutejszymi stworami was nie ochroni.

– To co robimy?

– Muszę was wprowadzić, żółtodzioby, w sprawę. Szybki wykład i uruchomcie szare komórki, bo powtarzać nie będę. Jasne?

Alek i Misza przytaknęli.

– Do rzeczy więc. – Roman wydawał się zadowolony z ich reakcji. Rozejrzał się uważnie i uznał, że może mówić dalej. – Czytaliście *Boską komedię* Dantego?

Misza znów skinął głową. Alek tym razem nie zareagował.

– Tam, jeśli pamiętacie, w opisie piekła była mowa o dziewięciu uformowanych w kształt stożka kręgach. A na samym dnie tej geometrycznej figury, według Dantego, czekał Lucyfer. Nadążacie?

– Myślę, że warto wykład przyspieszyć – zauważył Alek, czym rozbawił Romana, bo ten głośno się roześmiał.

– Między tamtą wizją a tym światem jest kilka podobieństw – kontynuował, jak gdyby nigdy nic. – Właściwa Nawia z duszami umarłych i Welesem znajduje się na samym dnie nie tyle stożka, ale czegoś, co nazywamy Kosmicznym Drzewem. Świat żywych to korona, pień jest strefą przejściową. Nazwijmy ją linią demarkacyjną lub czyścem. Właśnie na pniu żerują wszelkiej maści demony i potwory. To one strzegą wejścia i wyjścia z tej krainy wielkiej szczęśliwości. My trafić musimy do korzeni, na samo dno.

– Nie brzmi zachęcająco – skrzywił się Asieniewicz.

– Nie ja to wymyśliłem. – Roman wzruszył ramionami. – Chcę jednak, żebyście wiedzieli, dokąd mamy iść, gdyby okazało się, że zostaniemy rozdzieleni.

– Brakowało nam cię – powiedział Bielski. – Nie zmieniłeś się.

– A co się miałem zmienić? – Roman znów uniósł ramiona, ale przez jego twarz przemknęło coś na kształt wzruszenia. – Wilkołaki do Nawi nie trafiają. Włóczą się po takiej okolicy jak ta. Co najwyżej, zrobiłem się zgorzkniały.

– Nieprawda – pocieszył go Misza.

– Nie? – upewnił się Roman z uśmiechem.

– Nie – potwierdził Alek, a po chwili dodał: – Zawsze taki byłeś.



Nagle uderzył w nas podmuch wiatru. Wyczułem w nim coś niepokojącego, odór rozkładających się ciał i krwi. Ale też coś więcej: zapach gorącego piasku i strachu.

Zbyt wiele wspomnień naraz. To samo uczucie niepokoju co tam, w górach, gdy wjeżdżaliśmy do wiosek. Konwoje, patrole i „ajdiki”. Myśl o tych ostatnich często krążyła mi w głowie. Jeśli miałeś zginąć, to mogła być główna przyczyna twojego zejścia. Tutaj co prawda nie spodziewałem się wybuchających niespodzianek, ale nie wiedziałem, co kryje się pod ziemią, czai się w oknach budynków i co może spaść na nas wprost z nieba.

Ruszyliśmy, pierwszy Roman. Powstrzymałem Miszę, który wrywał się do przodu. Kazałem, by szedł kilkanaście metrów za przewodnikiem. Ja ruszyłem ostatni, także utrzymując odległość, z przyzwyczajenia.

Znów wspomnienia. Tam zmienia się twoje życie. Potrafisz być twardy, widząc, jak koledze urywa nogę, albo kiedy znajdujesz Afgańczyka, który zginął, o dziwo, nie od ran postrzałowych, ale od kamieni i pałek, którymi zatłukli go sąsiedzi. Za to wzruszasz się, słuchając ulubionego kawałka puszczanego w radiu albo przy opowieści kolegi, który wspomina, jak w szkole za cholere nie mógł na stołówce polubić pulpetów.

Stajesz się innym człowiekiem, a może maszyną napędzaną adrenaliną, skażoną na całe życie zapachem, który zapamiętają twoje receptory. Zapachem śmierci, strachu i kraju, w którym wiele otrzymałeś, ale i straciłeś tak wiele. To pozostaje, przesiąkasz tym wszystkim, tworzysz kolejny niechciany zmysł, który staje się twoim przekleństwem.

Ten zmysł objawia się w takich chwilach jak ta.

Zauważyłem je wcześniej niż Roman i gwizdnąłem, wskazując kurhany na skwerze. Poruszyły się tylko nieznacznie, ale wiedziałem, że czekają w nich ukryte niespodzianki.

Roman nie cackał się. Obrzucił kopce granatami, które wyciągnął spod płaszcza. Nie zastanawiałem się nawet, skąd je ma.

Zasadzka nieudana.

– Bezkostni!

Z okien zaczęły się wylewać bezkształtne stwory. Wydawało się, że ich ciała są skórzanymi workami wypełnionymi krwią. Gdy strzelałem w ich stronę, pękały w malowniczych gejzerach.

– Strzygi!

Popatrzyłem w prawo na chude, ale mocno umięśnione demony z ogromną prędkością zmierzające w naszą stronę. Wiedziałem, że nie damy im rady. Szybkie rozeznanie terenu i dostrzegłem szansę.

– Na pakę! – wrzasnąłem, wskazując pickupa stojącego na chodniku.

Roman i Misza wskoczyli na samochód, ostrzeliwując strzygi i klnąc w niebogłosość. Stałem nad nimi, puszczając krótkie serie w stronę atakujących.

– Masz lepsze oko, Alek. Wal do tych na górze! – wrzasnął Roman. – Cholerne nocnice!

Popatrzyłem w niebo. Skrzydlate cienie opadały, błoniaste skrzydła to rozpościerały się w powietrzu, to składały, gdy demony pikowały prosto na nas. Strzelałem systematycznie w te, które w danym momencie były najlepszym celem, i w te, które były najbliżej. Mimo to jedna

z nocnic wylądowała prosto na pickupie, nakrywając nas skrzydłami niczym śmiertelnym całunem. Roman na szczęście zareagował szybko. Obrzyn szczęknął i wydał ogłuszający huk, a nocnica poleciała na plecy w tłum nacierających wapiery i strzyg.

– Nie damy rady – wrzasnąłem, próbując przekrzyczeć odgłosy wystrzałów i nieludzki wizg nacierających. – Misza, jeśli oszczędzasz te swoje popaprane moce na ostatnią godzinę, to ona właśnie nadeszła!

– Próbowałem. – W głosie Asieniewicza słychać było i złość, i rozpacz. – Alek! Cały czas próbuję!

Opuścił karabinek i wyciągnął w stronę atakujących dłoń. Palce rozstawił niczym promienie słońca. Jedna ze strzyg zachwiała się i upadła, ale na pozostałych moc Asieniewicza nie zrobiła wrażenia.

– Tutaj magia nie ma wstępu! – ryknął Roman. – Strzelajcie, to jedyny sposób na bestie. Wchodzimy do krainy Welesa i on jest tu panem!

Zakląłem. Niebo pociemniało od nadlatujących stworów, kłębowiska kotłujących się zmór sprawiały, że ulice się poruszały. Nie mieliśmy żadnych szans. Roman też zdał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Popatrzył na mnie i krzyknął:

– Nie poddawać się!

A potem okręcił się jak zawodowy tancerz i zeskoczył z paki. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co robi, ale po chwili zobaczyłem, jak otwiera drzwiczki i wskakuje do szoferki.

Silnik zazgrzytał, jednak nie odpalił. Nie miałem nawet chwili, by pomóc Romanowi. Nocnice nacierały z dziką furią. Większość spadała, roztrzaskując się o ziemię, ale nie nadążałem z likwidowaniem kolejnych skrzydlatych pocisków. Misza także dwoił się i troił. Byłem pewny, że amunicja na długo nam nie wystarczy.

Samochód drgnął. Roman musiał spuścić ręczny. Znów wyskoczył i pobiegł na tył pickupa. Słyszałem jego ryk, gdy zaczął pchać samochód w dół ulicy. O dziwo, pojazd ruszył i zaczął nabierać prędkości.

– Misza, wal w te na górze! – krzyknąłem. – I spróbuj użyć tej swojej mocy, jak będę odpalał silnik. Może się uda!

Podbiegłem na przód samochodu i wybiłem szybę oddzielającą mnie od szoferki. Po chwili wskoczyłem do środka, nie zważając na to, że ranią mnie odłamki szkła. Chwyciłem za kierownicę i wcisnąłem sprzęgło. Pickupem wstrząsnęło, a my wyraźnie straciliśmy rozpęd.

Roman na szczęście znów zaczął pchać z całej siły. Słyszałem krzyk Miszy, który rozpaczliwie ostrzeliwał się, celując na zmianę w górę i w dół, w stronę biegnących za nami strzyg.

– Misza! Postaraj się!

Zaryzykowałem i przy drugiej próbie dodałem lekko gazu. Silnik zaskoczył. Upewniłem się, że Roman wskoczył na pakę, i ruszyłem na łeb na szyję przed siebie.



Zanim otworzyła oczy, już wiedziała, że jest obserwowana. Wyczuwała na sobie zachłanne i badawcze spojrzenie. Nie myliła się.

Usiadła i uniosła powieki, patrząc prosto na Nyję.

– Słyszysz Perunowi czy Welesowi? Zdecydowałaś się, kto jest twoim panem? – zapytała.

– Jestem panią samej siebie. – Kobieta zaśmiała się, a jej oczy rozbłysły osobliwym blaskiem. Były to oczy drapieżnika zdolnego pożreć nie tylko ciało, ale i duszę. – Może służyć obu, może żadnemu z nich?

Ich spojrzenia znów się starły. Obie czekały, która wytrzyma tę próbę sił.

– Widziałam twoją śmierć, Nyjo – powiedziała Ksenia.

Kobieta zadrżała, jej źrenice rozszerzyły się. Teraz jej wzrok stracił moc, a Ksenia zdała sobie sprawę, że jest jedyną, która potrafi okiełznać tę zwierzęcą siłę.

– Kłamiesz – wysyczała Nyja.

– Nie. – Ksenia wykrzywiła usta, wiedząc, że uśmiecha się złośliwie. – W tym śnie życzyłam ci śmierci. Nieistnienia. I odeszłaś, Nyjo... Rozwiałaś się na wietrze niczym proch. A podobno tylko ty możesz odesłać z Nawi w niebyt. Ty wraz z Welesem decydujesz o losach ludzi po śmierci. Coś się chyba jednak zmieniło?

Oczy Nyi zwężyły się w szparki, nozdrza za to rozszerzyły, a ciało naprężyło. Wydawało się, że jest gotowa skoczyć Morozowej do gardła.

– Wystarczy!

Obie odwróciły się w stronę mężczyzny, który pojawił się w sypialni. Jego głos zadźwięczał niczym tajemniczy, obcy instrument, wypełniał przestrzeń, zagarniał ją dla siebie, pozbawiając oddechu, przejmując władzę nad zmysłami. Od Welesa biła siła, wyczuwalna moc, która elektryzowała powietrze. Tutaj nie mógł zaznać słabości, był niepodzielnym władcą podziemi.

– To ty walczyłeś wtedy z Perunem – wyszeptła dziewczyna.

– Nikogo nie uśmiercisz, Kseniu. – Weles przemówił łagodnie zmęczonym głosem, jakby po raz tysięczny upominał krnąbrne dziecko, które wciąż nie potrafi samo ocenić swoich postępów i nie słucha ojcowskich rad.

– Jesteś tego pewny? – zapytała. – Wszyscy próbujecie mi udowodnić, że jednak mogę to uczynić!

– Nikogo nie uśmiercisz – powtórzył. – Bo i ty przestałabyś istnieć.

– Może tego chcę? – zapytała butnie, podciągając nogi pod brodę. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zachowuje się i wygląda jak mała dziewczynka. Zobaczyła iskierki ironii w oczach Nyi, która przeciągnęła się jak kot i podeszła do Welesa, stając u jego boku.

– Może – zgodził się. – Jednak powinnaś wiedzieć, że jeśli tak się stanie, nie tylko ty, ale wszyscy, których zdążyłaś poznać i być może pokochać, przestaną istnieć wraz z tobą.

– Chcesz mi powiedzieć, że wszyscy jesteście w moich rękach? A dokładniej, że wasz los jest w moich rękach?

– Wiesz, kto trafia do Nawi, dziewczyno? – Weles odpowiedział pytaniem na pytanie. Podeszedł do krzesła ustawionego przy łóżku Kseni i usiadł na nim, starając się nie pognieść złocistych szat, które miał na sobie. Taka zwykła ludzka ostrożność, która do niego nie pasowała. – Kseniu?

– Dusze zmarłych – powiedziała, czując, jak zaciska jej się krtąń. – Tak jak moja dusza.

Nyja prychnęła. Ustawiła się za plecami Welesa, kładąc mu dłonie na ramionach. Obok niego czuła się pewnie, zapomniawszy o swoim wcześniejszym zwątpieniu.

– Trafiłaś tu, chociaż nie powinnaś. – Weles przemawiał wciąż tym samym tonem, jakby uspokajał już nie dziecko, a rozbrykane szczenię. – Może to sprawka Peruna, a może kwestia twoich wyborów?

Nie odpowiedziała. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Nie tylko nasz los, ale i twój własny jest w twoich rękach. Masz moc, z jakiej nie zdajesz sobie sprawy. Przecież tam, na ziemi, gdybyś zechciała, żadna kula by cię nie dosięgła.

Ciebie ani twojego obrońcy.

Ksenia przełknęła ślinę i pomyślała o Alku. Zawiodła go, a przecież jej zaufał. Popatrzyła w srebrzyste kafle podłogi. Wzory nachodziły na siebie, zimne okręgi przemieszczały się, przenikały. Zdawały się oddalać i przybliżać w rytm myśli Morozowej.

– Ktoś jednak chciał, żebym tu trafiła. – Uniosła gwałtownie głowę. Odpowiedziała buńczucznie, lecz tak naprawdę próbowała ukryć zmieszanie. – Ktoś, kto wysłał na mnie tych wszystkich... morderców.

Jej słowa były jak kamienie. Opadły jednak na dno bez żadnego odzewu, nie ulżyły też jej duszy.

– Tak trudno przechodzi przez gardło słowo ojciec? – W głosie Nyi było tyle ironii, że Ksenia zdała sobie sprawę, iż jej samej nie udałoby się dojść do takiego poziomu obłudy. – Odwieczny konflikt na linii rodzice – dzieci nigdy nie wygaśnie...

Weles uniósł dłoń, dając Nyi do zrozumienia, by się nie wtrącała. To, jak się zdawało, tylko ją rozjuszyło, ale zapanowała nad emocjami. Za Welesem była w stanie skoczyć w ogień.

– Tak, to Perun nasłał na ciebie morderców – potwierdził władca krainy umarłych. – Choć przyznam, że przez chwilę myślałem, że ukartowałaś to wszystko wraz z nim.

Weles nachylił się w stronę Kseni, strącając dłonie Nyi ze swoich barków. Morozowa poczuła, jak jego spojrzenie ją przenika, jakby w swoim królestwie był w stanie ogarnąć i rozpoznać wszystkie jej myśli.

– Ale nie – powiedział po dłuższej chwili. – Ty nie byłabyś do tego zdolna.

– Tak dobrze mnie znasz? – zapytała ze złością, czując, że nie potrafi opanować drżenia kącików ust.

– Zdążyłem poznać cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że mam rację.



Roman przejął kierownicę kilka przecznic dalej. Jechaliśmy w stronę starego miasta, tak przynajmniej mi się wydawało, potem jednak nasz kierowca wykonał ostry zakręt i wpakowaliśmy się w witrynę sklepową jednej z kamienic.

Zgubiliśmy na chwilę pościg. Z daleka widziałem przelatujące i kręcące się w kółko cienie. Stwory z nosami przy ziemi biegnące w stronę centrum. Żaden z nich na szczęście nie skręcił w naszą stronę.

– Schodzimy na dół – zakomunikował Roman. – Sprawdźcie sprzęt.

Zrobiłem to odruchowo już wcześniej. Teraz zastanawiałem się, co ma na myśli Roman, mówiąc o dole.

Roman wyjrzał na zewnątrz, a gdy upewnił się, że nic mu nie grozi, podbiegł do studzienki kanalizacyjnej.

– Pomożecie czy nie? – zapytał, patrząc na nas przynaglająco. – Misza, podnieś pokrywę. Mamy mało czasu.

Asieniewicz pstryknął palcami. Pokrywa studzienki zadrżała, ale nie uniosła się cudownie w powietrzu. Podbiegłem do Romana i podważyliśmy oporną płytę, sapiąc przy tym z wysiłku jak stuletnie parowozy.

– Alek, wskakuj.

Niezbyt mi się to podobało. Pełna improwizacja, bez rozpoznania terenu. Podejrzewałem,

że w kanałach możemy się natknąć na gorsze monstra niż te, które zaatakowały nas tutaj. Roman jednak wyglądał na pewnego siebie. Poza tym spojrzałem za jego plecy – w naszą stronę zmierzały roje kolejnych stworów. Niezbyt mi odpowiadało ich towarzystwo.

Zszedłem błyskawicznie po drabince i zająłem pozycję, która umożliwiła mi bezpieczny ostrzał w razie niebezpieczeństwa. Kilka sekund później usłyszałem stukot butów Romana i Miszy, a potem włąz zatrzasnął się, pozostawiając nas w kompletnych ciemnościach.

– Masz.

Roman wpakował mi w ręce czołówkę. Założyłem ją i włączyłem. Chwilę później rozbłysły światła latarek Romana i Asieniewicza. Nad naszymi głowami rozległy się szuranie i stukot, a potem przeszywający wizg. Pokrywa zatrzęsła się, ale wyglądało na to, że jest zablokowana na amen.

– Idziemy – powiedział Roman. – Do smrodu się przyzwyczaiście.

Zdałem sobie sprawę, że błędnie oceniłem sytuację. To nie była improwizacja. Roman rzeczywiście nie tracił tu czasu. Dokładnie wiedział, gdzie jest i dokąd ma zmierzać. Ruszyliśmy za nim. Ja ubezpieczałem tyły.

– Będziemy schodzić coraz niżej.

Głos Romana odbijał się echem od ścian, co sprawiało wrażenie, jakbyśmy zostali zamknięci w jakimś grobowcu.

– Co tam znajdziemy? – Misza brodził w mętnych ściekach.

– To, czego szukamy – zaśmiał się cicho nasz przewodnik. – Ksenię, a może śmierć? Cholera wie.

– Chcesz powiedzieć, że Nawia jest w kanałach, na dole? – zapytałem.

– Jeśli przyjąć pojęcie góry i dołu, to tak. – Roman przystanął przy rozwidleniu, dotknął ściany, szukając znajomego wgłębienia i znów ruszył przed siebie. – Drzewo Kosmiczne, według wierzeń Słowian, to centrum świata.

Jego głos wydawał się głosem przewodnika z zaświatów. Hipnotyzował, wwierał się w umysł, ale i uspokajał.

– W różnych kulturach pod pojęciem *Axis mundi* kryje się oś świata. Korzenie to kraina zmarłych, z nich wyrasta pień, czyli świat ludzi, a korona jest światem bogów. Ja obstaję przy tym, że ludzie są liśćmi, które spadają jesienią, by odżywiać korzenie, które z kolei dostarczą energii pniu i gałęziom, i zawiązkom nowych pąków. Ale jak jest naprawdę, tylko bogowie wiedzą.

Schodziliśmy niżej. O dziwo, woda płynąca w kanale nie spływała w dół, a wspinała się do góry. Dotknąłem ściany. Znikły gdzieś cegły, moje palce natrafiły na wilgotny, ciepły kawałek drewna.

– Jak Uroboros? – zapytał w końcu Misza. – Śmierć i odrodzenie...

– Może. – Roman wzruszył ramionami. – W innych religiach oblatany nie jestem.

Obrócił się do nas i wyszczerzył kły.

– Nie wiem, co jest dalej. Musimy być ostrożni.

Skinąłem głową. Sprawdziłem magazynki, poprawiłem też ułożenie glocka w kaburze. Roman skinął głową, widząc, że jestem gotowy, a patrząc na Miszę, przewrócił oczami. Asieniewicz w tym czasie po prostu gapił się w sufit.

– Musimy iść na sam dół – powiedział Roman. – Znajdziemy tam wieżę... Taką samą Białą Wieżę jak ta, do której przybyliście.

Chciałem coś powiedzieć, ale nagle spod wody wyłoniła się ogromna macka, która chwyciła Romana w pasie i pociągnęła w dół. Trwało to zaledwie ułamek sekundy i nasz przewodnik zniknął pod wodą. Misza zaczął strzelać na oślep. Krzyczał, próbując wspiąć się jak

najwyżej, byle z daleka od wody. Złapałem go za rękę i popchnąłem w bok. Chłodna kalkulacja. Nie mieliśmy szans pomóc Romanowi, a huk mógł ściągnąć nam na głowę jeszcze gorsze nieszczęście.

Zaczęliśmy biec. Kierowaliśmy się tunelem w dół, brodząc w coraz głębszej wodzie. Prąd podziemnej rzeki stawał się silniejszy i spowalniał naszą ucieczkę. Wiedziałem jednak, że to dobry znak. Powinniśmy dotrzeć do źródła, a ja modliłem się jedynie, żeby pod powierzchnią nie znalazło nas to, co dorwało Romana.

– Czy myślisz, że on...?

Zaśmiałem się nerwowo. Zwolniliśmy, obaj byliśmy bliscy wypłucia płuc. Misza wciąż nie mógł się uspokoić.

– Że zginął? – wysapałem. – Przecież on już nie żył. Pamiętasz?

Asieniewicz brodził w wodzie sięgającej nam już do pach, tuż u mojego boku. Spojrzał dziwnie, ale skinął głową.

– Masz rację – powiedział. – Tylko że już nie jestem pewny, czy my żyjemy, czy raczej jesteśmy duchami.

Na to nie miałem odpowiedzi. Nagle straciłem grunt pod nogami i runąłem w dół.



– Czy Perun prosił cię, byś uczyniła go wiecznym, Kseniu?

Popatrzyła na Welesa. Przez chwilę myślała, że sobie z niej kpi, jednak było coś w jego obliczu, co kazało jej poważnie potraktować to pytanie. Myśli znów stały się nieuchwytnie, jakby nie należały do niej, jakby dano je jej za ledwie na chwilę, by mogła z nich korzystać, ze wspomnień, uczuć i strachu.

– O czym mówisz? – Z trudem wypowiadała słowa. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a rozwieją się niczym dym na wietrze. – Ja miałabym uczynić Peruna wiecznym? Myślałam... Myślałam, że bogowie są wieczni?

Weles dotknął jej czoła. Nie wzbraniała się. Poczowała jego dotknięcie jak muśnięcie delikatnego materiału. Wraz z nim przyszło ciepło, które wybuchło gdzieś głęboko w środku, a potem pojawiła się jasność myśli.

– Bogowie istnieją tak długo jak ludzie, którzy nazywają ich imieniem boga. Wraz z ostatnim wierzącym ginie i jego stwórca. Perun odejdzie z tamtego świata, gdy jego imię zostanie zapomniane. A wtedy trafi tu. – Słowa Welesa wypełniały nie tylko pomieszczenie, bogatą salę otoczoną kolumnami, ale przede wszystkim jej umysł i duszę.

– Tu – powtórzyła, jakby budząc się ze snu.

Weles zaśmiał się cicho.

– Rozumiesz, że nie bardzo przypadnie mi do gustu jego obecność w tym królestwie. Nie pałamy do siebie wielką miłością.

– Nie prosił mnie, żebym uczyniła go wiecznym. – Dziewczyna zamyśliła się. Przez chwilę nie rozpoznawała Welesa, jakby z jej przemianą on także się zmienił. – Perun... On...

– O co więc cię prosił Perun?

– Prosił, żebym... – zawahała się, a może zawstydyła. Głowa opadła jej na piersi, oczy zapiekły. – Prosił, żebym w niego uwierzyła.

– I? – Weles zapytał poważnie, z napięciem. Znów wyciągnął dłoń, tym razem po to, by

unieść wyżej jej podbródek. – Uwierzyłaś?

Pokręciła głową i poczuła ciepłe łzy spływające po policzkach.

– Jaka to miałyby być wiara? Ja wierzę w innego Boga. A Peruna chciałam tylko ochronić, jak ojca...

– To wystarczyło, dziecko. – Weles nachylił się i otarł kciukiem łzy z jej twarzy. – Skoro jesteś tu, a nie w niebie swojego Boga.

Uniosła głowę, jej oczy zaiskrzyły się, ale nic nie powiedziała.

– Widzisz, wciąż masz tę moc. – Usiadł obok niej na łóżku. – Wciąż możesz decydować o losach bogów i ludzi. Wystarczy jedno twoje słowo, a przetrwa Perun i ci wszyscy, których ma pod swoją opieką. To mu wystarczy. Ty jesteś tą, która może decydować o losie ludzi i bogów. Tak jak kiedyś twoja matka.

– Moja matka?

– Ona wybrała inaczej, niż chciał Perun. Sama wybrała swój los. Wiedziała, że jeśli ulegnie ambicjom Peruna, zniszczy świat. Ona mogła wybrać, zresztą tak jak ty. I odeszła.

– Nie pamiętałam jej. – Słowa wydostały się ze spierzchniętego gardła niczym suchy szelest liści.

Weles popatrzył na nią ze zrozumieniem i, jak się wydawało, współczuciem.

– Perun chciał tego samego od ciebie, co od niej – odezwał się po dłuższej chwili.

– Tylko do tego mnie potrzebował? – Z trudem przychodziło jej formułowanie zdań, wypychanie ich przez zwężające się gardło. – A gdy się nie zgodziłam, pozwolił, żebym tu trafiła?

Weles wyrzucił z siebie ni to westchnięcie, ni tłumiony śmiech.

– Wciąż nie wiem, po co przybyłaś do Nawi. Przez moment myślałem, że Perunowi zależy na tym. – W jego dłoni pojawiła się złota buława. Przez chwilę wpatrywał się w nią, a oczy błyszczały mu tak samo jak szlachetny metal. – Ale zdałem sobie sprawę, że to pycha podszeptuje mi takie rozwiązanie. Perun chciałby przejąć władzę nad Nawią? Bo wiedział, że tu trafi, gdy wszyscy o nim zapomną? Po to tylko, żeby nie mieć nad sobą Welesa i rządzić w zaświatach? Nie, on nigdy by się tym nie zadowolił.

Buława rozplynęła się w powietrzu, jakby była tylko złudzeniem, a Weles znów spojrzał na Ksenię.

– Ma inny cel. To na pewno. Perun musiał przewidzieć, że odda swoją córkę w moje ręce. Oczekuje więc mojej reakcji.

– I jaka ona będzie? Co zrobisz? – zapytała, drżąc na całym ciele. Przez chwilę wydało jej się, że sama zniknie, zupełnie tak jak wcześniej buława. Iluzja rozwieje się, a jej pozostanie tylko ciemność. Ciemność, która przyzywała ją coraz mocniej.

Popatrzył na nią z namysłem, jakby znów odczytywał i przenikał jej myśli.

– Mógłbym odesłać cię z powrotem, ale mam wrażenie, że szybko byś tu wróciła. Znów by cię zaszczuli. Nie przerwaliby nagonki i znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia.

– Córka Peruna może być też twoim zakładnikiem – zauważyła Nyja. Ta opcja chyba najbardziej przypadłaby jej do gustu.

– Żebym ściągnął na siebie kolejne kłopoty? – zakpił Weles, czym spłoszył nieco Nyję. – Myślisz, że tego chciał Perun? Pretekstu do interwencji w Nawi? By uwolnić swoją córkę z rąk bestii, Welesa? Tylko po co mu kraina umarłych? Gardzi nią przecież. Nie, Perun chce czegoś innego.

– Może chce złamać jej wolę? – Nyja nie dawała za wygraną. – Wie, że ją odeślesz z powrotem, a wtedy spełni jego wszystkie rozkazy?

Weles wciąż patrzył w oczy Kseni.

– Już tego próbował z jej matką – powiedział. – Ona jednak nie dała się złamać, wybrała niebyć... Tobie tego nie życzę.

– A jest inna droga? – zapytała Ksenia, czując, jak zaciska się jej krtań, a do oczu napływają łzy. Weles mówił o jej matce tak, jakby ją znał, a dziewczyna przecież nie wiedziała nawet, kim ona była.

– Jest. Ty możesz o niej zdecydować. – Wskazał bransoletkę. – Być może otrzymałaś ją nie bez powodu? To bardzo silny artefakt. Śmierć, odrodzenie.

– Odrodzenie? – powtórzyła bezwiednie Ksenia. Poparzyła na smoka oplatającego jej nadgarstek. Znow się poruszył, jakby czekał na nią, na jej decyzję.

– Cóż – Weles nagle się zaśmiał – wszystko sprowadza się do pragnień Peruna. Nie sądzę, by chciał, żebyś poszła drogą swej matki. Wolałby twoje odrodzenie. Na to liczy! Chce nowej, silnej bogini, bo wie, że wraz z tobą odrodzi się także on. Już nie będzie potrzebował wierzących, by przetrwać i być niezwyciężonym. Wystarczy tylko ty i twoja siła.

– A może to ty tego pragniesz? – wychrypiała.

Nie odpowiedział. Jego twarz wydawała się wykuta z kamienia, nie drgnął na niej nawet jeden mięsień.

– Ty też na tym skorzystasz. – Ksenię ogarnął przejmujący chłód. Zacisnęła pięści, czując, jak paznokcie przebijają skórę dłoni. Nagle jej umysł rozjaśnił się, jakby odzyskała nad nim władzę. – Perun wiedział, że taką podejmiesz decyzję, że w tej jednej sprawie poprzesz go, a właściwie, że nie zrobisz nic, by mu przeszkodzić.

– Jak możesz?! – Udał zdumienie. Jego twarz odżyła, wydała się tknięta jakąś magią, której ulegali wszyscy w tym podziemnym królestwie. – Oskarżasz mnie? Dziecko! Ta sprawa przecież mnie nie dotyczy. Nawi nic i nikt nie zniszczy. Będzie istnieć zawsze, tak jak i ja. Trafiać będą tu po kolei dusze wyznawców starych bogów, potem demony, które pójdą w zapomnienie, a być może jeszcze wcześniej bogowie, w których nikt już wierzyć nie będzie...

– Skoro trafią tu nawet zapomniani bogowie – przerwała mu, starając się panować nad głosem – to z Perunem zrobiłoby ci się w Nawi zbyt ciasno. Tak to ująłeś?

Skłonił głowę, jakby w uznaniu dla jej przenikliwości.

– Masz rację, dziecko. Wolę, żeby Perun żył złudzeniami tam, na ziemi, żeby pochłonęły go rojenia o odbudowaniu królestwa Słowian. Niech wierzy, że on i wszystkie demony, i bogowie będą tam trwać i nie zostaną starci w proch zapomnienia!

– Teraz, gdy mi to powiedziałaś, po co miałabym dokonać wyboru, jakiego chce Perun? – Ksenia patrzyła z niedowierzaniem na Welesa. – Mnie nie interesuje, czego on pragnie!

– Masz wolną wolę. – Weles westchnął teatralnie. – Ważne jest, czego sama chcesz.

– A czego chcesz ty? – Popatrzyła w rozżarzone czerwienią oczy. – Czego? Czego chcesz?!

– Żebyś spełniła życzenie swojego ojca.

Ksenia zamarła. Nyja, która do tej pory zachowywała milczenie, poruszyła się i powiedziała coś w języku, którego dziewczyna nie zrozumiała. Weles zmarszczył jednak brwi i dał jej sygnał, by zamilkła.

– Zrób to, Kseniu. – Na jego twarzy zagościł tajemniczy uśmiech.

– A co jeśli... – Dziewczyna uniosła głowę i wyprostowała się. – Co jeśli będę chciała pójść taką drogą jak matka? Jeśli wybiorę nieistnienie?

– Cóż... – Na Welesie ta deklaracja nie zrobiła żadnego wrażenia. Wyprostował się także i odwrócił, spoglądając na Nyję. – To życzenie może spełnić akurat twoja dobra znajoma. Czy tego chcesz, Kseniu? Przestać istnieć?

Potrząsnęła głową, a potem ukryła twarz w dłoniach.

– Już nie wiem, czego chcę – wyszeptała.



Misza rozpaczliwie machał rękami. Szarpał się w wirze, który obracał jego ciałem niczym szmacianą lalką. Płuca rozrywał ból. Asieniewicz wygiął się w łuk, walcząc z silnym prądem, ale tak naprawdę nie wiedział, w którą stronę płynąć. Próbował obserwować wypuszczone nosem bańki powietrza, ale te zamiast uciec w stronę powierzchni okręcały się wokół niego, jakby i one były zupełnie zdezorientowane tym szaleńczym wirym.

Muszę się temu poddać, pomyślał.

Zbliżył ręce do twarzy, jakby to miało mu pomóc w utrzymaniu na dłużej powietrza w płucach. Przed oczami przesuwaly się czerwone plamy, krew huczała w skroniach. A potem wir pociągnął go ze sobą. Zgiął Miszę w pół i nagle wypluł z ogromną siłą. Asieniewicz poczuł, jak resztki tlenu wyciskane są z jego płuc, i gdy już był pewny, że gardło wypełni się wodą, uderzył w miękkie sypkie podłoże, krztusząc się i próbując zaczerpnąć powietrza.

– Misza!

Asieniewicz rozkaszał się. Próbował unieść się z klęczek, ale jego ciało odmówiło posłuszeństwa. Serce wciąż nie mogło złapać właściwego rytmu.

– Misza!

Musiał wziąć się w garść. Odcharknął plwocinę, gęstą maź, która wypełniała jego usta, i uniósł głowę. Alek siedział obok i także nie wyglądał najlepiej. Jednak on by się przecież nie utopił, nawet gdyby tego chciał, pomyślał Asieniewicz z zazdrością.

– Idziemy.

Misza przytaknął i wstał na chwiejne nogi. To on powinien dążyć za wszelką cenę do tego, by iść dalej, do Kseni. On powinien dyktować tempo i jemu powinno zależeć najbardziej. A przecież to Alek znów dowodził, miał większe doświadczenie i bardziej niezłomny charakter.

Misza przypomniał sobie ten wieczór, gdy Alek i Ksenia byli razem, gdy przemknęło mu przez myśl, że Bielski mógł zadurzyć się w niej, a nie daj Boże i ona w nim. Przypomniał sobie uczucie, które wtedy wybuchło żywym ogniem w jego wnętrzu, w trzewiach, zamieniając go w popiół.

– Kochasz ją? – wycharczał.

Zacisnął pięści. Nie poznawał samego siebie, swojego zachowania. Nie wiedział, jakiej odpowiedzi oczekiwać, i nie wiedział, jaka będzie jego reakcja. Po prostu musiał to z siebie wyrzucić, ugasić wewnętrzny ogień, zanim ten strawi jego umysł.

– Kocham?

Alek chyba nie zrozumiał albo doskonale się maskował. W końcu spojrzał takim wzrokiem, że Misza poczuł chłód.

– Wybacz – wychrypiał Asieniewicz. – Ja...

– Nie kocham jej, Misza – odezwał się w końcu Polak. – Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, ale jeśli mamy tam iść razem, to powinniśmy to wyjaśnić.

– Rozumiem. – Asieniewicz uniósł dłoń, ale zaraz ją opuścił.

– Chyba jednak nie. – Alek patrzył na niego surowo. – Każdy ma swoje demony, Misza. Te wewnątrz. Ja chcę doprowadzić sprawę do końca. Czuję się odpowiedzialny za tę dziewczynę, za ciebie też. Ktoś wybrał nas i przestawił niczym pionki na szachownicy. Ale to

właśnie Ksenia uświadomiła mi, że to nie oznacza, że jesteśmy skazani na porażkę. Musimy zakończyć tę grę. Najlepiej tu i teraz.

Misza skinął głową. Palily go policzki. Opuścił wzrok i po chwili ruszył za Alkiem w stronę Białej Wieży majaczącej na horyzoncie.



– Z miłą chęcią pomogę ci dokonać wyboru – powiedziała Nyja.

Ksenia zamknęła oczy. Poczula ciepło przy policzku, pod powiekami pojawiły się lśniące refleksy.

– Zostaw ją! – Obcy głos rozbrzmiał w pomieszczeniu niczym brzęk tłuczonego szkła.

Morozowa otworzyła oczy. W pierwszej chwili zobaczyła tylko Nyję i Welesa, ale gdy podążyła za ich wzrokiem, dostrzegła u sufitu drobną postać. Chłopak, może kilkunastoletni młodzieniec, zsunął się po marmurowej kolumnie i stanął u jej boku.

– Zostawcie ją – powtórzył.

Nyja wykonała ruch, próbując wyrzucić w stronę przybysza kulę energii, która wciąż wirowała w jej dłoni, ale Weles ją powstrzymał.

– Nie rób tego – ostrzegł.

– Jesteś mądry, Welesie. – Młodzieniec uśmiechnął się szelmowsko. – Wiesz, że to skończyłoby się źle dla nas wszystkich.

– O czym on mówi? – Nyja podniosła głos, jej oczy pałały żądzą mordy.

– Mam jej pokazać? – zaśmiał się przybysz.

– Jak chcesz, pogodniku – odpowiedział spokojnie Weles.

Młodzieniec nagle jakby napuchł, rozszerzył się. Jego ubraniem targnął podmuch powietrza, a potem ciało od klatki piersiowej w dół rozszczępiło się na miliony drobnych, wirujących cząsteczek. Salę wypełniło oślepiające światło. Ksenia uniosła dłoń do czoła, próbując chronić oczy. W środku, we wnętrzu pogodnika dostrzegła trzy wirujące kule, takie same jak ta, którą Nyja trzymała w dłoni.

– Wystarczy na naszą dwójkę – oznajmił pogodnik z uśmiechem. – Tobie, Welesie, nie uczyni większej szkody, ale Nyja i ja...

– Czego chcesz? – przerwał mu Weles. Słowa chłopaka nie zrobiły na nim większego wrażenia. – Bo każdy tu czegoś chce. Nawet ten świat stał się ostatnio bardzo interesowny.

– Mojej siostry – odpowiedział pogodnik, jego twarz stężała, a kąciki ust zadrżały. – Przywróć ją do życia. I wypuść nas, Ksenię także.

– Twoją siostrę? – Weles zaśmiał się. Wstał, nie zważając na nerwowy ruch pogodnika. Kule w klatce piersiowej chłopaka zawirowały znacznie szybciej. – Nie ma tu twojej siostry.

– Jest! – Pogodnik zatrząsł się. Jego ciało zaczynało przekształcać się w wir powietrzny, składający się z milionów ziarenek piasku. Tylko głowę trzymał nieruchomo, jego twarz stężała z bólu. – Perun kazał ją zabić... Musi być w Nawi. Ukryłeś ją!

– Wiesz coś o tym? – Weles zwrócił się do Nyi, która wzruszyła ramionami i zaśmiała się.

– Kolejna z gier Peruna. Miałam cię za sprytniejszego, pogodniku. Twojej siostry nie ma w Nawi – wyszczała.

Chłopak otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zamilkł jednak. Widać było, że

próbuję podjąć decyzję.

– W takim razie pozwól nam odejść – wydusił w końcu. – Mnie i dziewczynie.

– I co? – Weles spojrział na niego pogardliwie. – Oddasz ją Perunowi w zamian za siostrę?

Myślisz, że to był jego cel?

Pogodnik wyraźnie zwątpił. Rozejrzał się nerwowo.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł Nyję, gdy ta odsunęła się od Peruna i zaczęła okrażać łóżko

Kseni.

– Jesteś dezorientowany jak opuszczony psiak. – Nyja przechyliła głowę i zrobiła smutną minę. – I co teraz poczniesz? Szukasz zemsty? A może wciąż chcesz negocjować?

Wydstać się stąd i zemścić na niedobrym Perunie, który w tak haniebnym sposobie z ciebie zakpił?

Pogodnik popatrzył na Ksenię. Coś musiał dostrzec w jej obliczu, bo nagle się uspokoił.

Jego ciało wróciło do poprzedniego kształtu.

– Wygląda na to, że jesteśmy w impasie – powiedział. – Chyba że znów zmieni się układ sił.

Nyja pobladła, a kula światła wyskoczyła z piersi pogodnika i ruszyła w jej stronę. Zdążyła ją odbić, składając dłonie w znak tarczy, ale świetlisty pocisk musnął jej ramię, wypalając głęboki żarzący się ślad.

– Pogodniku! Przestań! – ryknął Weles. – Nie rozumiesz, że ty też jesteś częścią gry Peruna? Wiedział, że tu się zjawisz, pozwolił ci na to!

Chłopak zdawał się tego nie słyszeć. Jego ciało zawirowało w tumanie szarego kurzu. Podmuch powietrza zrzucił sprzęty ze stołów i powywracał meble. Ksenia zaczęła krzyczeć, budynek zatrzęsł się w posadach. Wydawało się, że jakaś siła poruszyła nim na boki, a potem z góry na dół. Na ścianach pojawiły się pęknięcia, kamienie zaczęły obracać się w pył, jakby gniecione niewidzialną siłą.

Nyja i pogodnik nie przerywali walki, zbyt zapalczywi, by zauważyć, co się wokół nich dzieje. Jedynie Weles siedział wciąż na tym samym miejscu i patrzył w oczy Kseni.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał. – Ta walka nigdy nie ustanie. A przecież ty nie chcesz walki. Wolałabyś wszystkich uszczęśliwić, prawda?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:

– Możesz zrobić dwie rzeczy...

Ksenia słuchała i patrzyła, jak lśniące marmurowe płyty odpadają od ścian i kruszą piękną kafłową podłogę. Nawet na tym świecie nic nie jest trwałe, pomyślała.

– Słyszysz? – powtórzył władca Nawi.

– Mogę umrzeć – odparła cicho. – Przestać istnieć jak matka.

I wiedziała, jak to zrobić. Wystarczyłoby, że jedna z kul zmieni trajektorię lotu i dotknie jej ciała. Spopieli ją i odeśle w niebyt.

– A możesz odrodzić się na nowo – powiedział Weles, uśmiechając się smutno.



W pierwszej chwili nie rozumiałem, czym jest wirujący krąg otaczający wieżę. Dopiero gdy zbliżyliśmy się na wystarczającą odległość, byłem w stanie dostrzec postaci poruszające się niczym jeden żywy organizm. Wzbijały chmury gorącego piasku. Nagrzane powietrze wydłużało te cienie, sprawiało, że wydawały się nienaturalnie wysokie i chude. Było ich tak wiele, że

wiedziałem, iż nie będziemy w stanie przedrzeć się przez kordon sług Welesa.

– Musi być jakiś sposób – wychrypiał Asieniewicz.

Ocierał nerwowym ruchem pot z czoła. Trawiła go gorączka, skóra wokół oczu wydawała się podrażniona, a same oczy świeciły niezdrowym blaskiem. Widziałem już nieraz takie spojrzenie, niekontrolowane drżenie ciała. Sam go doświadczyłem, wydawałoby się, wieki temu.

– Jesteś w stanie unieść nas w powietrze?

Popatrzył na mnie dziwnie, a przecież mówiłem całkiem poważnie. Nie widziałem innego sposobu. Próba przedarcia się przez ten szczelny kordon mogła zakończyć się tylko w jeden sposób: rozszarpaniem na strzępy przez pazury, szpony, kły i Bóg wie co jeszcze.

– Musi być jakiś sposób – powtórzył Misza. – Mam moc, ale nie potrafię jej tu użyć, rozumiesz?

Zagryzłem wargi. Do głowy przyszło mi jeszcze jedno rozwiązanie. Takie, do którego za bardzo się nie paliłem. Przypomniałem sobie spotkanie sprzed kilku godzin z pewnymi paniami, które zaoferowały mi liczne usługi. Wahałem się chwilę i w końcu uznałem, że nie mamy nic do stracenia. Miałem nadzieję, że to, na co się zdecyduję, nie odbije się czkawką w przyszłości. Chociaż z drugiej strony nawet jeśli miałyby się tak stać, przyszłości mogło nie być.

– Potrzebuję was – powiedziałem.

Misza popatrzył na mnie jak na wariata, ale uniosłem uspokajająco dłoń i powtórzyłem głośniejsze.

– Walkirie, potrzebuję was.

Przez chwilę nic się nie działo. Staliśmy z Miszą jak bezwolne kukły, wpatrując się w horyzont. Powtórzyłem kilka razy wezwanie. I już gdy straciłem nadzieję, zobaczyłem rozszerzone ze zdumienia oczy Miszy, a potem poczułem ciepły oddech na policzku. Dziewczyny nie rzucały słów na wiatr.

– Nasz bohater, Thrud. – Głos walkirii przyprawiał o dreszcze. – Nasz bohater wezwał nas szybciej, niż myślałam.

– I dobrze.

Thrud zmaterializowała się tuż przy mnie. Poczułem jej zapach, a potem smak ust. Przyznam, że smakowała dobrze, niczym landrynki, które pamiętałem z dzieciństwa. Asieniewicz uniósł broń, ale nie spodziewałem się, żeby w razie problemów z siostrzyczkami na coś mu się przydała.

Walkiria odsunęła się ode mnie i zmrużyła oczy.

– Czego chcesz? – zapytała. – Albo nie mów, niech zgadnę. Chcesz się dostać tam?

Wskazała palcem Białą Wieżę, a ja skinąłem głową. To było jasne. Musiała wiedzieć, czego chce. Uśmiechnęła się drapieżnie. Jej dłoń spoczęła na moim ramieniu, a potem przesunęła się w stronę karku.

– Zrobimy to dla ciebie – powiedziała, patrząc mi prosto w oczy. – Już złamałyśmy kilka zasad. Walkirie w Nawi... Nie sądzisz, że to pogwałcenie odwiecznych praw? My jesteśmy na wpół żywe, na wpół umarłe, dlatego odpowiedziałyśmy na twoje wezwanie nawet tu!

Zaśmiały się obie. Nie wyglądało na to, by przejmowały się jakimikolwiek zasadami.

– Lubimy adrenalinę, tak jak ty – zamruczała siostra Thrud. – To nas podnieca.

– Przysługa za przysługę? – Thrud przesunęła językiem po dolnej wardze.

– O jakiej przysłudze mówicie? – zapytałem, chociaż przecież tego mogłem się spodziewać.

– My pomożemy w sytuacji kryzysowej tobie, a ty nam, jeśli będzie taka potrzeba...

– Rozumiem. – Zmarszczyłem brwi, dając do zrozumienia, że rozważam ich propozycję.

– To jak? – niecierpliwiła się Thrud.

– Niech będzie.

Zaśmiały się, choć ich śmiech bardziej przypominał ptasi skrzek.

Thrud i jej siostra poruszyły ramionami i nagle za ich plecami rozwinęły się czarne lśniące skrzydła.

– Obejmij mnie – powiedziała Thrud.

Zrobiłem to, o co prosiła. Mięśnie zagrały pod jej skórą. Uderzyła kilka razy skrzydłami i nagle znaleźliśmy się w powietrzu. Musiałem przyznać, że trzymanie w ramionach jędrnego kobiecego ciała nie było udręką. Thrud objęła mnie mocnymi udami i przyciągnęła do siebie. Na chwilę tylko odwróciłem głowę, by zobaczyć, jak radzi sobie Misza. Siostra Thrud nie potraktowała go zbyt uprzejmie. Złapała Asieniewicza pod ramiona i uniosła jak drapieżnik swoją ofiarę. Na szczęście Misza miał na tyle rozumu, że nie protestował. Zamknął oczy i czekał, aż szaleńczy lot się skończy.

– Nie zobaczą nas – wyszeptała mi do ucha Thrud. – Ich smoki, gargulce i inne latające świnstwa nie wyczują nas, nawet gdyby tego bardzo chcieli.

– Rzykujesz – powiedziałem.

Zaśmiała się.

– A ty co robisz w tej chwili? Wielu byłoby zdolnych do takich poświęceń?

– Wiesz, mam chwilami wrażenie, że mnie z kimś mylicie – próbowałem przekrzyknąć świst wiatru.

Uderzenia skrzydeł walkirii stawały się coraz silniejsze, a my wznosiliśmy się coraz wyżej.

– Powiedzmy, że znamy się na ludziach. I wiemy, jaki w tobie tkwi potencjał.

– Moja skromność każe mi zaprzeczyć, próżność zgodzić się z tobą w stu procentach.

Znów się zaśmiała.

– Wszyscy się nas boją, a ty rozmawiasz z nami jak równy z równym. Nie sądzisz, że to o czymś świadczy?

Zastanawiałem się, czy nie o mojej głupocie, ale przemilczałem tę myśl. Zdałem sobie sprawę, że Thrud w każdej chwili może mnie wypuścić z uścisku. Byłem całkowicie zdany na jej łaskę.

– Za chwilę będziemy na miejscu.

Odchyliłem głowę i popatrzyłem w stronę Białej Wieży. Wyglądała teraz bardziej jak pokryte szronem gigantyczne drzewo niż dzieło rąk ludzkich. Lśniła i wydawała się ożywać.

– Pamiętaj o jednym. Jeśli tutaj będziesz musiał oddać życie, nie wahaj się znów nas przywołać. Przeprowadzimy cię do Walhalli, tam, gdzie miejsce bohaterów, takich jak ty.

– Pociuszające – odpowiedziałem. – Na pewno zapamiętam.

Patrzyła mi prosto w oczy i uśmiechała się, jakby wokół nie przemykały co chwila ślepe na naszą obecność skrzydlate potwory, a celem naszej wędrówki nie było królestwo Welesa. Obejmowanie walkirii okazało się fascynującym przeżyciem. Jej ciało było twarde niczym stal, a zarazem przedziwnie miękkie i kobiece. Chyba zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie na mnie robiła.

Zaczęliśmy pikować nagle, bez ostrzeżenia. I gdy już myślałem, że wszystko zakończy się bolesnym upadkiem, poczułem pod nogami grunt. Misza wylądował kilka sekund później, błądzący jak ściana. Podniebna podróż nie należała do przyjemnych. Chciałem podziękować walkiriom, one jednak wzbily się w powietrze i odleciały bez pożegnania.

Gdy były już wysoko, Thrud wydała z siebie przejmujący okrzyk, przyciągając uwagę nocnic i innych strażników Białej Wieży. Słyszałem jeszcze długo śmiech obu sióstr, które odlatywały w stronę horyzontu, bawiąc się nieporadnością ścigających je potworów.

Wieża zadrżała wstrząśnięta silnym wyładowaniem. Dach, na którym staliśmy, zaczął pękać, kruszyć się, a sam budynek sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili miał się rozsypać.
– Z deszczu pod rynnę – zauważyłem.

Asieniewicz nie docenił jednak powiedzenia, które idealnie opisywało naszą sytuację. Ponaglił mnie ruchem ręki, nie mogąc ustać w miejscu.

Pobiegliśmy w stronę schodów prowadzących na niższe piętra.

Wieża chwiała się, jakby rozbijał ją silny wiatr. Pokonaliśmy kilkanaście stopni w dół, a potem skręciliśmy w wąski korytarz. Tutaj dalszą drogę zagroziły nam drzwi. Nie wahałem się długo. Kopnąłem je raz, a potem drugi, aż wreszcie stanęły otworem.

Tego, co zobaczyliśmy, nigdy bym się nie spodziewał. Znaleźliśmy się w owalnej sali, pełnej złożonych kolumn i witraży. W twarze buchnął nam gorący podmuch. W pomieszczeniu rozpętało się istne pandemonium. Trudno było ogarnąć jednym spojrzeniem sytuację i zrozumieć, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Sprzęty, talerze, krzesła, a nawet meble wirowały wokół dwóch walczących postaci. Dopiero po chwili w jednej z nich rozpoznałem Nyję. Przypominała drapieżnego ptaka otoczonego czarnym wirem.

Przeniósłem spojrzenie na drugą stronę pokoju, gdzie siedział mężczyzna, a naprzeciw niego, na łóżku, dziewczyna. Ta, której szukaliśmy, Ksenia.

Misza od razu rzucił się w jej kierunku i to był błąd. Nie zdążyłem go powstrzymać. Podmuch wichury szarpnął nim i odrzucił na ścianę. Asieniewicz jednak nie poddał się. Wyciągnął broń i wymierzył w Welesa. Wstał i przylgnął plecami do marmuru, z trudem utrzymując się na nogach.

Popatrzyłem w górę, na Nyję, która wydawała się najbardziej nieprzewidywalnym i najgroźniejszym wrogiem. Ona także nas zobaczyła.

Rozpaczliwym wysiłkiem uwolniła się z wiru, ciskając w stronę Miszy kulę światła. Chroniła swojego pana, tego, do którego mierzył Asieniewicz. Próbowałem rzucić się w stronę Miszy, by ocalić go przed pociskiem, ale mocny podmuch powalił mnie na kolana. W krótkim przeblysku zrozumiałem, że nie będę w stanie mu pomóc.



Ksenia wiedziała, co chce powiedzieć Perun. Jak mogła wcześniej tego nie dostrzec? To była odpowiedź, której szukała. To była gra, w którą bawił się jej ojciec. A ona przeczuwała, jaki wybór będzie najlepszy. Chciała powiedzieć o tym Welesowi, wyrzucić mu, że przejrzała ich grę, ale wtedy zobaczyła, że drzwi sali otwierają się i stają w nich Alek i Misza.

Nyja także ich zobaczyła i zaatakowała błyskawicznie, wyrzucając w stronę Miszy kulę palącego ognia. Wszystko działo się tak szybko. Ksenia uniosła dłoń. Pocisk, który miał trafić Asieniewicza, nagle skręcił. Dziewczyna uśmiechnęła się. Zobaczyła, jak żarząca się, wirująca sfera mknie w jej stronę. Ta jasność była tak bliska i czysta. Ksenia pragnęła jej całe życie, bardziej niż ciemności.

Twarz Welesa była posągowa, jak martwa. Nie mógł wiedzieć, jaki był jej wybór. Poczula podmuch palącego powietrza i oślepiający błysk, a potem rozplynęła się w tej światłości.

Mury zadrżały, fala energii uderzyła od ziemi. Weles wstał, klasnął w dłonie i wraz z Nyją rozplynął się w powietrzu. Chwilę później wieża zadrżała po raz ostatni, a potem rozsypała się niczym domek z kart.



Misza krzyczał, wydobywał z siebie przejmujący skowyt. Rozpacz wdarła się do jego umysłu, rwała trzewia, każdy atom ciała. Widział, jak Ksenia rozpada się w kuli światła ogarniającego jej drobną sylwetkę. Sufit rozsypał się nad jego głową. Nie pragnął niczego, tylko tego, by ogromne kamienie pogrzebały go żywcem. Chciał spaść w otchłań, zostać pochowanym razem ze szczątkami Białej Wieży.

Jednak chwilę później poczuł, że podmuch wichury podrywa go i unosi. Na jego oczach budynek runął, a on wznosił się nad ruiną białego szkieletu. Wir otoczył jego i Alka, zakręcił nimi i znów poderwał, a potem poniósł w stronę wzgórza widocznego na horyzoncie.

Misza próbował się wyrwać, ale poczuł na sobie silne dłonie, które przytrzymały go w miejscu. Nie miał siły się sprzeciwić. Chwilę później wylądowali na gorących, spękanych od żaru kamieniach.



Spóźniliśmy się.

Misza opadł na kolana w gorący piach, a ja wciąż nie mogłem uwierzyć. Czy to wszystko tak miało się skończyć? Cały wysiłek, wszystkie intrygi miały prowadzić do tego momentu, tego wydarzenia?

Popatrzyłem na pogodnika, który wyniósł nas z wieży w ostatniej chwili. Stał milczący, wpatrując się w zgliszcza.

– Odeszła – powiedział. – To był jej wybór.

Misza potrząsnął głową. Wiedziałem, że walczy ze sobą, że nigdy nie pogodzi się ze śmiercią Kseni. Nigdy nie wybaczy tym, którzy do niej doprowadzili.

A ja? Zastanawiałem się, jakich uczuć spodziewam się po sobie. Czy zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy?

– Nic tu po was – oznajmił pogodnik. – Masz pelerynę?

Ostatnie słowa skierowane były do mnie, ale zrozumiałem je dopiero po chwili.

Wyciągnąłem zawiniątko z kieszeni. Pogodnik zbliżył się do Miszy i skinął na mnie, bym także podszedł.

– A ty? – zapytałem.

– Wchodząc tutaj, wiedziałem, czym ryzykuję. – Uśmiechnął się. Jego twarz wydała mi się teraz dużo starsza.

– A twoja siostra?

– Nie ma jej tu, nigdy jej tu nie było – zaśmiał się. – Zawsze myślałem, że to ja jestem sprytny. Perun potrafi każdego pozbawić złudzeń, to muszę mu przyznać.

Zrobiło mi się go żal. Ale żalu on nie potrzebował.

– Co zrobisz?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Przynajmniej wiem, że będzie bezpieczna. Perunowi już się nie przyda. Osiągnął to, czego chciał. Myślę, że nie ma powodu, by na niej się mścić.

Pozostało mi skinać głowę.

– A więc żegnaj – powiedziałem.

– Żegnajcie. – Pogodnik okręcił się, a jego ciało rozpadło się na miliony cząsteczek, które uleciały z porywem wiatru w stronę horyzontu.

Popatrzyłem jeszcze raz na dymiące zgliszcza Białej Wieży. Wyglądała jak powalone drzewo. Drzewo, które szybko się nie odrodzi. Potem okryłem siebie i Miszę peleryną, a Nawia znikła w dymie i kurzu.

Epilog

To samo co ostatnio?

Misza skinął głową. Patrzył w wąską ptasią twarz mężczyzny nalewającego alkohol do kieliszka. Miał ochotę uderzyć pięścią w idealny nos, skruszyć kości policzkowe i naruszyć łuki wypielęgowanych brwi.

– Nienawiść czyni cię silniejszym.

Perun uśmiechnął się, a Asieniewicz widział jedynie bezzębną maskę z krwawym ochłapem warg.

– Wracasz do służby – oznajmił Perun radośnie, jakby był uczestnikiem dobrej, trwającej od wieków zabawy.

– Myślisz, że po to przyszedłem? – zapytał Misza, patrząc w oczy byłego pracodawcy.

– Nie. – Perun zaśmiał się. – Przyszedłeś po zemstę, a właściwie po śmierć. Dla ścisłości, swoją własną śmierć. Ale ja niczego ci nie ułatwię.

– Poświęciłeś swoją córkę. – Misza zacisnął pięść, zgniatając w dłoniach szklanę. Odłamki szkła upadły na bar, alkohol zapiekl w krwawych rozcięciach.

– A bo to jeden bóg tak zrobił? Poświęcił własne dziecko dla dobra swojej trzódki?

Misza patrzył z niedowierzaniem na stojącego przed nim mężczyznę.

– Co się dziwisz? – Perun wzruszył ramionami. – Niczego ci to nie przypomina? Kiedyś wierzyłeś, Misza. Wierzyłeś w tamtego Boga. Nie oskarżałeś go o to, że poświęcił swojego jedyne syna?

Asieniewicz milczał, patrząc, jak krew spływa z jego palców, jak tworzy się kałuża. Strumyczek szukający drogi ucieczki, której on nie potrafił znaleźć.

– Wszystko zaplanowałeś.

– Wszystko zaplanowałem, by przetrwać. Bym przetrwał ja oraz inni bogowie, bo wiara tych, którzy się ostali, była już zbyt słaba, a i wierzących mało. I oni, ci, których nazywa się poganami. Cokolwiek byś mówił, czuję się za nich odpowiedzialny. Wierzyli we mnie i innych, zaufali nam. Miałem pozwolić, by odeszli w nicość?

– A ona? Wiedziałaś, że tylko jej śmierć...

– Dlaczego myślisz, że umarła? Małej wiary jesteś człowiek.

Perun uniósł kieliszek i przechylił go, przelękając palący płyn.

– I to koniec? Koniec zabawy? – Misza chciał już jedynie wyjść z pubu, zaszyć się w jakiejś norze i doczekać w niej końca. – Dobrze się bawiłeś?

Spojrzeni na siebie. Perun wydał usta i zabębnił palcami w blat.

– Zabawy bogów nie śmieszą zwykłych śmiertelników, ale nie wierzysz chyba, że gra, która toczy się tysiące lat, ma na celu jedynie dobrą zabawę? Wysyłanie na śmierć własnej córki nie jest przyjemne.

– Dajeś mi do zrozumienia, że nie umarła.

– Bo nie umarła. Ale ja dla niej tak. – Przez chwilę wydawało się, że na twarzy Peruna pojawiły się zwykłe ludzkie uczucia. – Podjąłem decyzję, wiedząc, że ją stracę.

– Więc dlatego ze mną rozmawiasz. – Misza zaśmiał się. Nie mógł przestać. Patrząc na

Peruna, widział jego siłę i słabości. – Dlatego bóg zwierza się szeregowemu pracownikowi Departamentu Wschodniego, który został celowo wplątany w gierki bogów.

– Cóż, Misza, nie jesteś przecież głupi.

– Stąd propozycja powrotu do służby? – Asieniewicz wytrzymał spojrzenie Peruna.

– I awansu – dodał Perun. – Co powiesz na piąty stopień?

Asieniewicz pokręcił głową z niedowierzaniem. Piąty stopień uczyniłby go równym jego dotychczasowym nauczycielom. Dałby moc i dostęp do magii, o jakiej mógł tylko śnić, a którą tak przemyślnie dano mu wypróbować.

– Chcesz, żebym był blisko ciebie, bo...

– Bo wiem, że wtedy blisko mnie będzie córka. – Perun wzruszył ramionami. – Myślę, że prędzej czy później nic losu was połączy.

Misza spojrział na zaciśniętą pięść. Nie było śladu po ranie, krew przestała kapać. Rozwarł palce. Wnętrze dłoni wyglądało na nietknięte, uleczyło się samo. Bez ingerencji magicznej. Poziom piąty. O tym przecież marzył, tego zazdrościł Alkowi. A może marzył o Kseni, o tym, by z nią być, z daleka od tego wszystkiego.

– Poziom piąty, Misza – przypomniał Perun.

Asieniewicz skinął głową i uśmiechnął się. Kto powiedział, że nie można mieć jednego i drugiego?



Alku, musimy się spotkać i porozmawiać.

Mentor

Patrzyłem na kartkę zapisaną pochyłym, równym pismem.

Mentor.

Zastanawiałem się, kim dla mnie był. Czego ode mnie chciał albo czego ja chciałem od niego. Słowa, które znalazłem na przewróconym na bok biurku, wzbudzały we mnie wewnętrzny niepokój. Nie strach, tylko raczej nieprzyjemne uczucie towarzyszące niezłatwionej, niedokończonej sprawie. Jak ćmiący ból zęba, który nie daje spokoju we dnie i w nocy.

Uniosłem kartkę, a potem zacisnąłem na niej dłoń. Mocno, poruszając palcami, formując kulkę, którą chwilę później cisnąłem w stertę śmieci na podłodze, tam, gdzie wcześniej rzuciłem policyjne taśmy zabezpieczające moje mieszkanie.

Pusty gest, ale wyzwalający. Poczulem się lekko. Wreszcie wolny.

Nie wiem, w którym momencie to rozgryzłem. Chyba dawno temu, choć do końca wszystkiego sobie nie uświadomiłem. Spuściłem nogi z łóżka i rozejrzałem się odruchowo, szukając jej ciała.

Przyjąłem warunki gry, zgodziłem się na nią, wiedząc podświadomie, że tak być powinno, że to jedyna droga. Ale budził we mnie obrzydzenie sam fakt, że każdy z nich, i Weles, i Perun, a nawet on, Mentor, podjął grę, opracowując ją ze szczegółami, kontrolując od początku do końca. To obrzydzenie czułem nie tylko do nich, ale i do siebie.

Czy zaplanowali każdy nasz krok? Każde wydarzenie, które służyło jednemu celowi: sprawieniu, by Ksenia przywróciła równowagę w ich świecie, by nie dała mu odejść w niebyt?

W sumie nie wiem, czy teraz mnie to obchodziło. Na każdym etapie tej zabawy każdy z nich coś osiągnął. Wydarł dla siebie. Sztuka kompromisu ćwiczona tysiącami lat.

Nie powinienem mieć żalu. Przecież walczyli o życie, o przetrwanie. Ale czy nie można było prościej?

Pewnie nie. Ksenia musiała się poświęcić. Dla nich.

Pukanie do drzwi.

Nie miałem ochoty otwierać. Spodziewałem się kogoś z mojego Departamentu, może nawet samego Mentora. Chyba chciałem widzieć w nim jakiś ludzki odruch. Skruchę. Cel uświęca środki, prawda?

Dzwonek i natarczywe pukanie.

Ruszyłem w stronę korytarza. Wyjrzałem przez judasza w drzwiach, które niedawno założył dozorca.

Anna.

Przekręciłem klucz i otworzyłem. Potem skierowałem się z powrotem do pokoju, zostawiając jej wolne przejście. Niemal przewróciłem się o szafkę roztrzaskaną na podłodze.

– Aleś się naburmuszył – powiedziała.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Do mnie też się nie będziesz odzywał? – zapytała, zwinnie wymijając przeszkody.

– A o czym mamy gadać? – Usiadłem w fotelu. Nie byłem zbyt przyjaznym gospodarzem, bo ani nie wskazałem jej wolnego miejsca, ani nie przywitałem się.

– O tobie – odpowiedziała. – O twojej przyszłości.

Zaśmiałem się.

– Jest różowa, zapowiada się świetliście.

– W sumie trafiłeś w sedno. – Teraz ona się zaśmiała.

– Jeśli przysłał cię Mentor z misją o kryptonimie „Alek wraca do służby”, to nie, dziękuję.

– Moim skromnym zdaniem... – Nie doczekawszy się zaproszenia, odnalazła w stercie śmieci krzesło, o dziwo całe. Podniosła je i postawiła, a potem usiadła naprzeciw mnie. – Nigdy tam nie pasowałeś.

Założyła nogę na nogę i spojrzała na mnie badawczo.

– A, dziękuję – odpowiedziałem szczerze zaskoczony.

– Nie ma za co. – Wzruszyła ramionami. – Popatrz, jaki to dzień uprzejmości dzisiaj mamy.

– No tak – zgodziłem się. – To może przejdźmy do rzeczy. Po co przysłaś? Asystentka zamartwiała się o przełożonego?

– Oj tam, od razu zamartwiała. – Skrzywiła się i poprawiła mankiety białej koszuli, w której swoją drogą wyglądała zjawiskowo. – Byłam ciekawa, jak ci poszło.

– Nie widać? – zapytałem, rozkładając ręce, jakbym chciał ogarnąć pobożowisko, a potem wskazując na samego siebie. – Cały i zdrowy. Kości na miejscu.

– Ja się o twoje kości nie bałam – powiedziała. – Bardziej o to, co po tym wszystkim będzie ci siedzieć w głowie.

– Wiesz dużo więcej, niż mi się wydaje, co? – zauważyłem z przekąsem. – Nic nie da się przed wami ukryć? Mentor skonsultował się już z Perunem i Welesem?

– Ależ jesteś drażliwy i... – szukała przez chwilę odpowiedniego słowa – pamiętliwy.

A ja nie jestem twoim wrogiem. Tak naprawdę nawet nie pracuję dla Mentora.

– A dla kogo? – Nawet nie starałem się ukryć zaskoczenia. Po chwili przypomniałem sobie, że widziałem ją w towarzystwie Fafnesbane'a. – Nie wyglądasz na jedną z walkirii. Choć

ta szczęka, blond włosy... Trochę germańskie.

– Chyba powinnam się obrazić. – Zamiast tego zaśmiała się jednak. – Alku, przyszedłam złożyć ci pewną propozycję. Obserwowaliśmy cię od dłuższego czasu.

– No nie. – Przewróciłem oczami. Chciałem po prostu włączyć telewizor i napić się dobrego piwa, jednak czułem, że nie będzie mi to dane. – My, czyli kto?

Anna, zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła coś z kieszeni skórzanych spodni. Wstała z krzesła i podała mi mały niebieski futerał.

– Otwórz – zachęciła, widząc, że się waham.

Zrobiłem to, o co prosiła. W środku na jedwabnej wyściółce leżała złota broszka. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś ptak, ale w końcu zrozumiałem, że patrzę na skrzydła.

– Będę lotnikiem?

Parsknęła śmiechem.

– Coś jakby – wydusiła. – Nie zadawałeś sobie pytań, co się ostatnio wydarzyło?

– A jakże. To było jak sen wariata.

– Ja nie o tym. – Machnęła ręką. – Słowianie, Perun, Weles, odwieczna walka. Demony, bogowie i tak dalej.

– Cóż... – zastanowiłem się chwilę nad odpowiedzią. – To trochę rozmija się z moim światopoglądem.

– No właśnie. – Spojrzała na mnie, uśmiechając się dobrotliwie. – Nie zadałeś sobie pytania, gdzie jest Bóg? Ten jedyny, prawdziwy? Ten, nad którego nie będziesz miał innych bogów?

– No w sumie tak jakby... Takie pytanie przetoczyło mi się przez głowę. – Rozmowa stawała się coraz bardziej surrealistyczna, a ja z trudem zachowywałem powagę.

– Otóż mam dla ciebie wiadomość, Alku Bielski. – Anna stała się nagle poważna.

Wyprostowała się jak struna. – Nie wtrącamy się, nie ingerujemy, dopóki nie ma takiej konieczności. Człowiek jest istotą mającą wolną wolę. Takim stworzył go Bóg. Jednak w obronie wiary powołano zastępy prawych, którzy stawiają się na wezwanie. Chcemy, żebyś do nas dołączył. Jesteś godny, by wstąpić w nasze szeregi.

Parsknąłem śmiechem.

– Zaraz powiesz, że jesteś aniołem... O, przepraszam, anielicą?

Spojrzała na mnie groźnie. Jej usta zwężyły się, a w oczach zabłyśły niebieskie ogniki.

– Niewierny Tomaszu...

Nagle zza jej pleców wyłoniły się białe imponujące skrzydła, a wokół głowy pojawiło się światło, którego źródła z jakichś powodów nie byłem w stanie ustalić.

W pokoju zapanowała martwa cisza.

– To jak? – zapytała Anna trochę zbita z tropu brakiem mojej reakcji.

– Trochę obciach z tym czymś u pleców... – Skrzywiłem się. Przypomniałem sobie jednak rozmowę z Mentorem na temat latania. Podobno wszystko zależało od tego, jak bardzo będę tego chciał.

Widziałem niedowierzanie w jej oczach, zaraz jednak zaczęła się śmiać.

– Najpierw musiałbyś sobie na nie zasłużyć – oznajmiła dumnie. – Przyjmujesz ofertę? Czy naprawić ci ten telewizor i dać piwo do ręki?

Popatrzyłem na nią, krzywiąc się. Nie lubiłem, gdy ktoś czytał mi w myślach.

– Daj spokój, nie czytałam ci w myślach. – Uniosła wysoko brew.

– Anioł, a kłamie? – powiedziałem z wyrzutem.

– Sondowałam tylko, zgodnie z procedurami, o których pewnie dowiesz się w swoim

czasie. To jak?

– Cóż... – Zmierzyłem ją wzrokiem od stóp do głów. Wyraźnie się spieszyła. – A będziesz dalej moją asystentką?

– Bielski. – Potarła nos, ukrywając zmieszanie. – Myślę, że będziemy razem pracować, ale o asystentce zapomnij. Przeciągasz strunę.

Wzruszyłem ramionami, przypominając sobie słowa Kseni wypowiedziane w tym pokoju. Ona wiedziała, kim będę albo kim jestem. Teraz ją zrozumiałem.

– Dobra, wchodzę w to.

Skrzydła znikły, Anna usiadła z powrotem na krześle, uśmiechając się szeroko. Nie pozwoliłem jej na chwilę wytchnienia.

– A teraz daj mi to piwo. Chyba że preferujecie u siebie inne, bardziej wyrafinowane trunki?

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Pokręciła z dezaprobatą głową.

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł. Może jednak powinieneś to jeszcze przemyśleć, a my do ciebie za jakiś czas, powiedzmy... zadzwonimy?

– Słowo się rzekło. – Westchnąłem ciężko, rozglądając się po rozbebeszonym mieszkaniu. – Mam nadzieję, że załatwicie mi jakiś lepszy lokal. To miejsce ma złą aurę. A może na razie pójdziemy do ciebie?

– Chciałbyś! – Z trudem stłumiła wściekłość.

– Nie spodziewałem się po tobie takiej reakcji. – Tym razem to ja wyraziłem dezaprobatę głośnym cmoknięciem. – Chyba nie myślałaś, że cię podrywam albo co? Słyszałem, że anioły są raczej aseksualne. Tylko kasza manna, a tamte sprawy już im nie w głowach.

– No wiesz? Kto ci powiedział takie bzdury? Jesteśmy zwykłymi ludźmi i... – Zanim skończyła, zorientowała się po mojej minie, że ją wkręciłem.

– Nic co ludzkie nie jest mi obce – powiedziałem, mrugając do niej zaczepnie. – To jak? Idziemy do ciebie?



Obudził ją szum morza i skrzek mew. Przez chwilę nie otwierała oczu. Słońce rozgrzało jej ciało, pod dłońmi czuła delikatny morski piasek. Mogłaby tak leżeć wiecznie, z daleka od wszystkiego, od ludzi, spraw i własnych myśli, które wydawały się odpływać z kolejnymi falami. Była jednak głodna i spragniona. Te potrzeby uświadomiły jej jedno: żyła i czuła.

Otworzyła oczy i usiadła na piasku.

Błękit morza był tak piękny. Zapach przynoszony z lekką bryzą przyprawiał o zawrót głowy. Morze było czyste i dziewczyna miała wrażenie, że teraz i ona jest niezapisaną kartą. Zaczynała wszystko od nowa.

Jej wzrok przesunął się wzdłuż horyzontu, w stronę plaży i wydm. Odnalazła znajomy kształt strzelistej latarni pomalowanej w biało-czerwone pasy. Latarnia przyzywała ją, lecz nie tak silnie jak kiedyś.

Ksenia podniosła się z piasku. Wiedziała, że pewnego dnia nogi znów poniosą ją w tamtą stronę, bosa stopy pokonają żelazne schody, a rodzanice, trzy wieszczki, przywitają dziewczynę jak starą znajomą. Wtedy się odrodzi i zacznie nowe życie.

Ale jeszcze nie teraz, pomyślała. Jeszcze nie teraz. Spojrzała na bransoletkę na dłoni.

Koło życia.

Odwróciła się od latarni i ruszyła w stronę domku przy plaży. Zobaczyła postać machającą z daleka. Uśmiechnęła się do niej i także pomachała. Na razie to był jej dom. I nic innego nie było ważne.

KONIEC

